

A movie poster for 'The Return of the King'. The central focus is a close-up of Aragorn's face, showing his eyes and a sword held vertically in front of his nose. He is holding a book in each hand. The background is a dark, textured surface with a Greek key pattern at the top and bottom. The text is in white, serif font.

G R Z E G O R Z G A J E K

POWRÓT

KRÓLÓW



G R Z E G O R Z G A J E K

POWRÓT KRÓLÓW

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Mapa

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Epilog

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: AGNIESZKA PIETRZAK, ILONA TUROWSKA
Projekt okładki: KRZYSZTOF RYCHTER
Ilustracja na okładce: SEBASTIAN ZAKRZEWSKI
Skład: TOMASZ WOJTANOWICZ

Copyright © by Grzegorz Gajek, 2017
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2017
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65310-90-3

Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2015

e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl

www.WydawnictwoErica.pl

Oficjalny sklep internetowy

www.tetraErica.pl

facebook.com/iwerica

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Paulinie, bo dzięki niej wiem,
że każdą moją książkę przeczyta
przynajmniej jedna osoba.

A także Moni, Emilowi i Wojtkowi,
bo czymże byśmy byli bez przyjaciół?



KRÓLOWIE NACZELNI, ICH ŚWITY ORAZ OBSZARY PANOWANIA

Królestwo Myken – Ajgistos-król

Drakomachos – dowódca straży Myken

Opilimnios – król Sykionu

Lakedaimon – Menelaos-król

Tereos – król Amyklaj

Chromis – król Faris

Koes – król Augiajów

Kreton – król Messe

Hyllos – król Helos

Messenia – Antylochos-król

Hipolitos – król Ojchalii

Elida – Helejos-król

Tantalos – król Pisy

Arkadia – Agapenor-król

Meriones – król Tegei

Meles – brat Merionesa

Argolida – Kylarabes-król

Klytamedes – król Tirynsu
Wedaneos z Argos – teść Kylarabesa
Fokida – Strofios-król

POMNIEJSI KRÓLOWIE

Itaka – Odyszeusz-król
Hellaje – Lizymach-król
Naupaktos – Andraimon-król
Ojnejon – Laodokos-król
Tejchio – Eruthros-król
Kipr (rzekomo) – Teukros-król

PROLOG

Zaczęło się od uderzenia miecza.

Spizowe ostrze rozcięło chroniące kark sploty mięśni, rozerwało tętnice, wreszcie zgrzytnęło o kręgosłup, wygięło się. Niemal odcięta głowa podskoczyła, opadła na bok, zwisała. Z ust buchnęła krew. Mężczyzna padł na kolana. Kiwał się chwilę, zawieszony nad śmiercią. Stojący najbliżej poczuli smród gówna i szczywn, które wraz z posoką skaląły piach. Potem nadszedł przedśmiertny dygot. Gdy ustał, na równinie zapadła cisza.

Tysiące Achajów patrzyło na plecy swego wodza, swego króla. Jedyne go króla. Władcy Półwyspu i żyjących na nim plemion. Zdało im się wtedy wszystkim – butnym mężom z Achai, ogorzałym chłopom z Arkadii, walecznym żołnierzom z Lakonii, Messeńczykom, Argiwom, Elidejczykom – że oto stał przed nimi złoty bożek. Rzucił cień wielki, jak wielkie było jego opalone, smukłe ciało. Włosy płonęły w zachodzącym słońcu. Krew ściekała powoli z mieczodzierżnego ramienia.

Król się obrócił. Dreszcz chwycił wojowników, wstrząsnął szeregami. Uwierzyli, że Bóg Morze patrzy na nich. Słyszeli jego głos na wietrze i w zawodzeniu kormoranów, czuli w słonej bryzie. Nie widzieli już zamordowanego posła, tylko uniesione wygięte ostrze. Szarpnęli się nagle. Podnieśli krzyk:

– Nieśmiertelni! Nieśmiertelni!

Wódz drżał w ekstazie, chłonał głos tysięcy piersi. Stawał się coraz piękniejszy i bardziej przerażający. Żołnierze darli się, podnieceni subtelną zmysłowością ruchów wzywających do zabijania, oczarowani smukłością członków, świetlistością twarzy. Rozkaz nie był potrzebny; wystarczyło skinienie dłoni. Dowódcy przekazali znaki, zagrały trąby. Setnicy i dziesiętnicy poklepywali młodzików po ramionach, po piersiach, po tyłkach. Zachrzęściły pancerze, wzniesiono włócznie. Pierwsze czworoboki piechoty ruszyły przez pole, mijając króla, który stał z uniesioną głową i słuchał.

Wtem naprzeciw nich, po drugiej stronie suchej, czerwonej równiny, uniósł się lament. To Dorowie, górale z północy, odgadli los swego posła. Ryk sięgnął wysoko, wzywał gniewu Boga Nieba i pomsty. Ucichli, gdy na czele zastępów stanął ich pan, krępy i brzydki, jakże inny od achajskiego króla. Mówił cicho, słowa przekazywano sobie szeptem. Wyrzekł tylko kilka zdań surowym, żołnierskim tonem. Wreszcie pobłogosławił wojowników imieniem Niebiańskiego Ojca i posłał do walki.

– Dziś wszyscy staliście się synami Heraklesa. Idźcie zabijać.

Pomaszerowali naprzód w milczeniu, ogłaszając podniosłość chwili tupotem stóp, łoskotem włóczni o tarcze. Zadrżeli dopiero, gdy spostrzegli tuman pyłu na prawej flance. Szły ku nim rydwany.

Ktoś przyspieszył kroku. Niech przyjdzie szybciej, szybciej, już, niech przyjdzie ta królowa kurew, śmierć. Ktoś podbiegł, by nie wypaść z szeregu. Ktoś pchnął kogoś, ktoś zaklął, ktoś popędził druhów. I biegli już, truchtem. Także ci młodzi, bez zbroi, niosący tylko miecze. Bali

się, a jednocześnie rozkosz jakaś łaskotała ich lędźwie. Rząd wygiął się w łuk. „Równiej, równiej! Trzymać szyk!” – ryczeli setnicy. Zastępy falowały, drgały, lecz trzymały się razem.

Posłyszeli huk i kwilenie, i płacz, i mokre kłaśnięcia krojonego mięsa. Już? Tak po prostu? Już się zaczęło?

Ktoś walczył gdzieś, inni parli naprzód. Rozkaz był: naprzód. Więc naprzód. Ciągle naprzód. Równiej, równiej, trzymać szyk. Wałą ku nam. Nie, to nasi. Nasi w odwrocie.

Prawa flanka skruszała nie wiadomo kiedy. Lekka piechota poszła w rozsypkę, tylko pojedyncze grupy atakowały rydwany, kłuły konie. Od doryckiego wodza pofrunęli gońcy, by zbierać niedobitki, ustawiać na nowo oddziały. Tymczasem z drugiego rzędu wojska, z czerwonego obłoku pyłu, wychynęli ciężkozbrojni w spizowych pancerzach, mocarne żuki z rogami na głowach. Naparli na rydwany, które wytraciły prędkość. Mordowali powoli, miarowo. Zwierzęta i ludzi. Wyszadzali woźniców, łamali szprychy, wciągali bojowe wozy w doły, w pułapki. Kosy u kół łamały się na ich ciężkich tarczach, choć czasem sięgnęły też ciała, ucinając nogę, wypruwając wnętrzności.

Walczone już i na środku szyku, i na lewym skrzydle. Była w Dorach jakaś zaciętość, która pozwalała im zepchnąć Achajów. Krok po kroku, po kroku, po kroku. Tłukli mieczami i pałkami, ułamanymi drzewcami włóczni. Gięli spiż, gruchotali kości. Umierali z ledwie krótkim krzykiem, zadeptywani raz przez swoich, raz przez wroga. Gdy wreszcie przeparli achajskich żołnierzy o paręnaście łokci, pozostała za nimi ziemia rozmokła niby po deszczu. Kilka samotnych ludzkich strzepów zawodziło tam pod niebiosa.

Zarzynanie to męcząca robota, lepka. W miarę jak mijały kolejne godziny zapasów, słabły ramiona. Pot ściekał po karkach. Do umazanych krwią rąk i twarzy lgnęły muchy. Wpełzały w usta, w uszy. Wojownicy otrząsali się niby byki. Dalej uderzali, ale jakby wolniej. Coraz to kolejnego nachodziło znużenie, a wraz ze znużeniem – obojętność. Poczynają ciążyć zawieszona na szyjach tarcze. Pochylali głowy. Niech już przyjdzie ciemność. Żeby tylko nie musieć kolejny raz unosić ostrza, żeby tylko ucichł już ten łomot, łupanie w skroniach, żeby znikł gorzki smak z gardła, pieczenie z płuc.

Nikt nie zauważył, kiedy ustała walka w środku szyku. Dorowie cofnęli się, powłócząc nogami. Achajowie nie gonili wroga, stali z głowami w czerwonej, dusznej chmurze, dopóki dorycki król, dziedzic Heraklesa, nie przygnał im nowych ofiar. Odwody górali uderzyły z wściekłością. Rozpędziły zmęczonych achajskich wojowników, pognały ich aż ku taborom, gdzie stał olbrzymi wódz. Zakotłowało się, noszący rannych niewolnicy wpadli pod nogi szarżujących. Ginęli miażdżeni z jednej strony przez swych panów, z drugiej przez ich wrogów.

Kwiat mykeńskiej młodzieży uderzył na straż przyboczną króla Dorów. Ponad głowami wielkookich chłopców widać było ramiona i hełm ich pana. Musiało się tak stać, żeby piękny bożek i krępy żołnierz stanęli naprzeciw siebie, inaczej śpiewacy nie mieliby o czym składać pieśni. Dor znieruchomiał na szeroko rozstawionych nogach, przygarbiony. Achaj natarł na niego, wyrzucając do przodu długie ramiona. Zadzwonął spiż. Ktoś wrzasnął. Trysnęła krew. Krzyk niósł się dalej, wibrował, wysoki, dźwięczny, dziewczęcy. Aż w końcu rozdarł zasłonę snu.

Wieszczka Ifigenia przebudziła się gwałtownie. Boski wzrok ulatywał z jej oczu, ciemność pochłaniała achajskich chłopców i doryckich mężów. Dziewczyna pozostała sama w mroku swojej ślepoty. Ona i rozdygotany gołąb w piersi.

„To nie może się wydarzyć – myślała. – Bogowie, nie pozwólcie, aby się wydarzyło!”

ROZDZIAŁ I

Po raz pierwszy ujrzała go w ogrodzie. Leżał wyciągnięty pod drzewem i wydawał się wielki niby posąg. Jego skóra lśniła w słońcu – brązowa, o złotym połysku, jak skała, na której zbudowano mykeński zamek.

Podkraśla się ku niemu – cicho, na paluszkach. Przyklęła na zmatowionej słońcem trawie, pochyliła się, odetchnęła jego zapachem. Nie pachniał kwaśno jak żołnierze ojca albo kupcy z miasta. Pachniał ziemią i morzem, i wiatrem. Słono, obco, strasznie, kusząco...

– Erigone, córka Ajgista-króla.

Głos uderzył ją tak nagle, że aż odskoczyła. Mrukliwe słowa pogonił śmiech – zadziwiająco lekki, chłopięcy.

Mężczyzna poruszył się, przeciągnął, odgarnął z twarzy grzywę czarnych włosów. Na Erigone wyjrzała para piwnozielonkawych oczu. Pomyślała – głupio, aż się zawstydziała – że takie oczy mógłby mieć Bóg Morze.

– Czemu podchodzisz mnie we śnie, pani? Czyżbyś miała nieczne zamiary?

– Chciałam cię zobaczyć – odpowiedziała. – W pałacu mówią o tobie „książę”, ale ojciec nakazał dworcom, by trzymały mnie od ciebie z dala. Bardzo jestem ciekawa dlaczego.

Nieznajomy uniósł się i siadł w kucki. Nawet tak skulony sięgał nosem do podbródka Erigone.

– Hm. Niełatwo to wyjaśnić – powiedział. Uśmiechał się przy tym i błyskał okiem.

Dziewczyna podeszła bliżej. Zapatrzyła się w opalone oblicze, pogoniła wzrokiem piegi rozsypane nad wysokimi kośćmi policzkowymi, zatrzymała się dłużej przy kształtnych ustach.

– Spróbuj – odezwała się w końcu.

– A dasz mi dłoń, księżniczko?

Dała. Bez chwili wahania.

Mężczyzna przyłożył sobie jej rękę do piersi. Poczła równy tupot serca. Dudniło dużo wolniej niż jej własne i jakby... Roześmiała się niepewnie. Okrągłymi ze zdziwienia oczami chwyciła jego spojrzenie. Wciąż się uśmiechał – coraz bardziej szelmowsko.

– Biję ze złej strony – powiedziała.

– Czy można ufać człowiekowi, któremu bogowie dali serce w niewłaściwym miejscu?

Wypuścił dłoń Erigone, a ona, ku własnemu zdziwieniu, nie cofnęła ręki. Dotyk ciepłego ciała sprawiał jej przyjemność. Przez głowę galopowały gorączkowe myśli, wspominała miłosne muśnięcia słodkich palców Korinsii, służki, z którą dzieliła łożo. A gdyby tak, gdyby on...

– Podejdź bliżej, księżniczko.

Podeszła.

Zapragnęła, aby ją objął, lecz tylko uśmiechał się i mierzył ją spojrzeniem. Poczła rumieńce kąsające poliki. Rozzłościła się i zabrała rękę, jednak nie odważyła się cofnąć.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Czy to ważne? – odmruknęła.

– Czternaście, prawda?

Milczała.

Uniósł rękę i, dotykając podbródka dziewczyny tylko jednym palcem, przyciągnął ją ku sobie. Poczowała oddech na ustach. Potem duża, gorąca dłoń oparła się na jej pośladku, posyłając rozkoszne dreszcze przez całe ciało.

Zamknęła oczy i pocałowała mężczyznę. Nie oddał pocałunku. Z pamięci Erigone wypłynęły wspomnienia pieprzonych rozmówek z kobiecych komnat. Stare baby lubiły się droczyć, młódki przechwalać, Korinsia próbowała, lecz jej się nie podobało, Eriste jeszcze nie, ale siostra jej opowiadała... a Arystomacha... a Partenopa... a Kore... Trzeba chwycić go mocno i ugniatać jak ciasto... Nie, nie, trzeba ciągnąć lekko: od siebie, ku sobie...

Dotknęła uda mężczyzny, palce zbłądziły w poszukiwaniu krocza.

Zachichotał i delikatnie, jak najdelikatniej, ujął jej nadgarstek.

– Dworki cię szukają – powiedział. – Będą tu lada chwila.

Splonęła się jak dzieciuch, odskoczyła. Faktycznie po ogrodzie niesły się głosy wścibskich babiszczy.

– Chcę się z tobą znowu spotkać – wydyszała.

– Z rozkoszą.

– Coś wymyślę. Korinsia na pewno się zgodzi przekazać ci wiadomość.

Odbiegła kawałek. Zatrzymała się i odwróciła ku księciu. Jeszcze raz objęła wzrokiem jego potężną sylwetkę. Nie był piękny jak niektórzy chłopcy w mieście, ale – bogi! – jakąż miała na niego ochotę! Czy mógł być zalotnikiem? Wielkie Morze, oby tak było! W końcu to książę... Ale książę czego? Nieważne!

Podniecenie szybko zmieszało się ze złością. Zawróciła do mężczyzny.

– Nieładnie ze mną postąpiłeś, nie sądzisz? – fuknęła. – Rozgrzałeś trochę za bardzo.

Wybuchnął śmiechem.

– Uciekaj, dziewczynko! I przyslij mi wiadomość!

„Dziewczynko”? Zatrzęsło nią.

Chciała coś rzec, lecz wtem struchlała, bo ktoś wyłonił się zza zarośli.

– Tu cię... A to kto?

Odetchnęła. Kolejny mężczyzna, ale wcale nie tak ciekawy jak ten pierwszy. Owszem, ładny, jednak nic szczególnego. Ot, mięśniak jakich wielu. No i nie z Achajów, bo blondyn.

Dygnęła i uciekła.

Orestes wstał z ziemi. Chwilę patrzył za umykającą Erigone, a potem wyszczerzył zęby do mierzącego go krytycznym okiem Pyladesa.

– To była córka Ajgista-króla, czy się mylę? – odezwał się tamten.

– Nie mylisz się.

– Wielkie bogi, Oreście, co ty wyrabiasz?!

Orestes przyciągnął do siebie niższego mężczyznę. Wczepił palce w jego złote loki i wmusił

na usta drapieżny pocałunek.

- Jesteś zazdrosny? – zapytał.
- Ktoś może zobaczyć! – szepnęła Pylades.
- Ktoś widzi.
- Co?!

Jasnowłosa wyrwał się kochankowi i obrócił. Na pobliskiej ścieżce stała stara jędza, w której poznał nadzorczynię dworek.

- Wybaczcie – wymemlała. – Czy nie widzieliście tu może młodej dziewczyny?
- Pytasz o Erigone, królewską córkę? – zagadnął Orestes.
- Tak, panie. Skąd wiedziałaś? Była tutaj?
- Nie było tu żadnych młodych dziewcząt, dobra kobieto. Tylko my, chłopcy.

Posłał jej jeden ze swoich rozbajających uśmiechów i objął ramieniem skwaszonego towarzysza.

- Rozumiem. Nic to. Nie chciałam wam przeszkadzać, szlachetni panowie.

Skłoniła się – lekko, ledwie dostrzegalnie – po czym odeszła. Gdy tylko zniknęła, Pylades zwrócił ku przyjacielowi rozwścieczone oblicze.

- Igrasz z ogniem, Oreście! Jak sądzisz, ile widziała?
- Gówna widziała. Pomijając to, że jest na pół ślepa, nadeszła akurat wtedy, gdym cię szarpał za kudły.
- Nie dość ci, że otaczają nas tu sami wrogowie? Achajowie krzywo patrzą na hetycką miłość. Jeśli nie chcemy, by zaczęli o nas szeptać, musimy zachować ostrożność.
- Twój ojciec nie miał nic przeciwko temu.
- Mój ojciec nie jest Achajem i sam miał kochanków, odkąd skończył jedenaście lat. Cud, że udało się go zmusić do zapłodnienia mojej matki. Ale tutaj, na Półwyspie, ludzie są inni.
- W tym się nie mylisz. Dobrze, mój złoty Pyladesie, opuśćmy zamek i miasto. I tak duszę się w tych murach. Chodźmy ku morzu, porozmawiamy w ustronnym miejscu, a jeśli znajdziemy jakąś grotę, może nawet zadośćuczynię ci za chwilę strachu i zazdrości.

Z rozmachem klepnął Pyladesa w tyłek. Roześmiał się perliście, aż zadźwięczało w ogrodzie.

Opuścili cytadelę tylną bramą, dzięki czemu nie musieli przechodzić przez miasto, a wyszli wprost na otaczające Mykeny wzgórze. Kiedy tylko oddalili się o jakieś sto kroków, ze strażnicy wyłonił się człowiek, który szybko zszedł z drogi i zniknął między krzakami.

- Kto dziś trzyma straż? – zapytał Orestes.
- Augewas.
- Dobrze, nie będziemy musieli się wysilać. Ciekawe, jaką historię opowie Drakomachowi? Jak sądzisz, powie, że dokąd poszliśmy? Łowić ryby w rzece? Na dziwki?

Pylades nie był rozbawiony. Wciąż się burmuszył.

- Nie rozumiem, dlaczego wolisz marnować srebro mego ojca na przekupywanie straży, zamiast przeznaczyć je na najemników. Tymi błyskotkami, pierścieniami i bransoletami, którymi obdarowałaś Drakomachowych pacholców, moglibyśmy skusić na służbę pięćdziesięciu chłopca. Za obietnicę łupów i zdobycznego spłachetka ziemi mielibyśmy kolejnych pięćdziesięciu. Dolicz

do tego setkę fokidzkiej młodzi, a powstanie mała armia.

– Popatrz na te mury – odparł Orestes. – Powiadają, że mój dziad Atreus zaprzął do ich ułożenia cyklopów. Żołnierze Ajgista-króla może i stali się tłuści i zapijaczeni, ale wciąż noszą zbroje z najlepszego kiprijskiego brązu. Setka czy dwie setki ludzi nie starczyłyby, abyśmy wzięli Mykeny.

– Chodźmy zatem do Argolidy poszukać ich więcej. Argiwi z dawna wielką czią darzą Atrydów, a twój kuzyn Kylarabes właśnie wkracza w wiek męski, będzie więc chciał się wykazać na wojnie.

– Z Argiwami sprawa nie jest tak prosta, jak ci się wydaje. Od lat są podzieleni i walczą między sobą. I choć większość z nich miała dość tyranii bliźniaczych wieszczków Melamposa i Biasa, nie znaczy to jednak, że wszyscy pokochali nowych królów osadzonych na ich miejsce przez Agamemnona i Menelaosa. Wojna domowa, która wybuchła, gdy Diomedes porzucił swoją część królestwa, kosztowała ojca Kylarabesa życie. A jakby tego było mało, nasz kuzyn Klytamedes, król Tirynsu, jest jednocześnie bratankiem Ajgista. Niby składał przysięgę Kylarabesowi, ale jakoś nie sądzę, by poparł go w walce przeciw własnemu stryjowi. Zresztą nie zamierzam brać siłą tego, co mi się prawnie należy. Mykeny są jak kurwa, po co zatem je gwałcić, skoro można kupić?

– Trzeba jeszcze mieć za co. Obawiam się, że wszystkich srebrnych i złotych dzbanów w skarbcu mego ojca nie byłoby dosyć.

Młody Atryda zaśmiał się lekko.

– Najdroższy Pyladesie, nie srebrem kupuje się Achajów ani nie złotem. Chodź, wejdźmy na wzgórze. Czujesz, jak słońce pali? Podobno w bezchmurne dni, gdy spojrzeć ku południowi, można stąd dostrzec wielkiego Boga Morze. Dziś niebo odarte jak dziewica w noc poślubną, lecz morza nie widać, nie widać nawet mgiełki. Wielkie Oko spoziera na ziemie Achajów i popieli je swoim blaskiem. Wieśniacy szepczą, że to klątwa, bo ponoć mój ojciec spalił w Troi świątynię Boga Słońca.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że Achajowie żyją wojną i opowieściami o chwale. Tutaj, daleko od Wielkiego Morza, czują, że czerw nudy powoli toczy ich ducha.

– Mówisz jak śpiewak, a podobno chcesz, aby wszyscy uznawali w tobie księcia z krwi Atrydów.

– Wolisz, bym mówił wprost, jak wódz na wojnie? Dobrze zatem. Miasto nie darzy Ajgista szczególną miłością. Kupcy poparli go po śmierci mego ojca Agamemnona, bo liczyli na przywileje, których mój rodzic im skąpił, jednak szybko okazało się, że nowy król niczym nie różni się od starego. Wielu z nich opowie się po naszej stronie, jeśli tylko złożymy im wystarczająco hojne obietnice. Jednak Mykenami włada ten, kto trzyma w ręku cytadelę. Aby zdobyć miasto, musimy najpierw zdobyć poparcie możnych. Ci są mi przychylni, bo to w znacznej części wojownicy ojca. Pod rządami Ajgistosa usychają, większość z nich przepiła już trojańskie łupy. Potrzeba im tylko iskry.

– Obawiam się, że zbyt wielkie nadzieje pokładasz w wojowniczości tych swoich Achajów – odparł Pylades. – Pewnie, przy pucharze nierozcieńczonego wina lubią snuć wojenne bajędy. I słuchać o twej wizji zjednoczenia Półwyspu. Nie wystąpią jednak przeciw Ajgistowi, póki chroni go zamkowa straż. Żołnierzy może i dałoby się przekupić, ale czuję, że w chwili próby

ich strach przed Drakomachem okazałby się silniejszy niż chciwość. A Drakomachos...

– Jest nieprzekupny, wiem. Chodzi wszędzie za Klitemestrą jak pies za suką, licząc na to, że któregoś dnia da mu się pokryć.

Tym razem to jasnowłosa się roześmiała.

– Uwielbiam twoją zjadliwość, Orestesie, i uwielbiam, jak mówisz w ten sposób o swojej matce.

Syn Agamemnona wzruszył ramionami, błysnął krzywym uśmiechem.

– Jestem skurwysynem i nie zamierzam się tego wypierać – odparł. – Mógłbym powiedzieć, że rozkochała w sobie dzielnego Drakomacha tak jak wcześniej mego ojca i Ajgista-króla, ale prawda jest taka, że zawsze wiedziała, komu dać dupy, a komu ją tylko obiecać. Zresztą pod tym względem jestem jej nieodrodnym synem.

Pylades spochmurniał na powrót, a gdy Orestes spróbował przygarnąć go do siebie, wyrwał mu się z ramion.

– No co? Mówiłeś, że lubisz, jak jestem zjadliwy.

– Do czasu.

– Co? Czyżbyś ciągle gniewał się o słodką Erigone?

– Tak. Jesteś mój i nie zapominaj o tym. – Jasnowłosa młodzieniec zatrzymał się nagle i zadarł głowę, by spojrzeć towarzyszkowi w oczy. – Powiedz, że mnie kochasz.

– Bogi! Co ty, zmieniasz się w dziewczynę?

– Powiedz!

– Dobrze, już dobrze, zachowujesz się jak dziecko. Kocham cię, mój najśłodszy, najpiękniejszy Pyladesie.

– Teraz z kolei jesteś wredny, a tego jeszcze bardziej nie lubię. Przestań! Nie mam teraz ochoty na pieszczoty! Chcę wiedzieć, że nie jestem kolejną z twoich zabawek.

– Nie jesteś. Jeśli znów zaczniesz zachowywać się jak mężczyzna, powiem ci, do czego potrzebna mi córka Ajgista.

Ruszyli dalej. Szczyt był już niedaleko.

– No więc?

– Dzięki niej pozbędziemy się Drakomacha.

– Jak? Rzuciłeś na nią urok i nocą zakradnie się do męskich komnat, aby pchnąć go nożem?

– Nie. Wystarczy, żeby wpuściła mnie nocą do pałacu. Resztą zajmę się sam.

– Jesteś złym człowiekiem, Orestesie. Czuję, że gdy Ajgistos cię zabije, bogowie z radością rzucą twego ducha w najciemniejszą otchłań.

– Mylisz się. Bogowie są okrutni, niegodziwość ich raduje. A co do Ajgista... Może próbować, lecz wątpię, aby mu się udało.

– Na pewno nie brak mu powodów. Dobrze wie, że masz lepsze od niego prawo do tronu, Agamemnonowi był w końcu tylko kuzynem. Kusisz los.

– Klitemestra nie pozwoli zabić własnego syna.

– Nie zapominaj, że poza tobą Klitemestra ma jeszcze Aletesa, który jest dziedzicem Ajgista. Skąd pewność, że kiedy przyjdzie jej wybierać między synami, nie wzgardzi Agamemnonowym

nasieniem?

– Zanadto się martwisz, Pyladesie. Właściwie to mam nadzieję, że ten głupiec Ajgistos spróbuje się mnie pozbyć. Czyż nie będzie to wystarczający dowód, że maczał palce w śmierci mego ojca?

– Agamemnon zginął na polowaniu, powaliła go dzika świnia. Widziały to dwa tuziny jego zaufanych wojowników.

Orestes parsknął.

– Widać, że nie rozumiesz Achajów. Dzika świnia! Cóż z tego, że widzieli dziką świnie? Będą woleli wierzyć, że ich króla zamordował ogarnięty chutliwym szałem zalotnik. Pieśniarze nie śpiewają o świniach.

– A sądzisz, że będą śpiewać o księciu, który uwiódł swoją siostrę?

– Z pewnością. To historia godna pieśni. Gdybyż jeszcze tylko była mi siostrą krwi, a nie przybraną z poprzedniego małżeństwa Ajgista.

– Kuisz los, powiadam ci, i drażnisz bogów.

– Bogi i bogi! Nudny jesteś z tymi swoimi bogami!

– Jeśli chciałeś się tylko dostać do pałacu, to czy nie bezpieczniej było uwieść służkę?

– Jak sam powiedziałeś, jestem księciem z rodu Atrydów. Książęta z rodu Atrydów nie pieprzą się ze służkami. Poza tym... To proste. Ajgistos zerznął moją matkę. Ja zerznę jego córkę. Kto wie, może nawet posieję jej w brzuchu bękarciatko.

– Czasami mnie przerażasz.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– Nie sądzisz jednak, że jeśli któregoś ranka Drakomach zostanie znaleziony z podejrzanym gardłem, staniesz się oczywistym podejrzanym? Ludzie wiedzą, że jesteś dziedzicem Agamemnona i tylko patrzą konfrontacji między tobą a Ajgistem.

– Dlatego właśnie głupstwem byłoby porywać się na jego życie. Tym bardziej że musiałbym od razu pozbyć się też Klitemestry i Aletesa. Co innego Drakomachos. Wątpię, aby pospólstwo potrafiło zrozumieć, w jaki sposób jego śmierć mogłaby mi być na rękę. Zresztą, nie zamierzam być tak niedyskretny, jak sugerujesz.

– Więc co, udusisz go? Otrujesz?

Orestes nie odpowiedział, wskazał za to palcem na maleńką kamienną kapliczkę, do której się zbliżali.

– O, tam już jest szczyt – powiedział. – Rusz tyłeczek, piękny chłopcze!

Z tym okrzykiem przyspieszył do biegu, a za nim pognął kochanek.

Przy kapliczce czarnowłosa księżę zahamował i rzucił się na wyschniętą trawę. Objął ramionami obłą figurę Matki Ziemi, ustawioną na niewysokim podwyższeniu.

– Co robisz?

– Zaraz zobaczysz.

Rozkolebał rzeźbę i powoli odsunął na bok. Pod spodem ukazała się niewielka nisza. Stał w niej gliniany słój o zalakowanym wieczku, w którym wydrążono kilka otworów. Orestes chwycił naczynie, potrząsnął, przystawił do ucha. Ze środka dobiegł dziwnie złowieszczy chrobot.

– Co to? – zainteresował się Pylades.

– Gdybym cierpiał na śpiewacze zadęcie, o które mnie posądzasz, powiedziałbym: śmierć. A tak powiem po prostu: skorpion. Zwyczajny. Taki, na jakiego można czasem natknąć się w tutejszych grotach.

* * *

Noc była gorąca, pachniała nagrzanym piachem. Powietrze stało w miejscu. Za oknem poskrzypywały świerszcze, gdzieś w oddali jęczała miłośnie kobieta.

Orestes czuwał. Odkąd przybył na zamek Ajgista-króla, swego ojczyma, przyzwyczał się spać niewiele. Leżał zapatrzony w gwiazdy, zaszuchany w dudnienie własnego serca, i dumał. Obrazy wypływały z pamięci, by po chwili zatonać w niej na powrót: ojciec, matka, rydwany, rozwrzeszczane kormorany, Ifigenia... Słodka Ifigenia. Fale tłukące o morski brzeg w Aulidzie, słony posmak w ustach, okrzyki „Wiatr! Wiatr!”...

Młodzieniec wziął głęboki wdech, jakby samo wspomnienie mogło odegnać duchotę. Przymknął oczy. Pozwolił sobie osunąć się w chwilowy sen.

Kiedy uniósł powieki, poczuł, że coś jest nie tak. Drgnął, uniósł się, wyteżył wzrok. I wreszcie zrozumiał: zniknęły gwiazdy.

Coś poruszyło się za oknem, do komory sypialnej spłynął dziewczęcy głos:

– Księżę?

Orestes uśmiechnął się do siebie. Wstał i nagi podszedł do okna. Z bliska rozpoznał zarys ludzkiej sylwetki, a do jego nozdrzy dotarł rozkoszny zapach zdenerwowanego dziewczątka.

– Moja pani kazała mi sprowadzić cię do pałacu. Musimy się spieszyć, stróż może w każdej chwili wrócić.

– Jesteś Korinsia? – zapytał, niewiele sobie robiąc z nerwowej nuty w wysokim głosiku.

– Co? To znaczy... Nie. Jestem Eriste...

– Pochyl się tutaj, Eriste.

– Ale stróż...

– Nie przejmuj się stróżem. Chodź.

Dworka pochyliła się, a wtedy chwycił ją za ramiona, bez większego trudu uniósł i wciągnął do pokoju. Odruchowo objęła Orestesa, by zachować równowagę. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

– Co to? – zapytała.

– Twoja pani niedługo się przekona – zachichotał. – Lepiej, żeby nikt nie widział, jak sterczysz pod moim oknem. Poczekaj chwilę, ubiorę się i możemy iść.

Zostawił ją tam, gdzie stała, i poszedł wciągnąć na siebie tunikę. Biodra opiął szerokim pasem, upewniając się, że w ukrytej kieszonce tkwi kościany sztylet. Wzwał sandały. Na koniec przewiesił przez ramię rzemień, na którym wisiał gliniany słoik kryjący skorpiona.

– Chodź – rzucił, gdy był już gotowy. – Wyjdziemy oknem na tylną uliczkę.

Przemknęli przez dom, nie budząc sapiącego ciężko Pyladesa ani nikogo ze służby. Na zewnątrz dziewczyna poprowadziła mężczyznę okreżną drogą nieopodal grobowców Atrydów i ozdobionej lwami Królewskiej Bramy. Do pałacu zaszli od strony świątyni. Gdzieś w głębi

potężnego kamiennego budynku tańczyły ogniowe poblaski, przebijając się przez ciężkie cienie zalegające między kolumnami.

– Bóg Morze jest niespokojny – wyszeptała Eriste.

– Nie martw się bogami. Prowadź.

Kiwnęła głową. Weszli do sanktuarium i w tym momencie dał się słyszeć wibrujący, głęboki pomruk – jak grom, tyle że dochodził spod ziemi.

– Idź! – syknął Orestes. – Nie zatrzymuj się!

Przekradli się bocznym korytarzem i w końcu dotarli do uchylonej niewielkiej furty.

– Niewolnicy noszą tędy dary do świątyni – wyjaśniła służka.

– Wiem – odparł. – Znam to wejście. Jak udało ci się wywabić stróża i zabrać mu klucz?

Dziewczyna zawahała się na chwilę.

– On... Korinsia...

Machnął ręką.

– Możesz poczekać w kuchni, świątyni albo gdzie tylko ci się podoba. Znam drogę do komnat twej pani.

Kiedy Eriste umknęła, ruszył korytarzem. Pomyślał, że rozważniej byłoby pójść wprost do tej części pałacu, w której spali mężczyźni, jednak nie zamierzał odmawiać sobie przyjemności wizyty w znajdujących się na piętrze komnatach kobiecych.

Idąc, napawał się zapachem przedwiecznych murów, słuchał mruczenia podeszew na wyślizganym wapieniu. Mimo ciemności bezbłędnie odnajdywał drogę. Jako dziecko spędzał dużo czasu na zwiedzaniu pałacowych zakamarków, podczas gdy inni chłopcy ganiłi się z drewnianymi mieczami i przechwalali, jakich czynów dokonują ich ojcowie pod Troją i w królestwie Wilusy.

Przystanął pod wejściem do komnaty Erigone. Nastawił uszu. Z oddali dobiegło go dzwonienie zbroi. Żołnierze chodzili po dziedzińcu.

Sięgnął po wiszący na ramieniu słoik. Skryty w naczyniu skorpion zatańczył, zachrobotał odnóżami o gliniane ścianki. Książę odczekał chwilę, by dać mu się uspokoić, po czym odgarnął zasłonę i zanurkował w miękkie półświatło wypełniające sypialnię.

Pomieszczenie było wyposażone z rozmachem godnym Luwii czy Arzawy: szerokie łóża okrywały materie z Tyru i Babilonu, między oknami wisiały srebrne zwierciadła, pod ścianami stały skrzynie z drewna cedrowego inkrustowanego szylkretem i kością słoniową. W przepychu drogiej pościeli niemalże ginęła samotna ludzka sylwetka. Orestes odstawił słoik – wolał nie ryzykować, że jego jadowity przyjaciel zostanie przypadkiem wyzwolony podczas miłosnych igraszek. Podkraść się do łóża. Przysiadł na krawędzi, wyciągnął dłoń.

– To tylko gałgany, mój książę.

Obrócił się szybko. Za uchyloną zasłoną majaczył cień.

Ktoś gwizdnął. W korytarzu rozdzwonił się spiż, do pokoju wtargnęło tłuste światło lampy oliwnej, wykrawając z półmroku sylwetki trzech uzbrojonych ludzi. Za nimi stał łysy, baryłowaty mężczyzna o ryżej brodzie, która nie do końca kryła paskudną szramę. Drakomachos.

– Ciekawość bierze, co też przyniosłeś w tym słoiczku, panie?

ROZDZIAŁ II

Ciemność powoli okrywała morze, pędząc przed sobą bryzę pachnącą solą i rybami. W półmroku nawoływały się wracające do gniazd rybitwy. Od strony lądu, zza niewielkiego wzgórza, płynęły słowa peanu śpiewanego przez wieśniaków schodzących z pól.

„Nareszcie odrobina wiatru – pomyślał Odyseusz. – Nareszcie chwila wytchnienia od tej duchoty”.

W ciągu kilku ostatnich dni co wieczór przychodził na brzeg, by obserwować tonące słońce. Siedział, dumał, słuchał zaśpiewu Boga Morza i czekał na zmrok, bo wśród ćmy, w mgiełce umierającego dnia, coś mu się objawiało. Potężny kształt, jakby smoka. Codziennie wyteżał wzrok i codziennie zadawał pytanie: „Czy zjawiasz się przypomnieć o czekającej mnie zgubie?”.

Gdzieś z tyłu zachrząścił żwir. Król obejrzał się i ujrzał kroczącego od strony zamku Telemacha. Zmierzył syna wzrokiem. „Tak podobny do matki – pomyślał – i tak różny ode mnie: wysoki, jasnowłosy, zielonooki”.

Odyseusz sam był raczej średniego wzrostu, ogorzwały, o zmęczonym obliczu wiecznego tułacza. Po achajskim ojcu odziedziczył jasne oczy, po matce, miejscowej dziewczynie z Itaki, ciemnorude włosy, które z wiekiem mocno się przerzedziły.

– Tu jestem, chłopcze! – zawołał, unosząc się zza kamienia.

Telemach podszedł.

– Czemu się tu chowasz? – zapytał. – Od trzech dni nie widziałem cię na wieczerzy.

Odyseusz się skrzywił.

– Nie byłem głodny. Chodź, siądź przy mnie.

Chłopak zawahał się, popatrzył w morze.

– Widzisz tam co? – zapytał Odys.

– Nie... Zda mi się tylko, że ląd prześwituje w oddali. – Telemach wzruszył ramionami i usiadł. – Do miasta przybył dziś luwijski kupiec. Mówił, że w drodze ujrzał czarny żagiel Myrmidonów i ledwo umknął z życiem.

Król roześmiał się niewesoło.

– Gdyby to był żagiel Myrmidonów, twój kupca dawno żarłyby już mureny. Nie, chłopcze, wojownicy szybkonogiego Achilla po śmierci swego wodza pozwolili, aby cztery wiatry poniosły ich po świecie.

– Ale on podobno nie umarł. Mówi się, że leczył rany, a teraz wrócił.

– Hm, widziałem jego rany i uwierz mi, nie dało się ich wyleczyć. W żywe ciało Achillea wgryzł się czerw i zepsuł krew. Pod koniec gnilizna odebrała wielkiemu wojownikowi siły, a gorączka rozum. Rozkładał się, nim jeszcze złożono go na marach.

– Byłeś przy nim, kiedy oddał ducha Bogini Ziemi?

– Nie.

– To skąd możesz wiedzieć, że skonał?

Odyseusz pokręcił głową.

– Kiedy Bóg Morze cię wezwie i ruszysz na pierwszą wyprawę, zrozumiesz. Zresztą, czy jeden mąż naprawdę robi różnicę? Pod miastami Luwii, Wilusy i Arzawy zostawiliśmy kwiat achajskiej młodzi i wielu wielkich wodzów. Obu Ajasów, Patrokła, starego Nestora, białowłosego Feniksa, Idomena – wnuka przeklętego króla Minosa. Z tych, którzy wrócili, większość też już nie żyje. Agamemnon zginął na polowaniu, Diomedes przepadł na jakiejś szalonej wyprawie do niezbadanych krain, Fidypa zamordowała żona zazdrosna o heteyckiego kochanka, którego sobie przywiózł. Ofiara z krwi może spodobała się Bogowi Morzu, ale Wielkie Oko jest niezadowolone i pali nasze pola. Bogini Ziemia karze nas morem. Kupcy opowiadają, że na głównym lądzie już nie grzebią zmarłych, tylko palą ich zwłoki. Stosy pogrzebowe podobno płoną dzień i noc.

Telemach nie odpowiedział, tylko zapatrzył się na tłukące o skały fale. Wiatr szarpał jego płowe loki. Studiując zmarszczoną brew i zacięte wargi syna, Odys pojął, że się omylił: księżę usłyszał już zew. Było za późno na ojcowskie pouczenia.

Pan Itaki uniósł się, otrzepał tunikę z pyłu.

– Chodź – powiedział. – Pora wracać.

Telemach wstał, lecz wciąż nie odrywał wzroku od morza.

– Co? Czego tak tam patrzysz, synu?

– Spójrz. Widzisz?

Odyseusz spojrział za wyciągniętą ręką młodzieńca. Westchnął. Przez ciemność przebijał jakiś kształt.

– To nic. Wielkie Morze lubi mamici swe dzieci.

Chłopak zeskoczył po kilku kamieniach i stanął na plaży. Fale przypływu liźnęły mu stopy.

– Nie... Patrz! To statek!

– O tej porze? Co za głupca nam tu otchłań przyniosła?!

– Kieruje się ku portowi.

– Widzę. Dureń idzie na żaglach. Rozwali nam przystań albo się z kimś zderzy.

– Trzeba coś zrobić! – zawołał Telemach i pognał wzdłuż brzegu w stronę portu.

Odyseusz chciał coś za nim krzyknąć, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie. Wspiął się ku drodze i pobiegł w tym samym kierunku co syn.

Gdy dotarł na miejsce, zastał księcia stojącego na pomoście u boku krzepkiego starca o bieluchnych włosach i spalonej na brąz skórze. Eumajos, rządca portu, powitał władcę lekkim ukłonem.

– Co się dzieje?

– Nie jestem pewien, panie – odparł starzec. – Spójrz sam, idą tak, jakby ich prąd chwycił, a przecież są już w zatoce.

Król wyteżył wzrok, lecz na niewiele się to zdało. Sylwetka statku rozmywała się w szarówce.

– Nie mają wiosła, a ich ster wydaje się uszkodzony – powiedział Telemach. – I łapią przechył na dziobie. Widzę pęknięcia w kadłubie, musieli wpaść gdzieś na skały.

– Masz dobre oczy, chłopcze – pochwalił Eumajos. – Ale skały dopiero przed nimi. Między

nami a Akarnanią wody są bezpieczne, tylko przy brzegach trzeba uważać.

Młodzieniec uniósł oczy na starego.

– To znaczy...

– Że ktoś ich napadł – rzekł Odyseusz. – Jak duże mają zanurzenie?

– Powiedziałbym... Dobry łokieć większe, niż powinno być.

– Otchłań nadała! Zaraz ugrzęzną na kamieniach, a jeśli wiatr nimi zakręci, mogą rozedrzeć kadłub.

– Czemu nie zrzucą żagla? Przyptyw i tak w końcu ich do nas doniesie.

– Prędeż pchnie na skały – mruknął rządca portu. – Muszą mieć choć odrobinę sterowności, żeby dopłynąć do nabrzeża. Ale po ćmie i tak marne szanse.

Odyseusz wsparł się pod boki, powiódł wzrokiem po zacumowanych już okrętach. Było ich raptem sześć.

– Eumajosie, idź po gospodarach i wyciągnij z nich załogi tych statków. Muszą przecumować. Postaraj się też znaleźć piętnastu... no, może dziesięciu w miarę trzeźwych chłopów. Niech wezmą sznury z hakami i spotkają się ze mną u wylotu zatoki, po wschodniej stronie.

– Co zamierzasz, panie?

– Wyjdziemy po nich na skały. Rzucimy im liny i za rączkę poprowadzimy do pomostu.

Po twarzy starego przemknął cień niepokoju.

– Czy to aby rozsądne? – zapytał. – Bacz na wieszczbę, panie. Wyrocznia powiedziała...

– Że zginę na morzu. Pamiętam. Idź, nie mamy wiele czasu.

– A co ze mną? – wtrącił Telemach.

– Pomóż Eumajosowi.

To powiedziawszy, król Itaki pomknął wzdłuż brzegu ku krańcowi zatoki. Stary rządca popatrzył za nim, splunął, ponurym wzrokiem zmierzył następcę tronu.

– Wieszczba mówi, że śmierć przyjdzie po niego z morza, a nie na morzu – wyburczał bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – Chodźmy, książę, póki te kurwie syny jeszcze nie legły pod stołami albo, co gorsza, w objęciach dziwek. Kiedy trzeba ratować łajbę, mężczyzna jest gotów rzucić każde zajęcie – poza chędożeniem.

* * *

Fala pchnęła go lekko, nieomal pieszczotliwie. Ciepła woda zaszumiała wokół kolan, drobiny słonej piany upstrzyły brwi. Bóg Morze przyjął go łaskawie, z pomrukiem zadowolenia.

Odyseusz zrobił kilka kroków na ugiętych nogach, przeszedł po śliskiej skale, palcami stóp wymacując krawędzie dające pewniejsze oparcie. Otaczali go żeglarze spędzeni przez Eumajosa. Powietrze pachniało potem i bryzą.

Krzyczał, wydawał rozkazy. Wskazywał drogę, poganiał, łajał. Myślał przy tym, cały czas myślał, o innej plaży i innych kamieniach, i innych mężach słuchających jego głosu. Nad głowami syczały wtedy strzały, Bóg Morze srożył się za plecami, pchał naprzód, pożerał tchórzów. Naprzód, naprzód.

Król zrobił kolejny krok. Zamarł.

Coś zajaśniało wśród toni, jakiś długi, węzowy kształt przemknął między kamieniami. Zabrzmiał dźwięk niby chichot mureny. W następnej chwili cień statku, który dotąd majaczył o dobre kilkanaście kroków, gwałtownie się przybliżył. Odyseusza uderzyła zaskakująco silna fala. Stracił równowagę, stopa omsknęła mu się z kamienia i trafiła w pustkę. Runął, a prąd pociągnął go pod powierzchnię i naprzód – ku szarpiącemu się nieopodal okrętowi.

Słona woda zalała mu oczy, wtargnęła do nosa. W ostatniej chwili zdążył zamknąć usta – wbrew odruchowi każącemu łapać powietrze, choć było już za późno. Złączył nogi, przycisnął ramiona do boków i dał się ponieść, a gdy dotknął dna, odbił się od niego. Wypłynął na powierzchnię, parsknął, nabrał powietrza. Rozłożył ręce tak, aby kolejna fala poniosła go z powrotem do brzegu.

Ktoś chwycił go w mocny uścisk, postawił na nogi. Mokre włosy połaskotały mu twarz.

– Dzięki – wysapał.

– Powinieneś bardziej uważać – odparł Telemach.

– Tak, wstyd by było, gdybym się utopił w tak spokojnym morzu. Czy nie miałeś pomóc Eumajosowi przy tamtych okrętach?

Ludzie na statku najwyraźniej dostrzegli blask niesionych przez itackich żeglarzy pochodni, bo za burtą pojawiło się kilka sylwetek.

– Co tam się dzieje?! – zadudnił jakiś głos. – Gdzieście mi na burtę poleźli przechyl robić, beockie świniopasy, wszawie Makedony?!

Pan wyspy nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Teukrze-królu, władco Salaminy, woła do ciebie Odyseusz z Itaki! – zakrzyknął.

– Odys-król? A niech mnie pchły, zaraza i insze szkodniki!

– Mogłem się domyślić, że to ty, Teukrze. Nikt inny nie mógłby tak nieudolnie kierować statkiem.

– Tak? To chodź, spróbuj sam, jak się prowadzi łódź, której piracki taran urwał połowę steru.

– Zwińcie żagiel. Rzucimy wam liny.

– Słyszeliście, hetyckie ścierwa? Zrzucać żagiel!

Odyseusz popatrzył po mężczyznach dzierżących sznury z hakami.

– Dajcie im chwilę – powiedział.

Statkiem majtnęło. Żagiel furknął raz, a potem opadł. Zmasakrowany kadłub zaczął się powoli obracać.

– Teraz żwawo. Rzucać liny! – Haki śmignęły w powietrzu, ciągnąc za sobą sznury. Jeden czy dwa piasnęły o wodę, ale pozostałe sięgnęły celu. – Dobrze. Telemachu, biegnij do Eumajosa sprawdzić, czy na nabrzeżu wszystko gotowe. I przyślijcie mi tu jeszcze paru chłopca. Dalej, wiara, ciągnij!

* * *

Teukros, syn Telamona, był potężnym, tłustym mężczyzną o łysej czaszce i szczerbatym uśmiechu. Masywny czerep golił od czasu, gdy na polach pod Lyrnasem pewne hetyckie książątka wyszarpało mu blisko połowę kudłów, które potem ni cholery nie chciały odrastać. Z kolei zęby, jak twierdził, stracił w pojedynku z trackim królem Akamą. Jego poorane bliznami

ciało opowiadało historię tysiąca bitew, lecz zmorzona snem twarz w miękkim półmroku opustoszałego wieczernika wyglądała dziwnie łagodnie.

Odyseusz gestem odprawił usługującego im Filoitiosa i przysiadł się bliżej dawnego towarzysza. „Dopiero co byliśmy młodzi i stawaliśmy ramię w ramię pod murami Troi – myślał. – A teraz?”

Teukros drgnął, otworzył oczy, beknął. Zajrzał do pucharu, który ciągle trzymał w dłoni.

– Wybacz, Odysie, sen klei mi oczy – mruknął. – Słodki sen, brat kościstej kurwy śmierci. Ha!

Nagle uderzył pucharem o stół, aż glina pękła w skorupy. Uniósł się i spojrzał gospodarzowi w oczy, lecz nic nie rzekł.

– Po bitwie jadło i wino zawsze niosą wojownikom sen – odczekawszy chwilę, powiedział król Itaki.

– Jadło, wino i ramiona dziewczek. Przynajmniej drzewiej tak bywało.

– Drzewiej... A dziś?

– Dziś jestem zbyt ciężki, by po dniu na morzu, w na pół zatopionym statku, myśleć jeszcze o ruchaniu. Gdybym miał tu moją słodką Eune, złożyłbym łeb na jej kolankach i chrapał przez dwa dni. Powiedziałem, Odysie-królu!

Zagadnięty roześmiał się, objął gościa ramieniem. Ogromny czerep towarzysza oparł się o jego pierś.

– Nalej mi jeszcze wina, przyjacielu. Tylko zgubiłem gdzieś czarkę...

– Słukłeś, a nie zgubiłeś. Masz, napij się z mojej.

– Dzięki. Słodkie wino rodzi ta smutna skała, którą zwiesz domem.

– Na pewno słodsze niż twoja smutna skała.

– Nie, nie, Odysie, to nie jest już moja skała. Moja nowa wyspa rodzi brzęczącą miedź. A wino z krainy dziadów może sobie zatrzymać ten chciwy wieprz, mój ojciec.

– O czym ty mówisz?

– Stary cap przed rokiem wziął sobie młodą żonkę. Zbrzuchacił ją, a narodzone pacholę zrobił dziedzicem.

– I możni przystali na to? Wojownicy, których wiodłeś wraz z Ajasem pod Troją, zgodzili się, byś stał się tułaczem?

– Z tych, którzy tam z nami byli, ostało się ledwie kilku. Reszta to gówniarze albo obcy, wszawi Beoci i niedomyci Attykowie. Zresztą, nawet w lepszych czasach byłem im zadrą w boku, synem luwijskiej dziwki. W Ajasie krew mego ojca połączyła się ze szlachetną achajską krwią Eriboe. Jego chcieli widzieć swym panem, nie mnie. Woleliby, abym to ja, a nie on, konał przez dwa dni w gównie, z flakami na wierzchu. Zresztą, pies ich chędożył. Przygarnęły mnie czerwone skały Kipru i słodka Eune. Tak, dobrze powiedziałem: pies chędożył Achajów!

– Spokojnie, przyjacielu, spokojnie. – Odyseusz pogładził wielkoluda po głowie.

Teukr burknął coś, potem znowu przysnął. Drzemał chwilę, a gdy się obudził, rzekł:

– Muszę ci powiedzieć coś ważnego, Odysie.

– Co takiego?

– Ci piraci, którzy nas napadli...

– Tak?

– To nie byli Achajowie ani Akarneńczycy. Nie Hetyci, nie Fenicjanie i nie Kreteńczycy. Te świnie pływały tak, jakby ich statki były zrobione nie z drewna, a z ołowiu. Napadło nas osiem okrętów, z dwóch stron, a i tak dwa udało nam się poszczerbić. Co więcej, umknęlibyśmy cało, gdyby nagle wiatr się nie odwrócił.

– Kim byli ci ludzie?

– Dorowie, brudne kozojeby. Zleźli z gór i łąpią statki. Gromadzą flotę.

– Górale gromadzą flotę?

– Tak. U nich teraz wielka wojna. Cały Epir w ogniu, Makedonia także. Zaraza i głód, i śmierć. Koścista kurwa śmierć. Zbierają też broń, lecz nie chcą kupować kiprijskiej miedzi do kucia spiżu.

– To czym zamierzają walczyć? Kamiennymi maczugami?

– Nie wiem. Czasem wydaje mi się, że Wielkie Oko zesłało na cały świat gorączkę i szal. Jak na nas, wtedy, pamiętasz? W Chryzach...

– Cichaj, Teukrze. Nie ma sensu budzić starych duchów.

– Ale wiesz, co mówią?

– Wiem. Nie myśl teraz o tym. Odpocznij, napij się jeszcze wina.

– Nie chcę już wina. Chcę spać.

– Dobrze. Filoitiosie!

* * *

Tej nocy Odyseusz nie spał. Leżał na posłaniu samotnie – Penelopa, jak zawsze, nocowała w żeńskiej części zamku, a na młodą Kalidykę, która w ostatnim czasie dzieliła jego łożo, nie miał ochoty. Gapił się w sufit, słuchał odległego zawodzenia Boga Morza i rozmyślał.

Wojna na północy i gromadzenie broni przez Dorów mogły oznaczać tylko jedno: górale zamierzali zejść na równiny. Jednak jeszcze bardziej zaniepokoiły władcę Itaki słowa Teukrosa o okrętach. Jeśli szczepy Dorów zbierały wspólną flotę, zapewne już zostały zjednoczenie – tak samo, jak kiedyś plemiona Achajów ruszające pod Troję. A mając do dyspozycji liczne statki, Dorowie prawdopodobnie nie zamierzali poprzestać na złupieniu Akarnanii, Tesprotii i Eolii, tylko ruszyć dalej na południe, ku Półwyspowi. Tymczasem po wojnie trojańskiej Półwysep był podzielony. Wojownicy zgnuśniali, przepijając łupy. Żyzne ziemie królestwa Myken, Elidy i Arkadii stały dla najeźdźców otworem.

Odyseusz westchnął, obrócił się na bok. Przymknął oczy w nadziei, że uda mu się dognać umykającego sen. Na nic. Czmychały mary, pozostawały tylko goniące się wzajem myśli. I coś jeszcze. Coś ciemnego, pełzającego pod powiekami. W uszach itackiego króla znów zadźwięczał chichot mureny.

* * *

Penelopa tkala dla swego męża koszulę. Próbowwała przy tym nucić, lecz zapamiętana z dzieciństwa melodia ciągle jej uciekała. Tak samo jak wspomnienia z Akarnanii – z każdym rokiem coraz bardziej mgliste, coraz mniej prawdziwe. Przyłapywała się na tym, że zamek Ikariosa-króla, swego ojca, w myślach zmienia w kamienny domek w rodzaju tych, które

budował Telemach, gdy był malutki. Nawet nie zauważyła, kiedy twarda mowa Achajów stała się jej rodzimym językiem, kiedy smutne achajskie pieśni stały się towarzyszkami domowych robót.

Piękna Penelopa o pływach warkoczach, piękna córka akarnańskiej ziemi, piękny dar dla achajskiego króla... Wszystko to kiedyś, przed laty. A teraz? Żona, którą mąż porzucił, ruszając na wojnę, i do której nigdy tak naprawdę nie powrócił. Matka, którą niedługo opuścił jedyny syn. Kobieta... Cóż za tajemnicze to było słowo, gdy miała piętnaście lat i oddawała swój wianek dwudziestoletniemu Odysowi-królowi. Dziś oznaczało istotę, która w dzień tkła koszulę, a w nocy szarpała się z pościelą, marząc o młodziutkim przyjacielu syna.

– Matko?

Telemach czał się w drzwiach do kobiecych komór. Taki piękny, taki gniewny. Za nim nieodstępujący go Pizystrat: wielki, mięsisty, nieśmiało spuszcający wzrok. Hojnie obdarowany przez bogów. W obecności matki najlepszego przyjaciela jak zwykle zakłopotany.

„Boisz się, że czegoś się domyśli, Pizystracie? – pomyślała królowa. – Boisz się, że znienawidziłby cię, gdyby dowiedział się, że jesteś... że bywasz moim kochankiem. Za rzadko, za rzadko...”

– Matko?

– Tak, Telemachu?

– Nie wiesz, gdzie tym razem mógł się skryć ojciec? Szukam go od rana, ale widzi mi się, że nie zaszył się w żadnej ze swych zwyczajowych kryjówek.

– Może poluje w towarzystwie Teukra-króla?

– Ten tłusty opój jeszcze śpi. Odkąd tu przybył, obaj z ojcem tylko upijają się i snują gawędy o tym, co było, a nie jest.

– Gdy nie ma wojny, wojownicy żyją opowieściami o swoich podbojach. Prawda, Pizystracie? Na twarz osiłka wyskoczył wściekły rumieniec.

– Nie wiem, pani...

„Czemu go męczę?” – zastanowiła się Penelopa.

– Rozumiem to, ale... – Księżę bezradnie rozłożył ręce.

– Pytałeś Filoitiosa?

– Tak. Mówił, że ojciec lata gdzieś w tę i z powrotem i jest bardzo podniecony. Namawiał się podobno z Menteselem... Tym, który przyplął wczoraj. To kolejny z jego dawnych kumotrów?

– Mhm... A próbowałaś w porcie?

– Był u Eumajosa, oglądał statki. Potem zniknął.

– Po co ci on właściwie?

– No bo... Posłuchaj. Też rozmawiałem z Menteselem. Zbiera załogi do walki z piratami, którzy w ostatnim czasie nękają Tafos. Mówił, że przydałoby mu się młodzi wojownicy tacy jak ja i Pizystrat. Kekrops, krewniak Pizystrata, już do niego przystał, wystawiając statek i pięćdziesięciu zbrojnych. Miałem nadzieję, że ojciec również dogaduje wynajęcie mu okrętu i załogi.

Kobieta zgubiła wątek tkaniny. Odchrząknęła. Spróbowała chwycić palcami nić, lecz nagle odkryła, że nie jest w stanie.

– Ci piraci... Czy są niebezpieczni?

Uniosła wzrok, jednak nie była zdolna popatrzeć w oczy syna. Zamiast tego jej spojrzenie spoczęło na Pizystracie, który ponownie się zarumienił.

– To Dorowie, pani – rzekł. – Ci górale nie odróżniają rufy od dziobu, a steru od wiosła. Nic nam nie będzie.

„Sądzisz, że lękam się o ciebie?” – pomyślała Penelopa.

– Pizystrat ma rację – włączył się Telemach. – To tylko bandy wygłodzonych wieśniaków, którzy już nie mają czego łupić na lądzie, więc ruszają na morze. Wiem, co chcesz powiedzieć, matko. Ale naprawdę nie musisz się o nas martwić. Szkoliliśmy się całe życie. Pizystrat potrafi powalić dzika oszczepem z odległości stu kroków.

– Znakomicie. Kiedy więc dziki zaczną nękać Tafos, będzie mógł się na coś przydać.

Również na twarzy następcy tronu pojawiły się wypieki.

– Chciałabyś widzieć nas tchórzami?! – rzucił zapalczywie. – Przez te wszystkie lata, kiedy ojciec tułał się po świecie, wysyłałaś mnie na nauki do starego Euhemena, żebym słuchał o powinnościach księcia, a teraz chciałabyś, abym przez całe życie krył się w babskich spódnicach?!

– Telemachu...

– Nie, matko. Sprawa jest prosta. Bóg Morze stworzył Achajów, aby wojowali. Po to dał nam siłę i męstwo, których pomniejsze ludy nie znają. Kiedy sługi nasze, prości chłopci, ich żony i dzieci, są w niebezpieczeństwie, stajemy w ich obronie. Kiedy obcy pchają się na nasze ziemie, pokazujemy im, gdzie ich miejsce.

Pizystrat położył dłoń na ramieniu przyjaciela, jakby chciał pohamować jego gniew.

– Twój ojciec – bąknął.

– Co „mój ojciec”?

– Twój ojciec nadchodzi.

Królowa złożyła niedokończoną koszulę na skrzyni. Wstała.

– Znakomicie – powiedziała. – Zobaczymy, co on ma w tej sprawie do powiedzenia.

– Tak. Zobaczymy. – Telemach zaciął usta.

Po chwili zjawił się Odyseusz. Wyminął obu młodzieńców i wkroczył do komory. Przechodząc, zawiesił oko na ceglanych policzkach syna i zmarszczył brew. Pytająco spojrzał na Penelopę, najwyraźniej jednak postanowił się nie mieszać, bo rzekł:

– Chłopcy, zostawcie nas na chwilę. Chciałbym pomówić ze swoją żoną.

– Świetnie, Odysie-królu, bo i ja muszę pomówić z tobą. Ale wolałabym, żeby Telemach został i posłuchał.

Władca potarł łysinę panoszącą się wśród ryżego włosia. Jeszcze raz łypnął ku synowi.

– Dobrze. O co poszło tym razem?

– Chciałbym, abyś dał mi statek i zbrojną załogę – wypalił książę. – Wraz z Pizystratem zamierzamy przyłączyć się do Mentesa, aby walczyć z piratami napadającymi na Tafos.

– W żadnym razie.

– Ale...

– Dostaniesz pięć okrętów i dwustu pięćdziesięciu zbrojnych.

– Co?! – wykrzyknęła Penelopa.

Telemach poruszył ustami, lecz nic nie powiedział. Gapił się tylko na ojca, który ciągnął:

– Sugeruję jednak, żebyś nie dawał ich Mentesowi. Wkrótce i statki, i ludzie mogą ci być potrzebni do obrony Itaki. Od dziś jesteś odpowiedzialny za bezpieczeństwo całej wyspy, więc lepiej dobrze się zastanów, jak zagospodarować siły. Czy to rozwiązuje wasz problem? Świetnie, zmykajcie zatem. Pomówimy później.

Młodzieńcy oddalili się, Penelopa bezwładnie opadła na siedzisko. Poczuła, że jej ciało wypełnia chłód – spływając powoli od głowy, odrętwiał członki. W oczach zatańczyły łzy. Wzięła głęboki oddech, spojrzała na męża, który przyglądał się jej z uwagą zdradzającą zakłopotanie.

– Co ty wyrabiasz? – zapytała.

Przyklęknął, przygryzł wąsy w sposób, który kochała i którego nienawidziła, wziął ją za rękę. Pozwoliła mu na krótki uścisk, potem cofnęła dłoń.

– Telemach ma szesnaście lat – powiedział. – W jego wieku miałem już za sobą wyprawy ze starym Anchialosem, z Ajasem Mniejszym i Diomedem-królem.

– Tak. A tuż po tym, jak go spłodziliśmy, ruszyłeś na jakąś piracką wojenkę z Teukrem. W dniu jego urodzin oblegałeś Korynt u boku Agamemnona i Menelaosa. Kiedy dorastał, włóczyłeś się po krainach Hetytów w towarzystwie wszystkich innych osiłków i okrutników, jakich zrodziło nasze plemię. Twoje plemię. Twoja przeklęta achajska krew.

– Wiem, że masz do mnie żal. Rozumiem to. Ale Telemach jest Achajem i jest mężczyzną.

– Jest moim chłopcem!

Odyseusz uniósł się zniecierpliwiony.

– Matka Szybkonogiego Achillesa-króla też chciała uchronić go przed wojną, on jednak usłyszał wezwanie Boga Morza. Kimże jest człowiek, aby występować przeciw woli bogów? Zresztą... Czy nie widzisz, że również próbuję zatrzymać naszego syna tutaj, przy tobie?

– Dając mu statki i zbrojnych?

– Idzie wojna, Penelopo. Jeśli chłopak ma choć trochę oleju w głowie, a wierzę, że ma, zostanie tutaj, aby bronić Itaki. Lepsze to niż gdyby miał przystać to Mentesa jako zwykły żołnierz.

– A co z tobą, Odysie-królu? O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

Władca podrapał się po zarośniętym policzku, ponownie pogładził łysinę, zrobił kółko po komnacie. Wreszcie przystanął przy oknie. Wyjrzał ku morzu.

– Znowu odpływasz, prawda? – powiedziała Penelopa do jego pleców, na których widok nie mogła powstrzymać niechcianego wspomnienia. Młody Odys w ich wspólnym łóżu, siedzący tyłem. Mięśnie grające pod zbrązowiałą od słońca i wiatru skórą. Archipelagi piegów na ramionach. Pachnie solą. A ona tuli się do niego, całuje w kark, zaczepia, łaskocze szczoteczką złotych włosów pokrywających wzgórek łonowy.

– Tak – odpowiedział. Wzdrygnęła się, wracając do rzeczywistości.

– Czemu? Czemu znowu igrasz z losem? Czy nie przepowiedział ci Terezjasz, że jeśli wyruszysz na morze, zginiesz?

– Każdy człowiek musi kiedyś umrzeć.

– Filozof z ciebie, Odysie-królu. Mędrzec, doprawdy.

– Według wieszczby na morzu znajdę śmierć. To samo można powiedzieć o większości Achajów, a Terezjasz nie zdradził, kiedy miałoby mnie to spotkać. Może teraz, a może za dwadzieścia lat. Każdy żeglarz, wypływając z portu, powierza swe życie Bogu Morzu. Nie wie, czy tego dnia nie napotka sztormu albo statku piratów. Nie będę do końca mych dni krył się na Itace. Nie zgadzam się na to. Tym bardziej że, jeśli się nie mylę, ktoś musi znowu zjednoczyć Achajów i powieść ich na bitwę.

– I tym kimś będziesz ty?

– Nie, za mną nikt nie pójdzie. Achajów potrafią okiełznać tylko Atrydzi. Dlatego wybieram się do Lakedaimonu, na dwór Menelaosa-króla. Oni tam, na południu, jeszcze nie wiedzą, co się szykuje. A działać trzeba już teraz. Penelopo, to mój obowiązek.

– Miałam nadzieję, że Telemach wyrośnie na łagodnego młodzieńca takiego jak mój brat Alyzeus, lecz okazał się nieodrodnym synem swego ojca. Jesteście tacy sami! Dobrze, odejdz, odpłyń, skoro taka twoja wola. Idź, teraz, już...

Odyseusz zmełł w ustach jakieś słowa. Chwilę stał niepewny, patrzył to na Penelopę, to na koszulę, którą wcześniej tkła. W końcu kiwnął tylko głową i ruszył ku drzwiom.

Powstrzymał go głos żony.

– Poczekaj...

Obrócił się, zmarszczył czoło.

– Nie odpływaj, Odysie.

– Już podjąłem decyzję.

* * *

Dobrze było znów czuć na twarzy chłodną mgiełkę, ilekroć przecinali dziobem fale. Dobrze było czuć wiatr łaszący się do uszu. Więcej niż dobrze. Bosko. Odyseusz wspiął się na dziób i wisiał tam, szczerząc zęby jak gówniarz. „Brakowało mi cię, Ojczy Morze” – myślał.

Szli z niezłą szybkością. W zatoce i blisko lądu panowała cisza, lecz kiedy tylko Itaka zaczęła nikać za rufą, chwycili wiatr w żagiel. Po duchocie pozostało jedynie niemile wspomnienie.

– Mijamy Atokos, panie – zawołał Elpenor, stary żeglarz, który pływał jeszcze z Laertesem, ojcem Odyseusza. – Jak bogi dadzą, niedługo ujrzymy Sofię i Modi, a do wieczora, kto wie, może sięgniemy nawet wylotu zatoki przy Patrajach.

Władca zeskoczył na pokład.

– Ależ cudnie pachnie bryza! – Zaśmiał się do Elpenora. – Bóg Morze nam sprzyja, Cztery Wiatry niosą, jak rozkaże. Myślę, że ani się obejrzymy, a będziemy już cumować w Gerenii. Co, chłopcy, jak wam się patrzają gereńskie dziwki?

Odpowiedział mu okrzyk zwiastujący portowym dziewczętom liczne podarki.

Król Itaki przeszedł na rufę, po drodze rozmawiając z uwijającymi się przy różnych robotach żeglarzami. Zauważył wśród nich kilku starszych mężczyzn, choć żadnego tak wiekowego jak maszerujący u jego boku Elpenor. Większość to była jednak młódź, dzieciuchy niemal.

– Z załogi, którą zabrałem pod Troję, już tylko ty się ostałeś, co? – zagadnął Odys.

– W rzeczy samej, panie. Z wiekiem mężczyzna coraz mniej myśli o żeglowaniu, a coraz więcej o spaniu. Choć, po prawdzie, jakby spróbować, pewnie udałoby się skrzyknąć paru z naszych dawnych towarzyszy.

– Nie. Niech śpią, grzebią w ziemi i kochają się ze swymi żonami. A ty nie masz żony, Elpenorze?

– Odumarła mnie minionej jesieni. Zresztą, syny moje wszystkie żeglują. O, ten za sterem, też mój chłopak. Zwie się Agapetos.

Odyseusz popatrzył za wyciągniętym palcem starego, lecz zamiast młodzika, którego się spodziewał, ujrzał potężnego męża o grubych ramionach i bujnej brodzie.

– Coś takiego... – mruknął.

– Co rzeczesz, panie?

– Nic, nic. Chodź. Sądzisz, że twój syn zechce powierzyć mi ster?

* * *

Dobry wiatr doniósł stateczek Odyseusza do Sofii, lecz potem zaczął kręcić się i boczyć, aż wreszcie ucichł. Elpenor rozkazał opuścić wiosła. Dalej musiała ich ponieść siła ludzkich mięśni.

Delikatna bryza wróciła dopiero pod wieczór. Znajdowali się wtedy dobry kawałek za Oksją.

– Kieruj się bliżej brzegu, synek – rzucił stary. Następnie zwrócił się do władcy: – Zacumujemy na noc przy Skinias, panie?

Pan Itaki kiwnął głową.

– Tylko ostrożnie, Agapetosie – powiedział. – Blisko lądu ciągną się tu grzebienie skał. Niektóre z nich leżą tak płytko, że podobno kiedyś stały na nich domy.

– Nie martw się, panie, dla niego to nie pierwszozna. Pływał tędy... będzie z tysiąc razy.

– Daj spokój, ojciec. Choć to prawda, panie. Dobrze znam te wody.

– Cieszy mnie to.

Odyseusz ruszył wzdłuż pokładu. Dziesięciu z dwudziestu wioślarzy równym rytmem ciągnęło wiosła. Drewniane pióra szumiały, tnąc wodę.

Przysiadł na dziobie, zapatrzył się w rumieniejące oblicze morza. Słońce już zginęło w jego objęciach, a od horyzontu pełzła ku niebu ciemność. Chwilę później zgasły ostatnie zorze. Potem wielki okrągły księżyc wynurzył się z odmętów, by zacząć całonocną wędrówkę. W blasku lśniły drobne falki.

Wtem rozległ się plusk, jakby ktoś rzucił kamień. Król uniósł się i wyjrzał za burtę. Zobaczył kręgi na wodzie, mignął mu jakiś podługowaty kształt. „Delfin?” – pomyślał.

Wówczas coś się wynurzyło. Z półmroku wyjrzała para wyłupiastych, błyszczących ślepi przypominających oczy człeka niewidomego. Na władcę patrzyła murena. Patrzyła i się uśmiechała, a w końcu zachichotała, zawięła węzowym cielskiem i zniknęła.

– Murena... – wymamrotał Odys. Obrócił się szybko. – Skały!

Było jednak za późno. Stateczkiem szarpnęło, kadłub zatrzeszczał, jednak Agapetos nie stracił zimnej krwi.

– Lewa burta, schować wiosła! – krzyknął. – Prawa... raz! Raz! Raz!

Delikatnie skrzył ster. Otarli się jeszcze o kilka kamieni, lecz zaraz wypłynęli na otwarte wody.

Dokoła nich morze jakby zawrzało. Z odmętów wyłoniło się kilkanaście murenich łbów. Wszystkie chichotały i wysłipiały swe trupie oczy.

Odyseusz pobiegł na rufę, stanął między Elpenorem a Agapetosem.

– Nie pamiętam tej płycizny... – mruknął.

– Ani ja, panie – odparł sternik.

– Ostrożnie, z prawej też skały.

– Widzę. Tam, gdzie taplają się mureny, musi być płytko. Bóg Morze lubi cię, panie. Pewnikiem przysłał je, by nas prowadziły, bo wszak to nie zima, do tarła daleko, a tylko wtedy wypływają na płycizny.

– Nie wiem... – Odyseusz w zamyśleniu patrzył na majaczące w wodzie węzowisko. – Słyszałem, że mureny służą Księżycowej Pani, która wiecznie siłuje się z Wielkim Morzem. Ich obecność mnie niepokoi.

– Mnie niepokoi co innego, panie – wtrącił stary żeglarz. – Spójrz tam. Nie podobają mi się te chmury.

Jego syn i król spojrzeli za rufę, ku bezkresnym połąceniom, które zostawili za sobą. W tamtej stronie gwiazdy niknęły jedna po drugiej, a skłębiona ciemność zdawała się pożerać morze.

– Bogi – jęknął Agapetos.

– Idzie wielka nawałnica – stwierdził Odyseusz.

– Skąd... skąd się wzięła? Przecież cały dzień niebo było czyste...

– Bóg Morze bywa kapryśny, synek. Patrz lepiej, jak minąć te skały i umknąć do brzegu.

– Nie. – Odys przeszedł na drugą burtę. Wbił oczy w mrok. – Nie możemy ryzykować, że rozbijemy albo uszkodzimy statek. Będziemy mieli większe szanse, jeśli wypłyniemy na otwarte morze, dziobem na wiatr.

– Wywróci nas!

– Nie, jeśli twój syn poprowadzi nas pewną ręką. Co ty na to, Agapetosie? Podołasz burzy? Dłoń ci nie zdrzy?

– Nie wiem, panie.

– To lepiej się zdecyduj, bo nie mamy wiele czasu.

Sternik kiwnął głową, po czym krzyknął:

– Wiosła stać! Menandrosie, skocz na prawą burtę. Będziemy zawracać.

– To nie jest dobry pomysł – zaburczał Elpenor.

– Odwagi, przyjacielu – odparł Odyseusz. – Nic nam się nie stanie.

* * *

Odkąd Odys opuścił Itakę, Penelopa zaczęła przyłapywać się na tym, że ilekroć u stóp cytadeli rozsunię się fale wieczornego przypływu, a pod niebem rozwrzeszczą kormorany, nachodzi ją dziwna tęsknota, by siedzieć na brzegu i patrzeć w ciemniejące morze. Starła się ją zwalczać, jednak gdy to czyniła, nocą dręczył ją koszmar z dzieciństwa. Sen o murenach.

Nie miała pewności, ile w nim jest wspomnienia, a ile wymysłu. Pamiętała, że gdy była małą dziewczynką, u wybrzeży Akarnanii, niedaleko jej rodzinnego Astakos, rozbił się statek. Stało się to późną jesienią, a zatem w czasie, gdy Bóg Morze bywa wyjątkowo srogi i gniewliwy. Kto dowodził łodzią, nikt nie wiedział, szemrano jednak, że tylko głód albo jędzowata żona mogły go wygnać w tak niebezpieczną porę z domu – gdziekolwiek by leżał.

Przez kilka dni przybój wyrzucał na kamieniste plaże ciała żeglarzy. Dobrzy ludzie zabierali je, aby zapewnić zmarłym godziwy pochówek, lecz zazwyczaj pierwsze zjawiały się mureny.

Penelopa nie wiedziała, czy naprawdę pewnej nocy wymknęła się opiekunce i wyszła na przybrzeżne skały. Nie wiedziała, czy naprawdę posłyszała niepokojąco ludzki szczebiot żerujących morskich węży ani czy zeszła do jaskini, w której leżał on: biały jak księżyc chłopak. Nie wiedziała, czy naprawdę zobaczyła murenę łaszącą się przy jego szyi, szczerząc ostre jak szpileczki zęby w uśmiechu, skubiącą martwe, napuchnięte ciało, wyszarpującą szerniały język z rozwartych ust, pożerającą okryte bielmem śmierci oczy. Ale po wielokroć śniła, że tak było. Także tego dnia, kiedy usłyszała o śmierci męża.

Zbudziła się wówczas o szarej godzinie przed brzaskiem – spocona, zalękniona. W pierwszym odruchu chciała iść szukać Pizystrata, żeby wtulić się w jego muskularne ramiona. Nieważne, że ktoś mógłby ją zobaczyć. Potem jednak przypomniała sobie, że kochanek odpłynął, posłany przez Telemacha z dwoma okrętami na pomoc Mentelowi.

Wstała z posłania, owinęła się płaszczem i bosą pobiegła na przystań. Kręciło się tam kilkunastu ludzi, a przy pomoście cumował statek, którego nie знаła. Stał przy nim białowłosy Eumajos i rozmawiał z wysokim nieznajomym.

– ...Wielkie Morze jest ostatnio kapryśne – mówił przybysz. – Niewiele brakowało, a podzielilibyśmy ich los.

Rządca portu kręcił głową.

– Wielkie bogi, wielkie bogi... – pojękiwał.

– Uratował się tylko Elpenor, choć nie sądzę, by miał długo wyżyć. Strasznie go poharatało o czarne skały.

– I był pewien, że nikt... że nikt inny...

– Znaleźliśmy nie więcej niż tuzin ciał, więc można jeszcze mieć nadzieję. Ale słaba to nadzieja. Gdyśmy tu płynęli, nadeszła kolejna nawałnica. Kręciła nami przez całą noc. Nawet jeśli kto się uratował, wątpię, aby przeżył miniony dzień.

Władczyni podeszła bliżej.

– Eumajosie...

Starzec zwrócił ku niej umęczone oblicze.

– Pani...

– Co się stało?

Starzec łypnął ku wysokiemu mężczyźnie.

– To Penelopa-królowa, Leonnatosie. Żona naszego króla.

Obcy skłonił się lekko.

– Przyjmij moje wyrazy współczucia, pani – powiedział.

– Co się stało? – powtórzyła. Głos miała spokojny, tak spokojny, że aż sama się przeraziła.

– Mąż twój, Odyseusz-król, nie żyje. Jego statek rozbił się w czasie sztormu. Trzy dni temu znaleźliśmy na wybrzeżu nieopodal Naupaktos starego Elpenora. Pospieszaliśmy szukać innych ocalałych, ale bez skutku. Byłbym przywiózł te smutne wieści wczoraj, jednak i nas opóźniła niepogoda.

Rządca niezgrabnie wziął kobietę pod ramię.

– Odprowadzę cię do zamku, pani.

Ani drgnęła.

– Dziękuję ci, Eumajosie. I tobie, panie, że zechciałeś narazić życie, aby nas powiadomić.

Leonnatos ponownie się skłonił. Wydawał się zakłopotany.

– To na pewno dla ciebie wielki wstrząs, pani – wymamrotał stary. – Chodźmy do zamku.

– Nie, Eumajosie.

Delikatnie uwolniła rękę z sękatego uścisku, zeszła na nabrzeże i powędrowała wzdłuż plaży. Kiedy port zniknął za jej plecami, przysiadła na kamieniu.

„Mimo wszystko pewnie powinnam zapłakać” – stwierdziła.

Jednak łzy wcale nie cisnęły się do oczu. Myślała o murenach.

ROZDZIAŁ III

Orestes czuł, że śmierdzi. Nie przeszkadzało mu to szczególnie. Niewola, doszedł do wniosku, pod pewnymi względami przypominała kaca. Zaniedbane ciało przestawało ciążyć umysłowi. Z jednym jednak nie mógł się pogodzić: ohydny, szorstkim włosiem, które oblaźło jego policzki oraz szyję i najwyraźniej zamierzało wdrapać się aż do oczu. Brzydził się brodatymi mężczyznami. Być może dlatego, że przypominali mu ojca. Agamemnon-król obnosił się z wielkim, czarnym brodziszczem, jakby było jego chlubą. W istocie czyniło go podobnym małpie.

Młody Atryda po raz tysięczny potarł swędzący podbródek. Skrzywił się z niesmakiem. Od kiedy wrzucono go do celi – o ile można tak było nazwać jamę u podnóży mykeńskiego wzgórza – w której za całe wyposażenie służyły słoma oraz śmierdzący gównem otwór w podłodze, zdecydowanie za dużo myślał o ojcu.

Aby się czymś zająć, wstał z ziemi i podszedł do drewnianej kraty zamykającej wyjście. Przez półmroczny korytarz ciągnął zimny powiew. Aż trudno było uwierzyć, że na zewnątrz wciąż trzyma upał. Nie licząc szmeru wody płynącej po pocącej się skale, w więzieniu panowała cisza. Dzień wcześniej mącił ją jeszcze charkot jakiegoś nieszczęśnika, ale potem i ten dźwięk wsiąkł w kamień.

– Umarłeś? – zawołał Orestes.

Odczekał kilka uderzeń serca. Wzruszył ramionami i poszedł się odlać.

Kiedy sikał, coś gruchnęło w oddali. Podskoczył.

– Kurwa! – syknął. – No ja...

W korytarzu zabrzmiały kroki. Cienie umknęły spod kraty, popędzone zataczającym się blaskiem pochodni.

Więzień wrócił do kraty.

– Aż się przez ciebie obszczałem! – zawołał. – Moglibyście ostrzegać, kiedy zamierzacie tu schodzić!

Między skrzyżowanymi belkami pokazała się gęba Drakomacha.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, pani – mruknął dowódca pałacowej straży. – Zda mi się, że dużo w nim jeszcze gwałtowności...

Odpowiedział mu niski, nieco nosowy kobiecy głos.

– Daj spokój, Drakomachu. Nie skrzywdzi własnej matki. Oczyścicie go tylko i wyciągniecie stamtąd. Nie wypada, aby królowa i jej syn rozmawiali w takim chlewie.

– Tak, pani...

W zamku zachrzęścił klucz i część kraty została otwarta. Do celi weszło dwóch umięśnionych śniadoskórych niewolników. Jeden niósł dzban wody, drugi – szmaty i tunikę z taniej, szarej wełny.

Orestes umył się na tyle, na ile zdołał, i przebrał. Następnie pozwolił osiłkom wyprowadzić się do korytarza biegnącego między uczynionym ludzką ręką murem a skalną ścianą. Poza Drakomachem czekała tam wysoka kobieta o czarnych, kręconych włosach i zielonkawobrazowych oczach.

– Zestarzałaś się, matko – powiedział książę. Na usta Klitemestry wypełzył nieprzyjemny uśmiech. Nie odpowiedziała. – Czego chcesz?

– Porozmawiamy na osobności, tylko ty i ja. Ale najpierw powinieneś coś zobaczyć.

Przeszli kawałek korytarzem – do kolejnej celi. Królowa kiwnęła głową dowódcy straży, który szybko uporał się z zamkiem, po czym uchylił ruchomy fragment kraty.

W nozdrza Orestesa uderzyła woń zgnilizny. W blasku pochodni dojrzał bezoki, pożerany przez robaki strzęp człowieka o zgruchotanych dłoniach i stopach. Spojrzał pytająco na matkę. Jej twarz była nieruchoma, uśmiech zastygł na pełnych ustach.

– Trup. Na oko świeży. No i?

– To Augewas – mruknął Drakomachos, odwracając wzrok. – Jakaś go wzięli na spytki, wszystko wyśpiewał. Trzech jeszcze chłopów musiałem obatożyć i wygnać.

– Sprzedawczyki wśród waszych najbardziej zaufanych ludzi. Kto by pomyślał?

Klitemestra roześmiała się nagle. Atrydę przeszły ciarki.

– Widzę, że tydzień w więzieniu nie pozbawił cię poczucia humoru. Trudno. Chodźmy zatem.

Wyszli z korytarza i wspięli po kilku schodkach do niewielkiej stróżówki. Było tam wyraźnie cieplej niż przy celach – gruby mur zatrzymywał chłód pełzający od mykeńskiej skały, o którą opierał się budynek więzienia.

Królowa gestem nakazała towarzyszącym im mężczyznom wyjść. Niewolnicy czmychnęli od razu, dowódca straży po krótkim wahaniu.

– Boi się mnie – skomentował Orestes.

– Nic podobnego. Mężczyźni po prostu nie lubią dopuszczać innych na własny teren.

– No tak, psy pilnują swoich suk.

Klitemestra wzruszyła ramionami, omiotła pokoik spojrzeniem pełnym odrazy. Namysłała się długą chwilę, nim wreszcie zasiadła na ławie pod ścianą.

– Powinieneś się bać – ciągnął książę. – A właściwie ty powinnaś. Gdyby nie to, że odczuwam niezrozumiałe przywiązanie do swego smutnego żywota, bez chwili wahania skrzyłbym ci kark.

– Nie krępuj się. Twój, jak rzeczesz, smutny żywot i tak nie potrwa długo. Ajgistos naprawdę się wściekł, gdy usłyszał, że chciałeś mu zabić jedyną córeczkę. Nawet żona, litującej się nad synem złoczyńcą, nie był w stanie pohamować jego gniewu.

Młodzieniec się roześmiał.

– Taki więc ze mnie potwór?

– Owszem.

– A ty, matko? Czy aby też nie jesteś potworem? Myślę, że ten biedny skurwysyn z lochu mógł tak uważać. A co z Eriste, hm? Jaka karę wymyśliłaś dla niej? Oddałaś ją żeglarzom, sprzedałaś do burdelu? O, nie patrz tak na mnie. Ajgistos może sobie wierzyć, że chciałem zamordować piękną Erigone, ale ty dobrze wiesz, kogo naprawdę chciałem spotkać.

– Wiem. Wydaje ci się, że jesteś bardzo sprytny, Oreście, bo rozumiesz panujące w Mykenach

stosunki. Bez wątpienia długo myślałeś nad odpowiednim ruchem, ale ostatecznie sięgnąłeś po niewłaściwe narzędzie. Tylko głupiec mógł sądzić, że nie dowiem się o schadzce, którą knuje to krnąbrne dziewczątko. I mylisz się, posądzając mnie o bezduszną podobną własnej. Mała Eriste zostanie przy Erigone. Przyszła królowa powinna mieć służki, które spełnią każdy jej rozkaz, nawet najgłupszy. Posłuszeństwo zostanie nagrodzone tak, jak zdrada została ukarana.

– Czego więc chcesz ode mnie? Po co to spotkanie? Chciałeś się pożegnać, powspominać dawne czasy, może uronić kilka łez?

– Chciałam porozmawiać o tym, jak cię stąd wyciągnąć. Bo widzisz, może ty nie zawałałbyś się skrócić mi karku, w co, wybac, jakoś nie wierzę, jednak ja nie pozwolę zabić mojego dziecka.

– Dzięki. Od razu coś zaczyna mi w piersi trzepotać.

Klitemestra wstała, zadarła głowę, aby spojrzeć synowi w oczy.

– Nie myśl, że czynię to z miłości – powiedziała. – Z uczuć wobec ciebie zostały mi jedynie obrzydzenie i pogarda. Naprawdę dla osiągnięcia celu byłeś gotów uwieść własną siostrę?

– Przyrodnią siostrę. Mniej nawet, córkę ojczyzna.

– Wszystko jedno. Uwolnię cię, a kiedy tylko opuścisz miasto, przestaniesz być moim synem. Rozumiesz?

Atryda postąpił krok w stronę królowej, zmuszając ją, aby się cofnęła.

– Proszę, proszę, matko – wycodził. – Ależ jesteś szlachetna, ależ sprawiedliwa. Gdybym cię nie znał, gotów byłbym uwierzyć w twoje święte oburzenie, w twoją litość. Sęk w tym, że cię znam. Rozumiem cię lepiej, niż sądzisz. Jeślibyśmy się różnili, jak twierdzisz, czy potrafiłabyś mnie aż tak nienawidzić?

– Czy nienawidząc, próbowałabym cię ratować?

– Proszę! Nazwałaś mnie głupcem i, przyznaję, zasłużyłem na to miano. Mogłem przewidzieć, że pchanie się na twój teren, do babińca, okaże się marnym pomysłem. Miewam jednak przebłycki. Naprawdę. Bywam nawet, nie przesadzam, prawie tak podstępny jak ty.

Na oblicze Klitemestry wrócił zimny uśmiech.

– Doprawdy?

– Tak, tak, w rzeczy samej. Jak każda dobra matka, nim mnie zganiłaś, rzuciłaś mi na osłodę ochłap pochwały. Powiedziałaś, że dobrze rozumiem panujące w Mykenach stosunki. Zgadzam się, zgadzam w zupełności. Stosunki panujące w Mykenach... hm, pomyślmy... Jak zareagowałiby Achajowie, gdyby usłyszeli od Ajgista, że ich księżę, w istocie prawowity następca tronu, wkradł się nocą do zamku, by zamordować niewinną dziewczeczkę, a potem uniknął sprawiedliwego sądu, wymykając się z więzienia, czym potwierdził swą winę? Pozwolisz, że nie będę tego sprawdzał i odmówię twej wspaniałomyślnej propozycji.

– Ajgistos skaze cię na śmierć.

– Niech spróbuje. Zaraz poniosą się głosy, że cały proces został tak ułożony, aby się mnie pozbyć. Bo któż poświadczy, że wkradłem się do pałacu? Wasz wierny pies Drakomachos i posłuszni mu strażnicy? Moźni chwycą za broń, nim zdołacie mnie doprowadzić do skały straceń. Masz tylko jeden możliwy ruch, matko. Posłać mnie z powrotem na wygnanie.

Kobieta uniosła dłoń i oparła ją po prawej stronie klatki piersiowej Orestesa.

– Gdybyś tylko nie był synem Agamemnona... – mruknęła.

– Nie jestem. Jestem twoim synem.

– Schlebiasz sobie. Jesteś tak samo butny i uparty jak on. Z tą brodą nawet trochę go przypominasz.

Odrzącił jej dłoń. Odsunęła się i zapukała w drzwi. Po chwili pojawił się w nich Drakomachos.

– Rozmowa skończona – powiedziała królowa. – Odprowadźcie go z powrotem do celi.

* * *

– Głoście hańbę czynu tego, Achaje, aby niesława sprawcy obiegła pola i miasta! Niech wiadomym się stanie, że Orestes, książę z rodu Atrydów, syn Agamemnona-króla, syna Atreusa-króla, syna Pelopsa-króla, pogwałcił święte prawo gościny! Niech usłyszy każdy mąż, niewiasta i dziecko, niech wiedzą wolni i niewolni! Oto Orestes pod osłoną nocy wkradł się do mykeńskiego pałacu, do domu ojczyzna swego, Ajgista-króla, aby jadem morderczym zdławić żywot córki jego, księżniczki Erigone! Głoście hańbę czynu tego, Achaje, niech skarga wasza sięgnie gniewliwego Ojca Morze i łagodnej Matki Ziemi, niech bogi osądzą serce czarne i umysł zdradziecki!

Pylades łokciami torował sobie drogę przez ciżbę ciał, przez duchotę i smród, i ścisk. Zdało mu się, że miasto całe musiało przyjść, by słuchać królewskiego głośiciela nowin i potnieć pod nieznośnym ciężarem słonecznego blasku. Bolała go głowa, w gardle czuł przedsmak mdłości.

„Jakbym tonął – myślał – jakbym nigdy nie miał się wydostać z głębin”.

– Głoście hańbę czynu tego, Achaje, a sąd niech przyjdzie szybki i surowy! Niech wiadomym się stanie, że w dniu jutrzejszym, zasięgnąwszy wieszczb, Ajgistos-król wyda wyrok na wiarołomcę Oresta! Oby bogi wsparły go radą, oby wola jego nie zachwiała się w chwili próby, choćby błagała go zrozpaczona królowa matka!

Ktoś pchnął jasnowłosego młodzieńca, kto inny pociągnął za kraj jego szaty. Pylades potknął się, posłyszał wrzask, pisk. Między nogami zebranych, tu i tam, pałętały się brudne dzieci.

Zaklął pod nosem, odepchnął sapiącego grubasa i wreszcie wydostał się ze ścisku. Przeszedł go dreszcz. Po przemłócce wśród parzących ciał nawet rozgrzane powietrze zdało mu się niemal chłodne. Odetchnął, spojrzął w Wielkie Oko bezlitośnie wyślipiające się na świat.

„Nie będzie ani chwili wytchnienia” – stwierdził.

Rozejrzał się, próbując ustalić, któredy powinien iść, aby dotrzeć do domu Akareu, sprzyjającego Orestesowi kupca, u którego znalazł schronienie, gdy po aresztowaniu przyjaciela musiał opuścić dotychczasowe komnaty w cytadeli. Skreślił w boczną uliczkę. Umykał, lecz głos głośiciela nowin niósł się daleko i długo jeszcze pogrzmiewało:

– Głoście hańbę czynu tego, Achaje... Niech wiadomym się stanie...

„Ciekawe, czemu nikt nie głosi hańby Ajgista-króla i królowej suki Klitemestry – pomyślał Pylades. – Czy nie wykradli Orestesowi tronu, nie wygnali go pod pozorem oddania na wychowanie? Naprawdę nikt nie pamięta, że ten czerw Ajgistos był faworytem królowej, jeszcze kiedy Agamemnon wojował w kraju Hetytów?”.

Młodzieniec z niesmakiem popatrzył po domach kupców. Wiedział, że dla tych ludzi prawda i honor nie mają znaczenia. Orestes mógł mówić o dumie możnych i wojowników, o wzburzeniu kapłanów, kupców i rzemieślników, lecz Pylades nie miał wątpliwości, że w Mykenach od dawna rządzi tylko brzęczące złoto.

Chciało mu się wyc.

Z najwyższym trudem powściągnął buzującą w sercu wściekłość i odszukał właściwe drzwi. Z ulgą skrył się w cieniu przedsionka. Odetchnął korzennym zapachem kupieckiego domu.

„Cicho coś – zauważył. – Gdzie się podziały sługi?”

Wtem z głębi domostwa wytoczyła się góra sadła owinięta w drogie szaty, upierścieniona, wypomadowana, błyszcząca drogimi olejkami. Akareu.

Kupiec próbował zachować spokojne oblicze, jednak drżące poliki i falujące podbródki zdradzały, iż jest poruszony. Pot zbierał się wielkimi kroplami na jego mocno wysklepionym czole, a spod perfum wydzierał się inny, kęsający nozdrza zapach: smród przestraszonego grubasa.

Młodzieniec zatknął kciuki za pas, odruchowo szukając miecza. Niestety, miał przy sobie tylko sztylet.

– Szlachetny Pyladesie, dobrze, że jesteś! – zabeczał Akareu.

– Czy coś się stało?

– Stało? Bynajmniej. Po prostu mamy gości.

– Gości, powiadasz? I, rozumiem, wszyscy niewolnicy są zajęci, bo im usługują? Włącznie z Polyperchonem, Dardą i innymi niewolnikami Oresta?

Tłuscioch zawahał się, po czym odparł:

– Jak rzeczesz, panie, wszyscy są zajęci.

Pylades ostrożnie postąpił dwa kroki naprzód. Omiótł przedsionek wzrokiem.

– A cóż to za goście, jeśli wolno spytać?

– Szlachetnie urodzeni. Chodź, panie, lepiej, żebyśmy nie kazali im czekać.

Akareu chwycił młodzieńca za łokieć i poprowadził na wewnętrzny dziedziniec. Można było stamtąd przejść do umiejscowionych na parterze pomieszczeń użytkowych, takich jak kuchnia, jadalnia czy łaźnia, lub wdrapać się po schodach na galeryjkę. Po drugiej stronie dziedzińca, naprzeciwko przedsionka, majaczyło przejście do ogrodu, za którym kryły się kobiece komnaty. Kupiec tam właśnie skierował swe kroki.

Pylades po chwili stanął, gdy znajomy dźwięk zabrzączał mu w ucho. Obrócił się gwałtownie, chwycił za sztylet. Na galeryjkę wyszło czterech mężczyzn oplecionych pierścieniami grubego spizu, w naramiennikach i kołnierzach nadających im wygląd żuków.

Gospodarz przypadł do młodzieńca. Jego ciastowata twarz przybrała barwę popiołu.

– Wielkie bogi, schowaj broń, młodzieńcze... – wymemlał.

– Kim są ci ludzie?

– To żołnierze królowej. Kazali mi odprawić całą służbę do babinca. Królowa chce się z tobą widzieć.

– Po co? Jeśli sądzi, że będę przysięgał przeciwko Orestesowi...

– W żadnym razie. – Dobiegł ich nosowy kobiecy głos.

Pylades obejrzał się, zaskoczony. Z ogrodu szła ku niemu piękna, wysoka kobieta. Musiała mieć dobrze ponad trzydzieści lat, jednak wiek w niczym nie zaszkodził urodzie. Droga suknia i bluzka minojskiego kroju podkreślały krągłości dojrzałego ciała. Spod burzy czarnych loków wyglądało oprószone piegami oblicze z prostym nosem, pełnymi ustami i wyrazistymi brwiami.

W młodzińca wpatrywała się para oczu uderzająco podobnych do tych, które pokochał, gdy tylko je ujrzał.

– Chciałabym mówić z tobą o tym, jak uwolnić mego syna – powiedziała Klitemestra.

* * *

W ciemności coś huknęło, brzęknęło. Krzyknęły tłuczone naczynia. Zaraz potem chrząknął człowiek.

Orestes wyjrzał przez kratę. W pierwszej chwili niewiele zobaczył, bo na dworze zapadł już zmrok i jedynie cieniuchna strużka księżycowego blasku spływała do lochu. Jednak po kilku uderzeniach serca w korytarzu błysnęła pochodnia. Zaszurały czyjeś stopy, zaszemrał przyspieszony dech. W polu widzenia więźnia pojawiła się ludzka sylwetka.

– Orestesie... – ozwał się zduszony głos.

W piersi księcia zawrzał gniew.

– Głupcze! – krzyknął. – Coś uczynił?!

Zapadła cisza ciężka od zdziwienia i żalu. Po jakimś czasie przerwał ją chrzęst klucza. Krata została otwarta, a oczom Atrydy ukazał się Pylades. Jego tunikę i twarz szpeciły krwawe plamy.

– Myślałem, że inaczej przyjmiesz swego wybawcę...

Z ust księcia wydobył się warkot. W uniesieniu chwycił przyjaciela i pchnął go na ścianę.

– Wybawcę?!

– Ajgistos zamierzał skazać cię na śmierć, wiem to z pewnego źródła.

– Od mojej matki?

– Tak.

Orestes pokręcił głową i wypuścił Pyladesa. W bezsilnej złości grzmotnął pięścią w mur.

– Dureń! – zawołał. – Powinienem być się tego spodziewać...

– Ona nie chce twojej zguby. Wiem, że jej nienawidzisz, wiem, że pozbawiła cię tronu, ale to nadal twoja matka. Dała mi klucz do celi i wskazała dobry czas, by cię odbić.

– Jaki dobry czas?

– Na zamku trwa ucztą: Ajgistos podejmuje zalotników Erigone. Wśród straży panuje rozprężenie, król kazał wytoczyć dla żołnierzy baryłkę wina.

– Poczuję się bezpieczny...

– Tak. Dla nas to doskonała okazja, żeby niepostrzeżenie opuścić miasto.

– Opuścić miasto... Uciekać... Albo...

Orestes urwał. Ruszył w dół korytarza, do stróżówki. Przystanął na widok dwóch martwych niewolników: jeden miał poderżnięte gardło, drugi rozcięte przedramię i niemal odrąbaną głowę. Krew leniwie wsiąkała w piaskowiec.

– Szybko się z nimi rozprawiłeś.

– Byli ociężały, bo Klitemestra kazała im przysłać bukłak wina zaprawionego wywarem z maku.

Księżę przykucnął przy pierwszym z brzegu ciele. Podniósł okutą pałkę, po którą najwyraźniej próbował sięgnąć zabity.

– Teraz więc zostałeś mordercą...

Pylades wzruszył ramionami.

– To tylko Hetyci czy inni Syryjczycy.

– A strażnik?

– Jaki strażnik?

W tym momencie, jakby przyzwany zaklęciem, do stróżówki wtoczył się zwałisty mężczyzna w sznurkowym kaftanie. Był czerwony na twarzy i toczył wkoło mętnym spojrzeniem, lecz na widok dwóch uzbrojonych mężczyzn w jego rozszerzonych źrenicach zamigotało światło zrozumienia. Spróbował się cofnąć i dobyć miecza, jednak zdradziły go własne członki. Nogi rozjechały się pod nim i klapnęły na tyłek.

Orestes uniósł się z kucek, podszedł do strażnika. Przydepnął macające za rękojeścią miecza palce, ciosem pałki uciął skowyt bólu. Rąbnął jeszcze raz. Czaszka mężczyzny zapadła się z młaśnięciem. Młodzieniec odrzucił oklejoną krwią i włosami broń, a zamiast niej podniósł miecz.

– Chodźmy stąd – powiedział Pylades. – Polyperchon i pozostali czekają w domu kupca Akareu. Wszystko jest już przygotowane do drogi.

Księżę zdawał się nie słuchać. Siłował się właśnie z trupem, próbując wyzwolić go z pasa, do którego przytroczona była pochwa. Gdy mu się to wreszcie udało, schował w nią zdobyty oręż i zawiesił na ramieniu. Dopiero wówczas podszedł do przyjaciela. Chwytał jego twarz obiema dłońmi, rozsmarowując na policzkach odrobinę krwi.

– Problem z tobą polega na tym, że stanowczo zbyt rzadko używasz tego, co kryje się pod tą cudną czupryną złotych loków.

Pylades odepchnął go zdenerwowany.

– Nie mamy czasu na twoje humory – burknął.

– Racja. Idź po naszych ludzi. Zaczekacie na mnie pod północną furtą. Tylko trzymajcie się bocznych uliczek i nie dajcie się zauważyć strażom.

– Zaraz, co zamierzasz?

– Pozwoliłem się wciągnąć w grę matki, bo myślałem, że będę w stanie jej dorównać. Cóż, nie jestem. Dlatego zamierzam teraz zagrać tak, jak zrobiłby to ojciec.

– Masz plan?

Orestes uśmiechnął się tylko i wyszedł z pokoiku.

* * *

Księżyc wisiał na niebie jasny i odęty. W błękitnym świetle dawna kozia ścieżka była widoczna jak na dłoni – jeśli ktoś wiedział, gdzie patrzeć. Orestes dostał się nią pod same mury cytadeli, w pobliże grobowego kręgu Atrydów. Cyklopowe głazy od dziesięcioleci batożyły północno-zachodni wiatr, ryjąc wygodne oparcia dla palców i stóp. Księżę znał je na pamięć, jako dziecko wydeptał i obmacał wszystkie. Bez trudu wspiął się na szczyt, wyczekał, aż w pobliżu nie będzie straży, i przeskoczył na kamienny pierścień oplatający grobowce. Szybko zsunął się na ziemię. Przywarował przy kurhanie, w cieniu steli Pelopsa.

Po murach przeszło dwóch żołnierzy, pobrzękując spížem. Rozmawiali przyciszonymi

głosami, ich słowa ulatywały w nagrzanym powietrzu. Kiedy odeszli, zapadła cisza. Nawet świerszeczki nie grały.

Orestesa napadło niechciane wspomnienie. Był już kiedyś nocą wśród tych grobów. Ojciec stał przy nim, cuchnął potem i winem wypitym w przesadnych ilościach. Snuł gładzby o umarłych Atrydach. „Dziewiętnaście pokoleń naszych przodków złożyło tu kości – mamrotał. – Dziewiętnaście pokoleń śni trupie sny o Wielkim Morzu, którego już nigdy nie ujrzą. Dziewiętnaście pokoleń zakopanych w gównie, w ziemi, w piachu. Dziewiętnaście pokoleń żartych przez robaki. Oto Atrydzi, synu. Dziewiętnaście pokoleń”.

Atrydzi, tak mówił, choć wszyscy ci ludzie umarli przed Atreusem, który zresztą został pogrzebany na miejskim cmentarzu, poza cytadelą.

„Podobnie jak ty, stary capie” – pomyślał Orestes.

Otrząsnął się z ponurych rozważań. Odczekał, aż strażnicy zrobią kolejne kółko, i przemknął z kręgu na pola za pałacem. Depcząc po własnych tropach sprzed kilku dni, podkradł się pod przejście dla służby, którym wcześniej wprowadziła go Eriste. Tym razem drzwi były zamknięte, a za nimi zapewne czuwał stróż. Młodzieniec przyłgnął do ściany, dobył miecza i załomotał rękojęścią w stare drewno.

– Któż tam? – ozwał się głos z drugiej strony.

– Twój król. Otwieraj!

W drzwiach uchylono mały otwór, z którego czmychnęła odrobina światła.

– Otchłań nadała... – wymamrotał stróż. – Kto tu?

Atryda błyskawicznym ruchem sięgnął w otwór i chwycił mężczyznę za przód szaty. Uderzył mieczem prosto w otwarte usta. Ostrze zgrzytnęło o zęby, rozharatało język, rozpruło policzek. Zaatakowany zaskomlał, zacharczał, szarpnął się w tył. Wrzasnęły szwy dartej tuniki. Książę w ostatniej chwili zdążył chwycić wiszący na szyi stróża rzemień, na którym dyndało wielkie kluczyisko. Ponownie pchnął mieczem. Tym razem klinga przebiła podgardle i sięgnęła mózgu. Strażnik wpadł w drgawki, osunął się na ziemię. Miękki brąz miecza ugiął się pod jego ciężarem.

Orestes wypuścił broń. Zerwał klucz z szyi konającego i pospiesznie otworzył drzwi. W pobliskim korytarzu już dźwięczały kroki. Hałas musiał przyciągnąć czyjąś uwagę.

Młodzieniec uniósł broń, spiął się do skoku.

Do pomieszczenia zajrzała zasuszone kobiecina. Uniosła oliwną lampę, zmrużyła oczy. Zbladła.

– Książę... – jęknęła.

Rozpoznał w niej Fronę, dawną nadzorczynię służby.

– Wolałbym, żebyś nie krzyczała – powiedział. Podszedł kilka kroków.

Cofnęła się, zaczęła kręcić głową. Poruszała ustami jak ryba wyjęta z wody. Jej oczy uciekły ku ciału stróża.

– Zabiłeś Tuszratę...

– Proszę, wolałbym, żebyś nie krzyczała.

Dotarł do niej jednym susem. Ostrze, mimo iż skrzywione, bez trudu przeszło suche ciało.

Nie krzyknęła. Kaszlnęła tylko krótko i umarła.

Chwycił ją, nim upadła. Złożył drobne ciało pod ścianą, po czym ruszył w dół korytarza. Aby

niepostrzeżenie dostać się tam, dokąd zmierzał, musiał znaleźć północne schody – te przeznaczone dla służby. Minął zejście prowadzące do kuchni i spichrzy. Właśnie miał skrócić ku klatce schodowej, gdy dobiegł go głos:

– Frona? I co, stało się coś?

Przywarował pod ścianą, w cieniu. Do korytarza wtoczył się żołnierz. Miał na sobie pełną zbroję, więc musiał być na warcie, ale zgubił gdzieś hełm. Wydawał się podпиты. Ciężkim krokiem, poprawiając pas z mieczem, powędrował w stronę przyświątynnej furty.

Księżę rozważał pójście za nim, jednak zanim zdążył choćby drgnąć, z przejścia wyłonił się kolejny żołnierz. Obgryzał właśnie udko kurczaka.

– Gdzie leziesz? – zawołał za kompanem. – Chodź, bo Drakomachos zauważy, że nie ma nas przy zachodniej bramie.

– Ale ten hałas...

– Zostaw to starej. Chodź już!

Gdyby Orestes pozostał tam, gdzie stał, idący korytarzem w stronę wieczernika strażnicy na pewno by go spostrzegli. Wstrzymał zatem oddech i jak najciszej przebiegł do klatki schodowej. Skrył się w cieniu schodów i odczekał, aż przebrzmi chrzęst spiżu. Dopiero wtedy wspiął się na wyższe piętro. Tam odetchnął swobodniej. Pomaszerował prosto do kobiecej części zamku, do prywatnych komnat królowej.

Przez okna doleciał go szum trwającej w wieczerniku uczty. Wiedział, że niewiasty pierwsze opuszczą zabawę, aby mężczyźni mogli w spokoju się urżnąć i frywolić z niewolnicami.

Przysiadł za skrzynią na ubrania. Rozkoszując się zapachem używanych przez matkę olejków, czekał.

* * *

Zobaczyła go, gdy tylko stanęła w progu sypialni. Światło niesionej przez służkę latarni jeszcze nie wymacało jego olbrzymiej sylwetki, lecz ona wiedziała, że tam jest. Mogła się cofnąć, mogła zawołać strażę, ale była dumna. Nie bała się własnego syna.

– Zostawcie mnie – rzuciła przez ramię.

Towarzyszące jej dziewczęta nawet się nie zawahały. Dobrze je wytresowała. Zniknęły.

Klitemestra postąpiła naprzód. Zrzuciła z siebie szaty i podeszła do misy z wodą, aby się obmyć.

– Czemu to robisz? Przecież wiesz, że tu jestem.

Uśmiechnęła się, a zamiast odpowiedzieć, sięgnęła po gąbkę, zmoczyła ją w misie i przyłożyła do szyi. Odrobina wody ściekła między krągłe piersi, niosąc ze sobą przyjemne mrowienie.

– Okropny gorąc – powiedziała wreszcie. – Cała jestem złana potem. Chyba nie wstydzisz się matki, co, Oreście?

– Jeśli próbujesz mnie onieśmielić, to ci się nie uda.

– Po prawdzie miałam nadzieję, że ten twój śliczny chłopaczek zabierze cię z Myken. Nie przyprowadziłeś go tu przypadkiem ze sobą?

– Nie.

– Szkoda. Cóż, wygląda na to, że utknęliśmy w martwym punkcie.

– Bynajmniej.

Atryda uniósł się z ziemi – ociężałe jak starzec. W półmroku błysnęło ostrze.

– Widzę, że przyniosłeś miecz – powiedziała królowa. – Krzywy.

– A, to? Nie będzie nam potrzebne. – Brąz brzęknął o posadzkę. – Nie zechcesz zapalić lampy?

– Chcesz mi się lepiej przyjrzeć?

Sięgnęła po elegancką złotą lampkę, cacko przywieszoną przez Agamemnona z Troi. Zapaliła ją, używając podręcznego krzesiwka, uniosła. Ciepły blask oblał jej twarz, piersi i brzuch, pogłębił cienie kryjące łono.

– Nie. Różnorako uformowane wałki tłuszczu nie robią na mnie większego wrażenia. – Orestes podszedł bliżej. – Chcę, abyś ty lepiej się przyjrzała mnie.

– Jesteś brudny. Jesteś zarośnięty. Jesteś...

– Odrażający. Jak twój mąż, twój prawdziwy mąż, nie to żalosne gównno, które uczepiło się twej podeszwy. Czy tak właśnie wyglądał, kiedy posiał mnie w twym brzuchu? Wrócił prosto z pola bitwy, umazany juchą, śmierdzący, spocony...

– Był pijany...

Książę zrobił jeszcze jeden krok w stronę matki. Był już bardzo blisko. Poczula, jak strasznie cuchnie. I zaczęła się bać.

– Tak – powiedział. – Pijane, odrażające bydlę.

Spoliczkowała go. Nie drgnął. Uderzyła znowu. I znów, i znów.

– Byłam dzieckiem, a on zerznął mnie jak zwykłą kurwę! – wrzasnęła. – Trzy razy, a gdy prosiłam, żeby przestał, obrócił mnie na brzuch, wykręcił ręce. „Tak to robią Hetyci” – powiedział. Krwawiłam przez trzy dni, nie mogłam siedzieć, nie mogłam leżeć. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak to bolało!

– Nie, matko. Nie wyobrażam sobie. Nie muszę, bo wiem. Widzisz, zrobił mi dokładnie to samo. Ha, czyżbym wreszcie zdołał cię zszokować? Tak, tak. I wiesz co? – Orestes zniżył głos do szeptu. – Kiedy to robił, wołałam ciebie. A ty nie przyszłaś. Nigdy cię przy mnie nie było.

Powoli, niemal pieszczotliwie, objął dłońmi jej szyję. Zacisnął palce. Mocniej. Mocniej.

Klitemestra chrząknęła.

– Nie... – wydusiła.

Kopnęła go w krocze. Skrzywił się, ale nie puścił. Przyparł ją do muru, przyłgnął do nagiego ciała, przycisnął tak, że nie mogła się ruszyć.

Z jej gardła wydarł się skrzek. Ślina pociekła z ust, po chwili zaczęła się pienić. Orestes wyczuł przedśmiertne drżenie. Nacisnął ostatni raz, a potem rozluźnił uścisk.

ROZDZIAŁ IV

Ifigenia śniła ołowiane niebo. I mężów odzianych w srebrzysty metal. Wielkie Słońce, skurczone i pobladłe, patrzyło na nich zza welonu chmur. Nieśli pożogę, ogień prosto z nieba. Gdzie stanęli, zostawała tylko pustynia.

– Ifigenio... Ifigenio...

Coś chłodnego dotknęło czoła śniącej wieszczki. Poczwała kroplę wody ściekającą jej po czole, utykającą u podstawy nosa.

„Ani kropli wody – pomyślała. – Akarnania nie zasługuje na miłosierdzie”.

Otworzyła oczy i ujrzała ciemność. Odetchnęła z ulgą. Boski wzrok ją opuścił.

– To ty, Nabu?

Odpowiedź stanowiło dotknięcie szczupłych palców, które spoczęły na jej czole.

– Gorączkowałam? Musiałam gorączkować. Zdawało mi się, że mówisz.

Nabu był niemową i jedynym mężczyzną w świątyni Bogini Ziemi. Kapłanki tolerowały go, ponieważ nosił boskie znamię. I dlatego, że tak im kazała Ifigenia.

Dziewczyna usiadła na posłaniu, zsunęła stopy na ziemię.

– Nie martw się, Wielkie Oko już zabrało swoją wizję – powiedziała.

Wyciągnęła dłonie, aby dotknąć twarzy stojącego nieopodal mężczyzny. Chciała w ten sposób sprawdzić jej wyraz, ale w geście kryła się też drobina pieśczoły. Lubiła dotykać Nabu. Miał ciepłą, szorstką skórę – jak piasek na plaży. I był przystojny, mimo iż wiek oplół już jego usta i oczy zmarszczkami. Wodząc opuszkami po wąskich wargach, kształtnym podbródku i mocno zarysowanym nosie, malowała w wyobraźni obraz.

– Jesteś spięty, marszczysz czoło. Czy coś się stało?

Silne ręce chwyciły ją za nadgarstki i pociągnęły na nogi. Chwilę potem poczuła, że Nabu poprawia na niej tunikę. Zarumieniła się, uświadamiając sobie, że ubranie musiało zsunąć jej się z ramienia, odsłaniając pierś. Zaraz jednak zrobiła się zła na siebie i na niego. Gniewnym ruchem zrzuciła szatę i naga pomaszerowała do łaźni.

– Przyrowadź mi dziewczynę do pomocy – poleciła.

Kroczyła pewnie. Nie widziała drogi, lecz znała ją na pamięć. Dopiero u wejścia do łaźni zwolniła i wyciągnęła przed siebie ręce. Pozwoliła, aby kamień poprowadził ją ku siedzisku w niewielkim basenie.

Po jakimś czasie posłyszała szelest kroków. Wychwyciła różaną nutę w powietrzu.

– Neftis? – spytała.

– Tak, pani. Obawiam się, że nie mamy za dużo wody. Grzać?

– Nie. Upał taki...

Służka zakrzętnęła się sprawnie. Głina zachrobotła o kamienne płyty, gdy przesuwiała wielki dzban. Rozległ się plusk dłoni zanurzanej w wodzie, potem rozdzwoniły się kaskady

spadających kropel. Mokra gąbka dotknęła karku Ifigenii.

– Pani Melanta chce się z tobą widzieć – powiedziała Neftis.

– Domyśliłam się. Nabu mnie popędział, jakby chodziło o coś ważnego.

– Nie wiem, pani.

– Nabu chyba jest zdenerwowany.

Służka się roześmiała.

– Nabu zawsze jest zdenerwowany, ale ma, co chciał. Co za pomysł... mieszkać z babami w świątyni!

– Nie śmieję się z niego, Neftis. Nigdzie indziej nie znalazłby sobie miejsca.

– Masz do niego słabość, pani. Dla mnie to on jest zwykły dziwak.

– Zwykły?

– No, może nie całkiem zwykły. Przyznaję, że przyjemnie czasem zawiesić na nim oko. Zawsze to jakaś odmiana od tych wszystkich cycków. Ale nie kocham się w nim jak ty, pani.

– Nie kocham się w nim! – Ifigenia się zaśmiała. – Kocham go, a to różnica.

– Niby jak ojca, to chcesz powiedzieć, pani?

Wieszczka wahała się chwilę.

– Nie... Raczej... Raczej jak brata.

Myśl o Orestesie poruszyła wspomnienie ze snu. Coś strasznego przemknęło za niewidzącymi źrenicami dziewczyny.

Otrząsnęła się z resztek wizji. Służka właśnie skończyła ją obmywać, a zaczynała namaszczać olejkami, który następnie zdrapywała za pomocą kościanej łapki.

– Nie musisz być taka dokładna – powiedziała Ifigenia. – Nie idę na spotkanie z zalotnikami.

– Ha! Kto wie? No, obróć się na brzuch, pani. Dobrze...

– Co miałas na myśli?

– W jakiej kwestii?

– Powiedziałas „kto wie”. Czyżby pani Melanta chciała mnie wydać za męża?

– Tego nie wiem. Ale dziewczęta gadały, że jakiś młody książę chce się z tobą widzieć. No, z tobą i z panią Melantą.

– Może zwyczajnie pragnie usłyszeć wyrocznie? Książęta i królowie zawsze chcą wiedzieć, co szykują im bogowie.

– Prawda, jednak rzadko pytają osobiście. Nie wierć się, pani.

– Kiedy łaskocze!

– Krągłości są najczulsze.

– Wiesz, co to za tajemniczy książę?

– Nie. Widziałam tylko posłańca. Włochaty typ o długich rękach, z twarzy patrzył mi na kozopasa. Czarny jak mara nocna.

– Zatem to książę kóz? – Ifigenia ponownie się zaśmiała. – Czy raczej książę mar?

– Przy odrobinie szczęścia okaże się piękniejszym od swego sługi. No! – Neftis pieszczotliwie skubnęła wieszczkę w lewy pośladek. – Jesteś, pani, gotowa i jedno mogę rzec z pewnością: od ciebie piękniejszym nie będzie.

Ifigenia wyszła z basenu i pozwoliła służce, aby ją ubrała. Następnie razem powędrowały na taras usytuowany za przyświątynnymi budynkami. Czekał tam na nich Nabu.

– Powietrze dziwnie dziś pachnie. Nie czuć w ogóle morza.

– To spalenizna, pani. – Neftis głośno pociągnęła nosem. – Pewnie pola pod miastem znów się zapaliły.

– Hm... tak. Może. Tylko... Powiedz, jak dziś wygląda niebo?

– Chmurnie. Brzydko.

Wieszczka drgnęła. Uniosła twarz.

Nabu stanął obok i dotknął jej łokcia. Ruch powietrza zdradził, że mężczyzna wykonuje jakiś gest.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – burknęła Neftis.

Ifigenia chwyciła niemowę za rękę. Poczowała uścisk, następnie opiekun uniósł jej dłoń i lekko klepnął w nią pięścią.

– Sądziś, że ktoś walczy? Że to dym z płonących wiosek?

– Nie wiem, jak ty to robisz, że go rozumiesz, pani.

– Ja też nie.

– W każdym razie na wyżynach ciągle ktoś się morduje. Ci górale to prawie barbarzyńcy, a jak im jeszcze głód zajrzał w oczy...

Ifigenia wzięła głęboki wdech i nagle poczuła w powietrzu odmianę. Do jej nozdrzy dotarł zapach drzewa migdałowego, oliwy i niepokalanków.

„Niepokalanki – pomyślała. – Cóż za śmieszna nazwa. Pasuje do czegoś małego, co się kula, a wszak oznacza świętą czystość, ukochany krzew Bogini Ziemi, pod którym chronią się jej sługi”.

– Nadchodzi pani Melanta – powiedziała na głos.

Chwilę później posłyszała, że ktoś wkracza na dziedziniec. Trzy osoby. Kapłanka Bogini Ziemi, a jednocześnie królowa-matka, nigdzie nie chadzała sama.

– Ifigenio. – Zmysłowy pomruk mile polectał uszy wieszczki. Melanta miała piękny głos. – Cieszę się, że już jesteś gotowa. Nasz gość powinien przybyć niedługo, a chciałam jeszcze zamienić z tobą słowo. Ty, Nabuszezibanni, też powinienesz to usłyszeć.

Neftis pożegnała się muśnięciem palców i czym prędzej umknęła. Towarzyszki Melanty też się oddaliły.

Stara kapłanka ujęła Ifigenię pod ramię i poprowadziła ku kamiennej ławce, na której usiadły. Niemowa stanął nad nimi.

– Neftis mówiła, że chce się ze mną widzieć jakiś książe.

– Hm, książe! – prychnęła Melanta. – Osilek z największą maczugą we wsi. Nie chichraj się, dziewczyno, wiesz, co mam na myśli. To młodszy brat pewnego doryckiego władcy, Temenosa. Utrzymuje, że ma achajską krew. Ród swój wywodzi od jakiegoś Herakla-króla z Arkadii. Króla czego, chciałabym wiedzieć, lecz mniejsza z tym.

– Nie szuka żony, mam nadzieję?

– Nie, nie. Nie pytam nawet, co ta głupia Neftis ci nagadała. Szuka sojuszników.

– Na wojnę? Jeśli tak, to dziwne miejsce sobie wybrał.

– Na pertraktacje z moim synem.

– Co życzyłyby sobie od niego uzyskać?

– W Epirze i Makedonii trwają walki. Coraz więcej ludzi umyka na południe, całe plemiona schodzą na niziny. Dwa tygodnie temu był u nas wędrowiec z odległego Iolkos. Opowiadał, że pod jego miastem miała miejsce wielka bitwa, a mniejsze starcia są na porządku dziennym w całej północnej Eolii. A jednak nasz dziki książę nie wie, że ze sobą bandy podobnych mu obdartusów, nie gania dziewczek po polach, nie kradnie kóz. Zamiast tego chce rozmawiać. I to z niebyle kim, tylko z królem Hellajów, największego portu w tej części świata. Jak sądzisz, dlaczego?

– Potrzebuje statków.

– Tak. Tak właśnie sądzę.

– Czy twój syn mu je da?

– Będzie chciał, bo jest głupi i chciwy, ale nie zamierzam mu pozwolić. Górale są zażartymi wojownikami, lecz nie mają najmniejszego pojęcia o żeglarstwie. Silna flota to nasza największa przewaga. Statki zapewnią nam zaopatrzenie, a w najgorszym razie możliwość ucieczki. Wierzę, że póki mamy za plecami taki drewniany mur, jesteśmy w stanie przetrwać każdą zawieruchę. Czuję jednak, że czekają nas niebezpieczne miesiące. Dlatego właśnie chciałam z tobą rozmawiać. Myślę, że powinnaś opuścić Hellaje i udać się do swej siostry w Fokidzie albo, lepiej jeszcze, do stryja w Lakedaimonie.

– Uciekać? Melanto, nie mogę. Sama Wielka Macierz wskazała mi to miejsce...

– To nie jest temat do dyskusji, decyzja została już podjęta – przerwała starsza z kobiet. – Nabuszezibanni będzie ci towarzyszył.

Ifigenia poderwała się z miejsca.

– Myślisz, że się boję? Że potrzebuję specjalnych względów?

– Jesteś wyrocznią Bogini Ziemi, jej wybranką. – Kapłanka spróbowała chwycić dziewczynę za rękę, lecz ta się wyrwała.

– Dlatego odprowadzasz mnie z miasta, które ona sama dla mnie wybrała? I dajesz opiekuna, jakbym była dzieckiem?

– Moim świętym obowiązkiem jest chronić cię przed krzywdą. U siostry, za cyklopowymi murami Fokidy, będziesz bezpieczna. Co do Nabuszezibannego, bogowie dawno spleli wasze losy...

– Zachowaj gadki o przeznaczeniu dla ciemnych mieszczek. Nie musisz mnie chronić ani ty, ani niemowa, który sam by zginął, gdyby nie zajmował się nim tłum nadopiekuńczych bab.

– Masz rację, Ifigenio. Jesteś księżniczką z krwi Atrydów, silną, odważną i dumną. Gdyby coś ci się stało, tysiąc zakutych w spiz mężów chwyciłoby za włócznie. Napaść na ciebie znaczy ściągnąć gniew potężnego Menelaosa, a także Orestesa, twego brata, i Pyladesa, waszego szwagra.

– Tego właśnie się boisz, prawda? Póki tu jestem, Hellaje mają znaczenie. Kiedy zniknę, staną się tylko kolejnym miastem portowym na uboczu. Wtedy będą miały szansę przetrwać.

Melanta milczała przez jakiś czas. W końcu uniosła się z ławki. Suknie zaszeleściły.

– Wiesz, co się stanie, jeśli dojdzie do wojny – powiedziała. – To samo, co dzieje się zawsze. Ludzi ogarnie strach. I nieufność. W pierwszej kolejności zwrócą się przeciwko obcym, przybyszom. Bo obcym nie można ufać. Nie są jednymi z nas, mogą więc służyć wrogowi. A Nabuszzebanni to Luwita. Wolny Luwita w naszym mieście? Czego tu szuka? Co knuje? W świątyni oczywiście jest bezpieczny. Ale w ciemnej alejce, na targu, przy studni?

Ifigenia odsunęła się o krok.

– Tak więc to wygląda?

– Tak. Niestety tak.

– Rozumiem. Czego spodziewasz się po mojej rozmowie z tym doryckim księciem?

– Spodziewam się, że użyjesz swych zdolności, aby dowiedzieć się jak najwięcej o nim i jego współplemieńcach. Jeśli po nieudanych rozmowach z moim synem ma tu wrócić na czele armii, chciałabym wiedzieć, na co powinniśmy się nastawiać.

– Zamierzasz mi towarzyszyć?

– Nie. Sprawy młodych pozostawiam młodym.

– Ładny chociaż ten książę?

– Nie wiem. Nie widziałam go.

* * *

Arystodem, książę z rodu Heraklidów, uśmiechnął się do błękitnych ocząt wyglądających na niego zza wielkiego kosza. Ich właścicielka, drobna dziewczuszka o naznaczonej głodem twarzy, spłonila się, lecz nie odwróciła wzroku. Patrzyła jak zakłeta, zresztą nie ona jedyna. Od stu lat nie widziano w Hellajach tak urodziwego młodzieńca. Mierzył sześć stóp wzrostu, był muskularnie zbudowany i opalony, aż przyjemnie się patrzyło na jego wspaniałą sylwetkę, szczupłą talię i szerokie plecy. Uwagę przyciągała też czupryna kręconych, granatowoczarnych włosów, spod której czarowała para ciemnych oczu w kształcie migdałów.

O krok przed nim maszerował na krzywych nogach brodaty brzydal. Widząc jego pooraną bliznami twarz, ludzie pospiesznie schodzili z drogi. Tylko ciekawskie dzieciaki gapiły się na przybysza, a szczególnie na jego lewą dłoń, u której brakowało trzech palców. Nikt nawet nie podejrzewał, że jest to brat pięknego księcia.

– Nie podoba mi się to miejsce – rzucił brzydal. – Cuchnie.

Arystodem pociągnął nosem.

– Śmierdzi przypalonym mięsem – zgodził się z bratem. – Dziwne, bo ludzie wydają się zagłodzeni.

– To odór ze stosów pogrzebowych. Mór nie szczędzi nikogo.

– Myślałem, że Akarneńcy oddają swoich zmarłych ziemi, a nie Czterem Wiatrom jak my.

– Tak było. Wszyscy ci barbarzyńcy, Akarneńcy, Eolowie, Achajowie, zwykli grzebać zmarłych i kłaść im do grobów bogate skarby. Jednak gdy przyszła zaraza, zrozumieli, że ludzkie popioły trzeba oddawać Bogu Niebu. Tylko w ten sposób duch może się uwolnić, a zgniłe ciało zostać oczyszczone.

– Czasami myślę, że minąłeś się z powołaniem, Kresfoncie. Winienes był poświęcić życie bogom, a nie wojaczce.

– Walcząc, składam im hołd – odparł niższy z Dorów. – Oddałem się cały Bezkresnemu Niebu.

– Pewnie dlatego dziewczęta mają z ciebie tak marny pożytek.

Brzydał nie zaśmiał się z żartu.

– Dziewczęta to twoja działka – rzekł ze śmiertelną powagą.

– Z tego powodu posyłasz mnie do wieszczki?

– Tak. Wierzę, że kiedy z nią legniesz, nie będzie ci już w stanie niczego odmówić.

– Kiedy z nią legnę? – parsknął Arystodem. – Bogi, ty to umiesz mówić o kobietach i miłości. Cofam to, co powiedziałem wcześniej. Miast wojaczce powinienesz oddać się poezji.

Kresfontes wzruszył ramionami.

– Nie widzę w spółkowaniu niczego poetyckiego.

– Taaak. Cóż, zostawmy to. Powiedzmy, że uda mi się, hmmm, oczarować tę całą wieszczkę. Co zyskamy? To tylko kobieta. Nie widzę, w jaki sposób mogłaby się przysłużyć naszej sprawie.

– Bo nie znasz ludzi z nizin. Tutejsi mężowie są słabi i zniewieściali, we wszystkim słuchają swoich kobiet. Menelaos-król, władca Lakedaimonu, przed dziesięciu czy piętnastu laty podobno pociągnął tysiące Achajów na wojnę tylko dlatego, że jego żona puściła się z jakimś hetyckim księciem.

Urodziwy młodzieniec obejrzał się przez ramię. Dziewczyna, którą widział wcześniej, wyszła na ulicę i wciąż za nim patrzyła.

– Jeśli była piękna... – zaczął.

Kresfontes nie słuchał.

– Oczywiście to ujma dla męża, gdy ktoś chędoży jego kobietę – ciągnął. – Jednak gdyby umiał zmusić ją do należącego mężowi posłuchu, nigdy by do tego nie doszło. Tak więc sam był sobie winien. Co gorsza, gdy już wygrał wojnę, przyjął tę sukę z powrotem jako swoją królową. Na jego miejscu obatożyłbym ją i oddał piechurom, niech chociaż sobie użyją, skoro musieli się o nią bić.

Młodszy z Heraklidów skrzywił się, lecz wolał nie ciągnąć wątku. Zamiast tego powiedział:

– Popatrz na tych ludzi. Niziny są tak samo wyniszczone suszą jak nasze góry. Czy Temenos naprawdę wierzy, że tutaj będziemy mogli założyć wywrózone królestwo?

– Daleko poza tymi krainami leży wielki półwysep, który z resztą lądu jest połączony tylko wąskim paskiem ziemi. Właśnie na owym półwyspie leżą słynne złote miasta Achajów: Lakedaimon, Argos i Mykeny, Tiryns, Pylos i Korynt. W samym środku tego lądu znajduje się Arkadia, z której przed wiekiem wygnano naszego prapradziada Herakla-króla. Ziemie są tam żyzne, na wzgórzach rosną oliwki i słodkie winogrona, w dolinach pasą się stada owiec i kóz.

Arystodem potrząsnął czarną czupryną.

– Wierzysz, że uda nam się tam dotrzeć?

– Na pewno będzie nam łatwiej, jeśli ten tłusty dureń Lizymach sprzeda nam swoje okręty.

Starszy z Dorów przystanął. Znaleźli się u stóp wzgórza, na którym znajdowała się cytadela, lecz brzydał zwrócił oczy na miasto i port.

– Naliczyłem przynajmniej dwadzieścia masztów – powiedział. – To dość, by przepawić za jednym razem tysiąc ludzi.

Piękny książę, zamiast patrzeć tam, gdzie brat, zwrócił wzrok w stronę cytadeli. Ponad murami majaczyła zwalista sylweta zamku. Obok niej wyrastały inne ciasno upchnięte budowle. „Ciekawe, która z nich to świątynia” – pomyślał.

Kresfontes minął go i ruszył w górę wykładaną kamieniami drogą.

– Kiedy już spotkam się z wieszczką, jak mam ją przekonać, by nam pomogła? – spytał młodszy Heraklida.

– Na pewno coś wymyślisz. Opowiedz jej o płaczących matkach i ginących z głodu dzieciach. Baby lubią takie gadanie. Potem poproś, aby w twym imieniu spytała swych bogów, co robić.

Arystodem podbiegł, dogonił brata, zrównał z nim krok. Wokół gromadki jasnowłosych ludzi spieszyły do i z cytadeli.

Odcinek do ufortyfikowanej bramy przybysze pokonali w milczeniu. Dopiero gdy przez nią przeszli i mieli się rozdzielić, brodacz burknął:

– Powodzenia. I postaraj się nie zmitrężyć zbyt dużo czasu. Wieczorem, kiedy będę się spotykał z Lizymachem, masz mi towarzyszyć.

– Nie martw się, załatwię to szybko. Wejdę, wyjdę i po krzyku.

Młodzieniec mrugnął porozumiewawczo do brata, jednak paskudna gęba tamtego nawet nie drgnęła. Starszy książę kiwnął tylko głową i pomaszerował do domu pewnego zamożnego kupca, z którym był umówiony. Młodszy westchnął. Skierował się do świątyni.

Na miejscu powitała go dziewczyna w prostych szatach. Z twarzy przypominała mieszkańcówek Azji, domyślił się więc, że musiała być niewolnicą. Kiedy się przedstawił, zawołała grubawą kapłankę. Kobiecie towarzyszył mężczyzna nietypowej urody: śniadawy niby Hetyta, lecz patrzący oczyma barwy popiołu. Człowiek ten był tak wysoki, że górował wzrostem nawet nad Arystodemem. Mimo iż bardzo szczupły, zdawał się silny. Oblicze miał ponure: nos ostry, brew zmarszczoną, usta szerokie, wygięte nieco ku dołowi, oplecione siateczką drobnych zmarszczek.

– Pani Ifigenia przyjmie cię teraz w komnacie wróżb – powiedziała kapłanka.

Jej towarzysz milczał.

Przeszli przez obszerny przedsionek do mniejszego pomieszczenia. Wychodziło z niego dwoje drzwi: jedne prowadziły w głąb świątyni, w pachnący kadzidłami półmrok, z którego dobiegały tajemnicze szelesty, drugie – na zewnątrz, na złany słonecznym blaskiem tarasik. Gdzieś w trzewiach świętego przybytku zadźwięczał dzwoneczek. Wiedziony ciekawością Heraklida postąpił w kierunku, z którego dobiegł dźwięk, jednak zobaczył, że kobieta prowadzi go gdzie indziej. Wysoki milczek wcale niedelikatnym szturchnięciem zwrócił gościa we właściwym kierunku. W oczy Dora uderzyło ostre światło odbite od jasnego kamienia, którym wyłożono niewielki dziedziniec. Nozdrza połechtala woń morza i drzewa migdałowego.

Przecięli taras i znów weszli do budynku. Znaleźli się w półokrągłej sali, z której można było wyjrzieć wprost na klif i miotające się pod nim fale. Zauroczony tym widokiem książę postąpił kilka kroków naprzód. Uśmiechnął się, obrócił na pięcie, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie rzekł słowa. Kapłanka i towarzyszący jej mężczyzna zniknęli.

– Jak ci na imię?

Głos zbłądził pod sklepieniem, dlatego przybyszowi przez chwilę ciężko było powiedzieć, skąd dochodzi. Sala rozbrzmiała śmiechem. Zaszleściły szaty. Zza jednej z kolumn wyłoniła się wysoka kobieta. Młody książę otworzył usta, lecz nie zdołał wydobyć z siebie ni słowa. Przez

myśl mu przemknęło, że oto ktoś rzuca na niego urok. Mógł tylko stać i pożerać wzrokiem czarowną postać, długie nogi, smukłe ramiona, wąską talię, drobne piersi majaczące pod szatą. Przełknął ślinę, zmusił się, by unieść spojrzenie wyżej. Nieznajoma miała jasną, zwiężającą się ku dołowi twarz, ostro zarysowane brwi, nos obsypany piegami, co kontrastowało z czarnymi włosami. Jej oczy były zielonkawe, lecz zdawało się, że połyskują w nich też dziesiątki innych kolorów, jakby przesłaniała je gwiezdna mgiełka. Oczy te patrzyły dziwnie, trochę strasznie, nie na człowieka, a raczej na wskroś niego.

– Jestem Arystodem, księżę z rodu Heraklidów. Przyszedłem po radę do wyroczni.

– Dobrze. Podejdź zatem bliżej, Arystodemie, księżę z rodu Heraklidów.

Zignorował kpliwą nutę w głosie kobiety. Wykonał polecenie.

– Chciałabym obejrzeć twą twarz – ciągnęła nieznajoma. – Mogę?

Młodzieniec pomyślał, że to niezwykła prośba, jednak kiwnął głową. Nie dojrawszy żadnej reakcji, powiedział:

– Tak.

Uniosła ręce, oparła je na ramionach księcia, a potem pozwoliła powędrować wyżej, ku szyi i policzkom.

– Co robisz?

– Oglądam cię. Podziwiam dłońmi i palcami.

Arystodema olśniło.

– Jesteś ślepa – palnął, nim zdążył pomyśleć.

– Ty zaś jesteś spostrzegawczy jak wszyscy ludzie widzący.

Zrobiło mu się gorąco.

– Przepraszam... – wymamrotał.

Roześmiała się lekko.

– Nie ma za co, piękny księżę. Jestem Ifigenia. Chodź, siądźmy na tarasie. Jak każda córka Achajów wolę być bliżej morza.

– Morze to wasz wielki bóg, prawda?

– Tak. Morze wzywa achajskich mężczyzn, by ruszali na wyprawy i kładli swe doczesne szczątki na odległych polach, pod murami obcych miast. Potem śpiewa porzuconym matkom, siostrom, żonom i córkom pieśni pocieszenia. Nadstaw uszu. Słyszysz je?

Heraklida słyszał tylko szum i, z rzadka, uderzenia bałwanów o skały.

– Okrutny ten wasz bóg – zauważył.

– Dlatego my, kobiety, czcimy też Boginię Ziemię.

– Mój lud kłania się tylko Bezkresnemu Niebu. Tam, skąd przychodzę, nie ma morza, jedynie ostre kamienie i hulające między nimi Cztery Wiatry.

– Mówiłeś, że nasz bóg jest okrutny, lecz wasz w niczym mu nie ustępuje. Czy to nie on wygnał Dorów z rodzinnych gór?

– Niewiele wiem o sprawach bogów, pani. Z gór wygnały nas bieda i głód.

– Czemu więc przyszedłeś do mnie? – zapytała Ifigenia. – Jestem tylko głosem Bogini Ziemi. Więcej mogę ci powiedzieć o bogach niż o ludziach.

Arystodem przypomniał sobie, co radził Kresfontes, żeby opowiadał o babach i dzieciach. Odgonił tę myśl. Zdało mu się... niegodne o tym mówić.

– Chciałbym prosić o wyrocznię – wydukał tylko.

– Czy mogę jeszcze raz dotknąć twojej twarzy?

Nie czekając na pozwolenie, uniosła dłonie, jednak gdy tylko musnęła policzki Dora, pospiesznie cofnęła palce. Poderwała się z miejsca, pochyliła ku młodzieńcowi. W jej obliczu coś się zmieniło.

– Przyjdź do mnie w nocy – wydyszała. – Przyślę po ciebie sługę, niemowę. On wskaże ci drogę.

Przez głowę młodego księcia przewaliła się nawałnica obrazów: morze, fale, nagie ciało Ifigenii, piersi wznoszone szarpanym oddechem, księżyc jak wielka dziura w niebie. Zaszumiało mu w uszach. Niewiele myśląc, chwycił wieszczkę i spróbował pocałować.

– Co robisz?! – krzyknęła.

– Myślałem... – jęknął.

Tuż za nim wyrósł ponury mężczyzna, który wcześniej wraz z kapłanką przyprowadził gościa do sali wróżb.

– Zostaw nas, Nabu! – fuknęła dziewczyna. – Nic się nie dzieje.

Luwita zmierzył Arystodema groźnym wzrokiem. Przystąpił z nogi na nogę.

Oblicze wieszczki złagodniało.

– O nic się nie martw. Księżę z rodu Heraklidów już wychodzi.

Niemowa skrzywił się i nie odrywając oczu od twarzy młodzieńca, opuścił komnatę.

Ifigenia roześmiała się nagle, po czym schyliła i sama pocałowała przybysza. Ten zdębiał do reszty.

– Widział?

– Co?

– Że cię pocałowałam?

– Nie wiem...

– Och, beznadziejny jesteś, Arystodemie, księżę z rodu Heraklidów! Przyjdź nocą. Ale nie wyobrażaj sobie za wiele. Chcę ci coś pokazać. Tylko tyle. Kiedy dotknęłam twojej twarzy... Zresztą nieważne. Przyjdź, a wszystko ci wyjaśnię.

ROZDZIAŁ V

Czarodziejka pochyla się nad Rozbitkiem. Kaskady czarnych włosów spadają na wyschnięte, oklejone solą i piachem policzki, na spierzchnięte usta. Palce dotykają owłosionej piersi, pieścżą zgruchotane żebra, muskają fioletowo-szare plamy na skórze.

– Nie umrzesz, mężu morza. Słuchaj mego głosu. Nie umrzesz.

* * *

Achilles drzemie. W dymie niedających światła kaganków jego oczodoły wydają się puste, skóra szara. Przed nim ogryzione kości, puste naczynia, rozbita amfora. Jest nagi. Mięśnie oplatające jego szczupłe członki drżą – widać śni. Nagle jednak unosi powieki, patrzy na Rozbitka. Długo, długo.

– Kim jesteś? – pyta w końcu.

Rozbitek namyśla się chwilę.

– Nie wiem – odpowiada.

Achilles kiwa głową. Spycha na bok zaśmiecające stół resztki i skorupy.

– Usiądź. Napij się ze mną wina. Zda mi się... Zda mi się, że cię pamiętam.

– I ja cię pamiętam. Byliśmy razem pod Troją.

– Pod Troją? Ha! Nic mi to nie mówi... Siadaj. Masz tu puchar. Masz...

Rozbitek siada, przyjmuje puchar. Achilles wydobywa skądś bukłak, nalewa wina. Piją.

– Kwaśne...

– Mm... Kwaśne.

– Czemu pijesz takie podłe wino, Achillesie-królu?

– Nie wiem. Spać mi się chce...

Głowa Achillesa opada. Mężczyzna opiera się na ramieniu Rozbitka. Ten, zmieszany, potrząsa towarzyszem.

– Czemu mnie budzisz? Byłem w głębinach... Niedobre to wino. Słone. Tak.

– Za dużo go wypiełeś, przyjacielu. Język ci się płącze.

– Niedobrze mi.

Achilles wciąga nogi na ławę, podtyka kolana pod brodę, kładzie się – z czołem na kolanach Rozbitka.

– Niedobrze mi. To przez to słone wino. W głębinach... Byłem w głębinach. A wino smakuje morską wodą.

– Wydaje ci się. Tylko skwaśniało.

– Czy wiesz, jak to jest tonąć?

– Nie. Zawsze byłem znakomitym pływakiem.

– Ja nie. Kiedy byłem dzieckiem, nie umiałem... nie umiałem pływać. Ale teraz umiem. Nie ma wśród Achajów takiego, który pływałby szybciej ode mnie. Ani szybciej biegał, ani dzielniej stawał w boju. Nie ma... A... a wiesz, jak się nauczyłem? Jak się nauczyłem pływać?

– Nie wiem.

– Tonąc. Opijając się słoną wodą. Tonąc w morzu. Utonąłem, wyobraź sobie, utonąłem i umarłem. Wsadziłem głowę w prąd, który niesie trupy do podwodnych pałaców Boga Morza. Tam swymi ramionami może objąć ich Bogini Ziemia. Zawsze zastanawiałem się, jak to jest, że głęboko, głęboko pod wodą kryje się ziemia. Dziś już wiem. Ojciec Morze pokrywa Matkę Ziemi, aby móc ją rznąć... Rźnie ją cały czas...

– Jesteś pijany. Zdrzemnij się. Wino gada przez ciebie.

– Nie. Nie wino. Czy chcesz wiedzieć, jak to się stało, że utonąłem?

– Nie jestem pewien...

– Byliśmy na statku. Ojciec chwycił mnie za ramiona i wyrzucił za burtę. Bo nie umiałem pływać. A miałem już siedem lat. Powinienem być umieć pływać. Nie umiałem, więc utonąłem. Opiłem się wody... A jednak... pięknie tam było, wiesz? Gdy zniknął strach... Gdy zniknął strach, odsłoniła się przede mną taka jakby... materia. Miękka, ciepła, otulająca. A na niej – nieskończoność połyskujących kształtów. I ryby. Łasiły mi się do nóg. Delfiny... Rekiny też, ale wcale nie straszne, tylko piękne. Połyskujące... W głębinach...

* * *

– W głębinach... – mamrocze Rozbitek.

Czarodziejka podchodzi do niego, poprawia opatrunki.

– Nie umrzesz, mężu morza – mówi.

Bierze gliniany słoje, dobywa z niego maść, którą następnie smaruje poszarpane ciało. Rany już przyschły, okala je zszarzała, wyblakła w morskiej wodzie skóra.

Za Czarodziejką mającą kształty. Dwie sylwetki, dwa z grubsza ludzkie cienie przepływają gdzieś na skraju pola widzenia.

– Kto tu jest?! – woła Rozbitek.

Próbuje się ruszyć, ale nie może. Nie ma władzy w rękach ani nogach.

Czarodziejka zbliża twarz do jego twarzy. Jej koralowe usta rozciąga uśmiech.

– Popatrz mi w oczy – mówi.

Rozbitek unosi wzrok. Nie widzi twarzy, tylko kaskady włosów i parę niesamowitych oczu. Jedno z nich jest niebieskie, drugie brązowe.

* * *

– Ojcowie to kurwy! – wykrzykuje Achilles.

Rozbitek obejmuje go, próbuje przytrzymać na miejscu, koi jak dziecko.

– Spokojnie, przyjacielu. Spokojnie. Popatrz, rozlałeś wino.

– I tak było wstrętne. Słone jak morska woda.

– Zresztą, jak się nad tym dłużej zastanowisz...

– Ojcowie to kurwy!

Westchnienie.

– Nieważne. Spocznij, Achillesie, ukój nerwy.

– Nie mogę. Zimno tu. Woda też była zimna, wiesz? Ale tylko na początku, bo potem...

– Potem była ciepła, wiem. Spokojnie. Twój ojciec Peleus nie żyje od dziesięciu lat.

– A twój ojciec?

– Niech pomyślę... Zmarł... zeszłej jesieni.

– Też był kurwą?

– Nie. Był dobry. Uczył mnie żeglować, odważać towary, nawigować podług gwiazd, węszyć burzę w wietrze, targować się z kupcami. Zmarł spokojnie. Chorował, chorował i umarł.

– Mój zginął na morzu. Dostał toporem w głowę. Hełm nie pękł, ale ojciec stracił równowagę i wypadł za burtę. Zbroja pociągnęła go na dno. Ot, szyderstwo losu...

– A twoja matka? Żyje jeszcze?

– Nie.

– Jaka była?

Achilles wzrusza ramionami. Jego oczy błędzą, wzrok goni wstążki dymu.

– Była straszna. Straciła przede mną sześcioro dzieci, wiesz? Ja byłem siódmy. Wszystkie poprzednie marły w niemowlęctwie. Chciała więc, abym był silny. Kazała mi jeść codziennie pokrzywy, smarować skórę eliksirem z popiołu i byczego tłuszczu. Biła mnie trzcinką, a kiedy podrosłem, poleciła niewolnikowi okładać mnie cedrową deską. Uważała, że powinienem spać w zimnie, a potem rano siedzieć przez godzinę za piecem, bo w ten sposób stanę się odporny na choroby. I zabraniała mi patrzeć na dziewczęta. Ilekroć w jej obecności spojrzałem na dziewczynę, kazała mi polewać krocze lodowatą wodą. Ale wtedy, gdy ojciec rzucił mnie do morza... Ona skoczyła za mną, wiesz? Uratowała mnie.

Rozbitek milczy. Obraca wino w pucharze.

– Czy widziałeś mureny? – pyta nagle.

– Co?

– W głębinach, kiedy tonąłeś... Czy widziałeś mureny?

– Nie. Mureny to córki Księżyca. Podobno, gdy umierają, zamieniają się w czarodziejki.

* * *

Rozbitek budzi się i widzi wpatrzone w niego oko. Jedno, wściekle niebieskie, osadzone w nalanej, bezpłciowej twarzy. Drugi oczodół, lewy, jest pusty, jakby ktoś wyrwał gałkę i wykroił powieki, pozostawiając tylko jamę wymoszczoną bliznowatą skórą.

Mężczyzna próbuje się cofnąć, jednak nie jest w stanie. Próbuje krzyknąć. Boli go gardło, język trzepocze się w ustach niczym ryba. W końcu Rozbitek dobywa z siebie skrzek.

Ciastowata gęba odpyływa, odsłania kawałek komnaty. Drzwi, ścianę, ususzone wodorosty, czaszki... A w drzwiach druga postać, druga groteskowa twarz, również jednooka, bliźniaczo podobna do tamtej, tyle tylko, że jej jedyne oko, lewe, jest brązowe. Prawy oczodół przecina szrama.

Zza drugiej postaci wyłania się Czarodziejka.

– Słyszę, że odzyskujesz głos. – Śmieje się lekko. – Nie bój się, to moi bracia, Deksios i Aristeros.

Podchodzi do leżącego. Opiera dłoń na jego piersi, potem przesuwa powoli w górę.

– Nie bój się – powtarza, wplatając palce w jego brodę. – Widzę, że chciałbyś coś powiedzieć. Bez pośpiechu. Zbierz siły. Powoli, powoli...

– Jestem...

– Dobrze. Jeszcze wolniej. Spokojnie, oddychaj. Masz przesuszone gardło. Proszę, napij się wody.

– Jestem... sparaliżowany?

– Nie. Napoiłam cię eliksirem, który uspił twoje członki.

– Po co?

– Abyś nie zrobił sobie krzywdy. Wciąż jesteś na krawędzi śmierci, mężu morza, choć nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Nic mnie... nic mnie...

– Nie boli. Tak.

– Napoiłaś... makiem?

– Nie. Nie stosuję wywaru z maku. Moje zaklęcia są dużo silniejsze.

– Czy...

– Dość pytań.

Czarodziejka kładzie rękę na ustach mężczyzny. Jej skóra pachnie słodko-gorzko, ziołami i czymś jeszcze...

– Teraz powinieneś dalej spać. Proszę. Napij się. Dobrze...

* * *

– Jak ci na imię?

– Co?

Rozbitek budzi się z drzemki, by ujrzeć wpatrzone w siebie oczy Achillesa. Wojownik wydaje się trzeźwy, nie kuli się już, siedzi w cieniu, po drugiej stronie stołu.

– Jak ci na imię? – powtarza.

– Nie pamiętam.

– Nie możesz nikomu oddać swego imienia. Tutaj, w podwodnych pałacach Boga Morza, jesteśmy żebrakami, nie mamy nic. Nawet to paskudne wino nie jest nasze. Jedyne, co nam zostało, to imiona. Nasza godność. Człowiek jest tylko cieniem, po śmierci staje się cieniem cienia. Ale imię może żyć wiecznie.

– Bogi, Achillesie, o czym to opowiadasz?

– O śmierci.

– Przecież jeszcze nie umarliśmy.

Achilles unosi się, przestawia na stole kilka przedmiotów, kilka zrzuca na ziemię.

– Byłeś w Chryzach? – pyta, nie unosząc spojrzenia.
Rozbitek milczy.
– Byłeś, pamiętam. Imię twoje będzie więc żyło wiecznie.
– Przeklęte czy czczone?
– A co za różnica? W głębinach nie ma żadnej. Nie ma żadnej. Słyszysz? Zbudź się. Zbudź się!

* * *

Najdelikatniejszy z pocałunków. Muśnięcie ciekawskich palców. Spacerują. Zwiedzają. Zahaczają miednicę, przeczesują włosy na pępku. Mrowienie. Coraz silniejsze. Ciepło, które płynie w dół, ku podbrzuszu, a potem zawraca, nagłą falą uderza w serce, tryska do głowy. W piersi, w uszach huk.

Rozbitek otwiera oczy. Powoli, na próbę, unosi głowę. Widzi, że jego biodra okrywa kurtyna czarnych włosów. Spod niej wypływa głos Czarodziejki:

– Odzyskujesz czucie, mężu morza.

Śmiech, perlisty. Przyzywa wspomnienie deszczu na statku.

Kobieta unosi twarz, odgarnia niesforne loki, przesuwając się nieznacznie. Kładzie głowę na brzuchu mężczyzny. Jej policzek jest gorący, parzy. Niebieskie oko błyszczy spod przymrużonej powieki. Brązowe patrzy uważnie, szeroko otwarte.

– Kim jesteś? – pyta Rozbitek.

– Nazywam się Kirke.

– Znalazłaś mnie...

– Na plaży. Wśród szczątków rozbitego statku.

– Czy ktoś jeszcze...

– Nie. Nikogo więcej nie znalazłam. Ani żywego, ani umarłego. Bóg Morze postanowił podarować mi tylko ciebie.

– Czemu mi pomogłaś?

Czarodziejka chichocze, oczy błyszczą jak u młodziutkiej dziewczeczki. Obraca się, przysuwając bliżej, opiera ramiona na piersi leżącego i patrzy mu w oczy.

– Bo się w tobie zakochałam, mężu morza – szepcze. – Kiedy tylko cię ujrzałam.

Mężczyzna milczy. Patrzy w wiszącą nad nim twarz. Nie jest brzydka, po prostu... Po prostu dziwna. Różnokolorowe, odrobinę za szeroko rozstawione oczy, ostry nosek, ostry podbródek, błyszczące usta, zza których błyskają zęby jak perełki.

– Nawet nie wiesz, kim jestem.

– A ty wiesz?

– Powoli wszystko do mnie wraca.

Rozbitek, wiedziony niezrozumiałym pragnieniem, unosi dłoń, muska czarne loki. Własna ręka wydaje mu się nieznośnie ciężka, lecz dobrze jest znowu czuć.

– Pamiętasz swoje imię?

Mężczyzna cofa dłoń. Imię. To słowo dudni mu w głowie. Imię.

– Tak – odpowiada. – Czemu pytasz?
– Chciałabym wiedzieć, jak się nazywasz. To chyba niewygórowana cena za uratowanie ci życia.
– Racja. Zwą mnie Agapetos.
Czarodziejka wybucha śmiechem.
– Wcale nie! Nieważne, wrócimy do tego. Na razie możemy znowu zająć się zaklęciem.
– Jakim zaklęciem?
– Zobaczysz. Chyba chcesz odzyskać siły, prawda? Zresztą, ta część powinna ci się spodobać.
Kobieta unosi się, zsuwa szatę, odsłaniając oliwkowe ramiona i drobne, ostro zakończone piersi. Uśmiecha się drapieżnie.

* * *

– W głębinach, w głębinach... – mruczy Achilles.
Rozbitek kręci głową, odrzuca pusty kielich.
– W głębinach...
– Nie rozumiem cię, Achillesie.
– Nie musisz.
– Spać mi się chce. Długo tu już siedzimy? Czuję, jakby minęły lata.
– Dziewięć.
– Co?
– Dziewięć lat. Tyle minęło, odkąd tu przyplłynęliśmy.
– Tak dużo?
– Tak.
Rozbitek wstaje.
– Ale miałem na myśli ten namiot. Przegadaliśmy chyba całą noc. Powinienem już iść...
– Tak.
– No... to idę.
– Odysie!
Rozbitek odwraca się powoli.
– Jak mnie nazwałś?
Achilles podrywa się z miejsca, przyskakuje do niego, wpija palce w jego ramię.
– Nie możesz oddać swego imienia! Pamiętaj, nie możesz oddać swego imienia!

* * *

Rozbitek budzi się, by ujrzeć księżyc i wpatrzone w siebie niebieskie oko. Na chwilę ogarnia go strach, przypomina sobie pokracznego, jednookiego wielkoluda. Jednak zaraz uspokaja go głos Czarodziejki:

– Śniłeś?

Bierze głęboki oddech, zaciąga się zapachem potu i miłości.

– Tak. Śniłem o dawnym przyjacielu. O rozmowie, którą odbyliśmy wiele, wiele lat temu.

– Był to więc sen o prawdziwym zdarzeniu? Wspomnienie?

– I tak, i nie. Część była prawdą, część nie.

– Ten przyjaciel... Co ci powiedział?

Mężczyzna wzrusza ramionami. Zmienia temat.

– Czuję się silniejszy.

– Zakłęcie działa. Kiedy je dokończymy, staniesz się potężnym wojownikiem, jak kiedyś.

– Dziwne to czary. – Nie może powstrzymać szarpanego śmiechu, który wyrywa się z piersi, budząc ból w świeżo zrosniętych żebrach.

Kobieta opiera mu brodę na ramieniu.

– Dziwne i nie – mruczy. – Czy nie śpiewają pieśniarze, że miłość jest najpotężniejszym z zaklęć?

– Śpiewają też, że Menelaos-król potrafi gołymi pięściami powalić byka. Na własne oczy widziałem, jak opiwszy się winem, próbował tej sztuki. Nie podołał.

– Doprawdy? A czy nie jest prawdą, że wyzwiał na pięściarski pojedynek Hapatillę, króla Masuwari, który sprzymierzył się z Luwitami?

Rozbitek porusza się niespokojnie.

– Skąd o tym wiesz?

– Skąd ty o tym wiesz? Jakie pieśni śpiewają o tobie, mężu morza?

– O mnie? O mnie nikt nie śpiewa. Ja jestem nikt.

– A czy Hapatilla nie znaczy aby Syn Byka?

– Być może. Tak czy siak, to nie był prawdziwy pojedynek... Raczej...

– Co?

– Nieważne. Nie chcę o tym myśleć. Opowiedz mi lepiej o magii. Nadal jakoś nie chce mi się wierzyć, aby od słodkich pieszczot twych ust goiły się żebra.

Czarodziejka chichocze.

– Dobrze, powiem ci, jak to działa. Widzisz, w mężczyźnie mieszkają trzy duchy. Każdy z nich objawia się inaczej. Najstarszy, najbardziej pierwotny, żyje we krwi. Drugi, młodszy, nawiedza ciało dorastającego chłopca i przybiera postać nasienia. Te dwa już okiełznałam. Wykorzystałam ich moc, aby uleczyć większość twoich ran.

– A trzeci?

– Trzeci to daimonion, duch skryty w imieniu. On jest źródłem sławy wielkich wojowników. Żywi się śmiercią, krwią.

– I co chcesz z nim zrobić?

– Ze wszystkich trzech ten jest najpotężniejszy. Zamierzam wykorzystać go, aby uczynić cię silnym i gibkim, takim jakim byłeś w najlepszych latach.

– A cena?

– Dlaczego sądzisz, że jest cena?

– Zawsze jakaś jest. Zawsze.

Śmiech. Gorący pocałunek.

- Ceną jest twoja miłość.
- A jeśli nie będę w stanie cię pokochać?
- Będziesz. Zobacysz.

* * *

Piersi Czarodziejki unosi spokojny oddech. Czarne loki szemrzą z cicha, gdy kobieta porusza głową przez sen. Skóra połyskuje w księżycowym blasku.

Rozbitek przypatruje się kochance. Rozmyśla. „Co by się stało, gdybym ją teraz zadusił?... Co by się stało, gdybym uciekł, nie oddawszy jej swego imienia?”

Wymyka się z łóża. Wciąż czuje się ociężały. Po kilku krokach, przy drzwiach, zatrzymuje go zawrót głowy. Ale już czuje zapach morza. Przechodzi go dreszcz.

„Zimno – myśli. – Czyżby upały minęły?”

Wychodzi przed lepiankę, rozgląda się. Morze wygląda inaczej niż wtedy, gdy widział je ostatnio. Jakby przyoblekło się w cieniutką mgiełkę. Powietrze też się zmieniło. Lato dobiega końca.

„Jak długo byłem nieprzytomny?” – zastanawia się Rozbitek.

Schodzi na brzeg.

Wyspa okazuje się maleńka. Z jednego końca widać drugi. Nic, tylko skały, dwa stare drzewa oliwne, ziemna chata, w której mieszka Czarodziejka, zagroda z trzema świniami. Za mało, by móc się wyżywić, więc kobieta i jej bracia muszą czasami udawać się na jakiś większy ład. Jednak Rozbitek nigdzie nie widzi łodzi.

Powoli wędruje wzdłuż wybrzeża, przepatruje horyzont. Zatrzymuje się na wysokości drzew oliwnych. W ciemności dostrzega stamtąd cień kolejnej wyspy.

„Za daleko – ocenia. – Może za młodu bym dopłynął, lecz dziś...”

Idzie dalej. Rozgląda się za czymś, z czego mógłby zrobić tratwę. Na plaży wala się trochę patyków, w półmroku udaje mu się wypatrzeć fragmenty desek, być może wyrzucone wraz z nim po zatonięciu jego statku. To jednak za mało. Najwyraźniej wszystko, co nadawałoby się do zbudowania tratwy, zostało już zebrane.

Przysiada wśród skał, na poły skryty przez ich czarne sylwety. Nasłuchuje śpiewu morza. Nasłuchuje...

* * *

- Odysie! – warczy Achilles.
- Odysie... – mówi Penelopa.
- Odysie, Odysie – powtarzają Teukros i Menelaos-król, i jakaś młoda dziewczyna, której nie poznaje.
- Odysie!

* * *

Budzi go chłód przedświt. I jakiś dźwięk. Czy to wiatr tak świszczy, czy liny skrzypią? Kręci

głową, odpędza mary, strząsa rosę z brwi. Obraca się, przytulony do kamienia. Wygląda.

Nic, tylko skały. Dopiero teraz widzi, że znalazł się na tyłach domu Czarodziejki, blisko tej krawędzi wyspy, która piętrzy się w niezbyt imponujący klif. Już, już gotów jest stwierdzić, że mu się przeszło, już myśli, by wrócić do ciepłych ramion Kirke, gdy z szarówki wyłania się zwalista postać. Poświstywanie rozbrzmiewa znów – chaotyczne, mokre, niemelodyjne. Rozbitek poznaje przygłupiego brata pani wyspy, niosącego na ramieniu spory worek.

„Skąd idzie? – myśli. – Przecież tam nic nie ma. A może... A jeśli...”

Wstrzymuje oddech. Kuli się, aby osiłek go nie dostrzegł. Czeką.

Jednooki przystaje. Mruczy do siebie. Słysząc, jak rzuca na ziemię worek, potem woła coś półgłosem, ale słowa są niezrozumiałe. Znów pomruki. Odgłos kroków, skrzypienie wyprawionej skóry na kamieniach.

Coraz bliżej.

„I co z tego, że mnie tu znajdzie? – myśli Rozbitek. – Nie jestem więźniem. Nikt nie mówił, że mam siedzieć w chacie”.

Mimo to przywiera mocniej do ziemi, wciąga głowę w ramiona.

Wielkolud zatrzymuje się, wraca do pogwizdywania. W atonalne dźwięki wplata się szmer cieczy padającej na skałę.

W piersi Rozbitka wzbiera śmiech. Mężczyzna dusi go, próbuje zatrzymać, nim wyrwie się z gardła. Zagryza własną pięść i trzęsie się jak młodzieniaszek, który po raz pierwszy zobaczył ogiera kryjącego klaczkę.

Tymczasem przygłup wydaje z siebie pełne satysfakcji sapnięcie. Mówi coś, co brzmi jak „Ola hop!”, obraca się na pięcie i oddala, po drodze zgarniając z ziemi worek.

Rozbitek czeka, liczy wdechy i wydechy. Wreszcie, upewniwszy się, że jednookiego ani nikogo innego nie ma w okolicy, opuszcza kryjówkę. Wychodzi aż na samą krawędź klifu. Kładzie się i spogląda w dół, ku morzu.

Nadzieja szybko go opuszcza. Nie ma tam plaży, którą sobie wyobrażał, nie ma rozchwierutanego pomostu, nie ma łodzi. Tylko kilka patyków, którymi kręci prąd.

„Ale przecież musiał jakoś się stąd wydostać” – myśli mężczyzna. – Po wodzie nie przeszedł. Chyba że... Na otchłań, cóż to za czary?!”

ROZDZIAŁ VI

– Pani?

Helena, królowa Lakedaimonu, niechętnie oderwała wzrok od gniazda sokolicy i wyrośniętych piskląt wypróbowujących skrzydła. Spojrzała na rządcę, Egipcjanina Naosa, którego Menelaos otrzymał w wianie od Tyndareosa, jej ojca. Służki szeptały między sobą, że niewolnik ma przeszło sto lat, ale nie umiera, bo bogowie nie są pewni, czy to mężczyzna, czy kobieta, dlatego żaden z niebian nie chce wziąć za niego odpowiedzialności. Czasem śmiały się też, że poprzedni pan kazał go zabalsamować, lecz zapomniano o włożeniu mu do grobu obciętych klejnotów, starzec żył więc dalej, by dręczyć kolejne pokolenia. Trzeba przyznać, że twarz eunucha rzeczywiście miała w sobie coś z mumii. Brązowa skóra, wciąż ciasno opinająca czaszkę mimo upływu lat, pozostawała nienaturalnie gładka i błyszcząca.

– Widziałeś to gniazdo na murach?

– Tak, pani. Kamień ukruszył się w tamtym miejscu. Należałoby sprowadzić murarzy, aby zabezpieczyli ścianę.

– Jak zwykle praktyczny.

– Muszę taki być, pani.

– Wiem. Kto jak nie ty? Ale murarze przegnaliby sokolicę, skazując tym samym jej dzieci na śmierć. Dlatego poczekamy z tym przynajmniej kilka dni.

– Dobrze, pani.

– Jak sądzisz, co mogło się stać z sokołem, jej mężem?

– Nie wiem, pani. Nie znam się na sokołach.

– Pewnikiem zadiobały go inne ptaki. W ostatecznym rozrachunku okazał się nie dość szybki, nie dość silny, nie dość zajadły.

– Zapewne.

– Jednak ona przetrwała.

Egipcjanin odczekał kilka uderzeń serca, potem pozwolił kącikom ust drgnąć, jeszcze bardziej napinając skórę na policzkach.

– Lubię je obserwować – ciągnęła Helena. – To kolejny powód, żeby poczekać z naprawą. Zresztą... wszystko i tak się sypie. Co tam jedna więcej szpara w murze? Mąż mój chciał, by jego Menelajon był tak trwały jak Mykeny, jednak najwyraźniej użył niewłaściwego kamienia, gdy przebudowywał siedlisko mego ojca.

– Nie wiem, pani. Na kamieniarstwie znam się jeszcze mniej niż na sokołach.

Królowa rzuciła ostatnie spojrzenie trzepocącym skrzydłami pisklakom i wstała z ławy.

– Miałaś do mnie jakąś sprawę, Naosie? – zapytała.

– Pod bramą pałacu czeka młody wojownik, który twierdzi, że jest bratankiem Menelaosa-króla, a twoim, pani, siostrzeńcem. Wielka ciżba odprowadziła go przez miasto do bram cytadeli.

Wjechał na rydwanie, u boku mając drugiego młodzieńca, a za sobą sześciu krzepkich niewolników. Dowódca straży przysłał go tu w eskorcie czterech żołnierzy.

– Czego chce?

– Mówić z twoim mężem, pani.

– Dobrze, że przyszedłeś z tym najpierw do mnie. Król... Dziś jest jeden z tych dni, Naosie...

– Rozumiem.

– Rozmówię się z Orestesem.

– Jak sobie życzysz, pani.

– Przyszykuj komnaty dla niego i jego towarzysza. Znajdź też jakiś kątek dla niewolników.

– Oczywiście.

Egipcjanin skłonił się i miał już odejść, jednak królowa go zatrzymała.

– Jaki on jest? Ostatni raz widziałam Orestesa... prawie piętnaście lat temu, w Aulidzie...

Skóra na twarzy rządcy ponownie się napięła.

– Jest... wysoki.

Helena przez chwilę ważyła jakąś myśl. Potem w jej oku pojawił się błysk. Zza dorosłej twarzy wychylił się nosk dziewczynki.

– Chodźmy go zobaczyć – rzuciła. – Niech rzucę na niego okiem, nim się rozmówimy.

Naos kiwnął głową i poprowadził swą panią do niewielkiej komnaty, z której przez drewniane przepierzenie można było wyjrzeć na wewnętrzny dziedziniec. Wchodząc tam, przepłoszyli stadko rozchichanych dworek, które żywo, choć przyciszonymi głosami, komentowały czekających poniżej mężczyzn.

Helena udała, że nie widzi nieprzyjaznych spojrzeń, którymi została obrzucona przez służki. Przyłgnęła do przepierzenia. Jej wzrok zbłądził między drużynnikami, dworzanami i sługami, jednak zaraz przyciągnęła go potężna postać wyrastająca ponad pozostałe niby drzewo wśród krzaków.

W głowie królowej roztrzepotały się wspomnienia. Zacięte usta Agamemnona, rumieńce – chyba wściekłości – na policzkach Klitemestry, zapłakana buzia Ifigenii.

I głosy.

Siedmioletni chłopiec, Orestes: „Uratuj ją, pani, uratuj, proszę”.

Przystojny młody wojownik, Menelaos: „Heleno, nie wtrącaj się, to nie nasza sprawa...”.

Ledwo dorosła matka, Klitemestra: „Nie chcę nic, co jego. Niech ją sobie weźmie”.

I kormorany – drące się, jakby je szłał opętał.

Woń morza, zawzięte twarze Achajów, nawiedzony kapłan wołający krwi. Tak zaczęła się tamta wojna, od szaleństwa, od gorączki, żądzy bogactw i chwały. Taką wizję zasiali w swych wojownikach Menelaos-król i Agamemnon-król. Cóż to za wyprawa, której początek naznacza ofiara z dziecka, małej Ifigenii? Cóż to za ojciec, przed którym córka próbuje kryć się za plecami brata?

Helena cofnęła się gwałtownie, zatoczyła. Gdyby nie Naos, jak zawsze stojący we właściwym miejscu, pewnie by upadła.

– Wszystko dobrze, pani?

Odpowiedziała nieszczerym uśmiechem, pokręciła głową.

– Chodźmy do sali przyjęć.

* * *

Kiedy Orestes wkroczył do niewielkiego pomieszczenia, Helena przestraszyła się, że znów napadną ją wspomnienia. Potrząsnęła głową. Wmusiła uśmiech na usta. Kiwnęła siostrzeńcowi, aby podszedł bliżej, myśląc przy tym: „Bogowie, ależ on wielki!”. Z chłopca proszącego, aby wstawiła się za jego siostrą, która miała zostać złożona w ofierze przebłagalnej dla Boga Morza, zmienił się w olbrzyma o twarzy niepokojącej, choć na swój sposób pięknej.

Dopiero gdy postąpił naprzód, dostrzegła, że za nim czai się drugi młodzieniec: nie tak wysoki, ale masywniejszy, o złotych włosach i jasnych oczach.

– Witaj, królowo – odezwał się Orestes. – Czy stryj mój jest niezdrów, że nie zechciał nas przyjąć?

– Niestety tak. W ostatnim czasie zapadł na zdrowiu.

– Spokój małżeńskiego pożycia mu nie służy? Cóż, to pewnie rodzinne. Ojcu też nie wyszedł na dobre.

Poczuła się dotknięta, lecz spróbowała tego nie okazać.

– Kim jest twój przyjaciel? – zapytała.

Niższy młodzieniec otworzył usta, lecz Atryda go uprzedził:

– To Pylades, syn Strofiosa-króla.

– Bardzo miło nam cię gościć, Pyladesie.

– A mnie nie? – wtrącił Orestes.

– Ciebie również. Powiedz, z czym przybywasz. Jaką sprawę masz do mego męża?

– Przyszedłem prosić go o sąd.

– Nad kim?

Usta księcia rozciągnął dziwny uśmiech.

– Nade mną.

– Nad tobą? Teraz mnie zainteresowałeś. Jakiż grzech popełniłeś, że pragniesz być osądzonym przez Menelaosa-króla?

– Nie dotarł do was jeszcze posłaniec z Myken?

– Nie.

– Mam zatem dla ciebie smutną wiadomość. Moja matka, Klitemestra-królowa, nie żyje.

Helena spojrzała w oczy gościa, takie same jak jej własne, takie same jak Tyndareosa-króla, takie same jak Klitemestry. Przeszedł ją dreszcz. Uciekła wzrokiem ku ładnemu, na poły chłopięcemu obliczu Pyladesa, jasnowłosy patrzył jednak w ziemię.

– Co się stało? – zapytała, dziwiąc się własnemu spokojowi.

– Pomściłem ojca.

– Zabiłeś ją...

– Tak.

– Pyladesie, czy mógłbyś zostawić nas samych?

Zagadnięty łypnął na Orestesa, ten wszakże uparcie wpatrywał się w Helenę, więc syn Strofiosa wyszedł. Gdy zamknęły się za nim drzwi, królowa odetchnęła i powiedziała:

– Mówisz to tak lekko...

– I ty nie zalewasz się łzami.

– Nigdy nie kochałam siostry...

– Ja nigdy nie kochałam matki.

– Naprawdę? Czy tylko od tamtego dnia w Aulidzie?

– Naprawdę. A ty?

– Ja...

– Nie odpowiadaj. To bez znaczenia. Liczy się tylko krew. Nasza wspólna krew, którą rozlałam.

– Wiesz, że karą za matkobójstwo jest śmierć, prawda?

– A jaka jest kara za mężobójstwo?

– Przecież Klitemestra nie mogłaby... Przecież nie zabiła Agamemnona!

– Zawahałaś się. Wiesz dobrze, że go nienawidziła. Kiedy tylko wyjechał, znalazła sobie kochankę, Ajgista, mnie zaś wyгнаła.

– Wszyscy wiedzą, że Agamemnon zginął na polowaniu. To był wypadek.

– Doprawdy?

Helena milczała przez chwilę.

– Masz dowody? – zapytała w końcu.

– Moja najdroższa matka sama wyznała winę, myśląc, że zostanę stracony. A, czyżbym zapomniał ci powiedzieć? Kiedy tylko zjawiłem się w Mykenach, aby przypomnieć o moim dziedzictwie, zostałem pod fałszywym zarzutem wtrącony do lochu.

– Bogowie, Oreście...

– Znałaś ją lepiej niż ktokolwiek inny. Wiesz, do czego była zdolna.

– Wiem – przyznała cichym głosem Helena. – Ale nadal nie mogę uwierzyć...

– W co? Że my, Achajowie, potrafimy mordować się nawzajem bez mrugnięcia okiem? Czy twój ojciec nie musiał zabić dwóch braci, aby zdobyć tron Lakedaimonu?

– Nie wierzę, że ty...

Książę roześmiał się, klęknął przed królową, wziął ją za rękę i przyłożył do swej piersi. Z lewej strony.

– Czujesz? – zapytał. – Nie? No właśnie...

Wyrwała dłoń z uścisku.

– Wiem, że bogowie stworzyli cię innym od większości ludzi.

– Stworzyli mnie na odwrót.

– Niemniej masz serce.

– Ze złej strony. Zawsze uważałem, że to dobry dowcip, taka boska gra słów. Jak ktoś jest dobry, mówi się przecież, że ma serce we właściwym miejscu.

– Menelaos nie pójdzie z tobą na wojnę, powinieneś to wiedzieć. Nie stanie u twego boku przeciw Ajgistowi-królowi.

– Zobaczymy. Nie zmienia to faktu, że Achajowie muszą dowiedzieć się o moim grzechu. I o tym, dlaczego go popełniłem. Żądam, aby stryj mnie osądził. Czy teraz pozwolisz mi się z nim spotkać?

– Jutro. Dziś twój stryj nie chce nikogo widzieć.

* * *

Przestronną komnatę spowijał półmrok, w powietrzu wisiała lepka woń. Grube kobierce przywiezione z Arzawy tłumily odgłos kroków. Helena przemknęła wśród zakurzonych mebli i zbliżyła się do łoża Menelaosa-króla.

– Mężu – szepnęła.

Cisza.

– Mężu.

Wrzask. Trupia głowa osnuta kosmkami siwych włosów. Oczy błyszczące od naparzu z maku.

Kobieta cofnęła się, lecz szybko zwalczyła chęć ucieczki. Tymczasem wychudzone ciało jej króla przewaliło się przez łożo, zanurkowało w miękkie tkaniny.

Znowu cisza. Drobinki kurzu w powietrzu. Potem ledwie słyszalny głos:

– Kto tu?

– To ja...

– Nie mów, nie mów, ciszej...

– To ja, Helena. Mężu mój...

– Zostaw mnie. Czemu znowu jest tak jasno? Duszno mi. Dusi mnie to światło.

– Kapłani mówią, że upały mają zelżeć.

– Kłamią. Zakłamate skurwysyny i głupcy!

– Myślę, że tym razem mogą mówić prawdę. Dziś jest już trochę chłodniej.

– Zostaw mnie.

– Twój bratanek przyjechał. Będzie chciał się z tobą widzieć.

– Jaki bratanek? Czyj bratanek? Agamemnon ma tylko córkę. A tamten mały... Przecież umarł. Nie zdążył mieć dzieci...

– Twój bratanek Orestes, syn Agamemnona i Klitemestry.

– Orestes – powtórzył Menelaos, jakby obracał słowo na języku. – Orestes, Orestes... Mały Orestes. Mały, choć duży jak na swój wiek. A Ifigenia? Ona też przyjechała z Agamemnonem i Klitemestrą? Słodka, mała Ifigenia...

– Nie. Tylko Orestes. Jutro cię odwiedzi. Jeśli poczujesz się lepiej.

* * *

Pylades stał w oknie, spoglądał na lakońską równinę i głęboko wdychał woń wieczornej mgły. Rozkoszował się upragnionym ochłodzeniem, choć pierwsza burza tego lata, wieszczba guzdrzącej się jesieni, o mało nie kosztowała ich życia, gdy rzucili się w szaleńczą podróż z Nauplii do Brasiai. Potem, w porcie, opowiadano im, że szkwał wyrócił co najmniej trzy okręty. Orestes wydał się nieporuszony tymi nowinami. Pierwszym, co uczynił po zejściu na ląd,

była wyprawa na targ. Uparł się, by kupić rydwan, i w końcu – w zamian za kilka złotych bransolet i belę tyryjskiej materii, którą wcześniej zabrał kupcowi Akareu – nabył ładnie się prezentujący, choć po prawdzie marnej jakości, pojazd.

– Czego się wyślipiasz? Ziemia jest tu płaska jak cycki siedmiolatki, ludzie brudni i zahukani, chłopcy nieurodziwi.

Pylades odwrócił się do przyjaciela rozwalonego na stanowczo za małej klinie. Jego stopy wystawały daleko poza kraniec leżanki.

– Skoro to wszystko takie żalotne, czemu zależało ci na całej tej pompie? Po co kupowałeś rydwan i kazałeś biednemu Polyperchonowi wywrzaskiwać twe imię na każdym rogu?

– Ludziom należy się czasem trochę rozrywki, nie uważasz? A jakież może być przedniejszy widok niż młody książe wygłupiający się ku uciesze gawiedzi?

– Dwóch młodych księżąt. Nie zapominaj, że i mnie włączyłeś w to głupie przedstawienie.

– Słusznie.

– Nie powiedziałaś mi w końcu, jak potoczyła się rozmowa z piękną Heleną.

– Piękną? Czyżbyś zmieniał gusta, mój słodki?

Pylades poczuł, że podstępny rumieniec szczypie go w policzki.

– A tak, piękną – rzucił zadziornie. – Zawsze dziwiłem się, gdy opowiadano, że w imię miłości istoty tak niestałej jak kobieta twój stryj Menelaos gotów był pociągnąć zbrojne zastępy na wojnę. Teraz już się nie dziwię.

Orestes zaśmiał się krótko.

– Widzę, że i ty kupiłeś tę ckliwą bajeczkę.

– Czy jest nieprawdziwa?

– Całkiem zmyślona. Powiem ci, jak było. Gdy mój ojciec i stryj wojowali w Azji, ich flotę złapała burza. Stracili tyle statków, że nie byli w stanie wrócić z łupami. Wtedy piękna Helena, która zawsze była dość wojowniczego usposobienia, przywiodła im nowe okręty. A że była zazdrosna, pewnikiem słusznie, o wszystkie urodzive Ahijawitki czy Luwitki, które Menelaos-król miał okazję wychędożyć, postanowiła zostać i go pilnować. Potem zaś zjawił się czarujący Aleksandros-król z Millawandy... i resztę już znasz.

Jasnowłosa księżę znów wyrzwał ku równinom.

– Pieśniarze śpiewają o tym inaczej.

– Pewnie. Łgarstwo to ich druga natura. I dzięki bogom, bo w tym nasza nadzieja.

– Stawka bardzo wzrosła. Jeśli Achajowie nie kupią twych kłamstw...

– Po porażce w Mykenach nie miałem wyboru. Możemy tylko grać o wszystko albo się poddać. A Atrydzi się nie poddają. Nie kłopotz się jednak, Achajowie kupią wszystko, co zechcą im sprzedać.

– Helena uwierzyła?

– Nie wiem, ale widziałem w jej oczach, że potrafi uwierzyć. To już niezły początek.

– Jak zareagowała, kiedy powiedziałaś jej, co zrobiłeś?

– Była zaskakująco spokojna. Myślę, że gdyby spędziła z moją matką parę lat więcej, sama by ją zadusiła.

Wzrok Pyladesa opuścił trawiaste przestrzenie i pobłądził ku miastu, przycupniętemu pod

lakedaimońskim wzgórzem. Jego oczy przykuł dym unoszący się z jednej ze świątyń. Ktoś składał ofiarę. Dziedzińcem świętego przybytku przeszły białe odziane postacie, podbarwione odrobiną zieleni, czerwieni i złota: dziewczęta w wiankach.

– Powiedz, Oreście...

– Tak?

– Jak się czujesz?

– Co masz na myśli?

– Czy nie czujesz... Nie boisz się czasem, że bogowie...

Przerwał mu śmiech.

– Nie boję się. Choć muszę przyznać, że trochę mnie nosi. To przez ten wiatr, idzie na zmianę pogody. Chodźmy do łoża, złoty chłopcze.

Atryda uniósł się z kliny, sprężysty i energiczny jak zawsze. Po jego twarzy błąkał się uśmiech, mięśnie grały pod tuniką.

Syn Strofiosa ruszył ku niemu, lecz nim zdążył wziąć kochanka w objęcia, rozległo się pukanie do drzwi.

– Czego? – rzucił Orestes.

Do komnaty zajrzał niewolnik Polyperchon. Opaloną, niebrzydka twarz obsiadły rumieńce z rodzaju tych, które zazwyczaj objawiają się po wypiciu nierozcieńczonego wina.

– Wybacz, panie, ale w tawernie spotkaliśmy człowieka, który może być ci użyteczny. Gdy się wydało, że jesteśmy w twojej służbie, nie baczyliśmy, żeśmy niewolnicy, i ochoczo z nami piłem.

– Niebawem. I w czym ten wspaniałomyślny człek miałby mi pomóc?

– Twierdzi, że walczył z twoim ojcem w Azji.

Pylades pokręcił głową.

– Kolejny zapijaczony żołnierz, który będzie próbował wyłudzić od nas chleb albo wprosić się na służbę – mruknął. – Odpraw go.

– Chwileczkę – wtrącił Orestes. – Mów dalej, Polyperchonie.

– Szlachetni panowie, uważacie, że jestem osioł – powiedział niewolnik. – Ale ja wiem, że ten łachudra to nicpoń i odrzyskóra. Chodzi jednak o historię, którą nam opowiedział.

– Jaką historię? – zapytał Pylades.

– Panowie, sami powinniście ją usłyszeć. Jak mówię, typ ten może okazać się wam użyteczny.

Atryda kiwnął głową.

– Dobrze. Wprowadź go zatem. Tylko, Polyperchonie... Zastanów się dobrze. Jeśli twój nowy przyjaciel rzeczywiście się nam przysłuży, dostaniesz srebrny pierścień. Jeśli jednak zmarnuje nasz czas, dostaniesz dziesięć różeg.

Sługa wyszczerzył zęby i, podochocony winem, powiedział:

– Niech to lepiej będzie bransoleta albo dwadzieścia różeg, panie. O skórę jestem spokojny.

– Niech ci będzie. Dawaj go tu.

Niewolnik zniknął, by po chwili zjawić się w towarzystwie brudnego i cuchnącego opoja o mocno przeredzonych czarnych włosach i niebieskich achajskich oczach. Wschodnim zwyczajem nieznanemu padł na twarz, mamrocząc:

- Makhawon z Teb, panie, do usług.
- Witaj, Makhawonie. Z czym przychodzisz?
- Służyłem pod twym ojcem, panie. Byłem, panie, w wielu bitwach. Byłem pod Zeleją i Adresteją, pod Amydonem i Alybe, panie, byłem nad brzegiem Ksantu i pod odległą Marisą, i Smyrną, panie, byłem...
- Dość, dość! – Orestes się zaśmiał. – Unieś się z ziemi, wojownika. Siadaj. Polyperchonie, przynieś nam wina.
- Dzięki ci, szlachetny Atrydo. Jesteś żywym wcieleniem wszystkich cnót twego ojca.
- Całkiem niedługo mogę być martwym wcieleniem, jak on sam. Daruj sobie pochlebstwa, mów lepiej, jaką to historią wyłudziłeś napitek od moich sług.
- Rzecz właśnie dotyczy twego ojca, panie. Przypadkiem posłyszałem, jak ci tu niewolnicy opowiadali sobie o strasznej zbrodni dokonanej przez twą matkę, panie. Jakoby to, pospołu z tym niegodziwcem, tą wszą, tym, za przeproszeniem, kurwim synem Ajgistem, uknuli spisek przeciw szlachetnemu Agamemnonowi, spolił go winem zaprawionym wywarem z lotosu, a następnie podstawili mu wścieklą świnię. To znaczy, mam na myśli, nie twoi niewolnicy, rzecz jasna, tylko matka i ta wesz Ajgistos. To oni, a nie tamci spisek uknuli.
- Pylades rzucił przyjacielowi zniecierpliwione spojrzenie, lecz ten wydawał się rozbawiony.
- Rozumiem, co masz na myśli, Makhawonie. Jestem przekonany, że moja matka i jej kochanek Ajgistos zamordowali Agamemnona-króla. Pytanie brzmi, czy jest coś, co możesz wniesić do tej sprawy.
- W rzeczy samej, panie. W rzeczy samej. Otóż niech będzie ci wiadomym, że tamtego dnia, kiedy ci szubrawcy... to znaczy, mam na myśli, matka twa...
- Tak, tak. Do rzeczy.
- Oto i ja tam byłem, kiedy na polowaniu Agamemnon-król stawiał czoło wścieklej świni i dokonał żywota.
- Książę skrył twarz za dłonią, by powstrzymać śmiech.
- Czy widziałeś coś, co może mieć dla mnie znaczenie? – zapytał.
- Nie inaczej. Od początku zdawało mi się, że z królem coś jest nie tak. Był raz rozkojarzony, raz nerwowy. W pewnej chwili nakazał słudze przynieść sobie wina. Jednak to nie niewolnik podał mu bukłak, tylko pani Klitemestra. Król napił się, a potem siadł na konia – na pewno wiesz, panie, że w Luwii nabrał tego zwyczaju, coby jeździć nie w rydwaniu, a wierzchem, na obcokrajową modłę. W każdym razie nie minęło dużo czasu, jak z tego konia spadł i nie był już w stanie się z powrotem. Później, jakby znikąd, pojawił się dzik, chociaż, po prawdzie, polowali na łanie. Co więcej, następnego dnia sługa, który podczas łowów miał wina przynieść, został kopnięty w głowę przez wołu i zmarł. Zawsze byłem przekonany, że to troszkę przydużo tych zbiegów okoliczności, ale głowę trzymałem na kłódkę, bo któżby słuchał moich oskarżeń przeciw szlachetnie urodzonej pani Klitemestrze. Dziś jednak posłyszałem, jak sługi twoje w tawernie mówiły między sobą, i tak sobie pomyślałem: zawsze powtarzałem, że to podejrzane. Dlatego przyszedł.
- I licząc na zapłatę, nie wątpię – burknął Pylades.
- Makhawon rozłożył ręce.
- Przez lata wiernie służyłem Agamemnonowi-królowi, wiedząc, że dla swoich ludzi jest

dobry i dba o nich, gdy wiek wytrąci im miecz i włócznię. Ajgistos zaś wyrzucił mnie na zbity pysk, na poniewierkę i żebry. Wierzę jednak, że szlachetny syn nie zapomni szczodrości ojca. Nie proszę o wiele, kęs strawy i suchy kąt, w którym mógłbym złożyć swe kości – to wszystko, czego mi trzeba.

– Nagroda cię nie ominie – zapewnił Atryda. – Tylko czy gotów jesteś powtórzyć to, co tu powiedziałeś, przed sądem mego stryja?

– Przed sądem? – stropił się Makhawon. – Z pewnością nie ma takiej potrzeby. Kto chciałby słuchać skapcaniałego wojaka? Starczy chyba, żebyś ty, panie...

– W zamian znalazłby się dla ciebie nie tylko kęs strawy, nie tylko suchy kąt, ale też trochę błyszczącego srebra i, kto wie, nieduże gospodarstwo, kiedy już odzyskam tron.

– Nie wiem, panie...

– I kilka młodych niewolnic, które umilałyby ci wieczory.

– Pragnę jedynie odpłaty za niegodziwość, którą mi ta wesz, ten kurwi syn...

– Wiem, wiem. Przenocujesz dziś z Polyperchonem, każę też cię nakarmić. A jutro staniesz w mym orszaku przed obliczem Menelaosa-króla. Polyperchonie, odprowadź szlachetnego Makhawona do izby.

– Tak, panie.

– Dzięki ci – powiedział stary wojak, najwyraźniej zapominając o sądzie wobec perspektywy napchania żołądka. – Doprawdy jesteś wcieleniem...

– Tak, w rzeczy samej, idź już.

Niewolnik wyprowadził gościa, lecz sam zaraz wrócił.

– I jak, sprawiłem się? – Błysnął zębami.

– Sprawileś się.

– To dostanę moją bransoletę?

Orestes szelmowsko zmrużył oko.

– Będę ci ją dłużny – odpowiedział.

* * *

Sala tronowa była wielka. Tak ogromna, iż nie chciało się wierzyć, że wyglądający skromnie od zewnątrz pałac Menelaosa-króla w ogóle ją pomieścił. Podłogę pokrywały płyty z różnobarwnych marmurów, a ze ścian szczyrzyły się polichromie nieudolnie naśladowujące sztukę Luwitów i Hetytów. Przez środek podłużnego pomieszczenia biegły dwa rzędy kolumn, które prowadziły wzrok ku zdobnemu mozaikami kręgowi paleniska. Za paleniskiem widać było tron. Spoczywał na nim suchy, złotawy szkielet o siwej brodzie i mocno przerzedzonych włosach.

– Podejdź bliżej, Oreście.

Głos Menelaosa, nadal zaskakująco mocny, choć dziwnie matowy, zadzwonił echem w kolumnadzie. Młody książę ruszył naprzód, słuchając dźwięku kroków własnych i towarzyszących mu mężczyzn.

– Gdzie dwór twój, stryju? – zagadnął. – Gdzie możni i goście? Słyszałem, że szlachetny Drakomachos nawiedził dziś rano Lakedaimon.

– Menelajon – poprawił gospodarz. – Wiem o tym, wiem też, czemu cię to interesuje. Dziś nie będziemy robić scen, możesz odprawić swoich pomagierów. Dziś będziemy gadać.

Orestes zatrzymał się mniej więcej w połowie sali. Obejrzał się przez ramię i kiwnął głową Pyladesowi, który zabrał Makhawona oraz niewolników, po czym opuścił pomieszczenie.

– Dobrze, stryju. Pogadajmy.

Gdy strażnicy zamknęli drzwi za jego towarzyszami, młody Atryda ruszył dalej. Okrążył palenisko i stanął naprzeciw tronu. Jego nozdrzy dosięgnął przykry zapach choroby. Książę poczuł się nieswojo. Pamiętał Menelaosa-króla takim, jakim był pięć lat wcześniej, na igrzysku ku czci dopiero co zmarłego Agamemnona: wysokim, zwalistym, muskularnym. Przyszło mu do głowy, że ten, który go przyjął, to kukła, mormolyke, jaką baby po wsiach zwykły straszyć dzieci.

– Czego chcesz? – rzuciła kukła. – Wojska? Nie dam ci wojska.

Orestes powiódł wzrokiem po wyniszczonej twarzy, prześledził linię ust wygiętych w podkowę, ominął szkliste oczy.

– Chcę, żebyś mnie osądził w obecności zgromadzonych Achajów.

– Po co? Helena opowiedziała mi o twoich oskarżeniach. Sądziś, że jeśli uznam twoje działania za usprawiedliwione, Achajowie chwycą za broń i ruszą z tobą na Ajgista?

– Ten człowiek wydarł nam wiekową siedzibę Atrydów.

– Wydarł ją tobie. Ja mam mój Menelajon.

– Nie masz jednak dziedzica.

Kukła poruszyła się, uniosła rękę, machnęła. Zza najbliższej kolumny wyłonił się łysy mężczyzna o brązowej skórze, odziany w obce szaty.

– Naosie, niech ktoś poda memu bratankowi stołek.

Niewolnik potaknął, zakrzętnął się i po chwili wrócił w towarzystwie krzepkiego sługi niosącego stołek.

– Siadaj, Oreście. Napijesz się wina?

– Dzięki. Ale ty się nie krępuj.

W gardle Menelaosa zagrzechotał śmiech.

– Ostatnio piję wino tylko w gorsze dni. Mocno zaprawione. Dobrze, mówmy zatem o suchym pysku, choć to wbrew achajskiemu zwyczajowi. Eraście, Kyrillosie, zostawcie nas. Naosie, ty też możesz się oddalić. Chcę rozmawiać z bratankiem sam na sam.

Strażnicy i stary rządcą opuścili pomieszczenie. Orestes odprowadził ich wzrokiem, potem spojrzął na stryja, który podjął:

– Masz rację z tym dziedzicem. Kiedy umrę, Menelajon opustoszeje. Pomyśl jednak... Skoro nie mam komu przekazać własnego królestwa, po cóż miałbym walczyć o Mykeny?

– Czy pamięć twego brata nie jest godna tego, by ją pomścić?

– Ha! Pamięć brata. Tak... Twój ojciec pod wieloma względami przypominał mego ojca. To znaczy, naszego ojca. Obaj byli wielkimi mężami, ale cechowała ich... jakaś twardość. Czasem przesadna. Wiesz, kiedy byliśmy dziećmi, ojciec zwykł pracować mnie za byle co. A Agamemnon mnie bronił. Nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że dziwi go, a nawet mierzi, iż sam się nie postawię, nie odpysknę, a wreszcie – nie dam staremu w mordę. To był

w gruncie rzeczy dobry człowiek, ten twój ojciec, ale wojna go zmieniła. Jak nas wszystkich. Zachłysnął się wielkością.

– Tak mówisz? – Księżę uśmiechnął się krzywo. – Ewidentnie nie znałem go od tej strony, co ty.

– Lata wspólnego wojowania zbliżają ludzi do siebie tak, jak nawet nie umiesz sobie wyobrazić, Oreście.

– Wojowałem u boku Strofiosa, twego szwagra. A później z jego synem, Pyladesem. Walczyłem w Makedonii, a także na Egejskim Morzu Achajskim.

– Tak? – Menelaos machnął kościstą ręką. – Wiesz zatem, o czym mówię.

– Być może, choć nie do końca rozumiem, jak to się ma do mojej prośby.

– Ma to się do niej tak, że niezależnie, co spotkało Agamemnona, czy padł ofiarą zamachu, czy boskiego kaprysu, być może dostał to, na co zasługiwał. Pojmujesz? Wszyscy dostaliśmy to, na co zasługiwaliśmy. Kapłanka w Chryzach przepowiedziała mi, że gdy przywiozę łupy do domu, moje złoto zmieni się w krew. Tę krew, którą przelałem, aby je zdobyć. I co? Od trzech lat szczam na czerwono. Klątwa tej jędzy pożera mnie od środka.

– Nie proszę cię, abyś ruszył ze mną na wojnę.

– Wiem, wiem, chcesz tylko, abym cię osądził. Dobrze. Niech ci będzie. Zwołamy zgromadzenie, zbierzemy świadków. Ale ostrzegam cię, Oreście, nie licz na to, iż ochroni cię pokrewieństwo.

– Nie śmiałybym, stryju.

– Dobrze. Idź już. Gadanie szybko mnie męczy. Przyślę po ciebie sługę, gdy już namyślę się, jak przeprowadzić ten twój sąd.

* * *

Orestes opuścił salę tronową i na chwilę Menelaos został sam na sam ze swym przyciężkim oddechem. Ciągle czuł się osłabiony po ataku z uprzedniego dnia. Łamało go w stawach, krew dudniła w głowie.

Potem zjawiała się Helena. W jednej chwili jej nie było, a w następnej już stała u jego boku.

Spróbował ułożyć się wygodniej na tronie.

– Czemu tak zaparł się na ten sąd? – zapytał.

– Może po prostu szuka odkupienia.

– Nie wyglądał mi na człeka, którego gonią czarne sumienia. A tobie?

– Nie – przyznała królowa. – Ale Orestes zawsze był dziwnym dzieckiem.

– Dobre bogi, przecież zamordował matkę! Podniósł dłoń przeciwko własnej krwi! Co ja mam z nim zrobić, Heleno, co? Powiedz, ostatecznie była też twoją siostrą. Mam go skazać na śmierć?

– Nie wiem.

– Czy on coś knuje?

– Na pewno będzie próbował odzyskać swoje dziedzictwo. Dziwisz się? Ojciec porzucił go, wyruszając na wojnę. Matka, oddając w opiekę Strofiosowi. Zamierza walczyć o swoje.

– Nie rozumiem ani jego, ani ciebie. Mówisz, jakby ci go było żal, jakbyś wcale go nie

winiła...

– Chyba nie winię. Klitemestra... Podobało mi się, co powiedziałaś o Agamemnonie. Myślę, że z nią było tak samo.

Menelaos mruknął niezrozumiale. Dotknął palcami czoła. Gorączka chyba wciąż nie ustępowała.

– Nigdy nie lubiłem Orestesa. Zawsze czułem się w jego obecności nieswój, mierziło mnie, gdy chwycił łyżkę lewą dłonią, gdy trzymał w niej drewniany miecz. Mój brat brzydził się nim, podejrzewał, że Klitemestra musiała puścić się gdzieś na boku. Kiedy opowiedział mi, że chłopak ma serce z niewłaściwej strony... Co to za dziwadło, które bogowie stworzyli na wspak? Jeśli nawet jest dziedzicem Agamemnona, został naznaczony nie bez powodu. Ajgistos to nędzne gówno, ale ma w sobie krew mojego dziada Pelopsa. Chyba wolałbym już zobaczyć jego pomiot na mykeńskim tronie.

Umilkł, zadumał się głęboko. Myśli trzeszczały mu pod czaszką.

– Powiedz mi, Heleno... Powiedz... Nigdy cię nie pytałem...

Wątek umknął, rozpląnął się w poszumie wypełniającym uszy.

Piękna kobieta położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie – powiedziała.

Odsunął się, umykając przed dotykiem.

– Nie miałbym do ciebie żalu. Raz wybaczyłem, tym bardziej teraz... Potrzebujemy dziedzica. Inaczej on, Orestes...

– Nie kłopotz się tym, Menelaosie.

Król nastroszył wąsy, uniósł się z fotela.

– Nie musisz być dla mnie tak miękka. – Powoli zszedł po schodach i zbliżył się do zagasłego paleniska. – Kostucha może i próbuje ze mnie zrobić starą babę, zanim przytuli mnie Bogini Ziemia, ale wciąż jestem Atrydą.

Helena bez słowa stanęła u jego boku.

– Gdyby to był ktoś inny... – ciągnął. – Gdyby w moim Menelajonie zjawił się Diomedes albo Palamedes, albo chociaż ten drań Odyseusz, kto wie... Może bym jeszcze ten jeden ostatni raz pociągnął na wojnę. Żeby zginąć, stojąc. He, co o tym sądzisz?

Roześmiał się do własnych marzeń, lecz żona mu nie zawtórowała.

– Sądzę, że swoje już przewojowałaś.

– Pewnie masz rację. No, nic to. Odpocznę, a potem przyślij mi Naosa. Zaplanujemy sobie sąd, a co tam.

ROZDZIAŁ VII

Noc była gorąca. Księżyc w całej okazałości stał na niebie. Arystodem leżał na dachu domu, który udostępnił im szlachetny Alkimos. Marzył, że jest na szczycie wysokiej góry, blisko Boga Nieba obleczonego w świetlistą pomgłać. Śledził jasne smugi, zostawiane przez ginące gwiazdy.

Marzył o czymś jeszcze, lecz nieco wstydliwie, z dziecięcą nieśmiałością, która dotąd była mu obca. W ukrytym zakątku umysłu dźwięczał głos trochę złośliwy, trochę kuszący, migają niesamowite oczy. I pachniało achajskim morzem.

Gdzieś na dole zadudniły kroki. Śmignęło przekleństwo, a jego śladem na dach wygramolił się Kresfontes.

– Tuś jest – mruknął. – Czemu się wylegujesz i gały w ciemność wyślipiasz? Zakochałeś się czy jak?

– Drogi bracie, nie wiedziałbym, jak to jest.

– Już ty nie czaruj. Nic, tylko cycki ci w głowie. Mało to bękartów nasiałeś? A nie masz jeszcze dwudziestu lat.

– O, Kresfoncie, jakże pięknymi słowy mówisz o miłości!

– No, no. Starczy. Mam tylko nadzieję, że ta czarownica nie zawróciła ci w głowie. I bez tego marnie widzę szanse na powodzenie naszej misji.

– Cóż z tego, że król nam nieprzychylny? Jak kupcy chcą sprzedawać, to sprzedadzą.

– Głupiś. Lizymach gotów byłby własne jaja sprzedać za złoto. Nieprzychylny jest nam kto inny, ktoś znacznie bystrzejszy. Nie uraziłeś czymś tych jędz ze świątyni, co?

– Nie. Mówiłem ci, wszystko poszło, jak zaplanowaliśmy. Ifigenia chce się ze mną spotkać tej nocy.

Kresfontes spojrział w niebo. Aprobująco kiwnął głową.

– Dobrze. Tylko staraj się jej nie zbrzuchacić. Jeśli będziemy musieli brać miasto siłą, może się stać, że nie przeżyje. A Bóg Niebo krzywym okiem patrzy na tych, którzy własną krew przelewają.

– Jak niby mam się starać?

– A bo ja wiem? Wyjmij, zanim skończysz.

Arystodem wybuchnął śmiechem. Czubkiem sandała kopnął brata w udo.

– Głupi to ty jesteś, Kresfoncie, przynajmniej jeśli chodzi o sprawy łożnicy.

Brzydal wzruszył ramionami. Oderwał wzrok od spadających gwiazd i zwrócił go na powrót ku miastu. Nagle zbystrzał, przyklęknął, ściągnął urodziwego młodzieńca z krawędzi dachu.

– Patrz! – syknął. – Ktoś idzie do nas.

– Nie martw się, bracie, to z pewnością sługa Ifigenii.

Arystodem próbował nadać swemu głosowi spokojny ton, lecz w podbrzuszu uczył nie całkiem nieprzyjemne mrowienie, a pomimo gorąca zimno kąsnęło końce jego palców.

- Porusza się jak wojownik – powiedział Kresfontes.
- Nie dzwoni zbroją, jeśli o to ci chodzi.
- Zabójcę poznam i z tysiąca kroków.
- Nie pieprz. Chodźmy lepiej na dół.

Wyższy z Heraklidów zjechał po drabince na poddasze, a następnie zbiegł schodami na parter, zostawiając brata w tyle. W drzwiach domostwa stał już przygłuchy kapcan, którego otrzymali w komplecie z przybytkiem. Książę odepchnął go, przegnał do kuchni, sam zaś stanął naprzeciw gościa: ponurego milczka poznanego wcześniej w świątyni. Mężczyzna miał na sobie sznurkowy kaftan, na ramieniu miecz.

- W mieście, widzę, niebezpiecznie o tej porze – powiedział Arystodem, wskazując broń. Milczek milczał.

- Zaczekaj w sieni, zaraz do ciebie dołączę.

Młodzieniec cofnął się w głąb domu, gdzie zaraz wpadł na Kresfontesa. Ten zarzucił mu płaszcz na ramiona i wcisnął coś do ręki.

- Masz – wyburczał.

Arystodem po dotyku szytych zdobień rozpoznał pochwę, w której brat zwykł nosić swój żelazny sztylet.

- Ciepło jest – odparł, szczerząc zęby. – Płaszcz niepotrzebny.
- Nie mędrkuj. Lepiej, żeby nikt cię nie rozpoznał. A to schowaj i nie waz się zgubić.
- Dobra, dobra.

Ubrany i uzbrojony wrócił do służby Ifigenii.

- Prowadź!

Ruszyli przez przyduszone miasto, ale – ku zdumieniu młodego księcia – nie w kierunku cytadeli. Zamiast tego wyszli północną bramą i zapadli między nabrzeżne skały. Nie wędrowali długo, mimo iż milczek z jakiegoś powodu trochę kluczył. Wreszcie stanęli na cieniuchnym skrawku plaży, nieopodal wejścia do zatopionej jaskini.

Arystodem rzucił nieufnym wzrokiem na przewodnika i miecz, który ten niósł na ramieniu.

– Nie obawiaj się, książę z rodu Heraklidów. – Z jamy wypłynął głos wieszczki, a zaraz za nim pojawiła się ona sama. – Nabu, odejdz, proszę, kawałek ścieżynką i patrz, żeby nikt nam nie przeszkodził.

Sługa kiwnął głową, błysnął oczami ku Dorowi i się oddalił.

– Nareszcie sami. – Młodzieniec się uśmiechnął. – Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że twój niewolnik mnie nie polubił.

– Nabu jest wolnym człowiekiem, a służy świątyni z wdzięczności za to, żeśmy go przygarnęły.

– No ładnie, najemny zbir na usługach kapłanek.

– Czemu zbir?

– Na kaznodzieję to on mi nie patrzy. Za mało wygadany. I rusza się jak wojownik, a przynajmniej tak twierdzi mój brat.

– Nie mówi, bo jest niemową, mój błyskotliwy książę z rodu Heraklidów.

Arystodem obejrzał się w kierunku, w którym odszedł Nabu.

– Skoro jest niemową, skąd znasz jego imię? Skąd wiesz, że nie jest zbirem?

– Ja i Nabu nie potrzebujemy słów. Czasami słyszę jego głos o, tutaj. – Ifigenia musnęła palcem skroń. – A przynajmniej wiem, co by powiedział, gdyby mógł.

– To jakieś czary?

– Być może.

Pokręcił głową, a potem wzruszył ramionami. Dość miał gadania o milczącym mężczyźnie.

– To... co będziemy robić? – zapytał.

– Gdy piękny młodzieniec spotyka się z dziewczyną, wypada, żeby patrzyli razem w gwiazdy. Czyż nie?

Z pewnym trudem oderwał wzrok od srebrzącej się sylwetki Ifigenii i popatrzył w niebo.

– Zaraz... Przecież ty ich nie widzisz.

Wieszczka zachichotała.

– Jeszcze nie. – Zrzuciła z ramion płaszcz i pozwoliła mu opaść na piach. – Chodź, siądź przy mnie. Weź mnie za rękę. I bez sprośnych myśli, proszę.

– Nie śmiałybym, póki twój ponury sługa jest w pobliżu.

– Bez czułych słówek i innych uniesień też się obejdzie.

– Wiem, wiem. Mam sobie niczego nie wyobrażać. Muszę powiedzieć, że nie pomagasz. Po co właściwie trzymamy się za ręce?

– Żebyśmy mogła widzieć. Patrz w gwiazdy. Dobrze. Widzisz?

– Widzę mnóstwo rzeczy: Heraklesa, mego przodka, jego rydwan...

– Źle patrzysz. Powinieneś widzieć kometę. Choć jej ogon jest jeszcze cieniutki, a blask przygaszony.

– Spadają gwiazdy, ale żadnej...

Umilkł, bo w tamtej chwili na nieboskłonie rozbłysnął jasny punkt niby rozgrzany węgiel. Zawirował i, zdawało się, rozwinął ognisty płaszcz. Granatowy przestwór rozcięła szrama.

Dziewczyna zadrżała. Szczupłe palce zacisnęły się na dłoni Arystodema – zimne, choć jeszcze chwilę wcześniej były gorące. Spojrzał w twarz wieszczki i zamarł. Patrzyła na niego para pustych oczu bez źrenic.

Serce potknęło mu się w piersi. Chwilę później Ifigenia zaczęła krzyczeć.

Heraklida poderwał się z miejsca, lecz nim zdążył cokolwiek uczynić, u jego boku pojawił się cień. Ostrze błysnęło mu w oczy. Potem przyszedł cios. Książę runął do wody.

Parsknął, otrząsnął się. Cień już nad nim wisiał. Arystodem odruchowo uniósł ręce w obronnym geście.

– Nic jej nie zrobiłem! – wykrzyknął.

Sztuch miecza oparł się o jego pierś.

– Nabu, zostaw go. – Głos Ifigenii dochodził jakby z bardzo daleka. – Mówi prawdę, nic mi nie zrobił.

Cień zniknął.

Arystodem dotknął rozciętej wargi. Dopiero z opóźnieniem doszło do niego, że niemowa

musiał w ostatniej chwili odwrócić ostrze i uderzyć głowicą. Na otchłań, ależ był szybki!

Książę uniósł się na nogi. Chciał podejść do Ifigenii, lecz groźba bijąca od stojącego tuż obok wysokiego mężczyzny osadziła Dora na miejscu. Nabu sam zajął się wieszczką – przyklęknął i objął ją delikatnie.

– Zostaw! – fuknęła.

– Strasznie krzyczałaś – powiedział Arystodem.

– Widziałeś kometę?

– Tak. To przez nią?...

– Zobaczyłam ją w świątyni, gdy dotknęłam twojej twarzy. Wiedziałam, że musisz na nią spojrzeć, aby wróżba była pełna, ale...

– Co?

Pokręciła głową.

– Powinieneś stąd odejść, książę. Powinieneś jak najszybciej uciekać do swojego brata.

– Do Kresfonta? A co do tego ma...

– Nie, do Temenosa. Nigdy nie powinieneś być się u nas pojawiać. Kometa przybyła tu za tobą... Ogień z nieba... Odejdź, książę. Wracaj do brata i jego wielkiej armii.

– Nie chcemy wojny, Ifigenio. Chcemy tylko wrócić do ziemi naszych przodków, na pastwiska, które wykarmią wszystkich głodujących.

– Za późno. Rozkaz wydany, wojna się zaczęła.

– Nie! Temenos nie wydał jeszcze żadnych rozkazów. Wysłał nas z poselstwem, bo nie chce z wami walczyć.

– Nie jego rozkaz miałam na myśli. Idź wreszcie, proszę cię. Nie możesz pomóc Kresfontowi. Jeżeli po niego pójdziesz, wróżba się wypełni. Orestes, Achajowie...

– Za późno... – powtórzył tępo Arystodem.

Wstrząsnął nim dreszcz, ramiona pokryła gęsia skórka. Tunika kleiła się do pleców. W głowie zaczęły wykwiatać myśli, zaraz za nimi przyszła złość.

– Wywabiłaś mnie – powiedział. – Rozdzieliliście nas, żebyśmy...

– Bogi! To zupełnie nie tak!

Książę potrząsnął głową, w księżycowym świetle mignęły krople wody. Bez dalszych słów obrócił się na pięcie i pognął w stronę miasta.

Pędził między skałami, a potem ścieżką, cały czas czując, jakby coś zimnego i lepkiego przetaczało mu się w żołądku. Jednocześnie zdawał się sobie dziwnie lekki. Szum jakiś załagał mu się między uszami, wypierał trwożliwe rojenia.

Arystodem wyhamował dopiero kilkanaście kroków przed bramą miejską. Z jego ramion i czupryny unosiła się para, przyspieszony oddech uciekał nozdrzami. Z daleka wypatrzywszy strażnika, wymacał pod płaszczem sztylet.

Żołnierz być może by go nie zaczepił, gdyby sam książę nie wpatrywał się w niego tak natarczywie. Dlatego krzyknął:

– Ej, młodzieńcze!

Arystodem stanął, spał się w oczekiwaniu na walkę.

– Jesteś sługą szlachetnej pani Ifigenii, prawda? Widziałem cię wcześniej w towarzystwie tego Luwity ze świątyni – powiedział wartownik. – Można spytać, gdzie żeś go zostawił?

– Nie twój interes.

– Woda się z ciebie leje. Coś ty, urwał się na nocną kąpiel?

– Mówiłem, nie twój interes. Daj mi przejść.

– No, no, chłopcze. Twój ton zda mi się mało uprzejmy, nie jestem pewien, czy mi się to podoba. Pani Ifigenia jest dla swych sług pobłażliwa, ale uważaj, bo jak będziesz pyskował, możesz się znaleźć na złym końcu bata.

Arystodemem zatrzęsło, pohamował się jednak.

– Daj mi przejść – powiedział. – Pani posłała mnie z pilną sprawą do świątyni.

Strażnik poprawił hełm, podrapał się po brodzie. Widać było, że spojrzenie młodzieńca nadal mu się nie podoba, lecz w końcu machnął ręką i wrócił na swoje miejsce.

Heraklida minął bramę, a kiedy tylko wyszedł poza pole widzenia żołnierza, ponownie ruszył biegiem.

Sąsiedztwo wynajętego domu wydało mu się w jakiś sposób odmienione. Na niewielkim placu panowała cisza, mimo że w oknach pobliskich budynków majaczyły głowy gapiów. Zatrzymał się, rozejrzał, następnie postąpił kilka kroków. Coś, może szmer, może co innego, kazało mu się obrócić. Z galeryjki jednego z domostw obserwowały go trzy kobiety.

Udając, że nie zwraca na niego uwagi, pomaszerował przez plac do drzwi domu, który dzielił z Kresfontem. Były uchylone, w środku przycupnęła ciemność. Ponownie strzelił wzrokiem ku gapiącym się mieszczkom, wysunął sztylet z pochwy, przekroczył próg.

Po posadzkach i schodach snuły się cienie. Przebłyśki księżycowej poświaty mrugały przez nieliczne świetliki, raczej tłamsząc przestrzeń, niż ją rozświetlając. W powietrzu wisiała metaliczna woń.

Arystodem wyjrzał na maleńki wewnętrzny dziedziniec. Upewniwszy się, że nikogo tam nie ma, wspiął się na piętro.

– Kresfoncie! – zawołał półgłosem.

Imię obilo się o ściany i zginęło, wchłonięte przez kurz tanich tkanin.

Księżę zawrócił, aby sprawdzić izby dla służby. Macając przed sobą drogę, dotarł do pierwszego z pomieszczeń.

– Kresfoncie!

Ułowił uchem trzask. Ktoś stanął za jego plecami.

* * *

Ifigenia wyciągnęła rękę, wiedząc, że Nabu ją chwyci. Dotyk szorstkich, silnych palców dodawał otuchy. Ujęła je mocno, mocno.

– Nie mamy czasu – powiedziała. – Muszę rozmawiać z panią Melantą. Może jeszcze... Szybko, prowadź do Świątynnej Drogi! Nie możemy sobie pozwolić na przedzieranie się przez całe miasto.

Mężczyzna wahał się chwilę.

– Biegiem, Nabu! – wybuchła. – Nie mamy czasu!

Uczuła szarpnięcie. Skoczyła przed siebie, żeby dotrzymać kroku długonogiemu Luwicie. Chwilę stąpali po wilgotnym piachu, później jej stopy zostały zaatakowane przez kamienie. Potknęła się, stłukła sobie palec. Znów się potknęła, naddarła kraj szaty.

Opiekun stanął.

– Nie zatrzymuj się, nic mi nie jest!

Niemowa nie zwrócił uwagi na słowa protestu. Poczowała ciepło, gdy nagle się zbliżył. Ziemia uciekła jej spod nóg. Nabu uniósł wieszczkę z taką łatwością, jakby była małą dziewczynką. Zarzuciła mu ramiona na szyję, poczuła zarost pod policzkiem, odetchnęła słoną, męską wonią.

– Pędź! – szepnęła mu prosto w ucho.

Pobiegł, a Ifigenii przez chwilę roiło się, że zstąpiła na niego nieziemska siła. Zaraz jednak zauważyła, że oddech sługi staje się cięższy. Po pewnym czasie długie nogi poczęły gubić rytm, a wreszcie obejmujące ją ramiona ogarnęło drżenie.

Już, już myślała, że wysiłek okaże się zbyt wielki, kiedy z piersi mężczyzny uciekło długie westchnienie. Wieszczka zamajtała w powietrzu nogami i została postawiona na ziemi.

– Pani Ifigenio?... – Rozległ się głos wartownika.

– Puście nas czym prędzej! Muszę rozmawiać z panią Melantą!

Przekroczyli bramę i dalej pognali bok w bok, aż wreszcie, zasapani, stanęli u Świątynnej Furty, przez którą wchodziło się nie tylko do cytadeli, ale bezpośrednio na teren świątyni. Wkoło zaraz rozgdały się pobudzone służki i kapłanki. Nim zdążyli dotrzeć do prywatnych komnat arcykapłanki, ta objawiła im się własną osobą na środku korytarza.

– Miłe bogi! Ifigenio, co się stało?! – wykrzyknęła.

– Musisz odwołać swoich siepaczy! – odparła wieszczka.

Zapadła cisza. Ifigenia, rzecz jasna, nie widziała wyrazu twarzy Melanty, poczuła jednak coś jakby falę chłodu przetaczającą się między murami. Po szelestach sukien poznała, że stłoczone kobiety poruszają się niepewnie i chyba wymieniają niepewne spojrzenia.

– Moje drogie, zostawcie nas – rzekła w końcu najwyższa kapłanka. – A ty, Ifigenio, pozwól ze mną. Musimy porozmawiać.

– Tak, musimy.

– Nabu, ty też wracaj do swojej komnaty.

Niemowa nie posłuchał. Zamiast tego zbliżył się do podopiecznej, ta jednak zwróciła ku niemu twarz i szepnęła:

– Nie sprzeciwiaj się. Idź, spakuj moje i swoje rzeczy. Rano opuścimy miasto.

Dopiero ten rozkaz sprawił, że Luwita się oddalił.

Melanta poprowadziła dziewczynę w głąb zabudowań, do niewielkiej kapliczki poświęconej Bogu Słońcu. Tam zasiadły na ławie, w księżycowej poświacie spływającej przez kwadratowy świetlik w suficie. W pobliżu nie pozostała żadna służka, która mogłaby zapalić lampę.

– Powiedz, Ifigenio, czy młody książę, ten osiłek z wielką maczugą, wioskowe bożyszcze, oczarował cię swoją urodą?

– Nie.

– Wcześniej powiedziałaś mi, że przyszedł jako zwiastun wielkiej armii. Czy coś się zmieniło?

– Nie.

– Czemu zatem dziwisz się, że wysłałam po niego ludzi? Jest wrogiem przybyłym na przespiegi.

– Jest też gościem, a bogowie chronią gości. Nie wolno ci go zabić! Jeśli jeszcze możesz, odwołaj swe sługi.

Starsza z kobiet pokręciła głową. W ciemności zadzwoniły kolczyki.

– Zabić? Nie zamierzam go zabijać. Trup na nic mi się nie zda, zaś żywy i w niewoli może się okazać bezcenny w rozmowach z Dorami.

– Rozkazałaś go pojmać?

– Tak, nie rozumiem więc, czego tak się boisz.

– Coś pójdzie nie tak. Widziałam krew... Melanto, jeśli żołnierze napadną na Arystodema i jego brata, zacznie się wojna. Z Hellajów nie zostanie kamień na kamieniu.

– Przesadzasz. Wojna i tak nas nie ominie. Jeśli idzie ku nam wielka rzesza górali, możesz być pewna, że cokolwiek byśmy zrobili, będziemy musieli z nimi walczyć.

– Ale oni są tak blisko! Nie zdążysz się przygotować. Proszę cię, póki jeszcze czas...

Kolczyki zadźwięczały ponownie. Ifigenia nie mogła tego widzieć, jednak starsza kobieta cofnęła się głębiej w mrok, przechyliła głowę – dziwnie podługowatą w skąpym świetle. Milczała przez chwilę.

– Nie ma już czasu – odezwała się wreszcie. – Dwa dni, powiadasz? Wiedziałaś to wcześniej?

– Nie. Zobaczyłam ich dopiero, kiedy na niebie pojawiła się kometa. Bóg Dorów dał znak, że będzie dla nich walczyć.

– To nic nie zmienia. Żołnierze na pewno już uporali się z tymi dwoma dzikusami. A jeśli nawet musieli ich zabić, nie szkodzi. Przynajmniej ciągnące ku nam wojsko straciło dwóch wodzów. Póki mamy flotę, nie wygrają. W najgorszym razie schronimy się na statkach.

* * *

Arystodem spróbował się obrócić, lecz nie był dość szybki. Napastnik uderzył go drewnianą pałką – wrednie, w nerkę, tak żeby bolało. Potem runął mu na plecy, przydusił.

Księżę szarpnął się, chcąc stanąć na nogi. Szczepieni, wykonali kilka pokracznych podskoków, niby ośmionoga bestia. Jednak atakujący znał się na swoim rzemiośle – z wprawą zapaśnika oplótł ofiarę rękami i nogami, po czym cisnął, cisnął.

Dorowi pociemniało przed oczami. Zmusił się, by jedną ręką puścić gniotącą mu krtań pałkę. Machnął niezdarnie. Coś łomotało mu w głowie, myśl jakaś, która mogłaby przynieść ratunek, gdyby tylko zdołał ją uchwycić.

Kresfontes... Kresfontes... Siłują się w trawie – dwa młode, opalone byczki. I Temenos. Patrzy, gani, poucza... Trawa pachnie, pachnie, pachnie...

Wspomnienie błysnęło w duszącym się mózgu. Heraklida uwolnił drugą dłoń. Oburącz sięgnął za plecy.

– Nie próbuj go łapać za jaja! – wołał Temenos. – Co ty jesteś, Hetyta? Uszczypnij go w udo! Szcyp, nie utrzyma cię! To kurewsko boli!

Napastnik zatańczył, z ust wyrwał mu się okrzyk zdziwienia. Poluźnił chwyt tylko trochę, jednak to wystarczyło. Arystodem złapał go za ramiona i przerzucił przez plecy. Muskularne

cielsko grzmotnęło o ścianę.

Książę zacharczał, opił się powietrza. Chciał stanąć, nie starczyło mu sił. Świat pływał przed oczami. Palce same, wiedzione przyzwyczajeniem wojownika, poczęły szukać upuszczonego sztyletu.

Tymczasem zbir pozbierał się, uniósł na nogi. Postąpił krok ku młodzieńcowi, wziął zamach pałką, lecz nim zdążył uderzyć, coś mlasnęło pod jego stopą. Stracił równowagę, zatrzepotał ramionami.

Arystodem nie czekał. Skoczył, uderzył nożem. Mężczyzna zaryczał, klapnął na tyłek. Ostrze ponownie dziabnęło ciało. Potem znów. Tym razem rozległo się tylko słabe kwiknięcie.

– Gdzie Kresfontes? – skrzeknął książę. – Gdzie... Krrresfontes? Gdzie Kresfontes, skurwysynu?

Zbir nie odpowiedział. Stracił przytomność, chwilę potem umarł.

Heraklida usiadł ciężko tuż obok zabitego. Wyciągnął się, oparł łokcie na podłodze. Pot lał mu się z czoła i z karku, kleił włosy, łaskotał między łopatkami.

„Tylko chwila – pomyślał książę. – Tylko odsapnę”.

Jego dłoń natrafiła na coś śliskiego, ciepłego. Wzdrygnął się, uświadamiając sobie, że w pomieszczeniu są dwa trupy. Myśli pognały trwożliwym torem. Uniósł się, począł macać za lampą.

„Kuchnia! – przypomniał sobie. – W kuchni będzie krzesiwko... A może i ogień płonie na palenisku”.

Łomocząc o meble, przedarł się przez dom. Pod wielkim garem czerwieniły się nie do końca wypalone bierwiona. Rozdmuchał żar i w jego blasku odszukał cienką szczapkę na podpałkę. Za jej pomocą przeniósł płomień do lampy oliwnej. Wrócił do korytarza, w którym został zaatakowany, nieopodal sypialni niewolników.

Światło lampy wykroiło z ciemności zarys tęgiej postaci, skulonej w żałośliwej pozie pod ścianą. U jej stóp leżał z rozkrzyżowanymi ramionami stary sługa, zarządca domu. Miał zapadniętą czaszkę, między zlepionymi krwią włosami połyskiwało coś szarego, wilgotnego.

„Uratowałeś mi życie – pomyślał Arystodem. – I nie jesteś Kresfontem”.

Obrócił żałośnie chude ciało na plecy, aby duch mógł swobodnie ulecieć do Boga Nieba. Następnie poleciał do kuchni po odrobinę wina, żeby dokonać obiaty. Na więcej nie miał czasu. Jeśli jego brat żył, należało go odszukać.

Przeszedł do sieni i wyjrzał na placzyk przed domem. Panował tam absolutny spokój, jakby nic się nie stało.

Książę wyszedł przed drzwi. Zawahał się, gdyż nagle uderzyło go, jak bardzo jest odsłonięty. Rozważał skrycie się w cieniu, lecz spostrzegł, że trzy kobiety na galerijce po drugiej stronie placu znów na niego patrzą. Coś w nim zawrzało. Śmiało ruszył przed siebie. Nim jednak zdążył wyjść w uliczkę, jedna z obserwatorek zawołała na niego:

– Chłopczyku!

Cofnął się, zadarł głowę.

Kobieta uniosła rękę i wykonała gest w stronę sąsiedniego budynku.

– Chłopak od Akakiosa-szewca poleciał już po straż.

Dor patrzył na nią bez słowa.

– Zwiewaj, śliczny chłopczyku! – Roześmiała się.

* * *

W korytarzu zaszumiały szaty, zaszurały sandały. Ktoś przebiegł kilka kroków i stanął.

– Pani Melanto? – Rozbrzmiał nieśmiały głosik.

– Tu jestem, dziewczyno! W kaplicy – rzuciła kapłanka rozdygotanym głosem.

Do komory zajrzała jasna główka oświetlona trzymaną w dłoni lampką.

– Pani Melanto, przybył posłaniec, jeden z tych mężczyzn, z którymi mówiłaś wcześniej. Bardzo mu się spieszy, chce pilnie widzieć się z tobą.

Starsza kobieta, mrużąc podrażnione blaskiem oczy i marszcząc czoło, spojrzała ku Ifigenii.

– Chodźmy. Na pewno chodzi o twojego księcia.

Wieszczka skinęła głową. Poszły za służką.

Posłaniec czekał w przedsionku świątyni – wysoki, chudy, o wystającej grdyce i przetłuszczonych włosach. Na widok najwyższej kapłanki spuścił wzrok.

– Pani... – bąknął.

– Cóż to? Czemu przychodzisz do świętego miejsca?

Mężczyzna łypnął ku dwóm dziewczynom.

– Zostaw nas – poleciła Melanta służącej. – Ifigenia może zostać.

– Pani, jeśli chodzi o Dorów...

Posłaniec urwał. Niespokojnie dłużył przy pasie.

– Co „jeśli chodzi o Dorów”? Czy wasza misja się nie powiodła?

– Zastaliśmy tylko jednego z nich. Zamiarowaliśmy napaść, lecz wtem napatoczyły się sługi... Doszło do bójki...

– Co z doryckim księciem?

– Uciekł, pani. Skoczył na nas z mieczem, ranił Hippolocha... Zrobiło się zamieszanie, ktoś zagasił lampę... Próbowaliśmy go gonić, lecz zatracił się w uliczkach.

– A co z drugim?

– Z jego powodu przychodzę...

Zbir przestąpił z nogi na nogę.

– No! – popędziła go Ifigenia.

Melanta spojrzała na nią, przekrzywiwszy głowę. Objęła spojrzeniem nagle zaczerwienione policzki, błyszczące oczy, rozchylone usta. Nic nie rzekła.

– Opowiem może po kolei, jak się rzecz odbyła – powiedział mężczyzna. – Oto, najsamprzód, pogoniliśmy za tamtym, lecz śliski był piskorz i zginął nam z oczu. Wtedy postanowiliśmy się rozdzielić. We trzech ruszyliśmy ku południowej bramie, Hippolocha zaś zostawiliśmy w domu, jakby się zjawił drugi, to ładne ksiązątko. Nim jednak dotarliśmy na miejsce, posłyszeliśmy wyrostka wołającego na strażę. Pobiegłem sprawdzić, o co krzyczy, i wtedy dowiedzieliśmy się, że młodszy z Dorów wrócił do domu, a potem wyszedł, niosąc okrwawiony sztylet. Wróciliśmy się zatem, że tak rzeknę, do tyłu i, jako żywo, natknęliśmy na niego w alejce. Chcieliśmy uciąć,

lecz on rzucił się na nas, pchnął Deinokrata. W brzuch. Paskudnie. Dałem mu pałką w łeb, ale on nie chciał leżeć. No i wtedy Ezop wściekł się i...

– I co? – zapytała Ifigenia.

– No, mówiłem mu, żeby przestał, ale on tłukł i tłukł.

– Czyli młodszy księżę nie żyje... – Melanta westchnęła. – Co zrobiliście z ciałem?

– Zawinęliśmy w worek i cisnęliśmy do morza.

– Źle się stało...

– Źle?! – Niewidzące oczy wieszczki przeszły posłańca. – Źle, Melanto?! Ci głupcy nie zabili jednego Dora. Właśnie zabili tysiące mieszkańców tego miasta.

Zbir cofnął się spłoszony.

– Nie rozumiem, co mówisz, pani – wymamrotał. – Myśmy tylko tego jednego... przypadkiem... Ezop zapędził się...

– Lepiej zamilknij – wycedziła Melanta. Spojrzała na Ifigenię. – Stało się.

* * *

Kallistos nie mógł spać. Pająk znowu szczypał go w twarz, mężczyzna leżał więc tylko, wdychał gnilną duchotę pobliskiego portu i w myślach ozdabiał niewidoczne w mroku sklepienie lepianki zmyślonymi mozaikami.

Nagle posłyszał głosy: ściszone, jedynie czasem zrywające się z uwięzi przekleństwem lub gniewnym słowem. Zaintrygowany, wychylił nos z nory – tak, aby widzieć, lecz nie być widzianym. Dwóch ludzi schodziło z miasta do ustronnej części zatoki, niosąc między sobą pękaty worek. Weszli na skały, wzięli zamach. Worek plasnął w wodę. Jeden z mężczyzn zaklął, drugi uczynił znak przeciw złemu. Oddalili się pospiesznie.

Kallistos odczekał, aż ucichną kroki, po czym wyszedł z lepianki i pobiegł w miejsce, w którym wcześniej stali. Nie pierwszy raz był świadkiem takiej sceny. Dotknął palcami blizny obejmującej jego policzek i prawe oko długimi, cienkimi odnóżami w miejscu, w którym przed laty bryznął wrzący olej.

– Jak sądzisz, pająku, przegapili jakie skarby? Warto wziąć kąpiel w zimnym szlamie i gównie?

– Nie gadaj tyle, tylko skacz, nim Ojciec Morze porwie twą nagrodę – odparł pająk.

Kallistos ściągnął łachmany i dał nura w cuchnącą topiel. Był wprawnym nurkiem. Już jako dziecko, zanim pająk wgryzł mu się w twarz, poławiał gąbki dla wuja Oniasa. Zwijając ciało niby węgorz, pomknął ku dnu. Wymacał worek, szarpnął kraj płótna. Materiał puścił, Kallistosa owionęła chmura bąbli. Z rozdarcia wychynęła czyjaś ręka.

ROZDZIAŁ VIII

Życie na wyspie biegnie od kilku dni swym zwykłym torem. Czarodziejka spędza poranek w hamaku, prężąc się, pomrukując, podstawiając słońcu nagie piersi i uda. Jeden z przygłupków krząta się przy świniami i innych gospodarskich robotach. Drugiego nie widzisz, zniknął gdzieś przed świtem.

Rozbitek siedzi nieopodal lepianki, okrywszy czoło słomianym kapeluszem. Kiedy nie podziwia Kirke, obserwuje jej brata, układa sobie w głowie jego dzienne poruszenia, śledzi okiem wyobraźni. Czasem przejdzie się na klif – tam, gdzie wcześniej, nocą, napotkał powracającego wielkoluda. Nikt mu tego nie broni, siada więc na skałach i obserwuje wicherzące się fale.

„Gdzieś tam musi być ścieżka – powtarza sobie za każdym razem. – Kamienne stopnie prowadzące w dół... tylko dokąd? Przecież nie ma gdzie zacumować łodzi”.

Pani wyspy woła go na obiad. Jedzą zwykle rybę i chleb, piją wino. Potem drzemią w swoich objęciach. Czas przecieka przez palce... Kochają się wieczorem, gdy morze wessie słońce, a z nim choćby część upału. Czasem także nocą, w półśnie, nie całkiem wybudzeni.

* * *

– Jesteś już niemal zdrow – mówi Czarodziejka. Jej oczy błyszczą w mroku, policzek parzy wyciągnięte ramię Rozbitka. Mężczyzna nagle czuje, jak coś zimnego i mokrego pada mu na skórę.

– Płaczesz? – pyta. – Czy to źle, że zdrowieję?

– Nie. Kobiety czasem płaczą bez powodu. Nie wiesz?

Z jego pamięci wypływa wspomnienie, na pół obce, dziewczyny, która po miłosnych uniesieniach zawsze płacze. Nie zna jej, a choć widzi w myślach twarz, nie poznaje. Chce coś powiedzieć, lecz gryzie się w język.

– Pora dokończyć zaklęcie – ciągnie kobieta. – Nie czujesz się gotowy? Nie chciałbyś na powrót stać się bohaterem?

– Nie byłem bohaterem.

– Skąd możesz wiedzieć? Ile pamiętasz z dawnego życia?

Rozbitek wzrusza ramionami. Głowa kochanki osuwa się na kobierce, na których leżą.

– Bohaterowie żyją tylko w pieśniach.

Milczą przez dłuższą chwilę, potem mężczyzna pyta:

– Jeśli nie oddam ci imienia... Co się stanie?

Czarodziejka siada, owija się pledem, przekrzywia głowę.

– Stracisz je.

– Co to znaczy? – Rozbitek się śmieje. – Dla mnie nic.

- Tłumaczyłam ci. Imię to twój daimonion...
- Daj spokój... Czary! Kirke... Odpuśćmy stąd. Co tu jest dla nas? Nie tęskno ci czasem do ludzi, do gwaru?
- Czasem.
- Wiem, że znasz jakieś zaklęcie, które pozwala twoim braciom opuszczać wyspę. Skorzystajmy z niego.
- Może na wiosnę. Niedługo jesień, zaczną się burze. Nie chciałbyś znowu się rozbić, prawda?
- Mężczyzna ożywia się, siada obok gospodyni i ją obejmuje.
- Rozbić się, zaraz rozbić! Daj mi tylko statek, Kirke, a zaraz zbiorę załogę dzielnych chwatów. Na morzu będę królem.
- Czarodziejka śmieje się, wplata palce w jego brodę, zaczyna łachotać, całować.
- A ja będę twoją morską królową?
- Czemu nie! Wykroimy sobie władztwo na jakiejś wyspie na achajskim morzu albo i na Półwyspie, zbudujemy zamek – lepiej pałac! – będziemy spać na luwijskich materiałach, upijać się kiprijskim winem. Pomyśl tylko, Kirke. Czarnookie Makedonki będą ci grały na cytrze, śniade Egipcjanki o gładkich ciałach bez ani jednego włoska będą cię namaszczają olejkami. Będziemy się wyprawiać na Krete, do Tracji, do potężnego Tyru...
- Dalsze słowa Rozbitka giną wśród pocałunków. Spomiędzy urywanych oddechów wrywa się głos kobiety:
- Jak ty pięknie kłamiesz, mężu morza. Och, jak ty pięknie kłamiesz. Och, och, jak pięknie...
- Znowu płaczesz?
- Z rozkoszy...

* * *

Czarodziejka śpi – jej twarz jak księżyc na tle czarnych loków. A Rozbitek po raz kolejny siedzi na skraju łoża. Przygląda się kochance. W oddali postępuje morze.

„Muszą mieć gdzieś łódź – myśli. – Muszą mieć gdzieś łódź. Inaczej Kirke nie bałaby się sztormów. Gdzie ją skryli? Gdzie ją skryli? W pobliżu klifu, to jasne... Chociaż... co, jeśli ścieżka wiedzie na klif od boku, z całkiem innej strony? Co, jeśli przygłup, zamiast pójść prosto do lepianki, wspina się, żeby zmylić ślady albo dla jakiegoś innego, sobie tylko znanego celu? Lecz w takim wypadku łódź nie byłaby wcale skryta, dostrzegłbym ją za dnia. Chyba że... Chyba że, jak szalony stary Antifates, zatapiają ją i wylawiają, ilekroć chcą użyć. Bracia Kirke są na to wystarczająco silni...”

Potrząsa głową. Myśli płaczą się ze wspomnieniami, które zdają się należeć do kogoś innego. Senność szmerze w uszach. Mężczyzna wstaje, aby ją odpędzić. Wymyka się z lepianki. Idzie skrajem wyspy, kopie kamienie. Po jakimś czasie teren się unosi, ziemia rośnie w klif.

Rozbitek dociera na szczyt z lekką zadyszka, choć wcale nie jest wysoko. Kładzie się na krawędzi, patrzy w dół. Morza nie widać, bo chmury przesłoniły księżyc i gwiazdy. Tylko dwie ciemne, bezkresne masy trą o siebie z dziwnie tęsknym szelestem. Trą, trą, sennie, nieprawdziwie...

– Odysie?

Wzdryga się, słysząc zimny głos pani wyspy. Dopiero teraz rozumie, że się zdrzemnął. Z jakiegoś powodu jest mu głupio, wstydzi się tych patetycznych majaków o morzu. Nadto odczuwa niepokój.

– Odysie?

Obraca się powoli na plecy. Czarodziejka i dwa wielkoludy stoją w odległości kilku kroków.

– Znasz moje imię?

– Oczywiście.

– Czemu więc chciałaś... No tak. Nie oddam ci go z własnej woli. Na pewno już to wiesz. Nie jestem głupi, Kirke, nie zamierzam reszty dni spędzić w twojej mocy.

– Szkoda. Pewnie bylibyśmy szczęśliwi.

Rozbitek cofa się rakiem, natrafia łokciem na pustkę za krawędzią skały, strąca garść piachu i kamieni, które z pluskiem giną w odmętach. Ogląda się i w wyobraźni widzi, jak chwyta je wir, jak nimi obraca i wciąga pod klif.

„Jakież byłem głupi – myśli. – Widziałem przecież patyki i resztki drewna niknące pod skałą”.

– Tam jest grota, prawda? – mówi na głos. – Nie widać jej stąd, ale właśnie tam chowacie łódź.

Unosi się na nogi.

– Nawet nie myśl, żeby skakać – odzywa się kobieta. – Tuż pod powierzchnią wody kryją się czarne skały.

Odys krzywi się.

– Tak mówisz? Może powinienem zaryzykować?

Czarodziejka wykonuje jakiś gest, chyba wzrusza ramionami. W ciemności nie widać dokładnie.

– Jeśli chcesz zostać obdarty ze skóry i posiekany w potrawkę, proszę bardzo.

– Nagle tak ci zubożył mój los?

– Jestem kobietą, mężu morza. Wiem, co znaczy się targować. A teraz chodź do domu.

– Po co? Kirke, zastanów się. Nie pokocham cię, miłość to nie komar, którego w końcu złapiesz, jeśli będzie cię wystarczająco długo gryzł w dupę. Równie dobrze mogę teraz rzucić się na skały, tyle samo będziesz miała pożytku. Wypuść mnie.

– Nie zamierzam, tak samo jak ty nie zamierzasz skończyć ze sobą. Jesteś mój. Jeśli nie pójdziesz po dobroci, zabiorę cię siłą. Aristerosie...

Stojący po jej lewej stronie osiłek porusza się z szybkością, która nijak nie przystaje do zwalistych członków i głupkowatego wyglądu. Krótkim susem dociera do Rozbitka, chwyta go za ramiona, odciąga od krawędzi.

Odys reaguje jak podczas walki – zamiast napiąć mięśnie kurczy się w sobie, aby nie dać chwytającym go ręką oparcia. Wywija się, uderza pięścią w bok atakującego olbrzyma. Słysząc głucho mlaśnięcie tłuszczu, pod którym kryją się gruzła mięśni. Równie dobrze mógłby tłuc w świńską tuszę.

Jakby znikąd pojawia się dłoń Deksiosa, drugiego brata Czarodziejki. Wielgachna pięść ociera się o bark Rozbitka. Wielkolud chwyta go za brodę i ciągnie. Ofiara wierzga, próbując nie dać

się skrępować Aristerosowi.

Przez sapnięcia walczących przedziera się śmiech kobiety. Odyseusz czuje, że traci grunt pod nogami – dosłownie. Mocarne łapy unoszą go w powietrze. Woń potu atakuje nozdrza. Szarpie się, jednak na marne. Chwilę później ląduje na podłodze w lepiance. Kirke zapala lampę.

– Rozbierzcie go – rozkazuje braciom. Klęka przed obnażonym i skrępowanym mężczyzną. – Jeśli nie oddasz mi swego imienia, zabiorę je sama. To będzie bardzo bolało, lepiej więc się zastanów. I tak już go nie odzyskasz, to zostało postanowione, gdy spadłeś w głębiny. Albo wezmę je ja, albo przepadnie w otchłaniach Boga Morza.

Rozbitek spuszcza głowę. Mimo iż noc jest ciepła, czuje, że jego ciało pokrywa gęsia skórka.

Czarodziejka przypatruje się jeńcowi. Milczy. Przez chwilę w lepiance panuje bezruch. Potem ramiona kobiety obejmują szyję kochanka. Korалowe usta muskają łysinę, zaczerwienione po zapasach ucho.

– Czemu się opierasz? – szepcze Kirke. – Czy naprawdę jestem tak wstrętna?

W odpowiedzi mężczyzna coś wywarkuje.

Pani wyspy sztywnieje, lecz jeszcze się nie cofa.

– Co mówisz? – pyta.

– Achilles... – charczy Odys. – Achilles...

Wbija zęby w gładkie ramię muskające mu policzek. Mocno, do krwi. Kobieta piszczy. Odskakuje. Jeden z wielkoludów, dezorientowany, poluznia chwyt – w sam raz na tyle, aby Rozbitek zdołał uwolnić prawą rękę i wyrwać Czarodziejkę lampę. Płomień rozmazuje się, tnąc ciemność. Chwilę później natrafia na groteskową twarz Deksiosa i gwałtownie gaśnie. W lepiance rozbrzmiewa ryk. Oślepie cielsko miota się jak ćma, rozbija sprzęty, rozpycha ludzi.

Już tylko jeden z przygłupów trzyma jeńca. Ten zbiera wszystkie siły. Tłucze na oślep pięścią, ale olbrzym jest nieporuszony. Zacieśnia chwyt i cofa się, próbując usunąć z drogi rzucającego się w szale brata. Na nic. Deksios wpada na niego w pełnym biegu. Cała trójka pada na ziemię.

Rozbitek czuje pęd powietrza, gdy kułak wielkości szynki wali w polepę tuż obok jego policzka. Odtacza się na bok. Na wszelki wypadek nie wstaje, tylko na czworaka pełźnie tam, gdzie – jak sądzi – powinny znajdować się drzwi. Uderza w coś miękkiego, ogarnia go zapach ziół, oplatają czyjeś ręce. Czuje uderzenia drobnych piąstek. Głos Kirke wyje mu do ucha.

Bez trudu obezwładnia Czarodziejkę, przygniata ją do ziemi, dusi obejmując ramieniem szyję. Włosy pchają mu się do oczu, do ust, do nosa. Ciało, które tyle razy pieścił, teraz stawia mu opór. Wypełnia go niezrozumiała żądza pomieszana z wściekłością. Ma ochotę naraz zerznąć kochankę i skręcić jej kark. Przez szaty czuje, jak jej ciało drży. W jego nozdrza wkręca się zapach strachu.

Rozlega się potworny łoskot. To oszalały z bólu Deksios wpada na drzwi i rozbija je w drzazgi, po czym, zawodząc, pędzi w poprzek wyspy. Przez wybitą zwalistym cielskiem dziurę napływa odrobina światła księżycy wyglądającego zza chmury. W poświęcie Rozbitek widzi skrawek twarzy Czarodziejki: ucho, policzek, nos, rozwarłe usta...

– Nie idź za mną – szepcze i poluznia chwyt.

Unosi się, zostawiając na ziemi dyszącą Kirke. W tej samej chwili pozostałości drzwi przesłania cień.

Odyseusz rzuca się na niego, z ust ulatuje mu krzyk. Aristeros próbuje się odwrócić, lecz

rozpędzony jeniec uderza w niego w połowie obrotu, obalając na ziemię. I jest już wolny. Pędzi ku morzu.

Z daleka widzi, że Wielki Bóg nie jest mu łaskawy, bo trwa właśnie odpływ. Mimo to rzuca się w wodę. Zimny, słony kobierzec okrywa mu głowę, fala niesie od brzegu. Mężczyzna nie walczy, dopiero kiedy morze zaczyna go ciągnąć na powrót ku brzegowi, zaczyna wykonywać silne wymachy ramionami.

Żywiół miota nim, przysuwa, odsuwa, a przede wszystkim próbuje porwać na otwarte przestrzenie, gdzie będzie mógł zatopić ofiarę i ponieść ją do przedwiecznych pałaców w głębinach. Jednak Rozbitek walczy. Zagarnia wodę ramionami, kopie. Za wszelką cenę stara się nie zgubić rytmu.

Z każdym wywalczonym oddechem ubywa mu sił, a gdy myśli już, że morze zwycięży i pogrzebie go żywcem, tuż przed nim z topieli wyłania się czarna skała odsłonięta przez odpływ. Kalecząc dłonie i kolana, wspina się na kamienie, kładzie na plecach, parska. Powietrze wyrywa mu się z piersi, wydając dźwięk, jakby rozdzierało płuca.

Odys pozwala sobie na chwilę odpoczynku, potem siada, zwalcza trzęsionkę. Rozgląda się i mimo mroku widzi, że jest blisko celu. Klif majaczy nad głową – grota musi być niedaleko.

Wzdryga się, wchodząc z powrotem do wody. Ciało nie chce znowu walczyć. Lecz tym razem jest trochę łatwiej. Nie musi płynąć, może brodzić. Posuwa się naprzód jak mała, pomagając sobie rękami. Nie chce, aby fala odpływu go wywróciła. Dochodzi do kolejnej wyższej skały. Znowu chwilę odpoczywa. Poranione dłonie pieką.

Pełźnie dalej, jeszcze dalej, jeszcze trochę, jeszcze tylko trochę...

Że wszedł już do skrytej jamy, pierwsze zauważają jego stopy. Zapadają się w ciepły biały piasek. Rozbitek opada na kolana, odgarnia włosy z twarzy. W jaskini jest ciemno, więc po omacku rozpoczyna poszukiwania łodzi. W ciasnocie nie trwa to długo. Chwyta burtę łupiny oburącz i ciągnie ku morzu.

Przy wyjściu z jaskini zatrzymuje się, schyla, opiera dłonie na kolanach. Nie jest nawet rozgoryczony, nie ma na to siły.

– Kurwa mać... – warczy tylko.

Na skałach czeka – niby jakaś opasła syrena – przyglupi brat Czarodziejki.

Odyseusz łypie ku wiosłu porzuconemu w łupinie. Wygląda na dosyć ciężkie, od biedy mogłoby posłużyć za broń. Przeciw normalnemu człowiekowi. Na tej górze sadła i mięśni raczej nie zrobi większego wrażenia. Zresztą... Czy jest sens?

– Aristeriosie!

Rozbitek unosi głowę. Na szczycie klifu niewyraźnie rysuje się sylwetka pani wyspy. Wiatr unosi jej słowa:

– Aristeriosie, zostaw go! Wracaj do mnie, na górę!

Wielkolud ociąga się, wygląda na zmieszanego.

– Powiedziałam...

Przyglup garbi ramiona, schodzi ze skały. Brnie przez wodę ku sobie tylko znanej ścieżce.

Uciekinier przez chwilę nie wie, co robić. Czeka, aż Kirke zrzuci mu kamień na głowę. Jednak kobieta nic nie robi, zatem Odys spycha łódkę do wody, wskakuje do niej, zaczyna wiosłować. Odpływ, który wcześniej o mało go nie zabił, teraz jest mu pomocny.

Po kilkudziesięciu uderzeniach wiosłem mężczyzna ogląda się i widzi Czarodziejkę. Wciąż stoi na klifie, ma uniesione ramiona.

W oddali ponuro śmieje się grzmot. Wiatr marszczy taflę wody, kolebie łupiną. Chmury uciekają po nieboskłonie, odsłaniając księżyc.

„Bogowie” – myśli Rozbitek.

Wraca do wiosłowania. Żeby tylko dopłynąć do następnej wyspy, zanim... W plecy uderza go deszcz. Błyskawica tnie ciemność.

„Niemożliwe – powtarza w myślach Odys. – Nie znowu”.

Fala przychodzi niespodziewanie.

* * *

– No, to już ostatnia – sapnął Akakios, zwalisty właściciel rybackiej łodzi. Pot łał mu się z czoła, bardziej słony niż zwykle, śmierzący mułem. Przemoczona tunika przylgnęła do potężnego brzuszyska. Ale połów się udał, a gliniane beki, pełne i zasolone, stały równo na plaży. – Heronie, na miłe bogi, zostaw już te sieci! Nic im nie będzie. Ptactwo chwast wyłuska, nie bój ty się. Chodź do ognia. Jak tam, stary, miecznik zrobiony?

– Jak kawaler w noc poślubną!

Grubas pociągnął nosem.

– Niemłody to chyba kawaler i obzarty mułem.

Siadł niedaleko ognia, przy którym krzątał się siwowłoso, pomarszczony niczym dwutygodniowa marchew mężczyzna, brat jego nieżyjącego teścia. Po chwili dołączyło do niego dwóch młodzików, byczkowaty syn Akakiosa oraz leniwy pomiot jego również nieżyjącego brata. Heron, młody mąż dopiero co zmarłej córki Akakiosa, wciąż dłuwał przy sieciach.

– Ludzi to z niego nie będzie – burknął grubas.

– Czego się ryby czepiasz? – odparł urażony Stary. Dźgnął palcem zarumienioną skórę miecznika. – Może starawy, ale ciągle soczysty.

– Ja nie o... Nieważne! Heronie! Heronie, co ty tam robisz?

Młokos przybiegł zdyszany. Byczek i Leniwy Pomiot właśnie odpieczętowowali bukłak wina.

– A wy czego, psiejuchy, bez pozwolenstwa do wina się dobieracie? – warknął Akakios.

– Nie głędź, ojciec. Patrz, Heron będzie nam bajał, bez wina się nie obędzie.

– Będziesz? – zapytał rybak.

– Będę, panie – odparł młodzieniec. – Zdało mi się, że w oddali ujrzałem żagiel, ale nie było jaki. Czarny.

Pozostali popatrzyli po sobie.

– Żagiel Myrmidonów! – Nie wytrzymał Heron.

Akakios z powątpiewaniem omiół wzrokiem czerwieniejący między dwoma wyspami widnokrąg.

– Myrmidonów, mówisz... – mruknął.

Heron usiadł, wyrwał bukłak Byczkowi i pociągnął szybki łyk, nim cenny trunek przechwycił Leniwy Pomiot.

– Powiadają, że na północy wojna i król, przepomniałem imienia, ten, co włada wielką krainą na północ od Teb, wezwał Achillesa z Azji, by przybył mu z pomocą. Ów rozesłał wici i teraz ciągną do niego Myrmidoni ze wszystkich stron świata. A gdzie przepłyną, tam zaraz morze wymywa trupy. Zobaczycie. Niech skonam, jeśli jutro, gdy się obudzimy, nie będzie przy nas drzemał nieboszczyk.

– Jak skonasz, to ty będziesz nieboszczykiem – zauważył trzeźwo Leniwy Pomiot.

Byczek przemysłał to i parsknął śmiechem. Ojciec dał mu w ucho.

– Pleciesz, Heronie – powiedział Akakios, choć bez wielkiego przekonania. – Szybkonogi Achilles-król został zabity podczas oblężenia Troi. Powiedział mi to Turios, który był żołnierzem Wedaneusa, jednego z wodzów towarzyszących staremu Nestorowi-królowi.

– Turios, syn Filowergosa, syna kurwy i osła? – Stary nagle się ożywił. – To łżawe nasienie! Kłamliwe i podłe!

– Tak, tak, stary – przerwał grubas. – Masz tu, napij się wina, bo krew ci się wzburzy. I obróć no rybę, spalenizną coś wonie.

– On moją słodką, nadobną... – wymemlał dziadyga przez ustnik bukłaka, jednak wino zatopiło dalsze słowa.

– Różnie się mówi o losach wielkiego Achillesa-króla – podjął Heron. – Wszak długo walczył jeszcze w Azji, gdy wodzowie Achajów zaczęli już wracać do domu.

– To być może – rzekł Akakios. – Lecz podobno pan nasz, Antyloch-król, był świadkiem jego śmierci.

– Nie jego, lecz Patrokla z Lokrydy, wielkiego przyjaciela Achillesa. Sam Achilles podbił krainę, której nazwy nie sposób wymówić, poskramiając jej królową... – skupienie ściągnęło brwi Herona w gruby węzeł, gdy próbował przypomnieć sobie imię – ...Pun Tu Szaliję. Dziś Achilles włada nieprzebranymi rzeszami ludu i jada na dworach egipskich królów. Z pewnością jednak przywiedzie wojska, aby bronić Achajów, gdy nadejdzie nasza najczarniejsza godzina.

– Jaka najczarniejsza godzina? – parsknął Byczek. – Co on plecie?

– Kiedy hordy barbarzyńców spopiela północne krainy ogniem z nieba, ich gniew zwróci się ku pradawnym grodom Achajów, Mykenom, Lakedaimonowi, Pylos... Tak, Pylos też – rzekł młodzik. – Tylko Achilles-król, nieśmiertelny wybranek Boga Morza, zdoła nas ocalić.

Rybacy wymienili skonsternowanie spojrzenia. Twarz Herona płonęła dziwnym blaskiem.

– Głupi jesteś – burknął w końcu Leniwy Pomiot. – Znowu słuchałeś tego durnia...

– To nie dureń, tylko wieszcz. – Heron się naburmuszył.

– Taki z niego wieszcz jak z psiej dupy trąba. – Syn Akakiosa roześmiał się z własnego dowcipu.

– Tak, łże jak pies, Filowergos zawsze był łgarzem.

– Zamknij się, stary – warknął Akakios. – A wy słuchajcie, bo teraz powiem, jak to jest naprawdę.

– A co ty, ojciec, wiesz? – Jego syn uniósł brwi.

– Ano wiem, wiem, zdziwiłbyś się. Oto wyobraźcie sobie, że na północy żadnej wojny nie ma.

Trzej młodzieńcy wytrzeszczyli oczy na Akakiosa, który uśmiechał się pod wąsem i z zadowoleniem gładził po brzuchu. Tymczasem Stary wolał skupić się na rybie i dawnych

krzywdach.

– Jak to nie ma? – wypalił Heron.

– No, królikowie, rzecz jasna, przepychają się trochę. Jak to zwykle bywa. My, biedacy, musimy tyrać, żeby oni mogli zarżynać się mieczami. Tak już ten świat jest urządony. Dajcie mi no wina, chłopcy, niech przepłuczę usta.

Bukłak przeszedł z rąk do rąk. Młodzi mężczyźni z pobożnym skupieniem obserwowali, jak Akakios bierze długi łyk trunku, beka, ociera wąsy.

– W każdym razie żadnej wielkiej wojny nie ma. Nie ma hord krwiożerczych górali, którzy pozrą nasze kozy i zgwałcą nasze żony, albo i na odwrót. Są za to... – Grubas zrobił przerwę, tak dla dramatycznego efektu, jak dla ułożenia sobie w głowie tego, co mu rzekł wędrowny mędrzec, którego dwa tygodnie wcześniej poczęstował niezbyt świeżą rybą. – Są za to kupczyki. A tak, tak, co się wyślepiacie? Nie królowie rządzą tym światem, lecz kupczyki. No bo patrzcie... Kiedy nasz pan, Antyloch-król, po śmierci ojca swego Nestora-króla wrócił do Pylos, nawiózł ze sobą srebra a złota tyle, że mógłby wszelki kamień w swym pałacu zastąpić drogim kruszcem. Nie tak było? Inni królowie obłowili się nie gorzej. I co się stało? Ano spowszedniało złoto, srebro straciło swój blask. Wy, młodziki, tego nie pamiętacie, ale gdym był dzieckiem, w całej naszej wiosce jeden Filowergos posiadał srebrny puchar, który przywiózł z jakiejś dawno zapomnianej wojny, podczas której walczył u boku Nestora-króla.

– Tak było – potwierdził Stary. – Za ten kielich kupił cnotę mojej słodkiej, a potem dupczył ją jak kurwę...

Akakios odchrząknął.

– Tej rybie dość już chyba. Pokrajaj ją, stary – powiedział, po czym ciągnął: – Dziś srebrne puchary – i to po kilka! – można znaleźć w każdym domu. Figurki bóstw domowych powlekane złotem. Z tych mężów, co z Nestorem i Antylochem pociągnęli pod Troję, każdy otrzymał złotą bransoletę i pas nabijany srebrnymi guzami. Tylko cóż z tego, kiedy żarcia nie ma, bo by było pada, a plony usychają z upału? I kto znalazł się w najgorszych tarapatkach? Ano kupczyki z północy, górale znaczy. Tam nawet w lepszych latach mało co rosło, ale póki złoto było drogie, mogli kupować zboża i sera, i oliwy, ile duch zapragnie. Po trojańskiej wojnie to się zmieniło, dziś jednak mają znów swoją szansę. Większość łupów już przepita, starczy tylko przekonać naszych kupczyków z południa, że złoto ciężko dostępne, że trzeba je gromadzić, bo przecież wojna i niedługo mogą zostać zniszczone wszystkie kopalnie. I proszę, zaraz ruszą na północ sznury wozów z suszonymi rybami, prosem, jęczmieniem, oliwkami... A że chcą, psia ich mać, żebyśmy się bali, to gadają o wojnie.

Młodzieńcy kiwali głowami, napychając gęby plackami i pieczonym miecznikiem. Jeden tylko Heron nie wydawał się przekonany i supłał brwi w poczuciu, że coś w wywodzie Akakiosa nie trzyma się kupy. Tymczasem słońce już zapadło w głębiny, na plażę opadły ciemności.

Kiedy się posilili i popili winem, grubas wstał i oświadczył:

– No, od tego gadania szczać mi się zachciało.

Lekko bujanym krokiem – wino było mocne, nierozcieńczone – wyszedł poza krąg światła rzucanego przez ognisko. Podreptał między przybrzeżne skały. Od pewnego czasu miał problemy z sikaniem, a nie chciał, by gówniarze później śmiali się z niego, że popuszcza po kropelce. Oddalił się zatem o dobrych kilkanaście kroków, nim podciągnął tunikę i przystąpił do rzeczy.

– Dalej, no, dalej... – mruknął pod adresem zbuntowanego kawałka mięsa.

Zapieкло, syknął, spiął pośladki. Mocz ciurknął kilka razy. Akakios westchnął, spróbował zmienić pozycję. Wtedy właśnie jego stopa natrafiła na coś wśród mułu. Cofnął się, zaklął, zawahał. Po krótkim namyśle stanął o krok dalej i wrócił do walki.

Ulżywszy sobie na tyle, na ile zdołał, wrócił do tajemniczego przedmiotu, przykucnął przy nim. W ciemności widać było jedynie błądy zarys czegoś na poły zagrzebanego w piachu. Rybak wyciągnął przed siebie rękę.

– Heronie! – zawołał. – Chłopcy!

– Czego tam, ojciec?

Akakios zgrzytnął zębami.

– Heronie! – powtórzył.

Młodzieniec przybiegł. Pozostali dwaj też się ruszyli, choć z ociąganiem.

– Co się stało, panie?

Grubas kiwnął głową ku jasnemu kształtowi.

– Ano, to się stało.

– Czy to...

Leniwy Pomiot podszedł do nich, trącił kształt stopą.

– Trup? – zapytał

– Trup – powiedział Akakios. – Mówiłem ci, Heronie, żebyś nie krakał? Mówiłem?

– Nie przypominam sobie...

– Może ma sakiewkę? – Byczek kucnął obok ojca.

Leniwy Pomiot poszedł w jego ślady.

– Durny ty – burknął. – Nie ma nawet przepaski na dupie, a co dopiero mówić o sakiewce.

Razem chwycili ciało i obrócili je twarzą do góry. Heron pochylił się, żeby lepiej widzieć, lecz zanim zdążył cokolwiek zrobić, syn Akakiosa krzyknął, zderzył się z nim, upadł na tyłek i rakiem rzucił do ucieczki. Leniwy Pomiot również odskoczył.

– Co jest? – zapytał Heron. – Co się stało?

– Ruszył ręką – powiedział Leniwy Pomiot. – Jak mi bogi miłe, to utopiec! Próbował mnie capnąć za gardło.

Akakios klęknął. Pochylił głowę nisko, nisko.

– Dyszy, psiajucha – powiedział. Obejrzał się za synem. – Wracaj tu, tępą pało! To nie duch. Ten człowiek żyje.

Heron z zapartym tchem zbliżył się do naczelnika.

– Żyje? – zapytał.

– Aha. Ale jest zimny jak podziemne otchłanie i chyba długo już nie pociągnie. Pomóżcie mi go dźwignąć.

Chwycili go w trzech i ponieśli ku ognisku, nieomal wpadając na przyciągniętego hałasem Starego.

– Topielec? Topielec? – dopytywał się dziadyga.

– Topielec, tyle że żywy – odparł Akakios. – Daj wina. Albo lepiej octu. I koce, dawaj koce.

Złożyli mężczyznę blisko ognia, okryli jego nagie, powleczone łuszczącą się skórą członki i poczęli łać mu w gardło kwaśny napitek. Rozbitek zakrzuszył się, zacharczał, poruszył suchymi, poszarpanymi wargami. W blasku płomieni jego twarz i siwa broda przybrały zielonkawą barwę. Na łysinie zalśniły kropelki potu. Otworzył oczy.

– Spokojnie – powiedział Akakios. – Nic ci nie grozi, przyjacielu.

– Napadli was Myrmidoni? – zapytał Heron. Leniwy Pomiot dał mu po głowie.

– Myrmidoni... – powtórzył nieznajomy. – Nie... Achilles... nie żyje.

– Dajcie mu wina – rozkazał grubas. – Masz, napij się... Powoli...

Topielec zakrzuszył się ponownie, splunął, potem chwycił bukłak i pił łapczywie. Gdy skończył, głowa mu opadła. W oczach zatańczyły światła.

– Umarł? – szepnął Heron.

– Gdzie tam – fuknął Akakios. – No, cofnijcie się, chłopcy. Zróbcie mu trochę miejsca. Pobiegnijże który po mojego przygłupiego syna.

– Gdzie jestem? – zapytał rozbitek.

– Nieopodal Rikii, dwa dni drogi od Pylos. Skąd przybywasz, przyjacielu?

– Nie pamiętam...

– A jak cię zwą?

Nieznajomy popatrzył na Akakiosa. W jego wielkich oczach zakotłowały się różne uczucia.

– Tego również nie pamiętam...

Grubas powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych rybaków.

– Bóg Morze zabrał mu rozum – powiedział Stary. – Znam to, znam.

– Jak to? – zapytał Heron.

– Widziałem to nieraz. Pamiętasz mego szwagra, Akakiosie?

– Tak. Łowił perły, prawda?

– Gdy byliśmy młodzi. Ja też łowiłem... – Starzec uśmiechnął się, zadumał.

Akakios chrząknął.

– No i co z nim? Zabił go mór, jeśli się nie mylę.

– Tak, ale pierwaj pomieszało mu się w głowie. Bóg Morze nie lubi, by mu podkradać skarby. Pilnują ich syreny, a jeśli kogo przyłapią, zabierają mu rozum i kończy jak ten tu nieszczęśnik.

– Niczego nie kradłem... – wymamrotał rozbitek.

– Wasz statek zatonał, czy tak? – zapytał Akakios.

– Nie pamiętam. Pamiętam tylko...

– Co?

– Mureny. Mureny przy brzegu. I sen. Śniłem bardzo dziwny sen...

– Czy pamiętasz cokolwiek innego? – drążył naczelnik. – Dokąd zmierzaliście, kto był dowódcą?

– Podróżowaliśmy do... Podróżowaliśmy do Lakedaimonu. – Mężczyzna poderwał się nagle. – Muszę dotrzeć do Lakedaimonu!

– Spokojnie, spokojnie, napij się jeszcze wina.

Rozbitek przyjął odrobinę trunku, westchnął i omdlał. Jego pierś unosiła się ciężko, zęby podzwaniały.

– Co z nim zrobimy? – zapytał Heron.

– Jeśli wyżyje do rana, zabierzemy go do wioski.

– A potem?

Akakios wzruszył ramionami.

– Moglibyśmy go sprzedać – zasugerował Leniwy Pomiot.

– Może...

Nieznajomy ocknął się na chwilę.

– Moje imię... – powiedział. – Czarodziejka mówiła, że nazywam się Outis. Nazywam się Outis. Outis.

Zasnął ponownie.

– Nazywa się Nikt? – zdziwił się Heron.

ROZDZIAŁ IX

Polyperchon raczył się attyckim sikaczem, jednym uchem słuchając brzęczenia Makhawona, a drugim rozmów kmiotków zgromadzonych w tawernie grubego Lykosa. Słuchał, bo mówiono o jego panu, szlachetnym Oreście. I o królowej kurwie Klitemestrze, o tym, jak zamordowała Agamemnona-króla, jak oberżnęła mu łeb siekierą, gdy wychodził z kąpieli. Niewolnik słuchał i uśmiechał się, kryjąc usta za glinianą czarką. To o siekierze sam zmyślił nie dalej jak tydzień wcześniej, natchniony winem.

Ludzie ciągnęli do Lakedaimonu ze wszystkich stron świata i, jak się zdawało, żyli tylko krwawymi wydarzeniami z Myken. Wielu możliwych, towarzyszy broni starego Atrydy i innych, ciekawskich, odwiedzało Orestesa. Z kolei młodź chętnie mu towarzyszyła, gdy ćwiczył w przypałacowych ogrodach z mieczem i włócznią.

Makhawon beknął donośnie.

– Słuchaj no, Polyperchonie, czy opowiadałem ci już, jakem pod Amydonem, tym azjatyckim Amydonem, nie trackim, walczył z dzikimi Pitassanami? A właściwie o tym, jakem o mały, małuśki włos nie zginął, wycinając drogę dla wielkiego Agamemnona-króla?

– Z pewnością. Najmniej cztery razy.

– Bitny to lud, Pitassanowie, bitny bez dwóch zdań. I odważny. Tak odważny, w istocie, że nie dość, iż nie nosi w bitwie tarczy ni pancerza, to nawet z przyodziewku się odziera. Straszny to widok, gdy biegną na ciebie, wymachując fujarami. Powiadam ci, przerażający, ścinający krew, ogłupiający, zapierający dech. W dodatku każdy jeden obdarowany jak koń. Fujary ich, powiadam ci, grubości mojej ręki – i to te najcieńsze! Ale tak się złożyło, że gdyśmy mieli na nich ruszyć, gdyśmy odśpiewali pean, strach ich coś zdjął i poszli w rozsypkę. Wyobraź sobie, machając tym gigantycznymi pałami, dymali przez pustynię jak wystraszone dzieci. A my, hajda, gonić, za nimi! Biegniem, biegniem, patrzymy, przychodzą do zmysłów, obrót wykonują i na nas. Ja – w pierwszym rzędzie! Pchnięto mnie prosto na włócznie. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że się pośliznął i padł na ziemię. Wtem oglądałem się – nade mną pitassański wódz, książę co najmniej. Stoi, bierze zamach włócznią... Myślałem, że po mnie. No, powiadam ci, już rozliczałem się z bogami, już polecałem ducha Matce Ziemi, gdy coś mię natchło i, haps!, za fujarę tego Pitassana. I cisnę. On wrzeszczy, żebym puścił. Nic to, ja cisnę mocniej i wołam: „Rzuć włócznię, bo urwę ci pytę, nim mnie przebodziesz”. On woła litości. Ja trwam nieugięty...

Polyperchon kuksańcem pod zebro przerwał tyradę starego wojaka.

– Patrz ty.

– Co?

– Sługusy Drakomacha.

– I co z tego? Hej, gdzie idziesz, a wino?!

Polyperchon, głuchy na biadolenia, pociągnął Makhawona ku trzem byczkom, którzy właśnie weszli do tawerny.

– Aj, aj, duzi coś – szepnął żołnierz. – Czego chcesz od nich?

– A nic. Przywitać się tylko.

To powiedziawszy, niewolnik zgarnął z pobliskiej ławy glinianą butelkę i nim jej właściciel zdążył zaprotestować, z rozmachem walnął pierwszego z brzegu byczka w głowę. Sługa zalał się krwią, miauknął i rymsnął na polepę. Makhawon, szybko przetrzeźwiały, kopnął drugiego w krocze. Następnie pchnął Polyperchona ku drzwiom.

Na sali podniosły się krzyki, powstał rumor. Kilku mężczyzn skoczyło na nogi. Człowiek, który stracił butelczynę, wraz z jednym towarzyszem rzucił się w pogoń, lecz utknął wśród postępujących osiłków.

– Po coś to zrobił? – jęknął Makhawon.

Polyperchon nie zdążył odpowiedzieć, bo w samym wejściu do tawerny wpadł na masywnego jednookiego zabijakę.

– Co tu się dzieje?

Z tyłu ktoś krzyknął:

– Naszych biją!

Zabijaka spojrział w twarz sługi Orestesa. Grymas wściekłości wykrzywił mu usta. W dłoni mignął nóż.

– Litości! – zawył Makhawon, rzucając się mężczyźnie do nóg.

Tamten uniósł ręce, jakby skoczył na niego karaluch. Spróbował się cofnąć. Stary wojak szarpnął go za łydkę, pchnął barkiem i obalił w kurz.

– W nogi!

Wraz z Polyperchonem przeskoczyli nad wściekłym osiłkiem, pognali w dół uliczki.

– Gonią nas?

– Biegnij! Nie czas się oglądać!

– Widziałeś, jak się złożył ten, którego walnąłem butelką?

– Głupiś!

– Gonią?

– Otchłań nadała! Biegnij, idioto! Jeszcze ulicę dalej! No, jeszcze jedną!

Polyperchon wyhamował, oparł się o mur i oddał dyszeniu. Makhawon rzucił się w pył obok niego. Szarpnęły nim torsje.

– Będę rzygał! – ostrzegł.

Niewolnik się roześmiał.

– I zmarnujesz całe wino, które ci kupiłem?

– Po coś ich zaczepiał? Dupa ci niemiła? Chcesz, żeby ktoś oddzielił od niej resztę ciała?

– Nie dramatyzuj, opoju. Mój pan będzie rad.

– Głupiś jak każdy niewolnik. Na pana lepiej się nie oglądaj, bo on nigdy nie obejrzy się na ciebie.

Polyperchon skrzywił się, złapał starego wojaka za włosy.

– Ajajaj, czego?! – rozdarł się tamten.

Sługa Orestesa nie odpowiedział, tylko pchnął towarzysza na ziemię i ruszył ku kolejnej

tawernie. Makhawon skoczył mu na plecy, obalił, przycisnął łokciem twarz. Jego żyłaste ramiona okazały się zadziwiająco silne.

– Zapominasz się, przyjacielu – wysyczał. – Nie z niewolnikiem masz sprawkę. Mógłbym cię teraz zabić i nikt złego słowa by mi nie powiedział.

– Musiałbyś oddać memu panu kupę srebra – stęknął Polyperchon. Zachichotał. – No, złaź, kapcanie. Mamy jeszcze robotę.

* * *

Odyniec był piękny. Kroczył przez zarośla, za nic sobie mając odległe nawoływania nagonki. Stroszył lśniąca szczerć, trącał ryjem gałązki, podszczypywał liście. W kłębie mierzył dobrze ponad trzy łokcie, a ważyć musiał z dziesięć garnców wody, czyli więcej niż dwóch dorosłych mężczyzn. Widać było, że choć już niemłody, wciąż jest silny, a w okresie lochania wygrywa wszystkie walki. Zdawało się, że jego szable mogłyby ciąć spiż.

Orestes uśmiechnął się, wziął zamach. Zafurkotał oszczep. Dzik parsknął krótko... i zniknął wśród niepokalanków. Pofrunęło za nim nieprzystojne słowo.

– Szukasz pomsty za ojca, Agamemnonido?

Księżę obrócił się, by ujrzeć mężczyznę w pewien sposób przypominającego dzika, którego dopiero co chybił: wysokiego, barczystego, o siwiejącej brodzie porastającej kwadratową żuchwę, przystojnego mimo przeszło trzydziestu lat na karku. Agapenor-król, władca Arkadii.

Młodzieniec uśmiechnął się i poszedł po swój oszczep.

– Nierozważnie jest zostawiać przybocznych i samemu gonić za zwierzyną – ciągnął Arkadyjczyk.

– Tibe nie ma pojęcia o polowaniu, a swym ciężkim krokiem mógłby najwyżej przepłoszyć wszystkie dziki w okolicy. Tak jak ty to uczyniłeś z tym pięknym odyńcem. Z kolei Darda... Cóż, on nadaje się tylko do opowiadania historyjek o trackich duchach przy tułaczym ognisku.

Władca przekrzywił głowę. Jego twarz miała dziwnie bezduszny wyraz.

– Udajesz beztróskę, tak? Nie wątpię jednak, że masz świadomość, jak wielu ludzi w Lakedaimonie chce dziś twojej śmierci.

– O, chyba nie jest ich aż tak wielu. I z pewnością ty nie jesteś jednym z nich, szlachetny Agapenorze-królu, wojowałeś wszak u boku mego ojca.

– W istocie.

– Powiedz zatem, czemu postanowiłeś przepłoszyć moją zdobycz.

– Z tego samego powodu, dla którego zaprosiłem cię na łowy. Chcę się z tobą rozmówić. Mam propozycję.

Orestes klepnął się w udo, parsknął, przysiadł na pniaku.

– Świetnie, zatem będziemy knuli z dala od wraźych uszu.

– Knucie nie leży w mojej naturze. Obce mi są dworskie ceremoniały i intrygi. Jak mówiłem, mam propozycję.

– Mów, proszę.

– Dam ci ludzi na wojnę z Ajgistem. Jeśli chcesz, mogę też zeznać, że widziałem, jak Klitemestra truła wino, którego ożłopał się Agamemnon, zanim padł stratowany przez dziką

świnie. Byłem na tamtym polowaniu.

– Pięknie. A czegoż życzyłbyś sobie w zamian?

– Ręki Heleny, gdy Menelaos-król wreszcie umrze.

Atryda dumiał przez chwilę.

– Chcesz więc dla siebie Lakedaimonu... To wysoka cena.

– Nie. Chcę ręki Heleny. Mówię, co myślę, Oreście. Powinieneś o tym wiedzieć.

– Taaak... Cóż. Niestety, stryj mój jeszcze żyje i choć wydaje się na pół martwy, może w tym stanie ciągnąć całe lata. Znane są takie przypadki.

Dzikowaty mężczyzna pokręcił głową.

– Zdziwię się, jeśli dotrwa do następnej wiosny. Bogowie nie powinni długo dręczyć wojownika, który nie jest w stanie dźwignąć miecza.

– Czyżbym wyczuwał w twych słowach ukrytą sugestię?

– Jeśli tak, nie było to moim zamiarem. Nigdy niczego nie sugeruję. Menelaos wkrótce pożegna się z tym światem, to wszystko. Nie ma dzieci, jeśli więc nie zostaniesz zabity, będziesz miał prawo do jego tronu i jego kobiety. Wtedy oddasz ją mnie. Ja w zamian dam ci ludzi.

– Ilu?

– Ilu chcesz. Mam ich pod dostatkiem. Wiesz, ilu żołnierzy powiodłem pod Troję?

– Pieśniarze śpiewają o sześćdziesięciu okrętach.

– Tyłu użył mi Agamemnon-król. Do tego miałem jeszcze dwadzieścia pięć własnych. Przeszło cztery tysiące mężczyzn oblegających Troję pochodziło z Arkadii, księżę. Była to niemal czwarta część naszej armii. Nie liczę posiłków, które sprowadziłem później. Większość tych ludzi zginęła, ale do dziś dorosło wystarczająco wielu, aby pod twoją wodzą podbić Mykeny.

– I oddasz mi ich, w zamian żądając jedynie ręki pięknej Heleny. Dlaczego?

– Nie jestem już młody, księżę, a jedyne dzieci, jakie mam, to parszywe bękarty. Potrzebuję spadkobierców szlachetnej krwi.

– Menelaos i Helena nigdy nie dorobili się potomstwa.

– Wierzę, że Menelaos nie dość był mężczyzną, aby zapłodnić boską Helenę. Ze mną będzie inaczej. Wiem to od wyroczni.

Orestes uśmiechnął się krzywo, zmierzył rozmówcę wzrokiem.

„Tak – pomyślał. – A wasze dzieci będą zarazem piękne i potworne”.

Zachichotał.

– Czemu się śmiejesz, księżę?

– Bez powodu. – Wstał z pniaka. – Jeszcze o tym pomówimy, Agapenorze-królu. Tymczasem chodź, pomożesz mi odnaleźć dziką świnie, którą przepłoszyłeś.

* * *

Na dziedzińcu słyhać było dwa podniesione głosy: jeden kłopotliwy, drugi – niższy, pobrzmiwający groźbą. Pierwszy rozlegał się częściej, lecz Orestes go nie poznawał. Drugi ponad wszelką wątpliwość należał do Pyladesa. Atryda wkrótce ujrzał przyjaciela, który

z zaciętymi ustami i skrzyżowanymi ramionami słuchał trajkotania wysokiego, chudego mężczyzny o żółtawej twarzy, poczerwieniałych z gniewu polikach i rzadkiej, czarnej brodzie. Z odległości dwóch kroków kłótni przysłuchiwał się rządca Menelaosa.

– Naosie! – zawołał na tego ostatniego Orestes. – Cóż to za człowiek niepokoi mego przyjaciela i burzy pokój królewskiego domu pokrzykiwaniami?

Obaj mężczyźni i eunuch obrócili się natychmiast.

– Jestem Tripolemos, syn Tripolemosa z Asine. Przybywam do ciebie z ważkim posłaniem, szlachetny Oreście...

– To sługa Drakomachosa – wpadł mu w słowo Pylades. – Przyszedł się targować o jakiegoś niewolnika.

Naos nie odezwał się, a jedynie cofnął o krok, jakby chciał pokazać, że to nie jego sprawa.

– Targować?! – zakrzyknął Tripolemos. – Tu się nie ma o co targować, książę! Niewolnik twój, rozpoznany przez liczne a wiarogodne osoby, poturbował dzisiaj w tawernie niewolnika szlachetnego Drakomacha, skutkiem czego ów zmarł. Niewolnik, ma się rozumieć. Pan mój, któremu niemiła jest gościna Menelaosa-króla, przysłał mnie w swoim zastępstwie, abym zażądał wydania złoczyńcy. Jednak twój szlachetny przyjaciel robi trudności!

Orestes zwrócił oczy ku Pyladesowi. Błysnęła w nich iskierka – na poły złości, na poły rozbawienia.

– Szlachetny przyjacielu, nie rób trudności. Poślij no po sługi nasze, niech się wytłumaczą. Tibe i Darda, rzecz jasna, są poza podejrzeniem, gdyż obaj towarzyszyli mi na łowach.

Wkrótce zjawili się czterej niewolnicy. Na ich widok Tripolemos uniósł palec i zawołał:

– To ten!

– Ja? Ja nic nie zrobiłem...

– Łże, ściervo! Nie mam wątpliwości – to człowiek, którego mi opisano. Zdradzają go długie ręce Makedona, jasny włos i barbarzyńska aparycja!

– Polyperchonie, czy zabiłeś dziś kogoś w tawernie? – zapytał książę, z trudem udając surowość.

Sługa wyszczerzył zęby.

– Dziś, panie? Niech pomyślę... Nie, dziś akurat nie. Nazbyt byłem zajęty osuszaniem butelczyny attyckiego sikacza.

– Łże, powiadam ci, panie, łże! Nie wykręcisz się, łotrze, dwudziestu mężów cię widziało! Uderzył niewolnika w głowę butelką, skutkiem czego tamten wkrótce zmarł.

– Polyperchonie, powiedz prawdę. Uderzyłeś dziś kogoś butelką, gdyż już osuszył ją ze szczętem?

Sługa milczał przez chwilę, niby szukając w pamięci.

– Tak – rzekł w końcu. – Uderzyłem, ale butelka nie była moja.

– Nadto więc jest jeszcze złodziejem!

– Ciii... Szlachetny Tripolemie, za głośno mówisz. Nie wiesz, że król jest niezdrów?

Mężczyzna przygryzł wargę.

– Orestesie, po co się z nim męczysz? – odezwał się Pylades. – Bójka w tawernie zwykła rzecz. Tamtego drugiego żywym wynieśli, a że później umarł...

– Nie, nie. Tripolemos ma słuszość. Nie chciałbym w niczym uchybić szlachetnemu Drakomachosowi, jeśli więc jego mienie ucierpiało, gotów jestem mu zadośćuczynić. Jakiej odpłaty żąda twój pan?

– Drakomachos uważa, że jedyną słuszną odpłatą za krew jest krew.

– Nie, tak nie będzie – odpowiedział Atryda. – Mój niewolnik więcej jest wart od Drakomachowego, inaczej nie zdołałby pobić go na śmierć. Gdybym zatem zgodził się, aby go – dajmy na to – powiesić, poniósłbym stratę. Przekaż jednak swemu panu, że z chęcią zapłacę cenę zabitego niewolnika w srebrze.

– Oreście... – wtrącił syn Strofiosa, lecz przyjaciel uciszył go machnięciem ręki i ciągnął:

– Niech Drakomachos spotka się ze mną tutaj, w pałacu, a wręczę mu zapłatę.

Tripolemos zmierzył go przenikliwym spojrzeniem.

– Wiesz, że poprzysiągł cię zabić – powiedział.

– Wiem. Sądzę jednak, że przez wzgląd na święte prawo gościny wstrzyma się jeszcze jakiś czas. W przeciwnym razie nie dostanie swojego srebra.

Posłaniec skubnął palcami brodę. Zbliżył się o pół kroku do Orestesa i powiedział, zniżywszy głos:

– Czemu to robisz, książę? To tylko niewolnik. Miłości pomiędzy tobą a Drakomachem być nie może, ale po co dolewać oliwy do ognia? Nie dość ci, że w jego osobie rzucasz wyzwanie królowi Myken?

– Król Myken stoi przed tobą. I nie targuje się z psami. Teraz odstęp, bo każę Polyperchonowi wypróbować twardość także twojej głowy.

Tripolemos cofnął się gwałtownie, zaś Naos postąpił krok w przód, gotów uspokajać gości swego pana.

– Postępujesz nierozsądnie, książę – powiedział posłaniec, złym okiem patrząc na młodzieńca. Pylades zacisnął dłonie w pięści, stanął przed przyjacielem.

– Nie mniej niż ty, wypróbowując naszą cierpliwość – powiedział. – Idź precz!

Tripolemos parsknął, zawinął płaszczem i ruszył do sieni, śledzony przez rządcę. Kiedy tylko zniknął z pola widzenia, syn Strofiosa zwrócił się do niewolników.

– Koniec widowiska, wracajcie do przydzielonej wam komory.

– Polyperchonie, ty nie – odezwał się Orestes. – Mamy do pogadania. Zaczekaj w naszej komnacie.

– Tak, panie.

Sługi się rozeszły i młodzieńcy zostali sami.

– Widzę po twojej minie, że chcesz coś powiedzieć – mruknął Atryda.

– Na początek to, że nie wiem, skąd mielibyśmy wziąć srebro, które przyobiecałeś Drakomachosowi.

– I tak nie stawi się po nie, cóż więc za różnica. Coś jeszcze?

– Tak. Ten śliski robak zadał jedno trafne pytanie: dlaczego to robisz?

Książę się roześmiał.

– Bo mogę – powiedział.

Pylades pokręcił głową.

– Drakomachos jest dużo groźniejszy niż Ajgistos. Nie sądzę, aby rozsierzanie go mogło nam w czymkolwiek pomóc. Gdybyś po prostu odmówił, byłoby lepiej.

– Zanadto się tym wszystkim przejmujesz, mój piękny. Chodźmy lepiej. Mamy do pogadania z tym nicponiem Polyperchonem.

– Zamierzasz go ukarać? Zdaje mi się, że uderzył tamtego niewolnika, aby ci się przypodobać...

– Ależ nie będę go karał. W żadnym razie. Chociaż powinien znać swoje miejsce. Po prostu mam dla niego zadanie.

Rozmawiając, pomaszzerowali do komnaty, którą dzielili. Czekał tam już Polyperchon. Na ich widok błysnął szelmowskim uśmiechem.

– To jak, panie, dobrze się spisałem?

– Jesteś osioł, Polyperchonie, i spisałeś się jak osioł – sarknął Orestes. Rozwalił się na klinie.
– Gdyby cię w tej tawernie utrupili, straciłbym szóstą część majątku, a będzie mi on w tej chwili potrzebny.

Niewolnik stropił się, jednak wciąż się nie poddawał.

– Gdzie by mnie tam te kurwie wypierdki zabić zdołały. A tak szpilę wbiliśmy Drakomachosowi...

– Jakaż to szpila? Śmierć niewolnika mniej by go obeszła, niż zgubienie niewygodnej pary sandałów, gdyby nie to, że myśli, iż stało się to na moje polecenie.

– Prawda to. Wszakże...

– Nie mędrkuj, tylko słuchaj, bo mam dla ciebie zadanie.

– Cokolwiek rozkażesz, panie.

– Podlizywanie się też zbyt wiele ci nie da. Do rzeczy. Chcę, abyś jutro wziął Tibego, Dardę, Edonasa, Alfeusa i Alfeosa na targ.

– Jasna sprawa. Ma się rozumieć. W jakim celu?

– Sprzedasz ich.

Wyraz rozbawienia zniknął z twarzy Polyperchona. Sługa popatrzył na Pyladesa, jakby szukał u niego potwierdzenia.

– Sprze... sprzedać ich? – zająknął się.

– Tak. Są moją własnością i postanowiłem ich wymienić na dobra bardziej użyteczne. Woły, dokładniej rzecz biorąc. Zamierzam złożyć piękną ofiarę w świątyni Bogini Ziemi.

– Woły. Mam ich wymienić na woły – powtórzył tępo Polyperchon.

– Właśnie. Obawiam się, że po wojnie wartość niewolników bardzo zmalała, niemniej powinno ci się udać utargować jeszcze kilka srebrnych bransolet czy innego takiego śmiecia.

– Ale... Czy nie przysłużą ci się bardziej... Myślałem...

– Cóżże myślał?

– Tibe, Darda i ja stawaliśmy z tobą w boju. Służymy ci, odkąd byłeś chłopcem...

– Do czego zmierzasz?

– Naprawdę każesz mi ich zabrać na targ i sprzedać za... za bydło?

Orestes uniósł się z kliny. Już się nie śmiał, siedział ponury niby posąg bóstwa.

– W rzeczy samej – powiedział. – Jednak, jeśli wolisz, mogę cię teraz odesłać, a na twoje miejsce poprosić Tibego. Sądzisz, że on również będzie miał opory?

– Nie, panie. Zrobię, jak każesz.

– Znakomicie!

Książę skoczył na równe nogi. Schylił się, objął ramieniem niewolnika i poprowadził go ku drzwiom.

– A, i jeszcze jedno. Pamiętasz tę bransoletę, którą ci obiecałem? Od ciebie zależy, czy zdołasz ją sobie kupić z tego, co zostanie po sprzedaży moich niewolników. I dołóż jakiś pierścień za tego dupka, któremu rozbiłeś łeb.

– Tak, panie.

Kiedy Polyperchon opuścił komnatę, Pylades spojrział bystro na kochanka.

– Ofiara z wołów? – zapytał. – Zdawało mi się, że gardzisz bogami. Czyżbyś nagle zapragnął ich pomocy w czekającej cię walce?

– Nie. Ale wiesz, ilu ludzi może się nazwać dwudziestoma czy trzydziestoma wołami?

– Z pewnością poniosą cię na ramionach. Nie wątpię też, że wypiją twoje zdrowie. I cóż z tego?

– Pyladesie, jak ty nic nie rozumiesz!

– Objaśnij mi to zatem.

– Bogowie może mi i nie pomogą, ale inaczej rzecz ma się z ich kapłankami. O, wielkie usługi mogą oddać święte niewiasty, i to nawet po tym, jak się je już wychędoży.

Syn Strofiosa uszczypnął przyjaciela w ucho.

– Au! – zawołał mykeński książę. Przyciągnął ku sobie kochanka, padli na klinę i chwilę siłowali się jak dwa psiaki.

– Czyżbyś nabierał plebejskich gustów? – wysapał w końcu Pylades. – Najpierw bogowie, potem żarcie, teraz ruchanie? Odzywa się w tobie krew Atrydów...

– Kto wie. Tym razem jednak zamierzam przepuścić nadobnym czcicielkom Bogini Ziemi. Tym bardziej że ciągnie mnie ku Helenie.

– Wielkie bogi! Rozumiem, że chciałeś uwieść córkę Ajgista, ale Helenę?

Orestes się roześmiał.

– O cóż ty mnie podejrzewasz? Powiedziałem „ciągnie mnie” w przenośni... Wszak uwodzenie żony stryja byłoby czynem... haniebnym.

– Proszę. Nagle zaczęło cię obchodzić to, co małuczcy zwą moralnością.

– E, gdzieżby znowu. Po prostu już zbyt wielu mężów szturmowało ten zamek. Skupże się, złoty chłopcze.

– Sądzisz zatem, że Helena... wesprze twoją sprawę?

– Podobno, przed wiekami, nim dziad mego dziada został królem Myken, Achajami władaly kobiety. Z pewnością moja matka cieszyła się większą powagą niż kozojeb Ajgistos, choć on pochodzi z rodu Pelopsa, a ona była Lakonką. Tu zaś Helena jest u siebie. Dworki mogą szeptać za jej plecami różne rzeczy, ale popatrz tylko na żołnierzy i możnych. Pożerają ją oczami.

- Jaki zatem masz plan?
- Nie mam żadnego. Jednak gdy Menelaos umrze, chcę ją mieć po swojej stronie.
- Nie będzie łatwo. Po tym, co zrobiłeś...
- No właśnie...

Orestes odepchnął Pyladesa, uniósł się z kliny i podszedł do okna. Wyrzał na okrywające się cieniem pola.

- Jej łagodność mnie intryguje – powiedział. – Zobaczymy. Może uda się to wykorzystać.

* * *

Woły pobekiwały radośnie, nieświadome, że idą na rzeź. Ciągnęły chmarą przez miasto, wznieczając kurz. Za bydlęciem fruwały roje much. Od brzęczenia i gorąca drżało powietrze. Ludzie, jak to ludzie, rzucali zajęcia, gapili się, tręcali w bok sąsiada, pokazywali palcami. Oto i księżę w pięknym rydwanie, młody bóg, wielki niby góra, prawdziwie Atryda. Chwała Atrydom! Chwała Atrydom!

Dzieciaki śmigały, śmiejąc się, za orszakiem. Piętami rozgniatały kule łąjna. Co chwila grupki gapiów dołączały do pochodu. Dziesiątki brzuchów mówiły swym właścicielom, że tam, gdzie gromadzone jest bydło i gdzie składane są ofiary, musi trafić się okazja, by się napchać.

Stado przewędrowało kręte drogi od bydłowego targu po bramy cytadeli. Zatrzymało się dopiero u stóp przypałacowej świątyni, gdzie naszykowano zawczasu altany dla znamienitszych ofiarników oraz długie ławy dla innych gości i kosze placków dla pospólstwa.

Orestes zeskoczył z rydwanu. Powędrował szerokimi schodami do świątynnej bramy. W ślad za nim ruszył Polyperchon prowadzący tłustego, dwuletniego byczka, obdarowanego przez bogów szerokim karkiem, błyszczącymi oczami, ostrymi rogami i potężnymi jajami.

U progu świętego przybytku przyjęła księcia Helena – złociejąca w blasku młodego słońca. Przyjęła go uśmiechem i odwiecznymi formułami, lecz w jej oczach błyszczało pytanie. Młodzieniec był rad – lubił zaskakiwać. Wbrew obyczajowi padł na kolana przed żoną stryja i zawołał donośnym głosem:

– Pani, korzę się przed tobą i błagam o wybaczenie ciebie oraz bogów! Ciebie, bo przelałem krew z twojej krwi! Bogów, bo zламаłem ich święte prawa!

Królowa-kapłanka, wyraźnie zmieszana, złożyła smukłe dłonie na jego ramionach. Przekrzywiła głowę w niemym pytaniu, następnie gestem nakazała błagalnikowi stanąć na nogi. Dała znak świątynnym niewolnikom, aby kontynuowali ofiarę.

Dwóch krzepkich młodzieńców odebrało byczka od Polyperchona. Zwierzę zostało zaciągnięte w pobliże ołtarza, gdzie w wielkiej, choć zaskakująco ubogo ozdobnej glinianej misie płonął ogień. Byk, węsząc dym, spłoszył się nieco, lecz wprawne sługi utrzymały go w ryzach.

Orestes wziął od świątynnego sługi pozłacany młot z brązu. Stanął na miejscu ofiarnym. Byczek spojrział na niego trwożliwie wielką, okrągłą źrenicą.

„Zła wróżba – pomyślał księżę. – Powinieneś być odważny”.

Wziął zamach i gruchnął młotem w czaszkę zwierzęcia, która pękła z trzaskiem. Pod ogłuszonym, już konającym bykiem ugięły się nogi. Przez zebrany na pobliskim placu tłum

przebiegł szmer zachwytu. Mocarz, mocarz, taki mocarz! Zwykle cios miał tylko otumanić, śmierć zaś przynosiła kapłanka.

Zza pleców Heleny wyłoniło się wielkookie dziewczątko o palcach cienkich niczym brzoze witki. Niepokojąco wprawnym cięciem noża przerwało agonię byczka, spuszczając krew z jego szyi do cynowego naczynia podstawionego przez niewolnika. Następnie dziewczę odwróciło się, obdarzyło Atrydę rozbrajającym uśmiechem... i umknęło.

Młodzieńcy, którzy wcześniej przejęli ofiarne bydlę od Polyperchona, teraz przystąpili do oskórowania zewłoku. Uwinęli się sprawnie i książe mógł przejść do karmienia płomieni naznaczonymi wiekową tradycją częściami ciała byka – tłuszczem, wątrobą, sercem.

Woń krwi i spaleniżny wystraszyła stado, lecz nie było już dla niego ratunku. Kolejne woły mordowano tam, gdzie stały, a po odrzuceniu tego, co bogom należne, i rozebraniu tusz wrzucano mięso na ogień licznych palenisk na placu. Zaczęła się ofiarna uczta.

Orestes i Helena ulali wina Bogini Ziemi, skosztowali pieczeni. Potem królowa-kapłanka powiodła siostrzeńca do jednej z komór świątyni, do której przystęp mieli mężczyźni. Z dworu, przez świetlik, wpadała jedynie odrobina światła. Orestes siadł w plamie blasku na kamiennej ławie.

– Nie rozumiem cię – powiedziała Helena. – Po co ta ofiara? Żeby przypodobać się prostym ludziom?

Książę milczał przez chwilę; wyłamywał długie palce.

– Dziwi cię, że mogę szukać przebaczenia... – rzekł wreszcie.

– Boskiego?

– Twojego.

– Na co ci moje przebaczenie? Na co ci czyjekolwiek przebaczenie? Jesteś przecież Atrydą.

– Pyszny jak mój ojciec, wiem. I jak twój mąż, Menelaos-król.

– Jeśli tak jest, jedyną osobą, której przebaczenia możesz pragnąć, jesteś ty sam. Niedawno jednak powiedziałeś mi, że nienawidziłeś Klitemestry.

Kiwnął głową.

– To prawda. A jednak... a jednak była moją matką.

Królowa wstrząsnęła lokami, siadła obok młodzieńca, a gdy złożył głowę na jej ramieniu, nie drgnęła.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Co? Dlaczego ją zabiłem?

– Tak.

– Aby pomścić ojca.

– W to nie wierzę. Pamiętam, jak patrzyłeś na niego w Aulidzie. Czy... czy zabiłeś Klitemestrę za to, że nie obroniła wtedy Ifigenii?

– Nie obroniła żadnego z nas. Ani mnie, ani Ifigenii, ani Elektry. Nienawidziła nas od urodzenia, bo byliśmy jego pomiotem.

Helena westchnęła.

– Jak zamierzasz odebrać Mykeny Ajgistosowi?

– Nie wiem jeszcze. – Roześmiał się. – Z pomocą stryja z pewnością byłoby mi łatwiej.

– Wiesz, że nie możesz tego od niego wymagać.

– Bo umiera?

Królowa otworzyła usta, lecz szybko je zamknęła. Pokręciła głową.

– Umiera – powtórzył młodzieniec. – Za rok, może za dwa zostanę ci tylko ja.

– Jesteś okrutny, Oreście.

– Przepraszam. – Dziwny uśmiech rozciągnął usta księcia. – To ta zła krew. Mój ojciec był okrutny i moja matka była okrutna.

– Pamiętam cię jako chłopca... – Helena urwała. Coś niewypowiedzianego zawisło w powietrzu. Zmieniła temat. – Postawiłeś Menelaosa w trudnej sytuacji. Nie może cię skazać na śmierć, bo jesteś jego bratankiem, a Achajowie już widzą w tobie dziedzica potęgi Atrydów. Nie może też iść na wojnę ze swym kuzynem Ajgistem. Czas na to był, kiedy umarł Agamemnon, teraz już za późno.

– Kiedyś byłeś bardziej wojownicza. Znam historie...

– Zmieniłam się. Za wojowniczość przyszło mi drogo zapłacić.

– Daj spokój. Dusi cię ten pałac, widzę to. Dusi cię pokuta, którą sobie narzuciłaś.

– Lubisz wielkie słowa, Orestesie.

Olbrzymim ciałem młodzieńca wstrząsnął śmiech.

– Tak, lubię je – przyznał. – Pasują do mnie, nie sądzisz?

– Też kiedyś tak myślałam. Nawet nie wiesz, jakie piękne, wielkie słowa szeptałyśmy sobie z Aleksandrem.

Urodziwy gość podniósł głowę, spojrzał w oczy gospodyni. Głęboko wśród połyskliwej zieleni i brązu tlił się zaczepny ogieniek.

– Wyobrażam sobie... – mruknął książę. – Ty i ja, Heleno, jesteśmy do siebie trochę podobni. Może krew Tyndareosa jest jednak silniejsza niż krew Atreusa.

– Krew Tyndareosa jest gorąca i jadowita. Pali, nie pozwala spocząć. I proszę, teraz ja również mówię wielkimi słowami.

– Pali... – powtórzył Orestes.

Uniósł palec, obrócił twarz Heleny ku sobie. Zawahał się, jednak złożył na jej ustach delikatny pocałunek.

Uśmiechała się, a on poczuł, że rumieniec kąsa go w policzki. Nie było ani odrobiny żaru w tym muśnięciu ust. Tak dziecko całuje piastunkę. Cofnął się zakłopotany. Wstał. Wyszedł.

ROZDZIAŁ X

Gdy wypływali z portu, Ifigenia stała na dziobie kupieckiego stateczku. Mimo iż nie mogła widzieć znikających w oddali Hellajów, nie chciała być zwrócona twarzą ku miastu. Słuchała posapywania wioślarzy i twardych uderzeń fal o kadłub. Wyczuwała bryzę. Z początku powietrze było ciepłe, pachniało rybami i stęchlizną, jednak robiło się coraz chłodniejsze z każdym wymachem dwudziestu par dzierżących wiosła ramion. W końcu przykra woń znikła, roztopiła się w zapachu soli. W tym momencie dowódca statku krzyknął, zadudniły wciągane wiosła, żagiel warknął, zatrzepotał i stęknął, chwytając wiatr. Wypłynęli z zatoki.

Coś zakłuło wieszczkę w oczy.

– Fala jest przeciw nam, prawda? – zapytała. Uniosła twarz. – Wiatr dmie w stronę lądu.

Stojący obok Nabu poruszył się szybko. Ifigenia czuła w nim jakąś zmianę. Odkąd przyszedł po nią rano, z podróżną skrzynią i mieczem u boku, wydawał się silniejszy. Może broń przydawała mu pewności, jakby była naturalną częścią jego istoty.

– Zaprowadź mnie gdzieś, gdzie możemy usiąść. Ale nie pod pokład. Chcę słuchać morza.

Luwita muśnięciem dłoni pokierował dziewczynę ku rufie. Zasedli na ławie. Podeszedł do nich ktoś śmierzdzący przetłuszczonymi włosami.

– Pogoda nam nie sprzyja, pani – powiedział. – Wieje dziś z południowego wschodu. Zwrócimy się ku Tafos, a jeśli wiatr się nie odmieni, zawiniemy na Itakę. Mam towary, które muszę gdzieś sprzedać.

Ifigenia nie odpowiedziała. Mężczyzna chrząknął, odczekał kilka uderzeń serca.

– Nie martw się, pani, prędzej czy później zawrócimy ku Naupaktos, jak życzyła sobie pani Melanta.

Wieszczka milczała dalej. Śmierzdzący mężczyzna w końcu się oddalił.

Nabu ostrożnie, z wahaniem, wyciągnął rękę i objął towarzyszkę. Odrząciła go wstrząśnięciem ramion.

– Nie wierzysz w bogów, prawda, Nabu?

Chwyliła Luwitę za nadgarstek.

– Wiem, że nie wierzysz, tylko nie wiem dlaczego. Czy tam, skąd pochodzisz, nie czci się bezkresnego morza albo ziemi, albo choćby kapryśnego nieba, przed którym drżą Dorowie?

Mężczyzna wstał, odsunął się, lecz ciągle pozostawał blisko.

– Żał mi Arystodema – wyznała dziewczyna. – Był takim miłym chłopcem. Sądzisz, że inni Dorowie są mu podobni?

Nad statkiem – z wrzaskiem i szumem skrzydeł – przemknął klucz ptactwa. Coś plasnęło w wodę. Fala większa niż dotąd uderzyła o burzę.

– Hellaje były mi domem przez trzynaście lat. Ludzi trudno kochać, ale łatwo się do nich przywiązać. Żał mi będzie grubej Neftis i małej Roksane, i innych kobiet. Nawet twardej pani

Melanty. A tobie, Nabu? Zateśkniesz za nimi, czy serce masz równie twarde jak dłonie?

Luwita odszedł o kolejny krok. Trochę gniewał się na podopieczną. Obróciła ku niemu niewidzące oczy i uśmiechnęła się, jakby wyczuwając nastrój wojownika.

* * *

Powietrze zmieniało się, inaczej pobrzmiwały także przetaczające się wkoło nich masy wody. Płynęli powoli, wiatr raz nadymał żagiel, raz pozwalał mu opaść. W końcu, wieczorem, rzucili kotwicę przy jakimś kawałku skały. Nabu przyniósł Ifigenii chleb, oliwki i pieczoną rybę. Posilili się w milczeniu i, podobnie jak większość żeglarzy, ułożyli do snu pod gwiaździstym niebem.

Drzemiąc, wieszczka słuchała rozmów mężczyzn: sprośnych żartów, ckliwych wspominek, baśni.

* * *

Następnego dnia na morzu zapanowała cisza. Śmierdzący łożem dowódca, Myron, łąził po pokładzie, kłął pod nosem, głośno niby pies wachał powietrze.

– Opuszczamy wiosła? – zapytał ktoś.

– Poczekajmy jeszcze chwilę.

Chwila minęła, jednak wiatr nie wrócił, więc przez czas jakiś płynęli na wiosłach – ślimaczym tempem, bo jednocześnie mogło wiosłować tylko dziesięciu mężczyzn. Dowódca, a zarazem właściciel statku, wolał oszczędzać siły załogi, gdyż bał się piratów. W ostatnim czasie po tawernach krążyły nieprzyjemne plotki.

Po południu znowu trochę powiało. Postawili żagiel.

Wieczorem napalili w metalowym koszu. Ifigenia posłyszała brzęczenie komarów, które z suchym trzaskiem ginęły w płomieniach. Łąd musiał być blisko.

– Statek przed nami! – zawołał wypatrywacz.

– Idzie ku nam? – zapytał Myron.

– Ku nam.

Wieszczka wyczuła, że Nabu spał się, a potem obrócił. Domyśliła się, że wyglądał nadpływającego okrętu.

– No, chłopcy, niech kilku złapie za łuki. Reszta przygotować się do spuszczenia wioseł. Zobaczymy, kto to taki.

Niedługo potem Myron zawołał donośnie do ludzi ze zbliżającego się statku. Z oddali napłynęła odpowiedź. Wśród załogi wybuchły śmiechy.

– Co tamten odparł? – zapytała Ifigenia.

Nabu odwrócił się ku podopiecznej i lekko klepnął ją w dłoń.

– To Seleukos z Tafos – rzekł jakiś mężczyzna siedzący nieopodal. – Stary druh naszego dowódcy. Nawet lepiej, że nie słyszałaś jego słów, pani. Nie jest zwyczajny odzywać się w towarzystwie szlachetnie urodzonych niewiast.

Jakby na potwierdzenie tych słów Myron ryknął:

- Pilnuj gęby, świński ryju! Wieziem dobrze urodzonych pasażerów!
- A cóż to niby znaczy? Przy tobie i ośmiornica zda się dobrze urodzoną!

Dziewczyna zaśmiała się po cichu.

Dowódca zmełł w ustach kilka nieprzystojnych słów.

- Nie pyszcz, tylko rzuć kotwicę wpodłe nas.

Wkrótce drugi statek stanął burta w burte z ich dwudziestowiosłowcem. Kilku ludzi przeskoczyło z pokładu na pokład. Odszpuntowano antałek, zaczęły się rozmowy. Seleukos, gdy ujrział Ifigenię, roztopił się w przeprosinach przeplatanych niewyszukanymi komplementami, a zwiedziawszy się, że ma do czynienia z wieszczką, od razu zaczął błagać o wróżby.

Żeglarze, dotąd nieśmiali, zawołali ją do siebie, bliżej ognia.

– Niech cię kruki, Myronie! Takich skarbów toś chyba jeszcze nie woził – rzucił w którejś chwili wstawiony już Seleukos.

* * *

Lukios powiódł wzrokiem po stłoczonych na łodzi mężczyznach. Widział, że są niespokojni. Nie odpowiadało im ciągle bujanie, podzwanianie włóczy i mieczy, wrzaski mew nad głową. Mąż powinien walczyć na twardej ziemi, pod opiekuńczym okiem Boga Nieba, gdzie wrogiem jest drugi mąż, a nie wiecznie trzęsący się potwór, po którym pełzają – niby wszy – drewniane stateczki. Lukios, wódz siedzących na stateczku górali, czuł jednak, że kiedy zaczną się zabijanie, zapomną o strachu.

Spośród krzewów mirtu na pobliskiej wysepce wyłonił się zwiadowca.

- I? – zawołał Lukios.
- Jest. To statek, który widzieliśmy dwa dni temu.
- Dobrze. Daj sygnał.

Zwiadowca na powrót dał nura w zarośla. Po chwili z pewnej odległości dał się słyszeć zew modronosa, ptaka pospolitego w bagnistych częściach Dorydy. Odpowiedział mu podobny głos z sąsiedniej wyspy.

– Naprzód – polecił Lukios. – Tylko cicho.

Siedzący przed nim żołnierz uniósł dwa kamienie i począł nimi wystukiwać rytm. Dźwięk był głuchy, słabo słyszalny. Pióra wiosła głaskały wodę. Dopiero kiedy zbliżyli się do krawędzi wyspy, mężczyzna sięgnął po piszczalę. Popatrzył na dowódcę.

Ten dał mu znak, aby się wstrzymał. Przez chwilę niósł ich sam pęd, fale uderzały o rufę. Wtem na statku, ku któremu się skradali, ktoś krzyknął. Lukios machnął ręką. Powietrze przeszył gwizd, wiosła klasnęły, wojownicy podnieśli wrzask. Łódź skoczyła naprzód. Pchana wiatrem i siłą mięśni, błyskawicznie nabierała prędkości.

Flecista nadymał policzki i dał, ile sił równym, gęstym rytmem. Jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona. Żołnierze zaczęli pohukiwać w takt, a potem odśpiewali pean bojowy.

Jednak okręt, ku któremu zmierzali, zdołał zrobić zwrot mimo nieprzychylnego wiatru i dziobowej fali, po czym zaczął umykać z niesamowitą chyżością. Widać było, że za sterem siedzi jeden z synów morza, za nic sobie mający niezdarną siłę doryckich ramion.

- No, Kaliasie, rusz dupę – wymamrotał Lukios.

W tejże chwili zza sąsiedniej wyspy wypłynął drugi dorycki okręt. Przeciął drogę uciekającemu statkowi, a z jego pokładu sypnęły się strzały i oszczepy. Jeden czy dwóch mężczyzn z achajskiej łodzi fiknęło wprost w ramiona morza.

– Szybciej – polecił Lukios.

Flecista przyspieszył rytm. Wiosła siekły wodę zawzięcie, lecz coraz mniej równo.

Sternik umykającego statku wykonał kolejny zwrot i przez chwilę wyglądało, że minie drugiego napastnika, lecz wtedy wiatr zakręcił, zwracając się przeciwko uciekinierowi. Z łodzi Kaliasa śmignęły liny zakończone hakami. Trzy z czterech chybiły, czwarty sięgnął celu. Achajskim stateczkiem szarpnęło. Wioślarze zgubili rytm. Nim ktoś zdążył odciąć linę, załoga Lukiosa znalazła się dość blisko, by rzucić własne haki.

– Bij kurwich synów! – ryknął dorycki dowódca.

Wojownicy zerwali się z ław, chwytając miecze i topory. Skoczyli. Pierwszy nadział się na włócznię, drugi runął w wodę, lecz kolejni wpadli między achajskich żeglarzy, siekąc i kłując, aż pokład spłynął krwią. Z pomocą przyszli im towarzysze z drugiego okrętu.

Walka była krótka. Dowódca dopędzonego statku szybko rzucił miecz, zawył o litość. Siedmiu czy ośmiu żeglarzy poszło w jego ślady, pozostali zginęli.

Dorowie zebrali broń, błyskawicznie spętali jeńców. Ciała zabitych wrogów wypchnęli za burtę.

Kalias, broczący krwią z rozciętego ucha, wyszczerzył się do Lukiosa.

– Co teraz, bracie? – zapytał. – Co z nimi zrobimy?

Miał dopiero siedemnaście lat i nie znał jeszcze zasad rządzących pirackim rzemiosłem. Zagadnięty wzruszył ramionami.

– Dowódcę żgnij i za burtę. Pozostali nadadzą się do wioseł.

– Nie, panie! – zaskomlał skazany. – Litości! Mogę ci się przydać!

– Tak? Do czego na przykład?

– Znam te wody jak własny dom. Znam każdą rafę, każdą skałę...

– Gdybyś aż tak świetnie je znał, nie wpięprzyłbyś się jak osioł w naszą pułapkę. Nie mamy czasu, Kaliasie, żgnij go i...

– Nie, chwilkę!

– Co znowu?

– Wiem coś, co może ci się przydać, panie. Żeglując, napotkałem statek wiozący achajską księżniczkę. Jej głowa z pewnością warta będzie co najmniej swojej wagi w złocie. Jeśli mnie oszczędzisz, zdradzę ci, dokąd ją zabierają.

Lukios przewrócił oczami, popatrzył na Kaliasa. Młodzieniec uśmiechnął się szeroko.

– Nigdy nie zastanawiałeś się, jak smakuje achajska księżniczka, bracie?

– Wszystkie kurwy smakują tak samo. Ale dobrze, powiedz mi, dokąd wiozą tę dziewczkę.

Achajski dowódca oblizał wargi, łypnął na boki.

– Nie jestem głupi, panie. Jak już ci powiem, zabijesz mnie. Pozwól lepiej, abym cię poprowadził.

Lukios skrzywił się, a potem niedbałym ruchem wyrznął mężczyznę w zęby. Tamten runął. Zakrztusił się krwią. Dor schylił się nad nim, chwycił za włosy.

- Nie targuj się, bo tylko mnie rozeźlisz. Powiedz, a daruję ci życie.
- Płyną na Tafos. Rozstaliśmy się z nimi nie dalej jak jedną stróżę pokładową temu. Idą na samym żaglu, jeśli więc postawicie żagiel i dołożycie do tego wiosła, dognacie ich z łatwością.
- Od razu lepiej. W porządku. Przykujcie go z pozostałymi do wiosła i ruszajmy.

* * *

Słońce wschodziło powoli, jakby z mozołem. Tłuste, ciężkie, przepuchnięte. Brnęło przez mgłę, powolutku odklejało się od morza, wspinało na niebo osnute dymem. Zwykłych pożarów było niewiele, ledwie kilka chałup zajęło się przypadkiem, a leniwe płomienie zgasły dość szybko i nie powędrowały na sąsiednie domostwa.

Dym, przez który tak trudno było przebić się słońcu, wydobywał się z zebranych na placach miasta i podpalonych hałd trupów.

Kresfontes czuł się znużony. Zdawało mu się, że przez ostatnie trzy dni nie przespał ani godziny. Co więcej, żył w tym czasie życiem tuzina różnych osób. Był w porcie, na który uderzyli najpierw, przechwytyjąc statki i zarzynając zaskoczonych żeglarzy. Był pod południową bramą, pod miejską świątynią Boga Morza, gdzie jakiś mąż skrzyknął garść żołnierzy i stawiał dzielny opór. Był na murach cytadeli, w pałacu, na ulicach, na targowiskach, w zaułkach, w tawernach.

– Kresfonte...

Obejrzał się, chcąc sprawdzić, kto woła, choć przecież niesamowitego, wibrującego głosu wieszczka Karnusa nie mógłby pomylić z żadnym innym. Drobnym mężczyzną o łysiejącej czaszce i myszowatym zarostie wspiął się za nim na cyklopowe umocnienia.

– Tak?

– Czemu siedzisz tutaj, zamiast pić wino z żołnierzami? Twoi ludzie chcą cię widzieć.

– Nie sądzę. Jest z nimi Temenos.

– Zamierzasz rozckliwiać się tu jak baba?

Kresfontes strzelił ku niemu ostrym spojrzeniem.

– Uważaj, wieszczku... – burknął.

Karnus zasiadł obok niego, w załomie między dwoma kamiennymi blokami.

– Rozmawiałem z królową matką... – zaczął.

Brzydki książę o nic nie zapytał. Kiwnął tylko głową.

– Obawiam się, że jest, jak przewidywałeś. Twój brat nie żyje.

– Ciało?

– Zaginęło. Mężczyźni, którzy mieli się rozprawić z Arystodemem, rzucili je na żer morzu.

Wódz górali zacisnął zęby, u nasady zuchwy zagrały mięśnie.

– Odnajdziesz ciało mego brata – powiedział głucho. – Nie pozwolę, aby jego cień przez wieczność błakał się w królestwie obmierzłego achajskiego boga wody. Fale musiały gdzieś wyrzucić ciało, a jeżeli nie, znajdź najlepszych nurków. To będzie twoje zadanie, tak jak moim będzie zemsta na suce, która nas zdradziła.

Drobnym człowieczek odchrząknął.

– Jeśli chodzi o wieszczkę... Ifigenię... Opuściła miasto niedługo po tym, jak zostaliście napadnięci. Statek miał ją powieźć do Naupaktos. Niewykluczone, że jest już na Półwyspie.

– Musimy zatem wziąć Naupaktos.

– To potężna twierdza Achajów, w dodatku dzieli nas od niej wiele tysięcy kroków i wiele wrogich królestw.

– Przepuszczą nas. Wszyscy achajscy królowie. Kiedy usłyszą, co tu uczyniliśmy, bez gadania przepuszczą nas przez swoje ziemie. Żebyśmy tylko sobie poszli jak najdalej, niczym szarańcza.

– Co masz na myśli?

Kresfontes kiwnął głową ku miastu.

– Pale już się ostrzą. Rzemieślnicy zbijają krzyże. Zaczniemy od tej starej kurwy, kapłanki, która nastrożyła wieszczkę memu bratu. A potem... Na południu nikt nie będzie się nas spodziewał przed wiosną, więc szybki marsz zadziała na naszą korzyść.

– Wiem, co czujesz, rozumiem twą złość, lecz naprawdę nie powinieneś się obwiniać. Śmierć Arystodema zrzędzili bogowie. Jeśli Bóg Niebo postanowił wezwać go do siebie, nie mogłeś niczego uczynić. Głupotą jest występować przeciwko losowi i pozwalać wściekłości, aby ćmiła umysł. Musisz przyjąć swoje przeznaczenie, musisz...

Broda księcia nastroszyła się, odsłaniając czerwoną bliznę. Białka błysnęły w usmolonej, ogorzałej twarzy.

– Stul pysk! – warknął. – Stul tę jebaną mordę, bo ci ją wgniotę do wnętrza czaszki i żadne bogi mnie nie powstrzymają!

Wieszczek zatchnął się natychmiast. I cofnął.

Kresfontes dyszał przez chwilę. Zaciskał pięści i je rozluźniał. Wreszcie potrząsnął czupryną.

– Wybacz – wymamrotał.

Na twarzy Karnusa uraza walczyła z innymi, głębszymi i ciemniejszymi uczuciami, zaraz jednak się opanował. Wziął głęboki wdech. Oparł dłonie na ramionach księcia i obrócił go ku sobie.

– Jest coś, co powinieneś wiedzieć – powiedział.

Brzydał westchnął. Naprawdę był zmęczony.

– Co takiego?

– Pamiętasz sen, który miałem? O tobie i córce achajskiego króla? Podejrzewam, że może to być właśnie Ifigenia. Ojciec Niebo nie bez powodu postawił ją na twojej drodze. Dowiedziałem się, iż jest córką Agamemnona-króla, tego, który powiodł Achajów na wielką wojnę za morzem.

– Nie, Karnusie. Wieszczka musi umrzeć.

– Czy aby nie przeceniasz jej roli w tym, co się stało?

– Oczarowała Arystodema i wywiodła go z miasta. Gdybyśmy się wtenczas nie rozdzielili, byłbym go uratował.

Mały człowieczek milczał przez chwilę, rozcierał stopą drobny żwir walający się na szczycie muru.

– Jesteś wybrańcem Boga Słońca, Kresfonte, a przez niego także jego ojca, Bezkresnego Nieba. Powiem raz jeszcze: nie pozwól, aby gniew stanął na drodze twego przeznaczenia.

– To nie gniew, Karnusie. To prawo. Krew za krew. Trwamy i jesteśmy silni, bo

przestrzegamy prawa, które dał nam Ojciec Niebo.

– Gdzie idziesz?

– Na dół, do miasta.

* * *

Zaatakowali przed świtem, w szarówce, w pomgłaci. Ifigenia ocknęła się, lecz nie zdołała całkiem uwolnić od boskiego wzroku. Poczuła napięcie żeglarzy, posłyszała szelest, gdy unosili głowy, odwracając wzrok, jednak wciąż widziała brzydkiego doryckiego księcia krocącego uliczkami złupionego miasta. I coś jeszcze, jakby cień skryty za tamtą wizją. Chodziło o Orestesa. Jego los był spleciony z losem Dora, wydarzenia już się toczyły nieodwracalnym – a może jednak odwracalnym? – biegiem.

Ktoś krzyknął. Z wielu piersi naraz uleciało westchnienie. Dał się słyszeć furkot, potem bębnienie, wrzask. Nabu wylądował na wieszczce. Sapał ciężko, zadrżał. Poderwał się na nogi. Zniknął.

Powietrze rozpruła mieszanina dźwięków. Zabrzęczały cięciwy, zaklaskały wiosła. Stopy huczały o pokład. Jakiś mężczyzna zawodził wysokim głosem, inny sapał, inny stękał. Coś plusnęło o wodę. Gdzieś brzą zgrzytnął o kość.

Dziewczyna rzuciła się przed siebie, upadła. Ciągłe widziała brodatego brzydala, ale mogła myśleć tylko o jednym. „Gdzie jest Nabu? Gdzie jest Nabu? Gdziejestgdziejestgdziejest...”.

Coś uderzyło tuż obok niej o deski. Chwyciła ją para silnych ramion. Runęła na plecy, przygniótł ją obcy ciężar, obca woń wkręciła się w nozdrza.

– Gdzie jest Nabu?! – krzyknęła Ifigenia.

– Spokojnie, pani. Spokojnie.

– Gdzie on jest?! Nabu!

Uderzyła na oślep pięścią. Ramiona puściły. Cofnęła się rakiem pod burzę, chciała wstać, lecz za bardzo się bała.

Obok niej pojawił się kolejny mężczyzna. Tym razem poznała tłustą woń dowódcy statku.

– Pani... – powiedział. Potem chrząknął i już się nie odezwał. Ifigenia usłyszała tylko głuchy huk, z jakim ciało uderza o deski.

Wyciągnęła przed siebie dłoń.

Dorycki książę odwrócił się, spojrzał jej w oczy. A w tle, za nim, Orestes. Orestes był w niebezpieczeństwie.

* * *

Kresfontes przepatrywał sterty śmieci zalegające alejkę, zastanawiając się, co właściwie zwróciło jego uwagę. Był niedaleko portu, w miejscu najbardziej zajadłych walk. Ulice pokrywało krwawe błoto. Tu i tam psy ogryzały ciała. Powietrze drżało echem tysięcy podnieconych głosów. Zza zabarykadowanych drzwi i okien wyglądały przelekkie oczy.

Książę skrzywił się, zmierzwił palcami brodę. Wsparty pod boki, dziwnie niedbałym krokiem powędrował ku zatoce. Przysiadł na skałach. Z niezadowolaniem zauważył, że nieopodał, wśród szumowin, unosi się nabrzmiały zewłok psa, jednak nie zamierzał zmieniać miejsca odpoczynku.

Splunął, uczynił gest przeciw niespokojnym duchom.

Zagapił się w ciemny, smrodliwy przestwór, który chlupotał mu u stóp.

– I to jest ten wasz bóg, Achajowie? – wymamrotał.

O dziwo ktoś odpowiedział:

– Nie drażnij go, panie. Bóg Morze mściwy jest. Cierpliwy jest. Okrutny jest.

Brzydal wyprostował się, namacał sztylet. Następnie spojrzał przez ramię. Nikogo tam nie było.

Wstał. Postąpił kilka kroków.

– Kto tu? – zawołał.

Spostrzegł załom skalny. Między dwoma odszczepami obrośniętego mchem kamienia siedział mężczyzna. Wyszczerył do księcia wybrakowane uzębienie. Na jego policzku zafalowały gruzła paskudnej blizny przypominającej pająka.

– Tylko ja, panie – powiedział. Przemawiał krótkimi, szarpanymi zgłoskami, twardo, na sposób achajski.

– Jeśli kryjesz się przed żołnierzami, to źle uczyniłeś, odzywając się do mnie.

– Nie ukrywam się, panie.

– Zatem lepiej idź precz.

Nieznamy przez chwilę wyślipiał na Kresfonta zdrowe oko.

– Podoba mi się twój sztylet. Przypomina mi jeden, który już mam – rzekł w końcu. – Jeśli mi go oddasz, zdradzę ci tajemnicę.

– Naigrawasz się ze mnie?

– Nie, panie. To coś, co wasz władca będzie chciał wiedzieć. Na pewno cię nagrodzi.

Księżę przystąpił do mężczyzny, zebrał w dłoń łańcuchy okrywające jego wątłą pierś, uniósł sztylet.

– A może po prostu cię zabiję? Co ty na to?

– Nie zabijesz. Bogowie mnie nazaczyli, nie możesz mnie skrzywdzić. Ja za to mogę zdradzić ci tajemnicę, za którą wasz barbarzyński księżę z pewnością chętnie zapłaci srebrem. W zamian chcę tylko twój lśniący sztylet.

Kresfontes zgrzytnął zębami. Coś poruszyło się w jego piersi. Uderzył. Człowiek z blizną skrzeknął zdziwiony, kiedy ostrze zgrzytnęło mu o żebra. Wówczas księżę go popchnął. Ciało plusnęło w wodę. Przykryła je piana.

– W dupie mam waszych bogów – powiedział Dor.

ROZDZIAŁ XI

Noc była duszna, letnia. W powietrzu od dwóch dni wisała burza, ale dotąd pobrzmiwała jedynie suchymi, bezsilnymi trzaskami. Helena wiała się w łożu, umykała przed dotykiem pościeli na nagiej skórze. Nie mogła znieść tego mrowienia, martwej pieśzczoty.

Tęskniła za Eliszat, słodką, czarną Elisą, która miała zimą grzać jej posłanie, a robiła znacznie więcej. Zadziobały ją te kwoki, te wredne kurwy. Odpychały, poniżały, patrzyły z góry. Naigrawały się, piętnowały. Tylko dlatego, że pokochała swoją panią, pokochała puszczałką sukę Helenę, która w Azji dawała dupy każdemu wojownikowi, któremu zachciało się zadrzeć tunikę. Słodka, czarna Elisa... jej włosy rozsypane na powierzchni wody... czerwonej wody... oczy zapatrzone w nicość...

Helena z trudem powstrzymała się od krzyku. Obróciła na drugi bok. Nie myśleć o Eliszat, nie myśleć!

Zamknęła oczy. Wzięła głęboki oddech. Jeden, drugi, trzeci. Po kolei wyciszała myśli, gasiła je niby lampy. Wreszcie przyzwała z zakamarków pamięci twarz Alaksandu, którego Achajowie przezywali Aleksandrosem lub Parysem. Jego szczupłe, umięśnione ciało, oliwkową skórę. Oczy, w które kazał jej patrzeć, kiedy się kochali.

Delikatnie, nieśmiało musnęła dłońmi piersi. Lewej pozwoliła zostać, prawej kazała powędrować niżej, wzdłuż brzucha, niżej, między uda...

Alaksandu, namiętny Alaksandu, mężczyzna... mężczyzna...

Marzenia rozpięchły się nagle. Z ciemności wypłynęła twarz Menelaosa, męża, z którym nie była, odkąd przed trzema laty zaczęły go dręczyć napady okropnego bólu ustępującego jedynie pod wpływem naparzu z maku. Od tego czasu jego członek, ta maczuga wywołująca w niej napady pełnego zachwyty śmiechu, gdy była dziewczęciem, stał się nieużyteczny. Czasami pieściła go, kiedy Menelaos dręczyła żądza, czasami pozwalała, aby zajęła się nim jedna z niewolnic. Kochanek, który niegdyś zawładnął nią dzięki czystej zwierzęcej energii, przestał istnieć, zastąpił go starzec.

Uderzyła dłonią w posłanie.

„Nie – pomyślała. – Nie, nie, nie”.

Gwałtem zmusiła palce do dalszych pieśzczot, umysł do wspomnień. Alaksandu i Menelaos, obaj naraz, jeden z przodu, drugi z tyłu...

Jednak pamięć była krnąbrna, wypływała kolejne twarze. Ojciec – ponury, długonosy Tyndareos, tak paskudny, jak urodziwe okazały się jego córki. Klitemestra – nie ta dorosła, zimna kobieta, która być może zamordowała męża, tylko kąśliwe, zakochane w sobie dziewczątka. Zalotnicy: Antyloch, trzynastoletni syn Nestora, piętnastoletni skwaszony Agapenor, Nireus, Fidyp i byczkowaty Teukros, Askalafos, Blaniros i piękny Diomedes, i Agamemnon – dwudziestodwuletni, milczący. I Menelaos, dwa lata młodszy od brata, tak wściekle obojętny, wiecznie naśmiewający się z innych chłopców... Chłopców... młodych

mężczyzn, wojowników. Trzy tygodnie trwało igrzysko, trzy tygodnie Tyndareos targował się z królami, szukając najdogodniejszych sojuszy. Pił wino, oglądał zawody i kupczył cnotą swych córek. Zapewne myślał, że wykuwa potężne władztwo dla swoich synów i wnuków, Tyndareidów. Jednak potem przyszła wojna z Koryntem, od której szybko zapłonął cały Półwysep. Tyndareos i Polideukes, starszy brat Heleny, zginęli. Kastor, jej drugi brat, odpłynął na zachód, by nigdy nie powrócić. Swoje władztwo stworzyli Atrydzi. Chłopcy dorosli, popłynęli wojować w Azji.

Helena pokręciła głową. Po raz kolejny spróbowała odsiać niechciane myśli. Twarze zaczęły znikać. Pozostała tylko jedna... przystojna, ogorzała od wiatru... niebieskie oczy, kurze łapki, wysokie, chmurne czoło. „Kto to jest? – pomyślała Helena. – Skąd ja go znam? Kochałam się w nim, ale...”.

Wspomnienie rozbłysło niespodziewanie. Wiosna, gaj oliwny, słodkie, rozwodnione wino... Ten mężczyzna siedział w cieniu poskręcane drzewa. Rozmawiał z Tyndareosem. Wojownik, żeglarz, pirat. Wszystkie służki robiły do niego wole oczy, opowiadały o nim historie. Laertes, tak się zwał. Był wielkim przyjacielem ojca. A jego syn, Odyseusz, w skwarze południa, wśród słodkiej woni mirtu i szaławii, skradł jej pocałunek. Skradłby więcej – był tak podobny do Laertes... – gdyby nie czekał, nie szukał oczami przyzwolenia, czułości, gdyby nie chciał, aby go pokochała.

„Odyseusz. Dlaczego Odyseusz? Dlaczego właśnie teraz?”

Usiadła, pozwoliła pościeli osunąć się na podłogę. Powiew od okna musnął wilgotną skórę na ramionach i piersiach, załaskotał.

„Dlaczego Odyseusz?”

Wstała i wrzuciła na siebie tunikę. Następnie owinęła się płaszczem. Bosa wyszła na korytarz.

W pałacu było sennie, choć nie całkiem cicho. Z wieczernika pobrzmiwały męskie głosy. Menelaos udał się już na spoczynek, jednak Orestes, Pylades, Agapenor i kilku innych gości raczyło się strzępami opowieści nad kielichem wina. W komnatach kobiet szemrała piosenka służek robiących przy krosnach.

Helena zeszła z piętra, na którym mieściły się jej prywatne pokoje, i powędrowała ku wewnętrznemu dziedzińcowi. Potrzebowała powietrza.

Kiedy stanęła pod upstrzonym mgiełką gwiazd niebem, wzięła głęboki oddech. Uniosła twarz, okręciła się wokół własnej osi. Odetchnęła znów. Wysoko nad nią przemknął jakiś cień, dał się słyszeć zew sokolicy. Jakby w odpowiedzi od głównej bramy napłynęły gniewne słowa. Żołnierze rugali kogoś podniesionymi głosami.

Królowa poszła zobaczyć, co się dzieje. W przedsionku, niby pies, czuwał już Naos, z głową przekrzywioną, zasłuchany. Helena roześmiała się na ten widok, chwyciła starego eunucha za rękę.

– Czy nigdy nie sypiasz, Naosie? Wracaj do komory, sprawdzę, co to za hałasy.

– Nie kłopotz się, pani. To tylko włóczęga.

– Pozwól, że sama zobaczę.

Wyjrzała przed drzwi. Jeden ze strażników siedział na zydlu, lecz na jej widok poderwał się z miejsca. Drugi stał krok od bramy, naprzeciw niewysokiego, acz muskularnego mężczyzny, który wsparty pod boki i z brwią zmarszczoną wysłuchiwał pouczeń.

– Pani Heleno... – bąknął pierwszy żołnierz i trącił w bok kompana. Ten urwał w pół zdania i obrócił się ku królowej.

– Co tu się dzieje, Nikanorze? Wasze pokrzykiwania słyszy pewnie całe miasto.

– Nic, pani, młody Lizymach tłumaczył tylko temu, o, by awantur nie wszczywał...

– Prosiłem jedynie gościny – wtrącił przybysz.

– Zamilcz, żebraku – warknął Lizymach. Następnie zwrócił się do władczyni: – To dziad, pani. Sztuk żadnych nie robi, pieśni nie zna, po proszeniu widać łązi, bo nie ma ni miodu, ni sera, które mógłby na wino wymienić.

– To prawda, na wino mnie nie stać. Wiem jednak, że Menelaosa-króla stać na gościnę dla utrudzonego wędrowca.

– Za wysokie progi – powiedział Nikanor. – Poszedłbyś lepiej popytać po gospodarach. Może cię jakiś kupiec przygarnie.

– Jesteś żołnierzem? – zapytała Helena, patrząc w dziwne, szare oczy nieznajomego. – Służyłeś memu mężowi?

Mężczyzna zawahał się, podrapał w łysiejącą czaszkę.

– Umieć się posługiwać włócznią i mieczem, jeśli o to pytasz, pani – rzekł.

– Nie o to. Dom mego męża jest otwarty dla wędrownych pieśniarzy. Nigdy nie odmówiliśmy też kawałka chleba żadnemu z dawnych żołnierzy Menelaosa. Jeśli jednak nie jesteś ani śpiewakiem, ani wojownikiem, kim jesteś?

Przybysz spojrzął w ziemię, zaszurał nogami.

– Wiem tyle, że byłem żeglarzem – mruknął.

– Widzisz, pani! – zawołał Lizymach. – Mówi o sobie zagadkami, a potem dziwi się, że chcemy go odprawić. Idź ty lepiej, świniu beocka, tam, skąd przyszedłeś, nim pani nasza każe cię oćwiczyć!

Zapał młodego żołnierzyka niespodziewanie rozbawił królową. Wybuchnęła śmiechem. Nikanor zganił towarzysza wzrokiem.

– Puśćcie go do kuchni, niech Eufrozyne nakarmi go polewką. Potem może się przespać w jakimś kącie.

– Jesteś pewna, pani? – zapytał starszy ze strażników.

– Tak, tak, Nikanorze. Lubię zagadki – odparła Helena. Nie wspomniała jednak, że surowa, ogorzała twarz wędrowca spodobała jej się, podobnie jak jego kwadratowe, męskie dłonie. Sam widok tych rąk wzbudził w niej jakiś dreszcz – miły, a dawno zapomniany.

Pozwoliła przyczajonemu w progu Naosowi odprowadzić się do komnat, a tymczasem Nikanor zabrał gościa do kuchni i poszedł budzić tłustą Eufrozyne.

W zaciszu sypialni piękna władczyni zaczęła rozmyślać, choć sama nie była do końca pewna o czym. Myśli splątały się, widmowe twarze z przeszłości umknęły spłoszone. Siedziała zatem, słuchając cichnących głosów pałacu i wyglądając przez okno na gwiazdy. Wreszcie, gdy domostwo Menelaosa-króla ogarnęła cisza najciemniejszej godziny przedświt, wyszła z komnaty i cicho, na palcach, z sercem trzepocącym jak u podlotka, zeszła do kuchni. Nieznajomy drzemał na ławie za piecem chlebowym, jednak posłyszawszy kroki, zaraz się zbudził.

– Upał taki, a ty śpisz przy piecu?

– Lubię ciepło, pani. Psy wiedzą, co dobre.

Helena zmarszczyła brwi. Mężczyzna, widząc jej zmieszanie, wskazał starego wilczarza, który, wywaliwszy ozór, leżał u jego stóp.

Królowa zachichotała, widząc, że pies, niegdyś przywódca łowieckiej sfory, teraz nawet się nie zbudził. Postąpiła naprzód.

– Eubolos był ulubieńcem mego męża, jeszcze nim Achajowie ruszyli pod Troję. Dziś łamie go w kościach, nic zatem dziwnego, że ciągle się wygrzewa. – Ukucnęła przy starym psisku i wplątała palce w zmierzwioną sierść. Jej głowa znalazła się blisko kolan przybysza. Poczula jego zapach, woń potu i morskiej soli. – Ty zaś, mimo srebrnych włosów, zdasz mi się dosyć młodym.

– Być może.

– Jak cię zwać?

– Outis, pani.

– Outis? Imię równie tajemnicze jak ty sam. Ktoś mógłby sądzić, że je zmyśliłeś.

– Nie, pani. Poza nim niewiele pamiętam na pewno. Tyle może, że wyruszyłem z domu, aby spotkać się z twoim mężem.

– Zda mi się, że musisz być kupcem. Z pewnością umiesz sprzedać swój towar. Mów dalej, zaciekawiłeś mnie.

– Jako że towarem jestem w tym przypadku sam, czyniłoby to ze mnie dziwkę. Być może takie sprawiam wrażenie, pewien jednak jestem, że nią nie byłem.

Helena cofnęła się, nieco gwałtowniej niż zamierzała.

– Nie chciałam cię urazić – rzuciła, również nieco gwałtowniej niż zamierzała.

Obcy wyszczerzył zęby, schylił się, aby podrapać psa za uchem. Eubolos przecknął się, kłapnął pyskiem, machnął łapą, zamruczał i spał dalej.

– Nie uraziłaś, pani. Przepraszam. Chętnie opowiem ci swoją historię, jeśli masz jeszcze życzenie jej posłuchać. Obawiam się jednak, że więcej w niej dziur niż treści. Wiem tyle, ile zdążyłem ułożyć sobie w potłuczonej łepetynie, gdym wędrował tu z Pylos.

Gospodyni zawahała się, lecz kiwnęła głową, przyciągnęła zydel, siadła.

– Mów zatem.

– Znalaziono mnie nad morzem, według rybaków prąd przyniósł mnie z północy. Krajobraz tutejszy zdaje mi się obcy, a ludzie mówią inaczej, wnoszą zatem, że przypląnąłem z Tafos albo z akarnańskiego wybrzeża. Wśród skał, gdzie leżałem, brakło pozostałości, jakie zwykle wyrzucają fale, kiedy rozbije się okręt, możliwe zatem, że wypadłem za burtę podczas pirackiej napaści. Pamiętam, jak rozmawiałem z jednym z moich towarzyszy, postawnym mężem o paskudnej gębie, o Dorach, jakoby szykowali wojenną flotę. Myślę, że przed tą flotą chcieliśmy przestrzec Menelaosa-króla i prosić go o pomoc. Zapewne jednak pochwycili nas, a ja jeden ocalałem z walki.

– Dorowie to górale – zauważyła Helena. – Doszły nas wieści, że na północy wojują z Akarneńczykami i Eolami, jednak nigdy nie mieli sławy piratów.

– Wiem, pani. Mówię tylko to, co udało mi się pozbierać z potłuczonych wspomnień. Z Pylos

przegoniono mnie jako wariata. Po twojej twarzy widzę, że moja historia nie wydała ci się tak ciekawą, jak miałaś nadzieję. Pewnie byłbym kiepską dziwką.

– Kpiarstwo z pewnością w tym zawodzie nie pomaga.

– Nie jestem kpiarzem, a jeśli nawet, to nie dlatego, że próbuję. Czy mogę cię o coś spytać?

– Tak?

– Czemu tak mi się przyglądasz?

– Nie przyglądam się. – Królowa poczuła, że się rumieni. Zachichotała. – No dobrze, może. Podoba mi się twoja twarz.

Brwi mężczyzny powędrowały w górę po wysokim czole. Wyglądało, że zamierza coś powiedzieć, w końcu jednak spojrzał tylko w bok, uśmiechnął się półgębkiem, poczochrał brodę.

– Jak to jest nie pamiętać swego dawnego życia? – zapytała Helena. – Być odciętym od wszystkiego, co się kiedyś zdarzyło?

Outis wzruszył ramionami.

– Nie wiem...

– Czy to tak, jakbyś narodził się na nowo?

Przybysz dumiał przez chwilę, skrobiąc Eubolosa za uchem.

– Myślę, że jest jakaś odpowiedź, którą masz nadzieję usłyszeć, ale nie wiem jaka – rzekł w końcu. – Nie jestem mędrcom, tylko żeglarzem.

– Sądzisz, że masz gdzieś jakąś żonę, dzieci?

– Przypuszczam, że tak, choć kto wie. Czy czujesz się samotna? Dlatego pytasz mnie o to?

Helena zaśmiała się, lecz bez wesołości.

– Jestem nieskończenie, nieskończenie samotna, Outisie-żeglarzu. Lecz nie dlatego pytam. Właściwie... nie wiem dlaczego. Może dlatego, że na zewnątrz wstaje brzask, a ja ani na chwilę nie zmrzyłam oka.

– Tak. Znam to. O tej godzinie zadaje się takie pytania i myśli rzeczy, których na ogół lepiej nie myśleć. Powinnaś iść spać, pani.

Królowa pokręciła głową.

– Z jakiegoś powodu wydajesz mi się znajomy. Jesteś pewien, że nie służyłeś memu mężowi?

– O ile wiem, nie służyłem nikomu.

– Widzisz, i to właśnie jest piękne w twojej niepamięci.

– Sądzę, że masz o mnie mylne mniemanie. Moje dawne życie nie przestało istnieć, dlatego że je zapomniałem. Jeśli mam gdzieś żonę, może kiedyś ją spotkam i poznam jej twarz. Jeśli mam dzieci, może mnie odnajdą.

– Czy chciałbyś tego?

Outis zmarszczył czoło. Długo, długo świdrował Helenę szarymi oczami tak, iż nagle poczuła się nieprzyjemnie świadoma swego ciała, piersi unoszonych oddechem, sutków twardniejących bez powodu, białych, nagich stóp, nieładzonych włosów.

„Och, nie gap się już, tylko rzuć mnie na stół i zerznij” – błysnęło jej w głowie.

Przestraszyła się tej myśli. Skąd się wzięła? Czy naprawdę była już tak zdesperowana, tak sparta przez chuć? Czy to była ostatnia szansa na czułość, choćby udawaną?

„Ty dziwko, ty pieprzona męska dziwko! Zapłaciłabym ci, żebyś mnie pokochał...”

– Nie jestem pewien – powiedział wreszcie.

– Dlaczego?

Ponownie spojrzął w bok. Ponownie uśmiechał się półgębkiem, jakby szelmstwo walczyło w nim z nieśmiałością.

– Bo jesteś piękna – odezwał się w końcu. – Jesteś prawdopodobnie najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem.

Helenę ogarnęła ulga podszyta cieniem hysterii.

„A jednak jesteś tylko zwykłym mężczyzną!” – pomyślała.

Wstała z zydlu.

– Dziękuję – powiedziała. – To bardzo miłe, co mówisz. Postaram się, abyś jutro mógł spotkać się z moim mężem. Z pewnością zainteresują go wieści, które niesiesz.

* * *

– Żona powiedziała mi, że każesz się zwać Nikim.

– Tak, panie. Outis to moje imię.

– Ha! – Menelaos uderzył szkieletową dłonią w poręcz tronu. – Niechaj będzie. Nie zwykłem dopytywać ludzi, skąd się wywodzą ani co kryją. Czego chcesz ode mnie?

– Przestrzec cię przed doryckimi piratami panoszącymi się na morzu pomiędzy Akarnanią a Tafos.

– Piraci mi nie straszni. Jak zapewne widziałeś, zamek mój leży w głębi lądu.

– Jednak ci piraci zebrali wielką flotę. Zdaje mi się, że mogą zagrozić całemu Półwyspowi.

– Tak mówisz? Cóż, przestrzegłeś mnie. Co dalej?

Outis przygryzł wargę, potarł łysinę.

– Nie wiem. Miałem nadzieję... Miałem nadzieję, że rozmowa z tobą coś mi przypomni.

– Przypomni, hę?

– Tak. Rybacy, którzy mnie zratowali, opowiadali, że gdy Bóg Morze ściągnie kogoś do swych podwodnych pałaców, a potem zwróci żyjącym, odbiera mu pamięć, aby nie mógł zdradzić dziwów, które ujrzął.

– Brzmi jak pijackie pierdolenie – burknął król, z jakiegoś powodu sposepniały.

– I zapewne jest nim w istocie. Co nie zmienia faktu, że z czasu przed tym, jak mój okręt zatonął, zachowałem jedynie urywki wspomnień.

– Szkoda. Gdybyś znał jakieś krwiste historie o wojnie, mógłbym cię przy sobie zatrzymać. A tak jesteś mi na nic.

– Trudno, panie... Powiedziałem, co miałem. Jeśli mnie odprawisz, odejdę.

– No, no, nie dąsaj się. Po prawdzie twoje słowa poruszyły w mej pamięci jakieś wspomnienie. Twarz twoja kojarzy mi się z czymś... Wiem jednak, że nie walczyliśmy wspólnie w Azji ani w Europie. A przynajmniej tak powiedziałeś Helenie.

Outis namyślał się krótko, w końcu pokręcił głową.

– Masz w sobie coś z Achaja – ciągnął Menelaos. – Podejdź no bliżej. Jakiego koloru są twoje

oczy? Bo włos, zda mi się, nie był czarny, nim osiwiiał. Oczy zaś masz szare... No nic, nie wiem.

– Myślę, że moglibyśmy chociaż podjąć go obiadem. Przebył taki szmat drogi... Co powiesz, mężu?

Rzecz dziwna, Outisowi zdało się, że sala tronowa pojaśniała. A może po prostu, zatonawszy i wróciwszy do życia, stał się w duchu na nowo młodzieńcem, gotowym całować kamienie, po których stąpa najpiękniejsza kobieta świata?

„Dureń! – zrugął się w myślach. – Choć durnota to przyjemna”.

Obejrzał się i skłonił przed gospodynią, która się uśmiechała, lecz nie patrzyła mu w oczy. W jakiś sposób wydawała się mniej rzeczywista niż w środku nocy, kiedy przyszła do niego bosa, owinięta płaszczem.

Menelaos wyszczerzył zęby, lecz zaraz łypnął podejrzliwym okiem – raz na gościa, raz na żonę.

– Dobro tego tułacza bardzo leży ci na sercu – powiedział.

– Bogowie każą opiekować się zbłąkanymi. Wiesz, co mówią: gość w dom...

– Bóg w dom, tak, tak. Dobrze, jeśli sobie życzysz, niech zje z nami. Najlepiej niech od razu Naos każe nam zastawić stół tu, w bocznej komorze, i odgrzać coś z wczoraj. Wieczorem czeka mnie przeprawa z Orestesem i coś czuję, że nie będę miał wtedy chęci na jedzenie.

Uniósł się z tronu. Syknął, przygiął się w pasie, wpierając pięść w podbrzusze, blisko krocza. Outis, Helena i dwaj strażnicy jednocześnie ruszyli ku niemu, lecz osadził ich w miejscu, machając ręką, choć był czerwony na twarzy.

– Ach, zaraza – wysapał. – Kurwa taka mać... Ależ piecze!

Zszedł z podwyższenia, ostrożnie stąpając zbliżył się do siwego przybysza i wsparł na jego ramieniu.

– Stara rana – powiedział. Obejrzał się na żonę, a potem mrugnął wesoło do gościa.

– Kto mieczem walczy... – Uśmiechnął się tamten.

– Ten od niego i zginie. Widzę, że wojenne rzemiosło nie jest ci obce.

Przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, i tam król opadł na klinę. Helena poleciła sługom nanieść poduszek, Naos tymczasem nadzorował przygotowania do posiłku. W oczekiwaniu na właściwe danie przyniesiono dwie amfory, a także chleb i oliwę z ziołami.

– Może życzysz sobie wina, Outisie? – zagadnął Menelaos.

– Jeśli napijesz się ze mną, panie.

– Hm... – Król zadumał się na chwilę, a potem znacząco kiwnął głową.

Nieznajomy, biorąc to za znak zgody, sięgnął po puchar i zmieszał miarkę wody z dwiema miarkami wina. Nie umknęło jego uwagi, że trunek dla władcy przygotował Naos, wlewając do kielicha także odrobinę innej cieczy z bukłaczka.

– Widzę, że lubisz mocne – powiedział Menelaos. – I ja takie lubiłem. Dziś mi nie smakuje, bo Naos truje je egipskimi driakwiami.

Wypił duszkiem, skrzywił się i w przyplýwie złości cisnął naczyniem o ziemię.

– Gorzkie, ty suko nadnileńska! – poskarżył się nie wiadomo komu.

Stary eunuch, nieporuszony, uniósł naczynie, starł plamy rozlanego wina.

Helena zmarszczyła brwi, w złotawej zieleni jej oczu zaiskrzyło. Odsunęła się od męża, który,

spostrzegłszy to, mruknął coś w brodę.

– Czemu z taką pogardą zwracasz się do sługi, który opiekuje się tobą od dziecka? – powiedziała. – Czy coś źle uczynił?

Outis pił wino i udawał, że nic nie widzi ani nie słyszy.

Menelaos nastroszył wąsy. Nadal pomrukiwał.

– Opiekował się też mym ojcem, a starego i tak szlag trafił – mruknął.

– Bo był opój i kurwiarz. Sam tak zawsze powtarzałeś.

– Był opój i kurwiarz! – wykrzyknął król. – Ale zabiły go czary. Takie same jak te, które zabijają mnie, odkąd Agamemnon ściągnął na nas klątwę w Chryzach. I skąd mam wiedzieć, czy ta baba bez cipy aby im nie pomaga?

Przez chwilę wyglądało, jakby Helena miała spoliczkować męża, lecz rzuciła szybkie spojrzenie przybyszowi i tylko odsunęła się jeszcze dalej od władcy. Gość siedział spięty, zapatrzonej w rubinową zawartość pucharu. Tymczasem gospodarz warczał, sapał. Wreszcie pomiarkował się i również popatrzył spod oka na Outisa.

– Naos jest do mego języka przywykły – rzekł. – Wie, żem prędko do złości.

Poruszył się, chrząknął. Wyciągnął rękę do Heleny. Znów usiadła u jego boku.

– Wybacz, Outisie – powiedziała. – Mażeńskie swary.

Mężczyzna uniósł wzrok. Wpatrzył się w Menelaosa, aż ten poczuł się nieswojo.

– Trzydzieści kapłanek, prawda?

– Co takiego?

– Trzydzieści kapłanek było w Chryzach.

Twarz króla zmierzchła.

– Więc jednak... – powiedział. – Byłeś tam. Służyłeś mnie albo memu bratu.

– Nie wiem... Pamiętam... Achillesa-króla. Rozmawiałem z nim. Zapytał, czy byłem w Chryzach. Powiedział, że zna moją twarz.

– Achilles od dawna nie żyje, przyjacielu. I nie rozstaliśmy się w zgodzie. Jeśli jednak byłeś jednym z jego Myrmidonów, nie będę wspominał dawnej urazy.

– Nie sądzę, abym do nich należał.

Na chwilę zapadło milczenie. Sługi zaczęły wnosić potrawy.

Kiedy przystąpili do jedzenia, Helena wmusiła na usta uśmiech i zagadnęła przybysza:

– Czyli trochę mnie oszukałeś. Byłeś żołnierzem i walczyłeś w Azji.

– Zostaw to, żono – wtrącił Menelaos. – Jeśli był w Chryzach... – Zwrócił się do gościa: – Jeśli byłeś w Chryzach, musisz pamiętać...

– Cośmy uczynili?

– Aha. Pewnie nie podziękujesz mi za przypomnienie tego. Chwały w tym nie było.

– Nie.

– Co takiego wydarzyło się w Chryzach? – zapytała Helena.

– Nic, co by warto wspominać, to chyba jasne – odparł władca. – No, ale zaciekawiłeś mnie, Outisie. Napij się jeszcze wina. Może ten słodki napój jakiegoś jeszcze wspomnienie ożywi w twej mózgowicy.

– Wątpię – odparł nieznajomy, ale nalał sobie kolejny puchar.

* * *

Po wczesnym obiedzie Menelaos udał się do swych komnat, aby odpocząć przed wieczorną ucztą i sądem nad Orestesem. Outis zaś, poczuwszy, że mało rozcieńczone wino uderzyło mu do głowy silniej, niż powinno, poszedł do przypałacowych ogrodów. Legł pod starym platanem, w półsłońcu, wśród zapachu mirtu i szaławii. Usnął, a gdy się obudził, pogoda była odmieniona. Niebo opatuliły chmury, wiatr szemrał wśród łądyg tymianku.

„A jednak przyjdzie jesień” – pomyślał mężczyzna.

Wtedy, jakby na życzenie, kropla wody kapnęła mu na czoło. Usiadł, oparł się plecami o pień. Uniósł twarz ku chmurom. Jeszcze kilka drobin wilgoci osiadło mu na brwiach.

Pochwycił nozdrzami zapach pomarańczy.

– Przydałby się deszcz.

Wyjrzał na drugą stronę masywnego platanu. Helena stała tam, wydłubując wilgotne cząstki z pomarańczowej skórki.

– Pora na nie powinna się już skończyć – zauważył.

– Tak. Lato trzyma się w tym roku wyjątkowo uparcie. Ale to niedobrze. Przez suszę owoce stały się małe i cierpkie.

– Moja głowa też się taka wydaje.

– Po rozmowie z moim mężem czy od wina, które niejeden pije jak mężczyzna, a potem odchorowuje jak baba?

Outis uśmiechnął się krzywo.

– Odwykłem – powiedział.

– Nie wątpię. Czymże są trzy albo cztery kielichy dla starego wojownika?

Okrążyła drzewo i siadła u boku gościa, który poruszył się niespokojnie i rozejrzał.

– Co? – zapytała ze śmiechem. – Boisz się, że ktoś nas podejrzy?

– Zda mi się, że nie wypada, aby królowa spotykała się z obcym bez towarzystwa swych dam albo chociaż służek.

Helena wzruszyła ramionami.

– A co z twoim mężem? – ciągnął przybysz. – O ile mogę sądzić, ma dość gwałtowne usposobienie. Nie boisz się jego gniewu?

– Nie. Wszystkie krzywdy, jakie mogliśmy sobie wyrządzić, już wyrządziliśmy. Wiesz, jak to jest?

– Tak... Chyba tak.

– A zatem musiałeś być kiedyś żonaty. Zresztą, jeśli rzucanie klątw na starego eunucha uważasz za przejaw gwałtowności Menelaosa, to chyba nigdy go nie znałeś.

– Czy był okrutny?

– Potrafił być. Ale nie powiedziałabym, żeby miał okrutny charakter.

– Kochałeś go?

– Czemu nie pytasz, czy kocham?

– Nie wiem. Widać musiałem być kiedyś żonaty.

Helena uśmiechnęła się, jej oczy zaiskrzyły pod kurtyną włosów.

– Zadajesz trudne pytania – powiedziała. – Nie jestem już pewna, czy dziewczyna, która kochała Menelaosa-króla, i ja to ta sama osoba. Jeśli był kiedy okrutny, tamtej dziewczynie się to podobało. Bo tamten Menelaos był człowiekiem, którego chciało się kochać: silnym, zimnym lub gorącym, ale nigdy letnim. Rozumiesz, co mam na myśli? Może nie potrafił być czuły, ale właśnie z tego powodu każdy jego mały gest stawał się cenny. A że czasem zapędzał się w gniewie... Czy nie po tym poznaje się prawdziwego mężczyznę?

– Nie wiem. Z twoich słów wnoszę jednak, że jeśli go w tamtym czasie poznałem, raczej się nie lubiliśmy.

– Może zatem rzeczywiście byłeś żołnierzem Achillesa-króla. Wszyscy inni wojownicy uwielbiali Menelaosa.

Outis schylił się, zaczął skubać trawę.

– Zamilkłeś – stwierdziła Helena. – O czym myślisz?

– Zastanawiam się... Zastanawiam się, czy Menelaos cię kiedykolwiek uderzył.

Zmarszczyła brwi, na jej policzki wypełził blady rumieniec.

– Nie sądzę, aby to była twoja sprawa. Czemu kiwasz głową? Przestań! Mówię, że to nie twoja sprawa!

– Ja nigdy nie uderzyłem swojej żony.

– Masz więc żonę?

– Mam. Albo miałem. Sama powiedziałaś, że musiało tak być.

– Podejrzana rzecz ta twoja pamięć. I wygodna. Jesteś pewien, że nic nie pamiętasz? Bo w dziwnych momentach przypominasz sobie różne sprawy, jak choćby to, że byłeś z moim mężem w Chryzach.

Outis poderwał się z miejsca. Wyglądało, że sobie pójdzie, lecz po ledwie kilku krokach przystanął. Zaciśnął pięści, rozluźnił, na plecach zagrały mięśnie. Zły był na siebie, że nie odchodzi. Odwrócił się powoli.

– Dumę Achajów tak łatwo urazić – powiedziała Helena. – Lecz przecież ty nie jesteś Achajem. Menelaos na twoim miejscu by się nie obejrzał.

– Dziwną rozrywkę sobie ze mną urządzasz, pani. I chyba mi się to nie podoba.

– Ciągłe zmieniasz ton, zauważyłeś? Czasem mówisz do mnie, jakbyśmy znali się od dziecka, a czasem jakbym była... cóż, królową. Wiesz, na czym polega problem z tobą?

– Nie wiem. Oświeć mnie, proszę. Pani.

– To, co mówisz, brzmi jak kłamstwa...

– Nie powiedziałem ani słowa nieprawdy – przerwał Outis. – I nie prosiłem twego męża o nic, poza dniem gościny i jednym posłuchaniem.

– Wiem. I wierzę ci, choć bogowie tylko zliczą, ilu moczymordów przychodziło tu po prośbie, podając się za dawnych towarzyszy broni. Wiem, ty za żołnierza się nie podawałeś... Daj mi wreszcie dokończyć! Problem z tobą jest taki, że to, co mówisz, brzmi jak kłamstwa, ale kiedy patrzę w twoje oczy... nie potrafię ci nie wierzyć, Outisie.

Mężczyzna skrzywił się, popatrzył w ziemię.

– Usiądź jeszcze, porozmawiajmy. Do sądu mamy trochę czasu, a niebo chyba jednak nie zlituje się nad konającą z pragnienia Matką Ziemią.

– Dorowie czczą niebo jako największe z bóstw.

– Nic dziwnego. Nie znają morza, które nosi Achajów na wszystkie ich wspaniałe wyprawy.

Outis usiadł na ziemi – w pewnej odległości od Heleny.

– Nie zapytałeś mnie o Aleksandrosa – powiedziała królowa. – To dziwne, skoro już postanowiłeś wtykać nos do mojej małżeńskiej izby.

– Kogo?

Roześmiała się niezbyt pewnie.

– Udajesz, czy naprawdę nie wiesz?

– Naprawdę nie wiem.

– Niech zatem tak zostanie. Dotąd sądziłam, że nie ma na Półwyspie człowieka, który by tej sprawy nie znał, choć jest moja i niczyja inna. Oho, widzę po twojej twarzy, że teraz już chcesz spytać. Nie, nie, teraz nici. Kazałabym ci w zamian powiedzieć coś o sobie, ale przecież nie masz nic do powiedzenia.

– Właściwie...

– Właściwie?

– Jest coś, choć po prawdzie zdaje się to snem. Tak, myślę, że musiał to być sen. Śniło mi się, że kiedy mój statek się rozbił, uratowała mnie czarodziejka. Trzymała mnie na wyspie...

– I co robiliście?

Przybysz potarł łysinę.

– Zaraz, zaraz. – Helena wybuchnęła śmiechem. – No nie, ty się czerwienisz. Był to więc jeden z tych snów, co?

– Czarodziejce służyły dwa jednookie potwory. Czemu się śmiejesz? Dwa jednookie potwory... Przestań!

– Przepraszam, przepraszam, mów dalej.

Gość przysunął się bliżej rozmówczyni.

– Dwa jednookie potwory... – podjął.

– Nie, dobrze, dobrze, nie mów. Nie zniosę tego. Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Outis pokręcił głową i również się zaśmiał. Wtedy z nieba znów runęła kropla wody, tylko że tym razem podążyła za nią kolejna, i kolejna, i jeszcze kolejna. Wkrótce deszcz zaszemrał po ogrodzie – drobny, rzadki, nieśmiały.

Rozbitek uniósł dłoń i patrzył, jak drobiny wilgoci osiadają na szorstkiej, zbrązowiałej skórze. Potem, w patetycznym porywie, sięgnął przed siebie i musnął policzek Heleny.

Uśmiechnęła się bez przymusu.

– Lepiej chodźmy – powiedziała. – Skoro niebo jednak się zlitowało... Chciałabym wiedzieć, jaki wyrok umyślił mój mąż dla biednego Oresta.

ROZDZIAŁ XII

– Mówię ci, Telemachu, czegoś takiego to ja w życiu nie widziałem. Nikt nie widział! Mentos stał z rozdziawioną gębą, o mały włos zapomnieliby dawać rozkazy. Ten człowiek to daimonion!

Choć od potyczki z Dorami minęły dwa dni, w oczach Pizystrata wciąż tliła się bitewna gorączka. Przystojną twarz okryły wypieki.

Młody władca Itaki przemaszerał w tę i z powrotem przez wieczernik.

– Na otchłań! – wykrzyknął. – Powinienem być popłynąć z wami. No, ale gadaj po kolei, jak było. Wieluście tych Dorów zasiekli?

– Mieli trzy okręty. Dwa duże, wojenne, i jeden mniejszy. Zabiliśmy pewnie z pół setki górali, jak nie lepiej. Walczyli, psiejuchy, zażarcie, to im trzeba zwrócić. Ledwo dziesięciu rzuciło broń i poprosiło litości. To było rankiem, mgła się jeszcze snuła po morzu. Posłyszeliśmy krzyki. Mentos kazał opuścić wiosła. Dotarliśmy na miejsce, patrzymy: dwa statki szczipione linami z hakami. Trzeci już mknie ku nim, a czwarty, ten mniejszy, trzyma się z tyłu. Stary Jobates poznał, że zaatakowani noszą znaki Kanmiego. Wiesz, tego kupca z Kityry, co przysyła tu czasem statki, choć sam zbyt jest leniwy, by ruszyć dupę ze swego domostwa. W każdym razie jasne zdało się nam, że jego ludzi napadli piraci. Puściliśmy się ku nim. Kekrops przymierzył się, by wziąć na taran tych, którzy jeszcze nie włączyli się do walki, my zaś z Mentosem ruszyliśmy z pomocą kupcom. Dorowie właśnie szykowali się do wejścia na achajski pokład. Widziałem, że nie zdążymy, cisnąłem więc oszczepem. Trafiłem jakiegoś młodzika prosto w jaja. Pisnął, zwinął się, było po nim. Ktoś krzyknął jakieś imię, jakby Kainas albo Kalias, i wtedy właśnie... Bogi, gdybym tego nie widział, nie uwierzyłbym!

– A żeby cię, Pizystracie! Mówże!

– Ten człowiek skoczył ze statku Kanmiego prosto w łapy Dorów. Prawą rękę miał niewładną, sterczała z niej strzała. Druga strzała tkwiła w jego łopatce. Mimo to jakby fala zmiotła tych smutnych skurczybyków. Tylko świsnęło ostrze, mrugnąłem, i już trzech leżało na pokładzie, zalanych krwią. Reszta się cofnęła. Tamten doskoczył, pchnął, odskoczył... I kolejny dorycki zasraniec zbierał z desek bebechy.

– Na otchłań wściekłych duchów! Że też... Bogi! Że też tego nie widziałem! Sam jeden rzucił się na pięćdziesięciu?

– Sam jeden. Daimonion, mówię ci. Szaleniec.

– I nie zadźgali go?

– O, próbowali. Kiedy minął pierwszy wstrząs, rzucili się na niego kupą. A on wpadł między nich tak, iż nie mieli miejsca na zamach, poczęli wzajem się potrać. No, po prawdzie, pewnie w końcu by go ubili. Na szyi ma wstrętą ranę, cud, że gardła mu nie poderżnęli. Pocięty jest jak ofiarne bydło. Ale ukatrupił sześciu chłopów. A potem przyszliśmy mu z pomocą. Dorowie próbowali ciąć liny, aby uwolnić swoje okręty, odzyskać sterowność, jednak nie zdążyli. Skoczyłem pierwszy z naszymi chłopcami. Mentos odczekał, odczekał... To śliski typ,

Telemachu, wojować z nim za plecami żadna przyjemność. Niemniej, gdy zobaczył, że wygrywamy, i on rzucił się do walki.

– A co z tym drugim wojennym statkiem?

– Podkulili ogon i zwiewali. Tylko jeszcze Kekropsa obsypali strzałami. Jeden grot drasnął tchórzliwego drania w policzek i potem już nie spieszno mu było gonić górali. Postraszył, postraszył, po czym skoczył na ostatni statek, ten mały, i wziął go atakiem. Czasem wstyd mi, żeśmy spokrewnieni. To jednak nie wszystko, słuchaj dalej. Zamęt zrobił się w którejś chwili taki, że siedmiu czy ośmiu Dorów przeskoczyło na statek Kanmiego. A tam same chuchra – Akarneńczyki, Etolowie, nawet kilku Fenicjan. Sam nie widziałem, co zaszło, lecz opowiadał mi Gerasimos. Otóż, wyobraź sobie, ci od Kanmiego wieźli dziewczynę... A jaką piękną! No i jeden z górali rzucił się na nią, rozdarł jej szatę, do pokładu przygwoździł. Nie wiadomo, chciał zabić czy... no wiesz. A ona jak go nie wyrznie w zęby! Potem wyszarpnęła mu nóż z za pasa i wbiła w głowę, aż do mózgu.

Telemach machnął ręką.

– E, będziesz mi o dziewczynach bajdurzył! Gadaj, ilu załatwiłeś?

Pizystrat wahał się chwilę.

– Czy ja wiem... Jednego na pewno. No i jeszcze tego, którego ugodziłem oszczepem, znaczy tego Kaliasa. Poza tym... trudno zliczyć.

– Jak to było? – Oczy młodego króla zabłyśły.

Przyjaciół zaśmiał się gromko.

– Bitwa słodka jest jak wino. Co więcej, idzie do głowy, ale nie ma po niej kaca. Gdy zaś już było po wszystkim... No... powiem ci, że mdło mi się zrobiło. Ręce poczęły mi latać...

– Rzygałeś?

– Nie. Za to Gerasimos zafajdał sobie cały kaftan. Nie zdążył nawet dobiec do burty.

– Muszę iść do portu. Mentos przypłynął z wami?

– Tak. Coś tam jeszcze oporządza. Pewnikiem przelicza zdobycz. Ja poszedłem prosto do ciebie.

– Zdobycz?

– Taaak... Śliski jest, mówiłem ci. Jeśli mam być szczerzy...

– Co?

– No, nie tak sobie to wyobrażałem.

– W sensie, że co?

– Po walce, gdy już opatrzyliśmy rannych, zebraliśmy naszych zabitych, a trupy Dorów cisnęliśmy na pożarcie morskim wężom, Mentos, ja i kilku innych przeszliśmy na kupiecki statek, żeby rozmówić się z ocalonymi. Okazało się, że ich dowódca zginął od strzały, zanim na dobre zaczęła się walka, więc jego żeglarze wybrali najstarszego spośród siebie, by przemawiał. Zaczął dziękować, lecz Mentos przerwał mu i powiedział, że spieszmy się, niech więc, zamiast dziękować, wypłacą nam dziesiątą część przewożonych towarów jako zadośćuczynienie za poniesione straty. Tamten odparł, że nie może rozporządzać majątkiem Kanmiego, na co Mentos rozsierdził się i byłby go przebódł mieczem.

– Powstrzymałeś go?

– Nie, zdębiałem, na szczęście ludzie Kanmiego podnieśli lament i powiedzieli, że zapłacą. Potem powstała jeszcze kwestia małego statku, który zdobył Kekrops. Okazało się, że to był również statek kupiecki. Dorowie zdobyli go nie dalej jak dzień wcześniej, a załogę wzięli w niewolę. Kekrops zażądał go dla siebie, a co do pojmanych ludzi, dogadali się z Menteselem, że każdy z nich weźmie po połowie jako niewolników. Zaprotestowałem, bo zdawało mi się, że winniśmy ich uwolnić i zwrócić im statek.

Na gładkim zazwyczaj czole Telemacha pojawiła się zmarszczka. Oczy mu pociemniały.

– Przypuszczam, że nie posłuchali – mruknął.

– Powiedzieli, że jestem głupi młodzik i że takie jest prawo wojny. Jeśli ci ludzie byli wolni, tłumaczyli mi, ich chlebodawca da za nich okup. I za statek także.

– Porozmawiam z Menteselem.

– Wątpię, żeby przyszło ci coś z tego.

– W moim imieniu walczyłeś, zatem i mnie coś się należy. Chodź, pokażesz mi tego twojego daimoniona, a później załatwimy sprawę z Menteselem.

* * *

Ifigenia musnęła opuszkami palców nagą pierś Nabu. Z szorstkiej skóry biło ciepło, męczyzna trochę gorączkował. Mruknął, kiedy go dotknęła, syknął, gdy zaczęła zmieniać opatrunek na szyi, jednak dalsze zabiegi przyjmował w ciszy. Pozszywał go jeszcze na statku Zeuksidamos, lekarz Mentesa. Później opiekowała się nim wieszczka.

– Jak to możliwe – powiedziała, wymacując kolejny zawój płótna – że człowieka można podziurawić jak stary worek, a i tak wszystka krew z niego nie uleci?

Luwita obrócił się na brzuch, podstawiając jej obandażowaną łopatkę. Stwierdziła, że po prawdzie wszystkie rany były raczej powierzchowne, ale odniósł ich tak wiele. Tak wiele... Jeszcze parę opatrunków, a nie potrzebowałby pogrzebowego całunu.

– No, to już chyba ostatni. Gdzieś jeszcze cię boli?

Nabu chwycił dłoń wieszczki lewą ręką i powiodł ją ku prawej, wiszącej na temblaku.

– Co to? Drzazga? Bogi, ale z ciebie dzieciuch! Daj, wyjmę ją. Czy ty się śmiesz? Nabuszezibanni, czy ty się ze mnie śmiesz?

Spróbowała dotknąć jego twarzy, lecz się wykręcił. Czują jednak, że śmiech wstrząsa szerokimi ramionami. Rozeźlona, uderzyła go otwartą dłonią w udo, gdzie – jak wiedziała – miał sporego sińca.

– Zachowałeś się jak dureń, rzucając w pojedynek przeciw całej załodze – powiedziała. – A tego, że mnie zostawiłeś...

Poczuła, jak Nabu tężeje, jak uchodzi z niego wesołość. Usiadł na posłaniu, podciągnął nogi.

Dziewczynnie coś zaszamotało się w piersi. Odczekała kilka uderzeń serca, potem złożyła szybcutki pocałunek tam, gdzie wcześniej uderzyła, i wstała. W tej samej chwili spoza komory dał się słyszeć szmer kroków. Zaszleściła zasłona w drzwiach i do pomieszczenia ktoś wszedł, wnosząc zapach soli oraz jakichś kwiatów, których Ifigenia nie znała.

– Pani – ozwał się męski głos. Poznała Eumajosa, rządcę portu. Rozmawiała z nim wcześniej, szukając miejsca, w którym Nabu mógłby odpocząć. – Przyprowdziłem ci gościa. Penelopa-

królowa chciałaby mówić z tobą.

- Może porozmawiamy na zewnątrz? – Rozległ się niski, przyjemnie chropawy kobiecy głos.
- Twojemu słudze pewnie przyda się teraz spokój.
- Nabu nie jest sługą. To mój... towarzysz. Obrońca.
- Dzielny obrońca, z tego co słyszałam. Eumajos twierdzi, że o jego waleczności już krążą opowieści.

Dziewczyna pokiwała głową. Obróciła się ku Luwicie.

- Przyjdę do ciebie później. Spróbuj się zdrzemnąć.

W towarzystwie królowej oraz Eumajosa wyszła z komory. Stary zaraz się pożegnał, wymówił obowiązki. Zostały same.

- Przejdiesz się ze mną na plażę? – zapytała Penelopa. – Daj rękę.

Ifigenia chwyciła podaną dłoń – małą, ciepłą, w kształcie serca. Pozwoliła się poprowadzić. Dom Eumajosa stał blisko morza, jednak musiały iść jakiś czas, aby zostawić w oddali hałas portu. W pewnym momencie pod ich stopami zachrząścił piasek. Fala musnęła palce nóg, wyrывая z ust wieszczki okrzyk. Przysiadły na płaskim, wygładzonym wodą i wiatrem kamieniu.

Bóstwo szemrało i pomrukiwało tuż obok. W oddali darły się kormorany. Słońce grzało z wysoka, ale jednocześnie zawiewał wiatr. Dziewczyna poczuła, że jej ramiona pokrywa gęsia skórka.

- Widziałam cię kiedyś, dawno temu – powiedziała Penelopa. – Byłaś wtedy małą dziewczynką.

Wieszczka uśmiechnęła się półgębkiem.

- Obawiam się, że ja ciebie nie widziałam.

Królowa milczała przez chwilę, potem rzekła:

- Czy zawsze byłaś niewidoma?
- Nie wiem. Wydaje mi się, że nie. W najstarszych wspomnieniach widzę słońce. Ale wszystko z czasu, zanim ojciec zabrał mnie do Aulidy, jest takie... nierzeczywiste.

Pani Itaki znów zamilkła, tym razem więc Ifigenia zapytała:

- Gdzie mnie widziałaś? Nie pamiętam, żeby ktoś nas sobie przedstawiał.
- To było lata temu, kiedy Odys i twój ojciec oblegali Troję. Wraz z Telemachem odwiedzałam Melantę w Hellajach. Jesteśmy kuzynkami. Moja babka i jej matka były siostrami.
- Nie wiedziałam o tym.
- Jak ona się miewa? Mam nadzieję, że wojna ją oszczędziła?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Wierzysz wieszczbom? – zapytała.
- Tak.
- W takim razie obawiam się, że Melanta nie żyje.
- Hellaje zostały napadnięte?
- Zdobyte. Przez Dorów.

Zaszeleściły szaty, gdy Penelopa zsuwała się z kamienia. Jej stopy plusnęły o wodę. Odeszła

kilka kroków. Z jej ust uleciało długie westchnienie, z którego Ifigenia wyłowiła słowa: „Bogowie miłosierni”.

– Byłyście sobie bliskie? – zapytała wieszczka.

– Czy ja wiem... Nie jakoś bardzo. Ostatni raz widziałam ją dwa lata temu, na igrzysku po śmierci mego ojca. Wtedy jeszcze żył jej mąż, Lykidas. Czy Lizymach też zginął?

– O jego losie nic mi nie wiadomo. Być może uciekł z miasta.

Ifigenia słyszała, że władczyni odchodzi kolejnych kilka kroków. Woda mogła już sięgać jej kolan.

– Znowu Achajowie pójdą na wojnę – powiedziała Penelopa.

– Wojna to ich żywioł.

– Ile masz lat? – zapytała nagle królowa.

– Osiemnaście.

– Hm... Niewiele więcej niż mój Telemach. Jednak ty jesteś już kobietą, a on wciąż tylko chłopcem.

– Jest królem – zauważyła wieszczka.

– Tak – odparła pani Itaki, po czym zmieniła temat: – Powinniście przenieść się do zamku. Mój syn z pewnością chętnie przyjmie was w gościnę. Nasza wyspa to bezpieczne miejsce. Nie ukrywam, że mnie też będzie miło mieć w domu drugą kobietę.

– Chętnie skorzystamy z zaproszenia, ale obawiam się, że na krótko. Niech tylko Nabu wydobrzeje, a ruszymy w dalszą drogę. Muszę odnaleźć mojego brata Orestesa.

– Boisz się o niego?

– Miałam widzenie. Jeśli to, co objawili mi bogowie... Muszę go odnaleźć. Może jeszcze nie jest za późno, żeby odmienić los.

– Odmienić los? – Penelopa zawróciła i stanęła blisko dziewczyny. Objęła ją z nieśmiałą czułością.

– Jeżeli tylko odnajdę go na czas...

– Gdy Odys wrócił z Azji na Itakę, Tejrezjasz przepowiedział, że morze przyniesie mu śmierć. Mój mąż oczywiście zlekceważył ostrzeżenie i popłynął podżegać Menelaosa-króla do wojny.

– I zginął. Wiem, opowiadał mi o tym przyjaciel twego syna.

– Czy komukolwiek kiedykolwiek udało się odmienić los?

– Nie wiem, ale i tak zamierzam spróbować.

– Ta wasza achajska krew... Ach, ta wasza achajska krew.

Krótki uścisk. Pociągnięcie nosem. Potem królowa wypuściła towarzyszkę z ramion i znów przy niej siadła.

– Mogę dotknąć twojej twarzy? – zapytała wieszczka.

– Po co?

– To jedyny sposób, w jaki mogę ci się przyjrzeć. – Ifigenia uniosła dłonie. Powiodła palcami wzdłuż brwi starszej kobiety, potem po jej policzkach, nosie, ustach, podbródku. – Jesteś piękna.

Penelopa wybuchnęła śmiechem. Zaczęła coś mówić, lecz umilkła w pół słowa, kiedy dobiegły ich dwa głosy. Jeden dość niski, mamrotliwy, drugi nieco wyższy, wciąż chłopięcy, ale

ładny, dźwięczny.

* * *

Po raz pierwszy ujrzał ją na brzegu morza: wysoką, smukłą, piękną. Słońce rozświetlało ciemne włosy, otaczając je błyskotliwą mgiełką, igrało w dziwnych, niewidzących oczach. Machnął Pizystratowi ręką, aby ten zamilkł. Znał wcześniej cięgoty ciała, ale porywy serca były mu obce, dlatego chciał smakować chwilę.

Stanął w miejscu i czekał, a ona odwróciła się powoli. Przekrzywiła główkę. Wyszczrzył zęby, potem przypomniał sobie, że przecież jest niewidoma. Zarumienił się, gdy spostrzegł, że widzi to matka siedząca obok dziewczyny.

– Telemachu, Pizystracie, chodźcie do nas! – zawołała Penelopa.

Podeszli bliżej. Pizystrat zbaraniał, jak zwykle w obecności królowej. Stanął pół kroku za przyjacielem i grzebał stopą w piachu. Młody król wodził wzrokiem od jednej do drugiej kobiety, niepewny, co rzecz mu wypada.

– Eumajos powiedział, że tu was znajdziemy – bąknął wreszcie.

– I znaleźliście. Penelopo, czy to twój syn, król Itaki?

– Tak, to Telemach.

– A ten drugi? Słyszałam dwóch mężów. Stąpali ciężko jak para wołów i gwarzyli podnieconymi głosami.

– Mój przyjaciel to Pizystrat. Dowodził statkiem, który uratował ciebie i kupców, z którymi podróżowałaś – rzucił Telemach.

Dziewczyna roześmiała się, ściągając na siebie surowe spojrzenie władczyni.

„Mogłabyś sobie darować spojrzenia, matko” – pomyślał Telemach.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłam, panie – powiedziała wieszczka. – Jestem wdzięczna za pomoc tobie i twemu dzielnemu dowódcy, którego, przyznaję, jeszcze nie nauczyłam się poznawać po krokach.

Młodzieniec nie wiedział, co odpowiedzieć. Ciszę przerwała Penelopa.

– Zaprosiłam Ifigenię w gościnę do zamku – rzekła pospiesznie. – Domostwo Eumajosa, choć schludne, trudno uznać godnym córki Agamemnona-króla. Zadbaj o to, aby przyszykowano dla niej wygodne komnaty?

– Tak, matko.

– Poproś Filoitiastę, żeby ci pomógł.

Telemach o mało nie powtórzył: „Tak, matko”, lecz wtem spostrzegł, że na twarz pięknej, oszałamiającej Ifigenii wypełza uśmiezek. Brzydki uśmiezek. Pogardliwy. Uśmiezek starszej siostry, która już wie, czym jest życie.

– Rozkażę Filoitiastowi, aby spełnił każde twoje życzenie, pani. A jeśli w czym ci uchybi, oddam go na batożenie.

Źle. Palnął jak dzieciuch, jak głupiec... Nieważne, że matka marszczy brwi, niech marszczy, co chce, ale ona... Ifigenia... W ruchu jej brwi kryło się coś więcej niż nagana. Niesmak? Politowanie?

Młody król, przeczuwając, że rodzicielka zaraz go zruga, strzelił ku niej oczyma. Otworzyła

usta. Zaraz je zamknęła. Nie rzekła ni słowa. Telemach poczuł na sobie wejrzenie Pizystrata. Bardzo starał się na niego nie obejrzeć. Brnął dalej:

– Mamy do pomówienia z Mentese, musimy rozliczyć go z łupów, które wziął. Potem odprowadzimy was na zamek.

Obrócił się na pięcie i ruszył ścieżką do portu. Kątem oka dojrzał, jak przyjaciel waha się przez chwilę, a potem oferuje niewidomej wieszczce ramię. Zaklął w duchu. „Dotyka jej – pomyślał. – Dotyka”.

Przyspieszył kroku.

Mentesa zastał przy statkach. Wysoki, łasicowaty mężczyzna o czarnych włosach i błękitnych achajskich oczach wymachiwał rękami, pokrzykując na załogę. Obok niego jakiś młody żeglarz związał liny. Po trapie schodziła grupa ludzi w podartych tunikach. Mieli spętane ręce.

– Brańcy z ostatniego wypadu? – zagadnął władca Itaki, kiwając ku nim głową.

– Tak. – Mentes nawet się nie odwrócił. – W złą stronę! Kręć w drugą stronę! Smutna banda, wiele za nich nie dostanę.

– To Dorowie?

– Aha. No dobre bogi, no, Polimosie, oślepiłeś do końca? W drugą stronę! Patrz na mnie! O...

Spośród spętanych mężczyzn wyrwał się jeden i padł do stóp Telemacha.

– Nieprawda, panie! – zawołał. – My są Akarneńczyki, z ziemi Pluteusa-króla, z załogi Seleukosa!

Mentes spojrział na króla, potem na niewolnika. Powolnym, niedbałym ruchem uderzył klęczącego człowieka w twarz. Mężczyzna upadł. Na jego policzku pojawił się czerwony ślad po pierścieniu.

Przy pomocy zapadła cisza. Wszyscy patrzyli, co stanie się dalej, a nuż będzie bitka. Mentes przypatrywał się chwilę niewolnikowi, w końcu uniósł wzrok na syna Odysa. Uśmiechał się ponuro.

– Szkoda, że cię z nami nie było – powiedział. – Król winien zakosztować żołnierskiego życia.

– Pizystrat opowiedział mi, jak postąpiłeś. Nie godzi się...

– Daj spokój, chłopcze. Kupiec, jeśli mu zależy, da wykup i będzie po wszystkim. Jestem człek cierpliwy, byle gdzie ich nie sprzedam.

– Wydawało mi się, że mieliśmy tych ludzi chronić, a nie niewolić.

Mentes wzruszył ramionami.

– Handel jest handel, kupcy dobrze wiedzą, jak to działa. Ja zaś muszę z czegoś wykarmić wdowy i dzieciaki po moich ludziach.

– Starczyłoby ci, gdybyś sprzedał Dorów. To obcy, bydlęta... Ale naszych ludzi dawać w niewolę?

– Jacy tam oni nasi? Akarneńczyki, słyszałeś, nie Achajowie. A teraz, bądź tak dobry i odstęp. Wszyscy się gapią, radziłbym ci zachowywać się jak król, a nie jak gówniarz.

Telemachem zatrzęsło. Nim zdążył pomyśleć, chwycił starszego mężczyznę za przód tuniki, pchnął. Mentes zamachał rękami, wdepnął w zawój liny. Potknął się, o mało nogi mu się nie rozjechały, stracił równowagę i runął prosto do wody. Spadając, grzmotnął głową o jeden z pali, na których stał pomost. Na drewnie została okrągła czerwona kropla.

Przy statkach zawrzało. Na nabrzeże wskoczył jednooki Kekrops. Za nim poszło czterech czy pięciu byczków z załogi Mentesa. Nie mieli broni, lecz, zaciskając kułaki, rzucili się ku Telemachowi.

– Bronić króla! – zawołał Eumajos, który nagle pojawił się przy statkach.

Młodzieniec nie miał pojęcia, co zrobi Kekrops, gdy do niego dopadnie, i nie zamierzał się przekonywać. Dał susa ku nadbiegającemu krewniakowi Pizystrata. Schylił się, uderzył pięścią od dołu, mierząc nisko. Grubawy Kekrops stęknął. Machnął ręką, nie trafił. Ktoś spróbował chwycić Telemacha za ramię, ale rozdarł mu tylko tunikę.

Pomiędzy walczących wpadł z rykiem Pizystrat. Kekrops i jeszcze jeden mężczyzna plasnęli do wody. Syn Odysa wyszczerzył zęby, podciął trzeciego, szarpnął za jego wybujaną brodę i posłał w ślad za towarzyszami. W tej samej chwili ogromna pięść gruchnęła młodego władcę w policzek. Zgrzytnął zębami, przygryzł sobie język. W oczach mu pociemniało, zatoczył się w bok.

– Bronić króla! Bronić króla! – darł się rządca portu.

Żeglarze wybiegali już z tawern i zeskakiwali z okrętów. Ktoś chwycił wiosło i młócił nim jak maczugą. Podniosły się krzyki, wrzawa. Krew zawrzała w żyłach.

– Zabili Mentesa i Kekropsa! Zabili!

– Bij ich, wiara!

– Zajebać skurwysynów!

Na statku Mentesa pojawił się jakiś człowiek niosący miecz i tarczę.

– Do mnie! – ryknął. – Do mnie! Cofnąć się!

Para silnych ramion chwyciła Telemacha. Wokół niego stłoczyły się ciała. Był wśród swoich.

Eumajos wyrósł u jego boku jakby znikąd. Niósł tarczę i hełm. Wcisnął je młodzieńcowi w ręce.

– Miecz dla króla! – zawołał.

Ktoś podał krótkie spiżowe ostrze. Na środku pomostu bito się na pięści, ale u jego początku już chrzęścił brąz. Przy statkach Mentesa i Kekropsa także coraz liczniej błyszczały groty i klingi.

– Dość!

Zastęp itackich wojowników zafalował. Bijący się Achajowie zamarli, unieśli głowy. Przez tłum przepchnęła się Ifigenia. Trzasnęła pierwszego z brzegu mężczyznę w głowę. Drugi napatoczył się Pizystrat, jednak okazał się na tyle wysoki, że trafiła go w ramię.

– Au! No i patrz, co zrobiłeś, stłukłam sobie rękę! Mentos żyje, wy osły! Stoi tam, na brzegu.

Uniosła palec. Co prawda wskazywała niewłaściwy kierunek, ale wszyscy spostrzegli ociekającego wodą i obficie krwawiącego z rozciętego czoła wodza. Gdy umilkły odgłosy walki, posłyszano też Kekropsa – wołał, aby ktoś pomógł mu wejść na pomost.

W kilku miejscach wybuchł śmiech. Wojownicy zaczęli składać broń. Mentos ruszył w stronę statków. Ludzie ustępowali mu z drogi, ktoś spróbował klepnąć go w ramię, lecz walczący o resztki godności dowódca tylko chlasnął go wzrokiem. Zatrzymał się dopiero przy Telemachu. Miotła nim wściekłość. Czarna, spiczasta broda latała w górę i w dół. Jednak gdy się odezwał, jego głos był równy, wyprany z uczuć:

– Głupio postąpiłeś, robiąc sobie ze mnie wroga, chłopcze.

Młodzieniec zaciął usta, zniósł spojrzenie starszego mężczyzny, a kiedy ten odszedł, pomaszerował do zamku. Bez słowa.

* * *

Ifigenia wyczuła przy sobie obecność postawnego mężczyzny, zaraz potem czyjeś palce musnęły jej łokieć.

– Pani?

– To ty, Pizystracie? Ciebie uderzyłam?

Nie widziała twarzy młodzieńca, lecz gdy wybąkał: „A tam...”, wiedziała, że rumieniec okrył mu policzki. Pozwoliła poprowadzić się w dół pomostu.

– Dobrze, że nas skrzyczałaś, pani. Wyglądało, że pójdzie na miecze.

Gdzieś niedaleko ozwał się głos Penelopy wołającej za Telemachem.

– Dobrze, że Penelopa powiedziała mi, iż ten głupiec wylażł z wody. Ciężko być ślepą, Pizystracie. Wiecznie ktoś musi ci służyć za oczy. Wiecznie potrzebujesz czyjejś pomocy.

– Ty, pani... Ty, pani...

– Radzę sobie świetnie, wiem. Zabierzesz mnie do mego towarzysza?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo zbliżyła się do nich królowa.

– Utrapienie z tymi Achajami! – zawołała. – Popatrz... Przepraszam... – Chwyciła wieszczkę, porwała z opieki Pizystrata. – Twój obrońca chyba z grobu by wylażł, gdyby myślał, żeś w niebezpieczeństwie!

– Wyszedł z łoża?

– Chodź!

Pobiegly. Ifigenia wpadła na siedzącego na murku Nabu. Chwycił ją jedną ręką, syknął. Posłyszała chrzęst brązu trącego o piach. Domyśliła się, że w drugiej ręce, tej zdrowej, trzyma miecz. Dotknęła twarzy Luwity, potem pozwoliła dłoniom powędrować na kark, na plecy. Dotykając prawej łopatki, poczuła, że coś mokrego przesiąka przez opatrunek.

– Głupku ty – powiedziała miękko. – Szwy pozrywałeś.

– Pizystracie – odezwała się Penelopa. – Pomóż...

– Nabuszezibanniemu – podpowiedziała dziewczyna.

– Nabu...

– Wystarczy Nabu. Zawsze tak go nazywałyśmy. Na pewno nie obrazi się, jeśli i ty tak będziesz czynić.

– Zabierzmy go do zamku.

Młodzieniec pomógł Luwicie stanąć na nogi, a Ifigenia objęła swego opiekuna w pasie i tak we dwojkę poprowadzili go w stronę itackiego zamku. Maszerował równym krokiem, nie słaniał się, czasem tylko syknął, jeśli Pizystrat przypadkiem uraził któreś z licznych stłuczeń.

W domu władców wyspy wokół Nabu zakrzętnęli się niewolnicy.

– Twarda z ciebie sztuka, przyjacielu – powiedział Pizystrat, przekazując podopiecznego służbie. – Mało kto w twoim stanie rwałby się do walki.

Wieszczka usłyszała plaśnięcie dłoni i domyśliła się, że Nabu klepnął młodzieńca w ramię.

– Filoitiesie! – zawołała Penelopa. – Zadbaj, by dobrze zajęto się szlachetną Ifigenią i jej przyjacielem. Pchnij też kogoś do domu Eumajosa po ich rzeczy. Widziałeś mego syna?

* * *

Telemach siedział w sali uczt i z szerokiego parapetu wyglądał na morze burzące się u itackich skał. Wiatr nabierał mocy, pędził coraz chyżej, nanosząc chmury. Słońce raz łykało, raz ginęło.

Trzasnęły drzwi. Zaszleściła przesłona.

– Synu...

Obejrzał się na Penelopę.

– Co?

Zmarszczył brwi, popatrzył na matkę – surowo, jak mu się zdawało. Nawet nie wiedział, jak podobny był w tamtej chwili do Odysa.

Królowa zaśmiała się na ten widok. Podeszła, też siadła na parapecie i objęła syna.

– Bogi, zauroczyła cię ta mała księżniczka, co?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Dobrze wiesz. Jestem twoją matką, Telemachu, znam cię lepiej niż ty sam.

– Zapewne znasz mnie lepiej, niż chciałbym przyznać, ale z pewnością nie tak dobrze, jak ci się zdaje.

– Krew Atrydów jest gorąca, ale i ty po ojcu masz swój charakter. Albo raczej po dziadzie. Szelma był stary Laertes, uwierz mi. Nie tak dumny jak Odys, nie tak... – Urwała. – Hm. Ty i Ifigenia tworzylibyście ładną parę. Jeśli tylko nie dasz się wcześniej zabić, żeby zrobić na niej wrażenie. Choć to, przypuszczam, jest achajski sposób.

– Już nas zaślubiasz? Daj spokój. Kiedy tylko będzie gotowa, wsadzę ją na statek i zawiozę prosto do Lakedaimonu, do stryja.

Penelopa zmarszczyła brwi.

– W porcie dałeś się wyprowadzić z równowagi Mentesowi i mało się nie posiekliście, bo pragnąłeś zrobić wrażenie na Ifigenii – powiedziała. – Teraz chcesz z tego samego powodu płynąć na wojnę?

– Nie wiem.

– Nie będę cię ganić za to, jak się zachowałeś. Odys miał rację, że nie mogę wiecznie próbować poskromić w tobie męczyzny.

Młodzieniec zwrócił na matkę zielone oczy Akarneńczyka, dziedzictwo Periereidów. To były oczy jej brata i ojca.

– Nie możesz mnie ganić, bo jestem twoim królem – powiedział.

Penelopa odsunęła się mimowolnie.

– Co więc zamierzasz? – zapytała. – Ojciec przykazał ci bronić Itaki.

– Nie wiem, matko. Ale może sposobem na to, by jej bronić, byłoby połączenie sił z Menelaosem oraz innymi królami i wypchnięcie Dorów z powrotem w góry, z których zleźli. Czy nie taki był plan ojca?

– Nie jesteś Odyssem. Zresztą, kto wie, czy Menelaos-król w ogóle by go usłuchał? Poza tym, czy Dorowie naprawdę zamierzają pomaszerować na południe?

– Teukros tak twierdzi.

– Poczekaj więc, aż wróci z twoimi wojownikami z Tafos. Wtedy się naradzicie. Zbierzesz starych wodzów Odysa, zbierzesz też młodych.

Telemach potrząsnął jasną czupryną.

– Nie wiem. Dobrze. Może.

– Król musi być zdecydowany.

– Dobrze, daj mi już spokój, zwołam naradę. A co do Ifigenii...

– Zachęć ją, żeby pozostała w naszej gościnie.

– Nie zamierzam prosić. A że jej statek odpływa...

– Odpływa?

– Tak słyszałem od Eumajosa. Żeglarze podobno naradzili się, żeby sprzedać tutaj swoje towary, a potem jak najprędzej wracać do kupca Kanmiego, na Kiterę. Dorowie do spółki z Menteselem napędzili im stracha. Poza tym stracili dowódcę. Chcą znaleźć się jak najdalej, a wiedzą, że gdy przyjdzie pora sztormów, mogą tu utknąć.

– Bardzo dobrze, niech płyną. Ifigenia i tak będzie chciała poczekać, aż wydobrzeje ten jej Nabu, a bez statku będzie musiała przynajmniej przeczekać.

– Nie knuj, matko, proszę cię...

– Nie knuję.

– Nawet jeśli postanowię zostać na Itace, a ona będzie chciała niedługo płynąć do Lakedaimonu, dam jej statek. Powiedziałem.

ROZDZIAŁ XIII

Krew dudni w uszach. Krew mlaszcze pod stopami, wdeptana w błoto. Krew zbiera się kroplami na brwiach. I deszcz. Dzwoni, gra na pokracznych spiżowych pancerzach.

– Ojciec niebo płacze! – krzyczy ktoś.

Jeśli środek szyku ulegnie, jeśli załamie się blok karnej piechoty z książęcej drużyny, górale uciekną przed zwartymi szeregami Achajów. Nieważne, że jest ich więcej. Nie przywykli do takiej walki. Nie przywykli stać godzinami w miejscu, tłukąc o mur tarcz.

– Rydwany! Rydwany!

Zastęp faluje. Jasne głowy obracają się, gołowąsi gówniarze wyglądają niebezpieczeństwa, jakby zapomnieli, że wróg stoi tuż przed nimi. Achajowie prą naprzód, gdzieś z tylnych szeregów podnosi się pean.

Kresfontes zbiega ze wzgórza, ślizga się na poczerwieniałej trawie. Za nim przyboczni.

– Niech Korydon biegnie tu z setką ludzi! Wzmocnić środek! Do mnie, bracia! Do mnie!

W pędzie mija zdezorientowanego setnika. Wpada między swoich ludzi, pcha się do pierwszego szeregu, do wroga. Uderza mieczem, uderza tarczą. Krew dudni w uszach, krew chlapie w oczy.

Ryczy. Nie wie co, słowa płyną same:

– Bij ich! Bij ich, kurwa wasza mać! W sranie! Zajebać! Zapierdolić! Wasze babki by ich wychędożyły! Bij ich! Zajebać! Miękkie pały! Bij ich albo was wydupczą jak Hetytów!

Wokół wybuchają śmiechy. Górale giną i mordują ze śmiechem.

Przed Kresfontem wyrasta zwalisty wojownik. Książę obraca się, lecz zbyt wolno. Stopa grzęźnie mu w błocie. Przyboczny nie osłoni swego pana tarczą – padł przed chwilą, włócznia przedziurawiła jego pancerz, rozdarła wnętrzności.

Heraklida słyszy dźwięk, jakby dzwonu. Ciemnieje mu w oczach, ale na oślep uderza mieczem. Sięga ciała. Puszczą krew.

– Skurwyyy... – sapie. O mały włos pada na powalonego wroga, lecz w ostatniej chwili łapie równowagę.

Błysk grotu. Coś wali go w bok.

– ...syn! – kończy. Zabija kolejnego Achaja.

Cofa się, żołnierze zajmują jego miejsce na czele szyku.

– Heraklidzi nieśmiertelni! – krzyczy ktoś z drugiego szeregu.

– Miecz pękł na jego hełmie! Widziałem, miecz pękł na jego hełmie!

– Spiż się ich nie ima!

– Heraklidzi!

Kresfontes maca zbroję. Jest zupełnie inna niż toporne pancerze jego podwładnych i wrogów. Tylko trzy takie zbroje widział w swoim życiu. Jednej nikt już nie założy...

Myśli księcia uciekają ku Arystodemowi.

Demokedes, nastoletni sługa, odciąga księcia dalej.

– Arystodem! – wrzeszczy brzydal. – Za Arystodema, bracia! Wszyscy jesteście Heraklidzi! Wszyscy Heraklidzi!

Wojownicy podejmują okrzyk. Napierają z nowymi siłami. Wódz zwraca się do ciągnącego go za ramię młodzika:

– Gdzie te wrogie rydwany?

– Rozpędziły Makedonów Glauketasa. On sam chyba zabity. Zatrzymali je nasi łucznicy, ale już robią drugie koło.

– Lekka piechota wytrzyma?

Sługa tylko gapi się na niego wielkimi oczami.

Kresfontes odpycha dzieciaka.

– Parmeniskosie! – woła dowódcę stojącego w odwodzie zastępu lekkiej piechoty, brata Glauketasa. Spośród odzianych w skóry mężczyzn wyłania się niski, baryłowaty mężczyzna z brodą sięgającą pasa. – Parmeniskosie, skrzydło się utrzyma?

Brodacz ociera deszcz i pot z nalanej twarzy. Kita na szpicie jego hełmu dynda smutno.

– Nie utrzyma się, Kresfonte. Na bogi, nie utrzyma...

– A, do otchłani z wami! Demokedzie, włócznia! Za mną!

– Bronić wodza! – woła Demokedes.

I już pędzą przez środek własnego szyku. Piechurzy rozstępują się przed nimi. Trwa to i trwa, dech w piersi grzechocze, zbroje ciężą, błoto chwyta za nogi. Gdzieś z przodu dobiega rumor.

– Zabijajcie konie! – woła Kresfontes. Nie wie, co się dzieje, ale nic lepszego nie przychodzi mu do głowy. – Zabijajcie konie!

Nagle wokół robi się pusto. Piechurzy w popłochu gnają na boki, a z naprzeciwka pędzi rydwan. Kosy na kołach, nie mogąc sięgnąć ciał, kroją tylko krople deszczu. Powietrze z furkotem przecina oszczep. Uderza brzydala w ramię. Miękkie ostrze z brązu gnie się na cudownej zbroi, jednak sam pęd pocisku wystarcza, aby wybić księciu powietrze z płuc, zwalić go z nóg.

Konie kwiczą. W błocie, w deszczu trudno im utrzymać rytm.

„Bóg Niebo walczy u naszego boku” – myśli Kresfontes i nastawia włócznie. Przez krótką chwilę pomiędzy rozpędzonymi zwierzętami i nad głowami woźniców widzi majaczące w szarówce mury Naupaktos. „Tak blisko. Tak blisko. Jeśli nam się uda... Jeśli się przebijemy... Możemy je zdobyć”.

* * *

Po południu złożono wymagane przez obyczaj ofiary. Wieszczyk wejrzał we wnętrzości rocznego byczka i orzekł, że czas jest odpowiedni. W sali tronowej pałacu Menelaosa-króla zastawiono stoły. Poza ofiarnymi mięsami wniesiono polewkę na wieprzowinie duszonej w sosie z krwi i octu, a także drugą, lżejszą, zawierającą tylko jęczmień, kozi ser oraz zioła. Przewidziane były też zimne mięsa, głównie z gęsi i zajęcy, a także ser z miodem, miodowe ciastka i liczne owoce. Wino lano skromnie, do tego mocno rozcieńczone, by goście zachowali

trzeźwe głowy.

Na sąd, poza Agapenorem-królem i Drakomachosem z Myken, stawiło się wielu poddanych Menelaosowi królików: Tereos z Amyklaj, Chromis z Faris, Koes z Augiajów, Kreton z Messe wraz z bratem Jatragorasem, Lyzis z Ojtelos, szpotawy Hyllos z Helos. Obok tych zjawili się też przybysze z dalszych stron, a wśród nich Antyloch-król z Pylos ze swym poddanym Hipolitem, królem Ojchalii, Meles, brat króla Tegei Merionesa, i wielu innych z różnych zakątków Półwyspu. Wielu z nich siedziało już w Lakedaimonie od pewnego czasu, uczując z Orestesem lub polując wśród okolicznych pól i niskich wzgórz.

Gdy skończono jeść, Menelaos dał znak, że chce przemówić. Zaciskał w pięści kielich wina. Przed królem stał pusty talerz.

– Achaje! Szlachetni Achaje... Moi bracia z pól Troi i Karkisy. Napchaliście już brzuchy mym jadłem, opiliście się mym winem, teraz więc... Teraz pomóżcie mi sądzić. Orestesie, podejdź.

Młodzieniec uniósł się z miejsca. Twarz miał przybraną powagą. Odprowadzany wzrokiem zebranych, obszedł całą salę i stanął u boku stryja – ogromny przy szkieletowej kukle złożonej na tronie.

– Oto Orestes, syn Agamemnona-króla, pogromcy Luwitów, Hetytów i Arzawów, zdobywcy Troi. Przybył do Menelajonu prosić mnie o sąd, gdyż w szale zabił własną matkę. Ukorzył się, złożył ofiary prześlągalne...

– Daruj sobie wyliczanki, Menelaosie-królu – przerwał Drakomachos, unosząc się z miejsca. – Prawo naszych przodków jest jasne. Kto podniesie rękę na ojca lub matkę, winien jest śmierci.

– Daj królowi dokończyć! – oburzył się stary Hyllos.

– Zamierzacie głądzić jak baby, a tymczasem nie ma o czym. Prawo Achajów jest twarde, jak i my jesteśmy twardzi.

– Pozwól gospodarzowi decydować, o czym rozmawia się w jego domu – odezwał się Antyloch. Król Pylos mówił cicho, jednym palcem obracając nóż wśród resztek mięsa. Nie patrzył na zebranych, jego smutna, urodziwa twarz była nieruchoma. – Bacz też, że pouczasz męża znaczniejszego od siebie, Drakomachu. Upasłeś się na Agamemnonowych łupach, okaż trochę szacunku jego krwi.

Twarz Drakomachosa stała się niemal tak czerwona jak szczeń porastająca jego czaszkę. Oparł ciężkie pięści o stół.

– Jeśli mam jakiś majątek, zdobyłem go, krwawiąc na polach bitew – wycedził.

– Nie byłeś jednak wśród tych wybranych mężów, co hożą stopą deptali równiny Azji – rzekł Hipolitos. – Nie byłeś w naszym świętym zastępie.

– A ilu z nas, tu zebranych, w nim było? Dławicie się dumą z tej swojej wojenki, ale co z niej wam zostało?

– Drakomachos ma słuszość – powiedział Jatragoras. – Wielu z nas nie było pod Troją, jednak walczyliśmy w wielkich wojnach, pod wielkimi wodzami...

– Wysługując się Ramezusowi i innym śniadym dzikusom – sarknął Hipolitos.

Menelaos uderzył dłonią w stół.

– Dość! – zakrzyknął. – Swarliwe z was plemię, Achaje! Mieliście pomoc mi osądzić bratanka, a nie sądzić siebie nawzajem!

– Sąd prosty, powiedziałem: śmierć!

Rozbrzęczały się głosy. Jeden czy dwa powtórzyły okrzyk: „Śmierć!”. Inne zmieszały się w kłótni.

– Cisza! Niech was otchłań, cicho! – W piersi Menelaosa wciąż było dość siły, by głos unieść ponad gwar, jednak kolejne słowa wymawiał chrapliwie, na bezdechu. – Wiem, że pragniesz śmierci dla Orestesa, Drakomachu, ale ja go skazać nie mogę. To krew z mojej krwi, ostatni z rodu Atreusa.

– To hańba tego rodu! – krzyknął ktoś.

Przybysz z Myken pogardliwie wydał usta.

– Spodziewałem się, że tak odpowiesz, Menelaosie. Atrydzi nie wiedzą, co to honor...

Gospodarz poderwał się z tronu.

– Honor?! – wykrzyknął, bryzgając śliną. Omal nie upadł, zbiegając z podwyższenia, na którym stało królewskie siedzisko. – Honor, ty beockie ścierwo?! A co ty o tym wiesz? Czy nie na rozkaz twojego pana, Ajgista-kurwiarza, zabito mego brata?

Wśród zgromadzonych Achajów zawrzało. Pokrzykiwania wzniosły się niby fala, potem opadły, omywając Drakomacha, który stał niewzruszony i przez długość stołu patrzył nie na Menelaosa, a na Orestesa.

– To zepsute nasienie – powiedział. – Zatrul twój umysł, królu, kłamstwami. Niejeden z nas tutaj obecnych był przy Agamemnonie w godzinie jego śmierci. Twego brata zabił dzik. Może powiesz mi, że zrobił to na rozkaz Ajgistosa-króla?

Na te słowa powstał Agapenor.

– I ja byłem na tamtym polowaniu – odezwał się. – Widziałem, jak Klitemestra wsypywała nieznanne mi zioła do bukłaka, z którego pił Agamemnon.

– I jam to widział! – zawołał ktoś z głębi sali, z miejsca, w którym sługi i przybocznicy posilali się resztkami przy niskim stole.

Kilka głów się obróciło. Menelaos rzucił wzrokiem na prawo i lewo – zdezorientowany. Orestes tymczasem wykonał ledwie widoczny ruch ręką. Pomiędzy Achajami utorował sobie drogę Pylades prowadzący Makhawona.

– I jam to widział! – powtórzył zadziornie stary żołnierz. – Wiedźcie też, szlachetni Achaje, że owego dnia polowaliśmy na łanie i żaden łowczy nie widział dzików w okolicy. Klitemestra pospołu ze zdrazieckim Ajgistem otumanili Agamemnona-króla trucizną, a potem podstawili odyńca, który go zabił. To widziały moje oczy. Co więcej... Co więcej...

– A to co znowu za pajac? – warknął dowódca straży króla Myken.

– Jestem Makhawon z Teb, żołnierz wielkiego Agamemnona, który go tymi, o, rękami niósł, gdyśmy zburzyli spiżowe mury Troi!

– Proszę! Będziecie słuchać bają pijaka?

– Ależ w tobie mało szacunku, Drakomachu – mruknął Antyloch. – Łatwo ci przychodzi znieważać bohaterów, prędko jesteś w sądach. A może byśmy tak wysłuchali samego Oresta? Powiedz nam, synu Agamemnona, jakież to szła zesłali na ciebie okrutni bogowie?

– Rozdzierający ducha – odparł młodzieniec.

Drakomachos parsknął. Nie zważając na to, książę odszedł z miejsca u stóp tronu i zbliżył się do stryja. Wsparł go ramieniem. Król popatrzył na niego zmieszany. Rozszerzone źrenice jego

oczu wyglądały wśród błękitnych tęczówek jak dwie czarne dziury na niebie.

– Mój ojciec dokonał czegoś, czego nie udało się nikomu przed nim. Zjednoczył wszystkie plemiona Achai, Lakonii, Messenii, Arkadii, Elidy i Argolidy, a także liczne plemiona Fokidy, Lokrydy, Beocji i Attyki, a następnie poprowadził je do walki ze wspólnym wrogiem. Dorastałem w wierze, że jedyną przyszłością dla Achajów jest utworzenie związku wolnych królestw obejmującego cały Półwysep.

– Co to ma do rzeczy? – wciął się gość z Myken.

Orestes ciągnął, jakby nikt się nie odezwał:

– Uważałem, że nasza siła leży w jedności, tymczasem do mego własnego domu wkradło się rozdwojenie. Wniosła je Klitemestra, zdradzając mego ojca z Ajgistem i rodząc mu dziedzica z nieprawego łoża. Tym sposobem podzieliła naszą własną krew. – Powoli zwrócił wzrok na Drakomacha. – Nie winię za to Ajgista, nie uważam go za wroga, choć wiem, że mnie nienawidzi i pragnie mej śmierci. Wiem, że padł ofiarą podstępów Klitemestry... Tak jak mój ojciec. I jak ja. Poznawszy prawdę o losie Agamemnona-króla, którą wyjawiała mi sama morderczyni, przekonana, że zostanę stracony, ja, wyznawca jedności, zostałem rozdarty na dwoje. Mówisz „śmierć”, Drakomachu. Uwierz, nie jest mi ona straszna. Mówisz „prawo”. A tymczasem to ono winne jest memu rozdarciu. Bo prawo nakazuje nam „miłuj matkę”, ale także „pomścij ojca”.

– Nie zaślaniaj się podniosłymi słowami i pięknymi ideami. Dla wszystkich tu obecnych jesteś synem Agamemnona-króla, ja jednak znałem cię jako dziecko i młodzieńca, wiem zatem, jaki naprawdę jesteś i na co cię stać. Znam wszystkie twoje... twoje zboczenia. Urodziłeś się na odwrót.

Orestes uniósł lewą dłoń. Uśmiechnął się szeroko.

– Leworęczny. To masz na myśli?

– Już ty wiesz co.

Księżę delikatnie skierował Menelaosa ku najbliższemu wolnemu krzesłu. Posadził go, a następnie, prowadzony spojrzeniem wielu par błękitnych achajskich oczu, przemaszerował wzdłuż stołu, by stanąć naprzeciwko wroga.

– To działa w dwie strony, wiesz? – zagadnął. – Ja ciebie też znam i dokładnie wiem, co tobą powoduje. Nie prawo, nie wierność wobec Ajgista... Miłość. Czyż nie, Drakomachu?

– Co ty możesz o tym wiedzieć, gówniarzu? Ty nawet nie masz serca.

– Mam. Tylko w niewłaściwym miejscu. Całkiem dosłownie, obawiam się.

– Twoja matka była kobietą godną najwyższej czci...

Młody Atryda rąbnął pięścią w stół. Tak mocno, że posypały się kielichy i zadzwieczyły o posadzkę.

– Dupczyłeś ją? Co, Drakomachu? Kiedy znudziła się Ajgistem, dała ci dupy, aby kupić twój miecz?

Na szyi dowódcy straży nabrzmiały żyły. Pochylił się ku Orestesowi.

– Uważaj... – warknął.

– Na co? Na ciebie? Dopiero co domagałeś się, aby ukarano mnie za morderstwo, teraz chciałyś je popełnić sam? Tu, w gościnie u Menelaosa-króla?

Drakomachos poruszył ustami, lecz nic nie powiedział. Stał i mrugał, spocony, czerwony. Na sali zapadła cisza, dopóki od szczytu stołu nie napłynął głos Menelaosa, nie tak stanowczy jak wcześniej, znużony.

– Dosyć, Oreście. Dość już powiedziałeś.

– Nie przynosi ci chluby to, jak mówisz o swojej matce – zauważył Antyloch. Ciągłe nie unosił oczu; bawił się nożem.

– Właśnie – zgodził się z nim Lizys, siwy starzec, który pamiętał jeszcze czasy Tyndareosa-króla i w niejednej bitwie stawał u jego boku, nim ból kości wytrącił mu z dłoni włócznię. – Nie jesteśmy głupi, chłopcze. Wiemy, ku czemu pijesz. Chciałbyś nas poprowadzić, być królem nad nami. Jednak, jak sam powiadasz, masz w sobie krew mężobójczyń.

– Boska krew Agamemnona-króla jest silniejsza – wtrącił Hipolitos.

Starzec zwrócił na niego wzrok.

– Boska krew? – Uśmiechnął się pod wąsem. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Krew to krew. Bękart nigdy nie będzie równy prawemu potomkowi. Co raz zepsute... Jak nas przekonasz, żebyśmy poszli za tobą, Oreście?

– O czym wy, do ciężkiej kurwy, w ogóle mówicie? – przerwał Drakomachos. – To miał być sąd!

Lizys skrzywił się, chciał protestować, lecz ubiegł go Menelaos.

– Drakomachos ma rację. Odbiegamy od tematu. Muszę osądzić czyn... Osądzić... – Urwał, jakby zbrakło mu tchu. Nagle wydał się jeszcze starszy niż Lizys, choć w istocie był dwadzieścia lat młodszy.

– Prawo mściciela ma pierwszeństwo – rzekł Antyloch.

– Jeśli to, co powiedział Orestes, jest prawdą – zauważył trzeźwo Meles z Tegei.

– Czy powątpiewasz w słowo Atrydy? – zapytał Hipolit.

– I moje słowo? – dodał Agapenor.

– I moje? – zabeczał skądś Makhawon.

Achajowie buchnęli śmiechem.

– Trzymaj pysk, opoju! – zawołał ktoś.

– Ja też byłem przy śmierci Agamemnona-króla – odezwał się Antyloch.

– I?

– Widziałem, co widziałem... – Król Pylos uniósł w końcu oczy. Ostatni raz zakręcił nożem niby bakiem. Długo, długo przypatrywał się Orestesowi. Zebrani czekali w milczeniu. – Myślę, że nie nam sędzić Agamemnonowego syna. Myślę, że tylko bogowie mogą to uczynić.

– Co radzisz? – zapytał gospodarz.

– Nic. To twoja krew, ty jesteś sędzią. Powiedziałem, co myślę.

– Chłopak zabił własną matkę – rzekł szpotawy Hyllos. Lizys kiwał głową. – Bez kary ująć nie może.

– Bacz jednak na jego świętą krew!

– Na otchłań, Hipolicie, ależ ty mnie drażnisz... – burknął Drakomachos.

Tu i tam ponownie rozległy się śmiechy. Menelaos oparł głowę na rękach, kręcił nią przez

chwilę, rozrzucając resztki włosów.

– Na śmierć go nie skazę – powiedział. – To syn mego brata, ostatni z rodu Atreusa. Nie wiem, czy Klitemestra naprawdę zamordowała Agamemnona, choć wielu z was zdaje się w to wierzyć. Antyloch ma rację, że ludzki sąd tu na nic.

– Nie! – zaprotestował przybysz z Myken. – Ten zabobonny głupiec daje ci wygodne wyjście, ale nie zgodzę się na to.

– Orestes pójdzie na wygnanie na okres dziesięciu lat. Niech wyjące sumienia pokarzą go stosownie do czynu.

– Nie – powtórzył wysłaniec Ajgista.

– Czy naprawdę spodziewałeś się innego wyroku?

– Dam ci jeszcze chwilę, abyś zmienił zdanie. Słuchajcie, Achaje, co mówię głosem swego króla. Jeśli Orestes-matkobójca nie zostanie wydany na śmierć, Mykeny, a wraz z nimi cała Achaja, zbrojnie się o niego upomną. Powiedziałem.

Na sali zapadła cisza, w którą wgrzył się nagle ponury chichot Antylocha.

– Przed chwilą nazwałeś mnie głupcem, teraz zaś straszysz nas wojną. Coś mi się zdaje, że z nas dwóch to ty jesteś większym głupcem. Oreście, masz mój miecz.

– I mój! – zawołał Hipolitos.

– Mój także – powiedział Agapenor.

– Tyle z całego tego pieprzenia o jedności – mruknął Lizys, unosząc kielich wina i zanurzając wąsy w czerwonym trunku.

Menelaos westchnął.

– Mykeny są potężne, ale czy jesteś pewien, że wystarczająco? – zapytał Drakomacha. – Zastanów się...

– Nie ma nad czym. Powiedziałem: wojna.

* * *

Outis nie patrzył na salę. Przyglądał się Helenie. Stali blisko siebie, niepokojąco blisko, w niewielkiej wnęce skrytej za kolumną, kilka kroków za tronem, na którym wcześniej siedział Menelaos. Za ich plecami warował Naos. Włosy Heleny pachniały deszczem.

Przybysz znikąd obserwował usta, które z każdym słowem obradujących królów zaciskały się coraz bardziej, piegi zbijające się w ciasną gromadę, ściągnięte brwi. Obserwował igrające w zielonkawych oczach ogniki gniewu. Kiedy Drakomachos powiedział „wojna”, na chwilę zniknęły – przegnał je strach? – potem jednak zapłonęły jeszcze jaśniej. Królowa drgnęła, może musiała się powstrzymać, by nie wybiec do męża i siostrzeńca.

Obejrzała się na stojącego za nią mężczyznę, który w tej samej chwili uciekł wzrokiem i spojrzał na zgromadzonych. Zapanowało poruszenie. Pomniejsi panowie, przybocznicy i słudzy mówili jednocześnie, wymachiwali rękami, wskazywali sobie ludzi z orszaku Drakomacha, którzy – zbici w ciasną gromadę – brnęli do swego wodza.

W głowie Outisa również ożyły głosy, wspomnienia. Przez chwilę był pewien, że niemal pamięta, kim jest i skąd wyruszył. Wrażenie to jednak zaraz minęło, a pozostało jedynie niejasne przecucie, że znalazł się tam, gdzie powinien, na dodatek w odpowiednim czasie.

Wyszedł z wnęki, spróbował przepchnąć się przez gęstniejący tłum.

– Menelaosie-królu! – zawołał. – Menelaosie, wysłuchaj mnie!

Jego głos zginął w gwarze. Wnet łokcie wzburzonych Achajów odepchnęły go pod ścianę. Tuż obok pojawił się Naos. Bez słowa położył mu dłoń na ramieniu i odciągnął z powrotem do wnęki. Wraz z Heleną wyszli z sali – do bocznego korytarzyka prowadzącego ku komnatom służby.

– Trzeba to powstrzymać – powiedział Outis.

– Jak? – zapytała władczyni.

– Nie wiem, ale jeśli Dorowie gromadzą flotę, jeśli zaatakują Półwysep w środku wojny domowej... Muszę porozmawiać z Drakomachosem. Naosie, mógłbyś zaprowadzić mnie do bramy? Spróbuję go zatrzymać, kiedy będzie wychodził.

– Poczekaj! On i tak ci nie uwierzy. Nie jestem pewna, czy sam możesz sobie wierzyć. Na północy, w Dorydzie, Pierii i Epirze, może trwać wojna, ale tam zawsze trwa wojna. Nikt nie posłucha ostrzeżenia przed Dorami, dopóki siedzą na północy.

– Ale może posłuchają ostrzeżenia przed głupotą. Nic dobrego nie może wyniknąć z bratobójczej walki.

Helena uśmiechnęła się słabo.

– Proszę, jesteś więc marzycielem... – Pokręciła głową. Przeszedł ją dreszcz. – Przepraszam, oczywiście masz rację. Naosie, zabierz go tam, gdzie chce iść.

Stary niewolnik musnął bark Outisa i zadziwiająco sprężystym krokiem pomaszerował w dół korytarza. Minęli kilka zakrętów. Rozbitek zdążył pomyśleć, że pałac, choć niewielki, jest istnym labiryntem. Kilka uderzeń serca później wyszli na dziedziniec. Z prawej strony, z przejścia prowadzącego ku sali tronowej, dobiegł ich szelest szat i dudnienie kroków.

– Drakomachu! – zawołał Outis.

Zawołany uniósł głowę, lecz nie zatrzymał się, tylko kroczył pewnie przez dziedziniec, za sobą mając świtę.

– Czego chcesz?

– Porozmawiać z tobą.

– Odwiedź mnie zatem w Mykenach, tutaj dłużej nie zabawię.

Rozbitek stanął rozmówcy na drodze, uniósł ręce.

Drakomachos stanął gwałtownie, zaczął szukać dłonią rękojeści miecza, a przy tym łypał na zawadzającego mu mężczyznę.

– Kim jesteś? – zapytał. – Nie znam cię.

– Zwą mnie Outis.

– Nikt? Cóż to niby za imię?

– Moje, moje własne. Czy poświęcisz mi chwilę?

– Gadaj.

Przybysz wziął głęboki wdech. Powiódł wzrokiem po twarzach stłoczonych za Drakomachosem mężów. Odpowiedziała mu mieszanina niepewności i wrogości. Gdy przyszło co do czego, nie wiedział, co mówić.

– Czy to, co powiedział, Orestes, jest prawdą?

Mykeńczyk chwycił go za przód tuniki.

– Klitemestra nie zabiła swojego męża – warknął. Chciał odepchnąć natręta, lecz ten chwycił go za ramię.

– Nie to miałem na myśli. Czy prawdą jest to, że kochałeś Klitemestrę?

– Po to mnie zatrzymałeś? Żeby zadać mi tak głupie pytanie?

– Nie jest głupie, jeśli przez miłość do kobiety zamierzasz wywołać wojnę.

Drakomachos zaśmiał się chrapliwie.

– Bogi, skądś ty się urwał? Miłość nie ma tu nic do rzeczy i nie ja wywołałem wojnę. Uczynił to ten chciwy władzy skur... Ten... Orestes. Ciasno mu się zrobiło w Fokidzie, Mykeny bogatsze.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Zejdź mi z drogi.

– Nie odpowiedziałeś...

– Słuchaj no... Może nie jestem dość szalony, by zajeść tę męską dziwkę Oresta w obecności zgromadzenia Achajów, ale coś mi się wydaje, że człeka tytułującego się „nikim” nikt nie pożałuje. Lepiej więc zejdź mi z drogi, zanim...

– Jesteś wściekły, rozumiem. Możesz udawać, że to tylko polityka, ale widzę w twych oczach żal. I ból... i...

Wysłannik Ajgista oparł dłoń na karku stojącego przed nim mężczyzny.

– Pochyl się no tu, nadstaw ucha... – mruknął. Następnie rąbnął Outisa w brzuch, aż tamten zgął się, zachwiał. Drakomachos bez trudu obalił go na ziemię. Splunął na twarz. Popatrzył po swoich ludziach. Później po pałacowych strażnikach, którzy spoglądali ze skraju dziedzińca – niepewni, co robić. Zamachnął się, żeby kopnąć przybłądę, lecz wówczas od bramy pałacu dał się słyszeć rumor. Pojawiło się dwóch żołnierzy prowadzących zdyszanego młodzieńca.

Chłopak był brudny i wyglądał, jakby spędził wiele dni biegnąc. Na widok stłoczonych mężczyzn zawołał:

– Biada, Achaje! Naupaktos zdobyte!

* * *

Krew dudni w uszach, oddech huczy w płucach. Ciemność. Cisza. Nie, jazgot, gdzieś z tyłu głowy, jakby za ścianą. Dziecko płacze... Nie, koń kwili. Kresfontes unosi się na nogi. Wyciąga się ku niebu, wystawia twarz na deszcz. Nieopodal walają się resztki drewna. Śmiertelnie ranne zwierzę, zaplątane we własne wnętrzności, orze błoto krwawymi strzępami kończyn. Żołnierze, niczym mrówki, obskakują rydwany, wywracają je, mordują załogi i spanikowane konie.

Księżę obraca głowę. Robi krok, potyka się nagle. Patrzy pod nogi... Młody Demokedes spogląda na niego niewidzącymi oczami. Kosa przecięła go niemal na pół. Potem pękła, grzęznąąc w rozprutej spizowej zbroi.

„Powinienem być martwy – uświadamia sobie Kresfontes. – Wgnieciony w ziemię, zgruchotany, pocięty... A jednak... A jednak...”

Wokół niego wykwitają twarze. Doryccy żołnierze patrzą na wodza z niedowierzaniem i czcią.

– Heraklidzi nieśmiertelni!

„Tym razem uratowała mnie nie zbroja ani tarcze przybocznych” – myśli Kresfontes. W uszach podzwaniają mu słowa wieszczka Karnusa: „Jesteś wybranym Boga Słońca”. Wspomina historie o swoim dziadzie Heraklesie. Boski Herakles... Nieśmiertelny... Zasiadający u boku swego ojca, Boga Nieba.

Księżę unosi miecz – jakimś cudem ciągle ma go przy sobie. Żołnierze drą się wniebogłosy.

– Heraklidzi nieśmiertelni! Kresfontes nieśmiertelny!

ROZDZIAŁ XIV

– Czy jest coś słodsze?! – zawołał Pylades.

Orestes wyszczerzył się, słysząc śmiech w głosie przyjaciela, widząc jego zarumienione policzki i rozwiany włos. Choć od dnia sądu w Lakedaimonie nie padało, niebo wciąż wisiało nisko, a wiatr dął od wybrzeży Ozoliańskiej Lokrydy i podnosił bałwany, ochlapując pianą młodzieńcze oblicza trzystu śmiałków szukających sławy i bogactwa. Trzystu młodszych synów mniej zamożnych rodów, wyrzutek i najemników.

Księżę stanął u boku najbliższego towarzysza, ogarnął go ramieniem, przystawił usta wprost do gorącego ucha.

– Jest! – odparł, z trudem przekrzykując łoskot morza. – Wieczór przed bitwą. Pamiętasz?

Fala przewaliła się nad burtą, obryzgała młodzieńców. Parsknęli obaj, wypluli słoną wodę, a jednocześnie rozkoszowali się jej smakiem. Oczy im błyszczały.

Orestes zawirował wokół własnej osi, wyciągniętą ręką wskazując trzy pozostałe okręty brnące ku brzegowi.

– Popatrz! Nie będzie nigdy trzystu słynniejszych niż ten zastęp, drużyna wygnanego króla, która samotnie stawiała czoło doryckiej nawale, gdy starcy zaszyli się za murami i dusili we własnych pierdach!

Pylades zachichotał.

– Miejmy jednak nadzieję, że szybko uda nam się przebić do wojsk mego ojca. Inaczej może się okazać drużyną sławnych trupów.

– A niechby i tak się stało! Pamiętasz, co mówiliśmy jako dzieci?

– Obiecywaliśmy sobie, że zginiemy śmiercią bohaterów, nim minie dwudziesty rok od naszych urodzin. Mnie może się jeszcze udać, ale ty już się spóźniłeś.

– Odpędź czarne myśli. To tylko górale. Rozejrzymy się nieco w okolicach Naupaktos, a potem pomaszerujemy prosto na wschód. I tak nie mogę teraz zginąć, mam za duże długi. Właścicielom tych okrętów obiecałem takie łupy, że gdybym nie był synem Agamemnona, pognaliby mnie jako wariata.

Bóg Morze raz jeszcze sięgnął mokrymi palcami na pokład. Dowódca statku wykrzyknął polecenie, zafurkotały zrzucone żagle. Do zatoki weszli na wiosłach.

* * *

Nie wyciągali statków na brzeg. Posłali przodem zwiady i przystąpili do wyładowywania pięciu rydwanów i skromnego taboru. Dowódcy mieli jeszcze tego samego dnia odprowadzić swoje łodzie do macierzystego portu. I tak cudem udało się ich skłonić, by w niepogodę wypłynęli na morze, obciążeni wojennym ekwipunkiem setki ciężkozbrojnych i dwóch setek lekkozbrojnych.

– No, fujary! – zawołał Orestes, kiedy pierwszy okręt uniósł kotwicę. – Teraz nie ma odwrotu. Za nami tylko Bóg Morze, a on tchórzów nie zwykł przyjmować łaskawie. Jedyna droga prowadzi naprzód, po trupach... No, czyich trupach?

– Dorów! – krzyknęło kilku młodzików. Starsi najemnicy roześmieli się pobłaźliwie.

– Ano właśnie. Myślcie o dziwkach, które czekają na was w mieście Strofiosa-króla. W ten sposób nigdy nie zmylicie drogi. Tam – wskazał na północny wchód – dziwki. Tam – wskazał na południe – poważnie wkurwiony Bóg Morze, który i tak nie puści was z powrotem do maminyh cyczków!

Tym razem nawet najemnicy wzniesli kilka rubasznych okrzyków. Oddział zebrał wyposażenie, ustawił się w szyku marszowym. Ruszyli tam, gdzie czekały dziwki.

* * *

W okolicach miasteczka Ojnejon zwiadowcy zameldowali, że wypatryli dużą grupę zbrojnych. Po okolicznych wzgórkach snuły się dymy, śmierdziało przypalonym mięsem. Kiedy podeszli bliżej, doleciał ich gwar. Orestes wziął na bok Sylana, dowódcę najemników, który przewodził jednej z grup przepatrywaczy.

– Co robią? – zapytał. – Łupią?

Mężczyzna miał opaloną na szaro twarz, długie, przetłuszczone włosy, nieporządną, przedwcześnie posiwiąłą brodę i wodniste oczy. Wzruszył ramionami.

– Łupią, dupczą, używają – odpowiedział.

– Wystawili warty?

– Nieliczne. Pewnie się czują, skurwysynki. Oj, pewnie.

Zbliżyli się do nich Pylades i Hipolitos, król Ojchalii, jedyny spośród achajskich wodzów, który dołączył do wygnanego Atrydy.

– Chcesz atakować? – zapytał syn Strofiosa.

– Uderzmy teraz – powiedział Hipolit. – Uderzmy mocno, niech poczują nasz gniew.

– Jestem za, panie. Dorowie czekają na nas z zadartymi tunikami i wypiętymi dupami. Jak walić, to tylko teraz – powiedział Sylan.

Orestes strzyknął śliną, popatrzył na wyszczerzonego głupio wojaka.

– Wielu ich jest?

– Trudno zliczyć. Za dużo biegają. Parę setek będzie.

– Więcej niż nas?

– Więcej.

– Pyladesie, co sądzisz?

– Mało nas. Atakując teraz, będziemy mieli przewagę zaskoczenia, jednak jeśli tamci zdołają się przegrupować, mogą nas łatwo rozproszyć wśród budynków. Poza tym nie będziemy mogli wykorzystać rydwanów. Miasteczko było ufortyfikowane?

– Nie.

– Jest więc szansa, że gdy nas zwęszą, nie będą chcieli tam siedzieć. Wyciągnijmy ich w pole i wydajmy bitwę. Jest nas mniej, ale dobre ustawienie i rydwany dadzą nam przewagę. Czemu

się śmiejesz, Oreście? Co, jestem zbyt ostrożny? Wiem, wolałbyś kopnąć ich od razu, ale czasem lepiej pohamować zapał...

Wygnyany książę odszedł kilka kroków. Śmiech cały czas wstrząsał jego ramionami.

– Nie, nie, podoba mi się twój plan – powiedział. – Pieśni pisze się o bitwach, a nie podstępnych napaściach. Czyż nie, Hipolicie, Sylanie?

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Masz słuszość – przyznał władca Ojchalii.

Sylan wzruszył ramionami.

– Będzie, jak każesz, choć jak dla mnie lepiej by ich tak było ociupeczkę... ociupinkę... jebnąć, a potem...

– Pomyśl o tym w ten sposób – przerwał mu Orestes. – Jeśliibyśmy napadli na nich teraz, czułbym się w obowiązku zwrócić to, co złupili, tym spośród mieszkańców, którzy umknęli rzezi. Jeśli zaś zmierzmy się z nimi w polu... Cóż, prawo wojny, co zedrzymy z wroga, to nasze.

Wargi najemnika odwinęły się, pokazując czarne pieńki po górnych jedykach.

– Podoba mi się, jak rozumujesz, Oreście-królu.

– Zresztą, skoro już o ociupinkach mowa, wypadałoby się chociaż pójść przywitać. Co ty na to, Sylanie, byśmy wzięli pięćdziesięciu chłopów, skoczyli do miasta, popsuli naszym doryckim przyjaciołom zabawę, a potem zawrócili?

– Po co? – zapytał Pylades.

– Nie zamierzam czekać tydzień, aż nas zwąchają. Pokażmy im się i wyciągnijmy ich z miasta.

– Pierwej jednak wypadałoby posłać zwiady, przepatrzeć pole, porządnie ich policzyć... No i znaleźć dogodne miejsce do wydania bitwy.

– Dobrze, dobrze, już nie bądź taki dokładny. Sylanie, znasz tę okolicę. Gdzie będzie najdogodniej się z nimi zmierzyć?

– Hm... za rzeczką jest dolinka, wzgórki porośnięte drzewkami... W sam raz na zasadzeczkę, rzekłbym. Kawał pustego pola dla rydwanów też się znajdzie. Tylko bród może być broniony.

– Bogowie zadbali o to, by przyszykować nam drogę – rzekł Hipolit.

– Co? – spytał najemnik.

– Susza – wytłumaczył Pylades. – Mornos to nieduża rzeka, niewykluczone, że wyschła do cna. Możemy przeprowić się gdzie indziej.

– A...

– Pyladesie, wraz z Hipolitem weźmiecie główną część wojska i okrążycie miasto od północy, a potem przekroczycie rzekę i znajdziecie dolinę, o której mówił Sylan. My zostaniemy tutaj. O zachodzie zaatakujemy, a potem czmychniemy ku wam.

* * *

Koryto rzeki śmierdziało. Kroczyli przez błoto i żółtawe resztki wody, jeden za drugim, pięćdziesięciu lekko uzbrojonych mężczyzn. Milczeli. Oblicza najemników zastygły w obojętnym wyrazie. Czasem tylko jeden czy drugi machnął ręką, by zabić komara, a jeśli

brzęknął przy tym spiż albo mlasnęło klepnięte dłonią ciało, Sylan gromił winnego spojrzeniem.

W pewnej chwili napłynął ku nim cuchnący opar, a gdy wiatr go wywiał, ukazały się pierwsze zabudowania. Wśród prostych budynków z kamienia i gliny majaczyły nieliczne ludzkie sylwetki. Jeden z domów płonął, rzygając kłębam dymu. Gdzieś krzyknęła kobieta, zarechotało kilka męskich głosów.

Cofnęli się, przycupnęli wśród wysuszonych na wiór tataraków. Było jeszcze wcześniej i słońce musiało stać wysoko, choć zza pierzyny chmur nie było go widać.

Orestes nakazał wystawić czujki, po czym wraz z Sylanem wypuścił się naprzód. Uzbrojeni jedynie w krótkie miecze, odziani w kaftany z grubej skóry, podpełzli aż do najbliższego domu. W środku ktoś stęknął, ktoś się zaśmiał. Dał się słyszeć krótki okrzyk, niby szczeknięcie psa, potem odgłos uderzenia ciała o ciało.

– Jebany!

– Nie dość mu dogodziłeś. Najwyraźniej chce więcej.

– Pies to... Chodź tu, gnoju ty!

Znów to dziwne szczeknięcie.

Księżę przekrzywił głowę. Słuchał. Mamrotanie głosów, kolejne stęknięcia. Popatrzył na wodza najemników, który uniósł brwi, wygiął usta.

– To nie Dorowie – szepnął wygnaniec. – Posłuchaj.

– Ach, ach, jebany, au, ożeż, kurwa...!

Sylan uśmiechnął się obleśnie.

– Rucha jak prawy syn Achai.

Orestes pokazał gestami, żeby okrążyli dom, lecz nim zdążyli się ruszyć, ze środka dobiegł najpierw jakby zwierzęcy pisk, potem wrzask bólu. Coś zagrechotało. Z wnętrza budynku wystrzeliła drobna postać. Zakręciła. Skoczyła ku rzece. Zahamowała.

Na księcia padło spojrzenie pary rozbieganych błękitnych oczu. Zobaczył chłopaka o popielatych włosach i drobnej klatce piersiowej. Jego szczupłe kończyny porastał złoty meszek. Na wargach, na zębach i na ramieniu lśniła krew.

Orestes uniósł wzrok. Za chłopcem wytoczyło się dwóch mężczyzn. Jednemu brakowało kawałka ucha, krwawił obficie.

– Aj, kurwa... – mruknął Sylan.

* * *

Na drodze przed nimi pojawiły się dwie czy trzy postaci. Pierzchnęły natychmiast. Od strony przedniej straży nadleciał gwizd, kolumna stanęła. Pylades popatrzył na Hipolita maszerującego w pełnej zbroi na czele swojej przybocznej drużyny dwudziestu ciężkozbrojnych.

– Niedobitki uciekają na wschód – skomentował. – Bez dobytku. Czyli w mieście już nikt nie walczy.

Władca Ojchalii tylko mruknął coś w odpowiedzi. Oczekali, aż straż da sygnał, że droga wolna, i powędrowali dalej. W odległości kilku tysięcy kroków od miasteczka skręcili na zachód. Kiedy przechodzili przez rzekę, napotkali kolejną grupę uciekinierów. Większość rzuciła się do ucieczki, pozostał tylko jeden starzec. Żołnierze ze straży przedniej przyprowadzili go

przed oblicze wodzów. Gadał od rzeczy i wygrażał kijem, puszczono go więc, o nic nie pytając.

– Chyba bierze nas za wroga – powiedział Hipolit.

– Dla tych prostaczków każdy tu jest wrogiem – odparł syn Strofiosa.

Po drugiej stronie rzeki stanęli na popas i rozesłali zwiady. Pylades ledwo zdążył obejść kolumnę i sprawdzić, czy z wozami oraz rydwanami wszystko w porządku, gdy od strony Ojnejonu nadbiegło dwóch młodzików. Jeden z nich wydyszał:

– W mieście walczą!

* * *

Orestes skoczył naprzód, uderzył mieczem bliższego z gapiących się na nich żołnierzy. Niedokładnie. Ostrze zgrzytnęło o miednicę. Mężczyzna zatoczył się, upadł, zaczął wrzeszczeć. Sylan dopadł drugiego. Krótkim cięciem rozplątał mu gardło.

W odległości kilkudziesięciu kroków, zza jednego z domów, wychynął oddział liczący więcej niż tuzin zbrojnych w ciężkich spiżowych pancerzach.

– Chyba musimy przyspieszyć nasz plan – zauważył Atryda.

Sylan wpakował do ust dwa palce i przeciągle gwizdnął.

* * *

Pylades wbiegł za dwoma zwiadowcami na niewielkie wzniesienie. Hipolitos deptał mu po piętach. Nad miasteczkiem wisiała chmura pyłu, kłębił się dym.

– Tam, panie. – Jeden z młodzików wskazał palcem skrzyżowanie dwóch ulic u stóp sporej budowli, być może świątyni.

– Wiedziałem, że zrobi coś głupiego! – powiedział jasnowłosy książę. – Teraz będziemy musieli iść go ratować. Duren!

– Nie jestem pewien, czy to rzeczywiście Orestes odpowiada za to zamieszanie – odparł król Ojchalii. – Popatrz, wygląda, jakby walczący próbowali przebić się na zewnątrz.

* * *

– Gonią nas?

Orestes zaryzykował spojrzenie przez ramię. Zatrzymał się, wzbijając tuman pyłu. Sylan również wyhamował po kilku krokach. Z naprzeciwka pędził już ku nim ich oddział.

– Nie – powiedział książę. – Zawrócili.

– No, takie rzeczy, takie rzeczułki. – Najemnik splunął. Poruszył capią bródką w prawo i w lewo. W zębach zazgrzytał mu piach. – To co robimy?

Atryda wyszczerzył zęby w uśmiechu.

* * *

– Co robimy? – zapytał Hipolitos.

Pylades przewędrował w tę i z powrotem po skraju wzgórza.

– Otchłań nadała!

– Co?

– Nie wiem. Jeśli teraz zawrócimy, to i tak pewnie dotrzemy tam za późno. Trzymamy się planu. Nie... Tak! Trzymamy się planu. Orestes wie, co robi. Zazwyczaj. Jeśli ściągnie wroga do doliny, a nas tam nie będzie... Kończymy popas! Szybko! Zbieraj swoich ludzi, Hipolicie!

* * *

Przed zmierzchem niebo przybrało barwę ołowiu. W jodłowym zagajniku, w którym achajscy żołnierze czekali na sygnał od swego wodza, na chwilę pojaśniało. Podniósł się wiatr, począł przyginać korony drzew. Po zboczu wzniesienia poniosło się westchnienie, trzeszczało gięte drewno, tu i tam szyszka uderzyła o ziemię, napierśnik lub tarczę.

„Dni są coraz krótsze, powietrze pachnie burzą, lecz ani kropla deszczu nie spadnie – pomyślał Pylades. Westchnął. – Gdzie jesteście, Oreście?”

Zwiadowcy latali w tę i z powrotem, nosząc meldunki: w mieście wciąż się biją, walka ustała, znów się biją, jakiś oddział przeszedł przez rzekę, zawrócił, biją się, cisza... Księżę już dwakroć chciał zbierać swoich ludzi i ruszać z odsieczą przyjacielowi, lecz powstrzymywali go kolejni gońcy, którzy przynosili rozkazy od Orestesa, by główne siły pozostały na miejscu. Pylades trzymał zatem wojowników w pogotowiu, zabronił rozkładać obóz. Aż wreszcie nadbiegł Polyperchon.

– Pan wraca – oświadczył. – Chyba wiecie jeńców. Ze stu ludzi idzie ku nam przez dolinę.

Syn Strofiosa wstał.

– Stu ludzi? Jesteś pewien, że to oni?

Niewolnik błysnął zębami.

– Orestesa nie sposób pomylić z kim innym.

We dwóch powędrowali na skraj lasu. Środkiem doliny ciągnął kłęb pyłu, w którym majaczyły głowa przy głowie i ramię przy ramieniu. Na samym przedzie kroczył potężny mężczyzna. Szary tuman ciągnął się za nim niby płaszcz.

Pylades się roześmiał.

– To oni – powiedział. – Ale jest ich dobrze ponad setka. Ze stu trzydziestu, rzekłbym. Kurzą jak wściekli.

Nim zastęp dotarł do zagajnika, zaczęło zmierzchać, chmury odsiały z barwy. W tymczasowym obozie zrobiło się zamieszanie. Żołnierze wybiegali witać towarzyszy, wypytywać ich o wynik walki. Tamci, choć umorusani krwią i strudzeni, śmiali się i nie mogli gąb zamknąć, wykrzykując przechwałki. Trzymali jednak szyk, dopóki Atryda nie dał znaku Sylanowi, że może rozpuścić podwładnych.

– Czemu ogni nie palicie? – zaraz potem zagadnął Pyladesa. – Daj chłopcom odpocząć, napchać brzuchy.

– Czekałem w gotowości, by pójść ci na ratunek.

– Ha! – huknął Orestes. Ogarnął przyjaciela ramieniem i ucałował jego złote loki. – Na ratunek? A od kiedy to trzeba mnie ratować?

– Zawsze trzeba cię ratować, bo jesteś lekkomyślny.

– Lekkomysłny, dobre sobie! Polyperchon, łachudro, pędź no, przynieś wina! Ognisko rozpal!

Strawę szykuj!

– Robi się.

Niewolnik pomknął w las, ku taborom.

– Widzę, że bitwa już wygrana i gotów jesteś świętować – mruknął Pylades. – A ci ludzie to kto? Jeńcy?

– Nie jeńcy, a sprzymierzeńcy. Klearchu, pozwól no tu!

Spośród przybyłych wojowników wyłonił się szczupły mężczyzna o posiwiałych skroniach i szpakowatej brodzie porastającej dziobate policzki. Na ramionach dźwigał powgniataną zbroję z brązu. Od mieszaniny potu, krwi i piachu jego twarz nabrała buraczanej barwy.

Orestes objął go wolną ręką.

– Pod całym tym gnojem kryje się dzielny mąż, który zgromadził resztki obrońców Ojnejonu i od rana dawał odpór najeźdźcy, zabarykadowawszy się w świątyni – oświadczył. – Dobrze mówię, Klearchu?

Mężczyzna skrzywił się lekko. Biło od niego znużenie.

– Dobrze mówisz.

– Czemu Dorowie napadli na was dopiero dziś? – zapytał jasnowłosego księżę. – Jeśli dobrze liczę, minęły przeszło dwa tygodnie, odkąd zdobyli Naupaktos.

Błękitne oczy wodza Ojnejonu zwróciły się ku drugiemu z młodzieńców.

– Dorom zapłaciliśmy srebrem i zostawili nas w spokoju. A napadli nas ludzie Eruthrosa Czerwonego z Tejchio.

– Achajowie?

– Tak, Pyladesie – rzekł Orestes. – Achajowie. Chodź, dajmy odpocząć naszemu nowemu przyjacielowi. Padam z głodu. I mam ochotę na wino. Dużo wina.

Klearchos odszedł do swoich żołnierzy, a przyjaciele pobiegli tropem Polyperchona, by zastać niewolnika rozdmuchującego żar pod stosem patyków. Rozsiedli się na wyschniętej ściółce.

– Nie boisz się, że ten cały Eruthros przylezie tu za wami? – odezwał się Pylades.

– Nie. Wyszli z miasta i stanęli obozem po tamtej stronie rzeki. Daliśmy im niezły łomot, nieprędko więc zdecydują się na atak. Ale powinniśmy wystawić podwójne warty, żeby nie dowiedzieli się, jak niewielu nas tu jest. Gdzie Hipolitos?

– Posłałem go z rydwanami i pięćdziesięcioma lekkobrojnymi na sąsiednie wzgórze, aby uformował prawe skrzydło.

– Dobrze. Jaki masz plan?

Syn Strofiosa wzruszył ramionami.

– Prosty. Nie jest nas wystarczająco wielu, byśmy się bawili w sprytne ustawienia, więc główna część naszego wojska pójdzie w rozciągniętym szyku: ciężkobrojni z przodu, lekkobrojni z tyłu. Zostawimy mały odwód. Jeśli dopisze nam szczęście, tamci pomyślą, że jesteśmy liczniejsi niż w rzeczywistości, a spanikują, gdy rydwany uderzą na nich od boku.

– Chłopcy będą musieli dobrze tupać. W kurzawie trudniej nas będzie zliczyć. Polyperchonie, zostaw już ognisko i daj mi wina!

Niewolnik po raz ostatni dmuchnął w ogień. Snop iskier z trzaskiem wystrzelił ku niebu.

– A skoro już o liczeniu mowa – powiedział Pylades – przyjrzałeś się tamtym? Ilu ich jest?

Orestes odebrał z rąk sługi bukłak z dobrze rozcieńczonym białym winem. Chwilę mrucał, wypłukując piach z gardła. Wreszcie otarł usta, sapnął.

– Dobrze – rzekł. – Zimne.

– Oreście...

– Tak, tak. Będzie ich z pięciuset, może trochę więcej. W znacznej części lekkobrojni. Po prawdzie chyba powinniśmy się cieszyć, że to nie Dorowie. Klearchos opowiadał mi, że na przedpolach Naupaktos trzy tysiące Achajów starły się z pięcioma tysiącami Dorów pod wodzą Kresfonta, jakiegoś ichniego królika. A ponoć była to tylko przednia straż maszerująca z północy siły.

– Coś mi się zdaje, że strach przez niego przemawiał. Jesteśmy jakiś dzień drogi od Naupaktos, gdyby więc były górali nieprzebrane tysiące, zobaczylibyśmy pozostawione przez nich ślady, może też natknęlibyśmy się na patrole.

Atryda wzruszył ramionami, pociągnął kolejny łyk wina.

– Teraz nam to i tak za jedno. Powiedz lepiej... Jak sądzisz, damy radę tym pięciu setkom?

– Będą zmęczeni po walce, część pewnie pijana, skoro już zaczęli łupić... Gdyby nasze trzy setki składały się z żołnierzy mego ojca, powiedziałbym, że mamy duże szanse. A tak... Widzisz, większość to niesprawdzona w walce gównażeria.

Na oblicze księcia wypłynął uśmiech.

– Jeszcze zrobię z nich swój święty zastęp, zobaczysz.

– Zamierzasz osobiście poprowadzić ich do walki, prawda? Stanąc w pierwszym szeregu, tak jak dziś władowałeś się w tę awanturę z Sylanem? Wiesz, że wódz powinien mieć ogląd całego pola bitwy, jeżeli ma dobrze dowodzić.

– Tutaj nie ma czym dowodzić. Te dzieciaki dorastały, słuchając bajek o bohaterskich i przeważnie przygłupich wyczynach swoich ojców, stryjów i starszych braci pod Troją. Potrzebują herosa, a nie stratega. Nie będziemy mieli drugiej szansy, czasu na przegrupowanie, jeśli coś pójdzie nie tak. Wygramy w pierwszym natarciu albo zginiemy.

– Z tobą nie da się inaczej, prawda? Każda walka musi być o wszystko.

– Na drobiazgi szkoda mi czasu. Przestań smęcić. Gdy okoliczna ludność usłyszy o naszych wyczynach, zaraz zacznie się do nas kupić. Achajowie potrzebują Atrydów jak dupczenia, nikt inny nie potrafi ich zjednoczyć i powieść do boju. Gdy za miesiąc dotrzemy do twego ojca, będziemy mieli wielotysięczną armię.

Pylades potrząsnął złotymi lokami. Zaśmiał się głucho.

– Dobrze, wygram dla ciebie tę bitwę, kiedy będziesz bawił się w półboga na czele szeregów. Tylko masz przyrzec, że nie dasz się zabić. Ani oszpecić jakąś paskudną blizną. Musisz pozostać dokładnie taki, jaki jesteś.

Orestes przysunął się bliżej ognia. Popatrzył w płomienie, które rosły coraz śmielej. W żarze trzaskała żywica, iskry wielkimi chmarami ulatywały w powietrze. Słodko pachnący dym zwijsał się we wstęgi.

– Pamiętasz, jak wyprawiliśmy się pod Dion z twoim ciotecznym dziadem, Assarajosem?

– Pamiętam. Mówił coś głupiego o iskrach...

– Tak. Że jesteśmy jak one.

- Stary dureń. Śmiałyśmy się z niego tygodniami. Musiał być wtedy pijany, nie sądzisz?
- Napruty jak świński pęcherz. Wcale nie jesteście jak iskry.
- Oczywiście, że nie.

Książę wygnaniec wstał. Wyciągnął się, uniósł ręce ku majaczącej poza plamą blasku ciemności, ku niebu skrytemu daleko, ponad koronami jodeł. Szczyrzył zęby. Cienie hasały mu po policzkach.

- Jesteśmy jak gwiazdy – powiedział. – Lśnimy, nawet gdy zasłonią nas chmury.

Pylades parsknął.

- Ten sikacz poszedł ci do głowy.

Zwróciły się ku niemu niesamowite zielonkawe oczy.

– Nie ma bogów poza nami, Pyladesie. – Orestes nagle schylił się, chwycił przyjaciela za rękę, postawił go na nogi. – Chodź, obejdziemy strażę.

- Ale z tamtej strony nie ma straży.
- Chodź, nie gadaj.

* * *

Jeszcze chwilę wcześniej rozmawiali i śmiali się, przywdziewając pancerze, przewieszając miecze przez ramię. Później, ustawieni w szyku, zamilkli. Z szarych, zaziewanych twarzy wyglądały oczy jasne, ogromne. Przedświt był cichy.

Pierwszy szereg utworzyła setka ciężkiej piechoty: dwudziestu najemników Sylana, dwudziestu przybocznych Hipolita i sześćdziesięciu młodziaków, którym nędzne nadziei z ojcowizny starczyły tylko na spizową skorupę, tarczę, miecz, włócznię i sandały. Za nimi stanęli lekkobrojni, potem ludzie Klearcha. Pylades ustawił ich w taki sposób, aby stworzyć wrażenie, że na wroga idzie silny blok piechurów. Sam ze skromnym odwodem zajął miejsce na uboczu.

Czekali. Ktoś pierdnął, na co zaśmiało się kilku sąsiadów. „Szczuć się chce” – poskarżył się kto inny. „Może nie przyjdą?”. Włócznie zafalowały, gdy kolejni żołnierze przestępowali z nogi na nogę.

Tymczasem w dolinie pojaśniało. Na jej drugim końcu zabłyśły groty. Eruthros przyjmował bitwę. Miał nie więcej niż pół setki ciężkozbrojnych, ale do tego wielu lekkobrojnych, przed którymi nierówną kupą zgromadzili się procarze i łucznicy. Jęknęła puszczalka i oddziały ruszyły. Uszły może ze dwieście kroków, potem stanęły. Procarze cisnęli na próbę kilka kamieni. Zaraz za nimi pofrunęły kurwy i prześmiewki.

Żołnierze Pyladesa i Orestesa popatrzyli na siebie. W końcu kilkadziesiąt par oczu spoczęło na wodzu wyrastającym o głowę ponad szereg. Książę uśmiechnął się, powiódł wzrokiem po stojących na prawo i lewo młodzieńcach.

– Albo mi się wydaje, chłopcy – powiedział – albo te kozojeby obrażają wasze matki. Pozwolimy na to?

Odpowiedział mu gromki okrzyk. Włócznie grzmotnęły o tarcze. Głos Pyladesa uniósł się nad polem bitwy:

- Naprzód!

Ruszyli przed siebie, w dół łagodnego zbocza. Podeszwy zaszurały na piachu. Maszerowali równo, noga w nogę, wystukując rytm drzewcami.

– Żwawiej! – zawołał Atryda. – Co tak smutno? Jak na paradzie ma być, ze śpiewem!

Zaintonował pierwsze słowa peanu. Żołnierze podchwycili pieśń bojową, wydłużyli krok.

Usłyszeli dziwny szmer, po nim łoskot. Grad kamieni zabębnił przed nimi o ziemię.

– Celował Hetyta w cipkę żony, trafił kumotra w dupę – mruknął jeden z najemników Sylana. Z szeregu podniosły się śmiechy, okrzyki.

Nadleciała kolejna chmura kamieni. Tym razem błyszcząły wśród nich strzały. Zadźwięczało kilka tarcz, ktoś krzyknął krótko.

– Nie gap się – warknął Orestes, widząc, że idący obok niego młodzik obraca głowę. – No, chłopcy, teraz z życiem! I ze śpiewem, ze śpiewem!

Przyspieszyli do truchtu. Szereg zafalował, gdy jedni gonili za drugimi. Zabrzmiała kolejna pieśń, już nie pean, a stara wojacka przyśpiewka. Nad głowami brzęczenie. Coś jakby chmura. Urywane oddechy. Jedno czy dwa stęknięcia gdzieś na tyłach, jeden czy dwa głucho dźwięki upadających ciał. Szybciej. Szybciej. Pieśń porwała się w oddzielne okrzyki. Zabić. Zabić. Zabić. Kurz i pył. Stopy depczące pył, pył w powietrzu, pył w oczach. Głos Orestesa:

– Bij! Bij! W nich!

Ruszyli biegiem.

– Nie dostoją, skurwysyny! Nie dostoją!

Procarze i łucznicy wroga czmychnęli na boki. Banda piechurów opancerzonych jedynie w hełmy z brązu i kości, uzbrojonych we włócznie, pałki i krótkie miecze, przyszykowała się do przyjęcia natarcia. Rzeczywiście, nie dostali. Wobec huku spiżu i widoku złączonych w mur tarcz cały szereg rabusiów się cofnął. Jeden począł uciekać, potem kilku, wreszcie cały oddział poszedł w rozsypkę.

Zbrojni wygnanego księcia z okrzykiem wpadli między uciekinierów. Najwolniejszych roznieśli na włóczniach lub stratowali. Dwa uderzenia serca później pod niebo uniósł się łoskot. Mur tarcz zafalował, pękły pierwsze włócznie, błysnęły miecze. Nacierający starli się z ciężkobrajnymi Eruthrosa. Przez chwilę wyglądało, że sama siła ataku i młodzieńczy zapał wystarczą. Jednak zaprawieni w bojach wojownicy przeciwnika utrzymali szyk wystarczająco długo, aby z pomocą przyszły im kolejne lekkie oddziały.

Zaczęło się powolne siłowanie. Krok w przód, krok w tył. Ostrza siekły grubą skórę tarcz, wywlekały na wierzch wiklinową podściółkę, dzwoniły o napierśniki, hełmy. Od czasu do czasu ktoś jęknął, krzyknął, upadł. Piach powoli zmieniał się w błoto.

W pewnej chwili w pierwszym szeregu wroga pojawił się zwałisty mężczyzna o wielkiej rudej brodzie, odziany w pancerz zdobiony złotem. Nosił hełm z kłów dzika. Zawołał coś potężnym głosem. Wśród jego żołnierzy poniosło się jakby zbiorowe sapnięcie. Ludzie Eruthrosa, napierając w zgodnym rytmie, odepchnęli wojowników Orestesa i Pyladesa. Rudobrody zawołał ponownie. I znów szereg ludzi sapnął, spał się i jeszcze dalej odrzucił przeciwnika.

Wśród młodzi księcia z Myken zapanowało zmieszanie. Wytrąceni z równowagi zbrojni coraz bardziej się cofali, odrywając na kilka kroków od wroga. Dopiero głos Orestesa osadził ich w miejscu:

– Stać, kurwa wasza mać! Trzymać szyk!

Zachwiali się, stanęli. Nastąpiła chwila dziwnej ciszy, gdy zdyszani, zlni potem mężczyźni i młodzieńcy patrzyli na siebie pustym wzrokiem. Gdzieś tylko kwilił ktoś umierający.

* * *

„Nie mają już siły” – pomyślał Orestes, nawet nie patrząc na swoich ludzi. Szczrzył zęby do mężczyzny o nalanej, pokrytej siwiejącą szczecią twarzy, który stał może dwa kroki przed nim.

– Naprzód, chłopcy! W nich!

Szereg zakuty w spiz żołnierzy bujnął się jak okręt na fali, po czym runął przed siebie. Znowu zadźwięczały ostrza.

Atryda skoczył, uderzył stojącego naprzeciwko posiwiąłego rabusia tarczą, łamiąc mu nos i wytrącając z równowagi. Następnie pchnął mieczem, od góry, wkładając w cios cały ciężar swego potężnego ciała. Ostrze zgrzytnęło o kołnierz z brązu, rozorało skórę i mięśnie. Raniony rzygnął krwią. Wypuścił broń, opadł na kolana. Uniósł dłonie w geście poddania. Nim skończył, jeden z towarzyszy odepchnął go na bok, kopniakiem posłał w objęcia rozmięklej ziemi, a sam rzucił się na Orestę. Zwarli się, po czym obaj równocześnie cofnęli.

Księżę postąpił krok wstecz, pozwolił, aby jego miejsce zajął przyboczny. Rzucił spojrzeniem na prawo i na lewo. Wśród kłębowiska ciał mignęła mu ruda broda.

„To musi być Eruthros” – stwierdził.

* * *

„Gdzie rydwany? – zastanawiał się Pylades. – Gdzie te przekłete rydwany? Gdyby uderzyły wcześniej, zwycięstwo już byłoby nasze”.

Chwycił jednego z młodszych chłopców, którzy z nim zostali, i kazał czym prędzej lecieć do Hipolitosa-króla. Kiedy posłaniec zniknął w pobliskim zagajniku, młody wódz wyszukał wzrokiem kochankę. Księżę właśnie przepychał się w poprzek szyku, poklepując podwładnych po ramieniu i zachęcając ich do walki rubasznymi odzywkami. Wyglądało na to, że zmierza do miejsca, w którym wcześniej pokazał się rudobrody mężczyzna.

Syn Strofiosa przyzwał do siebie dziesiątnika Hyperenora.

– Przedrzyj się ze swoimi ludźmi do Orestesa – powiedział. – I pilnujcie go jak oka w głowie.

* * *

– Panie!

Orestes obejrzał się natychmiast.

– Świeże mięso! – zawołał. – Dobrze, tego mi trzeba. Za mną!

* * *

– Coś jest nie tak... – mruknął Pylades.

– Co mówisz, panie?

– Za bardzo dali się rozciągnąć. Środek słabnie.

Spojrzał przez ramię. Zostało mu ledwie trzydziestu ludzi.

– Ilosie – przywołał kolejnego dziesiętnika. – Wzmocnij środek. I powiedz tym durniom, żeby nie dawali się tak bardzo odciągać na bok. Musimy zachować zwarty szyk.

– Okrążą nas, panie.

– Lepiej, żeby was okrążyli, niż rozdzielili. Idź już.

Dziesięciu wojowników oddaliło się truchtem. Poniósł się za nimi kurz.

– Coś jest nie tak... – powtórzył jasnowłosy księżę.

W tym momencie wrócił chłopak, którego posłał do Hipolita. Był czerwony na twarzy, błyskał na boki oczami wielkimi ze strachu.

– Panie! – zawołał w biegu. – W lesie walka! Hipolitos-król broni się przed wielką zgrają!

– Kurwa. Jak wielką?

– Nie wiem, panie, nie zdążyłem zliczyć. Mało mnie nie zabili. Dwóch pogoniło za mną, lecz skryłem się w parowie i...

– Nieważne – przerwał mu Pylades. Ponownie przeliczył wzrokiem swój oddziałek. – Kurwa. Źle. Bardzo źle.

– Panie! Panie, popatrz!

Jeden z żołnierzy złapał go za ramię, pokazywał coś palcem.

Lewe skrzydło Eruthrosa właśnie się cofało.

– Uciekają, kurwie syny! Uciekają!

– O nie – jęknął syn Strofiosa. – O nie, nie, nie, nie. Nie.

Rozochoceni ludzie Orestesa podnieśli krzyk, skoczyli naprzód. Szereg wygiął się w długi pałąk i rozciągał, rozciągał.

– Do mnie! – zawołał Pylades. – Broń w pogotowiu! Idziemy do nich! Idziemy!

Lecz było już za późno. Wśród płataniny ciał i spizu zagorzała ruda broda. Eruthros osobiście poprowadził odwód wypoczętych ciężkozbrojnych, który przełamał rozciągnięte szeregi nacierających żołnierzy wygnańca. Zapanował chaos. Pogoń nagle zmieniła się w ucieczkę. Oszołomione żółtodzioby spanikowały, zauważywszy, że mają wroga za plecami. Szyk począł się kruszyć.

– Bogi! – jęknął ktoś. – Zmasakrują ich!

Jasnowłosy wódz nie słuchał. Krzykiem podniósł swój oddział do natarcia, wiedząc, że jeśli pozwoli swoim ludziom się zawahać, straci nad nimi władzę. Ostatnia nadzieja w tym, że jego dwudziestce uda się zatrzymać odwód Eruthrosa wystarczająco długo, by umożliwić przestraszonej gównażerii odwrót i ponowne ustawienie szyku.

W gwarze głosów, które nagle rozbrzęczały się setkami różnych tonów, wydało się Pyladesowi, że wychwytuje nawoływania Sylana. Pewien był, że słyszy też Klearcha drącego się na całe gardło: „Przy mnie stój! Przy mnie! Razem!”. Ujrzał, jak zwracają się ku niemu włócznie wroga.

* * *

Orestes zdążył ściąć wrogowi garść rudych włosów i odłupać kawałek dziczego kła z hełmu, nim nawala ciał odepchnęła go od Eruthrosa. Wokół zawrzało, a z kłębowiska ciał i spizu wystrzelił jakiś kształt. Coś zaczęło walić wściekle o tarczę księcia, pochrapując przy tym,

spychając go w tył. Osłaniał się przed ciosami, chwiał na nogach. Inny przeciwnik dźgnął go od boku, ostrze brzęknęło o zbroję, ześliznęło się. Nagle jakby dzikie zwierzę skoczyło na Atrydę. Stracił równowagę, upadł na jedno kolano. Zza krawędzi tarczy wyłoniła się okrwawiona twarz. Posłyszał wrzask, drobiny śliny i juchy zrosiły mu policzki. Nie mógł uwierzyć, że to jednak człowiek.

Krzyknął, odepchnął atakującego mężczyznę, który padł pod nogi nacierających towarzyszy.

– Dość!

Zachrzęściły zbroje, ludzie zatańczyli wokół Orestesa. Zapanował bezruch.

Księżę uniósł się na nogi. Otaczał go pierścień obcych wojowników. Z przybocznej straży nie został mu nikt. Przez ustawionych w okrąg przeciwników przepchnął się rudobrody. Zmierzył Orestesa wzrokiem.

– Ty znaczny ktoś – powiedział. – Rzuć broń, weźmiemy za ciebie wykup.

Atryda splunął piachem i krwią. Skrzywił się, lecz pozwolił, aby miecz wypadł spomiędzy jego palców.

ROZDZIAŁ XV

Ifigenia śniła o niebie z łowiu i walczących mężczyznach, a gdy się przebudziła, boski wzrok nie opuścił jej od razu. Spocona i zagubiona patrzyła na okaleczone młode ciała, wywleczone z rozprutych pancerzy. Wzięła kilka głębokich wdechów, zamruła. Ciemność powróciła, przynosząc ulgę.

Wieszczka wyszła z łoża. Przeszedł ją dreszcz, musiało być jeszcze wcześniej, bo w powietrzu wisiał chłód. Zbudziła służkę, która spała z nią w komnacie, i poleciła sprowadzić Nabu z komnat męskich.

Dziewczyna wróciła po chwili sama.

– Nie ma go – bąknęła. – Abantes mówi, że chyba poszedł do portu.

– Do portu... Dobrze. Pomóż mi się ubrać i podaj płaszcz.

– Idziesz go szukać, pani? – w głosie służki pobrzmiwała rozpacz niewyspanych.

Ifigenia uśmiechnęła się mimowolnie.

– Tak. Ale nie musisz mnie odprowadzać. Trafię do portu. Pomóż mi się tylko ubrać i wracaj do łóżka.

– Jesteś pewna, pani?

– Tak, tak.

Już odziana wyszła przed pałac. Płaszcz zatrzepotał na wietrze, słońce błysnęło na chwilę, wieszczka poczuła ciepłe muśnięcie na policzkach. Poprzednie dwa tygodnie przyniosły ochłodzenie, choć jak na jesień wciąż było bardzo ciepło. Dziewczyna wiedziała, że nad stałym lądem wiszą chmury, jednak nad wyspami wichry raz spędzają je w gromadki, raz rozganiały na cztery strony świata.

Drogę do portu znała już na pamięć. Gwar budzącego się miasteczka otulił ją jak lubiany, choć nieco podejrzanie pachnący pled. Przekupki pozdrowiały ją imieniem Bogini Ziemi, dotykały jej spracowanymi, suchymi dłońmi, przekazywały sobie z rąk do rąk, zagadując, śmiejąc się przyjaźnie.

– Pani Ifigenio? Co tu robisz?

Nie mogła się nie roześmiać, słysząc niepokój w znajomym głosie.

– Szukam mego najdroższego przyjaciela, Eumajosie. Powiedziano mi, że jest w porcie. Jeśli tak, na pewno go widziałeś.

– W rzeczy samej. Pomaga mi przy łodziach.

– Pomaga? Wyobrażam sobie, że raczej więcej przeszkadza z tymi swoimi potłuczonymi łapami.

– No, po prawdzie, dopuszczam go tylko do lekkich robótek, uszczelnień, łat, heblowania. Widzi mi się, że on kocha łodzie, a przynajmniej lubi przy nich przebywać. Zresztą zna się na dobrym szkutnictwie, co trochę dziwne u Hetyty...

– Luwity.

Rządca mruknął coś niezrozumiałego i niezgrabnie podstawił Ifigenii ramię.

– Chodź, pani, odprowadzę cię do niego.

Przeszli przez port i na tyłach domostwa Eumajosa zeszli na plażę. Odgłosy portowej krzątaniiny przycichły, dały się za to słyszeć skrzyp desek, postukiwanie narzędzi i niemelodyjne poświstywanie.

Starszy mężczyzna podprowadził dziewczynę do wyciągniętej na piasek łodzi. Wieszczka oparła dłoń na kadłubie, w nozdrza uderzyła ją woń wodorostów, smołowanego drewna, soli.

– Nabu?

Po pokładzie łodzi zabębniły gołe stopy.

– Jak ci idzie, przyjacielu? – odezwał się Eumajos. – Widzę, że dłubiesz przy ławach. Ręka nie daje się we znaki?

Zapytany zszedł po rampie i stanął obok nich na plaży. Ifigenia domyśliła się, że daje jakies znaki rządcy, bo stary odezwał się po chwili:

– Dobrze. Nie wiem, z czego oni was lepią w tej Luwii, ale rany goją się na tobie jak na psie. Bez urazy. No, zostawiam cię z twoją panią. Tylko odprowadź ją potem do zamku. Nie wypada, by młoda kobieta sama kręciła się po porcie.

Eumajos oddalił się, małpując atoniczną świstankę, którą podsłuchał. Tymczasem wieszczka chwyciła opiekuna za rękę.

– Nie obchodzi mnie, czy ma rację, powinieneś więcej wypoczywać – powiedziała. – Być może wkrótce będą mi potrzebne wszystkie twoje siły.

Luwita musnął wolną ręką jej ramię, a następnie pociągnął dziewczynę za sobą.

– Zabierasz mnie na swój okręt? – Zachichotała.

Wdrapali się na pokład i siedli na rufie, na ławeczce sternika. Ifigenia przez chwilę słuchała burzącego się morza, potem odwróciła się, oparła głowę na barku Nabu. Zesztywniał na dwa oddechy.

– Możesz mnie objąć.

Chwila wahania. Szczupłe, silne ramię obejmujące jej plecy, zapach mężczyzny, jakiś kosmyk łaskoczący w nos.

– Włosy ci urosły, są teraz długie jak u dziewczyny.

Cisza, tylko kormorany wrzeszczą.

– Wiesz, że nie pamiętam, jak to jest widzieć? Miałam cztery lata, kiedy straciłam wzrok, powinnam więc coś pamiętać, jednak czasem mam wrażenie, że całe życie znałam tylko widzenia, które zsyłają na mnie bogowie. Mimo to, gdyby jakiś niebianin stanął przede mną i spytał, czy chciałabym znowu widzieć, chyba bym się nie zdecydowała. Strasznie jest widzieć. A ty? Gdyby ktoś powiedział, że zwróci ci mowę, chciałbyś tego?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Urodziłeś się niemową? – zapytała Ifigenia. Po krótkiej przerwie ciągnęła: – Czasami chciałabym, żebyś mówił. Wydaje mi się, że cię znam, ale tak naprawdę... No, łatwiej by było, gdybyś po prostu mógł wszystko opowiedzieć. Chociaż z drugiej strony może byś kłamał. Powiedz, Nabu, jesteś kłamczuchem? Ostatnio zaczęłam podejrzewać, że wcale nie nazywasz się

Nabuszszibanni, choć przecież to bogowie zdradzili mi to imię, a nie ty. Czy niebianie kłamią?

Umilkła. Luwita trwał u jej boku dziwnie nieruchomy. Przez chwilę coś jakby zawisło w powietrzu, pomyślała więc, że Nabu zaraz ją pocałuje, co by było głupie i bardzo by ją rozniewało. Nie pocałował, ciągnęła więc:

– Kapłanki w świątyni mówiły, że jesteś śniady jak Fenicjanin albo Arzaw, nos też masz azjatycki. I oczy. To znaczy kształt, bo kolor się nie zgadza, prawda? Oni wszyscy mają oczy czarne jak węgle, czarne i dzikie, piastunki straszą nimi dzieci. Może więc ty wcale nie jesteś z Luwii, co? Kochasz morze i okręty, i walkę... Tak jak Achajowie. Ostatnio sporo o tym myślałam i chyba cię przejrzałam... Przejrzałam, ha! Powiem ci, kim jesteś, a ty kiwnij głową, jeśli będę miała rację. Dobrze?

Odsunęła się. Oparła dłonie na twarzy Nabu.

– Gotowy?

Kiwnięcie głową.

– Myślę, że jesteś Achillesem-królem.

Ramionami mężczyzny wstrząsnął śmiech. Położył dłonie na dłoniach Ifigenii i przesadnie mocno pokręcił głową.

– Szkoda. Przydałby mi się teraz Achilles, którego zwali Mężobójcą.

Luwita musnął palcem jej policzek. Wyczuła w tym pytanie.

– Miałam kolejny sen o Orestesie – odpowiedziała. – Jest w niewoli. Pojmali go Achajowie z Ozoliańskiej Lokrydy, lecz wkrótce oddadzą Dorom, którzy zajęli Naupaktos. Jeśli to się stanie... Przecież tym Dorom przewodzi Kresfontes, brat Arystodema. On poprzysiągł mi zemstę. Gdy dowie się, że Orestes jest moim bratem, zabije go. Albo zamęczy, żeby dotrzeć do mnie. Muszę coś zrobić. Jeżeli tylko istnieje jakiś sposób, żeby zawrócić Orestesa ze ścieżki, na którą wszedł, muszę spróbować, prawda?

Odniosła wrażenie, że Nabu kręci głową. Od lądu ku morzu powiał wiatr, uniósł jej włosy, rozsypał wokół twarzy. W oddali dał się słyszeć czyjś okrzyk, dziób statku niesionego przez fale klasnął o wodę, furknął zrzucany żagiel, zatrzepotały wiosła. Ktoś wpływał do portu.

Luwita odsunął się, uniósł, lecz nie wstał, tylko jakby przysiadł na skraju burty.

– Wiem, że tego nie rozumiesz, ale on jest najbliższą osobą, jaką mam w całym świecie.

Wspomnienie napłynęło samo, niechciane. Aulidzka plaża, łyzy drapiące w gardle, odwrócone twarze dorosłych, malutka dziewczynka o drżących ustkach, patrząca na jedną osobę. Tylko jedną. To nie było wspomnienie Ifigenii, znała je ze snu.

– Ojca i matki mogłabym nigdy nie mieć. Elektry... Z Elektry to co innego. Ale Orestes... Przez wszystkie lata śniłam jego życie, jakbyśmy się nigdy nie rozstali. Wiem, jaki jest. Gwałtowny, pyszny, nieraz okrutny. Jednak to mój brat. Moja krew. Jedyna osoba, która naprawdę chciała, aby nie oddawano mnie bogom. Jedyna, która się sprzeciwiła. Dlatego muszę go uratować. Poproszę młodziutkiego króla Telemacha, żeby mi pomógł. I ciebie, Nabu. Uratujesz go dla mnie?

Mężczyzna klęknął przed nią i z gwałtownością albo wzruszeniem chwycił ją za rękę. Pociągnęła nosem. Roześmiała się.

Zamierzała powiedzieć coś innego, lecz wymknęły się jej miękkie słowa:

– Kocham cię, Nabu.

* * *

Wracali do zamku pospiesznie, w milczeniu. Ptaki krążyły po niebie. W porcie kręciło się dużo ludzi. Jakiś mężczyzna przemawiał dudniącym głosem, który rozbudził w Ifigenii zatarte wspomnienia.

– ...nie ma czasu, Eumajosie, idę prosto do Odysa, tfu!, na bogi, do Telemacha, ma się rozumieć. Tylko gębę winem przepłuczę... A to cóż? Niech mnie Hetyci chędożą, to jest...

– Cichaj, panie, ciii... Nie przystoi! Pani Ifigenio?

– Ifigenia? Ifigenia, córka Agamemnona? – Mężczyzna o dudniącym głosie zarzał donośnie. – Osioł ze mnie, Eumajosie, osioł zaje... zatracony! Ifigenia, córka Agamemnona, takie rzeczy!

Dziewczyna i Nabu zbliżyli się do rozmawiających.

– Cóż to za krzyki, Eumajosie? – zapytała wieszczka. – Kim jest twój towarzysz?

Krzykacz nie dopuścił starego do głosu.

– Teukros-król z Kipru – oświadczył. Potem, po krótkim wahaniu, dodał już nieco ciszej, jakby w zamyśleniu: – Walczyłem u boku twego ojca pod Troją, w królestwie Wilusy. A teraz...

– Teukros wraca z Tafos, wiodąc załogę składającą się po części z własnych ludzi, a po części z ludzi Telemacha-króla – odezwał się rządca.

– Miałem dług do spłacenia – wyjaśnił Kipryjczyk.

– Przywozi także wieści od twego stryja, Menelaosa-króla.

– Taaak... – Teukr stropił się nagle. Pomruczał chwilę pod nosem, następnie zapytał: – Czy idziesz do pałacu, pani? Pozwól, że cię odprowadzę. Psiakrew, wychodzi, że będę musiał mówić z tobą... przekazać wieści... Pierwej jednak chciałbym się rozmówić z Telemachem.

* * *

– Wielkie bogi! – jęknęła Penelopa.

Teukros patrzył na nią ponuro, spode łba, przygarbiony. Widać było, że nie podoba mu się uczestnictwo kobiety w naradzie. Telemach i Pizystrat milczeli, jednak oczy im błyszczały, a na policzki wypełzał rumieniec.

– To nie koniec wieści – powiedział Kipryjczyk. – Po prawdzie, miałem nadzieję, że poradzisz mi, jak przekazać to posłanie Ifigenii. Gdy ją dziś ujrzałem... Na otchłań, myślałem przez chwilę, że to lakońska Helena, tylko czarem jakimś odmłodzona. Taka była w Aulidzie, kiedyśmy gromadzili flotę...

– Jakie posłanie masz na myśli? – przerwała mu Penelopa.

– Jej matka, Klitemestra-królowa, nie żyje. Powiadają, że zamordował ją Orestes, mszcząc się za Agamemnona, którego jakoby otruła, a potem wyciągnęła z grobu i poćwiartowała.

– Wielkie bogi... – powtórzyła kobieta.

– To chyba teraz nie tak ważne? – wtrącił Telemach. – Skoro Menelaos-król wzywa wszystkich Achajów na wojnę...

– O wojnie zawsze jest czas mówić. Biedna dziewczyna...

Teukros mruknął na zgodę. Wlepiął wzrok w posadzkę z piaskowca, potężne pięści zwiesił

wzdłuż ud.

– Kiedy właśnie nie ma czasu – ciągnął młodzieniec. – Przed miesiącem myśleliśmy, że wojna to sprawa dotycząca wyłącznie Dorów, Epirotów i Makedonów. Myśleliśmy, że rozproszone plemiona górali walczą między sobą i z każdym, kto się nadarzy. Tymczasem, jeśli wierzyć opowieściom, już wtedy armia licząca dziesiątki tysięcy wojowników stała u bram Hellajów. Dziś ta sama armia zajęła Naupaktos. Ojciec słusznie obawiał się skutków tego, że górale gromadzą flotę. Gdy zginął, powinienem był sam podjąć jego misję, ale ty, matko, swoimi nieustającymi lamentami zatrąłaś mi umysł! A żeby cię kruki! Dawno już powinni Achajowie stanąć w polu, a nie kryć się w babskich pieleszach!

Penelopa patrzyła na syna z zaciśniętymi ustami i tylko kolor powoli obsiakał z jej policzków. Pizystrat przestępował z nogi na nogę.

– Nie powinienes tak zwracać się do matki, chłopcze – burknął Teukros.

Młody król dotarł do niego w dwóch długich krokach.

– Nie będziesz mnie pouczał w moim własnym domu.

Mężczyzna wyprostował się i spojrzał z góry na Telemacha. Jego brzydka gęba była gniewna.

– Ktoś chyba musi, bo się zapominasz – powiedział. – Może i jesteś królem, ale to nie zwalnia cię z szacunku dla starszych i gości. Jedynie przez wzgląd na twą matkę nie przełożę cię przez kolano i nie spiorę po dupie jak dziecka.

Pizystrat oparł dłoń na ramieniu przyjaciela. Telemach skrzywił się, jednak cofnął. Teukros jakby zmalął, złagodniał. Zwrócił swe czarne hetyckie oczy na królową.

– Telemach ma rację – powiedziała. – Nie możemy już udawać, że ta wojna nie jest naszą sprawą. Jednak trzeba nam także radzić o obronie Itaki.

– Piratów rozgoniliśmy na cztery wiatry – odezwał się Pizystrat. – Wyspy są bezpieczne.

– Byłeś kiedy w Naupaktos? – zapytał Teukros. – To olbrzymi port ze stoczną. Jeśli Dorowie trzymają Naupaktos, będą w stanie błyskawicznie rozbudować flotę, piractwo więc jeszcze się nasili. Inna sprawa, że zaczęła się już pora sztormów i nie sądzę, by zamierzali przed wiosną ruszać całe siły. Tak czy owak, chciałbym najpierw rozmówić się z Ifigenią, choć bogi wiedzą, że nie będzie to miłe zadanie. Potem mogę służyć wam radą, jeśli tylko zechcecie z niej skorzystać.

– Jasne – powiedział szybko Pizystrat, uprzedzając Telemacha.

– Wojowałeś wspólnie z Odysem i Atrydami. – Penelopa zmusiła się do słabego uśmiechu. – Twoje rady będą mile widziane. Jeśli chcesz, pójdę z tobą do Ifigenii.

Teukros odetchnął.

– Odrobina wsparcia nie zawadzi.

* * *

– Penelopo? Właśnie chciałam prosić twego syna o posłuchanie.

– Zaczekaj, kochanie. Chcielibyśmy chwilę z tobą pomówić, ja i Teukros.

Nie spodobało jej się to „kochanie”. Zbyt było pieszczotliwe jak na achajską królową. „Kochanie” mówiły do siebie służki w świątyni. „Kochanie” piszczwały na siebie przekupki na bazarach: „Kochanie, weź rybę dla męża, weź chleba, weź włóczki”. Słowo to pachniało

nieszczerymi przeprosinami.

– O co chodzi? Czy o wieści, które przywiózł Teukros od mego stryja?

– Tak. Poniekąd...

– Czemu zatem nie odezwie się sam? Czyżby od naszego ostatniego spotkania zapomniał achajskiej mowy?

– Wybacz, pani. Bardziej jestem nawykły do karczemnych opowieści i towarzystwa wojaków niż... – Wielkolud nie dokończył myśli.

– Poselstwo, które niesie Teukros, nie jest łatwe – poratowała go gospodyni zamku. – Wieści są smutne, a dotyczą twojej rodziny...

– Czy chodzi o Orestesa?

Chwila ciszy zapadającej wówczas, gdy przemawiają spojrzenia. Szurgot ciężkich stóp wielkoluda – jednej, potem drugiej.

– Poniekąd – powiedział Kipryjczyk. – Poniekąd, właściwie... Tak...

– To nieistotne, Teukrze. Nie ma sensu powtarzać plotek. Złe języki... Tak naprawdę, Ifigenio, chodzi o twoją matkę, Klitemestrę-królową. Nie żyje.

Wieszczka poczuła ulgę. Dlaczego ulgę? Sama nie wiedziała. Potem znów niepokój.

– Czemu zatem wspomniałeś o moim bracie, Teukrze?

Mężczyzna odchrząknął.

– Według plotek... – zaczęła za niego Penelopa.

– Tak, według plotek... zabił ją Orestes. Oskarżając o to, że wcześniej ona zamordowała waszego ojca.

Teraz już wieszczkę ogarnęła prawdziwa panika.

– Jak to? – wyrwało się z jej ust.

– Kochanie...

Znowu „kochanie”. Potem nieszczere pocieszenia... Plotki, złe języki, wyolbrzymienia, przeinaczenia... „Ona nie rozumie” – pomyślała Ifigenia.

– Nie widziałam tego – przerwała opiekuńcze słowa królowej. – Jak to możliwe, że nie widziałam?

Teukros i Penelopa wydawali się zaskoczeni.

– Co rzeczesz, pani? – wymamrotał wielkolud.

Dziewczyna westchnęła. Czuła się tak, jakby jej pierś była klatką, w której uwiązał gołąb, choć jednocześnie dobywał się z niej głos zupełnie spokojny:

– Bogowie odebrali mi ludzki wzrok, ale zamiast niego dali inny, swój własny. Widzę rzeczy odległe, przyszłe i przeszłe. Nie bez powodu zapytałam cię o Oresta. Gdziekolwiek jest, wiem, co się z nim dzieje. Zawsze. A tego nie zobaczyłam. Nie zobaczyłam...

– Ta wiadomość... – zaczęła ostrożnie królowa. – Nie musi być prawdą. Choć nie sądzę, żeby posłańcy od twego stryja, wzywający Achajów na wojnę, pomylili się co do śmierci Klitemestry, to przecież...

– Nieważne – przerwała Ifigenia. – Nieważne, co stało się z matką.

Penelopa ze świstem wciągnęła powietrze. Zaszemrały szaty. Cofnęła się, jak wydało się

wieszczce.

– Nie mów tak, pani – rzekł miękko Kipryjczyk. – Choć pewnie żal przez ciebie przemawia.

Ifigenia uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, którą po chwili chwyciły grube, silne palce.

– Dziękuję za twą troskę, Teukrze-królu. Powiedziałam jednak to, co czuję. Nie mam teraz czasu na żal. Los mego brata wymyka mi się z rąk. Nie mogę na to pozwolić, nie mogę go stracić. Miałam dziś rano widzenie i wiem, że jest w niebezpieczeństwie. Wpadł albo niedługo wpadnie w ręce Dorów. O tym chciałam mówić z twoim synem, Penelopo.

– Chciałabyś, żeby ruszył na tę wścieklą wojnę ratować...

– Mego brata. Matkobójcę. Tak.

– Nie pozwolę ci posłać go na śmierć, Ifigenio. Na pewno nie w imię jakiejś mrzonki, snu, widziadła. To mój syn. Mój. Nie pozwolę...

– Nie twoja to wola, matko.

W pokoju zapanowało poruszenie. Teukros i Penelopa w zdziwieniu obrócili głowy. Głos Telemacha nie dobiegał od drzwi; młody król musiał zakraść się przez komnaty kobiet. Dało się słyszeć szuranie stóp, potem odezwał się wielkolud:

– Długo tam stałeś, chłopcze?

– Słuchałem was od początku.

– Skryty w babskich izbach jak dziecko? A dopiero co mówiłeś...

– Dość, Teukrze! – wciąła się królowa. – A ty, synu, posłuchaj...

– Nie, matko. Podjąłem decyzję. Orestes jest synem Agamemnona, któremu ojciec poprzysiągł wierność. Euhemenos, którego mądrość tak czciłaś, gdym był dzieckiem, zwykł mawiać, że ludzie umierają, ale przysięgi żyją dalej.

– Bogi, jaki z ciebie dzieciuch!

– Nie, choć chciałabyś, żeby tak było. To przeznaczenie, matko. Nie widzisz? Bogowie przywieśli tu swoją posłanniczkę nie bez powodu. Nie bez powodu przywieśli też ojca do zguby, a mnie uczynili królem. Nie bez powodu wreszcie natchnęli ciebie, abyś przez cały ten czas powstrzymywała mnie przed opuszczeniem domu. Teraz to widzę. Byłaś ich narzędziem, wszyscy nimi jesteśmy.

– Zwariowałaś! Teukrze, błagam, powiedz mu...

– Co mam powiedzieć? O bogach nic nie wiem.

– O niczym nic nie wiesz!

– Matko, przestań.

– Twój syn mówi jak chłopiec, ale co do przysięg, ma słuszność. Nie wolno nam odmówić pomocy naznaczonej przez bogów wieszczce. A pies to... ych! Sam wezmę ludzi i popłynę odnaleźć syna Agamemnona. Telemach będzie mógł zostać i bronić Itaki.

– Ifigenia poprosiła o pomoc mnie, nie ciebie, Teukrze.

– A niech was otchłań! Niech was wszystkich pożre otchłań! – zawołała Penelopa.

Ifigenia poczuła ruch powietrza, woń kwiatów. Starsza kobieta zbliżyła się do dziewczyny. Rozbrzmiało głośnie plaśnięcie. Policzek wieszczki rozgorzał. Królowa umknęła z komnaty.

* * *

Wyruszyli wczesnym rankiem. Nad morzem wisiał gęsty, przeświecony słońcem opar. Penelopa stała na nabrzeżu, obserwowała żołnierzy. Było wśród nich kilkunastu, najwyżej dwudziestu starych towarzyszy Odyseusza i Teukra, resztę stanowili chłopcy o ogolonych głowach. Nieśli ciężkie, nałożowane tobołki, a w nich zbroje. Przez plecy mieli przerzucone tarcze, w rękach trzymali włócznie – po dwie każdy. Żegnały ich matki, siostry, niektórych żony. Był płacz i były żarty, jak zawsze.

Telemach i Teukros już wcześniej weszli na pokłady okrętów – każdy na własny. Syn Odysa przeliczał pakunki, sprawdzał liny. Kipryjczyk żartował z wojownikami. Nabuszezibanni towarzyszył młodemu królowi Itaki, jednak trzymał się na uboczu. W złotawej pomgłaci budzącego się dnia szczupły, prężny i groźny Luwita kogoś Penelopie przypominał. Nie potrafiła powiedzieć kogo.

Obejrzała się na Ifigenię stojącą poza wianuszkami żegnających się kobiet, wspartą na ramieniu Eumajosa. Jeszcze dzień wcześniej nienawidziła wieszczki. Tak mocno, że mogłaby pójść i zadusić ją własnymi rękami.

Gdzie się podziało to uczucie?

Ktoś się zbliżył, poczuła ciepło, oddech na karku. Rzuciła okiem przez ramię, by ujrzeć Pizystrata. Mieszanina dumy i wstydu na młodzieńczej twarzy. „Nie wie, czy żałować, że nie będzie towarzyszyć najbliższemu druhowi, czy radować, że zostaje bronić swej królowej – pomyślała Penelopa. – Swej kobiety”.

Postąpiła krok wstecz, wmuszając się w objęcia chłopaka. Nieważne, że ludzie patrzą. Kobiety rozumieją. Mężczyznom nic do tego. Chwilę drżała w uścisku – z zaczerwienionymi oczami i nosem. Jednak gdy przez materiał tuniki wyczuła powoli twardniejącego członka Pizystrata, odsunęła się gwałtownie.

Tymczasem ostatni żołnierze weszli na statki – stu roześmianych chłopaków. Myślałby ktoś, że płyną na igrzysko. Telemach krzyknął coś do Teukra. Wydano rozkazy, cumy zostały odwiązane. Pierwszy pięćdziesięciowiosłowiec ruszył ku wyjściu z portu, za nim drugi.

„To już? – zdziwiła się pani Itaki. – Tak po prostu?”

Bez żadnej ceremonii wsiedli na swe długie okręty i odpłynęli, a ludzie zaraz poczęli się rozchodzić. W końcu zostały tylko cztery osoby: Penelopa, Ifigenia, Eumajos i wściekle poczerwieniły Pizystrat. Królowa odprawiła młodzieńca ruchem ręki i podeszła do wieszczki. Towarzyszący jej rządca portu patrzył za odpływającymi, lecz dziewczyna miała spuszczoną głowę. Stała zwrócona bardziej w stronę pałacu niż morza.

Posłyszawszy kroki, Eumajos odwrócił wzrok. Z niepokojem popatrzył na swoją panią. Wyglądało na to, że się cofnie, ale tego nie uczynił. Musiał słyszeć o kłótni.

„Tak łatwo zjednuje sobie ludzi – pomyślała Penelopa, przyglądając się pięknej, piegowatej buzi Ifigenii. – Tak łatwo im ją pokochać”.

Nie była pewna, dlaczego podeszła ani co robi. Jakby pod wpływem zaklęcia uniosła ramiona, objęła dziewczynę, przycisnęła do piersi. Zatrząsał ją żal. Z oczu popłynęły łzy.

Ifigenia dopiero po chwili zwróciła uścisk. Jej oczy pozostały suche.

* * *

– Czego mordę krzywisz? – Alkides beknął, pierdnął, nalał wina w przepastne gardło. – Nie

pasują ci fletnistki, było się nie zamieniać.

Mentes spojrział na brata. Ruszył spiczastą bródką w górę i w dół. Zwrócił wzrok ku krągłym, wygolonym na egipską modłę ciałom.

– Próbuję myśleć strategicznie – odburknął.

– Strategicznie. Ooo... Strategicznie! Patrzcie no! A co tu jest strategicznego? Zamieniłeś doryckie fujary na syryjskie dupy. Dobra nasza! Ej!

Krótkie, szerokie łapsko grubasa Kekropsa plasnęło o kark Alkidesa.

– Ty lepiej o dupach tyle nie myśl. Jedna powinna ci starczyć.

– A niech cię kruki, ciebie i tę babę, do którejś mnie uwiązał!

– Alkidesie, trzymaj mordę i nie obrażaj mej bratowej, a Kekropsa siostry – odezwał się spokojnie Mentes.

Ofuknięty mężczyzna mruknął coś, zabulgotał w kielich. Kekrops dolał sobie wina, przesiadł się tak, by lepiej widzieć fletnistki. Chwilę patrzył. Wodził głową w prawo i w lewo. Gruby, porośnięty siwiejącą szczecią kark falował przy tym, wywijając się w wałki.

– Mentes ma słuszość – powiedział wreszcie. – Trzeba nam pomyśleć strategicznie.

– Mhm. – Bródka wodza podskoczyła.

– Piraci rozgonieni, ale tymczasem Dorowie rozsiedli się wygodnie na akarnańskim wybrzeżu. Mówią, że ich król – Kresfonton czy insza zaraza – jest niepokonany. I rzeczywiście. Jak tak dalej pójdzie, jednym półdupkiem siedzie w Ozoliańskiej Lokrydzie, drugim w Achai, a jaja wymyje w zatoce. No i handel się skończy.

– Nadto się przejmujesz – odparł Alkides. – Coś mi się widzi, że Mentes ma plan... albo wypatrzył pryszczę na dupie tej apetycznej króweczki po prawej.

– Masz plan, Mentesie?

– Może i mam.

– Podzielisz się nim?

Wódz się uśmiechnął.

– Dziś rano w zatoce pojawił się delfin – powiedział. Dwaj pozostali mężczyźni wymienili spojrzenia. – Delfin ów przyplął prosto z Itaki. Szepnął mi na ucho, że młody Telemach-król wielce był poruszony wezwaniem Menelaosa Atrydy. Tak poruszony, iż zebrał wojsko, wpakował je na statki i popłynął ku Półwyspowi.

– I co z tego? – zapytał Alkides. – Co to ma wspólnego z Dorami?

Kekrops tylko marszczył brwi. Błyszczało mu oko.

– Nic. Może nic. Po prostu od pewnego czasu dużo myślę o Itace.

* * *

Kresfontes leżał w półmroku, okryty gorącymi okładami. Jego oczy przesłaniała lniana szmatka nasączona jakimś paskudztwem, od którego kręciło go w nosie. Powietrze uciekało z płuc ze świstem, pierś – sina po uderzeniu wyrzuconego z procy kamienia – unosiła się powoli, niechętnie, bo każdy ruch przynosił ból.

Książę drgnął. Skrzywił się, poczuwszy dotyk śliskich dłoni egipskiego lekarza, którego

podarował mu Temenos, nim się rozstali pod Hellajami. Chłodne, kościste palce muskały zebra, zbłądziły w okolice pępka, podbrzusza. Potem zniknęły na chwilę, by objawić się zimnymi muśnięciami pod kolanem. Powoli pełzły w dół, badały łydkę, ścięgna przy stopie, piętę. Umknęły ponownie. Egipcjanin przyłożył obie dłonie do biodra rannego, jedną z góry, drugą z boku, nacisnął.

– Co robisz? – warknął brzydal. – Drętwołę mam w łydce, a ty mnie po dupie macasz?

– Noga jest zdrowa, panie – odparł niewolnik. – Źródło drętwoły skądinąd pochodzi.

– Tak, z pewnością z dupy. Wywichnąłem kolano, gdym się pośliznął na flakach jakiegoś zasańca. Nastaw je i kończ już te czary.

– Kolano nie jest wywichnięte. Odwróć się na brzuch, panie.

Heraklida stęknął, wykonując polecenie. Czuł się ciężki, obrzmiały. Pierwej okulał na prawą nogę, lecz czuł, że drętwołowa powoli przesywa i inne stawy, chwyta nawet za kark. W nowej pozycji oddychanie stało się jeszcze bardziej bolesne.

Dłonie Egipcjanina spoczęły na łądzwiach księcia, ucisnęły kilkakrotnie krzyże, potem popęzły w dół, ku pośladowi. Kresfontes poderwał się zirytowany.

– Co ty, masz mnie za Hetytę?! – wykrzyknął.

Lekarz cofnął się prędko.

– Nie... nie, panie... – wyjąkał.

– Nastaw więc kolano! Nie mogą żołnierze widzieć swego wodza kulejącego jak stara krowa.

– Kiedy nie w kolanie tkwi przyczyna. Duch twój, panie, błądzi w ciele, energia gubi się we wzburzonych cielesnych sokach. Dlatego kulejesz. Pewnikiem ból po stracie brata...

Szybki cios pięści wtłoczył słowa z powrotem do ust. Egipcjanin chrząknął, upadł. Krew pocięła mu na szatę. Kresfontes poderwał się z miejsca, przypadł do niewolnika, który zaskomlał jak zwierzę.

– Bezużyteczne ścierwo!

Pięść uniosła się do kolejnego ciosu, lecz w tejże chwili ktoś stanął w drzwiach komnaty. Książę odepchnął lekarza, zwrócił się do nowo przybyłego. Wściekłość go zamroczyła.

– Won! – ryknął.

Łysawy, drobny przybysz stęzał, nie cofnął się jednak. W komnacie zawibrował głęboki, dźwięczny głos:

– Wybacz, książę, lecz przywożę ważne wieści.

Kresfontes potrząsnął głową.

– A, to ty, Karnusie – wymamrotał. Siadł z powrotem na stole, wrzucił na grzbiet tunikę.

– Odniosłeś tu wielkie zwycięstwo...

Heraklida machnął ręką. Patrzył tępo na gramolącego się z ziemi lekarza.

– Ta męska dziwka jest bezużyteczna – powiedział.

– Nie mów tak, książę. Wielokrotnie korzystałem z jego usług. To pewnikiem najprzedniejszy medyk w tej części świata. Temenos uczynił ci piękny dar.

– Jak ci taki bliski, to go sobie weź. Mnie jest na nic. Pieprzona baba, nawet kolana nie umie nastawić.

Wieszcz lekkim ruchem dłoni dał znak niewolnikowi, by się oddalił. Kresfontes odchrząknął.

– Zwycięstwo na nic, bo w mieście nikt nie widział Ifigenii ani o niej nie słyszał – burknął. Majtał przez chwilę nogami. W końcu uniósł głowę, łypnął spod oka na Karnusa. – Co to za wieści, o których mówiłeś?

– Chodzi o Arystodema.

Brzydał pokiwał głową. Milczał. Czekał.

– Znaleźliśmy ciało – oświadczył drobny mężczyzna.

– Rozumiem.

– Przywiozłem je tutaj, abyś mógł osobiście złożyć ofiary i zapalić pogrzebowy stos.

Chwila ciszy.

– Chcę go zobaczyć – powiedział książkę.

Karnus zawahał się ledwie widocznie.

– Zawinęliśmy ciało w całun... już cuchnęło... Kresfonte, on... nie wygląda jak kiedyś. Zwłoki spędziły kilka dni w morzu, a potem długo leżały na brzegu...

– Skąd zatem wiesz, że to naprawdę on?

– Miałem wizję. Bóg Słońce poprowadził mnie...

– Chcę go zobaczyć.

– Zgadza się wzrost, wiek – na tyle, na ile można ocenić – oraz odzienie, kolor włosów.

– Słyszałeś, co rzekłem.

Wieszczek przygryzł wargę. Kiwnął głową.

– Gdzie chcesz obejrzyć ciało? – zapytał.

– Wnieście go tutaj.

Karnus wyszedł, by po chwili wrócić w towarzystwie czterech krzepkich mężczyzn niosących pakunek w kształcie człowieka. Ciało było zawinięte w grubą warstwę nawoskowanych płócien, ale mimo to komnatę wypełniła woń zarazem słodka i odrażająca. Kresfontes wskazał sługom, by złożyli zwłoki na stole, na którym sam wcześniej leżał. Potem kazał im iść precz. Został tylko z wieszczem.

Książę złożył na całunie swą okaleczoną rękę. Trzymał ją tam, dopóki nie przyszło mu na myśl, że kikuty obciętych palców wyglądają jak robaki. Wówczas zdrową dłonią sięgnął po sztylet, który leżał przy jego ubraniu na pobliskiej ławie. Szybkim ruchem rozciął płótno.

Karnus cofnął się i skrył twarz w zgięciu łokcia, lecz na próżno. Szarpany torsjami skulił się w kącie.

Heraklidzie zakręciło się w głowie, żółć zapiekła w gardle, mimo to rozchylił materiał, odsłaniając ogryzioną, bezoką twarz. Skóra Arystodema poczerniała i obłaziła z kości. Na spodzie całunu zebrała się ciemna, cuchnąca maź. Książę rękami poszerzył dziurę w całunie. Ukazały się otulone wyblakłym płaszczem członki – nogi objęzione do kolan przez mureny, dłonie bez palców.

Kresfontes złożył drżącą rękę na czole brata. Odwinął płaszcz. Obejrzał tunikę, szeroki pas, przy którym wisiała pusta pochwa na sztylet.

– To mój płaszcz – powiedział. – To pochwa po sztylecie, który mu dałem.

ROZDZIAŁ XVI

– Outisie?

Drgnął. Nisko w brzuchu poczuł mrowienie, które przypominało mu o czymś sprzed bardzo, bardzo dawna, z czasu, nim wyśnił Czarodziejkę. Z jakiegoś powodu pomyślał o mircie i szaławii.

W cieniu przedsonka czekała na niego Helena.

– Rozmawiałaś z moim mężem?

– Tak.

– Ostatnio często zasięga twej rady. Polubił cię chyba.

Mężczyzna milczał.

– Pewnie nie powinnam się dziwić – ciągnęła królowa. – Wszyscy towarzysze z dawnych lat znowu go zostawili. Agapenor i Antyloch zbierają wojska, a z Ajgistem wolałby się nie widzieć. Mogę spytać, o czym mówiliście?

– O Orestesie. Menelaos nie jest pewien, czy podziwiać szybkość jego działań, czy wściekać się na bezczelność i lekkomyślność.

– A co ty o nim sądzisz?

– Sądzę, że wojna z Dorami pokrzyżowała twemu siostrzeńcowi plany, ale on potrafi każdą sytuację obrócić na swoją korzyść. Niepowodzenia go nie powstrzymują.

– Nie lubisz go?

– Nie bardzo.

– Na tym polega problem. On sam też siebie nie lubi. Czasem mam wrażenie, że tylko sobie wmawia, iż prowadzi jakąś grę, a w rzeczywistości kusi los, kusi bogów i patrzy, kiedy wreszcie zetrą go na proch.

Outis wzruszył ramionami.

– Być może. Choć nie wiem, czy nie większym kuszeniem losu byłoby, gdyby tu pozostał. Na Półwyspie ziemia paliła mu się pod stopami. Wprawdzie Ajgistos i Menelaos szybko zawarli rozejm, ale na wojnie dzieją się różne rzeczy, nawet gdy akurat nie toczą się walki... Bezpieczniejszy będzie na północy.

– Jeśli nie da się od razu zabić. Nie rozumiem, dlaczego uparł się wylądować pod Naupaktos, zamiast przejść przez Korynt i pomaszerować prosto do Fokidy, do Strofiosa-króla.

– Na jego miejscu też wolałbym wskoczyć na statek, niż człapać przez całe królestwo Ajgista. Poza tym... Makedonowie mają takie powiedzenie: szczęście sprzyja odważnym. Kim innym jest chłopiec uciekający pod skrzydła dawnego opiekuna, a kim innym król, choćby bez ziemi, ale z własnym, sprawdzonym w boju wojskiem. Taki szybko znajdzie sprzymierzeńców. Tyle tylko, że wojsko Oresta to najemnicy i żądni chwały głupcy. Kupił ich za sławę swego ojca. Teraz musi szybko rzucić się do walki, aby pokazać wszystkim, że urodził się Atrydą.

– Atrydzi... – Helena pokręciła głową.

– Martwisz się o niego – stwierdził przybysz znikąd.

– Nie wiem. Przejdiesz się ze mną na taras? W tym domu jest tak ciemno... To mnie drażni.

Przemierzyli puste komnaty niedawno odbudowanego pałacu. Z tarasu dało się słyszeć morze, co napawało otuchą serce każdego Achaja, jednak nie było tam dużo jaśniej. W dodatku pachniało zgniłą rybą.

Outis powiódł spojrzeniem po zrujnowanych, na poły rozebranych budowlach, po chatach osady, która stała tam, gdzie kiedyś pyszniło się miasto Korynt, i kolejne wspomnienie zasamotało się gdzieś w głębinach jego umysłu, lecz nie zdołało wyrwać na powierzchnię. Na pobliskiej równinie stały namioty, ćwiczili żołnierze. Przy dawnej linii murów roje robotników pracowały, by odbudować fortyfikacje.

– Przygnębiające, prawda? – powiedziała Helena.

– Mhm.

– Na tej równinie zginął mój ojciec, a Menelaos został królem.

Mimo iż było ciepło i bezwietrznie, kobietę przeszedł dreszcz. Outis pozwolił, aby jego ciało zdryfowało ku niej, blisko, blisko. Nie odważył się jednak dotknąć królowej.

– Coś dzieje się przy murach – powiedziała. – Co to za dymy tam, na północy?

– Uciekinierzy. Walą tu całymi bandami z północy i z zachodu, uciekają przed wojną. Część szuka schronienia w Fokidzie i Attyce, ale większość wierzy, że będą bezpieczni tylko na Półwyspie.

– Czemu nie rozłożą obozu bliżej osady?

– Menelaos i Ajgistos uradzili, aby ich nie wpuszczają. Myślisz, że dlaczego odbudowują mury Koryntu? Nim dotrą tu górą, pojawią się tłumy zrozpaczonych wieśniaków, którzy porzucili swoje gospodarstwa. Później nadciągną dezertery, rabusie, niedobitki rozbitych oddziałów.

– Mój mąż i Ajgist chcą zostawić ich wszystkich na pastwę Dorów?

Rozbitek wzruszył ramionami.

– Takie są koleje wojny.

– Kolejne wojny? – W zielonkawych oczach pojawił się niebezpieczny błysk. – Naprawdę nie miałeś większego banału w zanadrzu?

Obróciła się na pięcie i już miała zniknąć we wnętrzu domostwa, gdy Outis, wyrwany z bogobojnego lęku przed dotknięciem królowej, chwycił ją za ramię.

– Ani Menelaos, ani Ajgistos nie mogą sobie pozwolić na to, żeby żywić tych ludzi – powiedział. – Muszą myśleć o wojsku.

Wyrwała mu się zdecydowanym ruchem.

– To zwykłe draństwo, i dobrze o tym wiesz – fuknęła.

– Nie draństwo, tylko rozsądek. Właśnie dlatego baby nie nadają się na wojnę. Jesteście zbyt...

– Zbyt co?

Tylko przygryzł wąsa.

– Zbyt co? To są ludzie, mówimy o ludziach. Tu nie ma „zbyt”.

– Uwierz mi, mniejszym złem będzie przegnać ich teraz, niż czekać, aż Dorowie najadą na Półwysep. Jeśli są wśród nich zbiegli żołnierze...

– Zbiegli żołnierze? Przed chwilą powiedziałaś, że to wieśniacy, a żołnierze pojawiają się później.

– No dobrze, powiedzmy, że nie ma wśród nich dezertersów i innego tałatajstwa, które pojawia się po przegranych bitwach. To bez znaczenia. Wystarczą młodzi, zdesperowani i głodni mężczyźni, którzy ze swych domów zabrali motyki, sierpy i co tam jeszcze zdołali. Jak sądzisz, co zrobią, gdy nasze wojska wyjdą z miast i wiosek, by walczyć z Dorami?

– Nie wiem, wiem za to, co się stanie, jeśli ich tam zostawicie. Teraz macie jeszcze szansę ich przyjąć, okiełznać, rozesłać po polach i pastwiskach Półwyspu. Jeżeli zabronicie im wstępu, zrobicie z nich armię.

– To już jest armia. I to wroga...

– Bogi, ależ tchórzliwi jesteście, Achajowie!

Outis otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale nie zdążył. Helena odeszła i pomaszerowała wprost do komnat Menelaosa-króla.

* * *

Zebrani u stóp korynckiego wzgórza robotnicy dyszeli w duchocie, wymieniając ponure spojrzenia z żołnierzami, którzy gotowali się w zbrojach przypominających wielkie spiżowe gary. Nad ranem odrobina deszczu zaszemrała po skałach, lecz do południa pozostało z tego jedynie wspomnienie i ból głowy znamionujący dawno spóźnioną burzę.

– To jest właśnie achajskie myślenie – zaburczał wyzwoleniec Dokimos do nadzorca Ewenosa, gdy schodzili na przerwę. – Czego rozbierali te mury, skoro teraz chcą je stawiać z powrotem?

– Aha – odparł Ewenos, rwąc w kawały pszenney placek i rozdając wyznaczone porcje niewolnikom i wolnym robotnikom.

Rozłożyli się pod krzakami zszarzałego akantu, gdzie ziemia była nieco chłodniejsza niż przy niedokończonych fortyfikacjach. Dokimos omiół wzrokiem wyłaniającą się zza wzgórza mieścinę i westchnął ciężko. Wśród chałup biegały tylko psy.

Kompan trącił go w ramię. Wskazywał coś w przeciwnym kierunku. Nie mówił, bo usta miał zapchane chlebem i serem. Stojący nieopodal strażnicy spoglądali w tę samą stronę.

– Kolejni? – zapytał wyzwoleniec. – Zasańców z każdym dniem przybywa coraz więcej. Zobaczysz, pewnego dnia zabiją nas, a potem ogryzą nasze kości. Tchórzliwe beockie świnię.

Od północy w obłoku kurzu toczyło się kilka wozów. Towarzyszyła im niezborna muzyka wygrywana przez dzwoniące cynowe gary i chorał kozich głosów. Kilku żołnierzy wyszło naprzeciw. Dziesiętnik machnął z daleka, by przybysze stanęli.

– Zawróć ich i dołączą do tamtych. – Dokimos machnął ręką ku północo-zachodowi, gdzie spośród wzgórków unosiły się dymy.

– Aha.

Wozy stanęły. Wskoczył z nich łysy, żylasty mężczyzna, a za nim dwóch młodych byczków.

– Patrz no takich. Tchórzliwe skurwysyny. Młode, silne, ale o swoje nie powalczą, o nie. Nasze łatwiej zeżreć. Cudze smakuje lepiej.

– Aha.

– Widowisko robią. Zauważyłeś, że zawsze mężczyźni tu przychodzą? Bohaterzy. Baby zostawili w domach, żeby pól broniły czy jak? A nie, patrz ty, mają babę. O, jaki lament robi. Brzuchata.

Z wozu rzeczywiście wyszła ciężarna kobieta o ogorzałej twarzy i zapadniętych oczach. Upadła przed strażnikami na kolana, płakała.

– Bezczelna kurwa, no. O żarcie przyszli prosić. Tak, po co pracować, lepiej prosić. A że bękarta ma w brzuchu? Co nam do tego? Jakoś na ruchanie mieli siły, to chyba wcale nie tacy głodni.

– Hm.

Ewenos wstał z ziemi i postąpił kilka kroków ku żołnierzom. Niewolnicy i inni robotnicy także obracali głowy, przyglądając się w zaciekawieniu.

– Gdzie tam leziesz? – rzucił Dokimos. Zaraz jednak podniósł się i podreptał za nadzorczą.

Z mniejszej odległości słowa dały się lepiej zrozumieć. Łysy mężczyzna tłumaczył zbrojnym, że jego żona nie jadła od trzech dni, a rozwiązanie blisko. Że kobieta z pewnością umrze, jeśli się nie zlitują. Dziesiątnik drapał się w czoło, drążył stopą dziurę w piachu, ale co on mógł? Rozkazy. Służba.

– Pogoniłby bydło, a nie się czocho – mruknął wyzwoleniec.

Robotnicy szemrali już na kilkadziesiąt głosów, i żołnierze poczuli się na nich oglądać. Jeden czy drugi z niewolników przebaknął, że nie powinno tak być, że królowie cisną prosty lud. Inni tylko sarkali i kpili. W pewnym momencie kilka osób wskazało ku północo-zachodowi. Od leżącego w tamtej stronie obozowiska szedł tłumek ludzi.

– O, kłopoty mogą być.

– Aha.

Dziesiątnik również spostrzegł zbliżającą się bandę. Rozeźlił się, pchnął kobietę, a gdy mąż rzucił się jej bronić, zdzielił go głowicą miecza w twarz. Mężczyzna upadł. Towarzyszący mu młodzieńcy zacisnęli pięści w kulaki. Zadzźwięczał wyciągany z pochew spíž.

– Spokój, synkowie! – zawołał łysol. Uniósł się, otrzepał z piachu. Cała gromadka cofnęła się ku wozom, lecz nie zamierzała jeszcze odejść.

Tymczasem ludzie wędrujący od obozowiska zbliżyli się już na rzut kamieniem. Było ich sto osób, może nieco więcej, przeważnie młodych mężczyzn o zarośniętych obliczach i wygłodniałych oczach. Nieśli pałki, motyki, cepy. Kiedy doszli na odległość kilkudziesięciu kroków od odbudowywanych murów, stanęli.

Dziesiątnik spoglądał ku nim wyraźnie zaniepokojony. Po krótkim namyśle posłał gdzieś jednego ze swych ludzi. Dokimos pomyślał, że pewnie po posiłki.

– Lepiej łapcie za narzędzia – powiedział, oglądając się na pozostałych robotników. – Jak przyjdzie do bitki, to i nam może się oberwać.

Spośród młodych ludzi wystąpił drobny, płowowłosy młodzieniec.

– Hej, Geleonie, synu kozy i Hetyty! – zawołał zaskakująco dorosłym głosem. – Kogo tym razem gnoisz w imię Menelaosa-rogacza? Ciężarną kobietę?

Dziesiątnik odparł, popisując się darem wymowy:

– Pierdol się!

– Słyszeliście? Oto odpowiedź Achajów! Ich królowie chętnie biorą od nas daninę, zabierają nas za morze, byśmy walczyli o ich złoto, ale gdy prosimy o ochronę przed doryckim najeźdźcą, gdy prosimy o jedzenie dla ciężarnych kobiet i sierot, co odpowiadają? Pierdol się!

Od strony miasteczka dało się słyszeć brzęk zbroic. Dziesiętnik obejrzał się, potem ponownie zwrócił do drobnego młodzieńca:

– Idź zreć gównno, Eurystenesie! Chyba że wolisz, abyśmy nakarmili cię spizem.

Z tłumu gwizdnął kamień i rąbnął w tarczę jednego z żołnierzy.

Łysy mężczyzna z wozu, widząc, na co się zanoszą, kazał swoim ludziom zawracać. Zaczęło się gorączkowe popędzanie wołów. Kobieta krzyknęła.

Tymczasem do oddziału strażników dołączyła grupa włóczyków i około dwudziestu łuczniczków, którzy ustawili się w szyku i napięli cięciwy. Błysk grotów ostudził zapalę młokosów. Kilku zawróciło w stronę obozu, po chwili dołączyli do nich kolejni. W końcu pozostał tylko Eurystenes z półtuzinem towarzyszy. Obejrzał się za odchodzącymi towarzyszami, ramiona mu opadły.

– Na bogów, gdybyś był człowiekiem, dałbyś tym ludziom choć odrobinę strawy! – zawołał.

– Takiś mądry, to sam ich karm.

Płowowłosa pokręcił głową, roześmiał się gorzko.

– Ufff, idą sobie, taka ich mać – powiedział Dokimos.

Ewenos popatrzył na niego spość łba. Bez słowa ruszył truchtem za oddalającymi się wozami. Zawołał, by zaczekały.

Łysy mężczyzna obejrzał się i zwolnił. Nadzorca rzucił mu sakwę z niekwaszonym chlebem i odrobiną sera, swój niedokończony obiad. Następnie zawrócił.

– No i po coś to zrobił? – Wyzwoleniec złapał się za głowę.

Ewenos wzruszył ramionami.

– No tak, świetnie, dokarmiaj darmozjadów! Zobaczysz, zaraz przyjdą po więcej. Znam ja tych żarłoków, daj palec, a zaraz zechcą całą rękę. Wara im, wara od naszego achajskiego chleba.

– Jak na kogoś, kto urodził się w Epirze, a dorastał w niewoli, strasznie jesteś dumny, Dokimosie. Nie szczekaj za Achajów. Oni psów nie głaszczą.

* * *

– Czego chcesz, żono? – Menelaos siedział zagrzebany w zawojach różnorakich materii. Oczy mu błyszcząły. Na czole perlił się pot. – Nie zmienię swych rozkazów, a nawet gdybym chciał, nie uczyni tego Ajgistos.

– Będziesz się zasłaniał mniejszym złem, jak Outis?

Król jęknął, wykrzywił usta.

– Outis wie, czym jest wojna – burknął.

– I ja to wiem. Widziałam wojnę w Luwii, Wilusie, Achijawie.

– Gównno widziałas.

– Tak, w rzeczy samej. Więcej gównna, niż bym sobie życzyła. Lubicie babrać się w gównie,

mężu mój.

– Daj mi spokój. Niczego nie rozumiesz.

– To mi wytłumacz. Oświeć mnie.

Stary Atryda warknął w brodę, ponownie jęknął, spróbował poprawić się na siedzisku.

– Dobrze – wysapał. – Dobrze. Posłuchaj zatem. Chciałabyś, abyśmy te rzesze, które wieją przed Dorami, podjęli tutaj chlebem, oliwą i najlepszym czteroletnim winem.

– Jeśli zamierzasz mi tłumaczyć, że są niebezpieczni – wtrąciła Helena – że tylko czekają, aż odwrócimy się plecami, aby zacząć palić, gwałcić i mordować, to możesz sobie darować. Outis już próbował.

– Nie zamierzam ci tego tłumaczyć. Zamierzam przedłożyć ci coś innego pod rozwagę. Dorowie... Kim są Dorowie? To ludzie tacy jak my, prawda? Mówią trochę inaczej, ale idzie się dogadać – nie tak jak z Fenicjanami czy Egipcjanami. Twierdzą, że Bóg Niebo mocniejszy jest niż Bóg Morze, a mimo to obu składają ofiary. No i tych Dorów, tych nie tak całkiem różnych od nas Dorów, dopadł głód. Dopadła ich wojna. Co więc zrobili? Ruszyli na południe. Ruszyli tam, gdzie żarcie i, choć wydaje się to bez sensu – tam, gdzie pokój. Nie ma pokoju bez wojny, Heleno. Chcąc mieć pokój, trzeba znaleźć kogoś na tyle słabego, by wystarczyło kopnąć go w zęby, żeby siedział cicho i zapierdalał w polu.

– Piękne porównanie, mężu...

– Nie przerywaj mi! Słuchaj dalej... Zostawmy Dorów i cofnijmy się o dwadzieścia lat. Popatrzmy na nas, Achajów, takich, jakimi byliśmy. Twojemu ojcu marzyło się wielkie królestwo obejmujące cały Półwysep, ganiał więc nasze wojska w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, przez pola pszenicy, przez pola cebuli, przez gaje oliwne, przez winnice. Deptaliśmy, tłukliśmy, wciągaliśmy kmiotków do wojska. I co się stało? Staliśmy się głodni, biedni... ale silni. A tymczasem za morzem żarcia mieli w bród, a i złota także. Popłynęliśmy zatem kopnąć ich w zęby. Bo byli słabi. Teraz, jeśli mamy przetrwać, musimy być mocni. My, Achajowie, musimy być głodni i gniewni jak kiedyś. Inaczej zginiemy. I na tym właśnie polega mniejsze zło. Kiedy tylko zaczniesz się oglądać na mniejszych i słabszych, ani się obejrzysz, a staniesz się jednym z nich.

– A zatem po prostu się boicie?

Menelaos kaszlnął, zaśmiał się ponuro.

– Bogi, ty naprawdę nic nie wiesz ani nie rozumiesz. Jesteś córką Achajów, lecz nie masz pojęcia o własnym ludzie. My nie znamy strachu, mimo iż czasem mądrze byłoby się bać. Gdybyśmy się bali, nigdy nie zdobylibyśmy Troi. Nawet byśmy pod nią nie ruszyli.

– Mylisz się. Znacie strach bardzo dobrze, tylko skrywacie go sami przed sobą. Strach was napędza, leży u podstawy każdego czynu, jakiego dokonujecie. Wasz bóg, Wielkie Morze, to bóg strachu.

– Zamilcz, kobieto! Niemądrze jest drażnić bogów. Niemądrze jest też drażnić mnie... – Król sapnął kilkakrotnie, uspokoił się szybko. Na jego obliczu wykwitł uśmiezek. – Zresztą... Kogo niby tak się boimy, co? Tych obdartusów, tchórzów uciekających przed wojną? Sądzisz, że jestem okrutny. Gdybym był, kazałbym wojsku wyjść do nich, wyróżnić ich, rozgonić. Nie jestem. Nie możemy ich przyjąć. Nie mamy dla nich jedzenia, nie mamy dla nich ziemi. Nie chcemy zarazy, którą niosą. Zaś jeśli chodzi o Dorów... Poczekaj, niech no zbiorę całą achajską

potęgę. Nie mają dość broni, by nam się oprzeć. To zbieranina dzikusów, połowa z nich chodzi odziana w skóry, a chcą stawić czoło karnej armii, rydwanom. Błędem było, że rozleniwiliśmy się po ostatniej wojnie, że staliśmy się gnuśni jak Hetyci czy Egipcjanie. Wzbogaciwszy się na wschodzie, powinniśmy byli zrobić porządek na północy. Byliśmy na to wystarczająco silni. Może nadal jesteśmy... Twój drogi Orestes to rozumie. Jest okrutnym, bezwzględny człowiekiem, ale kto wie, może właśnie takiego nam teraz trzeba? O ile pożyje dość długo, by dowieść swej wartości.

Helena cofnęła się o pół kroku.

– Gorączka przez ciebie przemawia – mruknęła.

– Może. Co z tego? – Władca wyduł wargi. – Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

– Kogo według ciebie się boimy?

– Ty mi powiedz, mężu mój. Na pewno nie biedaków ginących z głodu u twego progu. Wyjaśniłeś to dobitnie. Ja wiem tylko, że musicie się czegoś bardzo bać. Gdybyście się nie bali, gdybyście byli pewni własnej siły, bylibyście gotowi uczynić, co słuszne. Bo wiedzielibyście, że ze wszystkim sobie poradzicie, cokolwiek by nadeszło. Czy nie na tym polega odwaga, by zdając sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa, stawić mu czoło?

– Bogowie wszechmocni, stwory otchłani i pomniejszych duchy, o czym ty w ogóle mówisz, kobieto? Co to, kazanie? Sram na takie kazania! To dobre dla gołowąsów, którzy nie zakosztowali jeszcze wojny ni baby, słowem, dla takich, co nie znają życia. Tak cię martwi los tych biednych, szlachetnych istot, które giną z głodu u mego progu, to idź do nich. Idź! Zobacz, jakie to bydlę, jakie to nędzne, tchórzliwe gnidy. W każdym razie zjedź mi z oczu, rozmowa skończona!

Helena przełknęła odpowiedź. Zacięła usta, zawirowała na pięcie. Wyszła. W przedsionku mignęła jej jeszcze stropiona twarz Outisa.

* * *

W świątyni Bogini Ziemi było chłodno. Powietrze pachniało osobliwie, mszawo. Kamienie wokół wejścia nosiły ślady sadzy, jednak wewnątrz budynku było nienaruszone. Pożar, który przed dwudziestu laty wkroczył do Koryntu wraz z wojskami Menelaosa i Agamemnona, oszczędził przybytek. Nie odważyli się go też tknąć upojeni zwycięstwem Achajowie, choć rozebrali świątynię Boga Morza, aby zależni od kapryśnego bóstwa Koryntyjczycy nie mogli go w przyszłości przebłagiwać ofiarami.

Outis wiedział to, znał tę historię, mimo iż nie potrafiłby powiedzieć skąd. Czyżby towarzyszył wówczas Atrydom?

W głębi budowli mignęło światło, zadrgały cienie. Skądś, jakby z czeluści ziemi, nadbiegł ledwo słyszalny szmer.

Mężczyzna postąpił kilka kroków – niepewnie, choć nie był bogobojny.

– Heleno? – zawołał.

Szmer stał się odrobinę głośniejszy, zadzwoniło echo. Światło pojawiło się znów.

– To ty, Outisie? Możesz wejść dalej. Od lat nikt nie składał tu ofiar, zresztą święte komory skryte są pod ziemią.

Przeszedł przez przedsionek do większej sali. Leżały tam dawno uschnięte wieńce, wypalone kaganki zwisały smętnie z haków, niegdyś barwne materie gniły na ścianach.

– Tutaj.

Królowa stała w przejściu do kolejnego pomieszczenia, otulona blaskiem oliwnej lampki. Machnęła przybyszowi ręką, po czym zawirowała i zniknęła, a wraz z nią światło.

Mężczyzna ruszył przed siebie po omacku. Wpadł na coś. Zaklął pod nosem. Wdepnął w wieńiec, który pod jego stopą rozpadł się w pył.

– Co tam robisz? Szczęścia szukasz?

Nie odpowiedział. Odszukał wreszcie przejście, wkroczył do bocznej komnaty. Helena siedziała na mocno zbutwiałym zydłu, nieopodal kamienia ofiarnego. Przyglądała się wchodzącemu.

– Znalazłeś mnie więc – powiedziała. – Przysłał cię Menelaos?

– Nie. – Outis ściągnął z łysiejącego czerepu pajęczynę. Rozejrzał się szybko. – Umknęłaś służkom. Myślałem, że zrobiłaś jakieś głupstwo.

– Dopiero zrobię. Założyłam się z samą sobą, że jeśli mnie znajdziesz... Cóż, może to znak od bogini. Podobno jestem jej kapłanką.

Mężczyzna westchnął.

– Wiedziałem, że nie powinienem był szukać.

– Pójdiesz ze mną?

– Dokąd?

– Przed chwilą sugerowałeś, że wszystkiego się domyśliłeś.

Na ogorzałej, wymiętej latami twarzy pojawił się grymas.

– Chcesz iść do obozu uciekinierów...

Helena kiwnęła głową

– Pójdiesz ze mną? – zapytała ponownie.

– Pewnie nie ma sensu próbować cię od tego odwozić?

– Nie.

– Przynajmniej nie pójdiesz sama.

– Bo pełno tam młodych, wystraszonych mężczyzn? Bo bym się prosiła? Są tam też kobiety i starcy, ojcowie, rodziny z dziećmi.

– Taaa... Dobrze. Chodźmy zatem. Poczekaj tylko chwilę, przyniosę ci inny strój i tobolek. Wybacz, ale w tej chwili wyglądasz stanowczo zbyt pięknie, aby wypaść przekonująco w roli uciekającej przed wojenną zawieruchą wieśniaczki.

* * *

Kiedy dotarli do obozowiska, zmierzchało. Musieli zrobić spore kółko, aby podejść od północy, a nie od strony miasteczka i wojskowych posterunków. Z początku nikt nie zwrócił na nich większej uwagi. Wśród szalasów panował ruch, beczało bydło i trzoda, biegały gołe dzieciaki o szkieletowatych nogach i wydętych brzuchach. Nastoletni chłopcy trzymali się na uboczu. Obsiedli skałki na krawędzi traktu i popatrywali w stronę widocznych w oddali dymów

żołnierskich ognisk. Większość z nich milczała, co nie pasowało do ich wieku.

– Zobaczylaś, co chciałaś? – zapytał Outis.

Wiedział, że o ile jego gęba nie wyróżnia się na tle innych – ospowatych, spalonych słońcem, wymęczonych – o tyle odmienności Heleny nie zdołają ukryć najbardziej zgrzebne szaty. Mężczyźni już zaczynali rzucać jej spojrzenia, jakby lekki chód zdradzał, że pod za dużym płaszczem kryje się coś soczystego i słodkiego, zgoła niepodobnego do ich uwiędniętych żon i córek.

Królowa pokręciła głową.

– W każdym razie nie stójmy tak – mruknął rozbitek. – Nie chcemy...

Urwał. I tak było już za późno. Zauważył, że ważące dobre cztery garnce babsko idzie ku nim krokiem wróżącym kłopoty. Do nagiej, masywnej piersi kobieta przyciskała olbrzymie niemowlę.

– Kochanieńka! – zawołało. – Kochanieńka! Tak, ciebie mam na myśli. Ty, co tak stoisz jak królowa we dworze. Jesteś tu nowa, co nie? Pewnie, że jesteś. Nie kojarzę twojej słodkiej buźki. A znam wszystkie buźki w tym chlewie. Rozumiesz, co mówię?

Helena cofnęła się bezwiednie.

– Tak, rozumiem – powiedziała. – Dopiero co przyszliśmy. Mamy za sobą długą drogę i...

– Skąd jesteście?

Królowa otworzyła usta, zamknęła. Pod naporem potężnych cycków ciekawskiej kobiety cofnęła się o kolejny krok.

– Przychodzimy z Dibris, z ziemi Borosa-króla – pospieszył jej z pomocą Outis.

Babsko nawet na niego nie spojrzęło.

– To twój chłop? – zapytało.

– Tak... – Helena zawahała się na mgnienie oka. – Mój mąż.

– Ma jakieś imię?

– Outis.

– Outis? Ha! – Nalanymi polikami wstrząsnął śmiech. – Rodzice go nie kochali, co? A ty?

– Ifigenia – odparła szybko królowa.

– Ifigenia... Ifigenia... Coś mi mówi to imię... Czyżbym znała kiedy jaką Ifigenię? Zresztą mniejsza z tym. Jeśli szukacie żarcia, tu go nie znajdziecie. Bogi wiedzą, że nie mamy go dość dla siebie.

– Nie chodzimy po prośbie.

– O, doprawdy? U waszego Borosa-króla pewnie żarcia w bród, co? Codziennie opychacie się jagnięciną, a na przekąskę przegryzacie mięsem młodych zajęcy? I zboża tam rosą na słońcu, wody nie prosząc? A rzekami płynie ser?

– Dobra kobieto... – zaczął Outis, jednak kobieta zaraz go uciszyła.

– A cichaj, kapcanie jeden, z twoją kobitą gadam!

– Mamy dość, żeby przeżyć – powiedziała Helena. – Nie musisz się o nas martwić.

– O was? Dobrze, kochana, przednie! Ja się wami martwię, nie o was. – Zbystrzała nagle, ogarnęła oboje przybyszów wzrokiem, zmrużyła oczy i wypaliła: – Nie kradniecie aby?

Władczyni zacięła usta, pokręciła głową. Spojrzenie wścibskiej kobiety przeniosło się na Outisa. Po chwili przesunęła się w stronę mężczyzny, a ten nie mógł nie ustąpić przed potężnym cielskiem, dając tym samym oddzielić się od podopiecznej.

– On nie każe ci... no wiesz... za jedzenie?

– Nie! – Helena chwyciła rozmówczynię za ramię i zwróciła ją z powrotem ku sobie. Czuje oczy miejscowej strzeliły w stronę białych dłoni królowej.

– Leptopejo! – zawołał ktoś w tej samej chwili.

Outis obejrzał się, by zobaczyć drobnego młodzieńca o jasnych włosach i zapadniętej piersi.

– Czego tam?

Chłopak zbliżył się pospiesznie.

– Znowu dręczysz nieszczęsnych podróżnych?

– A kto tu kogo dręczy? – zaśpiewała w odpowiedzi. – Tylko się pytam. Kto są, skąd są. Jak człek człeka.

Leptopeja fuknęła, dąsnęła się raz i drugi, lecz widać było, że pod wpływem młodzieńca coś w niej się odmienia. Cielsko jej stało się jakby mniej zwarte i powoli upodabniało do świeżo upieczonej bułki. Na policzki wypełzły rumieńce, oczy rozwarły się szerzej, kąciki ust uniosły.

– Daj im spokój, widać, że umęczeni. Przekonany jestem, że to ani zbójcy, ani mordercy, ani złodzieje. Prawda, przyjaciele?

Outis zaryzykował uśmiech.

– Masz za miękkie serce – odezwała się baba. – W każdym chciałbyś widzieć coś dobrego.

– Nie w każdym. Nie w każdym... No, daj mi chwilkę z naszymi nowymi gośćmi. Zaraz się nimi zajmę.

Leptopeja wyszczerzyła zęby, ukazując wielką czarną dziurę na przedzie. Przez chwilę wyglądało na to, że uszczyplnie młodzieńca w policzek jak pięciolatka. Ostatecznie jednak zamiotła tylko spódnicami i się oddaliła.

– Wybaczcie jej – powiedział chłopak. – Jestem Eurystenes. Chodźcie, siadźcie przy ogniu. Obawiam się, że naprawdę nie mamy za wiele jedzenia, ale odrobina kaszy może się dla was znaleźć.

– Dzięki – mruknął Outis. – Mamy jeszcze własną strawę.

– Twoja żona, jeśli woli, może iść do niewiast. Żyjemy tu marnie, ale nie jesteśmy całkiem niecywilizowani. Tamta część obozowiska przeznaczona jest dla kobiet i dzieci.

– Jeżeli nie robi ci to różnicy, wolałbym zatrzymać ją przy sobie. Wiesz, jak jest. Mężczyzna musi pilnować, co jego.

Usta Heleny drgnęły, jednak zachowała obojętny wyraz twarzy. Tylko drobna iskierka złości przemknęła za taflami zielonkawych oczu.

– Jak sobie chcecie. Jesteście więc z Dibris, dobrze słyszałem? Gdzie to jest?

– Na południowym pograniczu Eolii.

– Na południowym pograniczu Eolii... – powtórzył Eurystenes, siadając przy ogniu, obok dwóch innych młodych ludzi. – Czyżby gdzieś w pobliżu góry Ojte? Piękne, lesiste tereny... Wędrowałem tam kiedyś z ojcem. Był obchodnym skrybą, sprzedawał swój talent królom Ftiotydy, Malidy i Lokrydy. Raz byliśmy nawet na Eubei... Jak zwał się pan, na którego ziemi

mieszkaliście? Nie dosłyszałem wcześniej...

– Boros.

– Hm, imię to jest mi obce.

Outis odchrząknął.

– Może dlatego, że nasza wioska leżała dalej na północy, na równinach. Daleko od niebosiężnej Ojcie.

– Ach, tak. No cóż... – Młodzieniec zwrócił spojrzenie na Helenę. Obdarzył ją uśmiechem. – Tęsknisz za rodzimymi stronami, pani?

– Jak wszyscy.

– Czy ja wiem... Achajowie chyba nie przywiązują się tak do swoich pól i zagród. Wiecznie nosi ich po świecie, wiecznie wojują. Czy twój mąż był na wojnie?

– Nie. Jesteśmy spokojnymi ludźmi.

– Bez urazy, ale nie wygląda na tak spokojnego. – Oczy chłopaka zaiskrzyły.

– Nie boję się użyć pięści, gdy sytuacja tego wymaga – burknął rozbitek. – Jeśli to masz na myśli.

– Mężczyźni! – Zaśmiała się królowa. – Wiecznie chcą się popisywać. Jediną istotą, z jaką mój Outis musiał walczyć, był stary wół.

– Trzymaliście zatem bydło? – zainteresował się Eurystenes.

– Kilka sztuk – odparł Outis.

– Ciekawe.

– Skoro tak sądzisz.

– Tak, tak, w istocie. Czy mógłbym... obejrzeć twoje dłonie, Outisie, hodowco bydła z Eolii?

Mężczyzna wyciągnął przed siebie ręce.

– Oglądaj do woli.

– Tak, oto ręce ciężko pracującego człowieka. – Młodzieniec, ciągle się uśmiechając, ujął jedną ręką łokieć, a drugą nadgarstek gościa. – Hm... I powiadasz, że nigdy nie dzierżyły włóczni ani tarczy?

– Tak ci powiedziała moja żona, prawda?

– Wybacz, nie chciałem cię obrazić. Po prostu... Zwróciłem uwagę, że dziwnie mówisz jak na Eola.

– Dziwnie? – zapytała Helena.

Outis chciał coś odpowiedzieć, ale po namyśle stwierdził, że lepiej trzymać gębę zamkniętą, gdyż siedzący przy ognisku chłopcy wyraźnie nadstawili uszu.

– Tak. Powiedz, pani, czy urodziliście się w tej samej wiosce?

– Nie. Moja rodzina pochodziła z południa. Ojciec przybył z Ozoliańskiej Lokrydy.

– No i to wszystko wyjaśnia, jak sądzę. Mówisz jak Achajka, a tymczasem twój mąż...

Outis wyrwał ramię z uścisku młodzieńca. Przez głowę przemknęła mu myśl o dobytym sztyletu ukrytego w tobołku, który złożył obok siebie na ziemi.

– Męczące staje się to gadanie o gwarach i krainach – powiedział. – Jeśli wszyscy tu jesteście tak ciekawscy, może powinniśmy gdzie indziej poszukać towarzystwa.

– Być może. Obawiam się jednak, że szybko odkryjecie, iż wszyscy ludzie, którym wojna odebrała dach nad głową, są wścibscy. Wszyscy zadają kłopotliwe pytania.

– Ale może inni zadają je wprost. O co ci chodzi, chłopcze? Nikomu nie zawadzamy. Nie jesteśmy złodziejami.

Eurystenes uśmiechnął się po raz kolejny. Popatrzył znacząco na swoich dwóch towarzyszy, którzy unieśli się niechętnie i oddalili.

– Spytałem, czy byłeś na wojnie, bo mówisz trochę jak człowiek północy, a trochę jak jeden z Achajów. Mogło się tak zdarzyć, że człek urodzony w Eolii przejął pewne cechy wymowy swoich achajskich kompanów, jeśli – dajmy na to – spędził z nimi dziesięć lat, wojując w Azji. Wielu wojowników z Eolii, Akarnanii, a nawet Epiru pociągnęło pod Troję pod sztandarami Atrydów. Jednak twoja piękna żona twierdzi, że nie byłeś na wojnie. Zaciekawilo mnie to, obejrzałem więc twoje ramię. I co odkryłem? Prawa dłoń nosi odciski i bruzdy, które mogła zostawić motyka, jednak lewa jest dużo gładsza. Znalazłem na niej wszakże zgrubienia, jakie przez lata noszenia zostawiają paski od tarczy. Zechcesz to wyjaśnić?

– Nie. Powiem ci jednak, że niemądrze postąpiłeś, odprawiając kompanów. Czasem zbyttnia przenikliwość sprawia, że wszystko się paprze. A wówczas lepiej mieć większe towarzystwo. Zapytam cię zatem teraz, co chcesz zrobić. Ty zaś lepiej odpowiedz, że grzecznie nas pożegnasz. I pójdziemy każde w swoją stronę.

– Bardzo malowniczo to ująłeś – odparł młodzieniec. – Jednak groźby nie będą potrzebne. Nie wiem, kim jesteście ani jaką macie korzyść w tym, żeby podawać się za kogoś, kim na pewno nie jesteście, lecz odprawiłem moich przyjaciół nie bez powodu. Chciałbym wam coś pokazać. Bez szumu, bez awantury. A wy opowiecie o tym, komu uznacie za stosowne. Co wy na to?

Outis poczuł na łokciu muśnięcie kobiecych palców. Oczy Heleny osadziły go na miejscu.

– Zgadzamy się – powiedziała. – Przyszliśmy tu tylko dlatego, że chcieliśmy poznać prawdę. Zobaczyć na własne oczy.

– Znakomicie. – Eurystenes wstał. – Chodźcie.

Z pobliskiego wozu wziął kilka pochodni, zapalił jedną i ruszył przez obozowisko. Poszli jego śladem. Obróciło się za nimi ledwie kilka głów. Reszta ludzi zgromadzonych przy szałasach i paleniskach pozostała obojętna.

Eurystenes wyprowadził przybyszów na meandrującą ku północo-zachodowi ścieżkę. Dłuższy czas maszerowali w milczeniu pośród skał, najpierw w dół, potem lekko pod górę. Niebo nad ich głowami było czarne, nie świeciły gwiazdy. Kiedy ucichły odgłosy obozowego życia, a ostatnie światła rozmyły się w mroku, otoczyła ich ciemność – nachalna, natrętna, lekce sobie ważąca blask pochodni.

Rozbitek posłyszał odległy huk, serce przyspieszyło mu w piersi. Bezwiednie zmniejszył odległość dzielącą go od przewodnika. Wyczuł też – blisko – ciało pięknej żony Menelaosa. Nie całkiem go dotykała, a mimo to wychwycił dreszcz, który ją przeszedł. Przełknął ślinę.

Uderzył w nich powiew wiatru, huk przybrał na sile, powietrze nabrało mokrego, słonawego posmaku. Ciemność rozwarstwiła się, rozdzieliła na trzy przestwory. „Ziemia, niebo i morze” – uświadomił sobie Outis.

Przed idącymi wykwitła plama blasku, w której majaczył wzgórek dziwnego kształtu i krzątające się przy nim ludzkie sylwetki.

Helena z sykiem wciągnęła powietrze. Nie wiedzieć kiedy chwyciła Outisa za ramię, przylgnęła do towarzysza.

– Co? – zapytał szeptem.

Eurystenes obejrzał się ku przybyszom. Na jego ustach igrał dziwny uśmiezek.

Z każdym krokiem czekające na ich drodze cienie stawały się coraz wyraźniejsze. Wkrótce we wzgórku dało się rozpoznać wysoki na dobre trzy łokcie, a długi na piętnaście albo dwadzieścia kroków stos. Rozbitek zrozumiał, co wstrząsnęło władczynią, gdyż wreszcie i on zobaczył, że przymę utworzono z ciał... Jeszcze krok, jeszcze dwa kroki i rozpoznał, że były zbyt małe jak na dorosłych ludzi.

– Pierwsi pomarli starcy – powiedział chłopak. – Teraz przyszła kolej na dzieci. Zabija je głód, choroby, wycieńczenie... A z północy nadciąga mór.

Zatrzymali się nieopodal stosu. Kręcący się przy nim ludzie – kulawy mężczyzna i pryszczaty wyrostek – zaprzestali pracy. Popatrywali beznamiętnie to na przybyłych, to na niebo.

– Wasi bogowie, Matka Ziemia i Ojciec Morze, odwrócili się od nas – rzekł Eurystenes. – Lepszy już dorycki Bóg Niebo. On przyjmie zmarłych łaskawie, oczyści ich ciała z jadu. Nie możemy ich pochować zgodnie z obyczajem, rankiem więc spalimy ich tutaj. Niech ludzie z okrętów w zatoce, z miast i wiosek, nawet dalekich, zobaczą ten znak.

– Próżny to pokaz – odparł Outis. – Co chcesz udowodnić? Że w czas wojny giną dzieci? Gina. Gina wszędzie, ciągle, bez przerwy...

Helena ścisnęła mu rękę.

– Cicho – poprosiła. – Nie mów...

* * *

Przez całą drogę powrotną Helena była milcząca, zamyślona. Szła z rękami założonymi na piersiach, mocno owinięta płaszczem. Nie patrzyła pod nogi. Potykała się co i raz, aż Outis postanowił wziąć ją pod ramię. Umknęła.

W Koryncie panowała cisza głębokiej nocy, nawet psy nie ujadły. Robotnicy spali u stóp murów, żołnierze grali w kości. Nie poznali królowej, a Outisa, którego wszyscy zdawali się znać i lubić, opędzłowali jedynie znaczącymi spojrzeniami i obscenicznymi gestami. Przyjął to z godnością.

Minąwszy strażę, chciał odprowadzić towarzyszkę do pałacu, jednak nie pozwoliła, by to zrobił.

– Nie – powiedziała po prostu i pociągnęła go do świątyni Bogini Ziemi.

Skryli się w tej samej komnacie ofiarnej, w której rozmawiali wcześniej. Helena bez problemu znalazła kaganek i krzesiwko. Outis pomyślał, że musiała tu przychodzić od dłuższego czasu, być może odkąd tylko przybyli do miasta.

Gdy już uporała się ze światłem, przysiadła na kamieniu ofiarnym, mężczyzna zaś stał na środku komnaty jak kołek.

– Sądzisz, że dałbyś radę zdobyć skądś bukłak wina?

– O tej porze? Raczej nie.

– Szkoda. Przydałoby mi się...

– Chodzi o te dzieci, prawda?

– Mhm.

Zapatrzyła się na ścianę. Wilgoć lśniła. Outis odchrząknął.

– Nigdy nie miałaś własnych? – zapytał.

– Nie. To dopiero złośliwość bogów, co? Bezpłodna suka. Nieważne, ile psów ją pokryje, i tak nie wyda na świat potomstwa.

Rozbitek poczuł, że spod zarostu wypęła mu na policzki rumieniec. Postąpił krok bliżej, przykucnął.

– Nie powinnaś tak o sobie mówić.

Uśmiechnęła się słabo.

– Zapomniałam – powiedziała. – Ty przecież jesteś czuły.

– Nie jestem.

– Nie... Jesteś tak samo okrutny jak Menelaos-król i Aleksandros-król. Ale ja chyba lubię okrutnych mężczyzn. Bo jestem suką, a sukę należy karcić. Wiesz, co jest jeszcze większą złośliwością bogów? Nie sypiałam z żadnym innym mężczyzną poza tymi dwoma. A odkąd Menelaos zachorował, moje łóżko jest puste. Tak, Outisie, człowieku znikąd, od lat żyję jak dziewica. Mimo to przekupki patrzą za mną złym okiem, służki gadają za plecami. Nazywają mnie kurwą. Czemu nikt nie nazwie kurwą Menelaosa albo Aleksandrosa? Czemu nikt nie nazwie kurwą ciebie? Achajowie sypiają z kim popadnie, jednak tego nikt nie gani. Przeciwnie, wszyscy chwalą, że są tacy jurni, tacy mężczyźni...

Umilkła. Wzięła głęboki oddech.

– Przepraszam. Rozklejam się. Masz rację, to przez widok ciał dzieci. Baby mają słabość do dzieci. Nie chciałbyś usiąść tu przy mnie?

Popatrzył za dłonią wskazującą miejsce na kamiennym ołtarzu. Przełknął ślinę. Mrowienie, które już nauczył się kojarzyć z lakońską królową, rozlało się po jego podbrzuszu, spłynęło w dół.

– To chyba kiepski pomysł – mruknął.

Mimo to zrobił dwa kroki. Usiadł na samej krawędzi kamienia.

– Umiesz być czuły, Outisie? Byłeś czuły dla swojej żony?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Nigdy jej nie uderzyłeś...

– Tego raczej nie można jeszcze nazwać czułością.

– Tak, ale twoje oczy, gdy o tym mówiłeś... Nie jesteś dobrym człowiekiem, co do tego nie mam wątpliwości. Stałeś się twardy jak wszyscy mężczyźni. Nie obchodzi cię los maluczkich.

– To nieprawda. Każdy ma prawo żyć długo i być szczęśliwy. Pastuch, żeglarz, król... każdy. Wierzę w to. Po prostu... niewielu jest to dane.

– Nie ma złych ludzi, są tylko złe uczynki, to chcesz powiedzieć? Czasami trzeba wybrać mniejsze zło?

– Nie, to wszystko gówno, wymówki. W tym się nie mylisz. Po prostu uczymy się z tym żyć. Z tym, jacy jesteśmy, z tym, co w nas siedzi.

– Wojna czyni was, Achajów, okrutnymi. Wojna i wasz drogi Bóg Morze.

– Nie pamiętam wojny. Pamiętam tylko...

– Chryzy?

– Tak.

– Co się tam wydarzyło?

– Co się wydarzyło? Co się wydarzyło... Dzieci, kobiety... Nie sądzę, żebyś chciała o tym słuchać.

– Nie. Masz rację. Wolę wierzyć, że umiesz być czuły. Umiesz? Dla mnie? Będziesz dla mnie czuły?

Outis popatrzył w oczy barwy morza. Zarumienione policzki, rozchylone usta... Kiedy znalazła się tak blisko? Kiedy zdążyła oprzeć mu głowę na ramieniu? Kiedy jej dłoń zawędrowała do skraju jego tuniki?

Z szumem w uszach, z rozdudnionym sercem i lodowatymi koniuszkami palców uniósł się z miejsca. Wiedział, że nawet przez odzienie wyraźnie widać, jak silnie na niego podziała. Czuł się jak szczeniak.

– Lepiej już pójde – powiedział.

Nie pozwoliła mu. Poderwała się, pchnęła go z powrotem na ołtarz – upadł, zaskoczony – zrzuciła z siebie płaszcz i szatę. Jej twarz płonęła gniewem.

– Nie pójdziesz – odparła i spoliczkowała Outisa.

Za pierwszym razem tylko sapnął. Za drugim poczuł, że coś gorącego miota mu się w brzuchu. Trzeciego uderzenia nie było, bo chwycił Helenę za rękę. Mocno, aż pisnęła. Potem, nim na dobre doszło do niego, co robi, zamachnął się i trzasnął ją wierzchem dłoni w twarz.

Krzyknęła, skoczyła na niego. Wpiła się ustami w jego usta.

Oszołomiony opadł na plecy. Na języku czuł miedziany posmak. Jeszcze coś go paliło, jeszcze wykręcało trzewia, chwycił więc królową – jedną ręką w pasie, drugą za włosy – i przycisnął twarzą do ołtarza. Westchnęła, uniosła biodra. Kolana podciągnęła do góry, rozsunęła na boki.

Zamarł. Cofnął się o krok. Serce huknęło w jego piersi, raz, drugi. Potem Helena obróciła się, złożyła nogi. W oczach miała łzy.

Wtedy usiadł przy niej. Delikatnie, jak najdelikatniej pocałował zdarte kolano. Pozwolił ustom powędrować wyżej, przy pępku zawrócił. Kępka kręconych czarnych włosów połaskotała go w nos, poczuł słoną wilgoć na języku.

– Co robisz? – westchnęła Helena.

Uniósł na chwilę głowę.

– Jestem czuły – odparł.

Po jakimś czasie przesunął się wyżej, tak aby znaleźć się z nią twarzą w twarz. Ułożyli się na boku. Zarzuciła mu nogę na biodro. Widząc, że czeka, nasunęła się na kochanka. Wystarczyło kilkanaście, może kilkadziesiąt powolnych, płynnych ruchów, a wstrząsnął nią dreszcz i wybuchnęła pełnym rozkoszy śmiechem.

* * *

„Jeszcze tylko chwilkę – myślała Helena. – Zasłużyłam na to. Należy mi się złudzenie, że ciąg dalszy nigdy nie nastąpi, że będzie tylko to”.

Odegnęła stłoczone na krawędzi świadomości czarne sumienia – boginie błędów – i pieściła wzrokiem ciało mężczyzny drzemiącego na ołtarzu Matki Ziemi: szorstką, zbrązowiałą skórę, siwo-rude włosie porastające pępek, krocze, przedramiona i nogi, już skurczoną męskość z lśniącą kropelką nasienia na czubku, wklęsniętą w jednym miejscu klatkę piersiową, blizny na rękach i boku. Szczególnie podobały jej się uda oraz łydki znamionujące wytrawnego piechura i pływaka – zarówno umięśnione, jak i smukłe, choć ich właściciel był niewysoki. Z lubością przypatrywała się też niedużym, ładnie wyrzeźbionym stopom. Byłyby idealne, gdyby nie półokrągła, poszarpana blizna zaczynająca się u krawędzi prawego śródstopia, przecinająca kostkę, a potem mijająca goleń i wgryzająca się w mięsień.

Helena zmarszczyła brwi. Widok blizny i poczucie ciepła wypełniającego podbrzusze obruszyły jakieś wspomnienia. Śniła coś niedawno albo marzyła... Laertes. Te nogi, które tak jej się podobały. To były nogi Laertes. Ale blizna...

Kobieta wyprostowała się i wpatrzyła w twarz mężczyzny. Delikatna łysina, rysy odrobinę achajskie, lecz nie całkiem. Jak mogła go nie poznać? Z powodu oczu, były inne, a przecież właśnie one stanowią istotę człowieka. Mimo to...

– Odysie... – szepnęła.

– Hm? – Poruszył się leniwie.

– Nic, nic. Śpij.

– Zdawało mi się, że wołałaś moje imię... – wymamrotał.

– Tak. Chyba tak.

Odyseusz-król z Itaki, mąż Penelopy, ojciec Telemacha, syn mężczyzny, w którym kochała się jako podłotek. Chłopiec, u którego boku już kiedyś leżała naga, choć wtedy nie miał odwagi wziąć tego, co mogła mu dać. Odrzucony. W kilka dni po tym, jak wyznał jej miłość, a ona go odepchnęła, pojechał z Laertesem i Tyndareosem na polowanie i poharatał go wielki dzik. Została mu blizna – ta blizna, niepowtarzalna, przypominająca łuk z nałożoną na cięciwę strzałą. „Łuk Odyseusza”, jak śmiał się Laertes.

„To nic nie zmienia – pomyślała Helena. – Nic a nic. Zupełnie nic”.

Odczuwała jednak niepokój. Myśli zbłądziły na niebezpieczne ścieżki. Albo jej się wydawało, albo coś zaszemrało w czeluściach ziemi. Bóstwo było blisko. Przeraziła się, co może oznaczać to ciepło w brzuchu i te szmery. Co, jeśli ona, uważana za niepłodną, właśnie poczęła dziecko, syna lub córkę Odyseusza?

Spróbowała odpędzić tę myśl, lecz było za późno. I wtedy strach przemienił się w spokój. Wiedziała, co musi zrobić.

Wstała, oddarła kawałek materiału od tuniki kochanka. Dźwięk zbudził mężczyznę, który popatrzył na nią zdziwionymi, zaspanymi oczami.

– Co robisz?

– Strasznie mnie upaprałeś – odparła. Uśmiechnęła się, a widząc, że wargi Odysa wykrzywia grymas, podeszła i go pocałowała. – Wybacz, ale ty w podartej tunice nie zwrócisz niczyjej uwagi, ja zaś musiałabym się gęsto tłumaczyć, gdyby ktoś mnie przyłapał w poszarpanej sukni, potarganą i pachnącą mężczyzną.

Łysiejąca głowa bujnęła się na prawo i lewo. Pan Itaki wstał, odwrócił wzrok i zaczął się ubierać.

– Wracasz więc do pałacu? – zapytał.

– Prosto do męża.

– I... to tyle?

Podeszła do niego, objęła od tyłu. Stęzał. Pocałowała go w kark. Później oczyściła się do końca, założyła spódnicę i bluzkę, owinęła płaszczem.

– Zostawiam ci kaganek – powiedziała. – Trafię do wyjścia nawet po ciemku.

Wymknęła się szybko, wróciła do starego pałacu, który został zajęty przez dwór. Było bardzo późno, domownicy już spali. Naos wpuścił ją bocznymi drzwiami. Najchętniej poszłaby prosto do Menelaosa, jak powiedziała Odyszeuszowi, lecz wiedziała, że nie miałyby to sensu.

– Jak się miewa król? – zapytała rządcę. – Czy bóle mu przechodzą? Gorączkował dziś jeszcze?

– Trochę.

– Naosie, zrobisz coś dla mnie?

– Tak, pani?

– Naszykuj na jutro wywar, który go otępi, uśmierzy ból, ale nie uczyni nadto sennym. Do tego przygotuj też coś, co wzbudzi w moim mężu żądzę. Wiem, że potrafisz.

Wiekowy niewolnik patrzył na nią długo, nim odparł:

– Tak, pani.

Rozstali się i Helena poszła do swoich komnat. Przystąpiła do przygotowywania sobie kąpeli, czym zbudziła służkę. Dziewczyna podeszła, ziewając, wytrzeszczając oczy.

– To ty, pani? Gdzie byłaś? Szukałyśmy cię.

– W świątyni, spełniałam ofiary.

Na chwilę zapadła cisza. Służąca przyglądała się krzątaniu królowej, robiąc niepewną minę. Wreszcie zapytała:

– Naszykować ci kąpiel, pani?

Władczyni zwalczyła ochotę, żeby ją odprawić. Nie chciała budzić podejrzeń, kiwnęła więc głową, pozwoliła się rozdziać, umyć, namaścić olejkami. Dopiero wówczas powiedziała dziewczynie, by wróciła do łóżka. Sama również się położyła.

Długo nie mogła zasnąć. Patrzyła, jak niebo za oknem zmienia kolor. Kiedy płatanina myśli wreszcie okrzepła w sny, chmury przybrały już szarobłękitny odcień, a z miasteczka napłynęły pierwsze dźwięki krzątania.

* * *

Wodniste oczy Naosa nie miały żadnego konkretnego wyrazu, przypominały paciorki bardzo starego naszyjnika. Gdyby tylko nie wpatrywały się w nią tak długo, nieustępliwie. Wiedziała, że Egipcjanina dziwi jej zachowanie, że przeczuwa w nim jakieś szaleństwo. Cóż... szaleństwo już się wydarzyło.

– Czy mąż mój jest w swoich komnatach? – zapytała służek plotkujących w kobiecych izbach.

– Tak, pani.

– Zapytajcie go przez sługi, czy mnie przyjmie. Potem przyjdźcie do łaźni, aby pomóc mi się

przygotować. Zamierzam nawiedzić go w łożnicy.

Splószone spojrzenia.

– Tak, pani.

„No to się zaczyna” – pomyślała Helena, wspominając czasy, gdy Menelaos wbrew obyczajowi wpadał do kobiecej części pałacu, rozpędzał rozgęgane niewiasty i brał ją tam, gdzie zastał. Nigdy nie pytał, czy ma ochotę, zresztą i tak nie potrafiłaby mu odmówić. Kochali się, pili wino, a potem ruszał na kolejną wojnę. Bywało, że ona pędziła za nim, nachodziła go nocą w namiocie. Klął wtedy, marudził, że chutliwa żona nie da mu się wyspać przed bitwą. I rznął ją tak, żeby cały obóz słyszał.

– Pani?

Królowa potrząsnęła głową.

– Tak, Naosie?

– Mąż przyjmie cię w łożnicy.

Olejki, szaty, orszak – wszystko takie nierzeczywiste. Wreszcie wyniszczone oblicze Menelaosa, pytający wzrok przyćmionych magicznymi wywarami oczu, wilgotne usta, kobierce.

Władczyni zmusiła się do uśmiechu, dała znak służącym, aby zaczęły odwijać kokon, w który z taką pieczołowitością dopiero co ją zawinęły. W komnacie było ciepło, parno, mimo to stwardniały jej sutki, brzuch i ramiona okryła gęsia skórka. Menelaos chrząknął, poprawił się na łożu. Służące jemu również pomogły się rozebrać. Następnie cofnęły się, ale Helena wiedziała, że będą patrzeć. Dobrze.

Podeszła do łoża. Dotknęła zapadniętej piersi męża, dając znak, aby się położył.

– Jak się dziś czujesz? – zapytała.

– Lepiej – wydyszał. – Mocniej. Skąd ta wizyta, Heleno?

– Byłam wczoraj w świątyni Bogini Ziemi. Słyszałam jej głos. Pamiętasz, jak mówiłeś, że potrzebujemy potomka? Wróżby są przychylne.

– Po tylu latach... – zaczął.

Położyła mu palec na ustach. Siadła na nim okrakiem, odwinęła kobierce. Chwyliła członek, który spoczywał na udzie niby wielki, czerwony wąż. Menelaos syknął.

– Ciii... – zamruczała i poczęła go pieścić. Ostrożnie, delikatnie, powoli.

Atryda jęknął, skrzywił się, pot wystąpił mu na czoło, oczy błyszczały. Złapał piersi żony, dotknął jej boków, pośladków. Miał sztywne palce i zimną skórę – jak coś martwego.

Potężny członek wreszcie stwardniał.

„Bogowie, jestem zupełnie sucha” – przemknęło przez myśl Helenie.

Spróbowała się na niego nadziać, jednak nie była w stanie, popłuła więc w dłoń, natarła nabrzmiały członek, spróbowała znów. Na nic. Cofnęła się, wzięła go do ust, wymasowała. Obróciła się na plecy, ciągnąc Menelaosa na siebie. Stęknął, pchnął, nie trafił. Naprowadziła go i wreszcie wbił się w nią. Zaczął poruszać biodrami, niezgrabnie, za mocno. Zacisnęła wargi, żeby nie wydostał się okrzyk bólu. Suche, twarde coś, co szorowało wewnątrz jej ciała, również dobrze mogłoby być kawałkiem drewna.

Król zasapał się, pchając coraz mocniej. W końcu nie wytrzymała, jęknęła. Zatrzymał się natychmiast.

– Jeszcze, mężu mój – wydusiła, opierając dłonie i łydki na jego pośladkach. – Jeszcze.

Badył w jej wnętrzu znów się poruszył. Kolejne pchnięcia, jedno za drugim, jedno za drugim. Aż z ust Menelaosa uleciało:

– Aaa-a. – Potem, za chwilę, jeszcze raz, dłuższe: – Aaa-aaa.

Wreszcie zapadło ostateczne „A”. Wraz z nim przyszło uderzenie gorącego nasienia. Wyzuty z resztek sił, spocony, śmierdzący mężczyzna opadł na Helenę. Westchnął przeciągle. Zadygotał.

ROZDZIAŁ XVII

Koła skrzypiały. Skrzyp. Zgrzyt. Skrzyp. Zgrzyt. Wnętrze wozu śmierdziało, czuł to wyraźnie. Wszystkim po trochu: krwią, potem, spizem, przejrzałym serem. I krowim gównem. Tak, nade wszystko krowim gównem.

Skrzyp. Zgrzyt.

Na każdym wyboju pojazd podskakiwał. Rozlegało się dzwonienie, jęki. Głowę Pyladesa wypełniał ból. Myślał sobie, że może tak naprawdę jest pod wozem, nie na wozie. Myślał sobie, że może wół obsranym kopytem stanął nie na kamieniu, lecz na jego czole.

Skrzyp. Zgrzyt.

Hełm z jakiegoś powodu stał się niemożliwie ciasny. Pod osłoną prawego policzka i wyżej, w okolicy skroni, coś się załęgło, coś szorstkiego. Może siano zmieszane z błotem? Może wyschnięty obornik? Jednak młodzieniec z jakiegoś powodu nie mógł sięgnąć, by rozsypać rzemienie. Zdawało mu się, że jeśli wykona najmniejszy ruch, choćby uniesie rękę, od razu się porzyga. A potem go te rzygowiny zaduszą.

Wóz podskoczył.

Skrzyp. Zgrzyt.

– Otwórz oczy. Otwórz oczy. Słyszysz mnie?

Ostrożnie rozchylił powieki. Blask. Niebo z płynnego ołowiu. Zamknął oczy. Jęknął – przeciągle, z głębi potłuczonej piersi.

– Żyjesz. Dobrze. Dobrze, mój piękny chłopcze. Żyjesz.

– Hełm...

– Co?

– Hełm... gniecie...

Dotyk palców. Szarpnięcie. Fala bólu, mdłości.

– Ciii. Rzemień. Zapiekl się, musiałem zerwać. Dobrze, że był naruszony. Teraz spokojnie. Zdejmuję...

– A...

– Bogi...

– Co? Co jest? Oreście, co to jest? Słabo mi. Będę rzygał. Oreście, będę rzygał...

– Ciii. Nie ruszaj się. Tylko się nie ruszaj. Nie ruszaj się. Będzie dobrze.

Obcy głos:

– Co tam robisz, księciuniu? Hę?

– Potrzeba mu lekarza. Albo chociaż zagotujcie trochę wina i dajcie czyste szmaty, a go opatrzę. To Pylades, syn Strofiosa-króla z Fokidy. Lepiej, żebyście nie pozwolili mu umrzeć.

Ranny otworzył oczy. Zatrzepotał powiekami.

– Będzie dobrze – wymamrotał. – Tak jak powiedziałaś. Będzie dobrze.

* * *

– Co? Umarł? – zapytał Eruthros-król.

Orestes spojrział na niego. Barczysty rudzielec zarechotał.

– Nie krzyw się – powiedział. – Siadaj. No, siadaj, drugi raz nie zaproszę.

Księżę wspiął się na kozioł wozu ciągniętego przez dwa woły.

– Twój krewniak? Wszystko jedno zresztą. Pchnąłbym człowieka do Fokidy... albo i do twego stryja, Menelaosa-króla, bo stary Strofios to kutwa, kurwa, w dodatku lubi po hetycy, a Atrydzi zawsze słynęli ze szczodrości... Niestety, rozumiesz, górale rozpełzli się po okolicy, szlaki niepewne, morze burzy się już, idzie jesień... No, nie będę łgał, łatwiejszy mi zysk sprzedać cię Dorom, choćby dali mniej. Nie bierz tego do siebie.

– Nie biorę.

– Niepotrzebnie żeś się pchał w nie swoje sprawy. Z Laodokosem-królem... – rudzielec sapnął, obrócił się, wskazał kciukiem nadzianą na włócznie głowę – ...o, tym... miałem osobistą sprawę. Klearchos zaś się zawziął. Dobry to wojak, szanuję go, ale gdyby nie ty, nie zdołałby mi się wymknąć. I kto wie, może twój krewniak, syn Strofiosa, nie dostałby maczugą w głowę. A ty może byś radośnie wędrował w swoją stronę, podczas gdy ja kłóciłbym się z Dorami, żeby dali za Klearcha więcej, niż on wart. A tak... – Wzruszył ramionami.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że jesteś zdrajcą, Eruthrosie. Układasz się z Dorami, sprzedajesz im braci Achajów.

– E, zaraz zdrajca. Układ miał i Laodokos. Zapłacił góralom, coby Ojnejon zostawili w spokoju. Można by wręcz powiedzieć, że zdrajcę pokarał.

– Nie boisz się, że Dorowie raz wam przepuścili, bo chcieli skupić się na Naupaktos, ale teraz sobie o was przypomną?

– Gdzie tam. Oni czegoś bardzo na Achajów z Półwyspu cięci. Gnają, jakby im co w dupę wlało. A wódz ich, Kresfontes Heraklida... Ha, to wariat! Ludzi po wsiach rozsyłał, coby jakiejś wieszczki szukali. Zakochał się czy jak? Kolejny o babę wojnę robi?

– Słyszałem, że walki są też na północy, że wielka jakaś siła pojawiła się u granic Eolii.

– A, tak. Wojska Temenosa, Kresfonta brata. Zda mi się, że po zdobyciu Hellajów rozdzielili wojsko: jeden poszedł na południowy wschód, ludnymi ziemiami wzdłuż wybrzeża, drugi postanowił wypuścić się dalej na wschód, ku Fokidzie i Beocji. Zdaje się, że nie dość mają okrętów i część ludzi chcą przetrzymać lądem, przez Korynt. No, to się mogą naciąć. Fokidzki Strofios już szykuje przymierze z orchomenejskim Jalmenosem. Podobno dołączył do nich także Achilles, wiodący nie tylko Myrmidonów z Azji, lecz także eubejskich ochotników.

– Achilles?

– Ano Achilles, którego wołają Zguba i Mężobójca, twego ojca towarzyszył spod Troi.

– To być nie może. Achilles nie żyje.

– Ja tam nie wiem, na własne oczy go nie widziałem. Choć chętnie bym popatrzył, jak staje przeciwko Temenosowi. Mówią o nim, znaczy się o tym Temenosie, że ma nadludzką siłę i chodzi ubrany w skórę ogromnego lwa, którego sam ubił gołymi pięściami. Dziad jego,

Herakles, miał być pono synem Boga Nieba, dlatego Dorowie tak go czczą.

– Coś mi to pachnie gównem, a konkretnie gównoprawdą.

Eruthros zarżał.

– Masz słuszność, masz słuszność. Ale każdy mąż, który gotów jest rozpowiadać o sobie takie pierdolety, musi być wart zobaczenia.

– Cóż, może się zdarzyć, że ujrzę go przed tobą.

– A widzisz, każda sytuacja ma swoje zalety. I patrz, tymczasem zajechaliśmy już niemal na miejsce. Oto i Naupaktos przed nami.

Orestes wstał, zmrużył oczy.

– Co jest? – mruknął.

– Co? Co takiego?

– Co oni tam, walczą z kimś?

– A, tak. Miasto wzięli, ale po prawdzie z zamkiem im się nie udało. Stary Andraimon-król obwarował się tam i nie popuści. A oni też nie chcieli wykrwawiać się na murach cytadeli. Na porcie im zależało, na statkach.

– Ale statków nie ma...

Tym razem i Eruthros podniósł się z kozła. Przysłonił oczy dłonią, mimo iż nie było słońca.

– A niech mnie – sapnął. – Odpłynęli. Zasańcy wzięli i odpłynęli... Durnie. Patrz, jakie chmury wiszą nad zatoką. Od tygodnia nic, tylko sztormy.

* * *

Orestes dochodził do wniosku, że wszystkie więzienia wyglądają tak samo. Takie same ściany – z grubsza ciosane w skale – taka sama kratka z drewnianych belek, taka sama przegniła słoma, taki sam otwór do srania. No i, ma się rozumieć, taki sam smród. Właściwie mógłby nigdy nie opuszczać Myken.

Tym razem jednak nie spędził w celi tak dużo czasu. Zaledwie dzień po tym, jak Eruthros przekazał go Dorom, za kratą błysnęła pochodnia. Klucz zgrzytnął w zamku. Weszło dwóch strażników. Zaczął się rytuał, który już raz przerabiał: szarpnięcie za ramiona, zdzieranie tuniki z grzbietu, popychanie, polewanie zimną wodą, obcieranie szmatami. Goły, z wciśniętym w ręce zwitkiem czystych ubrań – nie kłopotał się przesłanianiem nim krocza – został wyprowadzony do komory, w której kręciło się kilku zbrojnych. Tam dano mu chwilę na założenie nowego odzienia.

Podszedł do niego mężczyzna bez czubka nosa i z rozciętą górną wargą.

– Wieszcz Karnus chce się z tobą widzieć, Achaju – powiedział, przeciągając i wykoślawiając samogłoski w charakterystyczny dla Dorów sposób.

– Świetnie. Patrzenie nic nie kosztuje.

– Mądrała. Chodź.

Wyszli z więzienia znajdującego się na skraju miasta. Dołączyło do nich dwóch żołnierzy. Pomaszrowali ulicami noszącymi jeszcze ślady walk: wyłamane i byle jak wstawione drzwi, plamy sadzy i krwi, potłuczone skorupy. Ludzie kręcili się, załatwiali swoje sprawy, handlowali, lecz czuć było od nich strach.

Karnus czekał w wieczerniku dużego kupieckiego domu. Rozsiadł się na klinie jak panisko, obsługiwało mu dwóch efebów. Pił wino, wrzucał do ust oliwki. Nie wyglądał zbyt okazale – kiedy wstał powitać przybysza, okazało się, że sięga mu ledwie do mostka. Miał płowe włosy, długie z tyłu, przerzedzone na przedzie, i szarawą, byle jak ułożoną brodę.

– Doprawdy, olbrzym z ciebie – zamruczał. Głos, niski, ciepły i wibrujący, nie pasował do naczyń, z którego się wydobywał. – Silna musi być w tobie boska krew achajskich królów.

Orestes uśmiechnął się i wyciągnął rękę do wieszca. Stojący obok mężczyzna o poharatanej twarzy chwycił go za przedramię, lecz na znak Karnusa cofnął się, dzięki czemu książę mógł dotknąć, a potem nieco unieść porośniętą słabowitym zarostem brodę rozmówcy.

– Ty zaś jesteś malutki. I mówisz zupełnie inaczej niż twój przystojny przyjaciel, który był uprzejmy odebrać mnie z lochu. Nie urodziłeś się w Dorydzie, prawda?

– Nie. Pochodzę z Akarnanii, tak się składa. Siądźmy jednak. Napij się wina, książę, zjedz coś.

Drobny człowieczek obrócił się wokół własnej osi, zamachał rękami. Żołnierze cofnęli się pod drzwi. Chłopcy przestawili kliny, donieśli wino i przekąski. Orestes usiadł, Karnus wyciągnął się naprzeciwko.

– Skosztuj wina. Dobrze?

– Nieźle. Czterolatek? Choć nie tak dobre jak wina sprowadzane z wysp Azji, z Chios i Lesbos.

Wieszczek wziął łyk, wydał policzki i przez chwilę w zamyśleniu przelewał w ustach trunk.

– Masz rację – powiedział, przełknąwszy. – Mogłoby być mniej gorzkie. Choć i tak o niebo jest lepsze od tego, co pędzi się w górach Dorydy.

– Za sucho tam. Na wyspach bryza od morza niesie wilgoć, przyływ nanosi muł, który ubogaca glebę. Częściej też zmienia się pogoda, słońce nie pali cały czas. Dlatego wino jest lepsze.

– Wnoszę, książę, żeś nie tylko waleczny w czas wojny, ale i gospodarny w czas pokoju.

– Dzięki. Ale chyba nie sprowadziłeś mnie tu, żeby gadać o winie.

– Wino – temat dobry jak każdy inny. Prawdę rzekłszy, chciałem cię sobie obejrzeć.

– I co? Zadowolony?

Karnus uśmiechnął się, a zamiast odpowiedzieć, rzekł:

– Sława cię wyprzedza. Nawet do Dorów dotarły wieści o czynach Atrydów. W snach i wizjach widzę was, wasze twarze, dłonie... Dłonie we krwi. I ty masz krew na rękach, co, książę? Świętą krew Achajów. Bogowie was sobie upatrzyli, naznaczyli...

– Nasi bogowie czy wasi?

– Są tylko jedni bogowie nad wszystkimi ludami.

– Hm. Ciekawe. Mimo to, jak słyszałem, nie krępujecie się rabować świątyń naszego Boga Morza. A wszak jest on starszy od waszego Boga Nieba. Przynajmniej my tak wierzymy.

– My też. Niebo i Morze są braćmi, a choć Niebo jest młodszy, to jednak mocniejszy. Nadszedł czas, aby objął panowanie.

– Zesłał więc na was suszę i głód, i mór, a wy w zamian poszłicie czynić jego wolę. Muszę przyznać, że logika ludzi bogobojnych czasem mnie przerasta. Sam nie mam wielkiej czci dla

bogów. A co do mojej krwi... Kiedy ostatnio sprawdzałem, była czerwona. Wątpię, aby było w niej co świętego. Przeciwnie.

– Co masz na myśli?

Usta Oresta wykrzywił grymas.

– Coś jest z tobą nie tak, prawda, Karnusie? Powiedz, jak to było, że trafiłeś do górali? Urodziłeś się inny, więc rodzice wynieśli cię w góry, abyś umarł? Znaleźli cię pasterze? A może wygnano cię później, jako dziecko, młodzieńca?

Wieszczek zeszywniał.

– Naznaczył mnie Bóg Słońce, syn Ojca Niebo – odparł chłodno.

– Zatem też masz w sobie boską krew? Jak ja?

Cisza.

– Jesteśmy po prostu odmieńcami – ciągnął Orestes. – Podejdź no tu, siądź przy mnie. Pokażę ci coś. Dalej, nie wstydź się.

Gospodarz oblizał wargi. Rzucił okiem ku stojącym przy drzwiach wojownikom. Wstał.

– Wyjdźcie – rzucił. – Ale zostańcie blisko, gdybym zawołał.

Wygnaniec wybuchnął serdecznym śmiechem, odchylił się na klinie.

– Nie masz czego się bać – powiedział. – Siadaj.

Karnus usiadł.

– Daj rękę.

Dał.

Orestes przyłożył jego dłoń do swojej piersi.

– Czujesz? Miecz też noszę w niewłaściwej ręce. Bogowie stworzyli mnie na odwrót. Ojciec gardził mną z tego powodu. Uważał to za znak, że matka z kimś się puściła. Tyle jeśli chodzi o świętą krew.

Ręka wieszczka zadrżała, w oku pojawił błysk, palce były wilgotne.

– To nieważne – szepnął. – Atrydzi muszą połączyć się z Heraklidami. Wtedy powstanie dynastia, która będzie rządzić tysiąc lat. I to ja ich połączę. Ja, Karnus z Akarnanii.

– Karnus dziwadło...

Orestes poderwał się na nogi. Błyskawicznym ruchem chwycił rozmówcę za kark, przyciągnął jego twarz do swojej twarzy. Z wątlej piersi uleciał skrzek.

– Nie krzycz – powiedział ksiązę prosto do ucha drobnego mężczyzny. – Nie musisz się bać. Ciągnie swój do swego. Wiem, kim jesteś.

– Nic... nic... nie wiesz...

– Wiem. Może jeszcze nie wszystko. Ale mi pokażesz.

Powoli odgiął głowę wieszczka w tył. Niemal całą był w stanie objąć palcami. Obrócił ją w prawo, potem w lewo niby lalkarz. Wreszcie złożył na wilgotnych, otoczonych mysim zarostem ustach pocałunek.

– Mój przyjaciel Pylades jest ciężko ranny. Zadbaj, aby go przeniesiono z lochu i porządnie opatrzone – powiedział. – I ogól się. Nienawidzę bród.

* * *

Gdzie się podziała ta słodka główka? Gdzie korona loków? Czyje jest to nierówne czoło, opuchnięte oczy, sinofioletowy policzek, czyja ta blizna zaczynająca się nad okiem, a sięgająca niemal połowy czerepu?

– Wyglądasz jak gównno – powiedział Orestes.

– Tak właśnie się czuję – odparł Pylades.

Skrzyp. Zgrzyt. Skrzyp. Zgrzyt.

– Gdzie jesteśmy? Znowu gdzieś nas wiozą?

– Jedziemy spotkać się z Temenosem-królem, złoty chłopcze.

– Bogi, ależ mnie łeb boli. Jakby mi go ktoś rozłupał.

– Tak było. Miałeś szczęście, że Karnus wytrzasnął skądś egipskiego lekarza. Maczuga zgruchotała ci czaszkę, ale eunuch znad Nilu coś poukładał, pozaszywał, czary porobił i proszę, głowa jak nowa.

Pylades uniósł rękę.

– Nie dotykaj! – powstrzymał go Orestes.

Przyjaciel zamarł, potem musnął opuszkami palców bliznę.

– Zda mi się, że nie całkiem jak nowa.

– Troszkę tylko wgnieciona. Kiedy odrosną włosy, nic nie będzie widać. No i kiedy zejdzie opuchlizna, bo teraz wyglądasz, jakby przejechał po tobie rydwan. Choć podobno właśnie pod koła rydwanu wpadł Kresfont, dorycki wódz, ale dziwnym trafem wyszedł z tego bez draśnięcia.

– Pamiętam... coś pamiętam...

– Odzyskiwałeś i traciłeś przytomność. Dużo spałeś.

– Długo? Dawno temu była bitwa?

– Będą ze trzy tygodnie.

– Trzy tygodnie... Trzy tygodnie w łóżu jak kaleka.

– No i jeszcze trochę poleżysz, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre. Nie chciałbyś, żeby ci się mózg w czasie oblużował, co?

– Nie... Mógłbyś mi załatwić zwierciadło? Chcę zobaczyć...

– Poczekaj z tym trochę. Zanim się wszystko pogoi...

– Wiem. Wyglądam jak gównno. Jakby mnie rydwan przejechał. Chcę zobaczyć.

Orestes wzruszył ramionami.

– Skoro się upierasz.

Zniknął z pola widzenia. Szmer głosów. Wrócił, niosąc zwierciadło z polerowanego srebra.

Pylades długo patrzył w swe odmienione oblicze.

– Ten człowiek, który mnie leczył... – odezwał się wreszcie. – Jak, mówiłeś, się nazywa?

– Nie pamiętam. Wiesz, te egipskie imiona...

– Nie, nie. Mam na myśli jego pana. Powiedziałaś...

– Karnus?

– Tak. Kto to jest? Czemu nam pomaga? I kim jest król, do którego nas wiozą?

Orestes popatrzył gdzieś w bok.

– Nie jestem pewien, czy można powiedzieć, że Karnus nam pomaga. A jedziemy do Temenosa-króla, przywódcy Dorów. O ile wiem, jego wojska walczą już z wojskami twego ojca. Karnus to jego mała na sznurku. Wieszczek.

– Jesteśmy zatem w niewoli.

Książę zrobił niewinną minę.

– W przymusowej gościnie – odparł. Wyszczrzył zęby.

– Jesteś czysty, niespętany, przebrany w świeże szaty... Mnie zszywał egipski lekarz. Czy mi się tylko zdaje, czy dorycka niewola lepiej ci służy niż gościna w rodzinnym domu? – W oczach Pyladesa coś błysnęło. Ruszył się, jęknął z bólu, chwycił kochanka za przedramię. – Jak to się stało? Powiedz mi, Oreście.

– Znasz mnie. Wiesz, że niektórym ludziom trudno się oprzeć memu... urokowi.

Pylades zrobił się czerwony na twarzy, żyły wyszły mu na szyi i na czole. Potem zbladł nagle.

– Zabiję go... – wymamrotał.

I omdlał.

* * *

Śnił mu się paskudny stwór pozszywany z kawałków różnych ludzi, a po przebudzeniu dręczyło go pragnienie. Język stał mu kołkiem. W głębi gardła czuł miedziany posmak.

Uniósł się i rozejrzył. Znajdował się w wozie, leżał na posłaniu ze skór i miękkich materii. Orestes siedział nieopodal, pogryzał placek, zapijał winem z bukłaka. Jego długie nogi dyndały nad traktem.

Przed nimi i za nimi jechało kilkanaście innych wozów. Otaczała ich kolumna wojska. Pył niósł się pod niebiosami.

– Słaby jesteś – mruknął Atryda. – Nie ruszaj się tyle.

– Dzięki, że mi przypomniałeś.

– Masz, napij się wina.

– Nie chcę.

– Pij, lekarz kazał. Wino uspokaja pierwiastki, oczyszcza krew. A jak ci zła krew pójdzie do głowy, to kipniesz. Nie możesz się tak denerwować.

Pylades niechętnie przyjął bukłak. Łyknął trunku. Miedziany posmak się nasilił.

– Mocne. I nie za dobre.

– Górale nie lubią rozcieńczać.

– Dzikie skurwysyny...

Pociągnął kolejny łyk, oddał bukłak. Oparł się, przymknął oczy.

– Mówiłeś, że jesteś tylko mój, pamiętasz?

– Pamiętam. Ale mówiłem też, że jestem kurwą.

– Jesteś.

– Nie zżymaj się. I nie miej żadnych pomysłów.

Pylades milczał chwilę.

- Co z naszymi ludźmi?
- Nie mam pojęcia. Część zginęła. Część uciekła. Nie widziałem.
- Powinniśmy spróbować przebić się do nich, połączyć siły z moim ojcem.
- Zapomnij. W twoim stanie...
- Jeśli jeszcze raz powiesz coś o moim stanie, przysięgam, że dam ci w mordę.

* * *

Ból nie odchodził, po prostu wzmagał się i słabł. Kiedy był mocniejszy, coś działo się z widzianymi przez Pyladesa kolorami. Czuł, jakby płonęły mu źrenice. Zauważył też, że gorzej widzi prawym okiem, chociaż ranę miał z lewej strony głowy. Gdy ktoś podchodził do niego od prawej, wzdragał się, bo wydawało mu się, że powinien był dostrzec go wcześniej.

Jakby tego było mało, myśli mu się plątały. Bywało, że powtarzał to samo w kółko, w kółko, w kółko, w kółko... Męczyła go świadomość własnej słabości. Podczas jazdy patrzył na Orestesa, a na postojach wypatrywał, kiedy ten wymknie się do namiotu Karnusa.

Często przeglądał się w zwierciadle. Gapił na tę obcą, łysą, odpychającą głębę. Badał własne ciało, które wydawało się jakoś za duże, za długie, za chude, za mało umięśnione. Czy możliwe, aby w zaledwie kilka tygodni zmieniło się tak bardzo?

* * *

Oczy. Obce oczy. Tuż nad nim. Przeląkł się, wcisnął głowę w ramiona, zaraz potem szarpnęła nim złość. Pylades, syn Strofiosa-króla, przyszły władca Krisy i całej Fokidy, nigdy niczego się nie bał.

– Kim jesteś?

Oczy zniknęły. Zawibrował przyjemny głos:

– Jestem Karnus. I chciałem z tobą mówić, książę.

– Gdzie jest Orestes?

– Nie martw się. Niedaleko.

– Czego chcesz?

– Zamierzam odesłać cię do domu, do ojca.

Pylades spróbował zebrać myśli. Trzeszczało mu w głowie.

– Czemu miałbyś zrobić coś takiego? Jaki masz w tym interes? – zapytał.

– Niech to będzie gest dobrej woli. Uwierz lub nie, wojna z Fokidą nie bardzo nas interesuje. Dorowie pragną jedynie bezpiecznie przepłynąć do krainy Heraklesa.

– Czyli?

– Na Półwysep. Do Arkadii.

Ranny próbował przypomnieć sobie imię arkadyjskiego króla, ale nie był w stanie.

– Stare przymierza... – wydusił w końcu. – Achajowie was nie puszczą. Nie miniecie Koryntu ani Megary.

Karnus wzruszył ramionami. Zapadła cisza, którą po jakimś czasie przerwał jeniec.

– Mój ojciec da za mnie wykup. Za Orestesa także.

– Nie interesuje mnie wykup.

„Nie – pomyślał młodzieniec. – Nie powinien cię interesować. Kiedy trzymasz jedyne syna swego wroga, nie chcesz go wymienić za złoto czy srebro. Czemu zatem mnie puszczasz? Czemu? Czemu? Czemu?”.

– A co z Orestem?

– Nie bój się, nie zabraknie ci towarzystwa w podróży. Wyślę z tobą zaufanych ludzi. Będzie ci towarzyszyło poselstwo do Strofiosa-króla i innych wodzów. Dam wam też zbrojną eskortę. Wiadomo, w czas wojny na trakty wychodzą różne bandy.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Wieszczek uśmiechnął się pobłaźliwie. „Jakby do wspomnienia – zauważył Pylades. – Jakby miał przed oczyma... Miał przed oczyma... przed oczyma... przed oczyma...”.

Zaszumiało mu w głowie, świat zawirował. Ból znów się wzmógł.

Drobny człowieczek zmrużył oczy. Patrzył bystro, jak wrona.

– Orestes zostanie ze mną. Na razie nie narzeka na gościnę. – Zamilkł. Dumał. – Bardzo miłujesz swego wodza, chłopcze. Bardzo mu jesteś oddany. Zastanawiam się... Czy jak mężczyzna? Czy kobieta?

Młodzieniec zgrzytnął zębami.

– Jak brat.

– Jak brat – powtórzył Karnus. – To dobrze. Kiedy pewnego dnia zostaniesz królem... Zresztą nieważne.

Wykonał ruch, jakby chciał wstać, jednak Pylades chwycił go za ramię.

– Widzę twoje zepsucie – wymamrotał. Słowa kleiły mu się w ustach, rozciągały. W skroniach łupało. – Twoje zepsucie... Nie dotykaj go. Nie dotykaj, słyszysz? Nie waż się. Skalasz go. Skazisz.

– Puść – rzucił wieszczek, a gdy młodzieniec posłuchał, dodał: – On już jest zepsuty. I wcale mu to nie przeszkadza.

– Jak ty...

– Jak ja. Jesteśmy tacy sami.

Uśmiech – tak pełen samozadowolenia, tak pełen zapamiętanej rozkoszy.

Karnus wstał. Zeskoczył z wozu. W tej samej chwili syn Strofiosa poczuł, jak coś szarpnęło mu się w piersi. W myślach zamigotały obrazy. „Ja taki słaby, on taki mocny”. Nie mógł się powstrzymać. Z rykiem rzucił się na plecy odchodzącego mężczyzny.

Wieszczek krzyknął, upadł. Stojący nieopodal strażnicy unieśli głowy.

Pylades nie był w stanie utrzymać swej ofiary. Przez huk i mgłę zachował jedynie połowiczną świadomość. Coś go uderzyło, ale mogła to być równie dobrze pięść, co i gąbka. Przesunął się, próbując poprawić chwyt. Drżały mu ręce. Palce nie chciały słuchać. Znowu pięść albo gąbka. Mgła zawirowała. Upadł na plecy. Spróbował się unieść.

Między skroniami zapłonął ból. Pole widzenia przeczyszcilo się trochę, choć lewe oko piekło i ledwo na nie widział. Dopiero po kilku uderzeniach serca uświadomił sobie, że zalewa je coś ciemnego, gorącego. Uniósł głowę. Karnus krzyczał, lecz dźwięk dochodził jakby z wielkiej odległości:

– Nie! Żywcem, żywcem!

Nad Pyladesem stał mężczyzna z uniesionym mieczem. Brał zamach. Potem, dziwna rzecz, jego dłoń zniknęła. Spizowe ostrze zadźwijało o ziemię. Bryznięła krew.

Wojownik spojrział zdziwiony na kikut. Syn Strofiosa obejrzał się na wieszczka, który z kolei gapił się wytrzeszczonymi oczami na stojącego tuż za żołnierzem Orestesa. Książę trzymał miecz. Nieopodal z ziemi gramolił się rozbrojony strażnik. Kilku innych już sięgało do przewieszonych przez bark pochw, ale robili to niemrawo, jakby nie do końca wierzyli, że coś się stało.

Dziwna martwota zapanowała wokół wozów. Tylko na uderzenie serca. Potem się zaczęło.

* * *

W nocy padało. Polyperchon dziękował bogom, że błakając się po bezdrożach, trafił na zniszczoną chatę. Sądząc po zapachu, kiedyś mieszkali w niej pasterze. Większość sprzętów została zabrana, ale przynajmniej dach był cały. Niewolnik nie odważył się rozpalić ognia, po okolicy kręciło się zbyt wiele band złożonych z uciekinierów, rabusiów i tych górali, którzy nie trzymali z głównymi siłami Dorów.

Zaklął, przypomniawszy sobie, jak kilka dni wcześniej natrafił na grupę akarnańskich wieśniaków zmykających w kierunku Fokidy. Zbliżył się, aby poprosić o odrobinę stawy. Przyskoczyło do niego trzech byczków: dwóch młodych, jeden stary, siwy, o kwadratowej głowie i ciężkich grabach.

– Patrz, ojciec, jaki kurdupel, jakie ma długie łapy, oczka czarne. Widzi mi się, że góral. Jak nic. Dor, Epirota albo insze gówno. I przychodzi po proszeniu. Wstydu nie macie, kozojebcy.

– Albo zbiegły niewolnik. Mało to ich na dworach panów służyło? Darmozjady. Żarcie brali, ale do roboty wcale nieprędcy.

Polyperchon wiedział już, że podchodząc, popełnił błąd. Począł się tłumaczyć półgębkiem, cofać.

– Co, ojciec, w ryj dać?

Stary namyślił się chwilę, poskubał brodę. W końcu rzekł z namaszczaniem:

– W ryj dać.

Niewolnik musiał przyznać, że postąpił wówczas przytomnie – miał dalej się cofać, dopadł do starego, strzelił go w mordę, nogę podstawił i dopiero potem skoczył na przełaj przez uschnięte niepokalanki. Młode byczki przez chwilę stały, nie mając pojęcia, co począć. Nie wiadomo: gonić czy ojcu pomagać? Nim stary pozbierał zmysły, nim zdążył wykrzyknąć: „Zajebać ścierwo!”, było już za późno. Lekkonogi Polyperchon zniknął w zagajniku.

Później, nocą, wytropił podróżnych. Zakradł się, kiedy spali, skradł trochę chleba, sera i koc. Ten koc miał się okazać darem niebios. W następnych dniach bowiem, po nienaturalnie długim okresie upałów, w przyrodzie zaczęła wracać równowaga. Chmury zrzedły, zrobiło się chłodno. Nareszcie przyszała krótka achajska jesień i wiadomo było, że tuż za nią podąży zima.

Jednak po ulewie wstał słoneczny dzień. Niewolnik przeciągnął kości, wyszedł przed chatę, wciągnął w nozdrza woń wilgotnej łąki. „Ziemia się broni – pomyślał. – Starczy, żeby przez chwilę nie tratowały jej owce, żeby dwa razy spadł deszcz, a już odżywa”. Zaraz potem dodał: „Bogi, w taki dzień tylko walnąć się pod drzewem i opić winem!”.

Jego brzuch głośnym burczeniem przypomniawszy, że wina nie ma ani kropli. Zamiast tego napił się wody z kałuży, po czym nalał, ile zdołał, do bukłaka i dojadł resztkę kradzionego chleba. Ser pochłonął już wcześniej.

Pokrzepiony, chciał ruszyć w dalszą drogę, lecz jakoś nie mógł się do tego zebrać. Po prawdzie, nie miał pojęcia, dokąd iść. Wiedział, że zawędrował do doliny rzeki Euenos, która powinna go zaprowadzić niemalże do podnóży góry Ojte w Ojtei. Stamtąd w tydzień, może mniej, mógłby dotrzeć do Delf leżących już w królestwie Strofiosa. O ile nie pochwyciłyby go patrole Temenosa-króla, którego wojsko, jak się dowiedział, od pewnego czasu stało w tamtych stronach.

Spod Ojte prowadził jednak także inny szlak. Długa, niebezpieczna droga na północ, przez dotknięte głodem i wojną ziemie – do Makedonii.

Niewolnik zamyślił się, lecz zamiast odpowiedzi znajdował tylko kolejne pytania. Jeżeli rozważał powrót do Fokidy, to dlaczego uciekł? A skoro już uciekał, dlaczego nie wykorzystał zamętu, który zapanował po bitwie? Dlaczego został z taborami, gdy Hipolitos-król zebrał wycofujących się żołnierzy i pchnął ich na zachód?

Z otchłani wspomnień wypłynęła gęba Makhawona, drwiący uśmieszek, słowa, które powiedział jeszcze w Lakedaimonie. Tak, to zdecydowanie była jego wina. Wszystko jakoś by się potoczyło, gdyby nie to, że w dzień po bitwie stary żołdak podszedł do Polyperchona i zapytał:

- Co teraz, niewolniku? Twój pan w niewoli, może już martwy.
- Odbijemy go – odparł sługa. – Czy nie taki jest plan Hipolita i Sylana?
- Taaa, odbijemy. Mówiłem ci już, powinienesz lepiej pilnować własnego nosa.
- Odpieprz się!
- Czemużesz nie zwiął? Widziałem, że chciałeś.

Po kilku dniach jasne się stało, że nie ruszą na pomoc Orestesowi. Maszerowali ku północno-wschodowi, powoli, ostrożnie. Zdawało się, że Hipolitos nie jest pewien, jak powinien postąpić. A Polyperchon pewnego dnia po prostu wstał przed wszystkimi, zabrał płaszcz, nóż, trochę jedzenia i odszedł. Nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił. Przez kilka dni kręcił się w okolicy Naupaktos, jakby sam siebie zwodził. Potem zawrócił na północ. Raz był nawet pewien, że minęła go przednia straż Hipolita. Skrył się wówczas w zaroślach, myśląc: „Jestem więcej niż zbiegłym niewolnikiem, jestem dezertorem”.

Jednak siedząc na polanie, w blasku słońca, myślał już inaczej. Myślał: „Jestem wolny”.

Po niebie przemknęła gromada ptactwa. Polyperchon nadstawił uszu. Gdzieś z oddali dobiegły go głosy, szelest butów na trawie, mrużone komendy. Żołnierze. Patrol.

Przycupnął za rogiem chaty, wyjrzał. Na skraju łąki, w odległości kilkudziesięciu kroków, stanęło z pół tuzina lekkobrojnych achajskich wojowników. Naradzali się, wskazywali sobie coś palcami. „Może odejdą” – przemknęło przez myśl słudze Orestesa. Jednak żołnierze ruszyli w jego kierunku. Nie skradali się, ale też przesadnie nie hałasowali.

Polyperchon ruszył w dół niewielkiego wzniesienia, między rozrzucone kamienie. Liczył na to, że chata i krzywizna terenu przynajmniej na jakiś czas skryją go przed oczami nadchodzących mężczyzn.

Wtem ktoś zawołał:

– Hej!

Z naprzeciwka dał się słyszeć przeciągły gwizd.

Niewolnik bez większego namysłu puścił się biegiem. Miał spory kawałek otwartego pola do pokonania, jednak stopy niosły go pewnie. W ostatnich dniach stracił na wadze, a mięśnie ćwiczył w marszu, sił mu więc nie brakowało. Był pewien, że Achajowie, choć długonodzy, nie zdołają go dognać. Gdyby spojrział przez ramię, zobaczyłby, że wcale go nie gonią, i może dałoby mu to do myślenia. Nie obejrzał się jednak. Gnał przekonany, że przytulone do rzeki lasy zapewnią schronienie. Nie przyszło mu do głowy, że może i kto inny na to wpadł.

Przy samej linii drzew zahamował gwałtownie.

– Otchłań nadała – jęknął, widząc wstających z ziemi mężczyzn w lekkich kaftanach i hełmach.

Spróbował jeszcze skręcić, zwać w innym kierunku, lecz dudniący, władczy głos osadził go na miejscu:

– Stój, chłopcze!

Polyperchon obejrzał się nerwowo. Między drzewami kroczył ku niemu nabity olbrzym o łysej czaszce.

– Czemu uciekasz? Masz się czego bać? Może szpieg jesteś?

Obok wielkoluda pojawił się przystojny, jasnowłosy chłopak, młodszy pewnie nawet od Polyperchona.

– Wygląda mi na Dora, Teukrze – powiedział.

Do tej pary dołączył śniady mężczyzna o długich, siwych włosach. Nic nie rzekł, mimo to coś w jego wyglądzie przekonało niewolnika, że lepiej próbować uciec. Nie zdążył się jednak nawet porządnie rozpędzić, a siwowłosy już siedział mu na plecach, szybki niby myśliwy goniący zwierzynę, do tego nadludzko silny. Gruchnęli razem o ziemię.

– Nie jestem szpiegiem! – zawył niewolnik, czując, jak żylaste ramiona go unieruchamiają. – Nie jestem Dorem!

Łysy wielkolud zbliżył się statecznym krokiem. Kucnął.

– Kim zatem jesteś? – zadudnił.

– Nazywam się Polyperchon. Jestem... byłem sługą Orestesa, syna Agamemnona-króla.

– Byłeś? Czy zatem Orestes nie żyje?

– Nie. Został pojmany. Była bitwa. Nasze wojsko zostało rozbite.

– Uciekłeś – stwierdził jasnowłosy chłopak.

– To nie tak...

– Spokojnie – rzekł olbrzym. – Nabu, puść go. Weźmy go do obozu. Może będzie nam w stanie pomóc odnaleźć Oresta.

* * *

Teukros-król wgryzł się w uwędzone udko kurczaka. Chrupnęła pękająca kość. Wielkolud zagryzł chlebem, przepłukał usta winem, otarł zatłuszczone wargi. Uśmiechnął się do Polyperchona. Nie był to przyjemny widok.

– Powiadasz zatem, że Hipolitos-król porzucił twego pana i powędrował na północny wschód. Ty zaś odłączyłeś się od wojska, by spróbować na własną rękę ratować Orestesa. – Kipryjczyk stłumił beknięcie, podsunął niewolnikowi kosz z plackami i mięsem.

– Bardzo jesteś oddany – mruknął Telemach. – Biorąc pod uwagę, że twoi pobratymcy walczą u boku Dorów.

Sługa wygnanego księcia łypnął ku młodzieńcowi. Łapczywie wziął się za jedzenie, a kiedy zabrał głos, mówił do Teukra.

– Wychowywałem się w Fokidzie, na dworze Strofiosa-króla. Nie mam innej ojczyzny. A mój pan był dla mnie dobry, walczyliśmy razem w wielu bitwach. Śledziłem tych, którzy go pojмали, aż do Naupaktos. Jeśli chcecie go odszukać, chętnie wskażę wam drogę. Wiem, gdzie stoją doryckie patrole.

– Zda mi się, że mamy świeższe wieści od ciebie – powiedział Telemach. – Na nic nam on, Teukrze, pogoń darmozjada. Albo zabij, to tylko zbiegły niewolnik.

– Nie tak prędko, chłopcze – odparł wielkolud, po czym zwrócił wzrok na Polyperchona. – Twojego pana nie ma już w Naupaktos. Dowiedzieliśmy, że wiozą go na wschód, gdzieś ku pograniczom Ojtei i Ajnidy.

– Zabierają go do swego króla.

– Jak rzekłeś?

Niewolnik odchrząknął.

– Jeśli wierzyć pogłoskom, Temenos-król, brat Kresfontesa, zdobywcy Naupaktos, zszedł na równiny na północ od góry Ojte i tam szykuje się do walnej rozprawy z królami Fokidy i Beocji.

– Na równinach? – zdziwił się jasnowłosy chłopak. – Nie lepiej by mu było siedzieć w górach?

– Jeśli ma wielkie wojsko... – Teukros wzruszył ramionami. – To nie ma teraz znaczenia. Powiedz no, Polyperchonie, czy umiałbyś odnaleźć Hipolita i jego ludzi?

– Możliwe. Dwa dni temu widziałem żołnierzy, którzy wyglądali mi na jego przednią straż.

– Gdzie?

– Dalej w dół rzeki. Przeprawiali się na drugi brzeg.

– Na zachodni brzeg?

Telemach całkiem już się zniecierpliwiał.

– Teukrze, do czego zmierzasz? Jeśli ten Hipolitos maszeruje do Fokidy, nie pomoże w naszej misji.

– Hm – prychnął olbrzym. – Znam dobrze Hipolita, walczyliśmy razem pod Troją. Rąbnięty skurwysyn, cipa i świętoszek. Ale honorny to on jest. To do niego niepodobne, żeby po prostu podkulił ogon i zwiewał. A jeśli przelazł na tamten brzeg...

– To co?

– To znaczy, że kieruje się na północ. Gdyby chciał odbić prosto na wschód, zostałby na tym brzegu.

– Co zamýślasz, panie? – zapytał Polyperchon.

– Zamýślam poszukać mojego starego druha. I zobaczyć, czy on przypadkiem nie miał więcej szczęścia od ciebie w polowaniu na Orestesa.

* * *

Dzień był przyjemny, chłodny, lecz nie zimny. Wiał wiatr. Suchy, od ostatniego deszczu minęło trochę czasu. Na niebie wisiało blade słońce. Biegący wzdłuż rzeki szlak nie dawał zbyt wiele miejsca, więc wojsko szło rozciągnięte w długą kolumnę. Po lewej stronie teren wznosił się stromo. Zbocze porastały jedynie krzewy. Im bardziej oddalali się od Naupaktos, a zagłębiali w góry, tym mniej widać było drzew. Po prawej stronie zaczynało się koryto rzeki: szeroki na kilkadziesiąt kroków pas usianej kamieniami ziemi, środkiem którego biegła cienka struga.

„Nie ma jak uciec” – pomyślał Orestes.

Powoli, niczym we śnie, obrócił głowę. Pylades leżał kilka kroków od wozu, oczy miał zaszkłone. Woły, spłoszone wonią krwi, kręciły łbami. Karnus darł się na żołnierzy, że mają żywcem brać. Oni jednak gapili się tylko na towarzysza, który ściskając kikut obciętej ręki, otwierał usta do krzyku. Na ich twarzach malowała się zaciętość, jaką księżę dobrze znał z pola bitwy. Gorączka zabijania już chwyciła, słowa nie mogły ich zatrzymać. Jeśli miał uratować siebie i Pyladesa, musiał działać.

Jednym krokiem dotarł do wieszca. Chwycił za przód jego tuniki, szarpnął ku sobie, obrócił. Uniósł miecz, aby przyłożyć go myszowatemu mężczyźnie do gardła. Wtem wrzasnęły darte szwy. W dłoni pozostał mu tylko długi strzęp materii. Półnagi Karnus padł na ziemię, przeokoziółkował. Tymczasem do Atrydy przyskoczył jeden z żołnierzy. Pchnął mieczem, ale niedokładnie, drasnął go tylko. Młodzieniec sapnął z bólu. Przygiął kolana, uderzył, przekładając na ostrze całą siłę długiego ramienia. Wojownik padł ze strzaskanym obojczykiem i rozoraną pierśią, lecz na Orestesa już skoczył kolejny.

Księżę odruchowo osłonił się ramieniem. Poczul ukąszenie spizu, padł na tyłek. Napastnik wylądował na nim, chrząknął, plunął krwią. Ostrze zdobycznego miecza Atrydy przeszło go na wylot.

Młodzieniec zepchnął z siebie dogorywającego żołnierza. Syknął. Czuł gorącą krew spływającą po biodrze i lewej ręce. Widział, że już biegną ku niemu kolejni zbrojni. Część z nich przystawała jednak, oglądała się z jakiegoś powodu. Na przedzie kolumny zapanował gwar. Nagle dał się słyszeć stukot sypiących się po zboczu kamieni. Przestraszone woły szarpnęły wozem, wpadły na kolejny. Orestes skoczył naprzód, żeby własnym ciałem osłonić Pyladesa. Przemknął nad nim czyjś cień. Spośród zarośli porastających wzniesienie wyprysnął śniady, długowłosy stwór uzbrojony w dwa miecze. Wylądował pośród nadbiegających żołnierzy, jednemu rozplątał gardło, drugiego dźgnął w pachwinę. Zawirował, uderzył znów. Ktoś chlipnął, ktoś krzyknął.

Wokół wozów nagle zaroilo się od uzbrojonych ludzi.

„Zasadzka? – pomyślał księżę. Z piersi wyrwał mu się śmiech. – Bogowie to kurwy, ale trzeba przyznać, że mają poczucie humoru”.

Uniósł się na kolano. W tejże chwili ktoś zawołał:

– Oreście!

Młodzieniec obejrzał się – pomiędzy wozów wyszedł niewysoki wojownik osłaniany przez dwóch postawnych przybocznych. Cała trójka podeszła do Atrydy. Najniższy z mężczyzn ściągnął hełm. Spiż ustąpił miejsca czuprynie, która barwą niewiele się od niego różniła. Błysnęły zielone oczy, słodki uśmiech, lica porośnięte delikatnym złotym puchem.

Księżę wstał, spojrzął z góry na nieznanego.

– Przybywasz mnie ocalić, piękny chłopcze?

Młodziutki żołnierz nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie dał się słyszeć okrzyk: „Panie!” i u boku Orestesa zjawił się Polyperchon.

– A niech mnie w kurwy sprzedadzą. – Atryda wyszczerzył zęby. – Więc i ty przeżyłeś.

– Jakżebyś śmiał nie przeżyć.

– Krwawisz, panie – wciął się żołnierz.

– A. – Księżę machnął ręką. – Załatwcie lepiej nosze dla mego przyjaciela Pyladesa. I spieprzajmy, póki te kurwipolce nie wiedzą, co się dzieje.

* * *

– Au! A żeby cię Hetyci chędożyli! Żeby ci jaja urznąli!

Wrzące wino zasyczało w cynowym rondlu. Polyperchon nie przejął się przekleństwami, obficie połał ranę szpecącą biodro Orestesa.

– Cicho, panie, bo jak mi ręka drgnie w złą stronę, to ci dzieci poparzę.

Osuszył poszarpaną skórę szmatą, sięgnął po igłę i nić.

Zbliżał się wieczór. Żołnierze z połączonych zastępów Telemacha i Hipolita, pokąsawszy Dorów, czmychnęli na drugą stronę rzeki i zapadli w niewielką dolinkę. Tylko Syłan i Teukros wypuścili się okrężną drogą, aby zmylić spodziewaną pogoń.

Do ogniska podszedł młodziutki król Itaki. Przykucnął. Uśmiechał się i wpatrywał w Atrydę niby w bóstwo.

– Wspaniałe zwycięstwo – pochwalił opatrywany.

– Szkoda tylko, że nie udało nam się pochwycić tego Karnusa, o którym opowiadałeś.

Orestes machnął ręką.

– Będzie jeszcze okazja.

– Tak sądzisz?

– Droga wypada nam teraz wprost na południe, a potem na wschód, do Delf. Kiedy tylko połączymy siły ze Strofiosem-królem, uderzymy na Temenosa. Nie wątpię, że wcześniej dołączy do niego Karnus.

– A potem?

– A potem pójdziemy odbić Naupaktos oraz całe zachodnie i południowe wybrzeże. Ci durnie na Półwyspie trzęsą tyłkami, bo wyobrażają sobie, że Dorowie mają nie wiadomo jakie zaplecze. Tymczasem nie zdobyli nawet cytadeli w Naupaktos, a większość wojsk odsyłają na wschód do Temenosa. Jednym celnym ciosem możemy przetrącić im kręgosłup i wygrać wojnę o Półwysep, zanim mój stryj zbierze oddziały.

Telemach kiwał głową i wciąż się uśmiechał. Rumieniec ozłocił mu lico.

– Podoba ci się ten plan? – zapytał Orestes.

– Tak. Zamierzaliśmy co prawda przeprowić się na Półwysep, a stamtąd na wiosnę popłynąć na Itakę, ale twój plan podoba mi się bardziej. Dużo bardziej.

– Dobrze. – Księżę puścił do chłopca oko. – Nie podziękowałem ci jeszcze za ratunek.

– Nie ma takiej potrzeby. Mój ojciec, Odyseusz, miał przymierze z twoim ojcem, Agamemnonem-królem, więc i my mamy przymierze. Bogowie połączyli nasze rody przyjaźnią.

– Dziękuję ci zatem za tę przyjaźń, piękny królu. Wiele dla mnie znaczy. A ten śniady duch, który walczył u twego boku? Kto to taki? Muszę przyznać, że jego... skuteczność zrobiła na mnie wrażenie.

– To Nabuszezibanni, sługa twojej siostry.

– Mejej siostry?...

– Ifigenii. Z jej polecenia cię szukaliśmy.

– Z polecenia Ifigenii – powtórzył Orestes. Zamyślił się na chwilę, tymczasem Telemach ciągnął:

– Tak. Ona darzy go wielkim szacunkiem, mimo iż to dzikus, Luwita. Zda mi się, że musiał być księciem w swoim kraju. Teukros traktuje go jak swego, zawsze zaprasza do własnego ogniska, chociaż... No, ale dzisiaj pokazał, że gozdzien jest ucztować z Achajami, prawda?

Atryda kiwnął głową, uśmiechając się lekko, jakby myślami był daleko.

– W istocie. I nazywa się Nabuszezibanni... Ha, coś takiego. Dziwnie plotą się losy. Moja matka miała kiedyś starego luwijskiego niewolnika o tym imieniu. Ifigenia bardzo lubiła się z nim bawić. Była wtedy małeńka, pewnie nawet tego nie pamięta. – Uśmiechnął się nagle. – Wyczuwam w tym ciekawą opowieść, piękny chłopcze. Musisz mi wyjaśnić, jak to się stało, że moja siostra trafiła do ciebie i skąd wiedziała, że potrzebuję pomocy.

Telemach otworzył usta, lecz nie zdążył odpowiedzieć, bo w obozie zapanowało poruszenie. Warty obwołały czyjeś przybycie. Po chwili do dolinki zesłała grupa żołnierzy. Orestes odgonił Polyperchona, poprawił tunikę i uniósł się, aby powitać powracającego Syłana.

– Proszę, proszę. Ty też uszedłeś z życiem.

Najemnik wyszczerzył zęby. Strzelił na prawo i lewo wodnistymi oczkami.

– Wiesz, co mówią, złego ziemia nie przyjmie.

– To być może. Zaczynam podejrzewać, że w naszym skromnym zastępie było dużo złych ludzi. Jednak ziemia ziemią, a jakiś miejscowy wódz z pewnością by cię przygarnął. Po prawdzie dziwię się, że wraz ze swoimi chłopcami nie poszedłeś na garnuszek do kogo innego.

– Niby do kogo? Do Dorów? Do miejscowych królików, którzy albo dawno zwiali na wschód, albo nie mają nic, czym mogliby się z nami podzielić? Zresztą, honor najemnika...

– Nie pierdol. Najemnicy nie mają honoru.

Sylan się roześmiał.

– Chodź, Oreście. Niech gardziołko przepłuczę, pogdakamy, bajeczki ci poopowiadam, zaraz się wszystko rozjaśni.

– Właśnie przerwałeś opowieść mojemu młodemu przyjacielowi, więc zamiast bajek opowiedz mi lepiej, jak wygląda sytuacja, ilu żołnierzy straciliśmy, jakie mamy zapasy.

– I gdzie jest Teukros – dorzucił Telemach.

Najemnik klapnął przy ognisku, złapał bukłak zaoferowany mu przez Polyperchona, napełnił usta winem, zagulgotał, łyknął, sapnął.

– Spokoju, kochanieńcy, spokoju, nie wszystko naraz. Za porządkiem: pod Ojnejonem straciliśmy pewnikiem jakichś stu dwudziestu ludzi, ale tu obecny Telemach przywiódł ze sobą

setkę, zatem jakby na jedno wychodzi. Wiedz, Oreście, że ci, co przeżyli, mają ciebie i Pyladesa za bohaterów. Żebyście Eruthrosa nie zatrzymali, nie zajęli swoimi czcigodnymi osobkami, byłaby masakra. A tak udało mi się zebrać tych tchórzliwych skurczybyków, wyłuskać ich po jednym po lasach i powieść do Hipolita, którego pod twą nieobecność objął dowodzenie. Z zasadzki udało mu się wybronić, po czym zabrał spryciarz tabory i widząc, że bitwa przegrana, czmychnął. To znaczy, wycofał się, aby planować twój, Oreście, ratunek. Rydwany niestety musieliśmy porzucić, dwa i tak ucierpiały w czasie bitki, a pozostałe w górach na nic by się zdały. Nie mamy też wozów, a zatem żarcia mogliśmy wziąć tylko tyle, ile uniosą grzbiety nasze i niewolników. Większość z tego już przejedliśmy. Co do Teukra, spotkaliśmy pastuchów, którzy opowiedzieli nam o jakimś ukrytym wąwozie na południe stąd, wziął więc część oddziału i poszedł to sprawdzić. Nie chcielibyśmy, żeby jakiś szczywany oddziałek Dorów zakradł się tutaj nocą i cmoknął nas prosto w dupę, nie?

– Mogłoby być interesująco – odparł Orestes.

– Kiedy wróci? – zapytał król Itaki.

– Kto, Teukros? – Sylan spojrział w ciemniejące niebo. – Przed północkiem pewnie nie ma co się go spodziewać.

* * *

W istocie, dopiero kiedy nad grzbiety gór wypełzł już księżyc i wysypały się gwiazdy, straż zameldowała, że ktoś nadchodzi. W ciemności zabrzmiały zawołania, po których zapadła cisza. Potem zadudnił bas Teukrosa-króla:

– A pies trącał wasze hasła i odzewy, Hetyty niemyte, beockie świnię, to ja!

Orestes ocknął się z drzemki. Piekły go czoło i policzki, jednak nie był pewien, czy to gorączka od ran i zmęczenia, czy żar dogasającego nieopodał pniaka. W obozowisku pogaszono wszystkie ogniska, aby dym i blask nie zdradzały pozycji wojska, jednak pozostawiono kilka tłących się okazałych polan, by zapewnić zbitym w gromadki wojownikom choć skromną ochronę przed nocnym chłodem.

– Teukrze? – zawołał książę.

Śpiący tuż obok Telemach otworzył oczy, zatrzepotał powiekami. Rumieńce głębokiego snu okrywały jego twarz.

– Co się dzieje? – zapytał. Ziewnął.

Z mroku nocy ozwały się kroki i przekleństwa. Po chwili w pomarańczowym blasku pojawił się zarys potężnej sylwetki.

– Dobrze widzieć, żeś cały, Orestesie – powiedział Kipryjczyk. – Ale obawiam się, że kłopoty jeszcze się nie skończyły.

Do paleniska zbliżyły się kolejne dwie osoby. Stały tuż poza plamą półświatła.

Głos Sylana:

– Strasznie długo cię nie było, wielkoludzie. A rabanu narobiłeś za stado wołów.

Głos Hipolita:

– Jakie wieści przynosisz, Teukrze-królu?

– W wąwozie, nie dalej jak kilka tysięcy kroków stąd, stoi oddział Dorów.

– Ale... na południu? – zdziwił się Orestes. – Syllanie, nie mówiłeś, że ten wąwóz jest na południu? Co oni, kurwa, robią na południu?

– Czy wyglądam na wróżbitę? Przypałąłali się, to siedzą – burknął Teukros.

– Pewnikiem podjazd – rzekł Hipolit. – Przepatrywali ziemię między Naupaktos a Delfami.

– Może nawet byli umówieni z tymi, którzy cię prowadzili, Oreście – zasugerował Syllan.

– Otchłań nadała!

– Co robimy?

Szczapa w palenisku trzasnęła. Mężczyźni milczeli.

– Duży ten oddział? – zapytał w końcu najemnik.

– Nie mieliśmy czasu dobrze policzyć. Ze trzystu będzie.

– Nie tak dużo.

– Teukrze, co zrobiliście z pastuchami, którzy wskazali wam drogę do wąwozu?

Chwila ciszy.

– Teukrze?

– A co miałem zrobić? Puściłem. Nic mi nie zawinili, to puściłem.

– Kurwa.

– W rzeczy samej, Syllanie. – Orestes westchnął. – Musimy więc założyć, że Dorowie mogą łatwo dowiedzieć się o naszej obecności.

– No to co? Nie zostaje nic innego, jak iść przypierdolić skurwysynom – powiedział wielkolud.

– Zgadzam się – odezwał się nagle Telemach. – Budźmy żołnierzy. Będziemy mieli najlepsze szanse, jeśli napadniemy zniemacka, przed świtem.

W ciemności zaszurały olbrzymie stopy Teukra. Syllan mruknął coś niechętnie. Orestes szybko się zorientował, że starsi wodzowie nie uważali chłopaka za uczestnika narady.

– Łatwo ci mówić – rzekł najemnik. – Ja i moi chłopcy złaziliśmy się jak woły na orce, wodząc za nos Dorów z konwoju, który wiozł Oresta. Nie wątpię też, że ludzie Teukra woleliby zdrzemnąć się choć chwilkę, zanim znów pójdą na miecze i włócznie.

– Nie wszyscy dysponują niespożytymi siłami młodości – wtrącił dyplomatycznie Hipolitos.

– Ale co innego nam pozostaje? – Młody król nie dawał za wygraną. – Do rana mogą już sobie pójść. A jeśli spróbujemy ich minąć, łatwo możemy wleźć między młot a kowadło.

– Telemach ma rację – powiedział Atryda. – Liczba szlaków dogodnych dla dużego oddziału takiego jak nasz jest ograniczona. Jedną grupę Dorów moglibyśmy wymanewrować, ale unikanie dwóch różnych zastępów to zbyt duże ryzyko. Pod Ojnejonem zagraliśmy ostrożnie i wiemy, jak to się skończyło. Tym razem uderzmy szybko, wyrąbmy sobie drogę z powrotem na niziny.

– Żądacie niemożliwego – zachnął się Syllan. – Mamy za sobą kilka dnia szybkich marszów i pieszczotki z góralami. Chłopcy muszą odpocząć, inaczej na nic się nie zdadzą w bitwie.

– Niech więc odpoczną, ale musimy ruszyć przed świtem. Dacie radę wycisnąć z nich jeszcze ten jeden skok?

– Mężowie z Itaki będą gotowi – powiedział Telemach.

– Podobnie jak mężowie z Ojchalii – rzucił Hipolitos.

Najemnik prychnął.

- Tak, tak, mężowie z Zadupii oraz Synowie Żeglarzy i Dziwek też będą gotowi.
- No i świetnie. Niech ktoś powie o tym Klearchowi i Ojnejończykom.
- Na pewno będą zachwyceni.

* * *

Orestes przebudził się ponownie o czarnej godzinie, gdy księżyc już zaszedł. Wiatr hulał wśród szarżujących wierzchołków gór, żar w palenisku wygasł zupełnie. Chłód kąsał.

Młodzieniec usiadł, spróbował rozluźnić mięśnie karku i ramion. Świeżo zszyte rany piekły.

Rozejrzał się, choć wokół niewiele co było widać. Telemach również nie spał. Siedział owinięty szczelnie kocem, z przekrzywioną głową, jakby słuchał rozbrzmiewających wśród skał pogwizdów.

- Nie możesz spać? – zapytał półgłosem Orestes, przysuwając się bliżej młodziutkiego króla.

Chłopak wzdrygnął się, obejrzał. Miał wielkie oczy. „Boi się” – pomyślał książę. Uraczył Telemacha uśmiechem.

– Krew burzy się przed bitwą – powiedział. – Znam to. Najśłodsze, a zarazem najwstrętniejsze uczucie.

- Nie. To tylko... zimno. To wszystko. Zimno.

- Siądź przy mnie. Towarzyszom broni nie wstyd dzielić koca.

Młody król wahał się, jednak tylko chwilkę. Orestes okrył sobie jego kocem ramiona, a potem na wierzch rzucił własny.

- Ciepłej?

- Ciepłej.

– Wiele nocy spędziliśmy tak z Pyladesem w górach Makedonii. Czekaając w zasadzce lub kryjąc się przed wrogiem. Nie ma dla mężczyzny słodsze oczekiwanie niż oczekiwanie na bitwę.

Władca Itaki pokiwał głową.

- Pylades to twój ranny przyjaciel? Ten z rozbitą głową?

- Tak.

- Boisz się, że umrze?

Atryda zmusił się do śmiechu.

– Nie – powiedział. – Bogowie mają do nas słabość. Dowiozę go całego i zdrowego do ojca. Szkoda tylko, że nie będzie mógł mi towarzyszyć w kolejnych bitwach.

- Aha... – Telemach milczał chwilę. Gapił się na sylwetki gór. – Nie mogę się doczekać jutra.

Orestes poczochnął mu włosy. Tak marnego kłamstwa nie słyszał od dawna.

* * *

Stanęli na skraju wąwozu wraz z pierwszymi promieniami słońca. Nie zastali tam już jednak żadnego wojska, tylko okrwawione kamienie, zdeptane ogniska i hałdy trupów. Dobre dwie setki ciał odarto z uzbrojenia i rzucono byle jak na kupę. W sumie mogli się tego domyślić,

słyszając z daleka wrzaski padlinożerców.

Po krótkiej namowie postanowili poszukać ścieżki, która poprowadziłaby ich wzdłuż zbocza, ponad wąwozem, a na dół posłać jedynie oddział zwiadowców. Nikt się za bardzo nie palił, pociągnęli więc losy. Grupka dziesięciu pechowców pokręciła się po pobojuwisku, spłoszyła stado kruków i wróciła, donosząc, że sądząc po śladach, znaczna jakaś siła nadeszła z południa, zmiotła Dorów, a potem zawróciła. Wiadomość ta wywołała wśród Achajów zdziwienie.

Naradziwszy się, postanowili, że rozsądnie będzie przynajmniej rozejrzeć się po drugiej stronie wąwozu.

– Poprowadzę straż przednią – powiedział Orestes.

– Pójdę z tobą – rzucił Teukros.

– I ja – włączył się Telemach.

Atryda uśmiechnął się do chłopaka.

– Ty nie – odparł. – Będziesz dowodził głównym oddziałem, a Hipolitos uformuje straż tylną. Oczekajcie, aż dotrzemy na drugą stronę zbocza, i dopiero wtedy ruszajcie.

Szli ostrożnie, nasłuchując, rozglądając się, co chwila przystając. Zbocze było łagodne, obsypane drzewami. Po pewnym czasie weszli na ścieżynkę, która wprowadziła ich na płaski grzbiet. Chwilowo stracili z oczu wąwóz. Pod stopami chrzęściły igły i drobny, szary piach. Z oddali wciąż słychać było krakanie.

Kiedy uszli kolejnych kilkaset kroków, drzewa zaczęły rzednąć. Wnet znaleźli się na polanie, z której mieli niezły widok na wyjście z doliny. Nie widzieli jednak reszty zastępu – ich towarzysze zniknęli za masywem wzniesienia. Po drugiej stronie polany zaczynał się las. Powiał wiatr, zapachniało jodłami i spalenizną. W tej samej chwili wśród drzew błysnęły włócznie.

– Kto idzie? – zawołał jeden ze skrytych w cieniu konarów żołnierzy. Wymawiał słowa jak Achaj.

Orestes i Teukros wymienili spojrzenia.

– Na wszelki wypadek lepiej, żebym ja gadał – mruknął wielkolud. Potem wyszedł przed oddział i podniósł głos: – Mówisz do Teukra-króla, władcy Kipru, kmiecie! Powiedz lepiej, kto ty jesteś!

Wśród mężczyzn zgromadzonych po drugiej stronie polany zapanowało poruszenie. Widać było, że o czymś dyskutują.

– Sława cię wyprzedza, Teukrze – odezwał się ktoś inny. – Zresztą pamiętam cię spod Troi. Może i ty pamiętasz mnie?

Żołnierze rozstąpili się, a na polanę wyszedł wysoki, szczupły wojownik. Pomimo pancerza poruszał się z gracją. Nie miał tarczy ani włócznie, jedynie miecz przy boku. Jego twarz skrywał hełm z brązu i fragmentów ludzkiej czaszki, wyszczerzonej w trupim uśmiechu, patrzącej pustymi oczodołami.

– Bogi – jęknął Teukros. – Przecież to Achilles-król.

ROZDZIAŁ XVIII

Kresfontes długo oglądał twarz Antylocha-króla, władcy Pylos i całej Mesenii. Wydawała się młoda, niemal tak młoda jak oblicze klęczącego obok Helejosa-króla z Elidy, którego ojciec był pod Troją towarzyszem broni Antylocha. „Nie wygląda na dużo starszego ode mnie – myślał dorycki książę. – Tylko oczy, te stare, pełne powagi oczy...”

Władca Pylos patrzył na swego pogromcę obojętnie. Urodziwego lica nie kalał brud ani nawet rumieniec. Zupełnie jakby żadna bitwa nie miała miejsca, jakby szloch rannych i umierających, pokłutych, podeptanych, tarzających się w błocie, krwi i własnych szczynach mężczyzn był tylko złudzeniem, sztuczką morza i wiatru igrających wśród skał.

Za to Helejos był przerażony. Trzęsły mu się ręce i wargi. Twarz miał trupio bladą. Ale przynajmniej nie skomlał. Kresfontes obawiał się, że pan Elidy będzie skomlał. Błagał o życie i tak dalej. Jednak młodzieniec zapytał tylko:

– Weźmiesz za nas okup?

A brzydki książę odparł:

– Nie. Nie wezmę.

Usiadł przed pojmanymi wodzami, machnął na sługę, aby pomógł mu wyjść z łupiny pancerza. Oswobodzony, otarł czoło skrajem tuniki.

– Rad jestem, Achajowie – zaczął – że nie okazaliście się inni, niż mówią. Mamy wspólną krew. Mój pradziad, Herakles, wyszedł z tych ziem, był jednym z was.

Żaden z wojowników nie odpowiedział. Kresfontes położył się w pyle, popatrzył w niebo.

– Dotarcie tutaj, na Półwysep, zawsze było marzeniem mojego brata. Starszego brata... Młodszego zabili Akarneńczycy. Zdradliwa banda. Nieważne. Teraz jestem tutaj i oglądam oblicze Boga Nieba z ziemi, która mojemu rodowi zawsze wydawała się święta. A to tylko piach. I skały. Tak naprawdę nawet nie całkiem wierzyłem w te historie o Heraklesie. Wyobrażałem sobie: może był świniopasem, może zwykłym żołnierzem. Poszedłem wszakże za Temenosem, bo to nie tylko mój brat, ale i król. Potem szedłem dalej, bo powodował mną gniew. Teraz... Hm. Dziwnie jest zabijać bez gniewu. Znasz to, prawda, Antylochu? Widzę, że znasz.

– Pozwolisz pogrzebać zabitych zgodnie z naszym obyczajem? – zapytał nagle messeński król. Miał matowy głos.

Kresfontes pokręcił stanowczo głową, nie bacząc na pył bielący mu czuprynę.

– Przykro mi, nie. Ale uwierz, tak będzie dla nich lepiej. Błędzicie, oddając zmarłych Bogini Ziemi. Nie podziękujesz mi, jednak uwierz, że w ten sposób wyświadczam wam przysługę. Każę spalić ciała i złożyć właściwe ofiary.

– Nie możesz... – zaczął Helejos, lecz szybko zamilkł.

Książę odczekał, czy pan Elidy coś doda, a potem zapytał Antylocha:

– Ty nie zaprotestujesz?

– Po co? Przedstawiłem ci swoją prośbę. Prawo zwycięzcy zgodzić się lub odmówić.

– Ładnie ujęte, choć to gówno prawda. – Brzydał westchnął, uniósł się, kiwnął na sługę, by podał mu miecz. Srebrzystoszara klinga błysnęła w słońcu. – Prawa na ziemi stanowią bogowie. Ja jestem prawem.

Podszedł do Helejosa. Młodzieniec wtulił głowę w ramiona, jęknął tuż przed tym, jak ostrze wbiło mu się w kark. Ciałem szarpnęły drgawki.

Kresfontes postąpił krok wstecz. Antyloch nadal patrzył na niego obojętnie.

– Krążą niezwykle opowieści o tym, co musiał zrobić Temenos, aby zdobyć dla siebie, dla mnie oraz dla Arystodema oręż i zbroje z tego szarego metalu. Żołnierze najbardziej lubią tę, w której mój brat wykonuje dwanaście prac dla boskiego kowala Nisyrosa. Jak było naprawdę, nie mam pojęcia, Temenos mi nie powiedział. Wiem tylko, że przez cały rok był wtedy na wyprawie gdzieś daleko na wschodzie. Przypuszczam, że kogoś zabił, aby zdobyć zbroje i ostrza z szarego metalu. A może po prostu zapłacił za nie złotem i srebrem.

– Nic mnie to nie obchodzi – przyznał szczerze król Pylos.

– Hm. Tak. Dlaczego miałoby? Uczestniczyłeś w wyprawie pod Troję w królestwie Wilusy, prawda? W tej szalonej wojnie o rękę dziewczki?

– Nie walczyliśmy o rękę dziewczki, jak to ująłeś.

– Nie? Dziwne, bo tak o tym opowiadają pieśniarze. O co w takim razie się biliście?

Antyloch wzruszył ramionami.

– O to, o co od wieków walczą mężczyźni: łupy, niewolników. Sławę.

– Sławę. Tak. Sławę. Wielu was jeszcze, sławnych mężów spod Troi, pozostało?

– Niewielu.

– Tak myślałem. Cóż...

Kresfontes okrążył jeńca, przyłożył mu miecz do karku.

Pchnął.

* * *

Wieść, że Dorowie – zamiast iść lądem ku biegnącemu między Koryntem a Megarą przesmykowi – przepawili się przez cieśninę do Elidy, zmusiła Menelaosa i Ajgista do zmiany planów. Szybkim marszem zawrócili na zachód, do Arkadii, gdzie mieli spotkać się z resztą sprzymierzonych wojsk Achajów. Ostatecznie stanęli w mieście Feneos, wygodnie położonym na arkadyjsko-mykeńsko-argolidzkim pograniczu, i tam czekali na pozostałych. Król Lakedaimonu, którego naznaczono na głównodowodzącego, wraz ze swym dworem ulokował się w zamku. Gdy wreszcie przybył Agapenor, wiodący podległych mu królików Arkadii, a także młodzieńki Kylarabes, naczelną władca Argolidy, w zamkowym wieczerniku zwołano naradę.

Podczas gdy możni jedli, pili i dyskutowali, Naos i Outis przycupnęli na przylegającym do wielkiej sali tarasie, gdzie nie rzucali się w oczy, ale mogli łatwo zostać przyzwani przez swego pana. Pierwszy przyniósł stos glinianych tabliczek, na których spisano inwentarz sprzymierzonych wojsk Myken, Arkadii, Argolidy i Lakonii. Drugi, kiedy zachodziła potrzeba, usługiwał Menelaosowi – z kaprysu króla został niedawno jego przybocznym – przeważnie

jednak obserwował rozciągniętą u stóp góry Kyllene i arkadyjskiego pogórza równinę. Co dzień zachodził w głowę, jak zdołano na niej upchnąć kilkanaście, może dwadzieścia tysięcy mężczyzn. Wszyscy oni jedli, pili, srali gdzie popadnie, opowiadali sobie bzdury, a okazjonalnie – zapewne – zadawali te same pytania, co zgromadzeni na naradzie wodzowie: dlaczego Dorowie zaryzykowali przeprawę przez cieśninę w porze sztormów, ilu ich było, czy stracili jakieś statki i ludzi, jak udało im się tak łatwo rozgromić wojska Antylocha i Helejosa, czy ich wódz naprawdę był nieśmiertelny, czy będą w stanie sprowadzać z Naupaktos posiłki i zaopatrzenie?

– Czy ktoś jest mi w stanie powiedzieć, kim jest szaleniec, który ich prowadzi? – odezwał się Ajgistos-król. – Przegonił swoich ludzi przez pół świata, wyciska z nich ostatnie soki, a oni mimo to wygrywają dla niego każdą bitwę. Słyszałem, że wielbią go jak boga.

Outis obejrzał się. Władca Myken interesował rozbitka, bo choć był prawdopodobnie najbogatszym i najpotężniejszym człowiekiem na sali, w walce z Dorami mógł stać się najsłabszym ogniwem sprzymierzonych wojsk. Jego konflikt z Orestesem chwilowo zszedł na drugi plan, ale nie został zapomniany. Wszyscy wiedzieli też, że między Ajgistem a Menelaosem nigdy nie było zażyłości, poza tym wodzowie i zwykli wojowie achajscy nie kochali pana Myken, a po kątach przezywali go lalusiem i mokrą pisią. Outisa to dziwiło, bo choć król wyróżniał się urodą, wcale nie wydawał mu się zniewieściały. Przeciwnie, był wysoki, szczupły mimo swoich lat, miał ogromne bary, jego błękitne oczy patrzyły surowo, a grzywa szpakowatych włosów nadawała mu wygląd starego lwa. Mimo to wszyscy bardziej liczyli się ze zdaniem siedzącego obok niego krępego i brzydkiego Drakomacha.

– Wołają go Kresfontes – powiedział Tantalos, kuzyn Menelaosa i Antylocha, mąż o łagodnej powierzchowności, zupełnie nieprzystającej do imienia odziedziczonego po dziadzie przezywanym Dzieciozercą. – To daimonion, nie człowiek. Widziałem go na polu bitwy tylko z daleka, ale...

– Ale to starczyło, abyś uciekał do swojej Pisy jak dziewczynka? – przerwał Meriones-król z Tegei. Jego brat Meles parsknął śmiechem.

– Bogi! – westchnął Menelaos. – Nie zaczynajcie znowu tych babskich swarów. Nie mam na nie siły...

– Nikt nie wątpi w waleczność Tantalosa – odezwał się Agapenor, najwyższy władca Arkadii. Jego głos chwiał się na krawędzi rozbawienia i obojętności. – W obliczu wspólnego wroga lepiej zapomnieć o dawnych niesnaskach. Prawda, Merionesie?

– Tak, panie.

Tantalos odchrząknął.

– Słusznie. Zwłaszcza że to twoje ziemie są najbardziej zagrożone, Agapenorze-królu. Twoje i podległych ci wodzów.

– Wytłumacz.

– Kresfontes powołuje się na niejakiego Heraklesa-króla z Arkadii. Miałyby to być jego przodek, niesłusznie wygnany przez zawistnych braci czy kogoś takiego.

– To doryckie ściervo uważa się za Achaja?! – wybuchnął Drakomachos.

– Tak. Twierdzi, że przybył na Półwysep odzyskać swoje dziedzictwo.

– Nigdy nie słyszałem o żadnym Heraklesie-królu – powiedział Meriones. Meles i kilku

innych arkadyjskich możliwych wymruczało słowa potwierdzenia.

Agapenor uśmiechnął się samymi ustami.

– To chyba nie ma większego znaczenia – rzekł. – Nie sądzę, żeby Dorowie planowali po prostu odejść z Elidy, jeśli uda im się podbić Arkadię.

– Może jednak warto by było podjąć z nimi rozmowy – zaproponował Ajgistos. – Jeśli chcą ziemi, dajmy im kawałek ziemi.

– Tak po prostu? – wzburzył się młodzieńcy Kylarabes, król Argolidy.

– Łatwo ci mówić, kiedy nie o twoją ziemię idzie – warknął Meriones.

– Nie dacie dokończyć memu panu – odezwał się Drakomachos. – Jeśli damy ziemię części doryckich wodzów, łatwo możemy ich ze sobą skłócić. Niech biją się między sobą. Przyznaję jednak, że istnieje pewne niebezpieczeństwo...

– „Pewne niebezpieczeństwo”? – Szpotawy Hyllos z Hellos zarżał ubawiony. – Jeśli myślisz o niemających nic do stracenia wieśniakach, którzy koczują w południowej Beocji i okolicach Koryntu, to tak, jest „pewne niebezpieczeństwo”, że się wkurwią, kiedy usłyszą, że dajemy ziemię Dorom, a im podstawiliśmy tylko dupę do całowania. A jak się wkurwią, wleżą prosto do waszego cichego, bezpiecznego królestwa Myken.

Drakomachos zgrzytnął zębami.

– Tak, także to niebezpieczeństwo, między innymi, mam na myśli.

– Sądzisz zatem, że powinniśmy atakować? – zapytał Ajgistos.

– Oczywiście, że powinniśmy! – zawołał Kylarabes – Póki Dorowie są zmęczeni.

Agapenor popatrzył na młodzieńca. Twarz miał obojętną, lecz w niebieskich oczach coś zdawało się kłębić.

– Byli zmęczeni już wtedy, kiedy zdobywali Naupaktos – zauważył. – I kiedy stanęli naprzeciwko Antylocha i Helejosa. Oni zwyciężają mimo zmęczenia. Może jednak powinniśmy się zastanowić nad rokowaniami...

– I ty to mówisz, Agapenorze-królu? Ty, bohater spod Troi?

– Ech, muszę się napić wina – odezwał się nagle Menelaos. – Outisie, podasz mi puchar? – Nowy przyboczny zakrzętnął się szybko, a kiedy podawał trunek, władca Lakonii zapytał: – A ty jak sądzisz? Układać się z Dorami czy nie?

Gwarzący wodzowie przycichli, kilkanaście par zdziwionych, błękitnych oczu zwróciło się ku przybłędzie.

– Sądzę... hm... sądzę, że nasze zdanie nie ma tu większego znaczenia.

– Twój Trak odpowiada zagadkami – burknął ktoś z sali.

– To nie Trak. Nie jesteś Trakiem, prawda, Outisie? Zresztą nieważne. Wytłumacz, co miałeś na myśli.

– Tylko tyle, że z ludźmi, którzy uważają, iż mają do czegoś boskie prawo, przeważnie trudno się negocjuje. I trudno ich ze sobą skłócić, jeśli wszyscy słuchają kogoś, w kogo wierzą jak w półboga.

– Ha! – Menelaos chwycił puchar i łyknął wina. – Dobrze powiedziane.

Outis wrócił na swoje miejsce, gdzie przyjęło go czujne spojrzenie Naosa. Przez chwilę chciał zapytać starca, o co mu chodzi, lecz zrezygnował. Z jakiegoś powodu pomyślał o Helenie

i dzieciach ułożonych na stosie.

Tymczasem gwar podniósł się na nowo. Wodzowie najwyraźniej puścili mimo uszu wypowiedź przybłądy, bo poczęli żywo roztrząsać kwestię rozmów z Dorami. Większość była przeciwko, bowiem kłóciło się z achajską naturą gadać inaczej niż po sutej wieczerzy, przy winie i muzyce fletni, w gronie mniej lub bardziej lubianych swojaków. A już z obcymi, na wojnie, należało rozmawiać z pomocą miecza i włóczni.

– Wracamy zatem do podstawowego problemu – zauważył w pewnym momencie Ajgistos, ponownie zwracając uwagę Outisa. – Ten cały Kresfonton...

– Kresfontes.

– ...wszystko jedno... nie przegrał dotąd żadnej bitwy. Jak zamierzamy go pokonać?

– Wyczekajmy go – zaproponował Agapenor.

– Wyczekajmy? – Kylarabes uniósł się za stołem, rumieńce szczypały mu lico. – Chcecie czekać? Nie słyszeliście, co mówiłem? Teraz są zmęczeni, teraz jest nasz czas. Niech słuszny gniew poprowadzi nas...

– Bogi, niech ktoś kupi dzieciakowi tyryjską dziewczkę! – parsknął Drakomachos. Kilku Achajów wybuchnęło śmiechem, sypnęły się docinki, ktoś nawet rzucił w młodzieńca ogryzioną kością.

– Siadaj, chłopcze, tu się rozmawia poważnie – burknął stary Hyllos.

Król Argolidy klapnął na tyłek z naburmuszoną miną.

– Zanim zdążymy ich dopaść, wypoczną i upasą się na elidzkiej mące – podjął Drakomachos. – Jeśli chcemy zachować przewagę, musimy pchnąć szybkim marszem podjazdy, aby zaczęły ich kasać. Niech palą pola, przechwytyują zapasy, wyłapują patrole.

– Nie stać nas na palenie pól – odparł Tantalos. – Ludzie i tak głodują.

– Nie robi im więc różnicy, czy te marne resztki, które mają, zabiorą Dorowie, czy płomienie, prawda?

– A czy nie lepiej zwabić ich w głąb Półwyspu? – zapytał Agapenor. – Nie lepiej pozwolić im maszerować, oddalić się od wybrzeża i spodziewanego wsparcia z północy? Nękać ich po drodze, a potem tutaj wydać bitwę?

– Nie mamy czasu – powiedział Menelaos. – Po tej suszy czeka nas ciężka zima. Ludzie są niespokojni – i tutaj, i w moim kraju, i w Achai, i na beockiej granicy. Dorowie to dodatkowe dwadzieścia tysięcy głodnych gąb, które należy wygubić. Co do jednej.

– Zgadzam się z tobą, panie – poparł go Drakomachos.

– Tylko jak tego dokonać? – zapytał Tantalos.

Menelaos odwrócił się w stronę tarasu.

– Outisie? Więcej wina i jeszcze jedna rada?

Drakomachos pokręcił głową, cmoknął z niesmakiem.

– Mógłbyś sobie darować zabawianie nas swoją obcokrajową małpą.

– Outis walczył pod Troją. Nie zapominaj o tym.

Na królewskiego zauszniaka zwróciło się kilka nieprzyjaznych spojrzeń.

– Pytanie, po której stronie? – bąknął ktoś.

– Na Achaja to on nie wygląda.

Rozbitek podał Menelaosowi wino. Tymczasem Drakomachos ciągnął:

– Naszą największą siłą jest potężne uderzenie rydwanów. Dorowie nie potrafią z nimi walczyć, podobnie jak Makedonowie, Eolowie i inni górale. Boją się koni, boją się kos. To przemawia na korzyść planu zaatakowania ich jak najszybciej, póki są w Elidzie. Na równinie będą odsłonięci, w Arkadii jest zbyt wiele wzgórz.

Outis odchrząknął.

– Czego, małpko?

– Mądrze zrobisz, nie obrażając mojego przybocznego – warknął pan Lakedaimonu. – Mów, Outisie.

– Z całym szacunkiem dla szlachetnego Drakomacha... – W głosie zagadniętego zabrzmiało więcej niż nutka kpiny. – Ale ile rydwanów mieli obrońcy Naupaktos? Ile rydwanów miał Antyloch? Czy nie sądzicie, możni Achajowie, że Dorowie mogli się już nauczyć walczyć z waszymi niepokonanymi wozami bojowymi?

– Co więc proponujesz? – zapytał naczelny król Arkadii.

– Siłę Dorów stanowi Kresfontes. Musimy go wywabić i, jeśli się uda, zabić.

Tantalos machnął rękami.

– Nie da się, mówiłem już! – wykrzyknął. – On jest zwyczajnie nieśmiertelny. Podobno pod Naupaktos chwycił szarżujący na niego rydwan i cisnął nim w szeregi wroga. Po tym, co widziałem, wcale nie wydaje mi się to niemożliwe.

– Nikt nie jest nieśmiertelny – odparł Outis. – Nikt nie jest niepokonany. Nawet wielki Achilles-król padł w końcu pod ciosami miecza. Musimy pokazać, że Kresfontes to człowiek. Jeśli nie uda nam się go zabić, spróbujmy go chociaż zranić. Niech krzyczy, płacze, krwawi. Bogowie nie krwawią.

– Wszystko to pięknie brzmi, ale jest raczej mało przydatne – zauważył Agapenor.

– Co racja, to racja. – Menelaos kiwnął głową. – Czasami żałuję, że nie ma z nami Odyseusza, to był dopiero podstępny skurczybyk. Może jednak i sami coś uradzimy. Dzięki ci, Outisie, podoba mi się, jak myślisz. No, wracaj do kąta!

– Proszę o wybaczenie, panie, ale...

– Co tam znowu?

– Chyba mam plan.

* * *

Menelaos-król przyszedł do niej w pełnej zbroi, z mieczem zawieszonym na ramieniu. Wojenne narzędzia pewnie nieprędko miały mu się przydać, jednak ludzie musieli zobaczyć w nim wojownika, gdy będzie składał ofiary w świątyni Boga Morza, przyjmował błogosławieństwo w świątyni Bogini Ziemi i maszerował na czele armii przez miasto.

Helena siedziała przy krosnach w kobiecych komnatach, gdyż tak wypadało. Taki obrazek miały potem rozszeptać po mieście służki, licznie zgromadzone wokół swej pani. Nie chciała jednak, by gapiły się zbyt długo, pozwoliła więc im tylko pokłonić się panu, a potem odesłała precz.

– Jak się czujesz? – zapytała, kiedy zostali sami.

W posiwiałej brodzie błysnęły zęby.

– Dobrze. Najlepiej od długiego czasu.

– Zbroja musi ci ciążyć.

– Odrobinę. Jestem pewien, że kiedy byłem młody, robili je lżejsze.

Król zachichotał, przysiadł na stoliku. Oczy mu błyszcząły. Helena stwierdziła, że wyglądał... inaczej. Trochę jakby do komnaty weszło dwóch mężczyzn: jeden urojony, cudownie uleczony mocą rysztyunku i wizją wojny, drugi prawdziwy, objedzony z mięśni, przedwcześnie postarzały, niemal śmieszny w pancerzu przypominającym spiżowy dzban.

– Wydajesz się wypoczęty. To dobrze, czeka was długa droga.

– Dobrze spałem. I miałem miły sen... Nie zapytasz jaki?

– Jaki?

– Śniłem, że bogowie obiecali zdjąć ze mnie klątwę chryzejskich kapłanek, jeśli pokonam Dorów. To byłoby coś, nie? Szkoda, że nie jestem wróżem. Ale gdybym tak... gdybym wrócił uzdrowiony... Sądzisz, że moglibyśmy... że nie jest za późno...

Helena zauważyła, że dudni jej serce. Potrafiła myśleć tylko o miesięcznym krwawieniu, które spóźniało się już o tydzień. Czy powinna mu o tym powiedzieć?

– Sądzę, że powinieneś wrócić. To jest najważniejsze, mężu mój – powiedziała.

Menelaos pokiwał głową, przygryzł wąsa.

– Słyszałem dziś rano pieśniarza śpiewającego o moich i Agamemnona przewagach pod Troją. Pewnie chciał kawałek chleba wyłudzić od nadzorczyńni kuchni, przechera jeden. Ale wiesz, śpiewał, że nie sposób w jednym żywocie dokonać więcej wspaniałych czynów, niż myśmy dokonali, nie sposób lepiej przeżyć życia. A mimo to... mimo to myślę, że gdyby bogowie byli mi już przychylniejsi i chcieli robić dla mnie cuda, poprosiłbym, aby wymazali to wszystko, a mnie znów uczynili młodym.

– I dokonałbyś innych wyborów? Uniknął klątwy?

– Pewnie nie. Znasz mnie. Ale niektóre rzeczy zrobiłbym inaczej. Gdybym znów był młody, może my... No wiesz... Może wspólną część naszego życia udałoby się ułożyć inaczej.

Helena chwycił strach.

„Dlaczego się boję? Dlaczego jego słowa są tak straszne?”

Wstała od krosna, przez chwilę kusiło ją, żeby podbiec do Menelaosa, chwycić jego dłoń.

– Czemu to wszystko mówisz? – zapytała. – Skąd te myśli? Ten sen? Naprawdę go wyśniłeś?

Menelaos uśmiechnął się, zsunął ze stolika, sapnął, podszedł do żony, wziął ją za rękę.

– Wiesz dobrze, że wcale nie wrócę z tej wyprawy. Ciii... Spójrz na mnie. Jestem stary, słaby jak gówno. Na wojnie starzy i słabi giną.

* * *

W dzień bitwy było chłodno, od północy wiał kąśliwy, suchy wiatr. Niebo przybrało mleczną barwę. Wróżby wyszły niejasne, jakby Bóg Niebo zobojętniał na los swoich wybrańców. Kresfontes, który zerwał się przed świtem, by szykować ofiary, wściekł się na wieszczków i kapłanów, jednak wodzom swych wojsk pokazał spokojne, niemal obojętne oblicze.

Stanęli na szczycie łagodnego wzniesienia, gdzie czekała w szyku większa część armii. Przed nimi rozciągała się zielono-piaskowa równina, od lewej ograniczona lesistymi pagórkami, od prawej rzeką, przy której ciągnęły się spłachetki nieurodzajnych pól. W mniemaniu Kresfonta pozycja jego zastępów była niezła, jedyną słabość mogło stanowić lewe skrzydło, lecz tylko wówczas, gdyby Achajowie podprowadzili tam swoje rydwany, korzystając z osłony lasu. Dlatego kazał obwarować tamtą stronę wzgórza wbitymi w ziemię palami, a sam ustawił swoje stanowisko dowodzenia blisko tego miejsca, żeby w razie czego swą obecnością dodawać ludziom ducha. Mniej obawiał się natarcia z na wprost, mimo iż dawało wrogim wozom bojowym możliwość osiągnięcia pełnej prędkości. Jego żołnierze wprawili się już w zabijaniu koni strzałami i oszczepami, we wciąganiu pojedynczych rydwanów w zasadzki, wywracaniu ich, łamaniu osiek i szprych. Ale przy ataku z zaskoczenia lub w walce na niewielką odległość mogli ulec wozom bojowym.

Nad ustawionymi w otwartym polu oddziałami Achajów uniosły się dymy ofiarnych ogni. Wkrótce rozbrzmiały sygnały piszczalek. Przez równinę ruszyły ciężkozbrojne zastępy, wzbijając tumany kurzu.

– Dużo ich... – mruknął stojący u boku księcia Parmeniskios. Zawzięcie szarpał sięgającą pasa brodę.

– Wydaje ci się – odparł Kresfontes. – Idą szerokim szykiem, w istocie jest ich mniej więcej tyle, co nas.

Wiedział, że to nieprawda. Liczebność Achajów szacował na dobre dwanaście, może nawet piętnaście tysięcy. Nawet gdyby nie musiał zostawić części swoich żołnierzy w Akarnanii i Ozoliańskiej Lokrydzie, nie miałyby równie liczne wojska. Wierzył jednak, że zaprawieni w bojach wojownicy go nie zawiodą.

– Zobacz, jak się guzdrzą – powiedział. – To wszystko spalone na luwijskich łupach wieprze. Popędźmy ich trochę, co powiecie?

Wodzowie i przybocznicy wybuchnęli śmiechem. Bliżej stojący żołnierze zaczęli szeptem przekazywać sobie jego słowa.

Tymczasem dano sygnały i przed doryckie wojska wysforowały się grupki po kilkudziesięciu harcowników. Większość z nich stanowili młodzieńcy pragnący dowieść męstwa, zbrojni jedynie w miecze i hełmy. Podniósłszy okrzyk, ruszyli biegiem na pancerne achajskie żuki. Dopadli wroga w połowie pola, zaczęli przyskakiwać, wyłuskiwać pojedynczych wojowników ze spiżowych puszek. Kiedy odskakiwali, niektórzy ciskali jeszcze kamieniami lub strzelali z łuku. Po równinie poniosły się wrzaski, pierwsze trupy padły w kurz. Obrońcy Półwyspu zwolnili marsz, stanęli. Spomiędzy bloków ciężkiej piechoty wychynęli łucznicy, procarze.

– Dobra, zabierzmy ich stamtąd – rzucił Kresfontes. – Ruszcie ciężkozbrojnych. Niech idą od prawego skrzydła. Zobaczmy, czy uda nam się skurwysynów rozciągnąć jeszcze bardziej.

Padły kolejne rozkazy, zadzwieczyły piszczalki, gońcy smyknęli na prawo i lewo. Wkrótce grupki młodych wojowników zaczęły się rozpierzchać, cofać. Za to daleko na prawo, niedaleko rzeki, uniosły się tumany kurzu. Łoskot niby burza ogłosił starcie dwóch bloków pancernych mężów.

Książe skinął na jednego ze swoich przybocznych, tykowanego rudzielca imieniem Zenodoros.

– Ty masz lepsze oczy, Zenodorze. Widzisz, gdzie stanęły rydwany?

– Trudno cokolwiek rozeznąć w tym pyłe, panie. – Chłopak marszczył się, wytężał wzrok. –

Nie jestem pewien. Zda mi się, że przynajmniej część stoi w chmurze za piechotą.

– Przynajmniej część – powtórzył Kresfontes. – To by się zgadzało. Parmeniskiosie, miej baczenie na lewe skrzydło, choć wątpię, aby Menelaos-król tak szybko pokusił się o atak. Z tego, co słyszałem, to doświadczony wódz.

– A co ty uczynisz, panie?

– Trochę się rozruszam.

* * *

Kylarabes nie był pewien, czy to dziwne uczucie w podbrzuszu oznacza, że zaraz się porzyga, czy dostanie wytrysku. Właśnie zabił pierwszego w życiu człowieka. W uszach mu huczało, miał zimne dłonie, oczy przesłoniła mu czerwona mgła. Chciał wierzyć, że była oznaką szału bojowego, a nie czegoś innego. Strymon, dawny przyboczny jego ojca, wepchnął się z tarczą przed podopiecznego. Dźgnął jakiegoś Dora mieczem, potem napał barkiem na swego króla, aby ten się cofnął. Otoczyli ich achajscy żołnierze, spychający wroga w tył.

– I jak, chłopcze? – zawołał stary, przekrzykując wszechobecny łoskot.

Kylarabes wziął głęboki oddech, zatknął się, wziął następny. Uniósł miecz i ryknął:

– Naprzód, Achaje! Argolida!

Wokół poniósł się odzew argolidzkiej młodzie, i teraz gołolicy król był już pewien, że zdecydowanie nie będzie rzygał. Wraz ze Strymonem rzucił się z powrotem w wir walki. Przyboczny pozwolił mu wymienić kilka ciosów, po czym ponownie zepchnął go na bezpieczną odległość.

Wtedy pośród Dorów poniósł się dziwny szmer. Władca Argolidy poczuł jakby zbiorowe drżenie przechodzące achajskich żołnierzy.

Ktoś z armii wroga krzyknął:

– Kresfontes!

Kto inny:

– Naprzód, Heraklidzi!

Młody wódz przepchnął się do pierwszego szeregu. I wtem go zobaczył: niewysokiego męża w niezwyklej, srebrzystoszarej zbroi. Górale ustępowali mu z drogi. Wrzeszczeli. Wznosili broń.

„Idzie prosto na mnie” – zdążył pomyśleć Kylarabes. W następnej chwili poczuł już, jak prawe ramię cierpnie mu pod wpływem huczących o tarczę ciosów. Odruchowo spróbował się cofnąć, lecz nie miał gdzie. Wszędzie ciała, tarcze, zbroje, spoczone ramiona. Czyjś oddech na szyi, na uchu, czyjś łokieć wbijający się w plecy.

– Z drogi! – zawołał, uderzając mieczem. – Z drogi! Z drogi!

Nie miał pojęcia, dlaczego wyrzaskuje te bezsensowne słowa. Tłukł mieczem. Nagle ostrze zgrzytnęło, skrzeszło skry o srebrzysty hełm. Mignęła mu zakrwawiona twarz, potem wściekle oczy Kresfontesa.

Strymon znów wpakował się przed swego pana. Pchnął. Ostrze odskoczyło od szarej zbroi. Dorycki wódz uderzył nisko, w kolano. Stary jęknął, upadł, zniknął pod nawałą ciał.

Tymczasem ludzki prąd poniósł Kylarabesa w przeciwnym kierunku, z dala od Kresfonta. Młody król odetchnął. Czuł wdzięczność, że to nie on stoi teraz naprzeciw strasznego wroga, że

kto inny będzie musiał umrzeć, że ten potwór... ten potwór...

Tok jego myśli przerwały groty włóczni, które nagle wyprysnęły z naprzeciwnika. Ktoś jęknął tuż obok. Król poczuł uderzenie, usłyszał zgrzyt przebijanej spiżowej blachy. Chciał krzyknąć, naprawdę bardzo chciał krzyknąć, lecz zamiast głosu dobył z piersi charkot. Krztusił się, krztusił metalem, gorącym, płynnym... Nie. Grot. Grot musiał przebić się przez chroniący szyję kołnierz. Jakiś zupełnie zwyczajny dorycki piechur uderzył Kylarabesa włócznią.

– Bronić króla! Bronić króla!

Pochwycono go za ramiona. Zobaczył niebo, usłyszał głosy przybocznych. Chwilę później leżał już na ziemi, rozpinano mu zbroję. Ręce. Ręce w krwi. Pochylone twarze.

* * *

Kresfontes wracał na wzgórze zdyszany, umazany posoką. Ściągnął hełm, potrząsnął czupryną, rozsiewając krople potu. Swędziała go blizna.

– Wody i szmatę! – zakrzyknął.

Podbiegł młody przyboczny, pomógł mu się obmyć.

– Wina!

Wyłopał pół bukłaczka cienkusza rozcieńczonego wodą przynajmniej pół na pół. Potem parsknął, splunął, przypuścił do siebie Parmeniskiosa.

– Nie próżnowałeś – rzucił brodacze. – Poszła wieść, żeś zabił króla Argolidy.

Książę przetarł twarz, rozmasował powieki.

– Tak mówią? A cholera wie, może tam i był król Argolidy. Jak sytuacja na lewym skrzydle?

– Spokojnie. Trochę lekkiej piechoty kryje się po krzakach. Wyskoczą od czasu do czasu, żebyśmy się nie nudzili, wlezie jeden z drugim na sosnę i strzałę pośle. Nic takiego.

– Doślij tam oddział ciężkozbrojnych. Zobacz, na środku, tam, gdzie się wpierdoliłem, szyk Achajów się chwieje. Gdyby puścili bokami rydwany, daliby im chwilę wytchnienia. A jednak tego nie robią. Knują coś. Mam przeczucie. A wiesz, jak to jest z moimi przeczuciami.

– Ojciec Niebo szepce ci do ucha?

Kresfontes kiwnął głową.

– Co z prawym skrzydłem? – zapytał.

– Bijemy się zawzięcie z Mykeńczykami Drakomachosa.

– Wiesz coś o nim? Kto to taki?

– Zausznik króla Ajgista. Jeśli wierzyć jeńcom, srogi wojownik i dobry wódz. Przed wojną dowodził królewską strażą w Mykenach.

– Telefos się trzyma?

– Cofa się, chyba próbuje wciągnąć Achajów na stok, zmusić do marszu pod górę.

Kresfontes przygryzł wargę, popatrzył ku wzgórzom, pod którymi co i raz wybuchały drobne starcia, potem ku niebu. Słońca nie było widać, ale musiało stać w zenicie, bo powietrze było cieplejsze.

– Niech Stolos szykuje swoich ludzi. Poprowadzę ich na prawe skrzydło. Telefos zasłużył na krótki odpoczynek, posiłek. Przypilnuję, żeby zmiana przeszła gładko, pokażę się tu i tam,

i wróć najszybciej, jak to możliwe. A ty wciąż dawaj baczenie na ten las.

* * *

Mur tarcz pękł, a przez wyrwę przelała się fala wojowników. Cięto ich bez miłosierdzia, zwalano z nóg, jednak szła i tłok pchały kolejnych naprzód.

Straż Agapenora zwarła szyk, włócznie skosztowały krwi. Pękło jedno drzewce, drugie, zahaczały tarcze. Dorowie zwalili się na nich bezładną gromadą, z wrzaskiem. Szyk zafalował. Arkadyjczycy postąpili krok wstecz. Jakiś młody góral rzucił się prosto na groty, wył, pluł krwią i spienioną śliną, parł naprzód, choć przebodły go trzy czy cztery kawały spiżu.

Agapenor spokojnym ruchem odebrał od najbliższego wojownika włócznie, przymierzył. Odczekał, aż oszalały chłopak ugrzęźnie na barkach jego przybocznych. Uderzył. Grot trafił prosto w podbródek, zamknął rozwarłe do krzyku usta.

Arkadyjski król cofnął się, puszczając więcej żołnierzy przed siebie.

– Zamknąć wyrwę! – zawołał, unosząc głos ponad grzechot bitwy.

Jeden z setników podjął zew:

– Słyszeliście, zamknąć wyrwę, psubraty! Zamknąć wyrwę! Naprzód! Tarcze razem! Ruszać się, bo nogi z dupy powyrywam!

Agapenor powiodł swoją drużynę na lewo, bliżej środka szyku. Im dalej od boków, tym bardziej bezładna wydawała się walka. Miast równych bloków wojska, ścierały się z sobą bandy. Na wewnętrznej krawędzi achajskiego prawego skrzydła bili się Tegejczycy pod Merionesem, podwładnym arkadyjskiego króla. Umęczeni byli srogo, rozciągnięci.

– Merionesie! – zawołał Agapenor. – Gdzie Meriones-król z Tegei?!

Na tyłach szyku kręcili się niewolnicy i medycy opatrujący lżej rannych, a okaleczonych i nieprzytomnych odsyłający ku taborom. Spośród nich wystąpił starszy mężczyzna o łysej czaszce.

– Pan nasz bije się w pierwszym szeregu! – odrzyknął. – Meles, brat jego, ciężko raniony.

Naczelnny pan Arkadii pokiwał głową, po czym posłał jednego z przybocznych, aby przepchnął się do poszukiwanego. Drugiego puścił z rozkazami, aby wojownicy z jego krainy przesunęli się ku środkowi szyku.

Zjawił się Meriones. Ubabrany był krwią i błotem.

– Rzną nas w dupę, Agapenorze! – zabeczał. – Rzną jak Makedonowie kozy!

– Widzę. Co się stało?

– Co się stało? Argolida się sypnęła. Jebani Argiwi puścili na nas wielką śmierdzącą kupę Dorów.

– Jak do tego doszło?

Meriones wzruszył ramionami.

– Jeśli można się wtrącić, szlachetni panowie – odezwał się ponownie łyсы medyk. – Słyszałem, że Kylarabes-król zabity.

– Kurwa – stęknął Meriones.

– To pewna wiadomość? – zapytał Agapenor. Medyk tylko rozłożył ręce. – Nieważne. Zaraz dostaniecie wsparcie, Merionesie. Ja tymczasem wracam do Menelaosa-króla.

– Lepiej, żeby stary jebuła wiedział, co robi.

* * *

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? – zapytał Ajgistos.

– Nie.

Menelaos uśmiechnął się, widząc zmieszanie na obliczu drugiego króla. Stali w rydwanach, na prawo i na lewo od nich piechurzy obracali w dłoniach drzewca włóczni, poprawiali paski od tarcz na karkach i ramionach.

– Co tam się właściwie dzieje? Nic stąd nie widać. Niepokoi mnie ten zamęt na pozycjach Argiwów.

– Za dużo się martwisz, Ajgiście.

Woźnica pana Lakonii poruszył się nagle. Wskazał na coś.

– Popatrz, panie! Idą ku nam jacyś zbrojni.

W istocie niedługo przed oboma władcami stanął Agapenor w towarzystwie straży przybocznej. Całe jego prawe ramię, bark i połowę twarzy zdobił wykwit czerwieni.

– Agapenorze, jak idzie bitwa?! – zawołał na jego widok Menelaos.

– Ani po twojej myśli, ani wbrew niej, jak na razie. Ale kosztowała już życie dwóch królów. Młody Kylarabes padł, podobno z ręki doryckiego wodza. Nie żyje też Hyllos. Z tego, co słyszałem, chciał zagrać swoich do boju, lecz zbłąkana strzała spłoszyła mu konie. Rydwan się wywrócił i zgniótł starego na miazgę.

– Niefortunnie. Kylarabes nie miał rodzeństwa ani potomków. Mówiłem durniowi, że to zła wróżba pchać się do bitwy, nie wyobracawszy przedtem jakiejś dziewczuchy.

– W istocie. Nie o tym jednak chciałem mówić.

– O czym więc?

– Myślę, że powinniśmy zmienić plan, póki nie jest za późno. Jeśli zewrzemy szyk, powinniśmy przetrzymać Dorów do wieczora. Zbyt są karni, żebyśmy byli w stanie ich rozbić jednym uderzeniem, ale nie dysponują tak licznym wojskiem, jak się obawialiśmy. Zmusimy ich do przyjęcia jeszcze kilku bitew, niech się męczą, krwawią, powoli wymierają.

– Agapenor ma rację – powiedział Ajgistos. – Od początku wydawało mi się, że podejmujemy zbyt duże ryzyko. I to wykonując plan obmyślony przez niewolnika.

– Outis jest wolnym człowiekiem. A zresztą, wbrew temu, co mówisz, Agapenorze, jest już za późno. Widzicie dym nad lasem? To znak. Zaczynamy.

* * *

Od chwili, gdy nad lasem ujrzano dym, sprawy potoczyły się zatrważająco szybko. Kresfontes wycofał się z walki, klepiąc żołnierzy po ramionach, wykrzykując słowa zachęty. Wraz ze strażą przyboczną dołączył do ostatniej rezerwy, jaką stanowiło pięciuset dziarskich mężów z jego rodzinnego Erineosu. Zastęp ten pchnął na lewe skrzydło, gdzie już szeptano, że spośród drzew dochodzi łoskot taki, jakby nadjeżdżało tysiąc rydwanów.

– Odwagi, Heraklidzi! – ryknął Prokles, który dowodził tym odcinkiem szyku. – Księżę jest z wami! Nieśmiertelna krew!

– Nieśmiertelna!

Ledwie przebrzmiał okrzyk, a pomiędzy drzew buchnęła chmura pyłu. Pchały ją naprzód czarne sylwety rydwanów. Konie rwały darń kopytami. Powietrze drżało wizgiem i grzechotem.

Szereg Dorów zafalował. Wielkookie dzieciaki i zaprawieni w bojach mężowie chowali głowy w ramiona, mimowolnie cofali się, wtulając w dyszących im na kark towarzyszy. Strach uniósł się śmierdzącą chmurą, uderzył w nozdrza Kresfonta, obudził w nim wściekłość.

– Co robisz, panie?

Przyboczny Zenodoros spróbował chwycić wodza za ramię, lecz ten wyrwał się, przepchnął przez zwarte zastępy, stanął przed szeregiem, plecami do nadciągającego wroga.

– Czego się kulicie, ścierwa?! – wrzasnął. – Włócznie naprzód, razem tarcze!

Księżę posłyszał za sobą syk strzał. „Głupcy – pomyślał. – Są za daleko”. Mylił się, pojedyncze pociski uderzyły w ziemię z dźwiękiem bijącego gradu. Kilka huknęło o tarcze. Jedna dosięgła brzydala, ugrzęzła w pancerzu. Kresfontes zamarł. Tysiąc oczu gapiło się na niego w wyczekiwaniu.

– No, to teraz mnie wkurwili – powiedział. – Oszczep!

Ktoś wepchnął mu do ręki drzewce. Heraklida odczekał, licząc w pamięci uderzenia serca. „Niech się zbliżą, niech się zbliżą”. Wreszcie obrócił się na pięcie, jednocześnie biorąc zamach. Rzucił. Nie celował, bo wiedział, że Bóg Słońce poprowadzi pocisk. Grot uderzył łuczника z jednego ze zbliżających się rydwanów, wyrzucił go w powietrze jak szmacianą lalkę.

Dorowie wzniesli okrzyk. Ludzka fala obmyła Kresfonta, kiedy postąpili naprzód. Sypnęły się strzały, kolejne oszczepy. Uszy zaatakowało wycie, w którym trudno było odróżnić krzyk ludzi od kwiku koni. A gdy wozy wpadły między nich, postąpili tak, jak ich nauczono. Rozstępowali się, wciągali konie w rowy i na pale, atakowali od boków. Nie ulegali strachowi, mimo iż kopyta tłukły ich towarzyszy na miazgę, kosy urywały nogi.

Ani się obejrzeni, a było po wszystkim. Ucichł łomot spizu, zastąpiły go radosne wołania wymieszane z zawodzeniem rannych. Tu i tam spod strzaskanego rydwanu zakwilił jakiś krwawy strzęp mięsa.

„Coś jest nie tak – zauważył księżę. – Za szybko poszło. Za łatwo. Coś jest nie tak”.

* * *

Woń żywicy i drapiąca skórę kora niemal – niemal – wydobyły z otchłani niepamięci wspomnienie. Mężczyzna i chłopiec... Ojciec i syn? Popisy. Dziecięce popisy. O co chodziło?

Outis przerwał wspinaczkę, by złapać dech. Otarł pot z czoła. Na dłoni została czarna smuga. Wzniesiony przez rydwany obłok pyłu jeszcze nie opadł, powietrze zdawało się chrząścić w gardle.

„Cóż, sam jestem sobie winien” – pomyślał rozbitek i chwycił kolejny konar.

Zamontowanie do osiek rydwanów metalowych grabek było jego pomysłem. Wielkie ilości kurzu i dodatkowy hałas miały sugerować, że pojazdów jest znacznie więcej niż w rzeczywistości. Z tego, co widział, plan wypalił. Na skrzydle doryckiego wojska zgromadziła się znaczna liczba żołnierzy. W tłumie migotał też hełm Kresfonta wykonany z charakterystycznego srebrzystoszarego metalu.

Outis usadowił się wysoko, blisko samego czubka drzewa. Z zaciętymi ustami patrzył, jak przypominające dziecinne zabawki rydwany wpadają między spiżowe figurki wojowników. Jak kosy podnoszą różową mgiełkę tam, gdzie zderzą się z ciałem. Jak padają konie, giną załogi. Zabawkowe ludziki, śmieszne z tej odległości, a jednak w ich maleńkich piersiach biją prawdziwe serca. Podnoszą okrzyki ku czci swoich wodzów, potem padają, by kasać ziemię tak odległą od tej, która ich wykarmiła.

Lalkowy spektakl szybko się skończył. Ostatnie rydwany umykały ku achajskim taborom. Przyszła pora na kolejny ruch.

* * *

Jeszcze nie opadł kurz, gdy na polu między lasem a doryckimi szeregami zamajaczył długi rząd włócznie. Podniósł się pean, tysiąc stóp zadudniło o ziemię. Z okrzykiem „Achaja!” żołnierze ruszyli na wroga.

Kresfontes westchnął, poruszył ramieniem, by rozluźnić mięśnie. Był znużony. Bitwa zaczęła się porankiem, tymczasem zapadał już wieczór. Szumiały drzewa. Przez chmury przesiąkały resztki różowego blasku. Silny wiatr wiał od wzgórz, gnał przez okrytą krwawym błotem równinę.

– Równaj szyk! – rzucił wódz do przybocznych.

„Równaj szyk, równaj szyk, równaj szyk...” – poniosło się wzdłuż szeregu.

– Naprzód!

„Naprzód, naprzód, naprzód...”

Tarcze na powrót zrosły się w mur. Równym krokiem pomaszrowali naprzeciw zbliżającym się wrogom.

„Jeszcze tylko chwilkę – pomyślał Heraklida. – Jeszcze tylko odrobinę”.

Przyspieszył do truchtu.

– Dalej, leniwe jebaki! – zawołał. – Na ruchanie dość macie sił, a na bieg nie? Biegiem! Biegiem! Naprzód! W nich! Bij! Bij kurwich synów!

Mniej więcej w pół drogi do lasu zderzyli się z wrogiem. Poszły w ruch ostatnie włócznie, potem chwycono za miecze. Kresfontes przepchnął się do pierwszego szeregu. Ktoś na niego wpadł. Książę sapnął. Poczuł ostrze zsuwające się po nieosłoniętej części nogi, krojące skórę. Uderzył na oślep. Zwarł się z nieprzyjacielem. Zadał kilka ciosów, kilka przyjął na tarczę. Potem pozwolił przybocznym odciągnąć się poza zasięg walk.

Tam przepadł do niego goniec.

– Panie, szlachetny Parmeniskios wzywa cię do siebie.

– Aha. – Kresfontes kiwnął, żeby dać mu wina. – Z czym nie może sobie poradzić tym razem?

– Potężny zastęp wzmocnił środek achajskiego szyku. Argiwi, których pobiłeś, wycofali się, ale ich miejsce zajęli Lakończycy i Mykeńczycy. Powiadają, że sam Menelaos-król powiódł do szarzy rydwany.

Książę popatrzył ku pospiesznie cofającym się w stronę lasu Achajom. „Zwykły zwód – zrozumiał. – Chcieli tylko odwrócić moją uwagę, odciągnąć mnie jak najdalej”.

– Wracaj do Parmeniskiosa i powiedz mu, że wiodę Erineos na pomoc. Niech każe też

Telefosowi wracać do walki, jeśli jeszcze tego nie zrobił.

Goniec skłonił się i pobiegł na szczyt wzniesienia, gdzie stał brodaty wódz. Tymczasem brzydal zwrócił wzrok na Zenodorosa.

– Daj wody, łeb zaraz stanie mi w ogniu.

Przyboczny zakręcił się, wrócił z bukłakiem. Księżę ściągnął hełm, polał sobie głowę, parsknął. Rozwodniony pot spływał mu do oczu, piekł.

– Dobrze. Tak lepiej. Teraz...

Nie dokończył zdania. Gwizdnęła strzała, ugodziła go prosto w twarz.

* * *

Outis opuścił łuk.

ROZDZIAŁ XIX

Eumajos stał oparty o murek na tyłach swego domu i mrużąc oczy, śledził podróż tajemniczego przedmiotu, którym Bóg Morze miał kaprys rzucać raz w tę, raz we w tę. Niebo było chmurne, takie też myśli kłębiły się w głowie starego. Dzień wcześniej rybak Bukoli wypłynął z pięcioma synami na połów i nie powrócił. Czy mogła to być jego łódź?

– Eumajosie?

Rządca portu drgnął. Syknął, gdy ból przeszył prawy bark. Pomyślał, że za długo się wyślipiał, wsparty łokciami o kamień. Zerknął przez ramię, wyszczerzył przerzedzone uzębienie.

– Pani Ifigenio – powiedział. Przez chwilę grzebał w pamięci w poszukiwaniu jakiegoś wyszukanego słowa, którym mógłby ją uraczyć. Przez głowę przewinęły mu się strzępy zdań o słońcu i pięknych rzeczach. W końcu zdobył się tylko na: „Miło cię widzieć”.

Mówił szczerze. Oglądanie piegowatej twarzyczki było najmiłszym momentem każdego dnia, mimo iż wraz z upływem czasu oblicze to stawało się jakby... jakby mniej świetliste. Na początku Ifigenia sama odnajdywała drogę do portu, jednak od pewnego czasu zaczęła polegać na ramieniu służki. Niepokoiło to Eumajosa.

– Nadal żadnych wieści?

– Niestety nie, pani. Musisz jednak uzbroić się w cierpliwość. Na zimę ruch ustanie prawie zupełnie, pewnikiem więc usłyszymy coś nie prędzej jak na wiosnę. Pamiętaj też, że Zachodnie Wybrzeże całe w rękach Dorów, w Elidzie wojna, w Mesenii chaos po śmierci Antylocha-króla. To znaczy, że nasi będą musieli uciekać na wschód, jeszcze dalej od nas.

– Martwię się.

– Hm. Nabu z pewnością będzie umiał o siebie zadbać. Liczba ludzi, których zabił w twojej obronie, rośnie, ilekroć odwiedzę tawernę.

Zachichotał, Ifigenia uśmiechnęła się tylko.

– Myślałam raczej o Oreście. Dzięki boskiemu wzrokowi zawsze byłam pewna, że wiem, co się z nim dzieje, ale ostatnio...

Stary zmieształ się wyraźnie.

– Wybacz, pani – bąknął. – Sądziłem... Nie wiem, dlaczego pomyślałem o Nabu.

Dziewczyna chwyciła go za rękę.

– Ja wiem. O niego też się martwię, Eumajosie. Tylko odrobinę mniej. Ale pewnie przeszkadzam ci tym marudzeniem, co? Twój sługa mówił, że stoisz tu od rana i czegoś wypatrujesz.

– Taaak. Po prawdzie zamierowałem wziąć kilku chłopca i przejść się na cypel. Fale niosą coś do zatoki.

– Idź zatem. Jeśli nie masz nic przeciwko, poczekam tu na ciebie. Lubię słuchać morza.

Wieszczka wymacała krawędź murku i spróbowała na nią wskoczyć. Noga jej się ześliznęła.

Rządca przyskoczył, żeby pomóc, ale odgoniła go ze śmiechem i wdrapała się sama. Zawołała służkę, zapatrzoną w swą tymczasową panią jak w obrazek. Siadły plecami jedna do drugiej.

Stary tymczasem zabrał kilka krzepkich sług i pomaszerował wzdłuż krawędzi zatoki tą samą ścieżką, którą kilka miesięcy wcześniej Odys biegł z pomocą Teukrowi i jego załodze.

Okazało się, że wypatrzone przez Eumajosa obiekty to rzeczywiście spora rybacka łódź. Nie miała wiosła, a jej żagiel był zwinięty. Nie miała też załogi. Podskakiwała na falach, dopóki nie ugrzęzła na przybrzeżnych skałach. Dwóch spośród towarzyszących rządcy chłopaków zrzuciło tuniki i ostrożnie zeszło do wody. Przeciągnęli łupinę w bardziej dostępne miejsce i tam z pomocą pozostałych wyciągnęli na brzeg.

Stary przepchnął się bliżej, żeby lepiej widzieć. Na dnie łodzi przelewała się odrobina zabarwionej na brunatno wody. Po sieciach zostały jedynie strzepy. Głębokie blizny widniały w tych miejscach burty, gdzie odcięto liny mocujące sieci. Jedna z ławeczek dla wioślarzy była pęknięta na pół.

– Ktoś ich napadł?

Eumajos kiwnął głową.

– Pewno tak – mruknął. – No nic, zanieście łódź do portu.

Puścił sługi przodem, sam zaś powoli wędrował z powrotem, próbując sobie przypomnieć, ilu spośród synów Bukolego było już żonatych. Przemyślenia przerwał mu jeden z chłopaków, który wrócił się od miasteczka, wołając:

– Panie, panie, jakieś poruszenie pod twoim domem! Tłum się zebrał!

Stary przyspieszył kroku. Dogonił sługi, kazał im zostawić łódź. Pod domem faktycznie kręciły się dobre dwa tuziny ludzi.

– Co tu się dzieje? – szczechnął Eumajos. – Czego w okna mi się gapicie?

Spomiędzy zebranych przepchnął się na oko dwunastoletni chłopiec.

– Panie, panie! Ojciec kazali powiedzieć, że na północy widziano statki. Niosły zbrojnych.

– Statki... Jakie statki? Znajome?

– Nie, panie, obce. Nie nasze ani nie Mentesa-króla, ani nie kefaleńskie. Cztery ich było, na każdym pięćdziesięciu wojowników, część w ciężkich zbrojach. Tak ojciec kazali powiedzieć.

Zza domu wyłoniła się Ifigenia.

– Eumajosie? Co się stało?

Stary szarpnął wąsa.

– Jeszcze nic, pani. Ale stać się może. Lepiej będzie, jak wrócisz do pałacu. Niech ktoś leci po szlachetnego Pizystrata.

* * *

Wiść o obcych statkach wojennych szybko obiegnęła wyspę. Wielu ludzi schroniło się w zamku i za murami miasta, lecz ponieważ trwały żniwa, tyleż samo, albo i więcej, postanowiło odkurzyć broń i obwarować się w gospodarstwach. Pizystrat, poza postawieniem w gotowość tej części drużyny, którą zostawił mu Telemach, wezwał także pięćdziesięciu chłopskich synów i wyposażył ich w broń z królewskiej zbrojowni.

Dzień minął w drżącce, wśród pospiesznych przygotowań i lamentów kobiet. Pod wieczór

w mieście zaczęło cichnąć. Ktoś przebąknął, że może przybysze popłynęli na Leukas albo zawrócili ku Akarnanii. Nim jednak słońce zatoneło w morzu, nim ostatnie krwiste krople wyparowały z powąy chmur, na północno-zachodnim krańcu Itaki dostrzeżono dym. Brudny, czerwonobury dym. Kiedy zgasły ostatnie łuny wieczoru, rozświetlił go blask.

Wkrótce do miasta napłynęli uchodźcy. Mówiono, że zginął jednonogi Kratis, a jego gospodarstwo zostało spalone. Erichtonios, ongiś żołnierz Laertes, a potem Odyseusza, bronił się nadal.

Pizystrat przepędził noc na czuwaniu. Spoczął dopiero, gdy przyniesiono wiadomość, że najeźdźcy zrabowali, co mogli, i odpłynęli.

* * *

Zbudziła go najdelikatniejsza pieszczota chłodnych, smukłych palców. Znajdował się w dawnej komorze Telemacha. Przed snem ściągnął zbroję, lecz nadal miał na sobie gruby kaftan. Potrząsnął głową, jakby senność była ciecżą, w której dopiero co tonął. Uniósł się na łokciu.

Przy łożu klęczała Penelopa. Miała rozpuszczone włosy, ubrana była jedynie w cieniutką koszulę, przez którą prześwitywały zarysy krągłości. W blasku poranka pojedyncze pasemka siwizny zdawały się skrzyć pośród złotych loków. Wokół ust i oczu przysiadły drobniutkie zmarszczki. Królowa uśmiechała się lekko.

Pizystrat nie był z nią, odkąd odpłynął Telemach, mimo iż jako namiestnik króla dużo czasu spędzał w pałacu. Słodkie ciepło rozlało mu się po podbrzuszu, ściekło niżej. Zarumienił się bezwiednie.

Wtedy jednak Penelopa wstała.

– Czy coś się stało? – zapytał młodzieniec. Ziewnął. – Bogi, czuję się, jakbym ledwo co przyłożył głowę do posłania.

– Mentos przybił do portu.

– Mentos?

– Ma ze sobą stu wojowników. Eumajos pozwolił mu zacumować, ale nie jest pewien, czy powinien go wpuścić na zamek.

– Co, z powodu tamtej bójki? – Pizystrat wstał. Podeszedł do miski, żeby przepłukać twarz. – Zaraz do niego pójde.

Ogarnął się, poszczypał w policzki, żeby odgonić niewyspanie, i ruszył prosto do portu.

Przy pomocy cumowały dwa nowe okręty. Kręciło się przy nich pięciu czy sześciu uzbrojonych mężczyzn, kolejny tuzin rozsiadł się po skałach i pałaszował śniadanie. Reszta załogi obległa dom Eumajosa, z którego właśnie wynoszono dla nich kosze chleba i miski sera. Sam rządcą siedział na ławce przed drzwiami. Stali nad nim Mentos i Kekrops.

– Bogi z tobą, Mentosie! – zawołał namiestnik wyspy. – Bogi cię nam zsyłają.

Łasicowaty mężczyzna uśmiechnął się blado.

– Nie bogi, tylko zwykła przezorność. Wygląda na to, że nasz mały problem z piratami wcale nie jest rozwiązany. Dlatego chciałem, żebyśmy znowu połączyli siły i na nich zapolowali.

– Obawiam się, że nie mamy w tej chwili dosyć ludzi. – Pizystrat zauważył, że Eumajos

marszczy ostrzegawczo brwi i stroszy brodę, ale postanowił nie zwracać na to uwagi. – Telemach opuścił wyspę, zabierając część żołnierzy, a dopiero co zostaliśmy zaatakowani.

Mentes zwrócił oczy w stronę portu.

– Wiem – odparł. – Słyszałem, że Telemach odpowiedział na wezwanie Menelaosa-króla. Starliśmy się też z Dorami, którzy na was napadli.

– Rozumiesz zatem, że nie mogę opuścić wyspy.

– Oczywiście. Nie to miałem na myśli.

– Co zatem?

W oczach przybysza z Tafos błysnęły błękitne ogniki.

– Zasadzkę – powiedział. – Dorowie odpłynęli, ale wrócą lada dzień, może nawet dziś.

– Skąd ta pewność? – zapytał Eumajos.

– Pojmaliśmy kilku i... porozmawialiśmy z nimi. To nie są zwykli piraci. Zostali wysłani, aby odszukać konkretną osobę.

– Kogo?

– Ifigenię, córkę Agamemnona.

– I wiedzą, że znajduje się na Itace?

Mentes przysiadł na ławce obok starego. Wyciągnął przed siebie nogi.

– Zabawna historia – powiedział. – Pamiętasz statek, który oswobodziliśmy podczas naszej ostatniej wyprawy, Pizystracie? Otóż jego dowódca, którego wyzwolenia tak bardzo domagał się Telemach, znał się z dowódcą statku, na którym podróżowała Ifigenia. I to on zdradził Dorom, dokąd jego dobry druh zmierza. Ot, kpina losu.

– Wiesz, że Telemach gwałtowny jest z usposobienia...

– Wiem, dlatego nie chowam urazy. Będzie mógł mnie przeprosić, kiedy wróci. Tymczasem radzić nam, jak wygubić tych piratów. Bo psują handel tak Tafos, jak i Itace, i stanowią zagrożenie dla nas wszystkich.

– To prawda. – Pizystrat poważnie kiwnął głową. – Widzę, że waszymi ludźmi już się zajęto. Zaraz pójde na zamek i każę naszykować...

Rządca przerwał mu kaszlem brzmącym, jakby kule błota ścierały się ze sobą w głębokim jarze. Zgiął się wpół, charknął flegmą i kasłał dalej, aż mu łzy w oczach stanęły. Mentes patrzył na to z uniesionymi brwiami. Stojący nieco dalej Kekrops z odrazą.

Przyjaciół Telemacha podał wiekowemu rządcy portu rękę, uniósł go z ławki.

– Chodź, stary – powiedział. – Wykaszl się na stojąco, prędzej puści.

– Dzięki. Chyba jakąś muchę, psiamać, łyknąłem. Nie, nie, Mentese, nie wstawaj. Nic mi nie jest. – Jeszcze raz kaszlnął potężnie, jeszcze raz splunął. – Oj, przytkąłem się. Przejdź ze mną kawałek, Pizystracie, zaraz wrócimy do narady.

Obeszli dom, a gdy znaleźli się na wychodzącym na morze podwórku, Eumajos wyprostował plecy, popatrzył, czy nikt aby nie podsłuchuje. Atak kaszlu cudownym sposobem minął.

– Bardzo jesteś prędki przymierzyć się z tym nicponiem, chłopcze.

– Z Mentese? – Młodzieniec również się obejrzał. – Przywiózł ze sobą stu wojowników, przydadzą się, jeśli Dorowie zaatakują ponownie.

– Nie wiem, czy chciałbym walczyć z nim u boku. Widziałem, jak patrzył na młodego pana, kiedy się pokłócili.

– Daj spokój, stary. Ja walczyłem już z nim u boku i żyję. Nie powiem, że bym go lubił, ale ma rację... łączy nas wspólne dobro. Lepszy taki sprzymierzeniec niż żaden.

– Na pewno?

Pizystrat zmarszczył brew. Myślał i myślał.

– Chyba nie podoba mi się to, co masz na myśli – powiedział w końcu. – Jesteśmy Achajami, towarzyszami broni. Piliśmy wino i łamaliśmy się chlebem. Mogę nie przepadać za Mentese, mogę mu nawet nie ufać, ale nie odrzucę pomocy. Na wojnie honor jest prawem Achajów.

Eumajos potrząsnął siwymi włosami.

– Poza honorem dobrego wodza cechuje także rozwaga. Odyseusz-król to rozumiał. Nie puszczaj ich chociaż do cytadeli.

– Kiedy tam przydadzą mi się najbardziej. Dorowie będą chcieli dostać się do zamku, do Ifigenii i Penelopy-królowej. Na to nie możemy pozwolić.

– W takim razie niech Mentese pozostanie ze mną na murach miejskich. Będę miał na niego oko.

– Dobrze, do cytadeli wpuszczę Kekropsa z połową przywiezionych z Tafos żołnierzy. To kuzyn mego ojca. W więzy krwi chyba nie wątpisz, co, stary?

Rządca burknął coś w brodę, popatrzył ku morzu.

* * *

– Są! Są! Statki!

– Cichaj, kapcanie – warknął Eumajos. – Przecież wszyscy widzą, że statki.

Wzdłuż miejskich murów poniosł się szmer głosów. Zabrzęczały przesuwane metalowe kosze, zasyczały rozdmuchiwane węgle, ktoś zaklął, oparzywszy się w palec. Ciemność nocy na chwilę zrzędła, lecz zaraz przesłonięto żar, rozwieszając wilgotne szmaty.

– Pewne siebie, skurwysyny – zaburczał jakiś żołnierz. – Pchają się prosto do portu. Gdybyśmy ich teraz ostrzelali płonącymi pociskami...

– Gdybyśmy ich teraz ostrzelali – przerwał Mentese – połowa z was by chybiła, a oni szybko pogasiliby strzały i zwiewali gdzie pieprz rośnie. Za to, jeśli poczekamy, pozwolimy im rozleźć się po porcie, a dopiero potem weźmiemy na cel statki...

– Zostaną uwięzieni między murami miejskimi a pożarem – dokończył rządca. – Cicho teraz. Osłońcie te kosze, bo zobaczą światła.

Cztery okręty niezdarnie przedzierały się przez zatokę. Wioślarze wyraźnie próbowali zachować ciszę, jednak brakło im achajskiej dyscypliny. Od czasu do czasu zbłąkane przekleństwo wyrwało się ponad szum fal. Kilka razy kadłub zatrzeszczał, trąc o kamień.

Gdy byli już całkiem blisko, na pokładzie jednego ze statków błysnął odsłaniany kosz z rozarzonymi węglami. Ognista nitka wystrzeliła w niebo, zawinęła w powietrzu, opadła ku zabudowaniom gospodarczym w pobliżu gospody. Po chwili podążyły za nią kolejne. Tu i tam wykwitły świetliste ozory.

Statki z hukiem uderzyły o nabrzeże. Posypały się drzazgi. W niebo pofrunął krzyk z setki

gardeł, wojownicy zaczęli wyskakiwać na brzeg. Eumajosowi przypominali małe, czarne karaluchy, które rozpełzły się między rzadką zabudową domów.

Stary uniósł głowę nad krawędź muru. Wiatr szarpnął błękitnym puchem siwej brody. Na prawo i na lewo od rządcy wstawali łucznicy, zapalali strzały.

– Teraz – powiedział.

W tej samej chwili Mentēs dźgnął go nożem w szyję. Eumajos chrząknął, złapał się za gardło. Spomiędzy palców buchnęła krew. Cofnął się, zachwiał. Popchnięty wpadł prosto na kosz z węglem, płomień błyskawicznie ogarnął mu twarz. Otulony świetlistą aureolą starzec runął z murów.

Obrońcy patrzyli po sobie, nie wiedząc, co się dzieje. Szybko padli od ciosów mieczy i sztyletów. Korzystając z zamieszania, najeźdźcy otworzyli bramę. Na ulice miasta wpadła banda wyjących Dorów.

* * *

Pizystrata uratowała zbroja. I zmysł wojownika. Kekrops wiedział oczywiście, jak uderzać – schwycił młodzieńca za rękę i byłby mu wpakował ostrze prosto w szczelinę pancerza pod pachą, lecz wystarczył odruchowy skręt tułowia, a miecz bezsilnie brzęknął o naramiennik.

Namiestnik wyspy wyrwał nadgarstek z uścisku. Nie próbował sięgnąć po własną broń, po prostu natarł barkiem. Kekrops, już wcześniej wytracony z równowagi, grzmotnął na ziemię. Dopiero wówczas Pizystrat wyszarpnął miecz z pochwy. Nie zdążył jednak uderzyć, bo skoczyło na niego dwóch żołnierzy z Tafos.

Pierwszy cios zdołał sparować, drugi odbił się od kołnierza z grubej, spizowej blachy. Młodzieniec wykorzystał przewagę masy, aby roztrącić przeciwników. Jednego chlasnął w kolano. Drugi wywinął się, okrążył Pizystrata i chwytając miecz oburącz, ciął go w plecy. Sztych ostrza przebił zbroję, po czym się ułamał.

Młodzieniec ryknął, machnął za siebie – bardziej, żeby odpędzić napastnika, niż go zranić. Zaczął się cofać.

– Do mnie, Itaka! – zawołał.

Na polu między zamkiem a murem cytadeli zapanował chaos. Żołnierze Kekropsa otworzyli bramę i bronili do niej dostępu. Itakijczycy powoli dochodzili do siebie, zbierali się w grupy, próbowali atakować. Pizystrat widział jednak, że to na nic.

– Do mnie! – krzyknął ponownie. – Do mnie!

Zebrawszy tyłu wojowników, ilu zdołał, wycofał się do zamku. W głowie dudniło mu jedno: bronić Penelopy.

* * *

Czy się bała? Oczywiście, że się bała. Serce tłukło jej się w piersi niby ćma w słoju. W całym pałacu rozbrzmiewały krzyki, bryza od morza niosła swąd spalenizny. Przerazone służki przyłgnęły do niej i do Penelopy, siedziały w ciasnej gromadzie, drżące, niektóre bliskie płaczu.

Coś poszło nie tak, coś musiało pójść nie tak. Być może Dorów przybyło znacznie więcej, niż przewidywali, może ułożony przez mężczyzn plan miał jakąś wadę, która została ujawniona, gdy

już było za późno. Właściwie nie miało to większego znaczenia.

Królowa odchrząknęła.

– Może zaśpiewamy pean? – zaproponowała.

Nikt się nie odezwał, więc sama zaczęła nucić. Miała przyjemny, niezbyt wysoki głos. Trochę przeciągała sylaby, przez co trudno było zrozumieć słowa. Melodia brzmiała obco, a mimo to koła serca.

Drzwi kobiecych komnat otwały się z hukiem. Któraś ze służek pisnęła. Penelopa przerwała pieśń.

Do pomieszczenia ktoś wpadł, Ifigenia poczuła zapachy potu i krwi.

– Pani! – Poznała głos Pizystrata. – Musisz uciekać. Zabiorę cię do tylnej furty.

– Co się stało? Pizystracie, co... – rozległ się głos władczyni wyspy.

– Nie ma czasu! Zdrajcy są w cytadeli. Chodź!

Dziewczyna usłyszała chrzęst zbroi, ktoś chwycił ją za nadgarstek – chyba Penelopa. Całe rozdygotane stadko opuściło komnatę, przefrunęło korytarzami. W pewnym momencie ogarnęła je chmura kuchennych zapachów.

– Wyprowadzę was wejściem dla służby – dyszał młodzieńcy namiestnik. – Walka toczy się głównie wokół bramy cytadeli, droga do furty powinna być wolna. Idźcie wzgórzami ku dawnemu domostwu mistrza Euhemena. Potem na północ, postarajcie się dotrzeć do Erichtoniosa. Tylko tak ocalejecie.

Dotarli do wyjścia. Młodzieniec otworzył drzwi, owionął ich nocny chłód. Wyszli.

– Bogi... – jęknęła Penelopa.

Pizystrat:

– Biegiem!

Wieszczkę oszołomił natłok odgłosów. Chrzęst zbroi, szczęk oręza, krzyki. Gonił, gorączkowe szarpanie za nadgarstek. Trawa pod nogami, śliska trawa. Błoto, ziemia.

– Co się dzieje?! – jęknęła dziewczyna.

Uderzenie. Czyjeś rozpedzone ciało. Obce ręce. Woń spoconego mężczyzny. Gorący oddech na uchu.

– Siad, suko...

Ifigenię przygniatał znaczny ciężar, mimo to próbowała wić się, gryźć, bić. Słyszała, że gdzieś niedaleko szarpie się, krzyczy Penelopa. Rozbrzmiało głośnie plaśnięcie ciała o ciało. Królowa nagle umilkła. Mężczyzna trzymający wieszczkę wzmocnił chwyt, wcisnął jej twarz w ziemię, ścisnął piersi.

– Nie szarp się tak – sapnął. – No już. Nie szarp się.

Znieruchomiała. Odciągnięto ją, rzucono na trawę. Obok wylądowała druga kobieta.

– Ifigenio... – szepnęła Penelopa. Było słyhać, że próbuje wstać. Z jej ust uleciał krótki okrzyk. Opadła z powrotem na ziemię, bezwładna jak szmaciana lalka.

Dziewczyna pomacała przed sobą rękami. Palce natrafiły na czyjeś ramię – muskularne, męskie. Na trawie przed nią leżał mężczyzna. Drżące dłonie powędrowały dalej, ku twarzy, ku pękniętemu hełmowi, zapadniętej czaszce, włosom, między którymi wyczuć się dało coś miękkiego, kleistego.

Ifigenia cofnęła się, objęła Penelopę. Królowa załkała krótko, potem przytuliła młodszą kobietę.

– Cokolwiek ci zrobią... – zaczęła.

– Wiem.

– Dość tych czułości – warknął jeden z napastników.

Zostały rozdzielone. Trzasnął szew rozdzieranej sukni.

– Zostaw! Nie widzisz, że to królowa? – Rozległ się czyjś głos. Wieszcza poznała twardą mowę górali.

– I co z tego, że królowa?

– Czekamy na Lukiosa.

Minęła długa chwila. Odległe odgłosy walki nie cichły. Wtem dały się słyszeć kroki trzech czy czterech osób.

– Lukiosie! – zawołał jeden z żołnierzy.

Ifigenia usłyszała, że ktoś do niej podchodzi. W jej policzki wpiły się szorstkie palce.

– Poświećcie. – Rozbrzmiał nowy głos. – Ślepa księżniczka... Dobrze. Pilnujcie jej. A ty... – Źródło głosu się oddaliło. – Ty pewnie jesteś Penelopa-królowa?

Chwila ciszy. Odgłos uderzenia. Jęk.

– Odpowiadaj mi, kurwo, bo, przysięgam, zajebię na miejscu. Jeszcze raz. Czy ty...

– Tak.

– Świetnie. A twój syn to Telemach-król. Tak?

– Tak.

– Świetnie.

Kolejne uderzenie. Kolejny jęk.

– Dlaczego ją bijesz? – zawołała Ifigenia. – Przecież odpowiada na twoje pytania!

– Milcz, dziewczko. Nie mieszaj się w rzeczy, które cię nie dotyczą. – Mężczyzna ponownie zwrócił się do Penelopy: – Zdejmuj suknię. Zdejmuj! Dobrze. Świetnie. Teraz się połóż. Na brzuchu, wypnij dupę. Tak, właśnie tak, jak suka. Odrobinę prywatności, co, chłopcy? Przypilnujcie ślepej księżniczki.

Krótką szamotaniną, jeszcze krótszy okrzyk bólu, rechot żołnierzy. Potem dyszenie, postękiwanie, wreszcie długie, odrażające westchnienie. Wieszcza poczuła, jak jej żołądek zwija jej się w supeł. I znów głos tego człowieka, Lukiosa:

– To dla ciebie, Kaliasie. Niech twój cień odnajdzie drogę do Boga Nieba.

Coś w jego tonie szarpnęło Ifigenią, zmusiło do poderwania się z miejsca.

– Nie! – krzyknęła.

Za późno. Zadzźwięczało ostrze. Penelopa chrząknęła, przez chwilę słychać było, jak się szamocze, jak walczy o oddech. Potem zapadła cisza.

ROZDZIAŁ XX

Rudobrody Eruthros-król miał ósmioro dzieci. Nie, nieprawda. Miał ich siedmioro, już tylko siedmioro. Po prostu nie przywykł do myśli, że najstarsze z nich, Laodike, w czasie wielkiej zarazy zostało przytulone przez Matkę Ziemię. Z pewnością nie doszłoby do tego, gdyby ten stary cap, jej królewski małżonek Laodokos, lepiej o nią dbał. Ale cóż było czynić, Eruthros mógł jedynie ułać odrobinę wina cieniowi swej słodkiej dziewczuszki, a skończywszy kielich, uронić łzę. Tymczasem mniejsze z pozostałej siódemki dzieci skakały mu po brzuchu, plotły brodę w warkoczyki, ciągnęły za palce u stóp. Było to wbrew obyczajowi, jednak lubił trzymać je wszystkie przy sobie, chłopaków i dziewczyny. Kazał nawet wstawić krosna do wieczernika.

Wśród dziecięcego gaworzenia długie wieczory po jesiennej równonocy mijały szybciej. Ogień na palenisku i mocne wino nie dawały przystępu panującemu na dworze chłodowi. Stareńki śpiewak, ilekroć się przecknął, podejmował głosem godnym stuletniego kozła pieśń o pokładzinach Bogini Ziemi i Boga Morze. Myślał najwyraźniej, że już zima, hymn ów opiewał bowiem najdłuższą noc w roku, podczas której spłodzeni zostali wszyscy pomniejsi bogowie.

– Jesteś pewien, że to odpowiednia historia dla dzieci? – zagadnął Ankos, kuzyn Eruthrosa i jego drużynnik, wyraźnie przeciągając sylaby.

Rudobrody tylko machnął ręką. Cóż mógł wiedzieć kurwiarz o chowaniu dziatwy?

– Wujo Ankos jest pijany!

– Wcale nie – zaprzeczył Ankos. – Zresztą nie podsłuchuj. A ty... a ty, kuzynie... ty słuchaj... Wydaje mi się, że to nie jest odpowiednia historia.

– Jaka zatem, twoim zdaniem, byłaby odpowiednia?

– No, czy ja wiem... coś... coś o bitwach. O wielkich naszych zwycięstwach.

– Wypruwanie flaków! Wuju Ankosie, opowiedz o wypruwaniu flaków!

Eruthros niedbałym gestem chwycił czteroletniego Kyreniosa za ucho.

– Cicho – burknął. – Dziad się przebudził, zaraz będzie śpiewał o narodzinach Boga Słońca.

– Ojczy – odezwała się trzyletnia Lede – czemu on tak dziwnie pachnie?

– Jak dziwnie?

– Jakby się obsiusiał.

– Cóż... pewnie się obsiusiał.

Śpiewak charknął, zawył coś o boskiech lędźwiach.

– Co to są lędźwie? – zapytał Kyrenios.

Król zmarszczył brew. Nie zdołał jednak odpowiedzieć, bo do wieczernika wpadł rządca Abronychos.

– Panie! – zawołał. Podbiegł bliżej, zniżył głos do szeptu. – Panie! Przybieżał wieśniak z okolic Mamulade. Rzecz... – Głos rządcy spadł o kolejny ton. – Rzecz, że mężowie jacyś w znacznej sile idą ku nam.

- Wojsko? – zainteresował się ósmioletni Harpokras, dotąd zajęty psuciem jednego z krosen.
 - Będziesz z nimi walczył, ojczcze?
 - Jeszcze nie wiem. Dużo mamy czasu, zanim tu dotrą?
 - Dzień, może dwa.
- Eruthros rozpedził dzieci, wstał, uniósł Ankosa za odzienie.
- Prowadź nas do tego wieśniaka, Abronychosie. Zobaczmy, o co chodzi.

* * *

Strzała odbiła się od kamienia, podskoczyła i smutno upadła na ścieżkę.

- Dalej nie musisz podchodzić, Oreście. Słuch mam dobry.

Orestes uniósł głowę i omiół spojrzeniem kawał skały, na którym stał zameczek Eruthrosa. Wielka ruda broda i jeszcze większy kałdun sprawiały, że stojący na wartowni król był dobrze widoczny.

- Daj spokój. Nie zamierzamy cię atakować. Gdybyśmy chcieli, już dawno byś nie żył. Ilu masz ludzi w tym swoim kurniku, trzystu? Nas jest pięć tysięcy.

- Ha! Pięć tysięcy! Zima blisko, w życiu byś nie wyżywił tylu chłopa.

Księżę wzruszył ramionami.

- Wierz, w co chcesz, to bez znaczenia. Jak mówiłem, nie będziemy walczyć, chcemy tylko porozmawiać.

- Niby o czym?

- Powiedzmy, że mam propozycję. Popatrz, twój stary znajomy Klearchos jest tu z nami, grubszy o dobre pół garnca i bogatszy o dwudziestu niewolników. Czasami opłaca się mi zaufać.

Grubas namyślał się chwilę.

- Dobra – rzekł w końcu. – Ale przyjdź sam.

- Jest ze mną trzech królów, w tym dwóch bohaterów wojny w Wilusie i syn trzeciego. Ich imiona mogą ci coś powiedzieć: Teukros, Achilles i Telemach Odysida.

Eruthros wymamrotał coś, z czego zrozumiały były jedynie klątwy. Następnie ponownie podniósł głos i zapytał:

- Nie łiesz?

- Nie łę. To co, wpuścisz nas?

Po krótkiej przerwie rozległy się słowa:

- W porządku. Czyli będzie was czterech?

- No, po prawdzie jest z nami jeszcze Luwita Nabuszezibanni, wielki wojownik i obrońca mej szlachetnej siostry, Ifigenii. Jedna osoba więcej chyba nie zrobi ci różnicy? Zresztą on niewiele mówi.

- Niech cię kruki, Oreście! Dobrze, wchodźcie. Każę naszykować coś do jedzenia i wino. Tylko bez żadnych sztuczek.

- I nawzajem.

Pięciu mężczyzn odłączyło się od pokaźnej gromady zbrojnych i powędrowało w górę zbocza. Do zamku wpuszczono ich przez furkę.

– Nie macie broni? – zapytał Eruthros, który właśnie schodził z wartowni.

Odpowiedział mu dudniący śmiech Teukra.

– Nie potrzebujemy broni, rudzielcu. Z takimi krwiożerczymi skurwielami jak my dotąd się nie spotkałeś. Dobrze mówię, Nabu? – Trącił w ramię Luwite, który uśmiechnął się i tylko pokręcił głową.

– Z tym się spotkałem. – Gospodarz kiwnął głową ku Orestesowi. – I nie wydawał mi się wtedy wcale taki groźny.

– Stare dzieje. – Zaśmiał się książę. – Wspomniałeś coś o winie...

– Taaa... Chodźcie. Mam nadzieję, że nie obrazicie się, jeśli będzie nam towarzyszyło pięciu czy dziesięciu moich przyjaciół. Takich młodych, krzepkich, z włóczyniami.

– W żadnym razie. To ozoliański obyczaj, jeśli się nie mylę.

Eruthros zarechotał.

– Nie mylisz się – powiedział.

W towarzystwie uzbrojonych strażników przeszli do wieczernika. Niewolnicy już szykowali stoły, znosili kratery wina i wody. Grubas gwizdnął na jednego ze sług, aby podał mu kielich. Ulał kropkę dla bogów, wziął łyk, następnie przekazał naczynie Orestesowi.

– Goście w dom, bogi w dom – zaburczał, siląc się na podniosły ton. – Złóż ofiarę, a będziemy przyjaciółmi. Przynajmniej na ten dzień.

Książę umoczył palce, strząsnął kilka kropel trunku na podłogę. Uśmiechnął się, skinął kielichem rudobrodemu, po czym wypił resztę wina.

– Mam nadzieję, że ci smakuje – powiedział gospodarz. – Moje własne, domowe.

Rozsiedli się wygodnie. Eruthros łypnął ku Achillesowi.

– On nigdy nie zdejmuje z głowy tej trupiej czachy? – zapytał.

– Jeżeli mogę tego uniknąć – odpowiedział wzmiankowany. – Wstrętne blizny, rozumiesz. Ale nie sypiam w hełmie, jeśli to cię interesuje.

– Hm.

– Lepiej nie drąż tematu – powiedział Orestes. – Achilles podobno kiedyś zabił człowieka, który uparł się wiedzieć, jak to osobliwe nakrycie głowy sprawdza się w... bardziej zmysłowych sytuacjach.

– Ty więc jesteś Achilles? Myślałem raczej, że ten wielkolud... – Nie zważając na śmiech Teukra, grubas ciągnął: – Wnoszę zatem, że plotki o twej śmierci były mocno przesadzone.

– Jak większość plotek, o czym Orestes powinien pamiętać.

– Ha, w rzeczy samej, w rzeczy samej – rzekł gospodarz. – Rad bym wiedzieć, ile prawdy jest w historiach o jego wyczynach.

– Sama prawda. – Książę zachował kamienny wyraz twarzy.

– Och, sama prawda? Zatem Temenos z pewnością jest już pobity, a nędzne niedobitki Dorów wróciły na to zadupie, z którego wypęły?

– Prawdą jest, żeśmy Temenosa pobili pod Trachidą, gdzie Orestes objął dowództwo, gdy wuj jego, Strofios-król, padł z pogruchotanymi nogami – wtrącił Teukros.

– Nieprawdą zaś to, co się mówi o bitwie u stóp Ety – dodał Achilles.

– Taaa, nie ma co czarować. Dali nam w dupę, ażeśmy se kostki obsrali.

– Mówiąc krótko – powiedział książę – wojna trwa. Udało nam się Temenosa zepchnąć w góry, z pewnością jednak nie jest jeszcze pokonany. Na szczęście zima za pasem, musiał więc podzielić wojska na pomniejszych bandy. Gorsza wiadomość jest taka, że bandy te bez litości łupią Eolię i ftiotydzkie pogranicze. Część cofnęła się do Etolii i Akarnanii.

– Etolii i Akarnanii – powtórzył Eruthros takim głosem, że słowa zabrzmiały jak szyderstwo. – Co więc robią na mojej ziemi?! Zbrojne kupy co i rusz złażą z gór, palą, gwałcą, używają. I to nie tylko Dorowie. Masy tałatajstwa się tędy przewalają, nawet Achajów w tej mieszance nie brakuje. Świat stanął na głowie! Zwykle od początku jesieni wracaliby do domów, żeby zdążyć na zbiory. Tyle że nie ma co zbierać, łatwiej drugiemu z gardła wydrzeć.

– O to, to. – Orestes uśmiechnął się wreszcie. – Tym sposobem dochodzimy do sedna naszej wizyty. Widzisz, trudno nam walczyć z Temenosem, wiedząc, że są tacy, którzy wojenną zawieruchę i ofiarę setek szlachetnych mężów wykorzystują dla własnego zysku. Albo gorzej jeszcze, jawnie z wrogiem się sprzymierzają na zgubę Achajów.

Zapadła cisza, tylko ogień trzaskał w palenisku.

Książę wpatrywał się w oblicze gospodarza, myśląc: „Przesadziłem z tą groźbą czy nie przesadziłem?”. Wtem rudobrody ryknął śmiechem. Zatrząśł się wielki kałdun. Grubas huknął kilka razy gromkim głosem, walnął kielichem w stół, śmiał się, aż zbrakło mu tchu. Wtedy otarł łzy z oczu i powiedział:

– Przednie, Oreście. Pięknieś to ujął, pieśniarzem być powinieneś, mówił ci to kto?

Starsi z achajskich wodzów wymienili rozbawione spojrzenia. Tylko Telemach poruszył się niespokojnie.

– Śmiesz cię, że chcemy karać buntowników, zdrajców i łotrów? – warknął.

– Ohoho, zadziorny kogucik, podoba mi się to – odparł Eruthros. – Powinieneś mu jednak wyjaśnić, Oreście, że łotry są z was takie same jak z ludzi Temenosa. Wnoszę, że Strofios też nie ma dość żarcia, więc rozpuścił was, żebyście przez zimę radzili sobie na własną rękę. A najlepiej zabrać tym, co układali się z Dorami, bo oni, po pierwsze, jeszcze coś mają, po drugie zaś, zawsze można potem powiedzieć, że – jak to ująłeś, chłopcze – karaliście zdrajców.

– Nasza sprawa jest słuszna...

– Telemachu – przerwał łagodnie Orestes. Młody król spłonił się, spuścił oczy.

– Dobrze, dobrze. Sprytnie – podjął gospodarz. – Czekam teraz, co powiecie. I mam nadzieję, że nie będzie to nic w rodzaju: oddaj nam wszystkie zapasy, bo inaczej powiesimy cię na bramie za jaja jako sprzedawczyka. W takim przypadku musiałbym was na zбитy pysk wyrzucić, a to wbrew zasadom gościnności.

– Racja, nasi żołnierze muszą coś jeść, pragną też łupów – powiedział książę. – Jedno i drugie lepiej odebrać tym, którzy szkodzą wspólnej sprawie. Jednak nasze plany sięgają dalej. Gromadzimy armię, aby odbić Naupaktos. Chcemy dokonać tego teraz, gdy Dorowie najmniej spodziewają się, że zbierzemy większą liczbę żołnierzy. Chcielibyśmy, abyś do nas przystał. Wtedy temat wieszania za jaja nigdy nie będzie musiał zostać poruszony.

* * *

Później mówiono, że do Eurystenesa przybył posłaniec Boga Słońca, że zesłał na niego szal.

Niektórzy wspominali o jeźdźcach, podejrzanych mężczyznach z ciemnymi włosami i oczami, którzy cudzoziemską modłą podróżowali wierzchem, a nie w rydwanie czy powozie. Było ich, zależnie od wersji, dziesięciu bądź jedenastu. Przy czym, jeśli kto widział owego jedenastego jeźdźca, nie potrafił go opisać. „Nie rzucał się w oczy” – mówili jedni. „Bił odeń boski blask, że nie sposób było patrzeć” – bajali inni. Grupę konnych widziano też potem w okolicach Sykionu, Pellene i Aigionu.

Wszyscy jednak zgadzali się co do tego, że naprawdę ktoś nawiedził Eurystenesa. W namiocie młodzieńca długo w noc płonął kaganek, po płótnie tańczyły cienie. Kiedy zgasło światło – ostatnie w całym obozie – wśród prostych schronień uciekinierów z Ozoliańskiej Lokrydy, Etolii, Akarnanii i innych krain ogarniętych wojną zapadła cisza. Tylko na jakiś czas.

Pewna dziewczynka przebudziła się tamtej nocy z koszmaru, w którym ktoś ganiał ją po ciemnym domu. Na jawie też się przeleżała, usłyszawszy nieopodal lepianki kroki, chrzęst kamieni, ciężki oddech. Odwróciła się na drugi bok, przytuliła do siostry.

Chwilę później para kochanków, mimo chłodu skryta w kępie niepokalanków nieopodal ścieżki prowadzącej z obozu nad morze, przerwała igraszki i z trzepotem serc nasłuchiwała, kto to wędruje po nocy – czy aby nie ojciec albo starsi bracia?

Wreszcie dziwny chłopak, który pomagał układać ciała na stosach, a gdy inni spali, zwykł siedzieć na klifie, majtać nogami i słuchać westchnień zatoki, posłyszał miarowe klaskanie, jakby wioseł o wodę.

Że dzieje się coś niedobrego, pierwsze pojęły koguty. Być może wzięły wykwitające nad Koryntem i Megarą łuny za brzask, bo poczęły pisać jak szalone. Wtedy w środku obozowiska pojawił się Eurystenes z kilkoma towarzyszami. Wszyscy nieśli pochodnie.

– Obudźcie się! – wołał jasnowłosy przywódca wielkim głosem. – Wasi uciśnieni bracia chwycili za broń i zwrócili się przeciw tym, którzy chcieli dać wam tylko pogardę i nienawiść! Wstańcie! Obudźcie się! Chodźcie im z pomocą!

Powstał zamęt, krzyczano, zadawano pytania. Młodzież chwytła za cepy, sierpy. Starsi chcieli wiedzieć, kto walczy i o co. Gdy wyjaśniło się, że niewolnicy zwrócili się przeciw swym achajskim panom, niektórzy machali z niechęcią rękami, wracali do lepianek i szałasów. Większość jednak pragnęła krwi.

Wielka grupa ruszyła ku Koryntowi. W obozie robotników pod niemal ukończonymi murami zarzynano już przestraszonych żołnierzy i nadzorców. Jeden z nich, Ewenos, konał pod rusztowaniem, ściskając rozdarte kilofem wnętrzności. Łykał szybko ślinę, szklące się oczy zwrócił ku niebu, jednak posłyszawszy nadchodzących Eurystenesa i jego towarzyszy, wyciągnął ku nim rękę.

– Nie róbcie tego... – wymamrotał. – Nie róbcie...

Nikt nie odważył się go dobić. Młodzi mężczyźni z obozu uciekinierów połączyli siły ze zbuntowanymi robotnikami i ruszyli ku najbliższej bramie miejskiej oraz ustawionemu przed nią posterunkowi. Żołnierze powitali ich strzałami i oszczepami, potem przytulili włóczniami, lecz kiedy już pierwsze trupy padły w pył, walka potoczyła się szybko. Wartowników było zaledwie dwudziestu i nikt nie uchylił im furty, gdy próbowali się wycofać, nikt nie wspomógł z murów. Czterech rzuciło broń i zdążyło zawołać o litość. Był wśród nich dziesiętnik Geleon. Eurystenes kazał przybić go za przedramiona i golenie do bramy, a gdy już wisiał, wykastrować. W przyływie ponurej wesołości użyto do tego obcęgi. Pozostałych trzech jeńców zwyczajnie

zakłuto.

Wtedy brama została otwarta. Eurystenes wymienił hasło i odzew z jakimś mężczyzną. Z miasta wytoczyły się dwa wozy pełne broni. Zaczęły się walki na ulicach. Kilka grup robotników przystąpiło też do rozbijania murów, które z takim trudem przez ostatnie tygodnie budowali.

Nad ranem Kapaneos, dowódca garnizonu, zrozumiał, że Korynt jest stracony. Zebrał wszystkich żołnierzy – a było ich około pięciuset – przebił się przez linie buntowników i pomaszerował na północ, na obóz uciekinierów. Kiedy młodzi mężczyźni, którzy poszli za Eurystenesem, pojęli, co się dzieje, porzucili tymczasowego wodza, lecz nie zdążyli powstrzymać masakry. Później Kapaneos ruszył ku beockiej granicy.

Tamtego dnia zginęło w sumie trzystu achajskich żołnierzy i blisko dwa i pół tysiąca zwykłych ludzi.

* * *

– Jak to „nie wyjdzie”?

Orestes rozbił kopniakiem byle jak ustawioną barykadę. Weszli do przedsiionka sporego domu – kiedyś prawdopodobnie należącego do jakiegoś urzędnika. Żołnierze rozbiegli się w poszukiwaniu jedzenia i dziewczek. Księżę wraz z towarzyszącym mu Sylanem siedli w jadalni.

– Nie wyjdzie i już. Andraimon ma ze sto lat, a taki dziadek jak się zaprze, to co mu zrobisz? Najwyraźniej nie uważa, żebyś był godny zaufania. Myśli, żeś przyszedł złupić to jego Naupaktos czy coś.

– No jebany stary cap. – Orestes chwycił stojącą na stole glinianą butlę, zajrzał do środka, rzucił w kąt. – Tu już nie ma co łupić! Bijemy Dorów pod jego drzwiami, potem ganiamy ich po zakamarkach miasta jak wszy, a on nawet nie wyjdzie z zamku, żeby się przywitać?

– A niech tam uschnie. Teukros i Eruthros z pewnością zabezpieczyli już magazyny. O ile nie pochłoną wszystkiego we dwóch, będziemy mieli żarełka na całą zimę. Co więcej, będzie to żarełko, którego w swe chciwe łapki nie dostanie Kresfontes-kurwa-jego-mać.

– Niech go kruki żrą. Choć muszę powiedzieć, że im dłużej walczymy, tym bardziej podziwiam jego beczelność. – Księżę obrócił się na ławie. – Nie znaleźliście tam aby jakiego wina, chłopcy? – zawołał do buszujących po kątach żołnierzy.

Gdzieś z głębi domu odpowiedział mu pisk jednej, a może i dwóch dziewczyn. Chwilę później brzęknął tłuczony garnek.

– Chłopcy? – zawołał ponownie Orestes.

W drzwiach jadalni pojawiła się wyszczerzona gęba.

– Tak, panie?

– Wino dla mnie i szlachetnego Sylana.

– Robi się, panie.

Gęba znikła.

– Dla mnie to on jest zwykły wariat – powiedział najemnik.

– Kto? A, Kresfontes.

– Tak, tak, Kresfontes. Zamiast tu sobie przezimować w ciepłku, z dziewczuszką albo dwiema

na kolanach, wolał rzucić się przez morze, aby walczyć o jakąś ojcowiznę, której pewnikiem nigdy na oczy nie widział. Dobry wódz tak nie postępuje. Dobry wódz zawsze zadba o dziewczuszki.

– Kiedy właśnie o to chodzi. Zobacz, jaki ten gość jest nadęty pychą, a jednocześnie – jak wszyscy górale muszą go za to kochać. Przyszli tu na początku jesieni, akurat na czas, by zebrać, co posiali inni, zając gospodarstwa, rozsiać się wygodnie. Zamiast tego na jedno skinienie Kresfonta załadowali dupy na statki i popłynęli na Półwysep. Pomyśl o samym rozmiarze tego wariactwa. Według różnych doniesień było to dwadzieścia do trzydziestu tysięcy mężczyzn, baby, dzieci, kozy, cały majdan. Aby przewieźć taką masę ludzi, musieli mieć sto albo i dwieście okrętów, a i tak pewnie kilka razy obracali. I to w czas sztormów. Co innego, jak masz pięć czy dziesięć statków – wtedy jakoś się przesmykniesz, może jeden stracisz, może trochę was rozrzuci. Ale dwieście?! Ile to ludu musiało się potopić.

Dowódca najemników wzruszył ramionami.

– Przynajmniej mniej gąb do wyżywienia.

– Prawda, że tutejsze zbiory pewnie byłyby dla nich wszystkich za małe. Cholera, obawiam się, czy dla nas starczy. Widziałeś te pola... Półwysep mniej został dotknięty suszą, a Elida to żyzna kraina.

– A zatem to nie wariat, a straceniec. Nie wiadomo, co gorsze.

– Panie? – W drzwiach ponownie pojawiła się gęba żołnierza.

– Błagam – uśmiechnął się Orestes – powiedz, że znaleźliście coś lepszego niż te siki, którymi nasączał nas Eruthros.

Zbrojny podrapał się w głowę.

– Nie, panie. To znaczy, w ogóle nie znaleźliśmy wina.

– Czego więc chcesz?

– Teukros-król przysłał gońca. Mówi, że to pilne. Mówi, że musisz... znaczy się, powinienes iść do portu.

Księżę westchnął. Wstał.

– Myślałem, że portem miał zająć się Klearchos – powiedział. – Czy oni naprawdę nie są w stanie niczego załatwić beze mnie?

– Pewnikiem ważna sprawa, panie. Teukros-król posłał też ponoć po Telemacha-króla. I wielce był czegoś poruszony.

– Dobrze, dobrze, przecież idę. Sylanie, znajdź kogoś rozsądnego, kto będzie trzymał oko na ten zakątek, a sam skocz no do Andraimona-króla. Przetłumacz mu, że my miasto odbijamy dla wspólnej achajskiej sprawy. Niech wyjdzie z cytadeli i podejmie nas, jak wypada, a nie siedzi i pierdy wacha.

Najemnik zachichotał.

– Wedle życzenia, wodzu.

Orestes gwizdnięciem zwołał przybocznych i ruszył za gońcem do portu.

Nadmorska część miasta była już spokojna. Żołnierze Eruthrosa rozsiedli się przy magazynach i napychali brzuchy, podczas gdy król i jego setnicy przeliczali łupy. Między budynkami widać było dwadzieścia czy trzydzieści bujanych wiatrem masztów.

Przy samym nabrzeżu panowało poruszenie. Znoszono trupy, pętano jeńców. Ktoś krzyczał, ktoś się wrywał, ktoś groził pięścią. Zaorany bliznami czerep Teukra widać było z daleka, wystawał ponad głowy innych wojowników. Wielkolud stał nieopodal statku, po którym krzatali się żeglarze, jakby dopiero co przybili. Gromada itackich i kiprijskich żołnierzy otaczała grupkę poranionych, przemoczonych Dorów.

Podszedłszy bliżej, Orestes spostrzegł, że w cieniu Teukra kryje się Telemach. Chłopak patrzył w ziemię, ręce zwisały mu wzdłuż boków.

– Co się stało? – zapytał ksiązę.

Kipryjczyk chwycił młodego króla za ramię.

– Chodź, chłopcze. Później się zastanowimy, co z nimi zrobić – powiedział, po czym zwrócił się do Orestesa: – Możemy pomówić gdzieś na stronie?

Odeszli kawałek wzdłuż nabrzeża. Olbrzym przysiadł na wywróconej do góry dnem łódce.

– Walka przy magazynach szybko poszła – zaczęła. – Wziąłem więc swoich i część ludzi Eruthrosa, by zobaczyć, czy Klearchos nie potrzebuje pomocy. Ktoś powiedział, że do portu zbliża się jakiś statek. Pomyślałem: czemu nie, skoczy się, capnie się. Złapaliśmy dwa okręty, popłynęliśmy tamtym naprzeciw. Oczywiście, jak zobaczyli, że w mieście trwa walka, próbowali czmychnąć...

– Czy ta historia ma jakiś morał? – przerwał ksiązę.

Teukros chrząknął, zaszurał stopami, łypnął na Telemacha.

– Tak. Już się streszczam. Capnąc, capnęliśmy – wiesz, jak pływają Dorowie. Ściągnęliśmy ich do portu. Ale wtedy patrzę: przecież to itacki statek. Pamiętałem go dobrze, bo dopiero co wraz z Pizystratem, Telemacha druhem, braliśmy go na morze. No więc pytam dowódcę okrętu, skąd, kurwa, wzięliście itacki statek...

– Wszyscy nie żyją – odezwał się nagle młodziutki król. Teukros umilkł. – Splądrowali Itakę. To właśnie próbuje ci powiedzieć ten przygłup. Dorowie splądrowali Itakę. Wszyscy nie żyją. Pizystrat, moja matka, stary Eumajos...

– Ifigenia?...

– Wzięta w niewolę – mruknął Kipryjczyk. – Zabrali ją do Kresfonta, do Elidy.

* * *

Słońce wisiało tuż nad widnokregiem, zaś na grzbietach bijących o skały fale tańczyły płomyki. Blask raził oczy, lecz nie dawał ciepła. Wiatr szarpał włosami siedzącego na skraju pomostu Telemacha. W świetle brzasku złote loki rudziały coraz bardziej, aż stały się niemal przezrocyste. Z przygarbionymi ramionami i kolanami podciągniętymi pod brodę król Itaki nie wyglądał wcale królewsko. Wyglądał jak chłopiec.

„Mogłoby go zwać” – pomyślał Orestes.

Podszedł, bębniąc stopami o pomost, aby z daleka dać znać, że się zbliża. Stał o dwa kroki od młodzieńca, odczekał. Potem przysiadł obok niego: olbrzym przy drobnej słomianej lalce. Czekał nadal, oddychając głęboko słonym powietrzem. Myślał o innym chłopcu, który siedział na skraju pomostu wiele lat wcześniej. Tamten chłopiec płakał. Ten nie.

– Miałem nadzieję, że przyjdiesz – powiedział Telemach.

– Nie mogłeś spać?

– Nie mogłem. – Poruszył się, obrócił głowę. Oczy tak wielkie w drobnej twarzy. – Ty... ty jeden to rozumiesz, prawda?

– Tak. A mimo to nie wiem, co mógłbym ci powiedzieć.

– Że nic nie mogłem zrobić? Że to nie moja wina?

Orestes potarł brodę. Zachrząścił zarost, koniecznie trzeba było się go pozbyć.

– To ci pomoże? Świadomość, że nic nie mogłeś zrobić? Mnie nie pomogła. Doprowadzała nawet do szału, jeśli mam być szczery.

– Sęk w tym, że nie wiem. Nie wiem, czy nie mógłbym czegoś zrobić, gdybym tam był.

– Pewnie nie to chciałbyś usłyszeć, ale uwierz mi, że niczego byś nie zrobił. Jeszcze nie jesteś dość silny ani dość przewidujący, żeby móc coś zrobić.

– Masz rację, nie chciałem tego usłyszeć.

– Wiem. A jeśli chodzi o winę... To nie twoja wina.

– Twoja siostra szukała u mnie ochrony. Jak możesz mówić, że to nie moja wina? Szukała u mnie ochrony, a ja ją zostawiłem i wpadła w ręce Dorów, którzy teraz...

Chłopiec umilkł. Orestes dokończył za niego:

– Którzy teraz oddadzą ją w niewolę. Pewnie jednemu ze swoich wodzów, może nawet samemu Kresfontowi, który podobno szukał wieszczki. Będzie gwałcona. Bita, jeśli stawi opór.

Telemach poderwał się z miejsca, zrobił kółko po pomoście.

– Jak możesz mówić to tak spokojnie? – rzucił.

– W żaden sposób nie zdołałbyś temu zapobiec. A ja? Oplakałem Ifigenię już wiele lat temu. Chodź. Usiądź. – Młody król posłuchał, a Orestes ciągnął: – Wiesz, czemu nie boję się bogów? Bo jestem przekonany, że nie mają pojęcia, co robią. Nasze losy plotą ślepcy albo szaleńcy. Albo złośliwe skurwysyny, którym wszystko jedno, czy się ich boisz, czy nie. Powstają ciągi wydarzeń, które nie mają żadnego sensu, a przeważnie kończą się krzywdą. Czy ktoś jest winny? Tak. Ale zwykle nie ten, kto winny się czuje. Za grzechy Achajów płacą dzieci Achajów. Zawsze. Masz takie samo prawo winić mnie za śmierć swojej matki, co ja ciebie za uprowadzenie mojej siostry. Bo cała ta pajęczyna zdarzeń została upleciona z powodu czegoś, co uczynił mój ojciec. Kiedy Achajowie ruszali pod Troję, nie było wiatru. Agamemnon-król, wielki Agamemnon-król, w pijackim szale poprzysiągł więc bogom ofiarę z Ifigenii. Ofiarę całopalną, jak z wołu. Oczywiście do tego nie doszło, została po prostu oddana na służbę w świątyni. Jednak nie możesz bogom czegoś obiecać, a potem się wykręcić. Dlatego odebrali małej wzrok. Dlatego znalazła się tam, gdzie się znalazła, kiedy Dorowie ruszyli na południe. I dlatego ja znalazłem się tam, gdzie się znalazłem. Widzisz, jak to się łączy? Wszystko przez okrucieństwo jednego człowieka, mojego ojca. Powinieneś wiedzieć, że to, co robię, robię z nienawiści do niego. Ojcowie to kurwy, Telemachu.

– Ojcowie to kurwy... – powtórzył chłopak.

Orestes popatrzył na Itakijczyka. Pomyślał o Odyseuszu. Widział go wiele lat wcześniej w Aulidzie, jednak nie potrafił przypomnieć sobie twarzy. Za to łatwo mógł sobie wyobrazić, jak wyglądało życie jego syna najpierw wśród babskich sukni, potem z obcymi mężczyznami, nauczycielami.

– Nasi ojcowie stworzyli swoją legendę, płynąc pod Troję, ale to wszystko nieprawda. To dym

kadzideł i gry świateł, Telemachu, jak w świątyni.

W wielkich, zielonych oczach niemal widać było przemykające cienie ludzi i zdarzeń. Młody król wspominał, zmagał się, walczył. „Dobrze – pomyślał Orestes. – Rozżalony na nic mi się nie przydasz. Potrzebuję twojej złości, potrzebuję twojej krzywdy”.

Wiedziony nagłym porywem, objął chłopca, przyciągnął do siebie. Wmusił mu do ucha gorący szept:

– Obiecuję ci, że dorwiemy wszystkich skurwysynów, którzy są za to odpowiedzialni. Będą, kurwa, konać w męczarniach. W męczarniach! Będą błagać o śmierć. Grzechy naszych ojców pójdą w niepamięć, nigdy więcej nie zatrują nam życia. Także oni sami pójdą w niepamięć, bo nasza sława przyćmi ich na wieki, kurwa, wieków.

Syn Odysa cofnął głowę na tyle, żeby móc spojrzeć w oczy księcia. Dyszał, rumieniec wypęłzył mu na policzki. Orestes uśmiechnął się, wiedząc, że osiągnął cel.

– Świat będzie nasz, Telemachu.

* * *

– Świat będzie nasz...

– Co rzeczesz, panie? – Polyperchon obrócił się na koźle wozu, popatrzył na zawinięty w skóry cień.

– Nic. Tak tylko rozmyślałem...

– O szlachetnym Oreście?

– Tak. Wspominałem coś, co kiedyś mi powiedział. Ale to już chyba należy do przeszłości...

– Rozchmurz się, panie. Kapłanki wnet zrobią z tobą porządek i będziemy mogli wrócić do drwienia z bogów u jego boku.

Cień nie odpowiedział. Sługa cmoknął na wołu, podrapał się w tyłek, zerknął na towarzyszącego mu syryjskiego niewolnika – ponurego osiłka – spojrzał w chmurę.

– Mam nadzieję, że nie będzie padać. To znaczy, jeszcze przez chwilę. Bo ogólnie trochę deszczu by się przydało. Ale jakby tak te miłe chmurki zechciały poczekać, aż dojedziemy do świątyni... Nie zimno ci tam aby, panie?

Cisza. Polyperchon wzruszył ramionami, strzelił bacikiem.

Wóz przetoczył się przez niewielkie wzgórze i wnet ujrzeli przed sobą dolinę, a w niej miasto. Od północy, od ginącego we mgle Parnasu, wiał wiatr. Trawy kładły się na zboczach. Na polach tyrali wieśniacy. W pocie czoła orali stwardniałą przez długie lato ziemię, w gajach oliwnych zbierali oliwki, w winnicach przycinali latorośl.

Świątynia Bogini Ziemi, do której zmierzali podróżni, znajdowała się w pewnym oddaleniu od miasta, przytulona do obrośniętego winoroślą wzgórza, otoczona przez gospodarstwa. Przy bramie, zamkniętej na czas wojny, powitało ich kilku krzepkich niewolników uzbrojonych w pałki. Po krótkiej wymianie zdań puścili wóz na wewnętrzny dziedziniec, gdzie otoczyły go białe szaty i kobiece twarze.

Do siedzącego na koźle niewolnika podeszła bardzo wysoka kobieta o przystojnej, choć niepięknej twarzy, czarnowłosa, złotoskóra. Polyperchon, jak zwykle w jej obecności, poczuł, że pocą mu się ręce.

– Pani Elektro – wymemlał, schylając głowę.

Księżniczka, od śmierci matki Pyladesa pełniąca też funkcję najwyższej kapłanki, uśmiechnęła się łaskawie. Błysnęły błękitne oczy odziedziczone po Agamemnonie-królu.

– Polyperchonie – odpowiedziała. – Dziękuję, że bezpiecznie dowiozłeś mojego małżonka. Na pewno opiekowałeś się nim lepiej niż mój niewdzięczny brat. – Odwróciła się do otaczających wóz kobiet. – Kandake, niech dwóch niewolników pomoże Polyperchonowi przenieść szlachetnego Pyladesa do komnat, w których będziemy mogły zająć się jego leczeniem.

Rozkaz pofrunął przez dziedziniec ze szmerem szat Elektry, tymczasem ona sama zajrzała do wnętrza wozu. Odwinęła część skór, odsłaniając bladą, wychudłą twarz.

– Mój malutki mężulku... Co on z tobą zrobił?

Pylades spróbował odpędzić gładzące jego brew palce niby muchy, jednak nie miał dość siły. Kobieta chwyciła go za dłoń.

– A jak miewa się twój ojciec? – zapytała. – Doszły nas wieści, że również był raniony.

– Jak sądzisz? – sarknął młodzieniec. – Ma przetrącone obie nogi, może zostanie kaleką. Jego jedyny dziedzic już jest kaleką.

– Uspokój się, Pyladesie. Leczenie wymaga czasu, ale...

– Leczenie? Ty nic nie rozumiesz, prawda? Popatrz na mnie! – Młodzieniec lewą ręką chwycił krawędź wozu i się podciągnął. Twarz mu poczerwieniała. – Nie czuję całej prawej połowy ciała! Nie mogę chodzić! Nie mogę unieść miecza! Zabiłbym się, gdyby nie to, że na mnie kończy się ród Strofidów! Chciałaś mieć mnie w domu, żono, to masz! Bezładny kadłub, w sam raz do robienia dzieci! Starczy, że ma kutasa!

Może krzyczałby dalej, lecz tchu mu zabrakło. Opadł na posłanie.

Kapłanka z zaciętymi ustami schyliła się nad Pyladesem. Polyperchon posłyszał, jak mamrocze: „A kiedykolwiek byłeś chętny robić z niego użytek?”, odwijając przy tym kolejne skóry i ocierając mężowi pot z czoła. Na ruch jej ręki zeskoczył z kozła. Zegnał też swego syryjskiego towarzysza. Dwóch kolejnych służących właśnie się zbliżało. We czterech ostrożnie unieśli Pyladesa i złożyli go na noszach z grubo wyściełaną leżanką.

– Dobrze – powiedziała księżniczka. – Weźcie go i chodźcie za mną.

Powędrowali do jednego z bocznych budynków, gdzie przełożyli rannego na łożo. Elektra odprawiła wszystkich poza sługą Orestesa.

– Teraz cię umyjemy. Zapociłeś się jak nieboskie stworzenie.

– Zostaw, sam to zrobię. Polyperchon mi pomoże.

– Nie bądź dzieckiem. Widziałam wcześniej nagiego mężczyznę. A Polyperchon pomoże mnie, nie tobie, prawda, Polyperchonie?

– Jak każesz, pani.

– Nawet się nie waż – warknął Pylades.

Niewolnik podrapał się za uchem.

– Przykro mi, panie, ale Orestes kazał we wszystkim słuchać swej siostry. Poza tym ona ma rację, panie. Zachowujesz się jak... no...

– Starczy – przerwała Elektra. – Dziękuję za wsparcie, ale lepiej nie mów za dużo.

– Jasna sprawa, pani.

– W porządku.

Wyposażeni w gąbki, dzban wody i suche szmaty przystąpili do obmywania rannego księcia. Podczas tej czynności kapłanka przyglądała się mężowi uważnie, obmacywała łydki, lędźwie, kark.

– Powiedz, czy poza tą raną na głowie doświadczyłeś jakichś jeszcze obrażeń?

– Nie. Żadnych więcej obrażeń.

– Mhm.

– Szlachetny Pylades z początku miał pełną władzę w członkach – rzucił Polyperchon. – Tylko słaby był jak... e... bardzo słaby. A potem wściekł się na Orestesa, bo tamten... No wściekł się, omdlał i od tego czasu stracił czucie.

– Orestes puścił się z jakąś dorycką kurwą – wyjaśnił bez ogródek książę.

– Kurwą? – zdziwiła się Elektra.

– Wiesz, co mam na myśli. Z jakimś wieszczem czy kimś takim.

– A zatem z zazdrości krew uderzyła ci do głowy, że aż duch ci się wywrócił. Dlatego zaniemogłeś.

– Tak było, pani. Wściekł się...

– Dziękuję, Polyperchonie. – Księżniczka obróciła rannego na brzuch. Jak na kobietę, była zadziwiająco silna. – Za władzę w lędźwiach i nogach odpowiada kręgosłup, który produkuje też nasienie. Jeśli, jak mówisz, nie zostałeś zraniony w plecy...

– To co?

– Nie wiem jeszcze. Polyperchonie, namaść go, a ja pójde porozmawiać z uzdrowicielkami.

* * *

Umyty i namaszczony Pylades poprosił o wino. Wypiwszy je, siedział chwilę, patrzył w ścianę. W pewnym momencie głowa zaczęła mu opadać. Walcząc z niewładną połówą ciała, wyciągnął się, poprawił poduszki, przymknął oczy. Polyperchon patrzył, jak pierś młodzieńca porusza się coraz wolniej, coraz bardziej miarowo. Niegdyś piękna twarz przybrała dziwny wyraz. Dwie jej połowy zdawały się zмагаć ze sobą, jedna napięta i zgorzkniała, druga rozluźniona, spokojna.

Niewolnik wymknął się z komory i polecivszy przyczajonemu w przedsionku Syryjczykowi, aby miał baczenie na ich pana, wyszedł na świątynny dziedziniec. Wiele myśli trzepotało mu pod czaszką: o wietrze, o górach, o urodziwym dziewczątku, które widział wcześniej wśród kapłanek. Chwilę łąził bez celu, oglądając mury, przeszkadzając wszystkim w codziennej robocie. Wreszcie trafił na w miarę odludny zakątek. W uchu zadźwięczała mu dziecinna zachcianka, by wspiąć się na fortyfikacje i wyjrzeć ku północy, raz jeszcze ujrzeć ginący we mgle szczyt Parnasu. Łypnął na prawo i lewo. Pewny, że nikt nie zwraca na niego uwagi, podszedł do muru. Obmacując położone bez zaprawy kamienne bloki, łatwo znalazł uchwyt dla rąk. Długie ramiona Makedona – tak często wykpiwane przez Achajów – poniosły go w górę. Błyskawicznie dotarł na szczyt, wiatr musnął mu policzki, rozrzucił włosy. Polyperchon zaśmiał się, przerzucił nogi na drugą stronę umocnień. Niestety, góry były przesłonięte zboczem wzgórza, pod którym przycupnęła świątynia, niewolnik miał jednak dobry widok na dolinę i ciągnące się ku południowi pagórki. W jego nozdrza wdarły się jesienne wonie: dymu,

poruszonej gleby, nadchodzącego deszczu. Zarysy położonego w dolinie miasta Krisa już ginęły w granatowo-szarej mgiele.

– Polyperchonie?

Obejrzał się, spojrział w dół. Elektra stała u podnóża muru. Jej uniesiona twarz, tak podobna do oblicza Orestesa, a jednak zupełnie inna ze względu na niebieskie oczy, wydała mu się nagle osobliwie piękna.

– Tak, pani?

– Nie jestem pewna, czy możesz tam siedzieć.

– Nikt mi nie zabronił.

– Zejdź, właśnie byłam u Pyladesa, ale chciałam mówić z tobą. Albo nie. Czekać, ja wejdę tam do ciebie. Sto lat nie patrzyłam z góry na dolinę.

– Będziesz się wspinać, pani?

– Nie bądź głupi!

Kobieta powędrowała w stronę najbliższej wartowni, do której można się było dostać schodami. Następnie przeszła po krawędzi fortyfikacji do Polyperchona. Siadła, lekko zadyszana, rumiana.

– Ufff, oczywiście musiałeś wybrać najdalszą, najbardziej zaniedbaną część muru.

Niewolnik wyszczerzył zęby.

– Miałem nadzieję zobaczyć góry. Nie pomyślałem, że świątynia zwrócona jest w niewłaściwym kierunku.

– Ano tak... – Kapłanka wzięła głęboki wdech, oparła dłoń u podstawy szyi. Polyperchon mimochodem zwrócił uwagę na krągłość piersi skrytych pod bluzką mykeńskiego kroju. – Niech no złapię oddech.

– Czy uzdrowicielki doradziły ci coś w sprawie Pyladesa?

– Tak... – Jednak nigdy nie dowiedział się, co doradziły, bo kapłanka nagle wskazała palcem jakiś punkt w oddali. – Widzisz to?

Wstał, wyteżył wzrok. Przez otulający miasto obłok trudno było cokolwiek rozeznąć.

– Widzę. Jakby wielka kupa ludu złąziła w dolinę od południa. I popatrz, pani, posłaniec biegnie ku nam z miasta.

– Lepiej pójde się dowiedzieć, z czym przychodzi.

– Mam iść z tobą, pani?

– Chodź.

Po szczycie muru przeszli do strażnicy nad bramą. Na terenie świątyni nie było żadnych żołnierzy, lecz przy głównym wejściu trzymała wartę grupa sług zbrojnych w proce i pałki. Łysy grubas, który zdawał się być ich dowódcą, na widok niespodziewanych gości uniósł brwi.

– Pani Elektro? – odezwał się. – Właśnie miałem ślać po ciebie. Zda się, że bieży ku nam goniec.

– Tak, widzieliśmy. Coś dzieje się na drugim końcu doliny. Otwórzcie furte.

Mężczyzna w asyście drugiego sługi, a także Elektry i Polyperchona, zszedł po schodach, aby wykonać polecenie. Cała grupka stanęła na prowadzącej w dół zbocza ścieżce, tuż przed bramą. Goniec dotarł do nich w niedługim czasie. Stał z rękami opartymi o kolana.

– Pani – wydyszał. – Szlachetny Kleodajos prosi, abyś przybyła do miasta. Przyśle ci eskortę żołnierzy.

– Czemu? Co się dzieje?

– Wojna, pani. Biją się w królestwie Myken i Beocji. Tisbe, mówią, stoi w ogniu.

– Kto z kim? Dorów przecież zatrzymał mój świekr, Strofios-król.

– Niewolnicy, pani. Uchodźcy. Dezerterzy. Znaczny oddział Achajów pod Kapaneosem z Koryntu zjawił się pod Kyparissos. Damasos, syn Dadakesa-króla, próbował odprawić ich tam, skąd przyszli, lecz odmówili, rozgonili strażę i teraz maszerują ku nam, ku Krisie. Damasos nie miał dość wojska, by ich gonić, bo większość żołnierzy zabrał jego ojciec, który wraz z twym świekrem wciąż stoi w Lokrydzie.

– Widzieliśmy znaczną grupę ludzi schodzącą w dolinę. To żołnierze?

– Nie, pani, głównie uciekinierzy z Tisbe, kupcy, rzemieślnicy. Oddział Kapaneosa jest jeszcze o jakiś dzień drogi stąd.

– Dobrze. Pędź do Kleodajosa i powiedz, że rozkazuję przysłać grupę pięćdziesięciu żołnierzy do obrony świątyni pod moją nieobecność.

Goniec zawahał się, lecz potem powiedział:

– Tak, pani.

– Zależy mi na bezpieczeństwie moich kapłanek. Powiedz też, że ruszę do miasta, kiedy tylko wraz z oddziałem zjawi się moja eskorta.

– Tak, pani.

– No, na co czekasz? Biegiem!

Goniec oddalił się, a kobieta odwróciła do Polyperchona i świątynnych sług.

– Na razie nie mówcie nikomu, że jest tu Pylades. Nawet żołnierzom. Ich obecność powinna odstraszać pomniejszych bandy, ale nie możemy ryzykować, że do Kapaneosa dotrze wieść o obecności królewskiego syna. Zamiast iść z głównymi siłami na miasto i próbować negocjacji, mógłby wtedy przyplątać się tutaj, a tego byśmy nie chcieli. Aha, i nie mówcie też o niczym Pyladesowi. Jak go znam, wpadłby na jakiś głupi pomysł.

Niewolnik przełknął ślinę.

– A co z tobą, pani? – zapytał. – Czy i ty nie byłabyś tu bezpieczniejsza niż w mieście?

Elektra uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Kleodajos potrzebuje, żeby ktoś pottrzymał go za rączkę. Zresztą nie martw się, to tylko zabezpieczenie na wszelki wypadek. Zaraz wyprawimy poselstwo do tego całego Kapaneosa. Na pewno dojdziemy do porozumienia. Wątpię, aby naprawdę chciał napaść na Krisę.

* * *

Twarz Kapaneosa wyglądała jak kawał wyprawionej skóry, na którym zostały odcisnięte ślady po licznych kampaniach – blizny, spośród których najpaskudniejsza wywijiała górną wargę i odsłaniała kawał bezzębego dziąsła.

– Dziękuję, że zechciałaś mnie przyjąć, pani – wyseplenił wódcz. – To zaszczyt. Służyłem ongi twemu ojcu. Pod Troją, a nawet wcześniej, w korynckiej wojnie.

– Zaszczyt to raczej dla mnie – odparła Elektra – gościć żołnierza zaprawionego w tak wielu bitwach. Rozumiem jednak, że służyłeś też Ajgistowi, memu stryjecznemu stryjowi. Ciekawe, jak to się stało, żeś tej służby zaniechał.

Kapaneos, jeśli był zmieszany, nie pokazał tego po sobie.

– Żołnierska dola przyjmować chleb od tego króla, który akurat jest w pobliżu. Przyznaję jednak, choć poniewczasie, że błędem było godzić się na służbę u Ajgista.

– Bo nie potrafi zapewnić chleba?

– Gorzej, pani... Krew twego prastryja Tiestesa, Ajgistowego ojca, jest przeklęta. Odkąd zginął Agamemnon-król, nam, żołnierzom, źle się działo. Paśli swe brzuchy jedynie kupczykowie, wyciskając ostatnie soki z niewolników, którzy teraz owe brzuchy rozpruwają. My pragniemy znów służyć świętej krwi Atrydów. Tobie, pani. Jeśli nas przyjmiesz.

Elektra zachichotała, żeby ukryć niepokój.

– Czy jestem królem, abyście chcieli zaprzysiąc mi swoje miecze?

– Powiadają, że przed wiekami w Mykenach i innych miastach Achai władały królowe.

– Teraz więc oferujesz mi także mykeński tron, Kapaneosie?

Skórzastą gębą wojownika wreszcie poruszył grymas. Zniekształcone wargi wygięły się, niebieskie oczy uciekły na chwilę na bok.

– To niepewne czasy, pani – powiedział. – Dla blisko siedmiuset włóczni, które zgromadziłem, idąc tutaj, z pewnością znajdzie się zajęcie. Zwłaszcza teraz, gdy twój mąż i świekr zabrali wojska na północ, a na południu wre.

„Grozi mi?” – pomyślała kapłanka.

– Zapominasz o moim bracie, Orestesie.

– O Orestesie? – Oblicze Kapaneosa ponownie się odmieniło. – Słyszeliśmy, że nie żyje.

– Jego żołnierze stoją pod Delfami – skłamała gładko. – Nie tylko żyje, ale pomnaża sławę swego imienia. Przynajmniej tu, na północy. Pobił Dorów w wielu bitwach we Ftiotydie, a teraz zamierza odbić Ozoliańską Lokrydę. Towarzyszy mu Achilles-król.

– Achilles?

– Co, słyszeliście, że nie żyje?

– W rzeczy samej...

– A wracając do kwestii mykeńskiego tronu. – Elektra nie pozwoliła mu dokończyć. – Może jednak warto, abyś o tej sprawie pomyślał...

* * *

Ktoś szarpnął Polyperchona za ramię. Niewolnik zatrzepotał rękami, podskoczył niby ryba. Ciemność opornie rozstępowała się przed jego oczami. Blask latarni oślepił.

– Cooo?... Co jest? Czego?

Dłoń zatkała mu usta. Poczł nacisk i ciepło, jakim emanować może tylko ciało kobiety, w nozdrza połaskotała go woń olejków, w czoło – kosmyki czarnych włosów. Błysnęła para niebieskich oczu. Gorący, wrzący szept napłynął do ucha:

– Cicho, Polyperchonie, na bogi, bo zbudzisz Pyladesa. Chodź.

Nacisk zniknął, wonie zawirowały i umknęły, kobieta wyszła z komnaty.

Niewolnik otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz po zastanowieniu zamknął je z powrotem. Elektra wkradła się nocą do izby, którą dzielił z ponurym Syryjczykiem. Wyciągnęła go z łóżka, ciepła i pachnąca wiatrem. Czy naprawdę zamierzał dyskutować?

Wstał, owinął się płaszczem, pod którym spał, i poszedł za kapłanką. Czekala w korytarzu, kilkanaście kroków od drzwi komnaty.

– Masz coś pod tym? – zapytała, kiedy się zbliżył.

Błysnął zębami.

– Nie, pani.

– To idź się ubierz. I nie zapomnij butów.

Uśmiech zniknął z twarzy Polyperchona, przegnany rumieńcem. Niewolnik zawrócił. Odział się najciszej, jak umiał, i dopiero wtedy dołączył do Elektry.

– O co chodzi, pani?

– Jesteś gotów do drogi?

– Zawsze.

– Znakomicie. Musisz coś dla mnie zrobić. Dam ci szybki konny zaprzęg. Pojedziesz do Naupaktos, do Orestesa, i przekażesz mu ode mnie wiadomość.

* * *

W wieczniku pałacyku, który Orestes obrał sobie w Naupaktos za kwaterę, zebrano się, nie licząc gospodarza, czterech wodzów: Teukros, Achilles, Telemach i Nabuszezibanni. Wszyscy w napięciu przypatrywali się Polyperchonowi – wciąż rumianemu po podróży, choć nim przystąpił do przedstawienia swej sprawy całemu zgromadzeniu, długo rozmawiał sam na sam ze swym panem.

– Zasadniczo więc możemy albo ratować Ifigenię, albo połączyć się z Kapaneosem i iść na odsiecz Mykenom – powiedział Orestes.

– To twój wybór – odparł Achilles. – Twoja krew i twoje królestwo.

Książę milczał chwilę. W końcu rzekł:

– To żaden wybór. Moglibyśmy wysłać do Elidy drużynę stu czy dwustu ludzi, którzy spróbowaliby wytropić Ifigenię, ale szanse na powodzenie są marne.

– Z tobą nam się udało.

– Ze mną mieliście szczęście. Wpadłem w ręce Dorów przypadkiem, nie bardzo zatem wiedzieli, co ze mną zrobić. W dodatku większa część ich wojska się stąd zmyła. W Elidzie Kresfontes ma tysiące żołnierzy. Poza tym szukał Ifigenii, pewnie więc zamknie ją w jakimś zamku i będzie trzymał.

Nabu poderwał się z miejsca, lecz siedzący obok Teukros pohamował niemowę, kładąc na jego ramieniu łapę wielką niby szynka.

– Nie sądzisz, że warto by było jednak zaryzykować? – zapytał Kipryjczyk.

– Nie wahałbym się, gdyby nie to, co znajduje się na szali. Mam jeszcze drugą siostrę, która jest w niebezpieczeństwie, a wraz z nią przebywa mój przyjaciel Pylades. Mam też obowiązki wobec mieszkańców Myken. Nadal jestem ich księciem.

Nabu szarpnął się, jednak trzymający go wielkolud nie puścił. Dziwne, szare oczy wpatrywały się w Oresta z wściekłością. „Chodzi ci tylko o tron – mówiły. – Chcesz wykorzystać okazję”.

„Czy ma rację?” – zastanowił się młodzieniec.

– Mamy dwadzieścia parę statków – odezwał się Telemach. Przygryzał wargę i bardzo starał się być królem, a nie zdruzgotanym śmiercią matki dzieciakiem. – Wypychając je po brzegi, moglibyśmy spróbować przerzucić do Elidy jakieś dwa tysiące żołnierzy. Ale to za mało, prawda?

– Tak – zgodził się Orestes. – Jedyna droga do zwycięstwa wiedzie achajskim wybrzeżem. To plan nie mniej ryzykowny niż inne, ale ma chyba największe szanse powodzenia. Jeśli połączymy siły z Kapaneosem, będziemy mieli dobrze ponad pięć tysięcy ludzi. Przejdziemy przez królestwo Myken, tłumiąc powstania, gdzie się da. Potem zaatakujemy Elidę od północno-wschodu.

– To znaczy, że będziemy musieli walczyć zimą – zauważył Achilles.

– Właśnie. Dlatego nie możemy zdradzić szczegółów naszego planu ani żołnierzom, ani pozostałym wodzom. Niech myślą, że siądziemy na dupie w Mykenach i będziemy się obżerać tamtejszymi plonami. Sylanowi, Eruthrosowi, Klearchowi i pozostałym obiecamy łupy z mykeńskiego skarbcza.

– Czyli wojna z Ajgistem... – mruknął Teukros.

– Wojna z całym światem, przyjacielu. – Uśmiechnął się Orestes.

ROZDZIAŁ XXI

Mimo okrzyków i pijackich wzruszeń, mimo radosnego gwaru unoszącego się nad tysiącem ognisk rozjaśniających dolinę między Pisą a Olimpią, Outis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że uczta zwycięstwa, wieńcząca siedmiodniowe igrzysko ku czci poległych królów, to zwykła kpina, tania zabawa w udawanie. Jeden niewłaściwy ruch, a opadną byle jakie materie naśladujące tyryjskie kobierce. Tylko wina im nie brakło, lecz było ono cierpkie, za młode i z przesuszzonego owocu. Bawiący się pod gołym niebem żołnierze dostali dwa rodzaje polewki: wieprzową – z przewagą krwi i octu – oraz jęczmienną. Wodzowie, spoglądający na nich z okien wieczernika, jedli rybny gulasz z cebulą i plackami oraz drób i sery. Jedynie na stole Menelaosa pysznił się pieczony dzik.

Outis chwycił cebulowy płatek, nabrał nań odrobinę gulaszu. Popił winem. Skrzywił się po raz kolejny. Szumiało mu już w głowie i tylko dwie myśli się w niej kołatały: Helena i Kresfontes, Kresfontes i Helena. Na przemian wspominał noc, którą spędził z lakedaimońską królową, i chwilę, w której jego strzała ugodziła doryckiego księcia.

Śmierć wrogiego wodza dała Achajom zwycięstwo w bitwie, jednak zwyczajnie nie mieli dość siły, by zgnieść Dorów jednym uderzeniem. Część górali się rozpierzchnęła, lecz wielu utrzymało szyk, przeciągnęło walkę do wieczora i dopiero wówczas ustąpiło z pola. Potem zaczęły się drobniejsze potyczki. Euforia zwycięstwa po wielkiej bitwie powoli zanikała, achajscy żołnierze chcieli wracać do żon i gospodarstw. Udało się jeszcze odbić Pisę i Olymپیę, nim dały o sobie znać kłopoty z zaopatrzeniem. Gdy przybyli doryccy posłowie, przyjęto zawieszenie broni. Dolina Peneosu i ziemie na północ od niej miały pozostać w rękach najeźdźców – przynajmniej przez zimę. Mimo to...

Przy jednym z bocznych stołów, gdzie ucztowali podlegli Menelaosowi królikowie wraz z braćmi i dalszymi krewnymi, wybuchł gwar większy niż dotychczas. Uniósł się Tereos-król z Amyklai, zwany Uchatym, odkąd w bitwie z Dorami stracił ucho. Sądząc po rumieńcach i chwiejnej postawie, był już mocno zawiany. Gruchnął o stół czarką wina.

– Królowie! – zabeczał. – Achajowie! Bracia Achajowie... Bracia moi, moi bracia Achajowie! Dorowie pobici! Rozpieprzeni... w dym rozpieprzeni!

Odpowiedziały mu pohukiwania i łomot pięściami o stoły.

– Chciałbym ułać ofiarę dla daimoniona Menelaosa-króla – ciągnął Tereos. – Daimonion ów czuwał nad nim i nad nami, żeśmy mogli nawałę doryckiej tłuszczy zatrzymać i... i nie dać jej... zalać żyznych dolin naszych ojczyzn... i wydupczyć naszych żon... i córek naszych, niebieskookich Achajek... I stanęliśmy im na drodze... I niech kruki żrą górali jebanych!

Kolejny gromki okrzyk, poprzetykany prześmiewkami.

– Tak, tak, pijmy już! – zawołał ktoś z sali.

– Siadaj, pijanyś! – dorzucił inny.

Próbowano posadzić Tereosa z powrotem na tyłku, lecz ten się nie dał.

– Ulewam ofiarę, ulewam ofiarę! – zakrzyknął. Przechylił czarękę, już utłuczoną na krawędzi. Wytoczyła się z niej samotna kropla wina. Zza stołów buchnął śmiech. – Niech was kruki! Polejcie jeszcze! Ulewam ofiarę!

W końcu udało mu się chlapnąć znaczną ilością trunku na podłogę. Nadal jednak nie siadał.

– Drugą ofiarę uleję dla daimoniona człeka... człeka wielkiej waleczności, dzięki któremu ta góra, co jest dla Dorów wodzem... to jest była wodzem... Outisie! Tyś zabił jebanego Kresfonta! Chwała ci! – „Chwała, chwała!” krzyczeli wodzowie. – Tyś jest... – Tereos zmarszczył brew. Myślał, myślał, aż wymyślił: – Tyś jest Waligóra!

– A tyś jest wałkoń – burknął usadowiony tuż obok Koes z Augiajów. – Siadaj!

Lakońscy wodzowie spełnili ofiarę, kilku mężów podeszło też do Outisa, aby poklepać go w ramię, zmierzwić resztki włosów na głowie, wychylić z nim kielich. Widział jednak zawistne spojrzenia znaczniejszych królów.

„Drażni ich, że taki nikt został bohaterem – pomyślał. – Nikt. Ha”.

Roześmiał się. W jego własnych uszach zabrzmiało to sztucznie. Wstał, zniosło go ku Menelaosowi. Zdziwił się, jak miękkie ma nogi.

Król wyglądał, jakby drzemał, kiedy jednak usłyszał, że ktoś podchodzi, otworzył oczy.

– Czy mogę się oddalić, panie?

– Za dużo wina, przyjacielu?

– Może odrobinę. Tu, na zamku, duszno jakoś... Chętnie przejdę się między żołnierzami.

– Dobrze. Sam zaraz chyba opuszczę towarzystwo, męczy mnie hałas. Tylko przyjdź do mnie później. Mamy do pomówienia.

Outis kiwnął głową i powłókł się do wyjścia.

Korytarze pisańskiego zamku pulsowały niczym żyły potwornego bydłęcia. Niewolnicy biegali w tę i z powrotem z koszami chleba i placków, garncami gulaszu, amforami wina. Po kątach pijani Achajowie obłapiali dziewczęta i chłopców. Któryś nawet przełożył pewną dziewczuszkę, na oko trzynastoletnią, przez stojącą w bocznym przejściu beczkę i rznął ją w najlepsze.

Mimowolny bohater minionej bitwy z ulgą wy dostał się na dziedziniec. Na bramie i murach cytadeli stały strażę. Powietrze pachniało dymem ognisk. Wyjący między kamieniami wiatr walczył o lepsze z szumem ludzkich głosów.

Outis pozdrowił dowodzącego zmianą dziesiątnika. Wyszedł na prowadzącą ku miastu drogę, lecz zamiast ruszyć ku dolinie i świętującym żołnierzom, skręcił na lewo, odszukał biegnącą wzdłuż fortyfikacji ścieżkę. Szedł, aż hałas ucichł. Siadł wtedy na kamieniu, popatrzył ku ginącym w mroku wzgórzom. Ich płaskie, krępe sylwety coś mu przypominały. W oddali zawołał nocny ptak, a sercem mężczyzny wrednie, z zaskoczenia, szarpnęła tęsknota.

Za czym? Za czym?

Brakło mu mamrotu morza, krzyku kormoranów. Brakło mu uścisku czyichś ramion. Heleny – myślał z początku. Owszem, brakło mu też Heleny, jednak nie o taki uścisk chodziło. Tęsknił za czymś ciepłym, niewinnym... Myślał gorączkowo. Za czyimiś drobnymi ramionkami. Próbował przypomnieć sobie cokolwiek z dzieciństwa, próbował przypomnieć sobie ojca. Nie potrafił.

Zawrócił myślami do śmiesznej, pełnej uniesienia chwili w świątyni Bogini Ziemi w Koryncie. Świeża pamięć zdawała mu się bezpieczniejsza. Imię Heleny pasowało do

wywołanego winem szmeru.

Westchnął. Zsunął się z kamienia, by sięść na ziemi, oprzeć się o niego plecami. Odchylił głowę, przymknął oczy. Skupił się na własnym oddechu, a słowa powoli ulatywały mu z głowy. Jedno za drugim. Aż pozostała cisza.

Nie miał pojęcia, jak długo tak trwał, jednak był skostniały i zziębnięty, gdy od strony bramy nadbiegł człowiek, jeden z młodszych przybocznych Menelaosa.

– Outisie, chodź prędko! Żle z królem!

* * *

Powitało go wycie, twarz wymięta cierpieniem, dłonie tłukące na oślepie.

– Przytrzymajcie go! Na bogi, zamknijcie drzwi, nikt nie może tego słyszeć! Chłopcze, nikogo tu nie wpuszczaj, słyszysz? Nikogo!

Chwycił Menelaosa-króla, który przywarł do niego, wpił palce w jego ramiona, rżąc:

– Outisie, daj mi miecz, daj mi, kurwa, miecz, daj miecz, daj miecz, daj...

Rozbitek przytrzymał go mocno.

– Ruszcie się! – warknął na pozostałych przybocznych.

Dwóch byczków złapało króla pod ramiona, ponieśli go do łoża. Miotał się, przeklinał. Outis sprawdził, czy drzwi są szczelnie zamknięte, następnie skoczył przegrzebywać skrzynie. Szukał bukłaczków z wywarem makowym naszykowanym przez Naosa. Pierwszy okazał się pusty. Podobnie drugi, trzeci.

Zaklął. Klęknął przy łożu Menelaosa. Przybocznicy wciąż próbowali utrzymać swego pana na miejscu.

– Dajcie mu wina – polecił.

– Nie... Nie chcę... Nie mogę. Nie dawaj mi wina, daj mi miecz. Pozwól mi, kurwa, umrzeć jak mężczyźnie. Własnym mieczem... Własnym mieczem... Kurwa, na wszystkich bogów, Outisie...

– Gdzie jest lekarstwo przygotowane przez Naosa? – zapytał, nie zwracając uwagi na błagania. – Musisz mieć gdzieś jakiś zapas.

– Nie mam! Nie mam! Wypiłem już wszystko! Musiałem jakoś przetrzymać te bitwy, te marsze... Nic nie zostało! Dlaczego nie chcesz mi dać miecza?! Ty kurwo! Przygarnąłem cię, a ty... Puśćcie mnie, zdrańcy! Jestem waszym królem! Zajebcie go! Tego kata pierdolonego...

Rozbitek spojrział na przytrzymujących Menelaosa młodzików. Nie podobało mu się, jak popatrywali na niego, jak poluźniali chwyt.

– Niech kilku ludzi leci na miasto. Szukajcie lekarza, zielarza, kogokolwiek.

Sam wrócił do skrzyń. Wyciągnął wszystkie bukłaczki. Zlał z nich resztki do kielicha, dopełnił winem. Wrócił do łoża.

– Trzymajcie go mocniej! – rzucił.

Wrzask. Chwila wahania przybocznych. Potem mocniej przycisnęli swego wodza. Outis chwycił dłonią brodę władcy, ogarnął palcami dolną połowę twarzy, aby zatkać nos, lecz mieć wolny dostęp do ust. Barkiem unieruchomił głowę. Wmusił w Menelaosa wino zmieszane z resztkami wywaru.

Szamotanina osłabła, potem ustała. Rozbitek cofnął się, dał znak, żeby pozostali uczynili podobnie. Przykucnął, spojrział leżącemu mężczyźnie w oczy.

– Ciągłe boli? – zapytał.

– Tak bardzo, że mógłbym cię zabić – wydyszał Menelaos. – Daj mi wina. Daj mi cokolwiek, żebym tylko przestał czuć ten jebany żar we flakach. A następnym razem, gdy każę ci podać miecz, masz mi podać miecz. Rozumiesz?

– Tak.

Jeden z obecnych w pokoju pomocników nieśmiało podsunął Outisowi bukłak. Ten podstawił go Menelaosowi, który pociągnął długi łyk, sapnął i powiedział:

– Zostawcie nas samych.

Gdy młodzieńcy umknęli, mówił dalej:

– Gdyśmy ruszali na Dorów, czułem się silny, czułem się znowu mężczyzną. Ale popatrz teraz na mnie. Leżę tu obszcpany, zwinięty z bólu... Tak nie może umierać król Achajów. Powiedziałem Helenie, że nie wrócę z tej wyprawy, ale wiesz co? Chcę wrócić. Chcę, żebyś zawiózł mnie do mojego Menelajonu. Zdobądź mi tylko cokolwiek na ból, żebym dotrwał. A jeśli ci się nie uda... Jeśli ci się nie uda, to, kurwa, zacisnę zęby. Tam skończę jak mężczyzna, jak wojownik... Rzucę się na miecz. Zrobiłem swoje, Outisie. Jedyne, co mnie jeszcze martwi, to bezpieczeństwo Heleny. Ale zrzucam ten kłopot na ciebie. Jutro o tym pomówimy. Teraz daj mi jeszcze wina.

Pod drzwiami komnaty dał się słyszeć jakiś hałas. Ktoś żądał widzenia z Menelaosem. Rozbitek puścił to mimo uszu, pomógł królowi zmienić ubranie na czyste, napił go, okrył. Tymczasem zamieszanie na korytarzu rosło. Nagle zabrzmiał krzyk bólu. Załomotano we drzwi.

Outis ściągnął ze ściany miecz i wyskoczył z komnaty. Niemal wpadł na Drakomacha. Mykeńczyk trzymał w dłoni długi nóż. Z ostrza kapłała krew. Pod ścianą leżał niewolnik, trzymał się za brzuch i z niedowierzaniem przyglądał ciemnej plamie wypełzającej spod dłoni. Za Drakomachem stał Ajgistos-król, zza którego wyglądał jakiś przerażony chłopak.

W uszach Outisa zadudniło, rozsądek powstrzymał go jednak przed rzuceniem się na trzech przeciwników. Tym bardziej że korytarzem już biegli zaalarmowani strażnicy.

– Lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie, Drakomachu...

Mężczyzna popatrzył na nóż, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Bujnął się w tył. Był pijany.

– To ścierwo stanęło mi na drodze – burknął, kiwnięciem głowy wskazując niewolnika. – Powiedziałem mu, że tylko zapukam. No i zapukałem...

– Dźgnąłeś tego chłopca, bo nie pozwolił ci zapukać?

– Nie. Dźgnąłem go, bo próbował powiedzieć achajskiemu królowi, co ma robić.

– Outisie? – Pod drzwiami komnaty stanęli strażnicy. Opierali dłonie na mieczach, ale jeszcze ich nie wyciągali.

– Pieprzyć niewolnika! – Zdenerwował się Ajgistos. – Jeśli Menelaos go tak lubił, oddam mu dwóch w zamian. Tymczasem musimy pilnie z nim rozmawiać.

Rozbitek popatrzył mu w oczy, pokręcił głową. Opuścił broń. Dał strażnikom znak, że również mogą się cofnąć. Dwóch podeszło do rannego chłopca.

– Zabierzcie go do kogoś, kto go opatrzy – powiedział Outis. Następnie zwrócił się do mykeńskiego króla: – Trudy wojny dały się Menelaosowi we znaki. Potrzebuje spokoju i wypoczynku.

– Wypoczynku?! Zbuntowani niewolnicy wyrzynają prawych Achajów, palą miasta, a on będzie wypoczywał?!

– Jacy niewolnicy? O czym ty mówisz?... Panie.

Ajgistos wypchnął naprzód kryjącego się za nim chłopaka.

– Powiedz mu.

– To prawda. Przybywam prosto z Partajów. Wielkie masy niewolników powstały przeciwko swym panom. Mają broń. Palą pola, mordują kupców, rzemieślników... W naszym mieście podłożyli ogień pod świątynię Boga Morza. Szlachetny Poliws zabarykadował się z żołnierzami w cytadeli, ale mogą nie przetrzymać zimy.

– Widzisz? – sapnął Drakomachos. – Niewolnicze, kurwa, powstanie. A ty takiego jednego gnojka żałujesz.

W tejże chwili otworzyły się drzwi. Stań w nich Menelaos, blady, z podkrążonymi oczami, wykrzywiony.

– O jakim powstaniu mówisz? – wydyszał.

– Królestwo Myken jest w ogniu. Niewolnicy, jakieś bandy z północy, pewnie i doryccy jętrzycciele...

– I co chcielibyście, abym zrobił? Powiódł ku nim sprzymierzone wojska?

Drakomachos obejrzał się na Ajgistosa, który stał z groźną miną i badał Menelaosa oczyma. Spojrzenie to nie spodobało się Outisowi, nadto było przenikliwe.

– Stworzyliśmy to przymierze, aby stawić czoło zagrożeniom, które niesie nawała ludów z północy – powiedział mykeński król. – Wojska Kresfonta były jednym z nich, teraz kolejne stanowią niewolnicy, którzy w wojnie dostrzegli swoją szansę. Dziś pustoszą moje ziemie, ale poczekaj, aż wieść o ich działaniach dotrze do Lakonii. W ogniu może stanąć cały Półwysep.

Menelaos kiwnął głową.

– Zwołamy naradę – wymamrotał, po czym zachwiał się, oparł o framugę.

Outis wsparł go ramieniem.

– Jutro – powiedział. – Jutro zbierzemy wszystkich wodzów. Żołnierze są pijani, i tak więc nie wyruszymy, póki nie wytrzeźwieją i nie wyleczą kaca. Ale wątpię, aby udało nam się drugi raz wystawić tak dużą armię. Argiwi są już pewnie w połowie drogi do domu, a ich wodzowie zdążyli się pobić o to, kto obejmie schedę po Kylarabesie, który nie miał ani synów, ani braci. Messeńczycy wrócili na swoje pola. Dziedzic Antylocha nie ma jeszcze nawet dziesięciu lat, nie poderwie ich do walki.

Drakomachos kiwał głową i powoli się wycofywał, jednak Ajgistos nie był jeszcze gotów ustąpić.

– Łatwo ci mówić, kiedy to nie twój majątek jest palony i rozgrabiany, kiedy to nie twój jedyny syn jest w niebezpieczeństwie. Właściwie, o ile wiem, nie posiadasz żadnego majątku, Outisie. Nie rozumiem, dlaczego w takim razie wypowiadasz się za mojego szlachetnego kuzyna.

– Zostaw go, Ajgiście – warknął Menelaos. – Dobrze mówi. Żołnierze są pijani, wy jesteście pijani, ja... – Spojrzał znacząco na wspierającego go mężczyznę. – Ja jestem pijany. Pchnij do Myken szybkich posłańców, niech wywiozą twego dziedzica na Eginę albo inną wyspę, na której masz włości. O wojnie porozmawiamy jutro. Powiedziałem.

– Odprowadzę cię do łoża, panie – rzekł rozbitek. A gdy zostawili mykeńskich wodzów i posłańca w korytarzu, sami zaś skryli się za drzwiami, dodał: – Źle się stało, że cię widzieli.

– Wiem, wiem... – mruknął władca. – Nie powinienem był... Pomóż mi...

Menelaos dał się podprowadzić do posłania, ułożyć i okryć. Westchnął, złożywszy głowę wśród miękkich materii.

– To wilki, Outisie. Węszą słabość – powiedział. – Muszę jutro stawić się na tę naradę, muszę stoczyć z nimi tę ostatnią bitwę.

– Ale powiedziałaś...

– Zapomnij o tym, co powiedziałem. Ostatnia bitwa, Outisie. Ostatnia. Potem wrócę do Menelajonu, do Heleny, i wreszcie będę mógł umrzeć...

* * *

Outis spał niespokojnie na skrzyni w kącie komnaty Menelaosa. Nad ranem zbudził go jęk. Wstał i podszedł do łoża króla, by ujrzeć ściśnięty kłębek bladych kończyn, wśród których niemal zginęła oblepiona mokrymi resztkami włosów głowa. Wyciągnął rękę, dotknął tej nieszczęśliwej istoty. Nie drgnęła. Dech ledwo poruszał ramionami, od skóry biło ciepło. W powietrzu wisiał mdlawo-kwaśny odór.

„Umiera” – pomyślał rozbitek i poszedł szukać sług, które wczoraj posłał po lekarza.

Sprowadzony z miasta człowiek okazał się ledwie osiemnasto-, może dwudziestoletnim młodzieńcem, lecz wyglądało, że wie, co robi. Złożył odpowiednie ofiary i wypowiedział zaklęcia, nim przystąpił do okładania pacjenta kompresami, nacierania mu skroni maściami i pojenia wywarami.

Po pewnym czasie do komnaty wbiegł niewolnik z wieścią, że wodzowie zbierają się w sali biesiadnej na naradę. Outis kazał mu wezwać samych lakońskich królików do jednej z bocznych komór. Potem zwrócił się do lekarza:

– Co z nim?

– Jego wewnętrzne płyny są wzburzone – odparł młodzian. – Choroba wysysa siłę życiową z kolejnych organów. Jednak duch bije w sercu równym rytmem, jestem więc dobrej myśli.

– Kiedy odzyska przytomność?

– Trudno powiedzieć. Trawi go poważna gorączka. Założyłem okłady na pierś, by spróbować przywrócić mu zmysły, jednak obawiam się, że nawet jeśli się ocknie, długo może być oszołomiony.

Outis pokiwał głową. Odstąpił od łoża i udał się na spotkanie z Lakończykami. Opowiedział im o stanie Menelaosa, a także o żądaniach Drakomacha i Ajgistosa. Decyzja miała należeć do nich, jako wodzów mających wspierać swego pana, chciał więc, aby byli przygotowani.

Do sali biesiadnej, gdzie czekali władcy pozostałych ziem achajskich, Lakończycy wpadli niby burza, z kłótnią i gniewnymi słowami. Złorzeczyli Mykeńczykom, wypominając im próbę

rozłamu w chwili choroby najwyższego króla. Outis zostawił im obrady, sam zaś stanął w kącie. Ogólny tumult skrył jego obecność. Tylko dwóch ludzi przyglądało mu się uważnie: mykeński Drakomachos i arkadyjski Agapenor-król.

ROZDZIAŁ XXII

Miała w sobie coś takiego, że nie mógł się oprzeć, mimo iż kobiety nigdy nie były jego pierwszym wyborem. Co więcej, nie przyszło mu do głowy o nic jej pytać. Powrót do Myken przypominał sen, a ona do tego snu pasowała. Pasowała wyśmienicie. Dopiero co otwarto im bramy – bez walki, jak wybawcom. Dopiero co rzucono wieńce na głowy. Dopiero co skończyła się uczta i pijaństwo na jego cześć. Dzień minął, jakby go nie było, i przyszła noc wonna zapachem ziębnących skał, ofiarnych dymów. Wśród takiej nocy, wśród takich woni, w szumie i pod gwieździstym niebem nieznajoma pasowała. Pasowała wyśmienicie.

Zastał ją, jakże stosownie, w królewskiej sypialni, tej samej, w której – jak sądził – dwadzieścia dwa lata wcześniej został splodzony. Siedziała w oknie, na szerokim parapecie, daleko od łoża, w którym – kto wie – może wciąż czyhał cień Agamemnona-króla. Była naga i powinno jej być zimno, jednak z jakiegoś powodu Orestes miał pewność, że nie było.

Opalona na złoto skóra lśniła w blasku młodego księżycy, zdradzając zarysy spiczastych piersi, spiczastego podbródka i spiczastego noska. Oczy nie ginęły w padającym na twarz cieniu, przeciwnie, świeciły z jego głębi, jakby dwa zimne ogniki płonęły w samym środku źrenic.

Podszedł do niej i ujął ją pod brodę. Przy jego olbrzymiej dłoni głowa kobiety wydała się małeńka. Obrócił ją delikatnie ku światłu i wtedy dostrzegł, że oczy mają różny kolor – jedno było ciemne, drugie jasne. „Fletnistka? – myślał. – Prezent z zamorskiej kolekcji Akareu? Wyraz podzięków za tytuły, które spadły na jego świński łeb?”. W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Schylił się, złożył pocałunek na uniesionych ustkach, palcami wolnej dłoni objął obie piersi. Pociągnął kobietę ku łożu, lecz wtedy się wymknęła.

– Nie, królu – powiedziała. – Tu jest lepiej.

Nie zamierzał się kłócić. Zrzucił oplatający biodra szeroki pas, ściągnął tunikę.

* * *

Czas na pytania przyszedł później.

Orestes rozparł się w oknie, z głową opartą o mur, roześniony od miłości i wina. Kobieta siedziała mu na udzie, skrzyżowawszy nogi i oparłszy ramię o jego pierś, jakby był siedziskiem z oparciem. Spojrzenie dziwnych dwubarwnych oczu nie dawało mu swobodnie opaść w głębinę snu, trzymało tuż nad powierzchnią. Swoje robił też chłód, który podszczypywał króla w bok.

– Jak się tu dostałaś? – zapytał. – Straże wpuściły cię bez pytania?

– Jestem czarodziejką.

Młodzieniec się roześmiał.

– Proszę, czarodziejką. Czarodziejki jeszcze dotąd nie miałem. Przysłał cię Akareu czy może powinienem podziękować któremuś z moich wodzów?

– Nikt mnie nie przysłał. Przychodzę i odchodzę tylko wtedy, gdy mam taki kaprys albo widzę w tym własny cel.

– Nikt więc cię nie przysłał, mimo to strażnicy cię wpuścili. Choć była to miła wizyta, powinienem ich chyba wybatożyć.

– Jeśli chcesz, lecz raczej nie mieli wyboru. Rzuciłam na nich zaklęcie.

– Zaklęcie, tak?

– Tak. Podobnie jak na ciebie. Szczerze powiedziawszy, myślałam, że będzie trudniej wydostać od ciebie zapłatę za dar, który przyniosłam. Widać jednak upoiło cię zwycięstwo.

Orestes zmarszczył brwi. Jeszcze chwilę wcześniej był przekonany, że flirtują, ale ton rozmowy nagle przestał mu się podobać. Chciał zepchnąć z siebie kobietę, odkrył jednak, że nie jest w stanie. Nie dlatego, że nie mógł się ruszać. Uniósł na próbę dłoń, poruszył palcami stóp, schylił głowę, pozwalając słodko-gorzkiej woni ziół zakręcić mu w nosie. Po prostu ogarnęła go niechęć do działania, jak czasami w gorący, letni poranek, kiedy wszelki ruch zdaje się niemożliwością.

„Rzuciła na mnie zaklęcie” – pomyślał, choć było to niedorzeczne. Przełknął ślinę.

– Za co ci zapłaciłem? – zapytał.

– Za Odyseusza.

– Ale on nie żyje... Czy ty... czy ty byłaś jego kochanką? To jakaś zemsta? Jeśli tak, to nie wiem za co. Nigdy nie miałem do czynienia z Odyseuszem. Widziałem go może dwa razy w życiu.

– Byłam jego kochanką, i to jest zemsta. Ale wyłącznie na nim. Tobie zaś może się opłacić.

– Mów dalej... czarodziejko.

– Tu, w Mykenach, jeszcze nikt o tym nie wie, lecz twój stryj Menelaos-król nie żyje. Za dzień, góra dwa dotrze do was posłaniec. Wezwie was do zawieszenia broni i przyjazdu na pogrzebowe igrzysko. Powie wam też, że Helena-królowa jest ciężarna, a obrońcą jej i dziecka, być może nienarodzonego dziedzica lakedaimońskiego tronu, został mianowany Odyseusz-król.

– Który nie żyje...

– Który żyje, lecz skrywa się pod imieniem Outis.

Orestes nie mógł się nie roześmiać.

– Outis? – parsknął. – Znam Outisa. Być może jest odrobinę podobny do Odyseusza, jednak to zdecydowanie dwaj różni ludzie.

– Na pewno? Sam powiedziałeś, że widziałeś Odysa ledwie parę razy. Pomyśl dobrze o jego twarzy. Nie zmieniła się, w każdym razie nie tak bardzo. Po prostu nosi ją teraz inna osoba. Spytaj kogoś, kto znał go bliżej, jego syna, na przykład. W pierwszej chwili też go nie pozna, jednak jeśli zmusi się, żeby dostrzec to, co kryje się poza imieniem... Spytaj Heleny.

Orestes zamyślił się na chwilę. Próbował wygrzebać z niepamięci twarz człowieka, który nigdy nie był dla niego ważny. Opornie mu szło.

– Rozumiem – powiedział w końcu. – Sugerujesz, że mógłbym usunąć Outisa i samemu zostać obrońcą Heleny oraz jej dziecka, by zapewnić sobie wpływ na lakedaimoński tron.

– Mówię o czymś więcej. Widzę twoje przeznaczenie jak na dłoni. Wszystkie ścieżki, którymi możesz pójść.

– Jesteś więc też wieszczką?

– Boski Oreście, mogę być wszystkim, czego zapragniesz.

Nuta kpiny?

– A co z ceną? Ile będzie kosztować ta wspaniała przyszłość, którą obiecujesz?

– Mówiłam: już zapłaciłeś.

Nie spodobała mu się odpowiedź. Mimo to, gdy kobieta zeskoczyła na ziemię, pochyliła się i złożyła szybki pocałunek na jego brzuchu, tuż pod pępkiem, nie mógł powstrzymać napływu żądz. Nie ruszył się jednak, a nieznajoma podreptała do drzwi, świadomie plaskając stopami o posadzkę z piaskowca – jak dziecko.

Musiał zapytać, choć była to pewnie najgłupsza, najbardziej przewidywalna rzecz, jaką mógł powiedzieć:

– Zobaczę cię jeszcze kiedyś?

Odwróciła się powoli. Półmrok chyba skrywał uśmiech.

– Z pewnością, królu.

Potem zniknęła za drzwiami.

Kiedy przechodziła przez zewnętrzne komory, tuż obok niej mignęła lampka, a w blasku poruszyło się jakieś zwaliste cielsko.

* * *

Ocknął się z myślą: „Jak to możliwe, że zasnąłem?”.

Nadal siedział w oknie, mimo iż z zimna tyłek mu zdrętwiał, gardło drapało, a fiut skurczył się tak, iż przypominał orzech. Ze wszystkich niedogodności ta ostatnia ubodła go najbardziej, dlatego chwycił wyziębioną męskość i zaczął ją rozmasowywać. Obrazy czarodziejki przyszły same.

Orestes otrząsnął się, wstał. Podeszedł do łoża ojca... Stanął. Dlaczego wciąż myślał „łóże ojca”? Przecież Agamemnon od kilkunastu lat spał w ziemi, z czerwiemi. Właściwie było to zatem łóże Ajgista. Ale tak nie umiałby o nim myśleć. Nie, jeśli już, to łóże matki, łóże, w którym rznęli ją najpierw Agamemnon-król, potem Ajgistos-król. Łóże Królewskiego Rźnięcia.

Pomyślał o Erigone, Ajgistowej córce, która siedziała zamknięta w kobiecych komnatach, odkąd zdobyli miasto. Potem o Pyladesie. „Nigdy nie kochaliśmy się w łożu – stwierdził. – Zawsze tylko na płaszczu, w zagajniku, na skałach, w jaskini”. Miękkość tej myśli zaskoczyła go. Dlaczego „kochaliśmy się”, dlaczego nie „rznęliśmy”, „pieprzyliśmy”. Dlaczego „kochaliśmy”?

Wyjrzał przez okno. Księżyc już zaszedł, ciemność rzedła, co świadczyło, że do świtu bliżej niż dalej. Orestes ściągnął z łóżka pled, owinął się nim i ruszył najpierw do zewnętrznych komnat królewskich, gdzie drzemali Makhawon z Polyperchonem, później północnym korytarzem. Zszedł do sali biesiadnej. Nad kielichami spali tam niektórzy z jego wodzów, w tym Teukros, którego tytaniczne chrapanie wstrząsało murami. W przedpokojach było pusto, jednak na wewnętrznym dziedzińcu, po którego drugiej stronie znajdowały się komnaty gościnne, ktoś siedział – na ławce, pod cyprysem.

– To ty, Oreście?

Władca Myken rozpoznał głos Telemacha.

– Ja. Chyba trudno mnie z kimkolwiek pomylić, nawet nocą.

– To prawda. – Chwila ciszy. – Przyszedłem do ciebie wcześniej. Byłeś z kobietą.

Czy to wyrzut pobrzmiwał w chłopięcym głosie?

– Jestem Achajem, nawet więc prawem przypadku musiało mi się to prędzej czy później przytrafić.

– Mówiłeś, że chcesz być sam w komnatach twego ojca.

– Daj spokój, Telemachu! Czy nie lubisz dziewcząt, czy wydają ci się one wstrętne?

Chłopak wahał się chwilę, nim rzekł:

– Nie.

– Mnie też nie. A gdy żołnierze chcą wodzowi zrobić prezent, zazwyczaj nie może odmówić. Rozumiesz? Miłość to rzecz między mężczyznami, a co do kobiet... Cóż, one też mają swoje zastosowania.

Syn Odysa mruknął coś niezrozumiałego.

– Będziemy potrzebować wina – orzekł Orestes.

Wrócił do sali biesiadnej i nalał nieco trunku z niemal próżnego krateru do cynowego dzbanka. Nie kłopotał się dolewaniem wody. Wyszedł z powrotem na dziedziniec, siadł obok króla Itaki, spychając go lekko biodrem. Napili się obaj. Wino było mocne.

– Opowiedz mi o swoim ojcu – powiedział.

– Moim... ojcu?

Chłopak wydawał się zdziwiony, jakby takie słowo było mu obce.

– No wiesz, o Odyseuszu-królu – przetłumaczył Orestes.

– Czemu o niego pytasz? Co miałbym ci powiedzieć?

– Przyśniła mi się czarodziejka, która o niego pytała. To właściwie był dosyć dziwny sen... Mniejsza z tym, po prostu mi to jakoś zaległo w głowie i nie chce wywietrzeć. Powiedz cokolwiek. Jak wyglądał?

– Jak wyglądał? Normalnie. Był mniej więcej mojego wzrostu, łyślał, miał rude włosy i brodę.

– Czy łatwo byłoby go pomylić z innym człowiekiem?

– Czy ja wiem... raczej nie. Z drugiej strony, jeśli ktoś go nie znał... Nie wiem. Czemu zadajesz takie dziwne pytania?

– Masz rację, to głupie. Powiedz mi coś innego. Powiedz, jakie masz wspomnienia. Uczył cię walki mieczem, zapasów?

Telemach wzruszył ramionami.

– Nie mam zbyt wielu wspomnień. Miałem dwanaście lat, kiedy wrócił z wojny. Władać mieczem uczył mnie ojciec mojego przyjaciela Pizystrata, żeglugi – stary Eumajos. On... to znaczy ojciec... – Chłopak przygryzł wargę, milczał chwilę. – Jedyne, czego mnie nauczył, to strzelać z łuku. Nikt nie strzelał tak dobrze jak on. Z odległości stu kroków potrafił przepuścić strzałę przez ucho amfory. Lubił się tym popisywać na polowaniach.

– Nadzwyczajne...

Obojętne wzruszenie ramion.

– Wcale nie. Łuk to broń tchórza.

– Takiego, który ucieka, zamiast bronić swojej rodziny?

– Takiego jak ja.

Tym razem milczenie trwało długo. Orestes pociągnął łyk wina, następnie podetknął dzbanek młodzieńskiemu królowi Itaki, który chwilę się bronił, lecz potem pił łapczywie.

– Nie jesteś tchórzem, Telemachu. W niczym nie przypominasz ojca. Myślę, że po prostu bardzo nie chciałbyś być taki jak on. Bo w głębi ducha... w głębi ducha zawsze go nienawidziłeś.

– Tak jak ty swojego?

– Mhm. Jak ja swojego.

– Powiedz... dlaczego w takim razie powtarzasz wszystkim, że chciałeś go pomścić?

– Bo to chcę usłyszeć. Bo gdybym powiedział prawdę o śmierci mojej matki, o śmierci mojego ojca, o tym, co wydarzyło się w Aulidzie... nikt by nie uwierzył. A jeśli by uwierzył, to jeszcze gorzej, bo ściągnąłbym na wieki klątwę na ród Atrydów. Niech lepiej pójdzie w zapomnienie, niech zastąpi go ród Orestydów.

– Ciarki mi chodzą po plecach, gdy tak mówisz.

– Powinny.

– Czy... czy mimo wszystko... wyjawisz mi, jak było? Nikomu nie zdradzę. Wiesz...

– Wiem. Słuchaj zatem prawdy. Mojemu ojcu śmierć ze wszech miar się należała. Był potworem. On... miał ciągoty do dzieci, Telemachu. Nienaturalne ciągoty. Rozumiesz, o czym mówię?

Twarz chłopaka, gdy kiwał głową, wydała się nagle bardzo jasna, oczy ogromne.

– Czy ty... – wydukał.

– Nie. Pociągały go wyłącznie dziewczynki. Małe, im mniejsze, tym lepsze. Elektra jakoś tego uniknęła, może mu się nie podobała, bo miała niebieskie oczy. Nie wiem. Ale Ifigenia...

– Bogi!

– Właśnie. Gdybym mógł, wydarłbym jego ciało ziemi i rzucił wronom. Oby jego cień błakał się po najciemniejszych zakamarkach otchłani. Ale to nie wszystko. Matka widziała w nim potworność. Widziała ją też w nas, zwłaszcza w małej Ifigenii. Pamiętasz, jak opowiadałem ci, że ojciec chciał złożyć ją w ofierze, aby przebłagać bogów? Moja matka podsunęła mu ten pomysł. Najchętniej zabiłaby każde dziecko Agamemnona jego własnymi rękami. Udało jej się tylko rozrzucić nas po świecie... Lecz póki żyła, stanowiła groźbę. Była wrogiem. Dlatego musiała zginąć.

– Bogi – powtórzył Telemach. Napił się wina. Milczał.

Orestes pozwolił, aby cisza się ciągnęła. Siedział, od czasu do czasu szurnął stopą, patrzył w niebo. Gwiazdy powoli gasły.

– Moja matka... – zaczął po długim, długim czasie król Itaki. – Moja matka...

Zmagał się z czymś. Orestes na próbę dotknął jego ramienia. Przeczuwał, że chłopak spróbuje uciec przed dotykiem, tak się jednak nie stało. Władca Myken objął go, pozwolił złożyć głowę na swoich kolanach.

– Moja matka... – mówił Telemach stłumionym, rozdygotanym szeptem. Od wina zgłoski kleiły mu się w ustach. Orestes czuł w palcach mrowienie, mimo to próbował zachować uwagę.

– Moja matka, kiedy była młoda... Wiesz, z jakiegoś powodu taką ją pamiętam. Młodą. Nie taką,

jak była, gdy opuszczałem Itakę. Młodą. Piękną. Bardzo, bardzo piękną. Pamiętam, że kiedy miałem dziesięć lat, Pizystrat wyznał mi, iż się w niej kocha. Dałem mu w zęby. Ale potem przeprosiłem, bo czułem się dumny, że to powiedział. I że zdobyłem się na danie mu w zęby. Później siedzieliśmy pod drzewem i opowiadał, że żadna matka nie ma tak pięknych ust jak moja. Zaczął gadać coś o jej piersiach, zagroziłem więc, że znowu oberwie. Ale miał rację. Jej piersi były cudne, ciągle jędrne, jak u młodej dziewczyny. Przychodzili do niej zalotnicy, chcieli, aby porzuciła pamięć o ojcu, niektórzy nawet kłamali, iż zginął. I było trochę jak z Pizystratem – z początku miałem ochotę ich pozabijać, potem zacząłem myśleć, że czemu nie, niech przychodzą, bo ona zasługuje na zaloty. Za to ojciec... ojciec na nią nie zasługiwał. Kiedy wreszcie wrócił, zaczął sypiać z byle kim. Przez jakiś czas płakała z tego powodu. Przestała. Raz wpadłem na półną dziewczynę, służkę, zwykłą niewolnicę, zwykłą podłą niewolnicę, wychodzącą z komnat ojca, rozchichotaną. Na mój widok nawet nie bardzo próbowała się okryć, paradowała z cipą na wierzchu i płaszczem zsuwającym się z piersi. Poszedłem do ojca. Był napity. Szczerzył zęby. Zapytałem o dziewczynę, zapytałem z imienia. W twarz mi kłamał, że nawet takiej nie kojarzy.

Telemach umilkł. Orestes przez chwilę bał się, że chłopak zacznie płakać. Odraza ogarniała go na tę myśl, w głowie goniły myśli o miłości, słabości, gniewie.

– Spytałeś, czy go nienawidziłem – ciągnął młodzieńki król. Jego głos odzyskiwał zwykłe brzmienie, oczy pozostały suche. – Myślę, że gdyby żył, to bym go nienawidził. Ale nie żyje. Tak samo jak matka. To już więc bez znaczenia.

* * *

Wojsko Orestesa spędziło w Mykenach dwa dni. Pierwszego dnia ucztowało, drugiego trzeźwiało. Trzeciego świeżo obwołany król pchnął swe oddziały ku miastu Nemea, gdzie żołnierze kolejny dzień odzyskiwali siły po bitwie z niewolniczą armią, którą tydzień wcześniej rozbili pod Kleonajami. Tymczasem zaczęli wracać zwiadowcy. Donosili o walkach w sąsiedniej Argolidzie, gdzie Tros, człek nisko urodzony, ale zamożny i posiadający prywatną armijkę, połączył siły z pewnym ugrupowaniem zbuntowanych niewolników i mianował się królem miast Masos i Hermione. Przynieśli też wiadomość o zwycięstwie Menelaosa nad Dorami w Elidzie i śmierci Kresfontesa. Według najświeższych doniesień lakońscy i messeńscy wodzowie wrócili do domów, podczas gdy Ajgistos oblegał Patraje, a Agapenor czaił się gdzieś na elidzko-arkadyjsko-achajskim pograniczu.

Najbardziej niepokojąca była jednak wieść o bandzie wojowników, która – najwyraźniej nie uznając niczyjego dowództwa – wędrowała od arkadyjskiej Mantinei ku Nemei, siejąc strach w sercach wieśniaków. Orestes musiał równocześnie zaradzić drugiemu zagrożeniu: spieszył się, by ruszyć z odsieczą położonemu nad północną zatoką Sykionowi, nim dotrze tam Ajgistos. Stary Opilimnios-król, władca Sykionu, przed laty przyjaźnił się z Atreusem. Dwaj jego synowie walczyli u boku Agamemnona w Wilusie i Luwii – jeden zginął potem na morzu, drugi przepadł wraz z wyprawą Diomedesa. Trzej kolejni, za młodzi, by ruszyć pod Troję, obecnie służyli wraz z sykiońskim wojskiem Ajgistowi. Gdyby starego udało się wyrwać z prowadzonego przez niewolniczą armię oblężenia, które – jak mówiono – przyjmował z murów swej cytadeli ze spokojem, zagryzając winogrona, może byłby skłonny namówić dziedziców do poparcia nowego króla Myken.

Ostatecznie urządzono, że pod Sykion pójdą Achilles, Hipolitos i Eruthros, zabierając połowę żołnierzy. Drugą połowę Orestes miał osobiście poprowadzić przeciwko bandzie maszerującej przez Arkadię.

W drodze towarzyszyły im ostre słońce i silny wiatr, który pędził po niebie chmury. Było zimno, trawa żółkła, usychała. Od czasu do czasu napotykali grupki wieśniaków, którym nie robiło różnicy, przed kim uciekają. Mijali zmarnowane plony i opuszczone gospodarstwa. Raz i drugi zjawiało się paru chwatów, proszących, by przyjąć ich na garnuszek.

Nieopodal wsi Lurkeja, jakie dwadzieścia tysięcy kroków za Nemeą, spostrzeżono dymy. Chłopi przynieśli wieść, że o pół dnia drogi stoi obce wojsko. Mykeński wódz wyszukał dogodny do bitwy miejsce, ustawił żołnierzy w szyku i czekał na doniesienia straży przedniej, którą prowadził Teukros-król. W krótkim czasie zjawiał się wysłany przez niego Sylan z niewielką obstawą.

– Tam trwa jakaś grubsza awantura, Oreście – powiedział. – Wali toto kupą bezładną, jakby wodza nie miało. Część rozlazła się po wioskach i łupi. Część siedzi i w dupcie się drapie.

– Kto to? Dorowie?

– E tam, Dorowie. Zda się, że Argiwi. Jak własnego króla stracili w bitwie, zaraz poczęli się targać za łby, połasil na dziewczki miejscowe. Wiesz, jak jest. Dziwi mnie tylko, że Agapenor nie siadł im na kark, gdy byli jeszcze w jego Arkadii.

– Co radzi Teukr?

– Popasać. Zebrać siły. A przed świtem, młodym dzionkiem, hycnąć i popieścić, nim się zorientują, co jest grane.

Rozłożono zatem obóz, lecz żołnierze spali z bronią pod ręką, rozciągnięci tak, by łatwo móc sformować szyk. Orestes nie kładł się w ogóle. Gdy na wojsko opadła cisza snu, siadł przed namiotem. Węszył chłodne, dymne powietrze. Słuchał szmeru traw na wzgórzach, bulgotu pobliskiej rzeki. Myślał o Ajgście: ile wie i jak by go tu zażyć. Myślał też o Menelaosie-królu oraz czarodziejce. Nie myślał zaś o czekającej go bitwie. Niewiele brakowało, a w ogóle nie uwierzyłby w błyskające wśród mroku pochodnie, w krzyk, krzyżujące się hasła i odzewy. Wyglądałoby to jak sen, gdyby nie Polyperchon, który wyskoczył z namiotu z włócznią i tarczą.

– Cóż to, panie, bitwa? Alarm? Zasadzka?

Orestes podniósł się, czując dziwną lekkość.

– Szykuj zbroję. Zaraz się przekonamy.

Niewolnik wbił włócznię w ziemię, oparł tarczę o ścianę namiotu, dał nura do środka. Wrócił, podzwaniając spiżem. Pomógł królowi przywdziać kaftan, opiął mu tors grubą blachą, potem przytroczył osłonę ud, nałożył naramienniki i kołnier. Nagolenice Orestes wzuł sam, Polyperchon tymczasem przyniósł hełm. Odebrawszy go, młodzieniec zawiesił na ramieniu miecz, na szyi tarczę.

Tymczasem nadbiegł goniec. Żołnierze dookoła podrywali się od ognisk, zawodziły puszczalki.

– Panie! Teukros-król cofa się ku nam z przednią strażą! Argiwi idą za nim! Mówi się, że z wielkim krzykiem i graniem trąb!

– Dobrze. Polyperchonie, gdzie moja drużyna? Makhawonie! Ruszcie swoje zwłoki!

Stary wojak zjawiał się sapiąc. Miał na sobie jedynie sznurkową zbroję i hełm.

– Tak, panie?

– Jeszcze tutaj? Pędem do taborów! Niech szykują się lekarze, zagon niewolników do roboty, rannych może być sporo. Palcie ognie, trzeba nam światła.

– Tak, panie. Już, panie.

Przyboczni obskoczyli swego wodza i cała grupa ruszyła na przód formującego się szyku, gdzie właśnie docierali kolejni gońcy od Teukra.

– Argiwi będą tu lada chwila. Król pyta: bić ich czy puścić ku wam?

Orestes spojrział w dół równiny, na której się ustawili. Gościńcem parła ku nim jakby kula światła, powietrze drżało od okrzyków.

– Niech cofa się dalej, ku rzece. Ma uderzyć, tylko jeśli dam znak.

Umyślni pognali przekazać rozkazy. Achajowie stanęli już w pełnej gotowości, groty włóczni godziły w niebo, na którym nie było widać gwiazd z powodu łun wypełzających na obu końcach pola bitwy. Argiwi szli ku nim z hukiem, jaki mogło czynić dziesięć tysięcy mężczyzn.

– Co oni krzyczą? – zapytał jeden z przybocznych.

Orestes przekrzywił głowę. Wiatr niósł strzępy słów, lecz nie sposób było złożyć je w całość. Z wysuniętego naprzód posterunku nadbiegł żołnierz.

– Królu! – wołał z daleka. – Poselstwo! Argiwi ślą poselstwo!

– Ha, zlekli się bitki – mruknął któryś z możnych.

Wódz uciszył go skinieniem ręki. Ściągnął hełm.

– Posłuchajcie – rzucił.

Kilku przybocznych poszło w jego ślady. Nadstawili uszu.

– Oni krzyczą...

– „Orestes-król”... – Młodzieniec wybuchnął śmiechem. Wyskoczył przed szereg. – Słuchajcie, Achaje! – zawołał. – Bracia Argiwi wzywają imienia waszego króla! Dawać mi tu to poselstwo!

Wysłańcy Argiwów wkrótce zostali przyprowadzeni, jednak ich posłanie stało się jasne, gdy tylko obce wojsko poczęło rozlewać się po równinie. Wojownicy nie szli w szyku, włócznie mieli złożone na ramionach, nieśli pochodnie. Tysiąc albo i dwa tysiące gardeł ryczało:

– Orestes-król! Atrydzi w Mykenach, Atrydzi w Argos! Mykeny, Argolida! Jeden tron!

Z achajskich żołnierzy jakby uszło powietrze. Jeszcze wola wodzów trzymała ich na miejscu, ale pokrzykiwali ku nadchodzącym, oglądali się ku taborom, gdzie czekała strawa i wino. W powietrzu wisiał opar bezkrawego zwycięstwa, słodkie szaleństwo świętowania buchało z Argiwów, udzielało się mężom z Myken i innych miast Achai, z Fokidy, Ozoliańskiej Lokrydy, Itaki, a nawet ochotnikom z odległej Eubei i kto wie jakich jeszcze krain.

Młody Atryda czuł, że lada chwila może stracić panowanie nad własnymi ludźmi, sam więc dał znak do złamania szyku. Starczył jeden gest, a poczęto rzucać tarcze, wybiegać na pole, śpiewać, witać się z przybyszami, wymieniać żarty i przechwałki.

– Co się dzieje, panie? Co to? – pytał Polyperchon, gapiąc się oczyma sarny na stado tańczących wilków.

Orestesowi szumiało w głowie, a w tym szumie wciąż tliła się myśl, że może to tylko sen.

– Właśnie wygraliśmy wielką bitwę, Polyperchonie, nie ulawszy ani kropli krwi – powiedział

i ruszył naprzeciw posłom.

Przewodził im wysoki mąż o szpakowatej brodzie i srebrzystych skroniach – na pierwszy rzut oka widać było, że w jego żyłach płynie szlachetna krew Achajów.

– Witaj, Orestesie-królu, synu Agamemnona-króla, syna Atreusa-króla! – rzekł, nie bacząc na otaczający go rozgardiasz. – Jestem Wedaneos z Argos, teść Kylarabesa. Przemawiam w imieniu wodzów Argolidy, tych przynajmniej, którzy pozostali wierni koronie, nawet wtedy gdy spadła ze skroni młodego króla, twego kuzyna. Przyszedłem tę koronę ofiarować tobie, który jesteś prawym władcą królestwa Myken i już pozyskałeś przydomek Zbawcy. Niech pozostanie w rękach boskich spadkobierców Pelopsa.

Orestes wyszczerzył zęby.

– Czy wraz z nią ofiarowujesz mi swą córkę, szlachetny Wedaneosie? – zapytał. Nie mógł się powstrzymać.

Posel nie okazał zdziwienia. Odpowiedział uśmiechem zadowolonego kocura.

– Pozwól, królu, że o tych sprawach porozmawiamy jak ludzie godni, przy winie i przednim jadle.

– Oczywiście. Zapraszam do mojego namiotu. Polyperchonie, sprowadź Makhawona i dopilnuj, żeby naszym gościom zapewniono wszystkie wygody. Zobaczcie też, co uda się zorganizować dla żołnierzy. – To powiedziawszy, zwrócił się ponownie do Wedaneosa. – Powiedz, panie, czy twoja córka wie już o smutnym losie swego królewskiego małżonka?

– Nie, królu. Zamieszki w Argolidzie sprawiły, że ciężko było przesłać wiadomość.

– A Klytamedes, mój i Kylarabesa kuzyn... Czy i on poparł twoje poselstwo? Zdaje mi się, że mógłby mieć niejaki roszczenia do korony Argos...

– Nie wiem, królu. Krążą plotki, iż to bękart. W każdym razie umknął, nim na zgromadzeniu wszystkich wodzów zdążyliśmy coś uchwalić.

– Niech zgadnę, udał się do Ajgistososa?

– Tak przypuszczam.

– Hm... Coś takiego. Jest żonaty, prawda? Klytamedes?

– W istocie. Starczy, że Argiwi będą mieli nowego króla. Nowa królowa to już zbytek łaski, czyż nie?

* * *

Z Lurkei do Argos był ledwie jeden dzień drogi, Orestes posłał więc tysiąc ludzi stojącemu pod Sykionem Achillesowi, żeby lepiej zabezpieczyć zachodnią część swego królestwa na wypadek ataku Ajgista, sam zaś powędrował objąć nowe władztwo. Po drodze nie napotkał większego oporu, jedynie bandy rozbójników, którymi przyozdobił drzewa. W samym zaś mieście tłące się ogniwa buntu niewolniczego zagasił krwią. Także pozostałe części wybrzeża Zatoki Argolidzkiej, z dużymi miastami Tirysem i Lerną, w krótkim czasie zostały oczyszczone z powstańców. Wschodnia część kraju, gdzie prywatne państewko wykroił sobie Tros, musiało poczekać, bo bardziej nagląca była sprawa zamykającego drogę do Elidy Ajgista.

Z Argos wojsko znów ruszyło na północ, aby przez Nemeę dotrzeć do Sykionu, lecz jeszcze na ziemi argolidzkiej musiało stanąć z powodu ważkich nowin. Dopędził je wreszcie

przepowiedziany przez czarodziejkę posłaniec, niosący wieść o śmierci Menelaosa i wzywający zwaśnionych achajskich wodzów do zawarcia pokoju i przybycia na igrzysko pogrzebowe. Choć może miano posłańca uznać za urągliwe, gdyż był to sam Agapenor-król, idący na czele arkadyjskich wojsk.

ROZDZIAŁ XXIII

Nie mogła przestać myśleć o ciele złożonym w grocie pod świątynią Bogini Ziemi, gdzie miało zostać przygotowane do pochówku. Oczyma wyobraźni wciąż widziała sterczące kości biodrowe, tworzące jakiś ponury wzór z bliźniaczo wystającymi kośćmi policzkowymi. Widziała białą skórę rozciągniętą na zbyt wielkim szkielecie. Pod palcami czuła jej dotyk, przywodzący na myśl wielokrotnie sprany len. W nosie załęgła się woń wilgoci, zimnej skały, piasku. Najświętsza komora przybytku była zwykłą jamą, mogiłą prawdziwszą niż kamienna grobowa budowla, którą już przygotowywano nad miejscem, gdzie wcześniej spoczęli Tyndareos-król, przed nim Ojbalos-król, Kynortas-król, Amyklas-król, na samym zaś początku Lakedaimon-król.

„A teraz dołączy do nich mój mąż...”

Patrząc na zwłoki, nie mogła odpędzić przeczucia, że zaraz się uniosą, szmer ucieknie z płuc, głos opuści usta. Nie dlatego, że zimno tak skutecznie powstrzymywało macki rozkładu. Po prostu śmierć nie mogła już Menelaosowi wiele zabrać. Gdy Helena ujrzała go na wozie, gdy zobaczyła stroskaną twarz Outisa, była pewna, że przywożą jej trupa. A jednak ten trup uśmiechnął się, wyciągnął do niej rękę, powiedział coś.

– Widzisz, mówiłam, że wrócisz – rzekła mu później w komnacie. Nie odpowiedział, chyba drzemał, uśpiony oparami Naosowych wywarów. Kiedy się ocknął, mamrotał bez sensu, mówił do Agamemnona, do Achillesa, do – i to pobrzmiało echem głęboko w umyśle królowej – Odysa. Dotknęła czoła męża. Było suche, gorące, równie dobrze mogłaby dotknąć piasku na plaży w upalny dzień.

Pod wieczór doszedł do siebie na tyle, że uznała, iż nadszedł odpowiedni czas. Przyzwała towarzyszącym mu wodzów. Pod spojrzeniem tuzina błękitnych achajskich oczu wyznała:

– Będziesz miał dziedzica, Menelaosie-królu.

Jasność prześwietliła białą skórę i białą brodę.

– Dziedzica... Wtedy więc, gdy przyszedł do mnie... – król uniósł się na ramieniu. – Słyszcie, Achaje.

Następnie opadł z powrotem w pościel. Dyszał chwilę. Zgromadzeni wokół łoża mężczyźni patrzyli po sobie, marszczyli brwi. Helena bardzo starała się nie widzieć ich twarzy.

– Dobrze – rzekł po dłuższej przerwie. – To dobrze. Zostaw mnie na chwilę samego z moimi wodzami, żono.

Wezwano ją z powrotem dopiero rano. Władca Lakonii miał atak bólu, i myślano, że umiera. Nie miotał się, jak zazwyczaj, tylko leżał i pojękiwał, błądy, spotniały. Naos wziął piękną Helenę za rękę, uspokoił, że jeszcze nie teraz, choć czas był już bliski. Napoił króla wywarami. Potem odesłał służbę i wyszedł, zostawiając w komnacie tylko dwie samotne figury zatopione w milczeniu.

Po południu Menelaos wezwał Outisa, z którym długo naradzał się za zamkniętymi drzwiami. Potem królowa znowu została wpuszczona do komnaty. Po twarzy męża poznała, że gorączka

wróciła. Wiedziała, co to oznacza, i on też wiedział. Poprosił, by raz jeszcze zwołać wodzów. Kiedy przyszli, powiódł po nich wzrokiem.

– Świątynia spłonęła – powiedział. – Nie uczyniliśmy niczego, na co nie zezwalałoby nam prawo wojny.

Uniósł się szmer zdziwionych głosów.

– Agamemnonie, bracie mój, Achilles tu zmierza. Wybacz ci, wybacz... Nie musisz składać w ofierze swej córki.

Outis podszedł do władcy. Oparł mu dłoń na ramieniu. Menelaos chwycił się tej dłoni.

– Odyseuszu. – Uśmiechnął się ciepło. – I ty tu jesteś. Dobrze. Powitaj ode mnie Achillesa.

Serce Heleny podskoczyło. Nie mogła powstrzymać się przed gapieniem na Outisa, który odpowiedział jej współczującym spojrzeniem.

– Myślę, myślę... – ciągnął konający król – ...że odkupiliśmy winę, klątwa Chryz minęła. Dlatego bogowie dają mi dziedzica. Dlatego... Heleno, to będzie chłopiec, prawda? Jesteś pewna, że chłopiec?

Odchrząknęła. Podeszła bliżej.

– Jestem pewna. Tak podpowiada mi bogini.

– Dobrze. Dobrze. Dobrze. Już... już... Dajcie mi miecz, bracia. Niech zginę śmiercią wojownika.

Siwowłosy Chromis z Faris, którego trzech synowie polegli pod murami Troi, wystąpił naprzód, trzymając miecz w dłoni. Z jakiegoś powodu wręczył go Helenie. Królowa obróciła się do łoża, sięgnęła, by rozchylić palce Menelaosa, lecz on ani drgnął. Już nie żył.

„Może dlatego wydaje mi się, że mógłby w każdej chwili się ocknąć – pomyślała. – Tak niepostrzeżenie wtedy się wymknął. W jednej chwili”.

Westchnęła, potarła skronie. W korytarzu słyhać było czyjeś kroki. Władczyni siedziała na balustradzie tarasu, dyndała nogami nad ziemią, wypatrując tego miejsca na murach, gdzie uwiła gniazdo sokolica.

– To ty, Naosie? – zawołała, nie obracając się ku wchodzącemu.

– Nie. To ja.

Outis. Spojrzała na niego. Stał w drzwiach, ogolony, niepewny, odmieniony.

– Ty... O co chodzi?

– Orestes jest w mieście. Przybył na czele wspaniałego orszaku. Towarzyszą mu liczni królowie z Półwyspu i z Północy.

– Mhm.

Obserwowała go, a on się wił. Dlaczego tak bardzo go to zmieniło? Jakby stał się inną osobą. Osobą... Jeszcze inną, trzecią? Ani Odysem, w którym mogłaby się kochać, gdy była dziewczynką, ani Outisem, którego potrafiłaby pokochać jako kobieta?

Zaczęło się tuż po śmierci Menelaosa i dopełnieniu pierwszych rytualnych czynności. Przyszedł wtedy do jej komnat. Już wtedy coś z nim było nie tak.

– Menelaos uczynił mnie dowódcą straży pałacowej – oświadczył. – Wzmocnił garnizon o pięciuset ludzi. Resztę wojska nakazał rozpuścić.

– Czemu mi to mówisz?

– Rozumiesz, co to znaczy, prawda? Naznaczył mnie na twego obrońcę. I na obrońcę dziecka. A jestem tylko zwykłym żołnierzem. Pozostali wodzowie nic nie mówili, zresztą niektórzy mnie lubią, ale widziałem... No wiesz, spojrzania... Czy on wiedział? Powiedziałaś mu?

– Pytasz, czy dziecko jest twoje?

– Tak. Coś takiego.

– A jeśli powiem, że naprawdę jest Menelaosa?

– A jest?

– Może być, chociaż wątpię. Ale powiedz... Czy gdybyś wiedział, że nie jest twoje, i tak byś go bronił? I tak byś nas bronił?

– Tak.

– Nawet gdyby pewnego dnia zjawił się tu chłopiec utrzymujący, że jest twoim synem, i kazał ci wybierać?

– O ile wiem, nie mam syna.

– O ile wiesz...

– Przestań. Tak, będę was bronił. Ciebie i dziecka. Będę was bronił.

– Zastanawiam się, dlaczego mój mąż wybrał ciebie. Oczywiście słyszałam o twych wyczynach na wojnie. Żołnierze cię szanują. Ale czy tylko to nim powodowało?

– Umierając, myślał o Chryzach. O to ci chodzi?

– Mhm. Chciałabym wreszcie dowiedzieć się, co takiego się tam stało. Czy teraz, kiedy żyje tylko kilku z was, którzy to pamiętacie, powiesz mi?

Namyślał się długo. Nie miał już wąsów, które mógłby przygryzać w ten denerwujący sposób, kąsał więc wargę. W końcu Helena straciła cierpliwość.

– Spędziłam w Azji trzy lata. Prawie cztery. Nie przypominam sobie niczego, co się wydarzyło w Chryzach. W ogóle nie pamiętam takiego miejsca, zatem nie wyobrażam sobie, żeby mogło być szczególnie ważne.

– Żyliśmy tam – wypalił nagle Outis.

– Co?

– Żyliśmy tam. Mieliśmy żony, dzieci. Nowe domy. – Zmieszał się i zaczął usprawiedliwiać.

– Byliśmy tam tak długo... Wydawało nam się, że nigdy już nie wrócimy. Wielu nie wróciło. Pamiętam... Pamiętam poczucie, że to jest teraz nasze życie. Nie to, które było wcześniej.

– No tak, mężczyźni bez żon długo by nie przetrwali. – Chciała, aby w jej głosie zabrzmiała kpina, lecz nie zabrzmiała. – Rozumiem cię. Was. Chyba zawsze rozumiałam, dlatego pognałam za Menelaosem. Nie rozumiałam za to Klitemestry. Tego całego wet za wet... Wydawało mi się, że mężczyźni mają swoje prawa, a kobiety swoje. Nawet nie zdziwiło mnie, że Menelaos wziął sobie luwijską żonę. Żonę, nie żadną tam nałożnicę czy kochankę. To była zwyczajnie jego żona. Zresztą nieważne. Nadal nie powiedziałaś, o co chodzi z tymi Chryzami. Przypuszczam, że musieliście je zdobyć jeszcze przed moim przybyciem.

– Tak, tak, ale to, o co pytasz, wydarzyło się później. Wydaje mi się, że już wtedy wróciłaś na Półwysep.

– A zatem w ostatnim roku wojny.

– Tak, to by się zgadzało. Byliśmy zmęczeni. Tak naprawdę nie pamiętam za wiele, tylko

niektóre twarze, niektóre imiona. Bogi...

– Co?

– To zabrzmiało okrutnie, ale w gruncie rzeczy nie wydarzyło się tam nic niezwykłego. Nie uczyniliśmy niczego, czego nie czyniliśmy wcześniej. W Chryzach była świątynia. Kapłanki. Składaliśmy tam ofiary.

– Złupiliście ją, odchodząc? To chcesz powiedzieć?

– Nie całkiem. Te kapłanki leczyły. Leczyły też nas, mimo iż byliśmy obcy. A potem... walczyliśmy o coś, nie mam pojęcia o co. W Luwii. I one przyjęły... no, tamtych drugich. Agamemnon z jakiegoś powodu był przekonany, że kryją także ich wodza. Zapytał o to najwyższą kapłankę, a ona zaprzeczyła. Nie uwierzył. Wściekł się, zagroził, że będzie zabijał rannych. I tak się stało. Zabiliśmy ich wszystkich, a także kapłanki. Przełożona błagała o litość. Naprawdę nic nie wiedziała o tamtym wodzu. Bo nigdy go tam nie było. Mimo to Agamemnon wziął rozgrzane szczypce i rozszarpał kapłance piersi, a potem wetknął w nią te szczypce.

Helena zadrżała.

– Nic niezwykłego, powiedziałaś... Jak takie słowa w ogóle mogły ci przejść przez usta?

Outis się zdenerwował.

– Widziałaś tę wojnę – powiedział.

– Tak, lecz mimo wszystko...

– I właśnie o to chodzi. Czy było w tej zbrodni coś wyjątkowego? Tylko to, żeśmy sobie uświadomili, iż ją popełniamy. Zrozumieliśmy, jak bardzo nieczuli się staliśmy, jak bardzo nawykliśmy do okrucieństwa. A chyba – choć pewnie niewielu z nas by się do tego przyznało – nie chcieliśmy tacy być, nie chcieliśmy wierzyć, że okrucieństwo jest naturalnym stanem człowieka. Ale jest. I nie ma nic wspólnego z siłą. A może ma. Nie wiem. W każdym razie najsilniejszy z nas, Achilles-król, powiedział wtedy „nie”.

– I co się stało?

– Doszło do przepychanki. On jeden przeciw nam wszystkim. Nie dobywał miecza, przecież byliśmy towarzyszami broni. Agamemnon nie miał takich oporów, pchnął go w brzuch. Achilles konał przez dwa tygodnie. Gnił, lecz nie mógł umrzeć. Co dziwne, tamto starcie wcale nas nie powstrzymało, nie otworzyło nam oczu. Może myśleliśmy, że rana nie była taka ciężka, że Achilles po prostu ustąpił, uznał wyższość Agamemnona. Nie wiem.

– Wszystko to więc było na nic?

– Nim zdążyliśmy go powstrzymać, Achilles wypuścił ze świątyni młodą dziewczynę, kapłankę. Opiekowała się nim później, gdy umierał. Nawet Agamemnon nie odważył się jej nic zrobić.

– Jedna uratowana dziewczyna... Pamiętasz, jak się nazywała?

Outis pokręcił głową.

– Przypuszczam, że nawet wtedy tego nie wiedzieliśmy. To była zwykła Chryzejka.

Zwykła Chryzejka. Minęło już kilkanaście dni od tamtej rozmowy, a Helena, patrząc na Outisa, który dopiero co przyniósł jej informację o przybyciu Orestesa, nie mogła przestać myśleć o bezimiennej dziewczynie towarzyszącej Achillesowi w jego ostatnich chwilach. A powinna raczej myśleć o okrucieństwie, miała się przecież spotkać z największymi achajskimi bohaterami i królami.

Przerzuciła nogi na właściwą stronę balustrady. Wstała.

– Chodźmy powitać mojego siostrzeńca – powiedziała. – Niech zobaczą, jakież to wspaniały orszak nam przywiódł.

* * *

Orszak okazał się iście wspaniały, choć może nie tyle ze względu na rydwany i piękne konie, co raczej mężów kroczących po schodach do cytadeli. Na czele szedł Orestes-król, wielki niby posąg, u jego boku Teukros-król, niewiele niższy, a w barach dwa razy szerszy. Tuż za nimi postępowali Agapenor-król podobny krzepkiemu odyńcowi, Telemach-król – złotowłosa, zielonooki i zachwycająco młody, Eruthros-król z włosami jak pochodnia, Hipolitos-król o smutnej, natchnionej twarzy, szczupły i zwinny Nabuszezibanni o szarej grzywie i szarych oczach, a także Klearchos, Sylan, Kapaneos i inni pomniejsi wodzowie. Wszyscy w zbrojach, wszyscy jakby prosto z pola bitwy, wspaniali w promieniach słońca, które kaprysem bogów u progu zimy przyniosło woń słodkiej wiosny.

W czasie ich krótkiego marszu błyskały spojrzenia, kilka zbłąkanych słów przefrunęło z ust do ust.

– Kim jest człowiek u boku królowej? Ten, który tak wpatruje się w Nabu? – spytał Oresta Telemach.

– Ten wojownik opalony jak Hetyta... – rzekł w tym samym czasie Outis do Heleny. – Znam go, musiałem go już gdzieś widzieć.

Jednak lakedaimońska pani nie odpowiedziała, zapatrzona w mykeńskiego króla, który odwzajemniał spojrzenie.

– Coś wisi w powietrzu... – mruknął Teukr do Nabu.

Luwita oderwał wzrok od pleców idącego pół kroku przed nim Orestesa. Spojrzał w niebo.

Kiedy dotarli do bramy, nowy władca Myken wystąpił naprzód, skłonił się głęboko.

– Przyjmij moje wyrazy współczucia, królowo – powiedział – a jednocześnie wiedz, że raduje mnie twój błogosławiony stan. – Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. Potem młodzieniec odwrócił wzrok od wdowy i więcej ku niej nie spojrzał, jakby przestała go interesować. – Outisie, jak rozumiem, Menelaos-król przed śmiercią uczynił cię dowódcą straży pałacowej. Jestem pewien, że trudno by znaleźć drugiego męża równie godnego tego zaszczytu. Dużo słyszałem o twych zasługach w walce z Dorami, a zwłaszcza... o twym niechybnym oku. Mam nadzieję, że zechcesz poświęcić chwilę swego czasu mnie oraz Agapenorowi-królowi, zanim zaczniemy igrzysko. Wielka niepewność spadła na królestwa Achajów i nawet żałoba nie powinna odwracać naszej uwagi od groźby, jaka nad nami wisi.

Outis zmarszczył brwi, rzucił okiem ku Helenie, do której twarzy przymarzył uśmiech.

– Ajgistos-król i pozostali wodzowie z Achai i Argolidy dotrą dopiero jutro – odparł. – Nie zaczniemy bez nich uroczystości pogrzebowych. Możemy za to rozpocząć rozmowy o pokoju, jeśli taka jest wasza wola.

Agapenor również postąpił krok naprzód, stanął obok Orestesa.

– Taka właśnie jest nasza wola – oznajmił.

Outis obejrzał się na lakońskich wodzów. Ich twarze zastygły w pozornie obojętnym wyrazie,

ale musiał dostrzec coś – może zmrużenie oczu, może wygięcie ust – co kazało mu mieć się na baczności, gdyż powiedział:

– Dobrze. Jednak w sprawach tak doniosłych muszą mieć głos królowie wszystkich ziem lakońskich, a także władczyni całej tej krainy. Z przyjemnością podejmiemy was wieczera i wysłuchamy.

Na te słowa, jednocześnie ostrożne i stanowcze, Orestes wyszczerzył zęby jak dzieciak, który właśnie dostał miodowe ciastko. Podszedł do starszego mężczyzny i zgoła nie po królewsku klepnął go w ramię.

– Jak sobie życzysz, szlachetny Outisie – powiedział. – Prowadź zatem do wieczernika.

* * *

Popołudnie, jak to zwykle u schyłku jesieni, przyszło szybko, zaskoczyło Nabu w ogrodzie. Siedział na kamieniu i spoglądał w niebo. Od wschodu napływały kłęбки chmur – wyglądało na to, że w nocy może padać. Tymczasem w głowie Luwity szemrały myśli, niepokój siadł mu na ramionach.

W takim stanie zastał go Teukros. Wielkolud zdawał się zmęczony. Spoczął nieopodal, pod drzewem, podciągnął kolana, oparł na nich łokcie, przetarł twarz dłońmi. Dał się słyszeć chrzęst – nie wiadomo, zarostu czy szorstkiej skóry. Z nozdrzy masywnego króla uszło sapnięcie niby wołu albo byka.

– Zatem i ciebie nie zaprosili na naradę wielkich królów, przyjacielu? – wymruczał.

Nabu wzruszył ramionami. Nie zależało mu na naradach, niewiele go obchodzili królowie i ich sprawy. Kipryjczyk chyba to rozumiał, bo rzekł:

– Niech sobie radzą nad porządkiem świata, niech knują, spiskują, niech ich otchłań pochłonie. Tyle mam w tej kwestii do powiedzenia. O. – Milczał chwilę, potem ciągnął: – Powinniśmy bić pieprzonych Dorów. Powinniśmy uratować Ifigenię... Ale im dłużej obserwuję Oresta... Im dłużej go obserwuję, tym bardziej mam wrażenie, że nas wydupczył. Ty nie masz takiego wrażenia? Zresztą... Niech to cholera. Powinienem wracać na Kipr, w ramiona mojej słodkiej Eune. Gdyby tylko nie Ifigenia...

Urwał. Nabu zsunął się z kamienia, przysiadł u boku wielkoluda na trawie. Chwilę mierzył go wzrokiem, potem przyjacielsko klepnął w kolano.

– Tę jedną przysięgę jeszcze wypełnimy – powiedział Teukros. – A potem wrócimy każdy do swojego domu, każdy do swojej kobiety... Nie martw się. Znajdziemy małą Ifigenię. – Odczekał kilka uderzeń serca, po czym rzucił z nieco kpiarskim uśmiechem: – Kochasz ją, co, Nabu?

Ponownie zapadła cisza, tylko żaby gdzieś się darły. Olbrzym westchnął.

– Spiskują tam ponoć, żeby wydupić Ajgista – podjął. – Szukają przymierzy, jeden przeciw drugiemu, przeciw trzeciemu. Nie zazdroścę Outisowi. Zda mi się, że to porządny chłop. Podobno był pod Troją. Myślę, że chce tylko zadośćuczynić woli Menelaosa, zadbać o Helenę. Ale co ja tam wiem, nie? Durna, łysa czacha. Nie mnie myśleć, mnie tylko bić się i chlać, chlać i bić się. A jemu nie zazdroścę, oj, nie zazdroścę. Ma przeciw sobie Oresta i Agapenora. Orestes z Atrydów, może więc należałoby mu ufać. Jednak Agapenor... A, zimna ryba ten Agapenor. Nigdy skurwiela nie lubiłem, ot co.

Chwycił kamień, rzucił nim w trawę. Ciągnął:

– Młodego Telemacha roznosi. On też tylko w części narad uczestniczy. Martwi mnie ten chłopak, choć pewnie rzecz zwykła, że go nosi... No, młody jest, to go nosi. Ale ma coś w sobie takiego... No, nie wiem. Martwi mnie. Winniśmy ruszać przeciw Dorom, uratować twoją panią...

Zamilkł, spjrzał bystro na niemowę, który wpatrywał się w niego z błyskiem w oku.

– Orestes nigdy nas na Dorów nie powiedzie, prawda? Nigdy nie chciał ratować Ifigenii, chciał tylko, abyśmy zdobyli dla niego Mykeny.

Luwita powoli pokiwał głową. Potem zwrócił wzrok ku północo-zachodowi, gdzie okiem wyobraźni mógł dostrzec Elidę. Teukros spjrzał w tym samym kierunku. Myślał, myślał, aż wymyślił, a może wyczuł, wyczytał jakoś, tak jak potrafiła Ifigenia.

– Co zrobisz, jeżeli postanowi tu zostać? – zapytał. – Odejdiesz, dobrze mówię? Może już chcesz odejść?

Nabu potaknął.

– Poszedłbym z tobą... I chyba pójdę, bo sam daleko nie zajdziesz. Bez urazy, ale w tych czasach nikt się z niemową nie będzie cackał. Tyle tylko, że powinienem mieć oko na Telemacha. Jestem to winien Odyseuszowi.

Luwita zmarszczył brwi, wskazał w kierunku pałacu.

– Co? Kończą już to swoje gadulstwo? Nie, siedzą jeszcze. Jak dadzą żarcie, pewnie usłyszymy.

Wielkolud zamyslił się, skubał trawę, rzucał kamienie. Trwało to dłuższy czas.

– Pies to jebał! – mruknął w końcu. – Pójdę z tobą, Nabu. Uratujemy Ifigenię, zabierzemy ją na Kipr, co ty na to? Z moją Eune z pewnością się pokochają. Pies jebał Achajów!

W tym momencie od strony pałacu napłynął gwar. W oknach zamigotały sylwetki ludzi.

– O, przerwa w gadaniu. Świetnie. Chodź, napchamy brzuchy i opijemy się wina. Łacniej nam będzie się rozstać z druhami.

* * *

– Telemachu, zaczekaj!

Chłopak stanął. Nie odwracał się, obojętny na bełkot i ruch, które wzbierały za jego plecami, gdy służący wnosili do wieczernika potrawy, a wodzowie zmieniali miejsca. Chaos wypluł Orestesa.

– Bardzo coś byłeś cięty na biednego Outisa – powiedział starszy król, doganiając młodszego.
– Myślałby kto, że masz do niego jakąś osobistą urazę.

– Po prostu mnie wnerwia. To baran.

Orestes zachichotał.

– Bardzo dwornie ujęte – skomentował.

– Jak go słucham, od razu przypomina mi się ojciec. On też tak potrafił pieprzyć i pieprzyć, tańczyć w kółeczku, unikać odpowiedzi. I zawsze miał taki sam jak Outis głupawy uśmieszek. I podobnie jak on pozostawał spokojny nawet wtedy, gdy po ludzku byłoby się wkurwić. Bogi, to wszystko twoja wina! Niepotrzebnie tyle razy mi o nim przypominałeś.

– Hm. Może i niepotrzebnie.

– Ciebie nie wkurza to całe gadanie? – ciągnął Telemach. – Wszyscy tylko siedzą, żłopiają wino

i roztrzęsają, że z Dorami to tak jest, a że niewolnicy tamto, a że w Mesenii żałoba, a że plony nie takie... Kurwa! Naprawdę po tośmy maszerowali taki kawał drogi? Żeby mitrężyć czas na bezcelowe narady? Co z Ifigenią? Co z naszą misją, naszą zemstą?

Orestes patrzył mu chwilę w oczy, potem, uśmiechnięty półgębkiem, mruknął:

– Chodź, pomówmy gdzieś, gdzie jest ciszej.

Wyszli z pałacu i zaszyli się wśród grobowców dawnych lakońskich królów. Atryda rozsiadł się u stóp jednej z mogił, oparł plecami o kamień, wskazał towarzyszowi miejsce obok.

– Jeśli chodzi o naradę – rzekł – masz rację, jest bez sensu. Sama w sobie. To znaczy, wodzom Menelaosa-króla wcale nie zależy na tym, żeby się dogadać. Jeżeli mam być szczery, mnie też nie.

– Jak to?

– Po prostu. Oni grają na przeczekanie, wolą zobaczyć, czy ja i Ajgist nie zagryziemy się nawzajem. Z kolei ja próbuję ich wyczuć, sprawdzam, czy popierają Outisa, czy są skłóceni między sobą, czy zgodni...

– Polityczne gierki! Myślałem, że jesteś ponad to.

– Nie mogę sobie pozwolić, żeby być ponad to. Zrozum, Półwysep musi zostać zjednoczony, jeśli ma stawić czoło Dorom. Wojna wcale się nie skończyła, a jej losy stały się nierozzerwalnie związane z losem Ifigenii. Trzeba zrobić szybko porządek i uderzyć na Elidę, zanim górale zdążą się umocnić.

– Nie wiem, w jaki sposób gadanie z zebranymi w tym pałacu pierdzielami ma cokolwiek przyspieszyć.

Orestes westchnął.

– Pomyśl raczej o tym, w jaki sposób niegadanie z nimi może wszystko spowolnić albo nawet udaremnić. Ajgistos jest uzurpatorem. Jeżeli stanie nam na drodze, nie zawaham się go zgnieść, choć nie wiem, czy mamy dość wojska na wojnę z nim i z Dorami. Obawiam się jednak, że gdybym teraz ruszył mu naprzeciw, zostawiłbym za plecami drugiego uzurpatora. A ciągnie swój do swego.

– Sądzisz, że Outis zamierza sięgnąć po koronę?

– Spójrz na to w ten sposób. Człowiek nie wiadomo skąd zjawia się na królewskim dworze. Szybko wchodzi w łaski króla i królowej. Potem władca nagle umiera, jego żona okazuje się być w ciąży, mimo iż przez wszystkie lata małżeństwa była bezpłodna, a nasz tajemniczy przybysz zostaje dowódcą wojska. Jak sądzisz, to dziecko, które może okazać się następcą tronu, czyje tak naprawdę jest?

– A więc to zdrajca... i powinien iść pod nóż jak bydło.

– Być może. Jednak nawet gdybym mógł wystąpić zbrojnie przeciw niemu... jego życie nie należy do mnie.

Telemacha coś tknęło w tych słowach, coś zakłuło. Poderwał się szybko.

– Co masz na myśli? Do kogo niby należy?

Orestes nie odpowiedział od razu. Patrzył na rozmywającą się w gęstniejącym mroku sylwetkę chłopca. Gdzieś krzyknął sokół albo, kto wie, może sokolica. Powietrze szybko stawało się chłodne, lecz i tak nikt nie powiedziałby, że trwa zima. Opar unosił się znad trawy, a z nim zapachy dziwnie wiosenne, ciepłe, duszne.

- Pamiętasz, jak w Mykenach opowiadałem ci mój sen?
- O czarownicy?
- Tak. O czarodziejce. Która pytała o Odyseusza-króla.
- Pamiętam. Ty też wtedy o niego pytałeś.
- Aha. No więc... to nie był sen.
- Czyli kobieta, z którą cię widziałem...
- Przyszła do mnie czarodziejka i powiedziała mi coś o Outisie. Coś, co wydawałoby się nie do wiary, gdyby nie to, że... że ma sens. Obserwowałem, pytałem i słuchałem. I wszystko pasuje. Outis pojawił się na Półwyspie niedługo po tym, jak zginął twój ojciec. Wymawia słowa jak typowy Achaj z Północy, znakomicie strzela z łuku, jest przebiegły i każdemu kogoś przypomina, choć nikt...
- Przestań! – warknął Telemach. – Naprawdę sądzisz, że nie poznałbym własnego ojca, że on...
- Słowa go zdradziły, cofnęły się do gardła.
- Ależ ty go poznajesz – powiedział cicho Orestes. – To właśnie ostatecznie upewniło mnie, że czarodziejka nie kłamała. Jego słowa, jego gesty, nawet złość, którą wobec niego czujesz... znasz to wszystko. Czarodziejka powiedziała, że jest inną osobą, ale nosi tę samą twarz. Pomyśl o tej twarzy.
- Nie... to nie może być Odyseusz. Po prostu... nie może.
- Tak, nawet samo imię jakby do niego nie pasowało, lecz pomyśl o twarzy. O gestach, o słowach, o głosie. To on, w jakiś niewytłumaczalny sposób odmieniony, ale on. Prawda? Prawda, Telemachu?
- Nie wiem...
- Jeśli to jest twój ojciec, jego życie należy do ciebie.
- To nie jest mój ojciec.
- W takim razie słowa czarodziejki równie dobrze mogłyby być snem. A mnie nie pozostaje nic innego, jak układać się z tym człowiekiem, kimkolwiek jest i jakiegokolwiek ma zamiary.
- Chłopak odszedł o krok. Zatrzymał się, zakręcił w miejscu.
- Muszę z nim pomówić – powiedział.
- Orestes pokiwał głową. Nie wstawał. W cieniu grobowca wyglądał jak jego część.
- Idź.

* * *

Nad ogrodem zawisła pajęczyna deszczowych kropel. Cienie pełzały wśród zarośli, niosący wilgoć wietrzyk głąskał korony cyprysów, szemrał w trawie. Po gorącym dniu ziemia oddychała głęboko, dyszała ciepłem. Na niebie nie było gwiazd, Outis brnął więc przez ciemność jedynie przy półblasku młodego, zatopionego w chmurach księżyca. Po duchocie wieczernika, po winie i męczarni nieszczerých rozmów powietrze działało na niego oszałamiająco. Myślał o morzu, w uszach pobrzmiwały słowa: „W głębinach, w głębinach...”.

Szukał Heleny.

Coś mignęło mu w mroku. Zawirował, stanął pod platanem, gdzie rozmawiał z nią dawno, dawno, nim wyruszyli na wojnę z Dorami. Stała tam, oparta plecami o pień. Widział jedynie niewyraźną sylwetkę, lecz był pewien, że to ona.

– Outisie? – powiedziała półgłosem.

– Co tu robisz, pani?

– Szłam do spizarni upewnić się, że niewolnicy doniosą więcej jadła i wina dla gości.

– Nie lepiej było wysłać służkę?

– Pomyślałam, że spacer dobrze mi zrobi. Chcę trochę wytrzeźwieć, zanim wrócimy do obrad. Żeby się nie wściec, musiałam pić dużo wina, a teraz nie mogę pić więcej, bo się wścieknę. Odprowadzisz mnie kawałek?

Kiwnął głową. Helena oderwała się od drzewa, stanęła u jego boku. Razem ruszyli ścieżką. Bardzo chciał podać kobiecie ramię albo – lepiej nawet, choć bardziej niebezpiecznie – chwycić ją za rękę. Nie odważył się, szli więc bok w bok, zataczając się odrobinę, objając barkiem o bark. Władczyni od czasu do czasu rzucała jakieś słowo, a on odmamrotywał coś modlitewnym tonem. Spizarnie były coraz bliżej. Już prawie do nich doszli, gdy wreszcie w piersi Outisa wezbrały słowa. Wyprzedził królową o pół kroku, obrócił się do niej przodem, wyciągnął ramię i zatrzymał kobietę, delikatnie muskając dłonią jej brzuch, biodro.

– Poczekaj, poczekaj... – powiedział.

Obejrzała się, jakby myślała, że coś może im grozić.

– Co? – zapytała. – Zmyliliśmy drogę?

– Nie... poczekaj... po prostu...

Serce rozkołatało mu się w piersi, oddech porwał się, poplątał, zadusił słowa pracę ku górze wielką falą. Poczł zapach szatwii, choć wiedział, że za późna już dla niej pora roku, że nie ma jej w ogrodzie. Ale była w innym ogrodzie, przed wielu laty. Nagle, nie wiadomo kiedy, nie wiadomo skąd, wypłynęło wspomnienie. Mieli po piętnaście lat, on i Helena. Gdzieś poza polem widzenia czaili się ich ojcowie. Wtedy chciał jej coś powiedzieć, chciał tyle powiedzieć...

– Chodź, bo zimno. – Pociągnęła go za ramię, powędrowała dalej ścieżką.

Jeszcze kilka szurnięć, niezdarnych potrąceń i stanęli u drzwi spizarni. Objęło ich światło kaganka. Outis przełknął ślinę, patrzył gdzieś w bok.

– Mam coś do zrobienia – skłamał. – Zostawię cię tu. Nie wracaj sama, weź ze sobą chociaż służkę.

– Dobrze.

Odwrócił się, chcąc odejść.

– Outisie?

Zatrzymał się, popatrzył na Helenę. Podeszła i objęła go, lecz samymi ramiona – tak, aby nie poczuł przez ciekłą materię bluzki jej piersi, aby nie zetknęły się ich biodra. Szybki, chłodny uścisk. Potem zniknęła za drzwiami, a on pomaszrował z powrotem w stronę pałacu.

Niedaleko drzewa – ich drzewa – ktoś zawołał go po imieniu. A przynajmniej w pierwszej chwili tak mu się zdawało, bo po krótkim zastanowieniu zrozumiał, że to wcale nie było jego imię, tylko podobne. Mimo to stanął. Głos rozległ się ponownie, w ciemności zamajaczyła czyjaś sylwetka.

– Ojczy?

Rozbitek przypomniał sobie pytanie, które kiedyś zadała mu Helena: co zrobi, jeśli pewnego dnia spotka chłopca mieniacego się jego synem. Na moment opanowało go przerażenie. Potem uświadomił sobie, że poznaje mówiącego – był to młodziutki Telemach-król, który tak na niego napadł podczas narady.

– Wybacz, panie, chyba z kimś mnie pomyliłeś...

Chłopak nie odpowiedział od razu. Outis nie widział twarzy, nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że sam jest poddawany wnikliwej obserwacji.

– Widziałem cię z Heleną-królową...

Czy to był zarzut?

– Poszliśmy zadbać o wino i jadło dla gości.

Znów cisza. Potem:

– Podejźmy do światła – powiedział młodziutek.

Wiedziony przecuciem Outis poprowadził go nie w stronę spiżarni, lecz ku pałacowi. Na skraju ogrodu leżało kilka płam światła z okien, na jednym z tarasów płonęły pochodnie. Stanęli w blasku i chłopiec nagle padł na kolana, chwycił mężczyznę za kolano. Tamten cofnął się pół kroku.

– Co robisz? – warknął.

Młodziutki król wstał.

– Masz bliznę na łydce. Bliznę w kształcie łuku – powiedział.

– I co z tego? Nie wiem, czym ci zawiniłem, chłopczy. Nie znam cię.

* * *

Teukros opróżnił kolejny puchar wina, beknął. Toczył wkoło okiem już cokolwiek mglistym, usta lśniły mu od tłuszczu. Gadał, gadał dużo, za nich obu. Nabu słuchał tylko jednym uchem, miarkował się w picciu. Patrzył za to uważnie, obserwował, kto przychodzi, kto odchodzi. Wyglądał konkretnej osoby.

– Wiesz, że jak byłem chłopaczkiem, takim w wieku Telemacha, kochałem się w Helenie? – powiedział w pewnym momencie olbrzym. – Ano, kochałem, kochałem, tak było. Zresztą, kto się w niej wtedy nie kochał? Do dziś smakowity z niej kasek. Ja wiem, wiem, ty zakochany, zresztą rozumiem, bo one obie jakby jedna... Ale o czym to ja? A tak, no więc, wyobraź sobie, byłem w Lakedaimonie jakieś dwadzieścia lat temu, kiedy stary Tyndareos-król wyprawił wielkie igrzysko, a przy okazji przedstawił światu swe córki. Brat mój, Ajas zwany Wielkim, dostał nawet od ojca pozwolenie, aby się o rękę Heleny ubiegać. Ja nie, ale... no, wzdychać po nocach mi stary nie mógł zabronić. A wzdychałem, a sny jakie miałem...

Kipryjczyk zaśmiał się, dolał sobie polewki. Poliki lśniły mu czerwienią. Nabrał na łychę sporo mięsa i sosu, wpełchnął wszystko do ust, przełknął, a potem chwilę żuł jeszcze drewniany sztuciec. Szpetna twarz wojownika odmieniała się – patrzył gdzieś w przestrzeń, znać było, że wspomina.

Wtem westchnął, a dźwięk był to taki, jakby sztorm szalał na morzu.

– Słodka była ta nasza miłość sfory szczeniaków – powiedział. – A potem się to, kurwa,

wszystko popsuło. Powiedz, dlaczego tak zawsze jest?

Luwita skrzywił usta w smutnym półuśmiechu, poklepał wielkoluda po ramieniu.

– Wszyscy uwielbiali Helenę – podjął Teukros po pauzie. – To znaczy, wszyscy mężczyźni. Zresztą do dziś ją uwielbiają, widzę, jak na nią patrzą. Ona ma jakąś moc, to prawie jak czary. Mogłaby wiele zdziałać z tą mocą, tylko chyba nie umie, nigdy nie umiała... Zresztą, ja tam się na babach, przepraszam, kobietach nie rozumiem. Myślę za to, że się chłopcy, przepraszam, króle kochali w niej przez te oczy. Wiesz, kiedy raz w nie spojrzałem, zrobiło mi się naraz smutno i rozkosznie. Bo te oczy są jak morze. Ifigenia też ma takie oczy i moc tę samą. Nie można jej nie pokochać, w tym cię rozumiem, rozumiem całkowicie. Też spojrzałem i pokochałem, choć nie jak ty, bo ja mam swoją słodką Eune...

Umilkł, gdyż w tamtej chwili do wieczernika wtoczył się Telemach.

* * *

Ktoś jeszcze, poza Nabu, miał salę i biesiadników pod baczną uwagą: Orestes. Siadł w samym kącie, na ławie, niby po to, by słuchać pieśniarza, niby po to, by rzucać kości psom. Od czasu do czasu wymieniał spojrzenia z usadowionym na przeciwnym końcu stołu Agapenorem. Niepewny był to sprzymierzeniec i ceny zażądał wysokiej, mógł sobie jednak na to pozwolić, gdyż jego wojska stanęły klinem między Ajgistowymi a Orestowymi ludźmi.

„To robak – myślał Orestes. – W gruncie rzeczy nic nie znaczy”. Na widok Telemacha, bladego, wielkookiego, zapomniał o arkadyjskim królu. Wstał, ale chłopak, ujrawszy to, dał nura między pijanych wodzów. Wcisnął głowę w ramiona i pił wino, nie zdołał się jednak skryć.

– Telemachu – rzekł miękko król Myken, kładąc rękę na ramieniu Itakijczyka. Zwróciła się ku niemu twarz w pierwszej chwili przestraszona, potem gniewna, buńczuczna. – Coś uczynił?

– Nic. Zupełnie nic.

– Chodź, pomówimy...

– Nie ma o czym. Niczego nie zrobiłem.

Orestes chciał dalej pytać, lecz zamilkł, ujrawszy wchodzącego do sali Outisa. Dowódca pałacowej straży był ponury, zamyślony. Łypnął ku młodziutkiemu królowi Itaki, później powędrował wzdłuż stołu, szukając sobie miejsca. Nim zdążył usiąść, wyrosł przed nim Teukros-król i Nabuszezibanni.

Atryda spojrzał na Telemacha.

– Chodź, pomówimy – powtórzył.

Chłopak opróżnił kielich i kazał sobie dolać. Ten również wypił w milczeniu. Otrząsnął się. Pokiwał głową, wstał. Poszedł za Orestesem.

– Co się stało? – zapytał mykeński król, gdy znaleźli się sami w korytarzu.

– To on. Miałeś rację. To mój ojciec. Nie wiem, jak to możliwe, ale to on. Chodźmy jeszcze raz do grobowców, Oreście. Chodźmy. Muszę komuś opowiedzieć, bo głowa mi pęknie.

Wyszli ponownie w chłód wieczoru. Między grobowcami panowała cisza, nikt się tam nie kręcił; wszystko było uszykowane na pogrzeb i igrzysko. Młodszy z władców odetchnął. Mimo iż w ciemności wydawał się jedynie strzępem cienia w ludzkim kształcie, Orestes wyczuł, że z towarzysza zeszło napięcie. „Bo tutaj wszystko jest mniej prawdziwe – pomyślał. – Równie

dobrze moglibyśmy być duchami”.

– Niewiele brakowało, a byłbym go zabił – powiedział Telemach. – Poznałem go, przejrzałem poprzez układ zakłęcia. A mimo to prosto w twarz powiedział: „Nie znam cię, chłopcze”. Chłopcze...

Orestes nic nie mówił, słuchał za to, jak oddech chłopaka przyspiesza, jak głos ocieka z męskiego brzmienia, staje się dziecięcy.

– Skurwysyn. Pierdolony skurwysyn. Myśleliśmy, że nie żyje. Zostawił nas. Zostawił matkę. Kiedy gwałcili ją jebani Dorowie, posuwał tę lakońską kurwę, tę starą dupę, którą już miało pół Półwyspu. Zostawił nas i zrobił sobie nowe dziecko. Nowy pałac, nowe dziecko, nowe życie. Powinienem był go zabić!

– Czemu więc tego nie zrobiłeś?

– Nie mogłem. Nie mogłem, to przecież moja krew. Mój ojciec. Jak mógłbym zabić własnego ojca?

Strzęp cienia, którym był Telemach, zadygotał. Orestes przygarnął go do piersi, poczuł wilgoć przesiąkającą przez tunikę.

– Nie mogłem... – Załkał chłopak.

– Cicho. Posłuchaj teraz, bo powiem ci coś, czego nikomu nigdy nie mówiłem. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, rozumiesz? Mówię ci to tylko dlatego, że wiem, co czujesz. Jako jedyny z tysięcy ludzi zgromadzonych w tym mieście wiem, co czujesz. Posłuchaj... – Głos Orestesa zniżył się do szeptu, wypływał monotonnie z ust, które niemal się nie poruszały. Mógłby to być głos ducha. – Niepomuszczone krzywdy powoli niszczą człowieka, pożerają go jak wściekłe boginie, zabierają siłę. A musimy być silni. Jesteśmy dziećmi Achajów, musimy więc być silni. Wydaje ci się, że twój ból i twoja nienawiść są bogom wstrętne. Przeciwnie, oni czerpią z nich olbrzymią radość. Chcą, abyś dał im upust. Tak jak chcieli, bym ja dał im upust. Kiedy zabiłem matkę. Kiedy zabiłem ojca. Krew jest niczym, liczą się tylko miłość i nienawiść. Nienawidziłem Agamemnona za to, co zrobił Ifigenii, którą kochałem. Zastawiłem więc na niego sidła. Uwiodłem służącego mu chłopca, aby w czasie polowania podał swemu panu zaprawione wino. Liczyłem na to, że stary opój spadnie z konia i skręci kark. Miało się to stać, kiedy będę w Fokidzie, aby nikt nie mógł powiązać mnie ze zbrodnią. Myślę jednak, że moja matka wiedziała. Może nawet napuściła starego na tego dzika, który ostatecznie rozpruł mu bebechy. Przypuszczam, że potem spowodowała śmierć chłopca. Zresztą, to już nieważne. Żałuję jedynie, że nie mogłem patrzeć Agamemnonowi w twarz, kiedy umierał, że nie mogłem w nią napluć ani powiedzieć mu, za co ponosi karę, że nie zbrukałem dłoni jego krwią, jak wypada mężczyźnie, gdy pragnie zemsty.

Telemach uniósł głowę. Gdzieś zza chmury wyjrzał księżyc, rozświetlił mu oczy.

– Co mam zrobić?

Orestes ujął palcami jego podbródek, pochylił się tak, iż ich oddechy się splątały.

– Co uznasz za stosowne, królu – powiedział i złożył na uniesionych ustach pocałunek. Wyszarpnął spinającą płaszcz broszę, a kiedy gruba materia opadła na ziemię, chwycił chłopaka w ramiona i pociągnął w dół, aż legli u stóp grobowca. Wtedy ściągnął z Telemacha tunikę, pocałował okryty delikatnym meszkiem brzuch, udo.

– Co robisz? – wydyszał tamten.

– Miłość i nienawiść, Telemachu. Nie ma nic więcej – odparł mykeński król. – Kochasz mnie, mimo iż zostałem stworzony na odwrót?

– Tak.

– Zamknij oczy.

Orestes zsunął przepaskę okrywającą biodra Telemacha. Ujął w dłonie twardniejącego członka, musnął ustami sam czubek.

* * *

Teukros podrapał się w głowę.

– Zda się, że Nabu ma do ciebie sprawę, przyjacielu – powiedział. – Niestety, nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Widzisz, to niemowa...

Outis rzucił okiem ku właśnie wychodzącym z wieczernika Orestesowi i Telemachowi. Przez chwilę wyglądał na rozproszonego, potem jego oblicze stwardniało. Popatrzył na Luwitę, otworzył usta, jakby zamierzał o coś zapytać, lecz potem pokręcił głową.

– Przejdźmy do bocznej komory, szlachetni królowie – rzekł wreszcie. – Jest tam wyjście na taras, będzie bardziej rzeško.

– Nabu nie jest królem – sprostował Kipryjczyk. – Chyba że w jakiejś dzikiej krainie. Co, Nabu?

Zagadnięty nie odpowiedział najmniejszym gestem. Dopiero kiedy przeszli do sąsiedniej komory, zaczął dawać wielkoludowi znaki rękami. Outis przyglądał się temu ze zmarszczoną brwią.

– O co ci chodzi? – zapytał Teukros. – Co, mam sobie iść? Jak niby dogadasz się ze szlachetnym Outisem? Wybacz, przyjacielu, ja trochę cię rozumiem, ale on...

Nabu załamał ręce, po czym obrócił Teukra w miejscu i pchnął go lekko.

– Już, już, jak sobie chcesz. Pójdę przygotować zapasy i porozmawiać z ludźmi, których zostawię Telemachowi.

To rzekłszy, olbrzymi król oddalił się lekko chwiejnym krokiem.

– Znam cię – powiedział Luwita, kiedy tylko za Kipryjczykiem zamknęły się drzwi.

Outis uniósł brwi.

– A ja znam ciebie – odparł.

Po twarzy Nabu przemknął wyraz zdziwienia. Przekrzywił głowę.

– Słyszysz mój głos? – zapytał.

– Postarzałem się od naszego ostatniego spotkania, ale nie ogłuchłem. Czemu nie miałbym cię słyszeć?

Szarwłosy wojownik wybuchnął w odpowiedzi śmiechem – gromkim, serdecznym. Od tego śmiechu zgiął się wpół, musiał przysiąść. W oczach stanęły mu łzy. Śmiał się długo, a w końcu rzekł:

– Słyszysz mój głos, Odysie-królu. Słyszysz mój głos.

Outis zamarł. Odgonił niewolnika, który zajrzał, by sprawdzić, czy panom czegoś nie trzeba. Usiadł obok Nabu.

- Powiedziałaś: „Odysie-królu”, prawda?
- Tak. To twoje imię.
- Niemożliwe. Pamiętam człowieka, który nosił to miano. Był z tobą i ze mną w Chryzach. To nie ja.
Luwita spochmurniał.
- Jakiś czas temu miałem sen o tobie. Śniłem, że czarodziejka chciała zabrać twe imię. Widzę, że jej się udało.
- Jak można zabrać człowiekowi imię?
- Zabijając go. Długo myślałem o tym, co się ze mną stało. Nie chciałem się z tym pogodzić, ale odpowiedź jest tylko jedna: umarłem, a potem wróciłem do życia. To samo musiało stać się z tobą, dlatego mnie poznałeś. Przypuszczam, że z tego samego powodu jako jedyny słyszysz mój głos. Pamiętasz cokolwiek ze swojego dawnego życia?
- Strzępy...
- Ja pamiętam wszystko, tylko nikt nie pamięta mnie. I nie jestem w stanie nikomu powiedzieć, kim jestem.
- Dlaczego?
- Dziewczyna, która mnie leczyła... która mnie uratowała... próbowała mi to tłumaczyć. Mówiła o boskim porządku. Ten sam człowiek nie może być jednocześnie żywym i umarłym, dlatego w oczach świata stałem się nową osobą.
- A ja? Wspomniałeś o czarodziejce...
- Jej też nie pamiętasz?
- Pamiętam, ale to... to jakby sen. Tak jak nasza ostatnia rozmowa. Co ona mi zrobiła?
- Nie wiem. Moja opiekunka... hm... kochała się we mnie. Wiem, że chciała mojego dobra.
- Co się z nią stało?
- Nabu potarł czoło, zaczął wiercić się na ławie.
- Umarła – westchnął – kilka miesięcy później, gdy przyszła zaraza. Samej siebie nie potrafiła uratować.
- Czasem śnię o czarodziejce. Zawsze widzę wtedy wzburzone morze... Sądzisz, że mnie nienawidziła, skoro z zemsty odebrała mi pamięć?
- Nie wiem. Znam się na wojnie, na czarach już słabiej.
- Bogi! – jęknął Outis. – Jeśli moje imię to... Jak mam na imię?
- Odyseusz-król.
- Odyseusz-król to ojciec Telemacha-króla. Mój syn... – Słowa ugrzęzły mu w gardle.
- To dzielny chłopak, Odysie, choć... No, jest w nim sporo gniewu. Przypomina mnie, kiedy byłem młodzieńcem.
- Czy to możliwe, że mnie poznał?
- Nie mam pojęcia. Chyba nie. Będziesz musiał oswoić się z myślą, że jesteś kimś innym, niż byłeś, a ludzie, którzy byli ci bliscy, stali się obcy. Wszystko będziesz musiał zacząć od nowa. Ale chyba już zacząłeś.
- Muszę z nim porozmawiać.

– Z Telemachem?

– Aha.

– Może warto z tym poczekać do rana. – Luwita uśmiechnął się ostrożnie. – Chłopiec z pewnością musi jeszcze nauczyć się pić jak wojownik. A jako że zabiorę ze sobą Teukra, zabraknie mu najlepszego nauczyciela.

– Odchodzisz?

– Zamierzam udać się do Elidy.

– Do Dorów?

– Pojmali kogoś, kto jest mi bardzo bliski.

– Kobietę?

– Kobietę.

– I sądzisz, że...

– Jeśli żyje, uwolnię ją. Jeśli nie... – Nabu wzruszył ramionami. – I tak już dostałem drugie życie.

– Jak szybko chcesz wyruszyć?

– Nie wiem. Raczej przed świtem. Wolałbym, aby Orestes nie wiedział, że odchodzę. Nie ufam mu. Z drugiej strony, Teukr i tak pewnie wypaple wszystko komuś, komu nie powinien.

– Zawołam, by przyniesiono nam wino. Napijesz się ze mną?

– Jasne.

– I poopowiadasz o dawnych czasach? Historie, jakie lubią Achajowie? O bitwach i zwycięstwach?

– Naprawdę takie lubią?

– Chyba. Kto ich tam wie. Opowiedz o czymkolwiek, muszę zebrać myśli, nim pójde spotkać się z Telemachem.

– Jesteś więc zdecydowany?

– Tak.

– Dobrze.

Outis wstał z miejsca, nagle czując się bardzo staro. Przyzwał niewolnika, polecił mu przynieść wino i nie dolewać zbyt wiele wody.

– Jak barbarzyńcy – stwierdził z krzywym uśmiechem szarowłosej wojownik, gdy już dostali trunek. Uniósł kielich. – Twoje zdrowie, Odysie-królu.

– I twoje, Achillesie.

* * *

Wino i dotyk Orestesa wznieciły w głowie Telemacha szum. Było mu z tym szumem zarazem bardzo dobrze i bardzo źle. Dobrze, bo świat stał się mniej ostry, źle, bo jakby lepiej słyszał własnego ducha. Chłopak czuł motyle w żołądku, pulsowanie w kroczu. Chciało mu się spać, a jednocześnie wiedział, że nie mógłby zmrużyć oka. Słowa i obrazy mieszały się z sobą, chwile nienawistne z tymi, które chciałby przeżywać na nowo, w kółko i wciąż.

Pomyślał, że mógłby pójść do świątyni Boga Morza i złożyć podniosłe przysięgi, lecz pomyśl

ten od razu wydał mu się żalony. Tak postąpiłoby dziecko, nie mężczyzna. Mężczyzna przyjąłby zesłany przez bóstwo szal. Dlatego król Itaki skierował kroki z powrotem do pałacu.

W korytarzu wpadł na pijaną górę mięcha – Teukra.

– Tu jesteś, chłopcze. – Wielkolud wyszczerzył zęby. – Właśnie rozmawiałem z moimi ludźmi. Zostawiam ich to...

– Nie teraz – przerwał młodzieniec. – Szukam Outisa. Widziałeś go gdzieś?

Kipryjczyk kłapnął ustami jak ogromna ryba.

– Jest w bocznej komnacie, przy wieczerniku. Nabu coś od niego chciał, głupiec jeden...

Telemach kiwnął głową, wyminął Teukra i chciał ruszyć dalej korytarzem, kiedy powstrzymało go łapsko wielkości szynki.

– Poczekaj no, chcę ci coś powiedzieć. Widzisz... Nic twemu ojcu nie przysięgałem, niemniej... czułem się w obowiązku opiekować się tobą. Ot, i prawda. Teraz jednak widzę... no, widzę, żeś chłop, nie dzieciuch, więc...

W młodziutkim królu zakipiała złość. Ogarnęła go chęć, żeby uderzyć wielkoluda, lecz zamiast tego strząsnął tylko jego rękę i wycedził:

– Nie obchodzi mnie, co sobie ubzdurałeś, Teukrze. Puść mnie do Outisa.

Odwrócił się, by ujrzeć kroczącego z naprzeciwka Nabuszezibanniego. Przemknął obok niego, odprowadzony zaciekawionym spojrzeniem Luwity. Do jego uszu doleciało jeszcze sapnięcie Teukra:

– No gówniarz jeden...

Pomaszerował prosto do wskazanej komnaty. Odyseusz siedział przy amforze wina, z głową opuszczoną między dłonie.

– Mówiłem, żeby... – zaczął, jednak odwróciwszy się, zamilkł.

Młodzieniec zamarł. Puls łomotał mu w szyi, dławił. Co teraz? Popatrzył w oczy ojca. Potem w dół, na własne dłonie. „Skąd wziął się nóż? Miałem go cały czas? Zabrałem ze stołu? Ktoś mi podał?”.

– Telemachu...

– Zamknij się! Nic nie mów!

Odyseusz rozłożył ręce. Wstał – powoli, bardzo powoli.

– Nie wstawaj!

Ojciec zignorował polecenie. Podszedł krok bliżej do syna.

– Nie podchodź!

– Chcę tylko porozmawiać. Porozmawiajmy, dobrze? Możemy porozmawiać? Kiedy podszedłeś do mnie w ogrodzie...

– Zamknij się! Miałeś czas na rozmowy!

– Dobrze. W porządku. Nie rozmawiajmy zatem. Posiedźmy tylko chwilę. Odłóżysz nóż?

– Nie.

– Dobrze. To chociaż go opuść. Dobrze, Telemachu? Opuść go.

Wbrew sobie chłopak posłuchał. Odyseusz podszedł jeszcze bliżej. Wtedy młodzieniec uderzył. Niezdarnie, lewą pięścią, mimo to mężczyzna się zatoczył. Król Itaki, ciągle nie

unosząc noża, popchnął go, uderzył jeszcze raz. Przed trzecim ciosem Odyseusz się zasłonił, chwycił syna za nadgarstek. Prawa ręka Telemacha poruszyła się, jakby kierowana własną wolą.

* * *

Nie był pewien, co się stało. W głowie szumiało mu od gwałtownych uczuć i wina, w nozdrza biła woń potu. Trzymał tego obcego młodzieńca, obcego mężczyznę w objęciach, dziwacznie, niezgrabnie. Rozkrzyżował mu ramiona, przycisnął go do ściany. Czuł jego skórę, palącą, jego oddech, złote włosy muskające mu policzek. Nie pamiętał już o nożu. Nagle wyroiły się wspomnienia. „Telemach, mój syn”. Nigdy nie byli tak blisko. Nigdy go nie przytulał. Choć nie, raz. Ale to nie był ten sam Telemach. Tamten był dzieckiem, lalczką ze złotymi loczkami. Odyseusz wkradł się do jego sypialni, gdy piastunka spała, wyjął chłopca z kołyski. Trzymał go jedną ręką, drugą ciągnął raz za prawą piąstkę, raz za lewą. Szcherzył się jak głupi. Pił wcześniej z druhami, chwalił się, jakiego ma pięknego syna. Jego syn był piękny. A jednak król poczuł wstyd, kiedy został przyłapany. Bo wtedy ktoś wszedł do komnaty. Ktoś, ktoś...

Chłopak szarpnął się, sztych noża zahaczył o udo Odysa, drasnął skórę. Mężczyzna syknął, cofnął się odruchowo. Wykonali obrót, wciąż się trzymając, nogi im się poplątały. Runęli na ziemię.

Odyseusz gruchnął plecami o posadzkę, siła uderzenia wybiła mu powietrze z płuc. Na niego padł Telemach. Jęknął. Miał rozszerzone źrenice, twarz pobladła. Przez chwilę się nie ruszał, tylko gapił na ojca z rozwartymi ustami. Potem mężczyzna poczuł, że coś ciepłego spływa mu po ręce. Delikatnie obrócił syna, złożył go na ziemi. Uniósł się na klęczki. Spojrzał w dół. Na jego tunice widniała plama krwi.

„Com uczynił? – pomyślał. – Przeklęci bogowie, co uczyniłem?”.

Krew znaczyła też odzienie Telemacha. Rozlewała się pod nim połyskliwą kałużą, ściekała po udach. Z pachwiny chłopca sterczała rękojeść noża. Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Wyciągnął ku niej dłoń, lecz zaraz, przestraszony, cofnął palce. Podparł się, próbował wstać. Krew była śliska.

– Nie ruszaj się – polecił Odyseusz głosem ledwie głośniejszym od tchnienia. – Nie ruszaj...

Jednym szarpnięciem ściągnął z siebie tunikę i oderwał od niej spory kawałek materiału. Zwinął go w kulę i przycisnął do rany.

– Straż! – zawołał. – Straże!

– Ojczy... – wymamrotał Telemach. Spróbował chwycić rękojeść noża, lecz ojciec go powstrzymał. Palce chłopaka były zimne, wzrok szybko mętniał. Krew uchodziła z niego obficie, przesiąkała przez opatrunek.

– Straż! Ktokolwiek!

Drzwi komnaty otworzyły się gwałtownie. Błysnęły w nich dwa zdziwione oblicza.

– Sprowadźcie Naosa! I lekarza, chłopiec potrzebuje lekarza.

Lakedaimońscy druzynnicy gapili się oniemiałi. Za nimi zamajaczyły inne twarze.

– Już! – ryknął Odyseusz. – Zamknijcie drzwi!

Żołnierze wykonali polecenie. Ojciec i syn znów zostali sami.

Telemach ponownie podparł się na łokciu. Uniósł głowę. Potrząsnął czupryną złotych loków.

Odys poczuł zimną dłoń kładącą się na jego dłoniach.

– Ojczy – szepnął młodzieniec. – Ojczy... pochyl się tu... chodź bliżej.

Mężczyzna jedną ręką docisnął przesiąkniętą krwią kulę materiału, a drugą objął syna, podtrzymał. Schylił się ku jego twarzy.

– Jesteś mordercą... – wydyszał władca Itaki.

Odyseuszowi gula utkwiała w gardle. Nie potrafił wydusić ni słowa. Tymczasem chłopak ciągnął:

– Zabiłeś ją... Ty ją zabiłeś... A teraz mnie... teraz mnie...

Ciało Telemacha wyprężyło się nagle. Młody król chwycił nóż, wyszarpnął go z rany.

– Nie! – krzyknął mężczyzna.

Ostrze uniosło się do ciosu, lecz nim zdążyło opaść, chłopak omdlał. Umierał. Pierś unosiła się wolniej, coraz wolniej, jeszcze wolniej. W końcu znieruchomiała.

Odys złożył głowę syna na posadzce. Cofnął się, wstał. Nie mógł przestać się cofać. Wpadł na ścianę. Myśli gasły mu w głowie, aż została pustka. I cisza. Ogarnął go dziwny spokój. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie słowa, które Helena wypowiedziała w ogrodzie: „Zmyliliśmy drogę? Chodź, bo zimno”.

„Zimno” – powtórzył w myślach.

Oderwał się od ściany, zgarnął z ławy płaszcz i owinął nim ramiona. „Zaraz wrócę strażę”.

Zamarł na chwilę. Bił się z myślami, czy nie spojrzeć ostatni raz na syna. Nie spojrział. Wymknął się oknem.

* * *

O świcie dnia, w którym miało zacząć się igrzysko ku czci Menelaosa-króla, Orestes po raz kolejny wyszedł ku grobowcom. W całym mieście huczało. Strażnicy szukali Outisa, wodzowie radzili, co począć pod jego nieobecność, szykowali się na przybycie Ajgistosa i sprzymierzonych z nim królów. Nawet na prastarym miejscu pochówków panował ruch, szykowano ofiary, kwiaty. Władcy Myken to nie przeszkadzało. Myślami był wśród innych grobowców – tych, do których zabrał go kiedyś ojciec, by opowiadać o wielkich przodkach Atrydów. Wspominał tamto krótkie pijackie misterium.

„Nikt by tego nie zrozumiał” – mówił sobie. Ani Telemach, ani Pylades, ani Ifigenia. Nawet Ifigenia. Bo tam był tylko on, sam naprzeciw dziewiętnastu pokoleń trupów. Zwieńczenie długiej procesji kości. „Nie przyjmą mnie te szkielety – myślał. – Jestem dla nich zbyt wielki. I co z tego, że ciało nie ma znaczenia? Co z tego, że za tysiąc lat z miecza, który włożą mi do lewej, miast do prawej ręki, nie zostanie nawet rdza? Cóż z tego, że robaki pożrą serce tłukące z niewłaściwej strony? Nie ma tam dla mnie miejsca”.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Cały Półwysep stał przed nim otworem. Lakonia, Argolida, z czasem z pewnością Achaja, Elida, potem też Mesenia, Arkadia. A wiedział, że i tak nie będzie mu dość. Nieważne.

EPILOG

Po dniu zimowego przesilenia przyszedł czas sztormów. Deszcz smagał zielonoszare przestwory Wschodniego Morza Jońskiego, wiatr wznosił bałwany, jednak bez zaciętości. Wyglądało na to, że zima będzie łagodna.

Po dwóch czy trzech tygodniach niebo wypogodziło się i północna bryza przywiała do Myrsinos w Elidzie wieszczka Karnusa, który wcześniej z polecenia Temenosa urzędował w Hellajach. W porcie przyjęła go grupa zbrojnych o smagłych, wygłodniałych twarzach. Przewodził im jednooki mężczyzna w dostatnich szatach i płaszczu z grubej, barwionej na czerwono wełny. Człowiek ten trzymał się na uboczu, słuchał fal, a wszyscy zdawali się czekać, co zrobi. Także Karnus stanął na krańcu prowadzącego na statek pomostu i czekał jak inni zgromadzeni.

W końcu dostatnio odziany mężczyzna kiwnął ręką na chudego, niepozornego przybysza.

– Dobrze widzieć cię w pełni sił, Kresfoncie – powiedział wieszczek, podchodząc. – Jak oko? Kresfontes skrzywił się boleśnie.

– Swędzi – mruknął.

Jego szpetna twarz stała się jeszcze brzydsza od czasu wielkiej bitwy z Achajami, w której o mało nie postradał życia. Ocalałe oko wpadło głębiej w czaszkę, blizna na policzku uwypukliła się, broda wybujała, zagarniając większe połacie policzków.

– Achajowie wciąż myślą, że nie żyjesz. Czeka ich nie lada zaskoczenie, gdy przyjdzie wiosna, co?

– Tak. Zobaczą, że jeszcze paskudniejszy niż wcześniej.

Karnus zachichotał.

– Dobrze, bardziej będą się lękać. Bóg Słońce doświadcza cię, Kresfoncie, ale i ma w opiece. Ciesz się, że odwrócił strzałę, która łatwo mogła wejść w mózg.

– Niewykluczone, że to ja odwróciłem głowę. Ale nie będę się sprzeczał. Chodź, z pewnością chętnie napijesz się grzanego wina.

– Tak, aczkolwiek pierwaj chciałbym poruszyć sprawę bardziej pilną. Doszły mnie wieści, że przywieziono ci Ifigenię, siostrę Orestesa-króla.

– I zaryzykowałeś długą podróż w środku zimy, żeby się o tym przekonać?

– Tak. Bo słyszałem, żeś ją kazał szarpać rozgrzanymi szczypcami i ukrzyżować. W Hellajach nazywają ją wiedźmą, gdyż podobnie jak ty są przekonani, że odpowiada za śmierć Arystodema.

Książę parsknął krótko. Poprowadził gościa w stronę cytadeli. Grupa żołnierzy otoczyła ich ciasnym kordonem.

– Ciągle nie wybiłeś sobie z głowy pomysłu, by połączyć krew Achajów z krwią Heraklidów?

– Nie.

– I chciałbyś mnie ożenić z Ifigenią?

– Chciałbym. Wywodzisz się od achajskiego króla, gdybyś więc pojął achajską księżniczkę za żonę, moglibyśmy rozgłaszać, że masz prawa do ziem Półwyspu. Moglibyśmy zrobić z ciebie władcę chociażby takiej Elidy. W dodatku wieszczka jest siostrą Oresta. Achajowie teraz walczą między sobą, będą szukać sprzymierzeńców. Jeśli dobrze to rozegramy, gotowi uznać cię za swego. Przynajmniej niektórzy. Powiedz jednak, czy słusznie mniemam, że plotki nie były prawdziwe? Ifigenia żyje?

– Tak.

– Czy rozważysz wypuszczenie jej z lochu? Popatrzysz chociaż na nią? Słyszałem, że jest bardzo piękna.

– Czy wypuszczę ją z lochu? – Kresfontes splótł ręce za plecami. Przez chwilę szedł w ciszy i dumał. – Może i tak. Może i tak...

Doszli do cytadeli, nie wymieniając już żadnych słów. Księżę odprawił straż, po czym zabrał chudego gościa do komnat kobiecych, z których przywołał grubą, starszą kobietę o zaskakująco ładnej twarzy.

– Aganippo, chciałbym pokazać wieszczowi Karnusowi loch, w którym trzymam panią Ifigenię. Wyprowadzisz ją do ogrodu, abym mógł to uczynić?

Kobieta przekrzywiła głowę, zmierzyła przybysza wzrokiem.

– Tak, panie – powiedziała.

– Dajmy im chwilę – mruknął brzydal do wieszczka.

Niedługo potem weszli do kobiecych komnat. W głównej sali stały krosna, leżanki i stoły z suszonymi owocami. Ściany były ozdobione kobiercami, powietrze pachniało olejkami. Przeszli do sal sypialnych i łaźni, gdzie lyskały na nich srebrne zwierciadła oraz piękne naczynia z brązu i złota.

– Oto loch księżniczki Ifigenii. – Księżę uśmiechnął się samymi ustami.

Karnus toczył wkoło okrągłymi oczami.

– Nie rozumiem cię, panie – powiedział. – Kilka miesięcy temu chciałeś tę dziewczynę zabić, gnałeś armię po trupach, aby ją odnaleźć. Co się z tobą stało?

– Nie wiem. Może to jakieś zaklęcie, ale gdy po dniach gorączkowania doszedłem do siebie i wróciłem tutaj na czele pobitego wojska... poczułem, że mój gniew się wypalił. Czy to znaczy, że wezmę Ifigenię za żonę? Nie, nigdy. Nie wybaczyłem jej śmierci brata. Niech nie zmyli cię piękny wystrój tych komnat. Jest moją niewolnicą i pozostanie nią, dopóki nie zdecyduję, co z nią zrobić.

– Dlaczego kazałeś ją wyprowadzić?

Kresfontes nie odpowiedział. Ruszył w stronę wyjścia. Wieszczek podreptał za władcą. W końcu zapytał:

– Czy widziałeś Ifigenię choć raz, odkąd ją tu uwięziłeś?

– Chodź, będziesz mi wieszczył o wojnie.

KONIEC

Drogi Czytelniku,

Skoro dobrnąłeś aż tutaj, podziękowania należą się przede wszystkim Tobie. Gdyby nie Ty, nie miałbym po co pisać tej książki. Wiedz jednak, że podróż, którą odbyłeś, nie byłaby możliwa bez pomocy kilku wyjątkowych osób. Przede wszystkim Artura Szrejtera, redaktora, który jako pierwszy uwierzył, że z mojego zbioru literek można wykuć powieść, a potem wspierał mnie w kowalskiej robocie. Wielką i świetną pracę wykonała cała ekipa z Instytutu Wydawniczego Erica, z Maćkiem Frankowskim na czele. Chciałbym też podziękować nauczycielom, którzy wiele, wiele lat temu zaszczyli we mnie miłość do antyku, a więc Jackowi Konikowi i Barbarze Strycharczyk, a także wykładowcom z UW, dzięki którym owa miłość rozkwitła: profesorom Andrzejowi Sucharskiemu i Jerzemu Styce oraz wszystkim innym wspinałym ludziom z wydziału „Artes Liberales”. Oczywiście nie obyłoby się bez wyrazów wdzięczności dla mojej rodziny: ś.p. dziadka, który czytał mi *Gwiezdne wojny* do poduszki, kiedy byłem dzieckiem, dla mamy, brata i całej radosnej paczki.